



Masz to jak w banku

RYSZARD ĆWIRLEJ ZNALAZŁ WŁASNY, BARDZO
INTERESUJĄCY PATENT NA POWIEŚĆ KRYMINALNĄ (...).
TO JEST STRZAŁ W DZIESIĄTKĘ. — PIOTR BRATKOWSKI, „NEWSWEEK”

RYSZARD ĆWIRLEJ

Ryszard Ćwirlej

Masz to jak w banku

Muza S.A. Warszawa 2018

Prolog

Poznań

Poniedziałek

10 października 1988 r.

Godzina 12.00

Pułkownik Stanisław Bielecki spojrzął na zegarek. Dochodziło południe. Punktualnie o dwunastej miał się zameldować u swojego szefa, najwyższego rangą oficera Służby Bezpieczeństwa w Wielkopolsce i jednocześnie serdecznego przyjaciela samego Kiszczaka, generała Klemensa Jelenia. Ruszył więc szybko w kierunku sekretariatu. Wszedł tam bez pukania akurat w chwili, kiedy ze stojącego na parapecie radia Amator Stereo rozległ się piąty, krótki sygnał oznajmiający godzinę dwunastą.

– Według pana to w zasadzie można by zegarki nakręcać, panie pułkowniku – powiedziała sekretarka Ola, wpatrując się nie bez przyjemności w sympatyczną twarz o regularnych rysach, gładko ogoloną, całkowicie pozbawioną modnego ostatnio zarostu. Bielecki mierzył sto osiemdziesiąt centymetrów, był więc mężczyzną dość wysokim, typem, za którym kobiety oglądają się na ulicach. Do tego jeszcze gustował w szytych na miarę garniturach z materiałów sprowadzanych z zagranicy. W ogóle nie przypominał oficera SB. Jego koledzy i podwładni preferowali raczej nieco luźniejszy styl, a ich wymięte marynarki i spodnie świadczyły o tym dobitnie. Taki sposób ubierania się miał im ułatwić wtopienie się w szarą rzeczywistość, natomiast z tej szarości Bielecki na pewno się wyróżniał. Tyle że on nie był tajniakiem i nikogo nie musiał śledzić, ukrywając się w tłumie. Przed nim stawali ci,

których już śledztwo przemielilo i złamało. Już dawno temu wymyślił, że jako ta najwyższa instancja powinien być ucieleśnieniem majestatu miłosiernej Służby Bezpieczeństwa, która wyciągała rękę do zmalretowanego zatrzymanego. A majestat musiał kojarzyć się z wielkością już na samym początku spotkania – poprzez ekskluzywny strój i siłę bijącą z charakteru funkcjonariusza. Pod tym względem nic się nie zmieniło od czasów inkwizycji, myślał z satysfakcją Bielecki. Nie był praktykującym katolikiem, jednak uważał, że od kościoła Służba Bezpieczeństwa może się wielu ciekawych rzeczy nauczyć. Dlatego, jak porządny biskup w swoich eleganckich garniturach i nieosiągalnych na polskim rynku butach sprowadzanych wprost z Londynu, prezentował się zawsze nienagannie, jakby wycięto go z niemieckiego żurnala „Quelle”.

– Spóźniają się tylko głupcy ignoranci – stwierdził, obdarzając sekretarkę swoim wystudiowanym, czarującym uśmiechem. Ola odpowiedziała uśmiechem, ukazując równe rzędy śnieżnobiałych zębów. Nic nie odpowiedziała, bo pojęła tylko tę część o głupcach, ale nie wiedziała, kim są ci ignoranci. A kiedy czegoś nie wiedziała, zawsze uśmiechała się promiennie i nikt już się nie zastanawiał, czy rozumie, co do niej się mówi. Ola miała prawie dwadzieścia osiem lat, jasne włosy związane w warkocz i niebieskie oczy. Była bardzo ładną dziewczyną, która przebierała w amantach jak w ulęgałkach. Nikt dotąd nie zdołał zdobyć jej serca na stałe, bo była bardzo wybredna. Czekala na księcia z bajki, choćby takiego jak Bielecki, ale ten jakoś nie wykazywał zainteresowania jej wdziękami. Gdy podszedł do niej i ujął rękę, by z gracją złożyć pocałunek na dłoni, cała zadrzała.

– Pana żona to musi być ale szczęściara – stwierdziła, patrząc mu prosto w oczy.

– A to niby czemu? – zainteresował się Bielecki.

– Bo pan jak całuje w rękę, to kobieta czuje to aż całą sobą – zażartowała, choć on od razu wyczuł w tym żarcie zachętę do czegoś więcej. Popatrzył na nią i się uśmiechnął, podjąwszy szybką decyzję. W zasadzie, dlaczego by nie? Kochanka w biurze szefa to prawdziwy skarb. Że też wcześniej o tym nie pomyślał. Ale wcześniej do niczego nie było mu to potrzebne, a teraz nadchodziły takie czasy, że właściwie nikt nie wiedział, co będzie się działo za kilka miesięcy.

– Tylko kobiety szczególnie wrażliwe potrafią docenić prawdziwy delikatny pocałunek, który powinien być jak dotknięcie dłoni płatkami róży – wymyślił na poczekaniu i aż się zdziwił, że nie wybuchnął śmiechem, wypowiadając taką bzdurę. I dobrze, że się powstrzymał, bo Ola zrobiła wielkie oczy i zatrzepotała rękami.

– Pan. to jak coś powie, to jak poeta, no, ten Broniewski na przykład.

– Bo przy pani prawdziwy mężczyzna staje się poetą.

– Hi, hi, hi! Ale ma pan gadane. Jak mało kto. U nas większość to raczej burkliwe chamy.

– Z różnym materiałem ludzkim mamy tu w resorcie do czynienia. Z chamami również.

– A ci, co teraz weszli do szefa, to niby dobrze ubrani, ale nawet się nie uśmiechnęli, jak włązili. Arabusy cholerne. Po co oni w ogóle tu przyjeżdżają. Tylko żeby nasze dziewczyny wrywać. I później takie historie, że go zdradziła z autobusem Arabów, jak w tej piosence...

– To szef ma gości? – wszedł jej w słowo.

– Arabów, ale bez turbanów. Tyle że ja od razu się skapnęłam, że to Arabcy są. Takie sine mordy mają i czarne włosy. Aż strach na nich się patrzeć. Wyglądają, jakby noże mieli schowane za pasem.

– To znaczy, że mam poczekać?

– No nie, szef kazał, żeby pan wchodził, jak tylko się tu pojawi – powiedziawszy to, sięgnęła po słuchawkę wewnętrznego telefonu.

– Pułkownik Bielecki już jest, towarzyszu generale. Dobrze, już wypuszczam.

Uśmiechnęła się słodko do gościa, a potem wcisnęła przycisk elektrycznego zamka blokującego wejście do gabinetu dowódcy.

Bielecki wszedł do środka sprężystym krokiem i zatrzymał się u szczytu stołu konferencyjnego. Ten drugim końcem dostawiony był do biurka generała. Jeleń siedział za nim, a po lewej stronie stołu zasiedli dwaj mężczyźni. Jeden mógł mieć około dwudziestu pięciu lat, drugi, starszy, dobiegał pięćdziesiątki. Już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że nie są Polakami, co słusznie zauważyła Ola. Obaj mieli śniade twarze. Młodszy nosił brodę i wąsy oraz krótko przystrzyżone czarne włosy. Ten starszy również był wąsaczem, ale nie mógł się pochwalić tak bujną czupryną jak jego kolega. Czubek głowy miał kompletnie łysy. Obaj wyglądali na ponure typy. Gdy Bielecki wszedł do środka, z pewnym zainteresowaniem spojrzeli na niego, ale w ich oczach nie dało się dostrzec żadnej sympatii. To są zabójcy. Pułkownik nie miał wątpliwości. Zimne skurwysyny, pomyślał, a potem zameldował się przełożonemu.

– Obywatelu generale, pułkownik Bielecki melduje się.

– Witam, witam pułkowniku. – Jeleń uśmiechnął się wyraźnie zadowolony z przybycia podkomendnego. Niezbyt dobrze czuł się w towarzystwie tych facetów. Jakoś mu nie szła kurtuazyjna rozmowa z nimi, więc pojawienie się Bieleckiego zwiastowało, że będą mogli wreszcie przejść do konkretów. A im szybciej załatwią sprawy tym szybciej będzie można się ich pozbyć.

– Poznajcie, pułkowniku, naszych drogich gości. Panowie przyjechali do nas z NRD. Zgodnie z ustaleniami na najwyższym szczeblu rozpoczynamy współpracę operacyjną na szczeblu lokalnym. No ale nie stójcie tak, siadajcie, bo to, co mam wam do powiedzenia, zajmie chwilkę.

Bielecki odsunął krzesło i usiadł naprzeciw młodszego z gości. Generał tymczasem wyjaśniał dalej:

– Pan Hassan jest oficerem wywiadu Organizacji Wyzwolenia Palestyny. W NRD zajmuje się szkoleniem bojowników, ale przede wszystkim tworzy struktury wywiadowcze organizacji. Natomiast nasz młodszy gość, pan Karim, jest początkującym pracownikiem jego komórki. Ale nie znaczy wcale, że nie jest doświadczonym bojownikiem. Przeciwnie. Ma już, że się tak wyrażę, dużą praktykę.

Bielecki słuchał tego z coraz większym zainteresowaniem. Pierwszy raz miał do czynienia z arabskimi terrorystami z OWP, a doskonale wiedział, że są to bardzo niebezpieczni ludzie. Tylko co, do cholery, robili oni w gabinecie Jelenia? W firmie tajemnicą poliszynela było, że enerdowska Stasi szkoli ich i wyposaża w broń, ale żeby polska безпеka też maczała w tym palce? To wydawało się nieprawdopodobne. Choć SB zajmowało się wieloma nieprawdopodobnymi rzeczami.

Dwaj Palestyńczycy zastygli jak egipskie mumie, nie próbując w żaden sposób włączyć się do rozmowy. Słuchali tylko tego, co ma do powiedzenia generał. Bielecki zastanawiał się, czy siedzą jak na tureckim kazaniu, czy też rozumieją cokolwiek po polsku. To jednak wyjaśniło się bardzo szybko.

– Oczywiście to, o czym mówimy tutaj, ma status najwyższej tajności.

– Tak jest, obywatelu generale.

– Więc teraz przechodzimy do przysłowiowego sedna kwestii. Pan Hassan, który studiował jakiś czas temu w naszym kraju, zwrócił się do nas z prośbą o umożliwienie studiowania u nas panu Karimowi. I resort oczywiście umożliwi jemu takie studia na politechnice.

– To znaczy, że mam na polibudzie załatwić... – wtrącił się Bielecki.

– Nic nie macie załatwiać – przerwał mu generał, wykonując jednocześnie gest ręką, który oznaczał zazwyczaj: „przymknij się i słuchaj”. – Takie kwestie są pozałatwiane już dawno. Wasza rola jest zupełnie inna. Wy, pułkowniku, zajmiecie się szkoleniem operacyjnym pana Karima.

– Szkoleniem? Nie bardzo rozumiem, jak...

– Szkolenie, pułkowniku, będzie polegać na normalnym prowadzeniu pana Karima jako waszego TW. Będzie na uczelni infiltrował środowisko arabskich studentów, a wy będziecie od niego przyjmować meldunki. A szkolenie będzie polegać na tym, że on będzie wam zdawał relacje, a wy będziecie go prowadzić jak normalnego agenta, wyjaśniając mu wszystkie swoje kroki. Tak żeby się mógł tej roboty od nas nauczyć. To takie dodatkowe studia będą dla niego. A i nam wiedza o tych studentach też się przyda. No a poza tym musicie się bliżej poznać, bo niedługo wspólnie przeprowadzimy wielką akcję, która i nam, i naszym przyjaciółom da niezbędne, poważne fundusze na działanie przez wiele, wiele lat. Ale o tym na razie cicho sza!

Bielecki popatrzył przez sekundę na swojego szefa, a potem już znacznie uważniej na nowego podopiecznego. Ten wprawdzie się uśmiechnął, ale jego oczy były zimne.

– No to wszystkie kwestie dotyczące spraw organizacyjnych omówicie sobie, panowie, już na osobności.

– Panie generale, dziękuję bardzo za zrobienie to szkolenie – odezwał się wreszcie starszy z gości. – Nam zależy bardzo, żeby nasi ludzie się uczyli od waszych najlepszych ludzi. Trzeba ich szkolić, a oni będą przewozić do was pieniądze z zagranica. Pierwszą przesyłkę już niedługo przywiezie Karim.

– My tego nie robimy dla pieniędzy – wyjaśnił szybko Jeleń. – No ale oczywiście twarda waluta zawsze się może przydać. Tym bardziej że czasy niepewne i trzeba myśleć o tym, jak zabezpieczyć się na przyszłość.

– Przyszłość to nasze wspólne zwycięstwo. Dlatego chcemy uczyć naszych młodych bojowników u najlepszych.

– Pułkownik Bielecki jest jednym z najlepszych naszych pracowników – pośpieszył z wyjaśnieniem Jeleń.

– My walczymy na naszej ziemi, ale też musimy walczyć z agentura u siebie. I nasze ludzie muszą być gotowe do takiej walki. A Karim już pokazał, że jest dobry żołnierz. Teraz trzeba, żeby on był dobry zwiadowca.

– Proszę się nie obawiać. My zrobić, co się... Znaczący, my zrobimy, co się da zrobić, tak żebyście byli zadowoleni – powiedziawszy to, Jeleń wstał ze swojego fotela i podszedł do szafki w meblościance. Otworzył ją i wydobył ze środka butelkę żytniej i cztery kieliszki. Postawił je na stole i rozlał wódkę. Potem naczynia przesunął w stronę gości. Bielecki sięgnął po swój kieliszek. Arabowie zrobili to samo.

– To co, panowie, wypijemy za dobrą współpracę? – zaproponował gospodarz.

– Za zwycięstwo! – poprawił go Hassan.

Ciekawe za jakie, kurw, zwycięstwo? W dupie mam ich zwycięstwa, pomyślał Bielecki. Otarł wierzchem dłoni wykrzywione z niesmakiem usta, a potem powiedział z lekką drwiną w głosie:

– Myślałem, że wam nie wolno pić alkoholu.

– U nas nie wolno – odpowiedział z uśmiechem starszy z Arabów. – Ale tu u was Allah nie widzi.

Rozdział I

Okolice Pniew Piątek

10 lutego 1989 r.

Godzina 6.35

– Ile jeszcze zostało? – zapytał chorąży Albin Stefański swojego kolegę, sierżanta Stefana Maryniaka, który drzemał za kierownicą służbowego poloneza. Maryniak nic nie odpowiedział, więc Stefański, który siedział obok niego na fotelu pasażera, dźgnął go łokciem w bok.

– Co jest? – Maryniak otworzył oczy, ale niewiele zobaczył, bo na dworze było jeszcze ciemno.

– Zapal jakieś światło i sprawdź, która godzina.

– Aha. – Sierżant potarł zaspane oczy jak budzący się po leżakowaniu przedszkolak. Przez chwilę siedział nieruchomo, jakby zbierał myśli, analizując polecenie dowódcy patrolu.

– Zimno się, cholera, zrobiło – stwierdził, wracając do rozbudzonego świata ludzi pracy, którzy o tej porze nie śpią, by inni mogli spać. Oni czuwali, bo taka była ich robota. A że od czasu do czasu ucieli sobie drzemkę. Co mieli robić w nocy, do tego zimą, na patrolu? Przecież nie będą stali na drodze i zatrzymywali samochodów jadących krajową dziewięćdziesiątką dwójką do granicy i z powrotem. Niby powinni, ale komu by się chciało przeprowadzać kontrolę, jak można pospać sobie w ciepłym samochodzie, nie wychylając nosa na mróz.

– No to włącz silnik. Niech się nagrzej, bo rzeczywiście temperatura trochę spadła – zgodził się ze swoim podwładnym Stefański. Podczas takich nocnych patroli mieli opracowany system. Zatrzymywali auto na skraju jakiejś dróżki dochodzącej do głównej trasy, włączali ogrzewanie na maksimum, a po jakimś czasie, gdy w środku było bardzo ciepło, gasili silnik. Wtedy zasypiali i spali tak długo, dopóki nie obudził ich chłód. Chodziło o to, by na takim patrolu nie spalić za dużo benzyny. Zaoszczędzone w ten sposób paliwo można było sprzedać, bo mimo że sytuacja z zaopatrzeniem od pewnego czasu znacznie się polepszyła i na CPN-ach można było dostać paliwo bez kartek, to i tak zawsze znaleźli się chętni na lewą milicyjną benzynę, tańszą niż ta w państwowym obrocie. Obaj przedsiębiorczy milicjanci zaopatrywali w ten sposób swoich krewnych i znajomych, dzięki czemu ich nielegalna działalność była całkowicie bezpieczna, bo towar kupowali tylko ludzie zaufani.

Sierżant przekręcił kluczyk w stacyjce, a rozrusznik jęknął kilka razy, zanim silnik zaskoczył.

– Akumulator słaby – wyjaśnił kierowca. – Trzeba by na warsztacie co załatwić, bo niedługo będziemy go brać na pych.

– Na warsztacie gówno mają, a i mieć nie będą w najbliższym czasie. Tak mi gadał Stolarek, że części to on nie dostał na wymianę od zeszłego roku i nic nie wskazuje na to, że coś dowiozą. Bieda w milicji, że aż piszczy.

– No wiem. Sam chciałem od niego wykombinować rozrusznik do mojego fiata, ale Stolarek mi powiedział, że ostatni nowy rozrusznik, jaki dostał na warsztat, przyszedł w osiemdziesiątym siódmym i mam kombinować w Poznaniu. Ale jak w Poznaniu, jak ja tam nikogo nie znam...

– 054, odezwij się, odbiór. – Z głośnika radiotelefonu rozległ się głos dyżurnego.

– A ten czego, do cholery, chce? – warknął chorąży, wyczuwając przez skórę problemy.

– Trzeba się dowiedzieć. – Maryniak chwycił popielaty mikrofon. – Ja 054, melduję się.

– Gdzie jesteście?

– Gdzie my, kurwa, jesteśmy?

– Jak gdzie? W lesie? Na patrolu jesteśmy, przy dziewięćdziesiątce dwójce,

– Na patrolu, przy dziewięćdziesiątce dwójce.

– Ale w którym miejscu?

– Dawaj ten mikrofon! – Chorąży przyłożył urządzenie do ust i wcisnął przycisk.

– Albin mówi, co jest, Kaziu?

– Albin, gdzie jesteście?

– Jakies piętnaście kilometrów od Pniew w kierunku na Poznań.

– Dobra, w takim razie włączaj syrenę i jedź na Pniewy. Mamy wypadek osobówki zaraz za Podrzewiem. Jeszcze nikogo tam nie ma. Pogotowie z Szamotuł będzie za pół godziny. Zabezpieczyć i udzielić pomocy jakby co.

– Ale która jest godzina, bo my o siódmej kończymy?

– Za kwadrans siódma. Nic ci nie poradzę. Jeszcze nie mam zmiany. Wykonać!

– Zrozumiałem. – Chorąży odwiesił słuchawkę. – Kurwa, że też musiało nam się przytrafić na koniec roboty!

– Co zrobić? – Sierżant Maryniak wzruszył ramionami i zapalił światła. Wrzucił jedynkę. Wyrobiona skrzynia biegów jęknęła i auto wolno zaczęło toczyć się po leśnej drodze. Po chwili dojechało do skraju asfaltowej jezdni. Przepuścili pędzącego od strony Poznania tira na długich światłach, którego kierowca najwyraźniej sunął przynajmniej z pięćdziesiąt kilometrów za szybko. W normalnych warunkach pognaliby za nim, ale tym razem facetowi się upiekło. Nie mieli czasu na łapanie piratów.

Sierżant włączył światło na dachu i wjechał na drogę. Po chwili byli już za ciężarówką. Kierowca zwolnił, dostrzegłszy w bocznym lusterku milicyjnego koguta. Ale polonez Wyprzedził go i pojechał dalej. Pięć minut później w bladym świetle budzącego się dnia milicjanci dostrzegli na zaśnieżonym polu, jakieś pięćdziesiąt metrów od drogi, auto leżące na dachu. Na poboczu stały dwa inne samochody osobowe. Ich kierowcy palili obok papierosy. Maryniak zatrzymał radiowóz za białym trabantem. Obaj milicjanci natychmiast wyszli z samochodu. Uderzyła w nich fala zimnego powietrza.

– A żeby go szlag trafił – warknął chorąży, wciskając mocniej na głowę swoją czapkę uszanke.

– Kogo? – Zdziwiony sierżant spojrzał na dowódcę patrolu.

– A no tego kutasa, co się tu rozpieprzył – warknął Stefański. – Nie mógł to se spokojnie jechać, gnój jeden? Musiał pędzić jak jaki pojebaniec?

– Nawet szybciej jechał – wtrącił się facet stojący na poboczu z papierosem w zębach, ubrany w czapkę z misia i barani gruby kozuch. – Wyprzedzał mnie, to mi się zdaje, że mógł mieć ze sto dwadzieścia na liczniku, a droga śliska...

– Idziemy, dalej! – ponaglił sierżanta chorąży, nie zwróciwszy specjalnej uwagi na to, co miał do powiedzenia świadek.

– Na pośpiech za późno, panie władzo – odezwał się kierowca fiata, ubrany w skórzaną kurtkę pilotkę i narciarską czapkę z wełny. – My już tam byli. Facet sztywny jak pal Azji. Nie ma co zbierać. Chcieli my mu udzielić pomocy, co nie, panie... – Tu spojrzał na tego od trabanta, a ten natychmiast potwierdził, kiwając głową.

– Skąd to niby wiecie tak dobrze? Może jeszcze się da go sztucznie naoddychać? – Sierżant przypomniał sobie o metodzie usta-usta i zaraz zrobiło mu się niedobrze na myśl o wspólnym oddychaniu z jakimś truposem.

– Ja w wojsku byłem w kolumnie sanitarnej, to z pierwszej pomocy mam przeszkolenie – wyjaśnił ten w kozuchu. – Facet jest załatwiony na ament.

– Jakby tak nie pędził, to by teraz mógł sobie siedzieć w ciepłym i pić piwo, a tak żona czeka, a tu zamiast męża do chaty zapuka milicjant. – Ten w pilotce otarł łzę, która zakręciła mu się w kąciku oka, ale wcale nie z żalu za facetem, ale na myśl o tym, że to on mógłby teraz tu leżeć i stygnąć na mrozie.

– Tak od rana? Rano się nie pije piwa – nie zgodził się z nim były sanitariusz.

– A niby co? Piwo najlepsze na kaca od rana – zauważył właściciel fiata.

Obaj milicjanci jednak nie mieli zamiaru przysłuchiwać się dyskusji świadków. Po to przyjechali na miejsce, żeby na własne oczy zobaczyć, co i jak, i wydać fachową opinię. Znali się na rzeczy, bo w końcu byli z drogówki, więc niejedną kraksę już widzieli. Ta na pierwszy rzut oka nie była inna niż większość wypadków, do których dochodziło na śliskiej drodze.

–Zdaje się, że kierujący pojazdem marki Volkswagen Passat nie dostosował prędkości do warunków panujących na drodze – stwierdził chorąży Stefański, zatrzymując się przy wywróconym do góry kołami aucie. Jego zastępca przykucnął i zajrzał do środka, przyświecając sobie latarką. Kierowca mógł mieć najwyżej trzydzieści lat. Leżał na podbitce dachu auta. Głowy miał wygiętą pod nienaturalnym kątem. Nie trzeba było być wielkim specjalistą od spraw medycznych, by wiedzieć, że wygięcie jest spowodowane skręceniem karku. Sierżant Maryniak z ulgą darował więc sobie sprawdzanie pulsu. Nie lubił dotykać trupów.

– Podczas manewru wyprzedzania na oblodzonej nawierzchni kierujący passatem na zachodniemieckich numerach rejestracyjnych stracił panowanie nad kierownicą i samochód zjechał z drogi. W wyniku... – Chorąży przerwał, by sprawdzić stan faktyczny. – Jak tam, Stefan, facet żyje czy nie żyje?

– Kark skręcony, znaczy się cholera go wzięła. Ale mordę ma jakąś obcą. Znaczy się taką bardziej murzyńską, ino że białą, ale murzyńską.

– Aha, Arab znaczy się. To będzie tak... W wyniku wypadku kierujący pojazdem poniósł śmierć na miejscu. I jak będzie, Stefan? Dobrze se poukładałem raport? Wszystko się zgadza?

Sierżant wstał i spojrzał na kolegę. Pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły jego rumianą twarz, ozdobioną sumiastymi, czarnymi wąsami.

– Łe, no pewnie, że się zgadza. Co ma się nie zgadzać, jak się wszystko zgadza. Ty to jak nikt na komendzie umiesz taki protokół upisać. Mucha nie siada. Ja to bym się pół dnia męczył, żeby tak wymyślić.

– Bo widzisz, trzeba mieć do tej roboty łeb.

– To to ja wiem, ale też trzeba czasem pokombinować, co nie? – Sierżant uśmiechnął się chytrze.

– Że niby co?

– Ano tyle, żeby się nic niepotrzebnie nie zmarnowało – powiedziawszy to, machnął przed chorążym kluczykami wyjętymi ze stacyjki. – Zdaje mi się, że tam w bagażniku jakaś wódeczka się musiała roztrzaskać, bo śmierdzi.

– Jak się roztrzaskała flaszką, to po cholere chcesz tam zaglądać? – Chorąży wzruszył ramionami.

– Na wszelki wypadek, znaczy się służbowo, czy aby jakiej kontrabandy nie przewoził.

– Kontrabandy? Przecież to nie Polak. Na niemieckich blachach ten passat. Oni przecież do nas nic nie przemycają.

Sierżant nie dał się przekonać. Podszedł do bagażnika, włożył klucz i przekręcił. Zamek nie zablokował się podczas wypadku. Kłapa się otworzyła i ze środka wypadło koło zapasowe, metalowa skrzynka na klucze i obszerna sportowa torba. Na śnieg wysypało się też trochę potłuczonego szkła i kilka całych butelek wódki.

– Nie mówiłem? – ucieszył się Maryniak. – Jak z peweksu, niemiecka chyba. Trzeba schować, bo przecież nie zostawimy tym szuszwolom z pomocy drogowej. Ta torba też się nada. – Pochylił się i chwycił za błyskawiczny zamek. Pociągnął go i już chciał wyrzucić zawartość na śnieg, przekonany, że wewnątrz są tylko jakieś ubrania... – Jezus Maria – jęknął, włożywszy dłoń do środka.

– Co, jeszcze jeden trup? – zapytał chorąży, podchodząc szybko do kolegi.

– O ja pierdolę!

– Co jest, do cholery...?

– Patrz się do środka! – Sierżant skierował strumień światła na torbę.

– O Jezusie Nazareński! – wyszeptał chorąży, zapominając całkowicie o swoim świeckim światopoglądzie wynikającym z przyjęcia zasad dialektyki marksistowsko-leninowskiej, której uczył się na kursach zaraz po rozpoczęciu służby w Milicji Obywatelskiej. No ale jak mógł inaczej zareagować człowiek, nawet w stopniu chorążego, na widok całej torby wypełnionej po brzegi dolarami, człowiek, którego raz na rok stać było na

zakup paru docłów od cinkciarza i wydanie ich na świąteczne zakupy w peweksie. To, co było w torbie, wystarczyłoby mu na takie zakupy zapewne przez najbliższych kilkaset lat.

Poznań

Piątek

3 marca 1989 r.

Godzina 13.30

Zadzwonił szkolny dzwonek i nim zdążył wybrzmieć jego dźwięk, drzwi od budynku się otworzyły i ze środka zaczęła wylewać się kolorowa rzeka dzieci. Kiedy dyżurująca nauczycielka zdołała dotrzeć do dolnego holu, by jako tako uporządkować ruch przy wyjściu, już kilkoro najmłodszych uczniów z pierwszych klas zostało stratowanych przez roślących ósmoklasistów. Oni przecież musieli być pierwsi na dworze, a młodzi mogli sobie jeszcze chwilę poczekać. W końcu nie mieli tylu spraw na głowie, co ich starsi koledzy. Skończył się szkolny tydzień i uczniowie mieli przed sobą pełne dwa dni wypoczynku. Do tego dochodziło jeszcze dzisiejsze popołudnie i wieczór, czyli czas, który trzeba było wykorzystać najlepiej, jak się tylko dało, tym bardziej, że zrobiło się ciepło, a wiosenne słońce pracowicie topiło resztki śniegu, który jeszcze gdzieniegdzie próbował walczyć z coraz śmielszymi słonecznymi promieniami.

– Co się tak grzebiesz, Wojtas? – rzucił przed siebie piegowaty blondyn, kołysząc się na stalowej balustradzie odgradzającej chodnik od ulicy.

– Tych gówniarzy tyłu przy drzwiach się napchało... – wyjaśnił zapytany, który właśnie przecisnął się przez tłum, torując sobie drogę masą swojego piętnastoletniego i już całkiem dobrze umięśnionego ciała.

– No to możemy lecieć, co? – Siedzący obok blondyna szczupły brunet spojrzał najpierw na Wojtasa, a potem na kumpla obok.

– Pewnie, że możemy. Tylko dokąd idziemy, Mariusz? – zainteresował się Wojtas, spoglądając na bruneta.

– Najlepiej to do parku.

– Jasne, że do parku Wodziczki – przytaknął blondyn, którego koledzy nazywali Żwirkiem, bo swoim wyglądem przypominał krasnalą z czechosłowackiej bajki. – Nie będę

nigdzie dalej łąził, jak mamy cały park pod ręką – powiedziawszy to, wskazał głową kierunek.

– A w parku to niby gdzie? – zapytał Wojtas, który był głównym organizatorem wyprawy. Na ostatniej lekcji pokazał obu kolegom wyciągniętą z torby paczkę peweksowskich cameli. Wiedział dobrze, że Mariusz i Żwirek natychmiast dołączą do niego, choć żaden z nich nie był nałogowym palaczem. Popalali tylko od czasu do czasu, gdy udało im się zorganizować kilka fajek podprowadzonych rodzicom. Ale to zawsze były polskie papierosy. Peweksowskich jeszcze żaden nie palił, więc na widok paczki z wielbłądem chłopakom zaświeciły się oczy.

– Chodźmy nad Bogdankę. Tam nad brzegiem od strony naszej budy nikt nie łązi i nie będzie nas widać – wyjaśnił Mariusz. Wiedział, co mówi, bo mieszkał w piętrowym przedwojennym budynku stojącym nieopodal szkoły przy ulicy Drzymały. Jego dwaj kumple mieszkali dalej w bloku Nad Wierzbakiem, więc on miał najlepsze rozeznanie w parkowej okolicy.

– No to nie ma co czekać – stwierdził Żwirek, zeskakując z barierki. – Idziemy! – Ruszył dziarskim krokiem przed siebie. Jego koledzy poszli za nim, odpychając łokciami napierających malców z trzeciej klasy.

Przeszli kilkadziesiąt metrów ulicą Drzymały, by po chwili skręcić w prześwit między jednopiętrowymi domami. W tym pierwszym po prawej mieszkał Mariusz. Z pewną obawą spojrzął na kuchenne okno na parterze. Wiedział, że o tej porze mama szykowała obiad. Dlatego na wszelki wypadek przyśpieszył kroku. Mogła go przecież zauważyć i zawołać do domu. I wtedy z palenia byłyby nici. Na szczęście udało im się przemknąć. Przeszli więc szybko przez wydeptane i wyjeżdżone kołami samochodów podwórko, kierując się na ścieżkę prowadzącą wzdłuż ogródków. Gdyby to była późna wiosna, mogliby spróbować zapalić nawet tutaj, jednak o tej porze krzaki i drzewa nie wypuściły jeszcze liści, więc musieli pójść trochę dalej.

Kilka minut później dotarli nad brzeg wąskiej rzeczki o niezbyt bystrym nurcie. Na niewielkiej polance śmierdziało wilgotnym mułem, zgnilizną i szczynami. Okoliczni mieszkańcy wyrzucali tu wszystko, co nie było przydatne w domu – stare deski, gruz poremontowy, papiery i potłuczone butelki. Tych ostatnich oczywiście jak zawsze w takich ustronnych miejscach było najwięcej, bo szkło porzucali tu również menele, którzy już dawno zawłaszczyli sobie ten dziki rejon. Oni spotykali się tu od rana, zaraz po otwarciu pobliskiego sklepu spożywczego, w którym kupowali jabole, a potem z winem w kieszeni przychodzili nad rzeczkę na poranną degustację. Oczywiście nie zostawiali tu butelek, bo były zbyt cenne i

można je było oddać do sklepu za zwrotem kaucji. Porzucali niepotrzebne już naczynia do picia, czyli słoiki i musztardówki, do których rozlewali przyniesiony alkohol. Zostawiali po sobie także jeszcze coś innego – charakterystyczny smród odchodów. Pracowały na ten odór przez długie lata całe rzesze pijaków przetwarzających na śmierdzące siuski wino słodkie owocowe, piwo i denaturat.

Teraz poranni pijacy szczęśliwie odurzeni odsypiali ciężką pracę w swoich domowych legowiskach, by z nowymi siłami móc powrócić do ulubionych alkoholowych zajęć późnym popołudniem. Dlatego w parku było pusto.

– Ale tu wali – jęknął Żwirek, marszcząc przy tym nos.

– Chodźcie bliżej rzeczki, bo tam tak nie capi. – Mariusz wskazał na niewielką skarpe. Tam pijacy się nie zapuszczali, bo picie nad samą wodą mogło się skończyć przypadkową kąpielą. – A tak w ogóle to gadaj zaraz, Wojtas, skąd masz takie ekstra fajki?

Chłopak uśmiechnął się zadowolony. Dobrze wiedział, że zrobi na kolegach wrażenie. Cameli nie można było dostać w kioskach Ruchu. Tam sprzedawano tylko krajowe wyroby tytoniowe. Te, które zorganizował, pochodziły wprost z peweksu.

Włożył rękę do kieszeni kurtki i wydobyl z niej żółtą paczkę z wielbłądem.

– Bez filtra – stwierdził tonem eksperta. – Jak są bez filtra, to znaczy się, że mocniejsze.

– Jak mocniejsze, to lepsze – rzucił kolejny ekspert, Mariusz.

– Ale skąd żeś je wytrzasnął? – niecierpliwił się Żwirek.

– Jak skąd? No wiadomo przecież, że peweksowskie fajki to są z peweksu. Kupiłem na Grunwaldzkiej, tam koło Targów Poznańskich.

– Chyba na Świerczewskiego? – Mariusz poprawił kolegę. Wiedział, co mówi, bo był kilka razy w tym peweksie. Ostatnio w zeszłym roku w sierpniu, kiedy mama kupowała mu dzinsy Levi'sa za osiemnaście dolarów. Pamiętał, że przestrzegła go wtedy: „Masz na nie uważać, żebyś ich czasem nie podarł, bo drugich ci nie kupię. A jak je podziurawisz, to będziesz z dziurami do końca roku szkolnego łąził”.

Spojrzał na swoje kolana. Prawe, rozerwane podczas bójki w ubiegłym miesiącu, było teraz starannie zaszyte. Mama zrobiła, co mogła, ale i tak widać było, że spodnie się rozdarły. Jednak nie miał wyjścia, musiał chodzić w pozszywanych, licząc na to, że uszkodzenie nie rzuca się za bardzo w oczy.

– Jak Świerczewskiego? Głupi jesteś! – Wojtas wiedział swoje. W końcu w tym sklepie był wczoraj. – Peweks jest na Grunwaldzkiej.

– Ale po co ta mowa, chłopaki? – odezwał się Żwirek, który nie lubił tracić czasu na jałowe dyskusje. – Jedna i druga ulica idą między starym wejściem na targi a Bałtykiem i

rozdzielają się dopiero przy pomniku Kościuszki. Co za różnica, przy której jest peweks? Grunt, że Wojtas kupił tam camele. No, otwieraj wreszcie tę pakę, bo już się nie mogę doczekać, żeby się sztachnąć tym cudem!

Obaj sprzecząc się jeszcze przed chwilą chłopcy natychmiast zapomnieli o kłótni. Wojtas pod czujnym spojrzeniem obu kolegów zaczął z namaszczeniem zdejmować celofan z paczki, a potem rozrywać srebrny papierek. Gdy ukazały się wreszcie papierosy, przysunął je do nosa i wciągnął aromatyczny zapach.

- Ale pachną.
- Żwirek, dawaj ogień.
- No, dalej, szybko podpalaj!
- O ja pierdziele, ale aromat! Khy, khy!
- To są prawdziwe fajki, khy, nie to co popularne.
- Popularne się mogą schować, khy, khy, khy!
- Nawet carmeny się mogą schować przy nich.
- Carmeny są do dupy.
- W ogóle polskie fajki są do dupy.
- Amerykańskie to amerykańskie.
- No, superanckie, khy, khy!
- Miodzio, khy, khy, jeszcze takich nie jarałem.
- Ja, khy, khy, też.
- Dajcie ćmika, to wam coś pokażę.

Wszyscy trzej jak na komendę spojrzeli w prawo. Dwa metry od nich stał jakiś niechlujny facet z rozczochranymi siwiejącymi włosami i gębą napuchniętą i obtartą z prawej strony. Widać całkiem niedawno musiał sprawdzać nią wytrzymałość jakiejś chropowatej powierzchni. Ubrany był w szarą jesionkę, czarne spodnie, które już dawno straciły kant, i zimowe buty Relaksy, które czas swojej świetności przeżyły zapewne w stanie wojennym.

- Co pokażesz? – zainteresował się Żwirek.
- Pewnie gołą dupę. – Mariusz nie miał najwyraźniej ochoty na rozmowy z kloszardem.
- Dajcie ćmika, to wam pokażę, gdzie jest trup.
- Jaki trup? – Wojtas poderwał się na równe nogi, bo z natury był ciekawskim typem.
- Jak jaki? Normalny trup, co nie żyje. Jeszcze go nikt nie znalazł, ale ja byłem pierwszy. Zabity na ament, nieboraczek. Dajcie fajeczkę i go wam pokażę.
- Chłopak sięgnął po papierosy, wydobyl z paczki jednego i podał lumpowi.
- Camele! – uśmiechnął się obdarowany. – To jeszcze ino ogień i idziemy na wycieczkę.

Żwirek podał mu zapalniczkę. Mężczyzna się zaciągnął, przymykając przy tym oczy z rozkoszy.

– Kiedyś się nie takie paliło – stwierdził, a potem, obrzuciwszy trójkę młodzieńców nieco szklistym spojrzeniem, skinął na nich głową.

– No, to chodźta za mną! – Odwrócił się i ruszył ścieżką wzdłuż brzegu rzeczki. Nie musieli iść długo. Jakieś trzydzieści metrów dalej, w krzakach porastających skarpe, dostrzegli najpierw białą koszulę, później dziwnie podwinięte nogi, a na koniec niezwykle bladą twarz młodego mężczyzny.

Zaciekawieni minęli swojego przewodnika i podbiegli do trupa. W czole umarlaka widać było jedynie małą dziurkę, za to z tyłu, tam gdzie powinny być włosy, zobaczyli krwawą, gąbczastą masę...

Pierwszy nie wytrzymał Żwirek. Odwrócił się za siebie i zwymiotował. Mariusz i Wojtas po sekundzie poszli w jego ślady.

Kłozard zaciągnął się papierosowym dymem, a potem spojrzał z obrzydzeniem na rzygowiny.

– Na stołówce dawali wam dzisiaj rybkę! – stwierdził złośliwie, a potem odwrócił się i poszedł przed siebie wolnym krokiem. Piątkowe popołudnie nie mogło mu się przecież zmarnować przez jakiegoś truposza. Trzeba było pokombinować, gdzie by tu znaleźć coś do picia. Życie w końcu dawało tyle okazji, które pojawiały się przed obrotnym człowiekiem na wyciągnięcie ręki. Tak choćby jak ten portfel należący do gościa z odstrzelonym łbem, wypełniony po brzegi dolarowymi banknotami. Lump spojrzał jeszcze raz na chłopaków i uśmiechając się do siebie, skierował się w stronę parku Wodniczki.

– W życiu to jednak trzeba mieć farta – powiedział sam do siebie, wyciągając z paczki papierosa. Podniósł camele z ziemi po tym, jak chłopak wypuścił je z dłoni, zajęty wymiotowaniem. Jemu się przydadzą, a oni, szkoda gadać, tacy z nich palacze.

Sobota

4 marca 1989 r.

Godzina 8.15

– No to jeszcze raz i bez żadnych kantów. Od początku do końca powiedz, jak to było?

– Normalnie. Poszliśmy i ten trup tam leżał. A potem Żwirek, znaczy się Darek Kujawa, puścił pawia, no i ja też, znaczy za chwilę – wyjaśnił najdokładniej, jak potrafił, Mariusz Stolarek.

– A kto mu przeszukał kieszenie? – zapytał kapitan milicji.

– Jakie kieszenie?

– No normalne, w spodniach i marynarce.

– On nie miał marynarki, tylko w koszuli był.

– Marynarka leżała w krzakach kilka metrów od miejsca, gdzie leżał trup.

– Myśmy marynarki w ogóle nie widzieli.

– To niby jak mogła znaleźć się w krzakach, jak krzaki były w pewnej odległości od ciała. Sama sobie tam przeszła?

– To pewnie ten klosz – przypomniał sobie coraz bardziej zdenerwowany Mariusz. Nie dość że zawiadomili milicję o swoim odkryciu, to „w nagrodę” musieli się stawić o ósmej rano w komendzie miejskiej na placu Wolności i teraz od jakiegoś kwadransa w kółko powtarzać to samo. Tak jakby to oni zabili tego faceta nad Bogdanką.

– Jaki klosz? – Milicjant najwyraźniej nie znalazł tego określenia.

– Klosz, znaczy się kloszard. Tak się mówi o bezdomnych śmierdzących szuszwolach.

– Aha, klosz – powiedział głośno kapitan i zapisał coś w zwykłym szkolnym zeszytce w szarej okładce. Tomasz Marjański, kapitan Milicji Obywatelskiej miał w zwyczaju zapisywać co ciekawsze określenia, zwroty czy wyrażenia. Wszystko dlatego, że ów oficer miał pewną pasję. Prócz zawodowej pracy w milicji pasjonował się literaturą. I to nie byle jaką. Marjański uwielbiał kryminały milicyjne. Czytał je namiętnie i do tego jeszcze sam pisał. Stworzył książkę, w której pokazywał milicjantów ze wszystkimi wadami i zaletami, jakimi charakteryzowali się niewyidealizowani funkcjonariusze, jego powieść różniła się więc od tych milicyjnych laurów i Marjański doszedł do przekonania, że jest to nowy gatunek kryminalny, któremu nadał nazwę „powieść neomilicyjna”. Książka milicjanta spotkała się z przychylnymi opiniami recenzentów z wydawnictwa Iskry, które opublikowało słynną serię powieści kryminalnych „Ewa wzywa 07”, ale jak dotąd nie doczekała się jeszcze wydania. Redakcja poinformowała go, że być może ukaże się w listopadzie lub grudniu tego roku, a jeśli to się nie uda, to w dziewięćdziesiątym już na pewno. Więc kapitan Marjański, twórca nowego gatunku literackiego, czekał cierpliwie od lat na swój debiut, nie tracąc czasu. Postanowił pójść za ciosem i zaczął pisać następny kryminał, ale jakoś mu nie szło. Druga jego powieść miała już nawet tytuł *Milczenie jest srebrem* i zarys intrygi, ale nie wiedzieć czemu cały rękopis zawierający prawie osiem stron skonfiskowała mu Służba

Bezpieczeństwa w osiemdziesiątym szóstym. Nie powiedzieli, dlaczego zabierają jego pracę, ale zapewnili, że wkrótce oddadzą wszystko co do kartki. Nie oddali, mimo że Marjański wydzwaniał do kolegów z resortu. Nikt nie potrafił mu nic powiedzieć. Dlatego postanowił, że napisze zupełnie nową historię, i teraz szukał pomysłu. Pelen zapалу notował różne zwroty i pojęcia, które mogłyby mu się przydać. Tak jak ten „klosz”.

– On nas tam zaprowadził – z zamyślenia wyrwał milicjanta głos chłopaka.

– Co?

– No ten klosz.

– Co z tym kloszem?

– On przyszedł do nas, jak żeśmy siedzieli nad Bogdanką.

– Jaką Bogdanką?

– No tą rzeczką. Tak się rzeczka nazywa, Bogdanka. Co, pan nie jest z Poznania?

Marjański zrobił groźną minę. Co mu jakiś gówniarz będzie wytykał jego niepoznaność. Nie był z Poznania. Był elementem napływowym, który osiedlił się tu w osiemdziesiątym pierwszym roku zaraz po skończeniu szkoły oficerskiej w Szczytnie, ale po tylu latach mieszkania w stolicy Wielkopolski, od dwóch lat na pięknym i nowoczesnym osiedlu Rataje, czuł się już poznaniakiem pełną gębą. A że nie znał jakiejś zaszranego Bogdanki? Grunt, że znał rzekę Wartę, którą przekraczał dwa razy dziennie, jadąc do pracy i z powrotem zielonym tramwajem przez most Juliana Marchlewskiego.

– Co się wymądrzasz, gówniarzu?

– Ja tylko...

– Odpowiadać na pytania!

– Dobrze, proszę pana.

– No to co z tym kloszem?

– Siedzieliśmy nad rzeczką...

– I piliście alkohol?

– Nigdy w życiu. My jeszcze nie pijemy.

– To co tam robiliście? Tylko całą prawdę mi tu mówić, bo i tak milicja o wszystkim się dowie.

– No my żeśmy tam palili ćmiki.

– Ładne mi rzeczy. Ile wy macie lat, że się za palenie bierzecie?

– Piętnaście, bo my jesteśmy z ósmej klasy.

To co, jak ósma to można palić? Pasem na gołą dupę powinniście dostać za palenie. I co, paliliście i...

– I wtedy ten gościu przyszedł do nas i powiedział, że jak go poczęstujemy fajką, to nam pokaże trupa.

– I co?

– No to żeśmy poczęstowali, żeby zobaczyć. Pan rozumie, nie co dzień się widzi truposza. Każdy by chciał zobaczyć.

– I co klosz? – Marjańskiemu wyraźnie spodobało się nowe określenie. – Co klosz zrobił?

– Zaprowadził nas na miejsce, a tam, jak żeśmy już przyszli, to żeśmy się porzygali, jak żeśmy go zobaczyli, a potem ja poleciałem do szkoły dzwonić na milicję. No i milicja przyjechała i nas spisała, i kazali się stawić na ósmą rano dzisiaj, to żeśmy się stawili.

– Aha, dobrze, dobrze.... – Marjański pokiwał głową, przez chwilę zastanawiając się, jakie zadać kolejne pytanie temu chłopakowi. W przesłuchiowaniu nie miał wielkiego doświadczenia. Przez pierwsze pięć lat swojej służby w milicji nikogo w ogóle nie przesłuchiwał, bo pracował na stanowisku oficera dyżurnego w komendzie miejskiej. Dopiero na początku osiemdziesiątego siódmego przeniesiony został najpierw do obyczajówki, a w tym roku w końcu tam, gdzie zawsze chciał pracować, czyli do wydziału dochodzeniowo-śledczego. I wtedy kapitan Marjański poczuł, że dane mu będzie rozwinąć skrzydła, ale jak na razie nie wpadła mu w ręce żadna poważna sprawa. Same kradzieże z włamaniem albo pobicia. No i wreszcie wczoraj na swoim dyżurze otrzymał meldunek o trupie nad rzeką. Zaraz ruszył na miejsce z ekipą techniczną, zdeterminowany i zdecydowany, żeby poprowadzić tę sprawę. Postanowił, że zrobi wszystko, by przekonać podpułkownika Stachurę, swojego bezpośredniego szefa, żeby śledztwo powierzył właśnie jemu, a nie majorowi Majchrzakowi, który w wydziale niemal etatowo zajmował się wszystkimi morderstwami. Na szczęście zarówno szef, jak i Majchrzak sobotę i niedzielę mieli wolną, więc Marjański postanowił, że te dwa dni wykorzysta jak najbardziej intensywnie, by w poniedziałek przedstawić szefowi wyniki swoich poszukiwań.

– No to jak wyglądał ten... no, jak mu tam, no, klosz?

Chłopak zmarszczył brwi, tak jakby chciał pokazać, że nad czymś bardzo intensywnie się zastanawia. Po chwili uniósł pochyloną dotąd głowę i spojrzał na milicjanta.

– No wyglądał jak taka normalna łachudra.

– Czyli że jak?

– Na sobie miał taki szary płaszcz, ale nie przeciwdeszczowy, ale taki z materiału...

– Jesionkę?

– O właśnie, że jesionkę, i miał na niej pasek, taki jak wojskowy, gruby pasek, brązowy... Na nogach buty zimowe, ale stare, wyglądały, jakby się miały zaraz rozlecieć, no i jeszcze czarne portki.

Marjański zapisał każdy szczegół, bo to akurat mogło się przydać. Oczywiście nikt nie będzie szukał jakiegoś bezdomnego, bo kto by tam chciał zajmować się jakimś przybłądą, ale dla spokoju sumienia w akta sprawy trzeba było taki opis wpiąć, żeby było jasne, że śledczy niczego nie zaniedbał. Pomyślał więc jeszcze, że na wszelki wypadek zapyta o facjatę tego faceta.

– A twarz tego człowieka, czy możesz opisać jego twarz?

– Pewnie, że mogę. Twarz to on miał normalną, znaczy się oczy i nos normalne, tyle że pod oczami worki takie jak od niewyspania, a pod nosem wąsy, ale nie takie porządne, jak ma pan kapitan, ale takie długie...

Milicjant chrząknął zadowolony. Wąsy, które nosił, były jego prawdziwą dumą. Gęste i mocne, ale starannie i równo przycięte, tak że ani na milimetr którykolwiek włoszek nie miał prawa przekroczyć linii górnej wargi. Codziennie rano podczas golenia sprawdzał stan swojego zarostu i gdy tylko gdzieś pojawiała się jakakolwiek nierówność, natychmiast niwelował ją za pomocą specjalnych, fryzjerskich nożyczek, które kupił sobie w NRD podczas wycieczki milicyjnej do Eisenhüttenstadt.

– ...no a głowę to miał całkiem zarośniętą. No i jeszcze włosy długie, ale nie jak hipis jakiś, ale jak niemyty brudas.

– Znaczy ogólnie taki śmierdziel? – zauważył milicjant.

– Nie, śmierdziec, to on nie śmierdział. Tam wszystko śmierdzi naokoło, ale on to nie.

– No to chyba mam już wszystko. – Zadowolony Marjański odłożył długopis na biurko i pchnął go w stronę siedzącego naprzeciw chłopaka. – Podpisz w takim razie i możesz iść do domu.

Mariusz poderwał się z krzesła i natychmiast złożył pod dokumentem swój niewyrobitony jeszcze i nieporadny podpis.

– Daj teraz wezwanie, żebym ja mógł je podpisać, bo inaczej nie wypuszczą cię z budynku.

Chłopak sięgnął do kieszeni i podał kapitanowi zmięty papier. Marjański rozprostował go na biurku, podpisał się, a podając go Mariuszowi, uśmiechnął się przyjacielsko, tak jak kapitan Żbik do zaprzyjaźnionych harcerzy. Postanowił, że musi mu się jakoś zrewanżować za tę jego uwagę o wąsach.

– Muszę przyznać, że jesteś bystry. Dobrze opisałeś tego klosza. Masz dobrą pamięć.

– He, he! To łatwe było, panie kapitanie.

– Tak? A niby to dlaczego?

– Bo on tak przez całą zimę łązi w tych samych lompach.

– Kto?

– No ten klosz. Wózkowy Mietas nie ma innych ciuchów, to ciągle tak samo ubrany jest...

– Zaraz, zaraz, jaki wózkowy, jaki Mietas?

– No ten szuszwol. – Chłopak pokręcił głową, jakby zmuszony był tłumaczyć coś zupełnie oczywistego jakiemuś kompletnemu idiocie. – Wszyscy na niego wołają Wózkowy, bo on ma taki wózek, co z nim jeździ i zbiera złom i makulaturę, a później to sprzedaje w skupie. Wczoraj nad rzeką łąził bez wózka, ale zawsze ma ten wózek. No i on na imię ma Mietas...

– A skąd ty niby to wszystko o nim tak dobrze wiesz? – Kapitan wszedł mu w słowo.

– No jak skąd? Przecież ten szuszwol Mietas Wózkowy to on mieszka na mojej ulicy.

– Na jakiej ulicy'? Znaczą się śpi na ulicy?

– Gdzie tam! Na ulicy, to znaczą się, że u mnie na Drzymały mieszka pod szóstym...

Milicjant z sykiem wypuścił powietrze. No teraz miał już punkt zaczepienia. Skoro wiedział, gdzie szukać tego, który pokazał chłopakom zwłoki, sprawa wydawała się prosta. Jeszcze dziś ten człowiek jako główny podejrzany trafi za kratki i dzięki temu w poniedziałek kapitan będzie mógł pochwalić się swojemu szefowi, podpułkownikowi Stachurze, pierwszym sukcesem, a to mogło oznaczać tylko jedno: będzie mógł dalej zajmować się tą, jak mu się zdawało, rozwojową sprawą. I wcale nie przeszkadzało mu, że wcześniej ten kloszard wydawał się nieistotny. Skoro sam włożył mu w ręce, trzeba będzie go wykorzystać w roli elementu podejrzanego.

Godzina 10.00

Peweks przy Świerczewskiego otwierano punktualnie o dziesiątej. Małgosia Kasprzak, siedemnastoletnia uczennica technikum zawodowego w klasie magazynier-sprzedawca, chwyciła pęk kluczy i wolnym krokiem podeszła do podwójnych, przeszklonych drzwi. Na ulicy niewiele się działo. O tej porze jeszcze nie było wielkiego ruchu, a i do peweksu

przychodziło niewielu klientów. Na zewnątrz na chodniku stali dwaj cinkciarze dobrze znani Małgosi. Ten młodszy miał na imię Włodek, a na starszego mówili Zapała, bo strzygł się na zapalkę. Teraz nie było tego widać, bo miał na głowie futrzaną czapę. Za to Włodek, jak wielu młodych ludzi, nic sobie nie robił z chłodu i paradował z nieprzykrytą niczym bujną czupryną. Małgosi to wcale nie dziwiło, bo i ona nie zakładała czapki, odkąd tylko poczuła, że zima zaczyna ustępować i na dworze robi się cieplej. Nie lubiła chować swoich złocistych długich włosów. Żadna z jej koleżanek nie miała przecież warkocza do samego tyłka.

Dziewczyna włożyła klucz do zamka i przekręciła dwa razy. Obaj cinkciarze, usłyszawszy dźwięk otwieranych drzwi, odwrócili się jak na komendę. Włodek na widok Małgosi uśmiechnął się szeroko i posłał jej całusa. Odpowiedziała mu tym samym. Dobrze się dla niej zaczynał ten dzień. Pogoda zrobiła się wiosenna, a i ona czuła jakoś w sercu wiosnę. Może po tym uśmiechu Włodka? Musiała przyznać, że chłopak był bardzo przystojny, a do tego jeszcze widać było na pierwszy rzut oka, że miał pieniądze, bo ubierał się w peweksowskie ciuchy. Wiadomo, jak to cinkciarz.

Za to facet, który zmierzał do sklepu, nie wyglądał na bogacza. Wręcz przeciwnie, śmierdziało od niego z daleka biedą. Nie był to jednak odór niemytego ciała, o czym Małgosia przekonała się od razu, gdy tylko otworzyła szerzej drzwi. Facet wszedł do środka, ale nie wpłynęła za nim śmierdząca chmura zgęstniałego powietrza. Nic z tych rzeczy, czuć było tylko uliczne spaliny. Ubrany był w byłe jaką jesionkę i buty śniegowe. Długie włosy miał zebrane w kucyk, a brodę przystrzyżoną. Nie wyglądał jak klient peweksu, a raczej jak ktoś, kto zaopatruje się w sklepie monopolowym i to nie w wódkę, ale w zwykłe jabole.

Mężczyzna podszedł do lady działu kosmetycznego, przez chwilę przyglądał się kolorowym buteleczkom, by zaraz ruszyć w kierunku stoisk z odzieżą. Małgosia, która dziś pracowała na odzieżowym, obserwowała go z zaciekawiona. Postanowiła przyjrzeć mu się z bliska, bo wyczuła podskórnie, że może z tego wyniknąć jakaś draka. Może się okazać, że złapie go na gorącym uczynku, gdy będzie jakiś towar wkładał do kieszeni...

– Proszę pani... – Klient obdartus zwrócił się nieśmiało do Joli Walkowiak, tlenionej blondynki o kręconych lokówką włosach, która układała na półce dżinsowe koszule. Kobieta odwróciła się i obrzuciła go niechętnym spojrzeniem.

– Zaraz, robię coś przecież.

– Ja pomogę – zaoferowała Małgosia, która podeszła do starszej i bardziej doświadczonej koleżanki. Normalnie, za nic w świecie sama z siebie nie zaproponowałaby pomocy. Ale w tej sytuacji wołała być w tym miejscu, żeby kierowniczka czasami nie odwołała jej do innej roboty.

Tymczasem w sklepie pojawili się już inni klienci. Zaczynał się normalny dzień pracy, choć ten był na szczęście dla sprzedawczyń zdecydowanie lepszy, bo w sobotę pracowało się tylko do czternastej. Jeszcze więc kilka godzin i będzie można zacząć weekend...

– Tak, słucham! – burknęła opryskliwie Jola, patrząc niezbyt przychylnie na namolnego klienta.

– Poproszę dzinsy Levi'sa, koszulę dzinsową, kurtkę dzinsową też Levi'sa, adidasy białe, do tego jeszcze taką czapczkę z daszkiem, o, tę czerwoną... i jeszcze... Albo nie, jeszcze to się zobaczy później. Na razie niech pani da to wszystko, co powiedziałem.

Jola aż otworzyła usta ze zdumienia. Owszem, zdarzały się w peweksie sytuacje, że przychodzili tu ludzie, którzy ubierali się od stóp do głów podczas jednych zakupów. Jednak były to zawsze zadbane osoby w porządnym ciuchach. Tymczasem po raz pierwszy widziała, żeby ktoś taki jak ten tu...

– Spodnie w pasie osiemdziesiąt – wyjaśnił klient, który widząc brak reakcji sprzedawczynie, doszedł do przekonania, że ta nie ma pojęcia, jaki rozmiar dla niego wybrać. – A, i pasek jeszcze do tych porów niech pani da. Taki z tą dużą klamrą – wskazał na wiszącą na wieszaku szeroki kowbojski pas.

Sprzedawczynie wreszcie oprzytomniała. Odwróciła się plecami do klienta i zaczęła nerwowo przerzucać spodnie na półce.

– Ja pani pomogę – odezwała się Małgosia, kolejny raz proponując swoje usługi. Jola spojrzała na nią zdziwiona, ale zaraz skinęła głową.

– Weź, no, wyszukaj wszystko, co ten chce, i podaj, bo ja muszę na chwilę wyjść.

Dziewczyna, mimo że była tu na praktykach dopiero od miesiąca, bo zgodnie z harmonogramem szkolnym praktyczna nauka zawodu zaczynała się w trzeciej klasie szkoły zawodowej od drugiego semestru, już dobrze zdążyła się zapoznać z całym asortymentem. Zależało jej na pracy w peweksie, dlatego chciała, żeby kierowniczką zobaczyła, jak się stara, i doceniła jej zaangażowanie. W końcu nie trafiał tu byle kto. Trzeba było mieć dobre plecy, żeby się znaleźć w takim sklepie na praktykach, nie mówiąc już o etacie. Małgosia na szczęście miała niezłą rekomendację. Brat jej ojca, który był wojskowym w szkole pancерnej, miał dobrą znajomą bufetową w tej właśnie szkole. Bufetowa natomiast miała wujka, który pracował w Polmozbycie na Jackowskiego jako zastępca kierownika. Taki zastępca mógł dużo, a nawet więcej, jeśli się rozchodzi o przydział auta, czyli mógł przydzielić lepsze albo gorsze, a wiadomo, że każdy, kto odbierał samochód z przedsiębiorstwa motoryzacji, chciał wyjechać jak najlepszym. Takie auto, czyli małego fiata, chciała mieć Jagoda Witka, kierowniczką peweksu przy Świerczewskiego. Musiała więc przyjąć praktykantkę, jeśli jej

maluch miał wyjechać z salonu bez żadnych usterek. Na tym jednak plecy Małgosi się kończyły, bo przyjęcie to jedno, a załapanie się na stałe do roboty to drugie. Dlatego dziewczyna chciała się wykazać. Uczyła się więc po nocach angielskiego, by móc rozmawiać z obcokrajowcami, i szło jej to całkiem nieźle, bo w ciągu miesiąca nauczyła się już podstawowych zwrotów, takich jak „senkju”, „jes”, „no” oraz liczebników do dziesięciu. W ten sposób mogła się dogadać z najbardziej wymagającym klientem zagranicznym, bo wystarczyło, że do liczebnika dodawała słowo dolar i kupujący od razu wiedział, o co jej chodzi. Tego tutaj na szczęście nie trzeba było obsługiwać po angielsku. Rozumiał po polsku bez problemów.

– Spodnie, koszula, kurtka i buty numer czterdziesty trzeci, i jeszcze pasek z metalową klamrą. Razem to będzie pięćdziesiąt siedem dolarów – powiedziała, kładąc wszystko na ladę. Myślała, że gdy powie, ile to kosztuje, facet natychmiast padnie trupem, ale on tylko się uśmiechnął i wskazał na pobliski dział monopolowy.

– Jeszcze niech pani da butelkę tego łykacza Johnnie’ego Walkera, dwie flaszki poloneza, sześć piw heinekena w puszcze i wagon cameli. A ja pójdę se z lompami do przymierzalni – powiedziawszy to, mrugnął do Małgosi, uśmiechając się jednocześnie, a potem zgarnął ubrania z lady i poszedł je przymierzać.

Młoda sprzedawczyni jeszcze przez chwilę stała oniemiała, dopóki nie przywrócił ją do rzeczywistości kuksaniec zadany łokciem w bok. Niezbyt mocny na szczęście, ale na tyle wyraźny, że dziewczyna mało nie krzyknęła. I dobrze zrobiła, bo obok niej stała sama kierowniczką, pani Jagoda, posągowa brunetka o wielkich piersiach, w której kochali się wszyscy cinkciarze, ale ona z byle kim się nie zadawała.

– I co, wszedł do przebieralni? – zapytała, a w głosie jej dało się wyczuć pewną nutę nerwowości.

– No, i zabrał pory, koszulę i kurtkę... a i jeszcze adidaszki białe, i pasek.

– A to złodziej jeden – warknęła kierowniczką.

– Tak podejrzewałam, ale nie byłam pewna. – Małgosia, choć pełna złych przeczuć, nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała od przełożonej. Pierwszy raz w życiu miała do czynienia z prawdziwym złodziejem w akcji. Nie żeby wcześniej nie widywała ludzi, którzy kradną, bo takich było wkoło pełno, ale takiego, co to na bezczelnego wchodził akurat tu do peweksu i chciał ukraść dzinsy, to pierwszy raz w życiu miała okazję zobaczyć.

– Najprawdziwszy na świecie – zapewniła ją kierowniczką, kładąc delikatnie swoją wypielęgowaną dłoń na ramieniu uczennicy. – Tacy gnoje najgorsi. Niby przyjdzie jak

zwykły klient, nabierze ciuchów i pójdzie do przebieralni, a potem raz-dwa skoczy w drzwi i tylko smród po nim zostanie...

– Nie śmierdział – wyjaśniła Małgosia, która zdążyła gościa dobrze obwąchać.

– Smród to w przenośni, a naprawdę to manko w kasie.

– Aha.

– Ale nic z tego nie będzie. Jola już zadzwoniła do swojego narzeczonego, tego Romana. On jest milicjantem. Zaraz tu będzie i faceta załatwi na cacy.

– A co, pani kierowniczo, z resztą zamówienia? – Małgosia przypomniała sobie o wódce i papierosach.

– Jaką resztą?

– No kazał sobie podać jeszcze gorzołę i ćmiki...

– U nas w peweksie mówi się alkohol i papierosy. Zapamiętaj sobie, mała, że to nie sklep monopolowy, ale ekskluzywny punkt handlowy...

– To podać alkohol i papierosy?

– Zwariowałaś? To tylko dla niepoznaki, żeby odwrócić uwagę, tak powiedział. Ty poszłabyś po te ćmiki i gorzołę, a on zaraz by dał dyla i tyle byśmy go widziały...

Syrena milicyjnego radiowozu przerwała rozmowę. Niebieska nyska z napisem „Milicja” podjechała pod same drzwi sklepu. Patrolujący ten obszar cinkciarze zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Z samochodu wyskoczyli dwaj milicjanci. Ten pierwszy, wysoki, wkroczył pewnie do sklepu i natychmiast widać było po nim, że dobrze zna teren. Sprzedawczyni Jola pomachała mu, ale on nie miał czasu na uśmiechy do narzeczonej. Był w końcu w pracy. Dostrzegłszy kierowniczkę, szybko do niej podszedł.

– Kapral Roman Kalafarski melduje się. Gdzie złodziej?

– O... – Kierowniczką Jagoda przytomnie wskazała przebieralnię.

– Idziemy! – Kalafarski skinął na starszego szeregowca, który mu towarzyszył. Małgosia podążyła za nimi, żeby nie przegapić niczego z tak nadzwyczajnego wydarzenia. Pierwsza dopadła do zasłoniętej zieloną zasłoną kabiny.

– Panie złodzieju, niech pan wyłazi natychmiast! – zawołała groźnym głosem, ale wyszło to nieco zbyt piskliwie. Milicjant chyba jednak nie lubił, gdy mu się w robotę wtrącają młode sprzedawczynie. Pogroził jej palcem, a potem odsunął ręką za siebie.

– Wychodzić natychmiast z rękami w górze, bo będę strzelać! – zawołał, ale pistoletu nie wyciągnął. Przez moment w całym sklepie zapadła grobowa cisza. A potem zza zasłony odezwał się niepewny głos.

– Że niby to kto ma wychodzić?

– Wy! – zawołał głośno milicjant.

– Jak my, jak ja tu jestem jeden?

– To wychodźcie jeden!

– Aha, no to wychodzę! – zawołał głos, a potem kotara się odchyliła i ze środka wyszedł elegancko ubrany człowiek. Miał na sobie białe adidasy, spodnie i kurtkę dżinsową, i jeszcze koszulę w kratkę. Nie wyglądał na złodzieja, ale zgłoszenie to zgłoszenie, pomyślał kapral Kalafarski. Szybko i sprawnie, nie wdając się w zbędne dyskusje, skuł ręce podejrzanego kajdankami, zsalutował kierownicze, puścił oko do narzeczonej Joli i wyprowadził aresztowanego ze sklepu. Złodziej zaś pomyślał, że kolejny dzień jedzie na farcie, bo dzisiaj wychodził z peweksu elegancko ubrany, ale nie wydał na ciuchy ani jednego centa. Szkoda tylko, że nie udało mu się jakoś zabrać zamówionych ćmików i wody. Ale co tam, odbije to sobie następnym razem.

Godzina 11.10

W pokoju na drugim piętrze Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu cuchnęło papierosowym dymem, zaschniętymi fusami od kawy i czymś jeszcze, czym żaden urzędowy pokój śmierdzieć nie powinien. Mimo to odór pustych butelek po wódce był powszechny we wszystkich komendach i nie dało się go unicestwić, nawet przy użyciu szczególnie śmierdzącej pasty do podłóg. W tym pokoju jednak od dawna nikt nie czyścił pastą zielonego linoleum. W ogóle mało kto w nim sprzątał, bo gospodarze nie życzyli sobie, by jakieś obce ręce przekładały im ich papiery na biurkach i w szafach. Dlatego sprzątaczkę mogły tu wchodzić tylko w godzinach pracy milicjantów, tyle że oni zaczynali pracę, gdy one właśnie ją kończyły.

– Ciekawe, co z tego wszystkiego wyniknie? – Kapitan Mirek Brodziak spojrzął znad rozłożonej gazety na porucznika Teofila Olkiewicza, jednak niespecjalnie był ciekaw opinii swojego kolegi. Natychmiast też pożałował, że w ogóle się odezwał, bo Teoś momentalnie podchwycił temat.

– A niby to z czego ma coś tam wyniknąć? – zapytał, uśmiechając się znacząco. Jak zwykle miał na myśli jakąś awanturę, w której uczestniczyli. Od razu przyszła mu na myśl ostatnia akcja o kryptonimie Trzeźwość, kiedy to milicjanci z komendy wojewódzkiej

przeprowadzili naloty na nielegalnych wytwórców bimbrowy w całym województwie poznańskim. Miejsca, w które trzeba było uderzyć, wytypowali koledzy z poszczególnych gmin, a ci z wojewódzkiej występowali tam jako doradcy i obserwatorzy. Olkiewicz wraz z Brodziakiem „obserwowali” akcję w gminie Szamotuły. Najechali nocą na bimbrownię w miejscowości Pamiątkowo, w której przejęli ponad dwieście butelek gotowego do sprzedaży bimbrowy. Funkcjonariusze z Szamotuł zgodnie z rozkazami dowództwa akcji zamierzali oczywiście cały łup zniszczyć, ale na to nie mógł się zgodzić Olkiewicz. zaproponował, by alkohol podzielić równo między biorących udział w nalocie. Ci z Szamotuł jakby tylko na to czekali. Propozycja została przyjęta przy pomruku ogólnej aprobaty. Dowodzący akcją kapitan Mikołajczak natychmiast wydał polecenie i w ten sposób trzydzieści flaszek trafiło do bagażnika radiowozu, którym przyjechali na miejsce poznaniacy. Teofil Olkiewicz nie lubił marnotrawstwa.

– O tych flaszkach, co my je wzięli w tym Pamiątkowie, to już nikt nie pamięta. Nie musisz się przejmować takimi pierdołami.

Brodziak pokręcił głową. Jemu chodziło o coś zupełnie innego. Kapitan Mirosław Brodziak, rudowłosa i piegowaty trzydziestoczterolatek ubrany w białe adidasy, dzinsy i kraciatą, flanelowy koszulę, zastanawiał się nad polityką. Jakoś nigdy wcześniej nie myślał o takich sprawach, bo i o czym tu było myśleć? Wychodził z założenia, że już dawno mądrzejsi od niego wszystko poukładali tak, jak być powinno, i zapewne za jego życia nic się nie zmieni. Tak było przez te wszystkie lata służby w milicji. Nieraz tłumaczono mu na różnego rodzaju naradach i szkoleniach ideologicznych, że pewne sprawy są święte i niezmiennie. Prelegenci za taką opokę uważali ustrój socjalistyczny i przyjaźń między Polską Ludową i Związkiem Radzieckim. Oczywiście dogmatem była także władza sprawowana w imieniu ludu pracującego miast i wsi przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. On jako milicjant miał w to wierzyć i stać na straży ustroju...

Mirek głęboko w nosie miał socjalistyczny ustrój. On był zainteresowany tylko sumiennym wykonywaniem swojej milicyjnej, kryminalnej roboty i Marzeną Poznańską, jego długoletnią dziewczyną, a teraz już narzeczoną. No w zasadzie to obchodzili go jeszcze najbliżsi kumple, ci z pracy, czyli między innymi siedzący przy biurku obok pięćdziesięciopięcioletni, korpulentny funkcjonariusz, ubrany w popielatą marynarkę opinającą okazałych rozmiarów brzuch, przykrywający wstydliwie łysinę na okrągłej głowie zaczeską na pożyczkę. Teoś Olkiewicz zajmował miejsce pod oknem. Jako że brzydził się pisaniem, a co za tym idzie czytaniem, na blacie jego biurka nie było nic prócz szklanki z niedopitą herbatą Ulung i pełnej po brzegi popielniczki z luksferą.

Przed dwoma miesiącami do tego ich wspólnego pokoju wprowadził się na stałe świeżo mianowany podporucznik Mariusz Blaszkowski, chłopak, którego kilka lat temu wypatrzył wśród zomowców Mirek Brodziak, a przekonawszy się, że jest niezwykle bystry i inteligentny, spowodował, że Blacha, bo tak go nazywali starsi koledzy, trafił do ich wydziału. Teraz po skończeniu szkoły oficerskiej w Szczytnie były zomowiec Blaszkowski został przyjęty do zespołu, którym kierował podpułkownik Alfred Marcinkowski. Brodziak poznał się z Fredem w dniu wprowadzenia stanu wojennego. Wtedy to jego nowy dowódca, zamiast zajmować się wsadzaniem do więzienia opozycjonistów, rozpoczął śledztwo w sprawie morderstw popełnionych na dwóch poznańskich działaczach Solidarności. Brodziak i Olkiewicz zostali do niego przez Marcinkowskiego włączeni. Od tego czasu tworzyli grupę śledczych, którym udało się rozwiązać niejedną sprawę.

Był jeszcze jeden kolega, który do zespołu nie należał i nigdy w życiu nie chciałby nawet znaleźć się w tej grupie. On reprezentował zupełnie inne podejście do prawa. Rychu Grubiński, zwany Grubym Rychem, był poznańskim cinkciarzem. Mirek wychowywał się z nim na Starym Mieście w Poznaniu. Obaj urodzili się i wychowali w tej samej kamienicy na ulicy Woźnej. Od najmłodszych lat byli nierozłączni. Zaczynali swoją karierę podobnie jak wielu chłopaków z okolicy od okradania ogródków z jabłek, później piwnic z kompotów i wszystkiego, co wpadło im tam w ręce, by przejść w końcu na wyższy poziom wtajemniczenia i zabrać się za obrabianie kiosków Ruchu. Dokładnie jednego. Ich wspólnym łupem padła buda na placu Młodej Gwardii. Tyle że dla Mirka był to ostatni skok w jego przestępczym życiu, a dla Rycha pierwszy z wielu późniejszych przekrętów. Rozdzieliła ich szkoła. Brodziak został zmuszony przez starszą siostrę do złożenia papierów do ogólniaka. Rycha nikt do niczego nie zmuszał, więc poszedł do zawodowej samochodówki. Każdy znalazł się w innym towarzystwie i wkrótce ich drogi się rozeszły. Mirek po liceum poszedł do milicji i w końcu do oficerskiej szkoły w Szczytnie, a jego stary druh, zamiast praktykować w jakimś samochodowym warsztacie, zaczął uczyć się zawodu w cinkciarskim światku pod peweksem.

– No z tego Okrągłego Stołu. Znaczy się co z tego wyniknie? – wytłumaczył Brodziak

– Ze stołu? – zdziwił się Teofil. – No niby co może wynikać ze stołu? Mnie się widzi, że jak już jest stół, to musi być i wódeczka, i jakaś zagrycha.

– No coś ty, Teoś. Przecież oni tam nie piją, tylko gadają.

– Że niby kto?

– No ci, co tam przy tym okrągłym stole siedzą. Nie chleją, ale gadają, co ma być dalej w kraju...

– Ja już trochę na świecie żyję – przerwał mu Olkiewicz. – I niejeden raz przy stole siadałem. I niech on se był kwadratowy czy okrągły, wszystko jedno, jaki był, to nikt mi nie powie, że co innego ja tam robiłem z tymi, co ze mną siedzieli, jak picie i jedzenie. Przy stole się pije i je. A że wcześniej się pogada, to jasne jak słońce. Co ty se, Miruś, myślisz, że oni to głupie są? Siedzą i ino gadają? Pewnie, że gadają, póki kto tam z kamerą telewizyjną łązi i nagrywa. Wtedy to Kiszczak robi miny i patrzy się w kartki, Kuroń z Michnikiem też niby coś tam czytają i dyskusje jakieś, że niby władza z Solidarnością rozmawia, ale jak kamery już wyjadą, drzwi się zamkną i oni sami ze sobą zostaną, w swoim towarzystwie, to ty se myślisz, że oni dalej patrzą się w te papiery i przemówienia jakieś rozgłaszają?

– No a jak inaczej? – Brodziak cały czas się uśmiechał, słuchając wywodu kolegi, bo znał go zbyt dobrze, by nie wiedzieć, w jakim kierunku podążają Olkiewiczowe myśli.

Teofil dołączył do wydziału dochodzeniowo-śledczego dokładnie tego samego dnia, co Brodziak, który otrzymał przydział od razu po szkole w Szczytnie. Mirek zameldował się w swoim miejscu pracy rano trzynastego grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku. Po południu na służbę zgłosił się też chorąży Olkiewicz, oddelegowany z SB w charakterze funkcjonariusza łącznikowego pomiędzy resortem a firmą. Teofil, który zaczynał pracę w milicji jako zwykły mundurowy funkcjonariusz, trafił do SB przeniesiony tam wbrew swojej woli. Koledzy ze Służby Bezpieczeństwa potrzebowali kogoś, kto doskonale orientuje się w przestępczym półświatku poznańskiego Chwaliszewa i Starego Miasta, więc przełożeni z komendy dzielnicowej wytypowali Olkiewicza. Tak Teoś został esbekiem. Jednak praca szpicla wybitnie mu nie leżała i przez kilka lat starał się robić wszystko, by „zasłużyć” na przeniesienie do milicji. Wreszcie udało mu się to trzynastego grudnia. Miał początkowo przyjść tylko na kilka dni i potem wrócić do resortu, ale wszystko poszła tak, że został już na stałe.

Dwaj nowi pracownicy, którzy zaczęli służbę w wydziale tego samego dnia, szybko przypadli sobie do gustu i do dziś stanowili nierozłączną parę. Choć różniło ich niemal wszystko, od temperamentu poczynając, poprzez stosunek do służby i umiejętności śledcze, na zaangażowaniu kończąc. To, co ich zbliżyło, to dogłębna znajomość wszelkich aspektów życia na poznańskim Starym Mieście, z którego obaj pochodzili, a także wyniesiona wprost z ulicy umiejętność wykorzystywania wszelkich wpadających w ręce okazji.

Olkiewicz uśmiechnął się szeroko i klepnął w udo z uciechy.

– A właśnie, że nie! – zawołał zadowolony z siebie. – Co ty se, Miras, myślisz, że to jakieś młode szczony są, co życia nie znają? To wszystko to doświadczona wiara, co z niejednego garnka proch wachała albo jakoś tak... – Podrapał się po nosie, bo coś mu tam z

porównaniem nie wyszło, ale kto by się przejmował takimi pierdołami. – Jak kamery wyjadą, to drzwi się zamykają od środka, żeby było kto tam nie zaglądał, flepy zaraz do teczek wkładają, a potem do szuflady, żeby się nie pomoczyły, i Kiszczak wciska taki guzik, co jego zamontowali pod stołem, i tylne drzwi się otwierają, a do środka wchodzi kelnerzy z tacami. A na tacach wódeczka i kurczaki z rożna, i frytki, i śląska kiełbasa pieczona, i co tam jeszcze chcesz...

– No ale oni mają przecież tam obradować...

– A co oni są głupie? Kto by tam chciał obradować przy suchym pysku i na głodniaka? Jak się człowiek naje i napije, to od razu mu się lepiej wszystko w głowie układa...

Brodziak pokiwał głową, bo nie od dziś wiedział, że w tych sprawach Olkiewicz jest największym specjalistą w całej komendzie wojewódzkiej. Dlatego wcale go nie zdziwiło, że Teoś naraz pochylił się przy swoim biurku i wydobyl z szafki butelkę wyborowej.

– Jak oni tam radzą o tym, co ma być, przy wódeczce, to i my się może napijemy?

Mirek wzruszył ramionami. I tak nie miał nic ważnego do roboty. Dziś uzupełniał tylko jakieś akta. Teofil niczego nie uzupełniał, bo żadnych akt nie miał. Wszystko, co pojawiała się na jego biurku, natychmiast przekazywał Blaszkowskiemu, bo ten był w sprawach kancelaryjnych bardziej obyty, a poza tym chętny do pracy. Dlatego Olkiewicz wykorzystywał te jego dobre chęci z bezwzględną zuchwałością.

– No dobra, ale po maluchu, bo muszę jeszcze te papiery do końca zrobić. W poniedziałek mają iść do prokuratury.

– Ano pewnie, że za dużo pić nie będziemy. Ja też nie mam czasu. Dzisiaj z Jadwigą mamy iść do mojego sąsiada, bo imieniny Kazimierza są, a sąsiad ma Kazimierz właśnie, to ja też za dużo nie wypiję, żeby trzymać fason na wieczór... – mówiąc to, szybko otworzył butelkę i rozlał wódkę do dwóch literatek. Jedną podał koledze. – No to co, zdrówko! – Podniósł szklankę i już chciał wypić, ale w tym momencie rozległ się dźwięk dzwonka telefonu stojącego na biurku Brodziaka. Kapitan wydobyl słuchawkę spod sterty papierów.

– Brodziak, słucham – rzucił do mikrofonu. – O, Maryjanek, co tam u ciebie? – wyraźnie ucieszył się, słysząc głos kolegi z komendy miejskiej. Znali się jeszcze ze szkoły oficerskiej i Brodziak skwapliwie korzystał z tej znajomości, pożyczając od Marjańskiego pieniądze. Oczywiście tylko od czasu do czasu.

Przez chwilę słuchał, co kolega ma do powiedzenia, kiwając przy tym głową.

– No dobra, za pół godziny mogę być na miejscu – powiedział i odłożył słuchawkę na widełki.

Olkiewicz cały czas patrzył na niego zaciekawiony. Nie czekał na Brodziaka z wypiciem wódki. Gdy ten rozmawiał przez telefon, przyjął już swoją porcję i ponownie napełnił literatkę.

– Marjański dzwonił. – Brodziak wskazał na telefon.

– Co tam u Maryjanka? – zapytał Teofil obojętnym tonem. Znał tego niedorobionego literata od ładnych kilku lat, ale nie bardzo go cenił, gdyż Marjański był abstynentem, czyli według swoistego, wyznawanego przez Teofila kodeksu wartości człowiekiem nic niewartym. Wiadomo przecież powszechnie, że u pijącego serce na dłoni, a trzeźwy pijącemu nóż w plecy zasunąć może.

– Ma jakiegoś truposza, którego ktoś rozpoznał jako cinkciarza. I teraz prosi mnie, żebym rzucił na niego okiem. No to trzeba koledze pomóc.

Olkiewicz się uśmiechnął i wzruszył ramionami. On w życiu nie pojechałby na okazanie zwłok w sobotnie przedpołudnie, tym bardziej w dzień imienin Kazimierza, bo by mu widok trupa zepsuł całe biesiadowanie. Teofil nie lubił trupów, za to lubił wódkę, zwłaszcza wyborową.

– No to zdrowie nieboszczyka – wznosił toast i wypił do dna.

Mirek Brodziak też wypił. W końcu nie wypadało odmawiać, tym bardziej że wódka była już nalana do szklanki.

Pniewy

Godzina 12.00

Chorąży Albin Stefański poprawił czapkę na łysiejącej głowie i obciągnął mundur, żeby nie marszczył się pod pasem, choć w jego przypadku było to raczej trudne zadanie. Był właścicielem okazałego brzucha, który ciasno opinała marynarka mundurowa. Ale co było robić. Na wielki brzuch nic nie mógł poradzić, bo nie wiedzieć kiedy zaczął mu rosnąć i napęczniał do imponujących rozmiarów. Podobno to wszystko przez zamiłowanie do golonek, kiełbas i piwa. No ale co, miał zrezygnować z tych ulubionych luksusów, żeby mieć wcięcie w talii? Nie, nic z tego, niech brzuszysko rośnie, skoro nie może być inaczej.

Mundur jakoś udało się wygładzić. Potarł jeszcze na wszelki wypadek czerwony nos, żeby później się nie drapać, bo głupio by wyglądało, gdyby się drapał w obecności

komendanta, i w końcu zapukał do drzwi. Nie czekał, aż go poproszą. Wiedział dobrze, że do sekretariatu się wchodzi i dopiero potem czeka, aż wezwą.

Siedząca za niewielkim biurkiem pani Jadzia, czterdziestokilkuletnia sekretarka komendanta kapitana Czyżaka, spojrzała na interesanta znad okularów do czytania. Najwyraźniej jego pojawienie się przerwało jej pasjonującą lekturę jakiegoś kolorowego pisma.

– Wejdźcie – powiedziała wypranym z emocji głosem. – Możecie usiąść i poczekać. – Wskazała ręką na rząd trzech krzeseł ustawionych pod ścianą naprzeciwko jej biurka. Chorąży natychmiast wykonał polecenie. Usiadł i zdjął czapkę. Położywszy ją na kolanach, rozejrzał się. Rzadko bywał w gabinecie komendanta, a co za tym idzie w sekretariacie, w którym od lat rządziła niepodzielnie pani Jadzia. Ludzie na komendzie mówili, że kiedyś, jakieś dwadzieścia lat wcześniej, była ona kochanką Czyżaka, który jeszcze wówczas nie był komendantem. Pracowała w kadrach i zajmowała się tam teczkami osobowymi. Ich związek rozpadł się z przyczyn naturalnych, gdy jej kochasia przeniesiono do komendy w Szamotułach. Pięć lat temu Czyżak został powołany na stanowisko komendanta w Pniewach i wtedy przypomniał sobie o dawnej miłości. W ciągu jednego dnia trochę już zmęczona życiem była kochanka została sekretarką nowego szefa.

Stefański, obrzuciwszy spojrzeniem nieciekawe wnętrze sekretariatu, którego dominującym elementem, prócz okna i biurka, była dębowa szafa na akta, zaczął przyglądać się pani Jadzi. Była szczupłą, a właściwie chuda, twarz przeorały jej już pierwsze zmarszczki, a czarne niegdyś włosy przetykały pasma siwizny. Ubrana w granatową sukienkę z białym kołnierzykiem przypominała raczej nauczycielkę przed emeryturą niż sekretarkę. Patrząc na nią, chorąży zastanawiał się, czy to możliwe, żeby komendant leciał jeszcze na to suche babsko? Wydawało mu się to raczej mało prawdopodobne. Ale kto go tam wie? Ludzie mają różne gusta.

Na czarnym aparacie, który stał na blacie biurka, zapaliła się czerwona lampka. Kobieta natychmiast podniosła słuchawkę.

– Tak, słucham – powiedziała i zaraz zamilkła, by zrozumieć polecenie.

Komendant was wzywa – rzuciła w stronę chorążego, odłożywszy słuchawkę na widelki. Stefański natychmiast poderwał się z krzesła. Na wszelki wypadek wskazała obite skajem drzwi, jakby chciała mu uświadomić, że on nie ma pojęcia, jak trafić do komendanta. Czyli, że rzadko tu bywa...

Wredna sucha pizda, pomyślał chorąży i uśmiechnął się do panny Jadzi nieszczerze. Kobieta nie zareagowała. Natychmiast straciła dla niego zainteresowanie, pochylając się nad leżącą na blacie biurka kolorową płachtą „Przyjaciółki”.

Zapukał w drewnianą framugę, a potem nacisnął klamkę i wszedł energicznie do środka. Rzeczywiście, rzadko bywał u samego komendanta, dlatego nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować, czy meldować się od razu po zamknięciu drzwi, czy też zamknąć je, podejść do biurka z lewej strony i dopiero wtedy, stanąwszy na baczność, złożyć meldunek. Wybrał podświadomie tę drugą opcję. Podeszedł do biurka, wyprężył się na baczność, ale nic nie powiedział, bo komendanta za biurkiem nie było. Przez chwilę patrzył na mebel, licząc na to, że być może szef wszedł pod biurko, bo mu coś tam spadło, i zaraz się zza niego wynurzy... Nie wynurzył się, za to odezwał się zza pleców chorążego:

– Przede wszystkim czujność! Przede wszystkim trzeba mieć oczy dookoła głowy, obywatelu chorąży! Milicjant nigdy nie może dać się zaskoczyć!

Błyskawicznie odwrócił się za siebie. Komendant siedział, a właściwie leżał w fotelu na prawo od drzwi. Wchodząc do środka, Stefański odwrócił się natychmiast w lewo, kierując swoją uwagę w stronę biurka, które, jak o tym wiedział, stało pod oknem. Nie pomyślał, że jego dowódca może chować się gdzieś tam z tyłu. W końcu te cztery fotele ustawione przy szwedzkiej ławie na wysoki połysk to nie było miejsce oficjalnych spotkań z podkomendnymi. Chorąży dobrze wiedział, do czego służyło. Tutaj komendant Czyżak przyjmował gości mniej oficjalnych, takich jak naczelnik gminy czy pierwszy sekretarz gminny partii albo jakichś milicjantów przysłanych z województwa na inspekcję. Przy tym stoliku gości takich podejmowano czym chata bogata, czyli kielbasami od prywatnego przedsiębiorcy Skrzypczaka, którego doskonałe wyroby znane były w całej okolicy, no i oczywiście wódką.

– Obywatelu komendancie, chorąży Stefański Albin melduje się na...

– Dajcie spokój, chorąży, dajcie se spokój. – Komendant machnął ręką, a potem palec wskazujący wymierzył prosto w niego. – Tam po lewo jest szafa, widzicie ją?

– No tak, jest – potwierdził, dostrzegłszy mebel.

– No to idźcie no do tej szafy, otwórzcie ją i wyciągnie z niej flaszkę żytniej i dwie szklanki. Jest tam też orenżada czerwona, jeśli popijacie, bo ja nie popijam. Co, popijacie?

– Nie popijam!

– I bardzo słusznie robicie. Po co smak wódeczki niszczyć jakąś orenżadą. Tylko dupy wołowe popijają, ale prawdziwi mężczyźni... No co tak stoicie? Idźcie, no, po flaszkę i chodźcie tu siadać.

– Aha, no to tak jest...

Po chwili kompletnie zdumiony chorąży siedział w fotelu naprzeciwko swojego szefa i rozlewał wódkę do szklanek. Był zaskoczony, a właściwie nawet można powiedzieć, że wytrącony z normalnej milicyjnej równowagi. Dotąd bowiem z komendantem rozmawiał może ze trzy razy, a każda z tych rozmów polegała na zwięzłym raporcie, który składał szefowi. Nigdy jednak nie pił z nim wódki.

– No co tak patrzycie się na mnie jak szpak w pizdę? Że tak niby to siedzę, ale leżę? No bo za biurkiem to ja bym nie usiedział, gdyż korzonki mnie tak napierdalają, że jak czego na ból nie weznę, to zaraz tu wykituję.

– To ja może panią Jadzię zawołam, żeby jakie tabletki...

– A niech cię ręka boska broni! – warknął kapitan. – Ta cholera zaraz by mnie do szpitala kazała zawieźć na zastrzyk. A po jaką cholere mi szpital, jak są lepsze środki. No, dawaj szklankę!

Stefański poderwał się z fotela i podał wódkę przełożonemu.

– No to zdrowie! – Czyżak wznosił toast i zaraz wypił. Jego podwładny zrobił to samo, choć z pewnym trudem. Zazwyczaj pijał wódkę w kieliszkach, no może od czasu do czasu w literatkach, ale ze szklanki jak ruski żołnierz nigdy. Udało mu się jednak przełknąć alkohol i jakoś powstrzymać odruch wymiotny.

– No dobra, a teraz powiedz mi, ty... – Komendant skrócił dystans do podwładnego, ale w końcu był szefem i mógł sobie na to pozwolić. – Powiedz mi... bo słyszałem, że twoja córka wychodzi za mąż.

Stefański spojrzał zdumiony na Czyżaka. Takiego pytania za nic w świecie się nie spodziewał.

– No, tak jest. W lipcu ślub będzie.

– O, to pięknie. A chłopak to skąd? Od nas, z Pniew?

– Nie, z Szamotuł, ale oni się w Poznaniu poznali na studiach.

– A, studiują, to ładnie. To znaczy się, że jak studiują, to w akademiku mieszkają...

– Chorąży nerwowo przełknął ślinę.

– No właśnie...

– A dobry ojciec to o mieszkaniu pomyśli! Co się młodzi mają wycierać gdzie po kątach. Mieszkanie by im się przydało, nie?

– Tak jest, znaczy się już wpłacone na mieszkanie. Będzie na Ratajach...

– Dwa pokoje z kuchnią? – zainteresował się komendant.

– Trzy...

– A to pięknie, pięknie. W młodzież trzeba inwestować, bo ta młodzież to przyszłość naszego narodu, a jak wiadomo młodzież zawsze z partią. Ale na młodych to trzeba uważać, że to niby odpowiedzialne już, ale młodość szumi i na ten przykład szybko samochodami jeździ, a potem się zabija, tak jak ten młody człowiek, co żeście byli na wypadku niedawno całkiem z Maryniakiem. Kiedy to było?

– W lutym, obywatelu kapitanie – podpowiedział Stefański i naraz poczuł, że pot zimną strugą spływa mu po plecach.

– A powiedzcie mi, co się udało ustalić w tej sprawie?

– No melduję, obywatelu kapitanie – zaczął ostrożnie – że niedużo.

– Czyli że ile?

– Tyle że dalej nie wiemy, jak on się nazywał, ten kierowca, bo niemiecki dowód rejestracyjny okazał się kradziony i nienależący do onego. Auto też było kradzione i z przebitymi numerami. Sprawdziliśmy to.

– Znaczy się jakiś pierdolony Gall Anonim, ha, ha, ha! – Komendant roześmiał się głośno, najwyraźniej zadowolony ze swojego niezbyt wyszukanego dowcipu. Podwładnemu nie pozostawało więc nic innego, jak przyłączyć się do szefa.

– Ha, ha... Jest dokładnie tak, jak obywatel komendant to ujął. Całkowity anonim, we związku z tym meldunek poszedł do Poznania, że taki a taki delikwent jest nieżywy, ze wszystkimi szczegółami, znaczy się z obfotografowaną gębą klienta, ale jak dotąd nikt z wojewódzkiej nie wyraził zainteresowania...

– Nie wyraził, powiadasz? No to nalej w takim razie, kochaniutki, na drugą nogę, bo już całkiem czuję, że mnie się te korzonki rozgrzewają i zaraz dojdę do siebie.

Stefański rozlał wódkę, jednak sobie nalał zdecydowanie mniej niż za pierwszym razem. Owszem, lubił wypić i nigdy za kołnierz nie wylewał, ale picie w takich ilościach przekraczało stanowczo jego możliwości. Komendant za to był człowiekiem konkretnym. Chwył swoją szklankę i wypił wszystko dwoma łykami. Potem odstawił ją na blat stołu i uśmiechnął się zadowolony.

– Tak się piło w wojsku na poligonie – wyjaśnił, wskazując pustą szklanicę. – Wojskowa skóra, druga natura – przypomniało mu się stare powiedzenie. Klepnął się w końcu w udo, a natrafiwszy na wypukłość, włożył dłoń do kieszeni, by zaraz wyjąć pogniecioną paczkę popularnych. Wydobył papierosa i przypalił leżącą na stole zapalniczką. Nie poczęstował podwładnego, więc Stefański nie śmiał wyciągnąć z kieszeni własnego klubowego. Zresztą i dobrze, że nie zapalił, bo następne pytanie w połączeniu z dymem papierosowym mogłoby go zadusić na śmierć.

– A swoją drogą ciekawe, skąd taki Maryniak ma też pieniądze na wpłatę mieszkaniową i to w dolarach. Zaraz, żeby kupić mieszkanie w Poznaniu na Ratajach, to ile trzeba mieć na wpłatę dolarową? No jak tam u ciebie było z tą wpłatą? – spojrzał ostro na Stefańskiego, a ten poczuł, że za chwilę zemdleje, więc jedyne, co mu przyszło do głowy, to ratować się w najprostszy z możliwych sposobów. Sięgnął po szklankę i opróżnił ją jednym łykiem, nie skrzywiwszy się nawet.

– ...yyy, czzzztery tysiące dolarów – jęknął zrozpaczony.

– No tak, cztery tysiące i do tego jeszcze trzeba dołożyć w złotych... Znaczy się, że i ty, i Maryniak kupiliście sobie mieszkania w Poznaniu...

– Ja dla córki, obywatelu... – Zamilkł natychmiast, gdy dostrzegł, że kapitan marszczy brew.

– No to se tak myślę, że czemu moi ludzie mogą se kupić w Poznaniu trypokojowe piękne mieszkanie w bloku na Ratajach, a ja nie mogę, choć mój syn Wojtuś niedługo skończy szkołę średnią i pójdzie na studia. Na politechnikę chce iść, taki zdolniacha z niego, że wszystkie śrubki, gdzie trzeba, tam dokręci albo odkręci w całej chacie. A te bloki piękne na Ratajach, to widać z okien politechniki. A on się będzie patrzył z tych okien na bloki i samochody, co jeżdżą po ulicy, bo jemu tylko samochody w głowie, a tam jak w sam raz na tej politechnice wydział samochodowo-maszynowy. I on by też na Ratajach chciał mieć mieszkanie, bo to wiadomo na studia, jak pójdzie, to jaką pannę zaraz tam znajdzie, a jakby miał gdzie mieszkać, to zaraz by z tego mogła wyjść rodzina. Ale co ja jemu mam powiedzieć, że ja jemu nie kupię mieszkania na Ratajach, bo mnie nie stać. To on się zapytał: „Jak cię, tatuś, nie stać, a twoich milicjantów stać? Całe miasto wie, że Stefański i Maryniak kupili mieszkania, a ciebie nie stać? To znaczy, że oni lepiej pracują niż ich szef i lepiej zarabiają?”. No jak jest, Stefański, lepiej pracujecie i lepiej zarabiacie od własnego komendanta?

Choraży spuścił wzrok na czubki swoich niezbyt dobrze wyczyszczonych, schodzonych milicyjnych, czarnych butów.

– Obywatel kapitan pozwoli, że my oba z Maryniakiem jutro z rana się będziemy meldować?

Kapitan uśmiechnął się zadowolony. Co miał nie pozwolić? Pewnie, że tak. W końcu po to była ta cała dzisiejsza rozmowa, żeby ci dwaj zrozumieli, kto tu rządzi na komendzie, a skoro zrozumieli, to od dziś będą wiedzieli, że wobec swojego szefa zawsze powinni się zachowywać przyzwoicie.

Poznań

Godzina 14.20

- A co z tą fiestą?
- Którą, panie szefie?
- Jak którą? Ile mamy fiest na podwórku?
- No dwie. Jedna już będzie gotowa zaraz, a druga rozpiędziona w drobny mak.
- No to o jaką fiestę mnie się może rozchodzić, Szymuś?

Wielki jak drewniany kafar kierownik warsztatu samochodowego Tomasz Szymuś podrapał się w głowę. Potrzebował chwili, by rozwiązać zagadkę, którą zadał mu szef. W końcu uśmiechnął się zadowolony.

- Znaczy się chodzi o tego trupa?
- No brawo, Szymuś. Pewnie, że o trupa mi się rozchodzi, bo o tej skończonej myśmy gadali wczoraj, a dzisiaj tego wraka mieliście wziąć na przegląd, żeby oszacować...
- Żeby oszacować, co trzeba – przypomniał sobie Szymuś, uśmiechając się promiennie.
- I co? – zapytał właściciel warsztatu samochodowego Ryszard Grubiński.
- No będzie tak, że dziś się nie dało, bo żeśmy mieli ekstra forda, co go chłopacy od Bolka Krótkiego przywieźli. Trzeba było od rana go wziąć na warsztat.
- I żeście wzięli?
- Ma się rozumieć, szefie. Ford pięcioletni na zachodnioniemieckich blachach i jeszcze gorący, bo krojony w nocy. Trzeba było go w trymiga rozłożyć na graty.
- Rozłożyliście?
- Rozłożony. – Mechanik skinął szybko głową.

Grubiński uśmiechnął się zadowolony. Szymuś, jego główny mechanik, czasami sprawiał wrażenie człowieka, który w pewnych kwestiach z trudem łapie, o co chodzi. Jednak jeśli chodziło o sprawy natury niezbyt przystającej do siódmego przykazania, okazywał się bezcenny. Dzięki temu Rychu nie musiał podejmować tak nieskomplikowanych decyzji, jak przyjęcie do rozbiórki kradzionych aut, bo to były kwestie w sam raz dla Szymusia, który jako wybitna siła fachowa potrafił na pierwszy rzut oka ocenić, czy przywieziony przez złodziei towar da się szybko zmielić, czyli rozdrobnić, a potem sprzedać z zyskiem.

Rychu miał talent do wyszukiwania odpowiednich ludzi do pracy. Szymuś trafił do niego w ubiegłym roku wprost z więzienia we Wronkach. Wyszedł na zwolnienie warunkowe po odsiedzeniu pięciu lat za rozbój i potrzebował jak najszybciej znaleźć pracę, bo miał nad sobą kuratora, który kontrolował jego poczynania na wolności. Jeśliby sam niczego nie znalazł, jego opiekun skierowałby go do pracy w jakiejś fabryce, a wiadomo przecież, że żaden ambitny człowiek nie chciałby skończyć w robocie na trzy zmiany. A Szymuś był ambitny, więc rozpoczął natychmiast poszukiwania dobrego zajęcia. Traf chciał, że główny mechanik pracujący w firmie Grubińskiego wyjechał na kilka dni do Niemiec Zachodnich i nie wiedząc czemu, już nie wrócił, więc trzeba było na jego miejsce poszukać specjalisty wysokiej klasy. Szymuś postanowił za wszelką cenę dostać tę robotę. Wiadomo przecież było powszechnie w Poznaniu, że Ryszard Grubiński, nazywany Grubym Rychem, to jedna z najważniejszych i najbardziej szanowanych osób w poznańskim światku walutowym. Jego ludzie obstawiali większość poznańskich peweksów, a i ci, którzy handlowali walutą na własny rachunek, odpalali mu działkę. Do tego od kilku lat prowadził jeszcze uboczną działalność, czyli mechaniczny zakład samochodowy. Ten biznes w odróżnieniu od walutowego był jak najbardziej legalny. Rychu miał papiery mistrzowskie, a wszyscy pracujący u niego mechanicy przynajmniej dyplomy ukończenia szkoły zawodowej. Tymczasem Szymuś był technikiem mechanikiem. Kiedyś, jeszcze w młodych latach, skończył cztery klasy technikum, zanim zaczął zajmować się zdobywaniem łatwych pieniędzy, obrabiając sklepy, a później, w miarę doskonalenia złodziejskich umiejętności, kradnąc samochody. W więzieniu we Wronkach jego wychowawca, który odkrył ze zdziwieniem, że Szymuś jest prawie technikiem, kazał mu brać się do nauki. Obiecał przy tym, że jeśli zrobi dyplom i maturę w więzieniu, to on mu pomoże załatwić warunkowe zwolnienie przed terminem. No i Szymuś nie miał innego wyjścia. Musiał się wziąć do roboty i sam się zdziwił, bo poszło mu to jakoś łatwo. Koledzy spod celi wytłumaczyli sobie szybko ten fenomen Szymusia, że ktoś taki jak on mógł zdać te wszystkie egzaminy, bo ma duży łeb, a wiadomo, że do dużego więcej wiedzy wejdzie.

No i po wyjściu z więzienia technik mechanik Tomasz Szymuś trafił przed oblicze Rycha Grubińskiego. Ten obrzucił go uważnym spojrzeniem, a potem wypytał szczegółowo o przebieg dotychczasowej kariery zawodowej, szczególny nacisk kładąc na kwestie związane z włamaniami i rozbojami. Gdy ta część rozmowy została zakończona, przyszły pracodawca postanowił sprawdzić jeszcze praktyczne umiejętności potencjalnego pracownika.

Wręczył mu pęk kluczy, wyjaśniając jednocześnie, na czym ma polegać zadanie.

– Tu masz klucze od mojego warsztatu. Od szóstej po południu jest tu już cisza i spokój. To znaczy, że o tej porze możesz spokojnie się zabrać do roboty.

– Do jakiej roboty, szefie? – zdziwił się Szymuś, który już poczuł się pracownikiem Grubińskiego.

– Przyjedziesz tu po szóstej i przez noc rozłożysz furę na części.

– Jaką furę? – zdziwił się kandydat na mechanika.

Rychu wzruszył ramionami i uśmiechnął się zadowolony.

– A skąd ja mogę wiedzieć jaką? Jaka ci wpadnie w łapy.

Dopiero teraz na twarzy Szymusia pojawił się cień zrozumienia.

– A, i żebyś byle gówna tu nie ciągnął. Żadnych fiatów i polonezów.

– Ma się rozumieć, szefie. – Takich rzeczy specjaliście nie trzeba było tłumaczyć. Wiadomo przecież, że czas polskiego szmelcu się kończył. Teraz liczyły się tylko zachodnie marki, które coraz szerszym strumieniem zaczęły napływać do kraju przywożone przez głodnych zachodniego luksusu rodaków. Szymuś to dobrze wiedział, choć na wolności był dopiero dwa tygodnie. Przez ten czas zdążył się napatrzeć na asortyment jeżdzący po poznańskich ulicach. I musiał przyznać, że w odpowiednim czasie opuścił więzienne mury. Tyle wokół działo się ważnych rzeczy, że szkoda by było spędzić ten czas w zamknięciu, myślał sobie, obserwując volkswageny i ople w kolorach, o których nie śniło się dotąd najlepszym i obdarzonym największą wyobraźnią lakiernikom z FSM w Bielsku-Białej.

Następnego dnia rano Rychu znalazł na jednym z pięciu stanowisk swojego warsztatu samochodowego rozłożonego na czynniki pierwsze volkswagena jetę. Szymusia dostrzegł dopiero po pewnej chwili. Jego nowy mechanik spał na samochodowej kanapie ustawionej pod ścianą, zwinięty w kłębek i przykryty jakimś starym kocem.

Odtąd chłopak błyskawicznie piął się po szczeblach kariery w firmie Grubińskiego. Już na drugi dzień po przyjęciu został etatowym pracownikiem zatrudnionym na stanowisku kierownika warsztatu. Od razu awansował na szefa, bo był jedynym pracownikiem, który miał maturę i dyplom technika.

Nowy kierownik szybko ujawnił swoje rozliczne talenty. Przede wszystkim okazał się dobrym organizatorem i umiejętnie potrafił połączyć zwykłe prace naprawcze dla okolicznych klientów z działaniami, które powinny być niewidoczne dla niepowołanych oczu. W warsztacie pod jego kierownictwem naprawiano więc polonezy i maluchy, a z tyłu na zapleczu, w tak zwanym starym garażu, toczyły się codzienne prace rozbiórkowe.

I właśnie tego oczekiwał Rychu po nowym szefie swojego warsztatu. Przejęcia wszelkiej inicjatywy w biznesie samochodowym, do którego on sam nie miał głowy. Bo czasy

były takie, że przykrywka w postaci warsztatu była potrzebna, ale na horyzoncie pojawiały się zupełnie nowe możliwości. A Rychu jako człowiek obdarzony niezwykle handlową intuicją czuł to przez skórę. Niestety nie zawsze takie rzeczy wyczuwał Szymuś, ale w końcu był tu od zupełnie innych zadań.

– A jeszcze jedno, szefie. – Kierownik podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie.

– Co tam? – Siedzący za ogromnym dębowym biurkiem Rychu sięgnął po paczkę cameli, wydobyl jednego i przesunął papierosy w kierunku podwładnego. Ten skwapliwie skorzystał z okazji i ostrożnie, by nie uwalac paczki brudnymi od smaru palcami, wyciągnął jednego. Rychu podał mu ogień.

– Był tu taki jeden, jak szefa nie było.

Też nowina, ciągle tu ktoś przyłazi, jak mnie nie ma, pomyślał Grubiński. – No i co to za jeden, ten, co był tutaj? Chciał jakieś auto kupić albo sprzedać, to trzeba było z nim gadać. Wiesz, że ja do takich pierdoł nie mam głowy...

– Nie, on nie z tych, co samochodowy biznes ich interesuje.

– A z jakich? – Rychu ożywił się. Na pewno nie był to żaden szkieł, bo tych Szymuś wyczuwał przez skórę. Gdyby ktoś węszył przy warsztacie, kierownik zameldowałby o tym już na samym początku rozmowy.

– Powiadał, że jest z panem dogadany w kwestii jakiejś sprawy, ale co to za sprawa, to ja nie wiem.

– Dogadany?

– No tak gadał. „Powiedz pan panu Rychowi, że sprawa jest dogadana”. Tak powiadał.

– Jaka sprawa, Szymuś, przypomnij se, co on dokładnie powiedział?

– Jak Boga kocham, że tak powiadał. „Powiedz, że sprawa jest dogadana”.

– Jaka sprawa, do cholery?

– No przecie gadam. Powiadał że... o, już wiem, co on gadał. Że sprawa zielona jest dogadana!

Rychu nic nie odpowiedział. Przymknął oczy i z rękami złożonymi na piersi zastygł w swoim biurowym fotelu jak egipski faraon wykuty z kamienia. Szymuś spojrział na niego i przez moment zdawało mu się, że Grubińskiemu coś się stało. Pomyślał więc, że trzeba by nim może potrząsnąć albo coś jeszcze bardziej zdecydowanego zrobić. Widział w filmach, szczególnie amerykańskich, gdy ktoś tam tracił kontakt z rzeczywistością, to albo klepało się go po gębie, albo na tę gębę lało się wodę. Rozejrzał się więc, ale wody nigdzie nie było. Za to na blacie stoliczka przy oknie stało kilka butelek jakichś kolorowych wódek, a wśród nich

jedna biała. Natychmiast rozpoznał wyborową. Podeszedł szybko i nalał wódki do szklanki, bo kieliszków nigdzie nie mógł dostrzec.

– Mnie, panie Szymuś, nalej pan łychę.

– Że niby co? – Mechanik się odwrócił i spojrzał na przełożonego. Grubiński nadal tkwił nieruchomo w swoim fotelu, ale oczy miał jak najbardziej przytomne.

– Jaką „łychę”?

– Może być zwykły Johnnie Walker.

– Aha! – Szymuś nalał więc do szklanki rudą wódkę i podał naczynie Rychowi.

– Sobie też pan weź.

Szymuś sięgnął po polską wyborową, bo za tymi peweksowskimi wynalazkami jakoś nie przepadał.

– To za co pijemy, panie Rychu szanowny?

– Za wolność, panie Szymuś, za cholerną wolność! – stwierdził Gruby Rychu i wypił do dna. Kierownik warsztatu też wypił, choć nie miał pojęcia, za co pije. Co go mogła jakaś cudza wolność obchodzić? Grunt, że on sam był od ładnych kilku miesięcy wolnym człowiekiem i nic nie wskazywało na to, że może to się wkrótce skończyć. Na pewno nie w takiej bezpiecznej i ucziwej pracy, jaką miał tu w warsztacie na Junikowie u pana Ryszarda.

Rozdział III

Niedziela 5 marca 1989 r.

Godzina 3.15

Pijany facet w białej, wymiętej koszuli, której lewa dolna krawędź wysunęła się zza paska od spodni i teraz swobodnie powiewała, zbliżył się do gitarzysty i skinął na niego wskazującym palcem. Długowłosey z tyłu, a łysy na czubku głowy lider zespołu podeszedł na skraj podestu, na którym występowali muzycy, i nachylił się ku gościowi. Ten przez chwilę coś mu tłumaczył, wymachując przy tym rękoma. Gitarzysta był jednak twardy. W końcu minęła już trzecia, a ten namolny klient chciał najwyraźniej jeszcze popląsać na parkiecie. Ale nic dziwnego. Przy stoliku, od którego przed chwilą się poderwał, siedziała może

trzydziestoletnia brunetka wpatrująca się w swojego znajomego z nadzieją w nieco mglistym spojrzeniu. Facet nie miał wyjścia. Musiał się wykazać inwencją i inicjatywą, jeśli chciał liczyć na ciekawe zakończenie tej nocy. Starał się, jak mógł, do czasu, gdy gitarzysta rzucił szybko przed siebie jakieś dwa słowa. To sprawiło, że miłośnik muzyki i tańca zastygł jak słup soli, zapewne analizując to, co powiedział muzyk. Widać analiza przebiegła pomyślnie, bo w końcu sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej gruby plik banknotów. Przez moment liczył papierki, by w końcu chwycić kilka. Podał je grajkowi, a ten skłoniwszy się, włożył je do kieszeni czerwonej marynarki. Odwrócił się do kolegów i pokiwał głową. Perkusista i klawiszowiec doskonale wiedzieli, że muszą zagrać jeszcze jeden utwór, ale ich lider, o czym byli przekonani, tanio nie sprzedał skóry. Najczęściej za te ostatnie pijackie tańce dostawali więcej niż za całą noc grania. Opłacało się więc jeszcze raz chwycić w dłonie instrumenty.

Gitarzysta podszedł do mikrofonu i obrzucił spojrzeniem salę. Ostatni goście siedzieli jeszcze przy pięciu, może sześciu stolikach. Przy barze jakaś nieszczęśliwa panienska, której tej nocy nie przygarła żaden dewizowiec, topiła smutek w wódce z sokiem Dodoni. Barman Karol wreszcie mógł po całej nocy pracy nalać sobie kielicha, bo marne były szanse, że ktoś jeszcze się napatoczy i będzie chciał, żeby zrobić mu drinka. Nawet szatniarz, pan Wiechu, teść ajenta, wyszedł zza swojego kontuaru, żeby sprawdzić, w jakim stanie są klienci, którzy zostawili u niego swoje płaszcze. Gdy muzyka ucichła, liczył na to, że towarzystwo zaraz zacznie się zbierać. Tymczasem dostrzegł, że orkiestra znów zabiera się za granie. Z rezygnacją pokiwał więc głową, machnął ręką i wrócił na swoje miejsce. Wiedział bowiem z doświadczenia, że każdy kawałek odwlecze moment wyjścia ostatniego klienta o jakiś kwadrans. Musiał więc jeszcze trochę posiedzieć.

– Szanowni państwo, na sam koniec dzisiejszego dancingu specjalne zamówienie od pana Jurka dla pani Agatki!

– Beatki! – krzyknął zleceniodawca w białej koszuli, który właśnie podawał rękę wybrance swojego serca, by poprosić ją do ostatniego tańca.

– Oczywiście, że dla pani Beatki od pana Jarka ostatnia piosenka tego wieczoru ze specjalnymi ukłonami od zespołu muzycznego Gemmini, który w ten sposób żegna się dziś ze wszystkimi uczestnikami naszej szalonej nocy w restauracji Adria. Jednocześnie zapraszamy na kolejny dancig jutro, który rozpoczynamy o godzinie dwudziestej, a grać jak zwykle będziemy do białego rana. A teraz zapraszamy państwa na parkiet do zabawy przy dźwiękach przeboju wszech czasów *Daj mi tę noc!*

Długonoga blondynka w wysokich czerwonych szpilkach, krótkiej dżinsowej spódnicy i bluzce z falbanami wstała od stolika i poruszając się płynnie, tanecznym

krokiem, unoszona pierwszymi taktami piosenki, przemierzyła parkiet i weszła na podest, witana uśmiechami muzyków. Podeszła do mikrofonu na statywie i wyjęła go z uchwytu. Mimo że dawno ze sobą nie grali, bezbłędnie weszła w odpowiedni moment z pierwszymi słowami utworu:

Nie mów nic – zabawa trwa, świat się kręci a my z nim

Zdarta płyta gra, zapomniany dawno hit

Daj mi tę noc, tę jedną noc!

Na parkiecie prócz sponsora i jego czarnowłosej wybranki pojawiły się jeszcze dwie pary. Reszta towarzystwa przy stolikach zajęta była dopijaniem resztek z kieliszków i butelek, dojadaniem sałatek lub wpatrywaniem się w jakiś punkt na ścianie czy podłodze, który zainteresować mógł tylko prawdziwych koneserów.

Jeden mężczyzna wpatrzony był za to w piosenkarkę, która tak nieoczekiwanie dołączyła do zespołu na sam koniec dancingu. Gruby Rychu wybrał się dziś do Adrii ze swoją dziewczyną, a kto wie, może nawet narzeczoną, aby spokojnie zastanowić się nad informacją, która tego wieczora dotarła do niego z dwóch niezależnych źródeł. Oba potwierdzały to, o czym mówiło się już od dawna, że niedługo wejdzie w życie nowe prawo dotyczące obrotu walutami. Była nawet konkretna data.

Laura lubiła chodzić do Adrii, bo kiedyś tu pracowała i tu właśnie cztery lata temu poznała Rycha. Kiedyś była gwiazdą zespołu Gemini, jednak gdy związała się z Grubińskim, musiała rzucić występy. Dziś jednak postanowiła przypomnieć sobie dawne czasy i gdy chłopcy zapowiedzieli ostatni utwór, natychmiast podjęła decyzję, bo dobrze wiedziała, co będą grać. *Daj mi tę noc* grało się zawsze dla tych, którzy płacili na koniec imprezy grube pieniądze, żeby zaimponować poderwanej tego wieczora panience.

Śpiew niósł się po sali, a Rychu z radością i dumą wpatrywał się w swoją Laurę.

– Postawisz drinka samotnej kobiecie? – usłyszał za sobą zmysłowy głos. Odwrócił się i zaraz uśmiechnął szeroko. Przy stoliku stała Marysia, agentka restauracji i stara, choć nie podstarzała, ale w kwiecie wieku, dobra znajoma Rycha.

– Myślałem, że cię nie ma w robocie. – Rychu podniósł się z krzesła i ucałował ją w dwa policzki. Całkowicie po przyjacielsku, choć w dawnych czasach łączyły ich nie tylko takie stosunki.

– Przyszłam na koniec, żeby podliczyć nockę – stwierdziła, siadając naprzeciwko.

– A myśmy przyszli trochę podylać. – Grubiński wskazał ruchem głowy na scenę, na której produkowała się jego dziewczyna. Nigdy nie była dobrą piosenkarką i miała trudności z poprawnym utrzymaniem linii melodycznej, ale Rychowi wcale to nie przeszkadzało. W końcu nie zainteresował go jej śpiew, ale zupełnie inne przymioty. Z czasem okazało się, że ma ich tyle, iż przestała odgrywać rolę kosztownej ozdoby, a w rozlicznych interesach stała się niemal jego prawą ręką. Co ważniejsze, zajęła się też oficjalnymi rachunkami cinkciarza, czyli czymś, do czego on nigdy nie miał głowy. A jak chciała sobie od czasu do czasu przypomnieć dawne lata, to co go to mogło obchodzić. Niech dziewczyna śpiewa.

– A Laura chce wrócić do roboty? – Spojrzała w kierunku sceny.

– Nic mi o tym nie mówiła. Nie miałyby nawet na to czasu. Teraz śpiewa tylko rozrywkowo.

– Jej miejsce w zespole jest cały czas wolne.

– To niech chłopaki znajdą se jaką młodą dziewczuszkę. Laura już jest na swoim. Nawet nie wiesz, jaka z niej obrotna kobita. Wszystkie rachunki mi prowadzi.

– Twoje rachunki? – Marysia była wyraźnie zdziwiona. Kiedyś miała nadzieję, że to ona wraz z Rychem będzie prowadzić biznes, ale ich drogi się rozeszły. Nikt do nikogo nie miał pretensji, przestali współpracować i koniec, ale sympatia z dawnych lat została. Poza wszystkim Rychu był Marysi wdzięczny, bo to ona przedstawiła mu Laureę. Jeszcze tego samego wieczora zabrał dziewczynę do siebie do domu, w którym została na stałe.

– Moje. Ma do tego rękę. A wiesz, że ona skończyła technikum ekonomiczne?

– Myślałam, że szkołę baletową. Taka jest gibka. – Agentka spojrzała na piosenkarkę, która wyginała się jak zawodowa tancerka na rurze, przytrzymując się statywu do mikrofonu.

– To kobieta wielu talentów.

Kelner Marian Jakubik, który liczył na to, że robota na dziś już się skończyła, dojrawszy wśród gości szefową, poszedł do bufetu i kazał nalać panu Karolowi kieliszek czerwonego wytrawnego bordeaux, czyli wina, które podawało się tu tylko specjalnym klientom. Szefowa należała właśnie do takiej kategorii. Podobnie jak Rychu Grubiński, który pił tylko dobre trunki i zostawiał napiwki w twardej walucie.

– Pani szefowa jeszcze po nocy do nas wpadła? – powiedział przymilnym tonem, stawiając przed nią kieliszek z winem. – A dla pana szanownego jeszcze podwójną whisky pozwoliłem sobie nalać.

Rychu skinął głową na znak aprobaty.

– Wszystko w porządku, panie Marianie?

– W jak najlepszym. Jeden gość awanturujący dostał w papę koło północy i wyleciał z knajpy na morde, ale rachunek uiszczył. Znaczący milicji nie trzeba było wzywać i wszystko się bez problemów odbyło. Orkiestra kończy, szatnia się zaraz rozliczy, a ja rachunek mam prawie zamknięty.

– No to niech pan już nie podaje nikomu alkoholu, to sobie pójdą – mówiąc to, obrzuciła salę spojrzeniem. Nie dostrzegła żadnego klienta, którym trzeba by się specjalnie zająć. Oczywiście poza Rychem.

– A dla pani Laury jeszcze coś podać?

– Daj pan wódkę z colą na odchodnym.

Kelner skinął głową i wrócił do baru po wódkę dla dziewczyny Grubińskiego. Śpieszył się, żeby skończyć podliczanie rachunków przy swoim służbowym stoliku. Kiedy upora się z tą buchalterią, w końcu sam będzie mógł się napić.

– A jak idą interesy? – zapytał Rychu.

– No wiesz, jak jest, ta cholerna inflacja nas niedługo pożre z kopytami. Te złotówki to całkiem do dupy. Ludzie mówią, że niedługo dolar dojdzie do trzech tysięcy...

– Złotówki to nie waluta. To „bilet narodowego banku”, znaczący to papierowe gówno. Trzeba wszystko lokować w dolary i złoto.

– Skoro tak mówisz... Złoto zawsze było dobrą lokatą na kiepskie czasy.

– O złocie mówicie? – Laura zadowolona ze swojego występu usiadła na krześle obok Rycha.

– I jak ci się podobało? Co, jeszcze nie zardzewiałam?

– No skąd, jak zwykle jesteś prima sort.

– Jakbyś nigdy nie schodziła ze sceny – zauważyła złośliwie Marysia, ale Laura nie wyczuła żadnej fałszywej nuty w jej głosie.

– Naprawdę tak uważasz? No widzisz, Rysiaczku. Może bym pomyślała nad jakimś nowym repertuarem i od czasu do czasu...

– Daj spokój, Lala. Mało to mamy roboty?

– No właśnie, Marysia, tyle się dzieje dookoła. A co o tym złocie mówiliście, bo ja właśnie dostałam od Rysia pierścionek. Zobacz. – Wyciągnęła w jej kierunku dłoń z paznokciami pomalowanymi na czerwono. Na każdym palcu było jakieś złote świecidelko, ale na jednym masywny pierścionek z brylantami rzucał się szczególnie w oczy.

– Całkiem ładny – pochwaliła świeży zakup Marysia.

– No wiesz, lokata kapitału.

– Rysiu mówi, że trzeba inwestować.

– Trzeba, ale też ważne, żeby rozwijać biznes – stwierdził Grubiński, spoglądając agentce w oczy.

– Co masz na myśli, Ricardo? – zapytała, natychmiast spostrzegając ten szczególny wyraz jego twarzy, który pojawiał się w sytuacjach, w których Rychu miał coś ważnego do powiedzenia. Laura niczego nie zauważyła, bo cały czas wpatrywała się w swoje ozłoczone palce.

– Jak w Polsce Ludowej będzie można oficjalnie handlować walutą, to ten cholerny komunizm rozsypie się z dnia na dzień i ci, których państwo traktowało jak przestępców, staną się poważnymi biznesmenami.

– Ci, którzy będą wiedzieli kiedy... – tu spojrzała uważnie na Rycha – zrobią interes życia.

– A może są tacy, co wiedzą?

– Co wiedzą, Rysiaczku?

– To, co mają wiedzieć.

– Po co te zagadki, kochany? Powiedz jej. Przecież Marysi możesz powiedzieć.

Rychu uśmiechnął się do Laury, a potem przeniósł spojrzenie na swoją dawną przyjaciółkę.

– Są takie sprawy, które można drogo sprzedać.

– Ile? – Maria przeszła do konkretów, bo nie lubiła zabawy w podchody.

– Jak dla ciebie butelkę łyskacza.

Kobieta zrobiła najpierw wielkie oczy, a potem, widząc minę Grubińskiego, roześmiała się głośno.

– Ty cholerny draniu! – Uderzyła go pięścią w ramię. – Wiesz wszystko i tylko się ze mną droczysz. Odwróciła się za siebie i skinęła na kelnera. Ten podszedł natychmiast.

– Niech pan przyniesie butelkę tej szkockiej whisky, single malt... No wie pan której.

Kelner skinął głową. Doskonale wiedział, o jaką butelkę się rozchodzi. Była taka, która kosztowała ponad sto dolarów, a skrzynka licząca piętnaście butelek przyjechała tu na specjalne zamówienie prosto ze Szkocji. Dotąd żadna z tych flaszek nie została jeszcze otwarta. Ukłoniwszy się, ruszył podniecony na zaplecze, żeby wydobyć whisky z magazynku. Liczył na to, że w butelce zostanie choć kropelka dla niego po tym, jak goście napiją się już z szefową. Strasznie był ciekaw smaku tego niezwykłego trunku.

– No to mów kiedy? Mamy jeszcze trochę czasu?

– Może wystarczy. Ale musisz mi jeszcze coś obiecać.

– Wszystko, co chcesz – stwierdziła rzeczowo Marysia. Laura tym razem dostrzegła w tej deklaracji gotowość do wszelkich poświęceń, więc od razu postanowiła uciąć jakiegokolwiek spekulacje.

– Rychu chciał powiedzieć, że w interes wchodzisz, ale z nami.

– Co, że niby jak?

– Spokojnie, kochana. – Grubiński, który wszystko już dobrze zdążył przemyśleć i skonsultować z Laurą, zaczął opowiadać o swoim planie w najdrobniejszych szczegółach. Nawet nie zauważyli, jak za oknem zrobiło się jasno, a z butelki zniknęła ostatnia kropla szkockiej. Ku rozczarowaniu kelnera, który doszedł do wniosku, że nie ma dziś szczęścia. Nie dość że przesiedział w pracy całą noc, to nawet nie dane mu było spróbować tego wykwintnego trunku. Niejakim pocieszeniem okazał się jednak banknot dziesięciodolarowy, który znalazł na stoliku pod flaszką po łyskaczu. Ludzie mówili, że Rychu Grubiński zawsze płacił swoje rachunki. Tym razem za noc zapłacił z nawiązką.

Godzina 04.10

Mirek Brodziak otworzył oczy, ale zaraz je przymknął, bo blask, jaki dawała żarówka, był nie do wytrzymania. Miał wrażenie, że ktoś specjalnie skierował mu światło na twarz, żeby go oślepić. Tak jak podczas przepytywania zatwardziałych i krnąbrnych bandziorów włącza się lampkę, która stoi na biurku w każdym pokoju przesłuchań. Wtedy bandzior, któremu światło świeci prosto w ślepią, zaczyna stawać się bardziej skory do zwierzeń, gdy jego wzrok już jest tak bardzo umęczony, że marzy tylko o jednym – by to cholerne przesłuchanie wreszcie się skończyło.

Ale kto, do cholery, chciałby mnie przesłuchiwać? – pomyślał Mirek i lekko otworzył jedno oko. Światło raziło jak diabli, więc znów zamknął powiekę. I wtedy uświadomił sobie, że jest w trochę dziwnej pozycji jak na przesłuchiwanego. Siedzi, owszem, na jakimś krześle czy czymś podobnym, ale ręce opiera wygodnie na blacie, a na tych rękach spoczywa jego głowa. Coś tu się całkowicie nie zgadzało. Uniósł się więc powoli i wyprostował, a potem otworzył oczy. Było jasno. Rozejrzał się i stwierdził, że siedzi za jakimś biurkiem. Dostrzegł też źródło oślepiającego światła. Była to zwyczajna lampka biurkowa. Ktoś ją przewrócił tak nieszczęśliwie, że była wycelowana wprost w jego twarz.

Ale zaraz, zaraz, skąd to biurko? Przecież w domu nie ma takiego mebla. To znaczy, że nie dotarł do mieszkania. A skoro nie do mieszkania, to gdzie jest?

Chwycił w dłonie lampkę i oświetlił nią przestrzeń przed sobą. Okazało się, że jest w jakimś pokoju przypominającym wyglądem gabinet. Biurko, za którym siedział, było solidne i zapewne przedwojenne, bo w niczym nie przypominało tych wytwarzanych we współczesnych fabrykach mebli. Najciekawsze było jednak to, co znajdowało się przed nim. Ściana na wprost zabudowana była przeszkolonymi witrynami, które niemal po sam sufit wypełniały książki. Co to, do cholery, za biblioteka? – pomyślał kompletnie zdezorientowany.

Chwycił się krawędzi biurka, bo postanowił wreszcie wstać. I bardzo dobrze, że się przytrzymał, gdyż inaczej niechybnie by upadł. Wszystko przez gwałtowny zawrót głowy, który wziął się nie wiadomo skąd. Opadł więc z powrotem na krzesło, gorączkowo zastanawiając się, co się stało. Na szczęście nie musiał nadwyreżać w tej sprawie przemęczonego umysłu. Z odsieczą przybył bowiem porucznik Olkiewicz.

– Już się wyspał? – zapytał Teoś, wchodząc do pokoju po otwarciu drzwi, których Brodziak wcześniej nie dostrzegł.

– Ale... co się dzieje? – zapytał zdezorientowany Mirek.

– Jak co? Opadł żeś z sił, no to się przespałeś troszeczkę.

– Aha. Ale czemu opadłem z sił?

– No bo jak się za dużo wody wypije, to najlepszemu może się zdarzyć.

– Za dużo... łe, do cholery... – W tym momencie Brodziak przypomniał sobie, że przecież jeszcze niedawno siedział przy biesiadnym stole w mieszkaniu jakiegoś znajomego Olkiewicza. A potem... No właśnie?

– Co było potem? – zapytał, spoglądając na uśmiechniętą od ucha do ucha twarz Olkiewicza. – Znaczą się potem, jak żeśmy wyszli z tych imienin...

– Od Kazia, mojego sąsiada – wyjaśnił dla porządku Teofil. – No jak już żeśmy cię zapakowali do radiowozu, to żeśmy pojechali do ciebie do domu, ale żeśmy nie dojechali...

Milicyjna nyska ruszyła naprzód i po chwili zatrzymała się na środku ulicy. Kierowca musiał przeciąć pas ruchu, by dostać się na ten prowadzący do centrum miasta.

– I słuchajcie mnie, wy łachudry niemyte. – Teofil nachylił się z tylnej kanapy do przodu, wciskając głowę między plutonowego i kaprała. – Milicjant bije ludzi dopiero, jak jemu kto zagrozi, a jak bije bez przyczyny, tak jak wy dzisiaj, to żaden z niego milicjant, ale zwykły bandzior. Zrozumieliście, durnie?

– Tak jest, obywatelu poruczniku – odpowiedzieli chórem dwaj podoficerowie.

– A wiecie, czemu wsiadłem do tego auta z wami? – zapytał Olkiewicz, ale wcale nie oczekiwał na jakąś konkretną odpowiedź. – Wsiadłem, bom się bał, że jak takie dwa gamonie jak wy wezną do środka nachlanego oficera, to jeszcze gdzie po drodze go wyrzucają, żeby nie mieć kłopotów...

– Ale nigdy w życiu – obruszył się kapral kierowca.

– Dowieźlibyśmy jak nic, obywatelu poruczniku. – Do samego domu byśmy dowieźli i pod drzwi doprowadzili.

– Jakoś wam, gnojki, nie wierzę – stwierdził, spoglądając na Mirka, który rozłożył się na tylnej kanapie i natychmiast zasnął nieświadom niczego. Najważniejsze, myślał Olkiewicz, że Brodziak nigdzie się po drodze nie zgubi. Podwiozą go pod dom, a te dwa ćwoki wprowadzą go na górę i będzie po sprawie. Właściwie to on sam powinien pójść z przyjacielem, ale bał się trochę dziewczyny Brodziaka. Marzena była groźna i potrafiła opieprzyć jak mało kto. Szczególnie teraz, gdy była w ciąży. Z takimi babami, co chodzą z brzuchem, to lepiej nie zaczynać, bo nigdy nie wiadomo, czego po takiej można się spodziewać. Nie dość że nakrzyczy, wstydu na całą kamienicę narobi, to jeszcze i w pysk może dać, a wiadomo, że jak kobita w ciąży, to oddać nie można, bo jeszcze coś się stanie i co wtedy? Najlepiej więc wykorzystać tych dwóch osiłków. Jak który w papę dostanie, to i dobrze. Zasłużyli sobie, gnoje.

– A z którego komisariatu jesteście?

– Z Chłapowskiego – wyjaśnił natychmiast kapral.

– To nad wami musi być porucznik Miodek?

– Tak jest. Porucznik Miodek to nasz szef.

– No to pozdróćcie go od Olkiewicza... albo nie, ja se sam jutro do niego przedzwonię.

Tym razem żaden z mundurowych nie odpowiedział. Co mieli mówić. Mieli dziś kosmicznego pecha, myślał sobie plutonowy Pawlak. Tyłu pijaków już w swojej karierze zatrzymali, niejeden dostał od nich pałą po dupie, a potem stracił pieniądze z portfela i zegarek, ale żeby trafić na pijanego oficera milicji, to już jest naprawdę niefart. I do tego jeszcze ten łysy Olkiewicz, który siedzi teraz za nimi i dmucha im alkoholowymi wyziewami. Też pijany, ale zdecydowanie mniej niż ten kapitan. Jutro, jeśli niczego nie zapomni, zadzwoni do Miodka i zrobi się wielki gnój. Miodek poleci po premii i jeszcze, nie daj Boże, naganę do akt wpisze i da dodatkowe nocne służby poza kolejnością z grafika. Trzeba było coś szybko wymyślić. Pawlak kątem oka dostrzegł zadowoloną twarz porucznika i naraz

sobie uświadomił, że na takiego faceta jest tylko jeden sposób. Pomysł wydał mu się tak dobry, że postanowił nie tracić na jego realizację ani sekundy.

– Jakby obywatela porucznika suszyło trochę, to dałoby się jakoś w tej kwestii zaradzić.

– Że niby jak?

– Mamy tu jedną flaszeczkę poloneza na czarną godzinę. Już rok jeździ z nami i nie było okazji, ale teraz mi się widzi, że akuratnie się nadarza. Co myślisz, Witek, jest okazja? – Klepnął w ramię wąsatego kierowcę.

– Jak pan porucznik każe, to zaraz przyniesę! – zaoferował kapral.

– Przekupić mnie chcecie? – zapytał podejrzliwie Olkiewicz.

– Ale skąd! – zawołał trochę nazbyt głośno plutonowy Pawlak.

– Tak ino się spytałem dla pewności. No bo jak to nie przekupowanie oficera, no to można by coś wódeczki wypić.

Kierowca wcisnął pedał hamulca do dechy i auto stanęło na środku ulicy Ratajczaka. Nie wyłączając silnika, otworzył drzwi i wyskoczył z szoferki. Olkiewicz usłyszał trzask otwieranych i zaraz zamykanych drzwi od bagażnika, a po chwili milicjant był już w środku z butelką wódki. Podał ją plutonowemu, a sam wrzucił jedynekę i skierował auto na pobocze. Nyska zatrzymała się przy chodniku tuż przy zaniedbanym parku, który ciągnął się od Ratajczaka aż do zrujnowanych i straszących swoim wyglądem ruin starego browaru.

Kapral otworzył sprawnie butelkę i nalał wódki do metalowego kubka, który wydobyl z półki przed sobą.

– Pan się nie przejmuj. Czysty i umyty, to można pić bez strachu.

– A czy ja co gadam? Wódka i tak wszystkie brudy wypali. – Teofil wziął naczynie do ręki i nie mrugnawszy nawet okiem, wypił do dna.

– No to teraz wy, plutonowy.

– Ale ja na służbie jestem, znaczy się melduję, obywatelu poruczniku, że jestem na służbie i...

– A co mi tu pierdzielicie... Jak wy się właściwie nazywacie?

– Pawlak Zdzisław.

– No to słuchajcie, Pawlak, jak oficer gada, że możecie, to znaczy, że możecie i już, nawet jakbyście se myśleli, że nie możecie, to możecie wypić. Jasne, plutonowy?

– Melduję, że jasne, obywatelu poruczniku!

– No to nalejcie se i wypijcie, a ja se ćmika zapalę...

– 0389, gdzie jesteś, melduj? – odezwał się głos oficera dyżurnego z komendy miejskiej wpływający z głośnika zainstalowanego na desce rozdzielczej auta.

– Ja 0389, melduję się. Jesteśmy na Ratajczaka, róg Ogrodowej – wyrecytował do mikrofonu kierowca. Plutonowy na wszelki wypadek szybko wypił wódkę, bo przecież nie było wiadomo, czy za chwilę jeszcze będzie mógł pić. Wykorzystał więc ostatni z możliwych momentów.

– Jedźcie na 23 Lutego, ta narożna kamienica przy stacji benzynowej. Dokładnie róg 23 Lutego i Nowowiejskiego, wiecie gdzie?

– Melduję, że wiem, ale o co się rozchodzi?

– Jeszcze nie wiemy dokładnie, bo zawiadomienie świeże sprzed dwóch minut. Obywatel jeden donosi, że w mieszkaniu na drugim piętrze słychać było coś jakby strzał.

– Jedziemy, znaczy melduję, że przyjąłem i jedziemy.

– Meldujcie na bieżąco, co i jak. Bez odbioru.

Kierowca odwiesił słuchawkę i wrzucił pierwszy bieg. Auto wtoczyło się na kompletnie pustą ulicę. Stąd do miejsca wezwania mieli bardzo blisko, dlatego nie trzeba było nawet włączać syreny. Dwie minuty później samochód parkował już pod bramą. Natychmiast na chodniku pojawił się mężczyzna w okularach, w zielonym dresie i w kurtce narzuconej na ramiona. Mógł mieć około sześćdziesięciu lat, może nawet trochę więcej, więc Olkiewicz pomyślał na jego widok, że to zapewne emeryt, który jak to wielu podobnych mu ludzi z braku jakichś konkretnych zajęć lubił zajmować się życiem innych. Postanowił go więc wy badać.

– To wyście, obywatelu, wzywali milicję? – zapytał, wychodząc z samochodu. Obaj mundurowi milicjanci stanęli za nim, gotowi do wykonywania rozkazów oficera. Taka sytuacja jak najbardziej im odpowiadała, bo nie musieli sami podejmować żadnych decyzji.

Emeryt w okularach spojrział na Olkiewicza, zmarszczył brwi, a potem się uśmiechnął, ukazując mocno przerzedzoną górną szczękę.

– A wy, Olkiewicz, jeszcze w milicji? Kto by przypuszczał? Myślałem, że was już dawno wywalili na zbitą mordę za lenistwo albo za coś jeszcze, ha, ha, ha!

Twarzy nie rozpoznał od razu, ale ten głos poznałby na końcu świata. To był on, kiedyś porucznik, a dziś może już nawet major na emeryturze, Alojzy Wróbel, bezpośredni przełożony Olkiewicza z czasów, gdy ten służył jeszcze jako podoficer w komisariacie Poznań Stare Miasto. To właśnie ten Wróbel każdego dnia starał się wykazać, że Olkiewicz jak nikt inny nie nadaje się do pracy w milicji, zarzucając mu, że jest leserem, obibokiem, kombinatorem i notorycznym pijakiem, co oczywiście nie miało według Teofila żadnego innego uzasadnienia jak tylko czysta, wrodzona złośliwość Wróbla. Oficer ten robił wszystko, żeby pozbyć się Olkiewicza ze swojego zespołu i w końcu mu się to udało, gdy Teos został

dzielnicowym na Chwaliszewie. Z dzielnicy zaś został przeniesiony do SB, by trafić do wydziału dochodzeniowo-śledczego w komendzie wojewódzkiej. Tymczasem Wróbel zapewne skończył swoją karierę w którymś z nic nieznaczących wydziałów swojego komisariatu. Taką przynajmniej nadzieję miał Olkiewicz, który, mimo że nie widział go ze dwadzieścia lat, zawsze ilekroć sobie o nim przypominał, od razu zjawiał w myślach zdrowąskę w intencji byłego szefa, żeby go jak najszybciej szlag trafił. Ale jak się okazało, modlitwy Teofila były nieskuteczne. Wróbel zdrowy i zadowolony z siebie stał teraz naprzeciwko niego i szczyrzył w krzywym uśmiechu trzy górne zęby.

– O, pan porucznik Wróbel. Jeszcze was jaka cholera nie strzeliła przez łeb. Widzę, że pan w formie, ale pewnie ze słuchem już nie tak, jak się porucznikowi po nocach śnią wystrzały.

– Po pierwsze primo, major Wróbel w stanie spoczynku, a po drugie primo, strzał to strzał. Jak kto strzela, to ja słyszę strzały, a nie klepanie baby po dupie. A wy, Olkiewicz, to już pewnie po tych wszystkich latach sierżantem zostaliście za wysługę. No tak, z taką inteligencją to żeście na pewno karierę w firmie zrobili.

– Karierę robią karierowicze, a ja robię swoje i to w stopniu porucznika i nie za wysługę, ale za zasługę. To prowadźcie do tych strzałów!

Wróbel skinieniem głowy pokazał wejście do bramy i ruszył w głąb. Olkiewicz poszedł za nim w asyście dwóch podoficerów. Po chwili cała czwórka stała już pod drzwiami prowadzącymi do mieszkania numer sześć.

– Czuć proch – zauważył emerytowany major.

– Trzeba by zadzwonić – rzucił plutonowy Pawlak.

– A jak nikogo nie ma, to nie otworzą. – Kapral kierowca miał wątpliwości. Tylko Olkiewicz ich nie miał. Nieraz już widział, jak w takich sytuacjach zachowuje się Brodziak. Swoją drogą szkoda, że go tu nie ma, no ale jak nie ma, to trzeba samemu działać. Sięgnął więc do kabury pod pachą po pistolet, ale okazało się że nic tam nie ma, bo na imieniny do Kazia nie zabrał broni.

– Macie spluwę, plutonowy?

– Mam.

– To dajcie.

Pawlak podał mu swoją tetetkę. Olkiewicz przeładował ją i odwrócił się do stojących za nim ludzi.

– Liczę do trzech i wchodzę, a wy dwaj za mną. Cywil zostaje na korytarzu.

– Jaki cywil, do cholery? – obruszył się Wróbel. – Byłem waszym dowódcą.

- I na szczęście już nie jesteście.
- Ale może by jednak zadzwonić.
- Zamknij się, baranie! Raz, dwa, trzy!

Teofil kopnął mocno w drzwi i napał na nie całym ciężarem ciała. Na nieszczęście okazało się jednak, że te nie były zamknięte, więc wleciał do środka jak kula armatnia. Przeleciał przez przedpokój i upadł jak długi w pokoju, który przypominał salon w muzeum. Piękne, stylowe kanapy i fotele stały na środku wielkiego pomieszczenia, a pod ścianami witryny i kredensy. Na ścianach zaś wisiały ręcznie malowane obrazy przedstawiające jakieś krajobrazy. Tę stylową harmonię zakłócał tylko jeden niepasujący do wnętrza szczegół. Facet siedzący na kanapie z dziurą w głowie.

– No i kazałem cię przenieść tym dwóm szuszwolom, co nas tu podwieźli, żebyś nie leżał u nich w tej nysce, i jeszcze kazałem zabezpieczyć wszystko i wysłałem chłopaków na komendę po jakiegoś technika do zabezpieczenia śladów – wyjaśnił po kolei Olkiewicz Brodziakowi, który powoli oswajał się z rzeczywistością. Wódka już zaczynała wyparowywać mu z głowy, ale jeszcze wszystkiego dokładnie nie kojarzył. Przede wszystkim ciągle nie miał pojęcia, skąd wziął się w tym mieszkaniu i co to w ogóle jest za mieszkanie. Jedno było pewne, to miejsce popełnienia przestępstwa, skoro w fotelu siedzi zabity człowiek.

– A ten trup to co za jeden? – zapytał Mirek, który poczuł, że wreszcie myśli zaczynają mu we właściwy sposób przepływać przez głowę.

– Trup? A skąd ja mogę wiedzieć? Trup to trup. Ale najważniejsze, że ten gość, co jego zabili, ma całkiem dobrze zaopatrzone barek. Czysta i whisky, i coś tam jeszcze, jakiś gin czy coś takiego, ino że śmierdzi to jakimiś perfumami, to próbować nie będę, bo jestem obrzydliwy i przemysławki nie piję, jak nie trzeba. To co, czego się napijesz na klina?

Mirek natychmiast poczuł, że na samą myśl o klinie robi mu się niedobrze. Już chyba lepiej rzucić okiem na tego trupa.

Godzina 5.15

Rychu wyszedł spod prysznic i założył na mokre, rozgrzane ciało frotowy szlafrok. Nie lubił wycierać się ręcznikiem, wołał, żeby woda wsiąkała w miękką szlafrokową tkaninę przywiezioną wprost z Turcji. Jednak żeby nie pomoczyć podłogi poza łazienką, starannie otarł stopy i wsunął na nie papcie. Laura już wcześniej zdążyła się wykapać i zapewne położyła się, dlatego postanowił, że nie będzie jej przeszkadzał. Niech się dziewczyna wyśpi, pomyślał. On w tym czasie przejrzy swoje papiery, do których zabierał się od dawna, ale jakoś nie znalazł wolnej chwili. Nie lubił papierkowej roboty i dlatego z radością oddał wszystkie rachunki swojej dziewczynie.

Zanim się pojawiła, dokumenty wkładał do zamykanej na klucz szafy w swoim gabinecie. W ten sposób przez kilka lat działalności zakładu samochodowego uzbierała się góra papierów, z którymi nie bardzo wiedział, co zrobić. W razie jakiejś szczególnie upierdliwej kontroli mógł mieć poważne problemy. Ale radził sobie w najprostszy z możliwych sposobów. Kontrolerowi wręczał w prezencie gruby plik dolarowych banknotów, a ten sporządzał pokontrolny raport, z którego wynikało, że: *Autonaprawa – samochody krajowe i zagraniczne Ryszard Grubiński to solidna firma, która ma idealny porządek w papierach*. Rychu obawiał się jednak sytuacji, w której w jego zakładzie pojawi się jakiś nieprzekupny pracownik skarbowki. Owszem, można było takiego postraszyć, przystawiając mu pistolet do głowy, ale takie załatwianie spraw było dość ryzykowne, tym bardziej że Grubiński chciał, by ta część jego działalności biznesowej była poza wszelkimi podejrzeniami.

Na szczęście poznał Laurę. Dziewczyna, natrafiwszy na walające się dokumenty, natychmiast zaproponowała, że się tym zajmie i je uporządkuje. Rychu początkowo wziął to za fanaberię nudzącej się panienki. Wkrótce jednak się okazało, że zamiast papierowych stert w szafie pojawiły się opisane na grzbietach kaligraficznym pismem segregatory.

– Teraz wszystkie papiery proszę kłaść do mojej przegródki – wskazała na kartonik stojący na niewielkiej komódce w biurze Rycha. – Niczego nie wkładaj do szuflady, nie zanoś do warsztatu ani kuchni. Papiery mają być w biurze, a ja się nimi zajmę – oświadczyła, a on nawet nie pomyślał, by się jej sprzeciwić. Najpierw zawładnęła jego łóżkiem, zaraz potem kuchnią, a w końcu biurem. No trudno, myślał Rychu, przynajmniej nie myśli o śpiewaniu.

Grubiński musiał przyznać, że dotąd w jego domu brakowało kobiecej ręki. Najpierw pojawiły się nowe meble w kuchni, a potem w salonie i sypialni. Od tamtej chwili spał w wielkim wygodnym łóżku, oglądał telewizję, leżąc na skórzanej kanapie, i jadł codzienny obiad przy stole w kuchni. Wkrótce nie mógł się już obejść bez Laury.

W zasadzie wszystkie sprawy dotyczące warsztatu i domu oddał jej w zarząd. Postanowił jednak, że będzie trzymał dziewczynę z daleka od spraw związanych z jego główną gałęzią działalności, czyli kwestiami cinkciarsko-walutowymi.

– Zajmujesz się firmą samochodową i masz być z daleka od brudów walutowych – tłumaczył jej swoją decyzję, a ona nadąsana słuchała, nawet nie próbując negocjować. Zdążyła go już na tyle poznać, że wiedziała, jak trudno go przekonać. – Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby w razie jakichś kłopotów zamknęli mnie i na dodatek jeszcze ciebie. Ty masz być czysta jak święta dziewica.

– Mogę być twoją dziewicą niepokalaną, ale poza naszym łóżkiem w sypialni – odburknęła niezbyt zadowolona z takiego obrotu spraw. Jednak musiała mu przyznać rację. On w ten sposób zabezpieczał się na wszelki wypadek, a ona w razie jakiejś wpadki miała być jego polisą ubezpieczeniową.

Teraz polisa, nieco odurzona wódką z colą, spała na górze, a on zabrał się za sprawdzanie ostatnich rachunków za naprawę aut. Coś mu nie pasowało, bo naprawy – z tego, co zdążył się zorientować – były poważne, ponieważ auta przywiezione z Niemiec zostały mocno potrzaskane w wypadkach, jednak wpływy za robocizną nie były za wysokie. Mogło to oznaczać jedno. Któryś z mechaników wystawiał zaniżone rachunki, a nadwyżką kasy musiał dzielić się z gościem, który sprowadzał samochody. W ten sposób obaj oszukiwali zakład.

Rozłożył segregator ze starannie powcinanymi rachunkami z ostatniego miesiąca i zaczął przeglądać je po kolei. Pierwszy niezbyt precyzyjny rachunek z mało czytelnie wpisanymi pozycjami części w specyfikacji znalazł po pięciu minutach. Na kolejne dwa natrafił kilka kartek dalej. Przy piątym postanowił, że musi nieco rozjaśnić myśli. Sięgnął do szafki w bogato rzeźbionym biurku na lwich łapach i wyjął z niej butelkę whisky. Nalał do szklanki porcję na trzy palce i pociągnął łyk. Był zadowolony, bo przecucie go nie myliło. Teraz tylko musi pokazać Laurze te papiery, a ona niech przeleci wszystkie rachunki kilka miesięcy wstecz.

Usłyszawszy ciche kroki piętro wyżej, uśmiechnął się do swoich myśli. Laura się obudziła i nie znalazłszy go przy sobie, pewnie poszła do toalety sprawdzić, czy go tam nie ma. Jeśli go tam nie znajdzie, zaraz zejdzie na dół do biura i powie, że ma natychmiast skończyć to siedzenie po nocy i pójść do łóżka. Chwycił więc szklankę i dopił alkohol do dna. Po co miałby się zmarnować. Zwietrzały jutro już nie nadawałby się do picia...

Seria z pistoletu maszynowego przeorała ciszę niczym ruski myśliwiec. Rychu schylił się odruchowo, jednak nikt do niego nie strzelał. Strzały dobiegły z góry. Nim sobie

uświadomił, co właściwie się dzieje, miał już w dłoni pistolet Beretta 92, który dostał w prezencie od Mirka Brodziaka. Natychmiast przeładował broń i otworzywszy drzwi, spojrzął na schody. Były ciemne, oświetlone tylko niezbyt jasnym snopem światła wydobywającym się z biura. Natychmiast wyłączył lampę i po omacku ruszył na górę. Nie miał na nogach papci, więc poruszał się niemal bezszelestnie. Zza drzwi prowadzących do części mieszkalnej usłyszał jakieś głosy. Ktoś chodził po jego mieszkaniu. Jacyś ludzie weszli do domu i zaczęli strzelać. Boże, do kogo? Tam w łóżku była tylko Laura. Jeśli strzelali, na pewno chcieli kropnąć jego, a nie ją. Może oddali te strzały, żeby ich tylko przestraszyć... Ale dlaczego nie weszli do biura, w którym przecież on siedział. W biurze paliło się światło i dzięki temu byłby widoczny jak na dłoni... Dla napastników, którzy wchodziliby do domu przez teren warsztatu. A oni musieli się dostać do środka przez salon, to znaczy przez drzwi prowadzące wprost z ogrodu. Nie widzieli więc światła.

– Nie ma go, kurwa! – warknął jakiś człowiek tuż za drzwiami prowadzącymi na schody.

– Przecież miał być, znaczy był. Dopiero co oboje wrócili do domu.

– Może gdzieś leży pijany.

– Był trzeźwy. To przecież on prowadził samochód...

– To nie stój tak, kurwa, tylko szukaj. Trzeba przeszukać wszystkie pokoje!

– A tu co jest?

– Pewnie zejście do przyziemia.

– Może on jest na dole w swoim biurze?

– Co by po nocy miał robić w biurze.

– Trzeba to sprawdzić...

Usłyszał kroki na podłodze z lastryka, a potem jakaś dłoń chwyciła za klamkę i pociągnęła drzwi w swoją stronę. Mężczyzna z wąsami i brodą najwyraźniej zdziwił się, widząc wymierzoną w siebie lufę pistoletu. Na ramieniu miał przewieszoną kałasznikowa ze składaną metalową rączką. Chwycił za pistolet maszynowy, ale nie miał najmniejszej szansy zrobić z niego użytku. Rychu pociągnął za spust i kula trafiła brodacza prosto w splot słoneczny. Siła pocisku rzuciła go na ścianę po przeciwnej stronie korytarzyka. Grubiński nie czekał ani sekundy, chcąc maksymalnie wykorzystać zaskoczenie. Ruszył zaraz na prawo, gdzie – jak mu się wydawało – powinien być ten drugi. Facet stał na środku pokoju z rewolwerem w dłoni. Gdy dostrzegł Rycha, strzelił dwukrotnie i pobiegł w kierunku otwartych szeroko drzwi na taras. Rychu nie został nawet draśnięty. Kule uderzyły we framugę drzwi, dobre pół metra od niego. Widząc uciekającego napastnika, złożył się do

strzału i niemal nie celując, posłał za nim kulę. Facet się przewrócił, ale natychmiast się pozbierał i znów strzelił dwa razy za siebie. Znowu chybił. Nie sprawdzając, jaki był efekt ostrzału, pobiegł na skraj tarasu i kuśtykając, zaczął schodzić do ogrodu. Tym razem Rychu miał czas, by wycelować. Pociągnął za spust i uciekinier padł przed siebie na trawnik jak rażony gromem. Leżał na brzuchu i jęczał oszołomiony bólem, trzymając się za udo. Nie było najmniejszej szansy, żeby w takim stanie gdzieś uciekł albo próbował strzelać. Pistolet wypadł mu z ręki. Rychu zszedł na dół i pochylił się, by podnieść broń. Był to stary niemiecki luger. Schował go do kieszeni, a potem pochylił się nad rannym mężczyzną.

– Za chwilę sobie pogadamy! – szepnął mu do ucha, a potem zdzielił kolbą beretty w okolice ucha. Zostawił go samego i pognął na górę. W zasadzie już wiedział, czego może się spodziewać w sypialni, choć cały czas miał jeszcze nadzieję.

Twarz Laury wyglądała tak, jakby dziewczyna spała. Kołdra, pod którą leżała, była cała we krwi. Rychu usiadł na skraju łóżka i ostrożnie zdjął przykrycie. Przez chwilę w bezsilnej wściekłości patrzył na zmasakrowane ciało. Zdawało się, jakby od nóg do obojczyka przeorała ją jakaś potężna maszyna do szycia...

Pochylił się i przyłożył policzek do jej czoła. Było ciepłe. Chwycił ją pod ramiona i przytulił do siebie. Trzymał mocno, jakby to mogło sprawić, że nie odejdzie, że zatrzyma ją przy sobie tak długo, jak będzie w jego ramionach. Poczul, jak ciepło wypływa z jej ciała i rozlewa się po jego piersi i brzuchu, ale wcale go to nie obchodziło. Chciał ją tylko mieć przy sobie...

Otarł dłonią mokre oczy, rozmazując na twarzy krew pomieszaną ze łzami. Nie wiadomo dlaczego nagle przypomniał sobie moment, kiedy płakał ostatnim razem. Miał wtedy dziesięć lat i ojciec wlał mu pasem, gdy się dowiedział, że razem z Brodziakiem wyzarli wszystkie czereśnie w ogródku jakiegoś emeryta z Chwaliszewa.

– Nie za to dostajesz w dupę, że kradniesz, bo kraść to ludzka rzecz, ale za to, że okradasz biedaka – wyjaśnił mu jego stary i wymierzył dziesięć pasów na gołą dupę. Potem nie płakał już nigdy więcej. Ale też nauczył się jednej rzeczy – nigdy nie okrada się tych, którzy mają mniej od ciebie.

Teraz płakał tak jak wtedy, bo czuł się całkowicie bezradny. Jego dziewczyna odeszła, a on, który powinien ją chronić, nie zrobił nic, by zapewnić jej bezpieczeństwo... Zaraz, bezradny? Nie do końca była to prawda. Jej już nie mógł w żaden sposób pomóc, ale mógł ją pomścić. Ta myśl zawładnęła nim całkowicie. Położył Laurę ostrożnie na łóżku, a potem ruszył w kierunku ogrodu. Był cały pomazany krwią, a jego biały szlafrok wyglądał jak fartuch rzeźnika. Ale co go to mogło obchodzić...

Kopnął leżącego mężczyznę w brzuch. Ten jęknął i odwrócił głowę w jego stronę.

– Tylko od ciebie zależy, czy umrzesz szybko i w miarę bezboleśnie, czy też chcesz ten moment przeciągnąć na kilka bardzo bolesnych dni.

– Ty, kurwa, nic nie rozumiesz... – Facet z trudem wyrzucił z siebie zdanie.

– Spróbuję zrozumieć.

– Nie wiesz, kto za mną stoi...

– To mnie oświeć, gnoju!

– Nie mogę powiedzieć, bo mnie zabijają...

– Być może, ale jeśli nie powiesz, to obiecuję, że pójdziesz do piekła w kilkudziesięciu kawałkach...

Wschodzące słońce oświetliło swoimi promieniami prosty dach willi Grubińskiego. Na ten widok uradowane ptaki rozpoczęły swój poranny koncert, a koty na sąsiedniej posesji, jak to na wiosnę, zaczęły drzeć się wniebogłosy.

Godzina 6.30

Mirek Brodziak spojrzął na lekarza. Ten najwyraźniej niewiele jeszcze wiedział o swojej robocie. Dwudziestokilkulatek dopiero terminował w Zakładzie Medycyny Sądowej, zdobywając doświadczenie na nocnej zmianie. Przecież nie można było wymagać, żeby pięćdziesięcioletni doktor Drzewiecki, najlepszy specjalista od ran postrzałowych, siedział w nocy na dyżurze. Wiadomo, że do takiej roboty najlepiej nadawali się młodzi. Nie tylko zresztą wśród lekarzy. Podobnie było w milicji. Dlatego Brodziak, spoglądając na młodzieńca o piegowatej twarzy z rudą grzywką zaczesaną na bok i w dużych, modnych okularach na nosie, pomyślał sobie, że lekarz jak najbardziej jest tu na miejscu, ale on, kapitan milicji, powinien dopiero przewracać się na drugi bok w swoim łóżku. Tymczasem siedział przy stole w pięknie umeblowanym salonie, przywodzącym na myśl dekoracje z serialu o Nikodemie Dyzmie, i był jak ten filmowy Nikodem całkowicie nie na swoim miejscu. Za to Teofil Olkiewicz czuł się jak ryba w wodzie. Siedział naprzeciwko i zadowolony popijał wódkę ze szklanki, paląc przy tym kolejnego śmierdzącego papierosa.

– No i co tam odkrył pan doktor? – zapytał w końcu zniecierpliwiony Mirek. Bo lekarz jego zdaniem trochę zbyt szczegółowo podszedł do swojej pracy. Miał tylko na podstawie

wstępnych oględzin wpisać szacowany czas i przyczynę zgonu. Wszystko to przecież było jasne jak słońce, a ten stał, patrzył, dotykał, zapisywał i marszcząc czoło, wyciągał wnioski.

– Postrzał w głowę, niemalże z przyłożenia, o czym świadczą ciemne ślady prochu na skórze denata – odpowiedział, zaglądając do swoich notatek.

– Kaliber broni? – Mirek spojrzał badawczo na młodzieńca.

– Otwór wlotowy niewielki, a część potyliczna zmasakrowana, oznaczać to może duży kaliber, na przykład dziewięć milimetrów, czyli obstawilibym niemieckiego lugera.

Brodziak zdziwił się, bo wniosek był słuszny. Widywał już efekty takiego strzału. Ostatni raz wczoraj podczas wizyty w zakładzie u Drzewieckiego. Ten cinkciarz był zastrzelony dokładnie w taki sam sposób. Przypadek? Nie wierzył w takie zbiegi okoliczności...

– Bardzo słuszna diagnoza – pochwalił młodzieńca, a ten uśmiechnął się zadowolony.

– A czas zgonu.

– Z tego, co udało mi się ustalić na podstawie temperatury ciała, zważywszy, że po śmierci ciało stygnie z prędkością...

– A po cholere to ustalać? – wszedł mu w słowo Olkiewicz. – Przecież my wiemy dokładnie, że ten tu gość został zastrzelony, tak jak mnie powiadał ten mój dawny dowódca Wróbel, że strzał był o godzinie trzeciej i pięćdziesiąt dziewięć minut, bo ten facet jest taki akuratywny, że jak usłyszał strzał, to zaraz popatrzył na zegar w swoim pokoju i zapisał godzinę na gazecie, żeby był ślad, że nic nie pomylił. Trzeba by ino jeszcze sprawdzić, czy mu się zegar nie spóźnia albo nie śpieszy, bo z takimi starymi zegarami na sprężynę to różnie może być. Ja mam swój w dużym pokoju i jakby się go nie nakręciło, to on i tak spóźnia się zawsze pięć minut, taki cholernik uparty. Już dawno gadałem mojej Jadwidze, żeby wyrzucić jego w cholere, bo to jeszcze przedwojenny jest ten zegar, i żeby kupić taki na ścianę na baterijkę, bo takie na baterijki to się nie spóźniają. Ja sam na Łazarzu widziałem taki ładny zegar, okrągły i plastikowy, co miał na tym cyferblacie wymalowaną głowę takiego kociambra, co się jemu ślepia ruszały wte i wewte, o tak, o...

Rozwarł szeroko powieki i spojrzał szybko w lewo, potem w prawo i znów w lewo.

– Ty żeś powinien występować w cyrku, Teoś, ha, ha, ha! – skwitował występ kolegi Brodziak.

– Jak byłem mały, to chciałem być zapaśnikiem cyrkowym, ale jakoś nie poszło... Ale w zapasach to bym jeszcze niejednego młodego rozłożył na łopatki – mówiąc to, poklepał się po brzuchu. – Widzisz, co to jest? – Spojrzał na Brodziaka z zadowoloną miną, czekając na odpowiedź.

– Jak co? No twój bebzol.

– I właśnie, że nie. Tak gadają ino ci, co się nie znają na zapasach.

– A ci, co się znają, to co gadają?

– Ci wiedzą, że to nic innego, ino podwójna przepona.

– Aha. A niby czemu podwójna? – Mirek był najwyraźniej zainteresowany teorią przyjaciela.

– Bo się wyrabia, jak człowiek dużo ćwiczy zapasy.

– Niemożliwe. Doktorze, jest coś takiego jak podwójna przepona?

Lekarz spojrzał zdziwiony na Brodziaka, a potem poklepał się po płaskim jak stół brzuchu.

– W zasadzie to nie ma żadnych dowodów, żeby coś takiego istniało. Chociaż jakby się dobrze przyjrzeć sprawie, to można by powiedzieć, że brzuchy zapaśników czy bokserów są bardzo mocno umięśnione, więc w szczególnych przypadkach podwójna przepona rzeczywiście istnieje, ale tylko teoretycznie jako...

– A u pijaków w takim razie powinna być podwójna wątroba – skwitował ten wywód Brodziak, spoglądając wymownie na Olkiewicza. Ten zadowolony klepnął się w udo, a potem nalał sobie do szklanki kolejną porcję wódki.

– No to ja już wszystko teraz rozumiem. Od zapasów mam podwójną przeponę, a od wódeczki podwójną wątrobę, dobre, ha, ha! To co, Miras, nie napijesz się małego na kaca?

– Nie mam kaca. – Kapitan zdecydowanie pokręcił głową, a Olkiewicz wrzucił ramionami i wypił całą zawartość szklanki.

Zza drzwi wychodzących na korytarz dało się słyszeć jakiś rumor. Wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli w tamtym kierunku. W wejściu stanął zadowolony podporucznik Mariusz Błaszkowski.

– Melduję, że sprowadziłem ekipę techniczną – mówiąc to, zsalutował do daszka swojej milicyjnej, rzadko używanej czapki. Brodziak i Olkiewicz aż otworzyli usta ze zdumienia na widok swojego młodszego kolegi ubranego w mundur. Ostatni raz widzieli go bowiem w takim stroju kilka lat temu, gdy praktykował w ich wydziale jeszcze jako starszy szeregowy. Wówczas któregoś dnia Brodziak wziął go na bok i wytłumaczył, że w ich wydziale chodzi się do roboty w cywilnych ciuchach, dzięki którym milicjanci upodabniają się do zwykłych obywateli. On na przykład ubiera się jak cinkciarz, Marcinkowski jak nauczyciel matematyki, Olkiewicz jak szuszwol w niedzielę, więc teraz Mariusz powinien sam sobie wybrać swój image. No i Błaszkowski wybrał. Następnego dnia przyszedł do pracy w dzinsach, kurtce dzinsowej i białych adidasach. W tym ubraniu wyglądał niemal jak

młodsza kopia Brodziaka. No i gdy wrócił do wydziału po skończeniu szkoły oficerskiej, przywdział swój dawny, niejednokrotnie sprawdzony strój. Ale dziś wyglądał zupełnie inaczej, jak młody milicjant wycięty wprost z okładki pisma „W Służbie Narodu”.

– Ty, Miras, żeś widział kiedy takiego ładnego milicjanta? – odezwał się w końcu Olkiewicz.

– Tacy ładni tylko w filmie występują.

– Niech mnie diabli, Blacha, to naprawdę ty? To trzeba sprawdzić. Napijesz się wódki?

– Nie piję alkoholu, ale ja...

– To Blacha, bo nie chce się napić – zawyrokował Olkiewicz.

– Jak pragnę zdrowia, panowie, dajcie już spokój. Mundur założyłem, bo dzięki niemu jestem tak szybko z technikami. – Odwrócił się za siebie i spojrzał w głąb korytarza, gdzie zespół techniczny rozkładał właśnie swój sprzęt. – Jakbym był bez munduru, to bym pewnie jeszcze wszystko musiał tłumaczyć dwa razy albo i nawet ze cztery. Bo przecież tam na stanowisku dyżurnego to nikt mnie nie zna, więc jak zobaczyli oficera umundurowanego i w towarzystwie dwóch podoficerów, co ich przysłaliście po mnie, to już żadnej gadki nie było, tylko zaraz zaczęli organizować techników.

Brodziak z uznaniem pokiwał głową. Ten młody miał jednak łeb nie od parady. To była dobra decyzja, żeby wciągnąć go do pracy w zespole. I teraz jak zwykle też potrafił zareagować w odpowiedni sposób.

– Mądrze to wymyśliłeś, Blacha – pochwalił młodego. – A co żeś powiedział o tym, że jesteśmy tu na miejscu?

– Dyżurny marudził, że to wchodzenie w kompetencje i sprawą powinna zająć się komenda miejska, a nie wojewódzka, no to mu wytłumaczyłem, tak jak kapitan kazał, że miejska prowadzi śledztwo, a kapitan Brodziak jest doradcą kapitana Marjańskiego w tej sprawie.

– I bardzo dobrze! To mamy wolną rękę – ucieszył się Mirek. – Możemy się brać do roboty. – Poderwał się z krzesła bardzo zadowolony, że Blaszkowski, któremu przekazał wszystkie wytyczne telefonicznie, tak ładnie wybrnął z trudnej sytuacji. Spór kompetencyjny mógł im bowiem utrudnić robotę, a tak teoretycznie śledztwo prowadził nadal Marjański, natomiast Brodziak tylko mu asystował do czasu, aż sam nie przejmie sprawy, gdy tylko uda się wykazać, że zastrzelenie cinkciarza nad Bogdanką ma coś wspólnego z tym dzisiejszym morderstwem. A tego akurat Mirek był prawie pewien. Pozostawała jeszcze jedna kwestia. Trzeba było zawiadomić o wszystkim tego, który formalnie prowadził dochodzenie. Mirek cały czas pamiętał o tym, ale teraz jakoś wypadło mu to z głowy. Gdy lekarz się odmeldował,

przywołał do siebie Blaszkowskiego i zaczął mu coś tłumaczyć, wskazując na ciało denata. Podporucznik kiwał cały czas głową jak modlący się chasyd i jednocześnie zapisywał wszystko w swoim notesie.

Do pokoju wszedł major Adameczyk, ich wydziałowy spec od zabezpieczania śladów. Skinął głową Brodziakowi, uściśnął dłoń Teofilowi i spojrzawszy na trupa, zaklął pod nosem.

– No to teraz wszyscy wynosić mi się z tego pokoju, żeby po was żadnego śladu tu nie było. Wszystko, czegoście dotknęli, zabierać mi stąd, ale już!

Brodziak i Blaszkowski wyszli natychmiast. Teofil tymczasem chwycił szklanę i do połowy wypitą butelkę, do tego jeszcze pełną niedopałków popielniczkę zrobioną z nakrętki od słoika i również wyszedł. Dostrzegłszy tę prowizoryczną popielniczkę, major z uznaniem pokiwał głową. Widać było, że Olkiewicz zastosował się do jego wytycznych. To on bowiem przez całe lata, walcząc z palącymi na miejscu zbrodni milicjantami, wprowadził prostą zasadę – chcesz palić, proszę bardzo, ale nie petuj do popielniczki, która stoi na miejscu przestępstwa, ani do kwiatków na parapecie. Zrób sobie własną petownicę z czegokolwiek, najlepiej z dekielka od słoika, tam strzepuj popiół i wrzucaj niedopałki. No i jak właśnie zauważył, najbardziej pojętym jego uczniem okazał się Teofil Olkiewicz.

– Jak chcecie palić, to tu wyrzucajcie pety – powiedział Teoś do dwóch stojących przed drzwiami milicjantów, wskazując im jednocześnie popielniczkę, którą postawił na schodach w korytarzu.

– Obywatelu poruczniku, ja względem tej nocki. – Plutonowy Pawlak zsalutował do daszka czapki, żeby było widać, że zna się na regulaminie służby i zapytanie ma po linii służbowej.

– No i co z nocką? – mruknął Teofil, który najchętniej by gdzieś usiadł, ale nie bardzo wiedział, co ma ze sobą począć.

– Bo, znaczy się, zaraz godzina siódma będzie, a my o siódmej kończymy robotę i auto trzeba na bazę odstawić.

Teofil wzruszył ramionami. Do niczego nie potrzebował tych dwóch smutasów, tym bardziej że ich butelka poloneza już zdążyła się wypić.

– Możecie se jechać. – Machnął ręką, jednak zaraz sobie o czymś przypomniał. – Możecie se jechać, jak załatwicie kogoś na wasze miejsce. Niech mi tu przyślą kilku mundurowych do pilnowania porządku, bo za chwilę wiara będzie tu wlaźć do mieszkania jak do muzeum na zwiedzanie – mówiąc to, wskazał na grupę kilku sąsiadek stojących na podeście schodów pół pietra niżej.

– Tak jest! – Pawlak znów zasalutował i zaraz podbiegł w dół, żeby połączyć się z oficerem dyżurnym w sprawie przysłania zmiany. Olkiewicz tymczasem, rozejrzawszy się po zaniedbanej klatce schodowej, doszedł do przekonania, że właściwie jest jedno miejsce, gdzie mógłby przeczekać jakiś czas, to znaczy do chwili gdy Adamski upora się z nudnym zajęciem, jakim było przeszukanie mieszkania. Ruszył więc na dół śladem plutonowego, przepchał się między kobietami, które obrzuciły go badawczymi spojrzeniami, ale widać nie wzbudził ich szczególnego zainteresowania, bo żadna nie odezwała się do niego słowem. Piętro niżej natrafił na drzwi opatrzone mosiężną tabliczką ze znajomym nazwiskiem poprzedzonym jakimś skrótami. Teofil przyjrzał się jej uważnie i z zaskoczeniem odkrył, że jego były szef ma przed nazwiskiem skrót mgr, co mogło oznaczać, że albo jest magazynierem, albo magistrem. Magister pasowało raczej do aptekarza, więc Teoś zdecydował, że Alojzy Wróbel musi dorabiać sobie na emeryturze w jakimś magazynie.

Podniósł rękę do dzwonka, jednak nie od razu zadzwonił, bo na schodach tuż koło niego pojawił się znajomy milicjant w stopniu kapitana.

– O, kapitan Maryjanek! – ucieszył się na jego widok. Jak zwykle przekreślił nazwisko kolegi z miejskiej, bo jakoś nie potrafił zapamiętać, jak brzmi jego poprawna wersja.

– Już jestem. Dzwonili do mnie do domu, że drugie zabójstwo z rewolweru...

– Cicho, bo te baby zaraz wszystko rozniosą po okolicy. – Teoś wskazał na kobiety stojące na schodach i wpatrzone w nich jak w kadr z filmu o poruczniku Columbo.

– Prawda, lepiej, żeby nikt nic...

– No właśnie, o to się rozchodzi, a technicy są na górze piętro wyżej.

– Aha, to ja lecę, a wy to niby co tu robicie?

– Ja? – zdziwił się tym pytaniem, bo jak to co robi? To, co zawsze, czyli rozgląda się, ale ten Maryjanek i tak nie zrozumie, w czym rzecz. Zresztą kapitan nawet nie poczekał, aż Olkiewicz cokolwiek odpowie. Pognał na górę, jakby go kto gonił, więc Teofil spokojnie przycisnął dzwonek.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Wróbel widocznie czekał na niego. Świadczyła o tym mina byłego milicjanta, który powitał swojego podwładnego szerokim uśmiechem. Zanim Olkiewicz zdążył cokolwiek powiedzieć, emeryt niemal krzyknął z wyrzutem:

– No ile można, Olkiewicz? Czekam i czekam, a wy tam se siedzicie na górze i pewnie o dupie Maryni gadacie, a ja tu już wam wszystko napisałem, bo wiem, że nie bardzo lubicie pisać. Pamiętam, pamiętam, jak żeście się zawsze nad raportami męczyli...

– Od pisania są pisarze, he, he, he! – stwierdził Teofil, wchodząc do mieszkania. – Bo ja chciałem pogadać i coś na rozgrzewkę wypić – stwierdził, wyciągając napoczętą butelkę, którą znalazł w mieszkaniu na górze.

– Wypić? A dlaczego by nie. Z największą przyjemnością się wypije, choć pora jakby wczesna trochę. Ale co tam, ze starym kolegą z pracy można. Wypijemy po kieliszeczku, a ja wam przeczytam mój raporcik.

– Jaki raporcik, do cholery? – Teofil się zdenerwował, bo nade wszystko nie lubił żadnych cholernych raportów, a w szczególności niepotrzebnych raportów, które mogły go odciągać od właściwych, strategicznych celów.

– No jak jaki? Raporcik o tym, kto zamordował tego nieszczęsnego kolekcjonera sztuki i handlarza walutą i do tego jeszcze producenta dziurawych spodni w jednej osobie, Marcelego Krzyżaniaka, znaczy się mojego sąsiada z góry.

Teos Olkiewicz machnął ręką. A co tam, niech sobie czyta, ile chce. Najważniejsze, że on będzie mógł wygodnie usiąść i odpocząć po całonocnych trudach.

Tarnowo Podgórne

Godzina 9.40

– A jak coś nie wyjdzie? Jak się coś nie uda, to przecież oni...

Ajent restauracji i hotelu Franek Walasik cały czas miał w pamięci lufę pistoletu wycelowaną w jego głowę. Nie był to zbyt przyjemny widok. Jeszcze mniej przyjemnie byłoby, gdyby z tej lufy wyleciał nabój i trafił go w czoło. To właściwie byłoby bardzo niekomfortowe, zwłaszcza teraz, gdy nieopatrznie poprosił swoją recepcjonistkę Zosię o rękę. Wczoraj zrobił to niemalże odruchowo, popchnięty do działania jakimś impulsem. No i dopiero dzisiaj, gdy już całkowicie wytrzeźwiał, zaczął się poważnie zastanawiać, czy aby się nie wycofać z tego wszystkiego. Jednak wystarczyło, że tylko spojrzął na dziewczynę leżącą obok niego nago na łóżku i od razu wątpliwości się rozwiały. Gdzie znajdzie lepszą, która tak potrafiłaby o niego zadbać? Wczoraj, mimo że nie miała dyżuru, przyszła do pracy, żeby pomagać przy obsłudze tych dwóch specjalnych gości. A gdy wszyscy trzej już się odpowiednio znieczulili i przestali reagować na jakiegokolwiek bodźce zewnętrzne, zarządziła odprowadzenie ich do łóżek, a jego zatargała na własnych plecach. To akurat pamiętał, że się

wyrywał i chciał jeszcze pić, ale nie dał jej rady. Silna była cholera, trzeba to przyznać. Potem go rozebrała i wrzuciła do łóżka, sama kładąc się obok. No i teraz, gdy w końcu się podniósł, doszedł do przekonania, że musi razem ze swoim kuzynem zrobić wszystko, żeby tych dwóch bandziorów jakoś załatwić, bo jak nie, to oni załatwią jego. Skoro już tak wyszło, że miał się ożenić, to głupio by było umierać przed ślubem.

– Tak będzie najlepiej, uwierz mi, że inaczej się nie da – próbował przekonać swojego kuzyna Albin Stefański, milicjant, który dziś z Pniew przyjechał do Tarnowa Podgórnego po cywilnemu. Jako że wypadł mu akurat w grafiku dzień wolny, wsiadł na swój prywatny motor emzetkę i do hotelu, który prowadził jego krewniak, dotarł w pół godziny, ciesząc się szybką jazdą i zimnym powietrzem owiewającym mu twarz. Przydała się ta jazda motorem od rana, bo po wczorajszym wieczorze czuł w głowie zamęt, a w żołądku ciężar. Ciężar ten spowodowała zapewne kielbasa na ciepło, którą pod wódkę zjedli ze Stefkiem Maryniakiem u niego w domu. Maryniakowa przygotowała jedzenie i picie, a potem poszła do sąsiedniej klatki do swojej koleżanki, żony Stefańskiego. Obie kobiety wolały spędzić wieczór na babskich pogaduchach przy włączonym telewizorze, a nie w towarzystwie mężów omawiających lewe interesy. Faceci dzięki temu mogli gadać całkowicie otwarcie i – tak jak to lubili – poprzeklinać do woli.

– Ten pierdolony kutas, nasz komendant Czyżak, to jest chuj na kaczych łapkach – stwierdził Stefański. – Niby z niego taki ówkok, co to do trzech nie umi zliczyć, a jakby co, to on liczy szybciej nawet ode mnie. Że też musiał nam się napatoczyć taki szef. Tylu kretynów jest w milicji, a nam przysłali najcwańszego gościa w województwie.

– Na to nic się już nie poradzi. – Maryniak pokiwał głową, a potem połał wódkę do kieliszków. Nie była to już jednak wódka z rozbitego samochodu, którą zarekwirowali po tym nieszczęsnym wypadku. Wprawdzie było jej sporo, ale alkohol ma to do siebie, że zawsze kończy się za wcześnie. Tamten skończył się jakiś tydzień po tym, jak go znaleźli w rozbitym aucie. Więc na dzisiejszy wieczór trzeba było się zaopatrzyć w nowe flaszki. No ale z tym przecież nie było żadnego problemu. Komu jak komu, ale milicjantowi zawrze sprzedadzą wódkę spod lady, nawet jeśli w sklepie monopolowym pustki. Choć przyznać trzeba, że od pewnego czasu zaopatrzenie nieco się poprawiło. Zaczęły pojawiać się wina zagraniczne, takie jak Sangria i Sophia, a do tego różne wódki smakowa dla koneserów – cytrynowka, pomarańczówka czy nawet ajerkoniak. Tyle że w kraju amatorów na takie wynalazki było niewiele, bo flaszki ze słodkimi ulepkami stały na półce, a prawdziwi smakosze patrzyli na nie z obrzydzeniem. Oni woleli zwykłą białą, nawet gdyby to była paskudna vistula albo choć baltic vodka. Ale nic z tego, białej nie było w sprzedaży, a gdy już się pojawiała, od razu

znikała z półek. Dla milicjantów jednak była specjalna i bardzo nieformalna pula, którą miejscowy kierownik monopolowego trzymał na zapleczu. Dlatego Maryniak mógł kupić bez problemów cztery flaszki, a Stefański dorzucił do tego dwa kilogramy swojskiej kiełbasy ze świniobicia. Dzięki temu ich spotkanie wyglądało jak prawdziwka uczta, bo na stole były jeszcze marynowane grzybki i ogórki w occie, a na zimno szynka konserwowa Krakusa. Życ nie umierać.

– My tu dzisiaj mamy wyzerkę, jakbyśmy w restauracji jakiej siedzieli – zauważył Stefański, przyglądając się smakołykom.

– Gość w dom... I coś tam dalej było w tym przysłowiu – przypomniał sobie Maryniak.

– Ty tam Boga do naszych spraw nie mieszaj. On ma swoje sprawy i w dupie ma nas z naszymi lewymi interesami.

– Myślisz? – Gospodarz wcale nie był tego taki pewny. Wprawdzie jako milicjant był wyznawcą materialistycznego światopoglądu, jednak nie miał stuprocentowej pewności, czy rzeczywiście Bóg, do którego modli się jego żona każdej niedzieli w kościele, rzeczywiście jest tylko zabobonem i opium dla mas, czy też może to kościelne masy mają rację, odurzone tym opium, a on się myli i żyje w błędzie, za który zostanie kiedyś rozliczony i przyjdzie mu wtedy słono zapłacić.

– Pewnie, że tak. – Stefański pokiwał głową z przekonaniem. – My se same we dwóch musimy pomóc i to jak najszybciej, bo jak nie, to kiepsko widzę naszą przyszłość w milicji, a kto wie, może i poza milicją. Lepiej jemu zatkać gębę i dać mu, co chce.

– A co on tak najdokładniej chce?

– Chce też mieć mieszkanie w Poznaniu, to wychodzi, że trzeba mu odpalić pięć patyków w zielonych.

– Skurwysyn jebany. Żeby jego cholera nagle zabiła na śmierć! – Maryniak był wstrząśnięty. Tyle pieniędzy wydać tak lekką ręką. To przecież była fortuna. Na głowę wychodziło po dwa i pół tysiąca dolarów, a on miał już zaplanowane wydatki w najdrobniejszych szczegółach. Ustalili z żoną, że kupią działkę budowlaną, żeby postawić dom. Nic wielkiego, parterowy, składający się z czterech pokoi, ale własny i z ogródkiem, żeby było co robić na emeryturze, i jeszcze chcieli dużego fiata kupić, ale jak oddadzą temu bandycie pieniądze, to już po marzeniach. Na auto nie wystarczy...

– Ja go zabiję! – stwierdził Maryniak.

– Jak? – Kolega spojrzał na niego uważnie.

– Cholera wie jak. Jakoś się to zrobi. Samochodem go przejadę albo zastrzelę skurwysyna.

– Nie bałbyś się?

– A skąd? Przecież to pierdolony złodziej. Dla takich to ja nie mam litości!

Milicjanci chwycili za kieliszki, stuknęli się nimi i wypili do dna. Stefański uśmiechnął się zadowolony i wsadził do ust wielkiego grzyba. Gryzł go, zmrużywszy oczy z wyraźną radością. A mało brakowało, by z tej uczy nic nie wyszło, bo do wychodzącego już dziś z domu chorążego zadzwonił rozhisteryzowany i roztrzęsiony kuzyn Walasik. Chciał, żeby milicjant natychmiast przyjechał do niego i jak najszybciej mu pomógł. Co było robić, musiał nakłamać w żywe oczy.

– Dyżur mam dzisiaj na komendzie i nie dam rady przyjechać...

– Oni mnie zabiją. Grozili mi pistoletem! Groził ci ktoś pistoletem?

Milicjant wzruszył ramionami. Co tam groził. Nawet strzelał. Jakiś miesiąc temu tak się popili na milicyjnej imprezie integracyjnej, że podczas uroczystego ogniska ktoś wpadł na pomysł, żeby wystrzelić raketnicę na wiwat, ale że raketnicy nie było, więc niektórzy koledzy przypomnieli sobie o swojej służbowej broni, wyjęli pistolety i zaczęli strzelać w górę. A że niektórzy już leżeli na śniegu, więc nie bardzo wiedzieli, gdzie góra, gdzie dół, i zaczęli walić na oślep. Aż dziw bierze, że skończyło się tylko na jednym odstrzelonym palcu. Od tego momentu komendant kategorycznie zabronił noszenia broni służbowej na jakiegokolwiek imprezy, gdzie mógł się pojawić alkohol.

– Jutro rano po dyżurze wsiadam na motor i jadę do ciebie, i wszystko obgadamy.

– Jutro rano może już nie będziesz miał z kim gadać.

– Jakby chcieli cię sprzątnąć, to już byś nie żył.

– Skąd wiesz? – zapytał podejrzliwie agent.

Okazało się jednak, że było z kim gadać, bo kuzyn przetrwał noc, chociaż niezbyt dobrze wyglądał.

– Bo chcą z tobą gadać. W takim razie się odezwą za kilka dni najwcześniej, żebyś se wszystko przemyślał. A dzisiaj możesz się spokojnie napić.

– No nawet mam taki zamiar, bo planuję gości na wieczór, naczelnika mojego z gminy i jeszcze jednego z Szamotuł.

– No widzisz, jak dobrze się składa. Wypij se, to się uspokoisz, a ja rano będę.

– Ale zabierz broń.

– Po cholere?

– Bo jakby chcieli mnie zabić, to ty ich kropniesz...

Przyjechał z bronią, ale był przekonany, że nie będzie musiał jej używać. Kuzyn siedział w swoim biurze na zapleczu restauracji. Na głowie miał zawinięty wilgotny turban z ręcznika, a przed nim na biurku stała szklanka z parującą herbatą.

– O widzę, że mocno było wczoraj – stwierdził milicjant, wchodząc do środka. Agent spojrzał na niego spode łba lekko zamglonymi oczyma.

– Ja się nie nadaję do picia – rzucił z pretensją w głosie, skierowaną nie wiadomo do kogo.

– Nikt się nie nadaje, ale wszyscy piją. Najważniejsze to wiedzieć, kiedy wstać od stołu.

– Niepotrzebni bandyci do zabijania mnie, ja sam z siebie, z własnej głupoty...

– To strzel sobie klina.

– Co? Nigdy w życiu. Wyciągnąłbym kopyta natychmiast. Herbatką się leczę. Herbatka na kaca jest najlepsza, jak się ją zrobi pół na pół z wódką. Jak to się wypije, to i przejdzie.

– Ha, ha, ha! No to znaczy, że tragedii nie ma. Gadaj, co się wczoraj stało.

– Wczoraj? – Walasik zmarszczył czoło i zaczął przeszukiwać zakamarki pamięci w poszukiwaniu właściwej odpowiedzi.

– Wczoraj poprosiłem o rękę moją Zośkę...

– Jaką Zośkę? Co ty pieprzysz, do cholery?

– No tę moją Zośkę z recepcji w hotelu... A prawda, ty jej nie znasz. No to ci ją zaraz przedstawię, bo ona teraz będzie już w rodzinie, a ślub to na jesień, we wrześniu albo jakoś tak będzie, ale jeszcze nie wiemy kiedy, bo się rozchodzi o to, że...

– Stary, węź, no, się obudź! Cieszę się, że będziesz miał wreszcie żonę i wyjdiesz na ludzi, ale nie po to jechałem tu w niedzielę szmat drogi, żebyś mi o weselu opowiadał! – Albin ruszył na niego, bo wydało mu się, że kuzyn pieprzy bez sensu. Ten spojrzał zdziwiony, a potem nagle twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. Widać odblokowała się jakaś zatrzaśnięta szufladka w głowie.

– Powiedzieli, że mnie zabiją, jak się nie zgodzę, żeby przejęli mój interes z walutą. Że będzie niedługo legalny i oni wchodzi z mną w spółkę i nie mam nic do gadania. To ja se myślę, jak to? Ja nie mam nic do gadania w moim hotelu?

Stefański rozsiadł się wygodnie w fotelu i wydobył z kieszeni swojej skórzanej kurtki klubowego. Przez chwilę rozgniatał go w palcach, bo papierosy były wyjątkowo niechlujnie zrobione i zdarzały się w nich jakieś źle pokrojone kawałki tytoniu. W końcu, gdy już klubowy wydał mu się wystarczająco miękkim, włożył go do ust i podpałił enerdowną

zapalniczką na gaz. Niewielki pokój biurowy błyskawicznie wypełnił się śmierdzącym dymem, ale żaden z mężczyzn nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

– Gdy się odezwą, umówisz się z nimi na spotkanie,

– I co wtedy?

– Pojedziesz z nimi w teren pokazać miejsce na kolejny punkt wymiany walut.

– I co dalej?

– A dalej to już se z nimi odpowiednio pogadamy – stwierdził milicjant i uśmiechnął się zadowolony. Cieszył się, bo kolejny raz się przekonał, że miewa czasami genialne pomysły.

Rozdział IV

Poznań Poniedziałek

6 marca 1989 r.

Godzina 6.10

Teofil Olkiewicz otworzył oczy i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie spał w domu. Leżał na niewygodnym, starym tapczanie na cholernej działce pracowniczej. Naraz przypomniał sobie, jak to wczoraj wbił łopatę w ziemię i jęknął tak głośno, że aż wróble siedzące na bezlistnej jabłonce przestraszone odleciały, świergocząc. Poza wróblami nikt go nie usłyszał, gdyż nikogo w pobliżu nie było. Bo kto normalny polazłby w niedzielę na pieprzone ogródki.

– A żeby to jasna cholera wzięła! – Spojrzał z rozpaczą na niewzruszoną grządkę i aż cały się zatrząsł. – Alem się dał zrobić w ziemię jak jaki idiota – mruczał do siebie, przeszukując kieszenie milicyjnej bluzy moro. W końcu natrafił na paczkę ekstremałów, włożył papierosa do ust i zapalił. Dym nieco ukoił mu nerwy, ale nie na tyle, żeby czuł się całkowicie odprężony. Gdzie tam, o tym w ogóle nie mogło być mowy. A wszystko przez własną głupotę, bo nie chciał pozwolić, by jego Jadwiga zadęczyła go gadaniem.

Gdy wchodził na drugie piętro swojej kamienicy, wracając po nocy pełnej niezwykłych wydarzeń, cały czas się zastanawiał, co zrobić, żeby uspokoić tę swoją Jadźkę. A że trzeba będzie ją uspokajać, tego był pewien niemal na sto procent. Miał przecież zostać tylko na

chwilę u Drażkowskich po tym, jak ona poszła już do domu zmęczona imprezą. Ale jak zwykle wszystko potoczyło się nie tak, jak planował. No przecież nie mógł wiedzieć wcześniej, że pojedzie odwiedzić Brodziaka i że po drodze przypała im się ten zastrzelony facet. A kiedy już się z tego wszystkiego wyplątał i Brodziak zakończył wizję lokalną, Teofil z radością pojechał do żony. Miał nadzieję, że będzie mógł się ze dwie, trzy godziny przespać przed obiadem, bo oczy już mu się zaczynały kleić. Chciało mu się spać, ale nie chciało mu się słuchać gderania Jadwigi. No i wtedy wpadł na genialny pomysł. Przed oczyma stanęła mu działka pracownicza, którą w ubiegłym roku jesienią kupili od wdowy po kolejarzu Wiśniewskim. Wiśniewska wcale nie miała ochoty tej działki sprzedawać, ale jako że już była po siedemdziesiątce, nie dawała rady sama wszystkiego oporządzić. Musiała się więc pozbyć swojego ukochanego i wypieszczonego ogródka.

– Pani Olkiewiczowa, w życiu bym jej nie oddała za żadne pieniądze, ale co ma robić wdowa? Wdowa musi oddać, za bezcen oddać, bo za duże pieniądze to nikt nie kupi – tłumaczyła Jadwidze swoją skomplikowaną sytuację.

Żona Olkiewicza kiwała ze zrozumieniem głową, polewając ajerkoniak do kieliszków. Właścicielka działki mimo podeszłego wieku natychmiast opróżniła swoją porcję, nie skrzywiwszy się nawet.

– A działka piękna, taka, że inne w okolicy to mogą się schować, bo mój Zygmunt, niech mu ziemia letka będzie, to sam wszystko potrafił nareperować. Powiadam pani, majster był z niego, że aż się ludzie dziwili.

Olkiewicz, siedząc w pokoju przed telewizorem, jeszcze nie przypuszczał, jaką niespodziankę szykował mu los. Palił sobie spokojnie papierosa i popijał wódkę ze szklanki, jak to w niedzielne wolne popołudnie miał w zwyczaju, relaksując się po ciężkim tygodniu pracy. Przypomniawszy sobie od razu, że rzeczywiście ten Zyga Wiśniewski to był sprytny chłop. Jeden z nielicznych, którzy potrafili wypić cztery szklanki wódki jedna po drugiej bez zapitki i zagrychy. Oczywiście tylko wtedy, gdy ktoś taką kolejkę postawił, bo swojej gorzoly nie marnował, pijąc ją w takim tempie bez potrzeby. Co innego cudzą. Jeśli kto chciał się założyć, uważając, że takie wypicie pełnych szklanek raz za razem jest niemożliwe, to proszę bardzo, niech się zakłada i płaci za wódkę. A Wiśniewski zawsze był gotów taki zakład wygrać. Szkoda chłopca, pomyślał Teofil, przypominając sobie te jego wyczyny. I kto teraz w knajpie go zastąpi? Żaden młody nie mógł się z nim równać. Stara gwardia odchodzi...

– Teofil, chodź ino tu! – zawołała z kuchni Jadwiga.

– A o co tak w ogóle się rozchodzi? – odpowiedział, ale nie bardzo mu się chciało iść, tym bardziej że za chwilę mieli dawać w telewizorze „Wielką Grę”, którą bardzo lubił

oglądać, mimo że nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się odpowiedzieć na żadne teleturniejowe pytanie.

– Ino chodź tutaj, bo ważna sprawa jest.

Wstał z fotela i poczłapał do kuchni. Obie kobiety spojrzały na niego, gdy stanął w drzwiach, opierając się o framugę.

– A ajerkoniaczku się napijesz? – zapytała Jadwiga i w tym momencie Teoś wyczuł jakiś podstęp. Nigdy sama z siebie nie proponowała mu alkoholu.

– Jakby co było innego, bo ajerkoniaku to ja nie ruszę, bo obrzydliwy jestem.

Żona wstała i podeszła do kredensu. W szafce miała schowaną butelkę żytniej, której nie pozwoliła mu w żadnym wypadku otwierać, bo to miała być wódka, którą dolewa się do jakiegoś ciasta. Wiedział, że dodawanie wódki do placka to czysty idiotyzm, ale co było robić? Wolał nie ryzykować konfliktu o jedną głupią flaszkę i trzymał się od niej z daleka, aż tu dziś, proszę, sama mu zaproponowała.

Jadwiga otworzyła butelkę i naląła pełną literatkę. Teoś usiadł przy stole i kulturalnie wypił tylko mały łyk, wysuwając przy tym mały palec w górę, żeby sąsiadka zrozumiała, że ma do czynienia z poważnym człowiekiem.

– Pani Wiśniewska chce sprzedać działkę.

– Aha. – Teofil pokiwał głową. Doskonale to rozumiał. Po cholere komu działka?

– Działka jest tu niedaleko za Chwiałką. Stąd to będzie jakie piętnaście minut nogami – wyjaśniała dalej Jadwiga.

– Łe tam, piętnaście. Ja to w dziesięć przelecę. A tego sernika to można jeszcze, bo taki dobry, że nie wiem... – Wdowa wskazała na talerz z ciastem, który Olkiewdczowa postawiła na stole. Emerytka zjadała właśnie piąty kawałek, ale Jadwiga najwyraźniej była z tego bardzo zadowolona.

– Ady niech pani je na zdrowie.

– Dawnom takiego nie jadła.

– Mogę dać pani przepis.

– Łe, a na co mi? Ja sama nie upiekę, bo i dla kogo. Jak mój stary się przekreślił, to u mnie nie ma komu zjeść ciasta. Tak to on wszystko zjadał, nawet jak się co zeszło, to ino herbatą popił i zjadał, a ja sama to już tyle co dawniej to nie dam rady. Owocków więcej to zjadam...

– A na działce to owoce jakie są? – zainteresowała się Olkiewiczowa.

– To będzie tak, że z kwaśnych to są świętojanki, angryst i rabarber, a oprócz tego to jeszcze głubki, jabza z tych czerwonych, jako one się nazywają? Aha, koraliki, i dwa drzewa

klapsów. Nic ino kompoty robić. No i jeszcze cztery rajki dżyzgawek. Ja to z nich dżem robię, bo one pierwsza klasa są słodkie, że aż strach...

– Widzisz, Teofil? – Jadwiga spojrzała na niego z nadzieją w oczach, ale Teofil niczego nie widział. Dopił wódkę do końca i już chciał wstawać od stołu, ale żona przytrzymała go za rękę.

– Jeszcze ci naleję – zaproponowała i to już mu się wydało bardzo podejrzane.

– Ale tam, „Wielka Gra” w telewizorze...

– A ja se myślę, że by my mogli te działkę kupić od pani Wiśniewskiej, żeby do jakiego papudroka nie poszła. Szkoda by było tej pracy, co pani z mężem w to włożyli przez te lata.

– Dwadzieścia ponad lat. – Wiśniewska ze smutkiem pokiwała głową.

– Jeszcze ajerkoniaczku? – zapytała Jadwiga, chwytając butelkę.

– Jakby można, to ja bym wolała czystej, bo mnie po tym słodkim to trochę zemgliło.

Teoś ze zrozumieniem pokiwał głową. Jego by też „zemgliło” nawet po jednym kieliszku tego żółtego paskudztwa... Zaraz, zaraz, co ona powiedziała? Kupić działkę?

– A na cholere nam działka?

– No wiesz, my już najmłodszy nie są. Trzeba na powietrze wyjść w niedzielę, jak się ma wolne.

– A co ja bym tam robić miał na takiej działce, bo w ziemi to ja się jak jaki robał w życiu nie będę grzebać?

– Mój stary wszystko reperował.

– Ja tam na reperacjach się nie wyznaję – rzucił niechętnie.

– I jeszcze wino ze świętojanek robił w wielkim gąsiorze. Ten gąsior to zostawię w domku, bo przecie go do chaty nie weznę.

I to przesądziło sprawę. Teofil wyobraził sobie, że robi na tej działce wino, a może zamiast wina zaciera na bimberk. Trzeba by tylko skombinować aparaturę do pędzenia...

Nie skombinował niczego, a na dodatek zgodził się pójść przekopać całą grządkę, gdy tylko Jadwiga ruszyła na niego po tym dzisiejszym powrocie do domu. Nawet nie zdążyła zapytać, gdzie się szwendał, gdy on zaatakował pierwszy:

– Właściwie to po tej całej nocy w robocie to człowiek by mógł se trochę odpocząć na działce – stwierdził, zdejmując płaszcz i wieszając go na wieszaku. – Jakbyś mi gdzie ten mój stary mundur moro znalazła, tobym se oblikł i poszedł się tam rozejrzeć.

Jadwiga aż otworzyła usta ze zdumienia, ale zaraz się otrząsnęła i przystąpiła do działania, nie dając mu szansy na zmianę decyzji. Dziesięć minut później Olkiewicz szedł już przebrany w mundur połowy do pracy na działce. Poleciała mu przekopać tylko grządkę, żeby

mogła jutro posiać marchew i co tam jeszcze się da, a on nie protestował, chociaż mało czego tak bardzo się brzydził, jak kopania szpadlem w ziemi.

Plan miał prosty, pójdzie na działkę, poleży sobie na tapczanie w tej chatce z drewna, przykryty kocem po szyję, i leżąc, będzie sobie sączył wino, co zostało po nieboszczyku Wiśniewskim, bo wdowa zlała do butelek większość tego porzeczkowego, ale na szczęście dla Teofila nie miała tylu flaszek, by zabrać wszystko dla siebie, więc teraz Teoś mógł się delektować słodkim płynem, choć musiał przyznać, że wcale mu to wino nie smakowało.

Z odrazą spojrzął na wbitą w ziemię łopatę z mocnym postanowieniem, że niczego już dziś nie przekopie. A jeśli Jadwiga się zapyta, to powie, że szpadel ukradli. Trzeba będzie go tylko gdzieś schować...

Nagle jego wyczulony milicyjny nos zwietrzył coś dziwnego. Kawalek dalej, mniej więcej na wprost niego w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, a więc pewnie ze dwie działki dalej, dostrzegł jakiś ruch. Wcześniej nic tam się nie ruszało, a teraz owszem. Ktoś łąził po tej działce. O, a teraz usłyszał dźwięk tłuczonego szkła i jakieś śmiechy.

Naraz obudził się w nim milicyjny instynkt. Wybiegł na aleję między działkami, by od tyłu obejść tę, na której coś się działo. Dwie minuty później, przedostawszy się przez niewielki płotek, znalazł się za drewnianą altanką. Przywarł do ściany i zaczął nasłuchiwać.

– Mówię wam, chłopaki, ten woźny mnie popamięta. Odechce mu się na przyszłość zabierać piłki. Pierdolnąłem mu kamieniem w sam środek okna i szyba się roztrzaskała w pizdu. Jutro, jak pójdziecie do budy, to zobaczycie, cała szyba od drzwi do szkoły rozpiędziona. A woźny stał jak dupa i się gapił.

– Nie widział cię?

– Może i widział. Ale niech spróbuje co powiedzieć, to wtedy nie szybę, ale i oko może mieć wybite.

Teofil słuchał uważnie, o czym opowiadali siedzący w altance gówniarze, bo po niezbyt wyrobionych głosach poznał, że ma do czynienia ze szczonami. Uśmiechnął się zadowolony, bo w głowie zrodził mu się sprytny plan. Obszedł domek, stanął przed drzwiami i naraz szarpnął za klamkę. Wejście stanęło otworem, a on stanął w drzwiach, odcinając młodzieńcom możliwość ucieczki. Trzy wystraszone twarze zwróciły się w jego kierunku.

– No to mamy całe towarzystwo. Proszę, proszę, co ja tu widzę, nie tylko piwko, ale i wódeczka. Alkoholu się zachciewa, a dowody macie?

– Ja mam, jestem pełnoletni i mogę pić! – Szczupły blondyn podniósł się z krzesła i hardo spojrzął na milicjanta.

– A ci dwaj to co?

– Oni nie piją.

– Nie piją?

– Nie pijemy!

– No to spieprzać mi stąd oba! – Ruchem głowy wskazał im drogę ewakuacji. Chłopcy natychmiast skorzystali z okazji.

– A ty dawaj dowód!

Chłopak sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął portfel, a z niego zieloną książeczkę. Teofil otworzył ją na stronie ze zdjęciem.

– Waldemar Walczak, lat osiemnaście... No proszę.

– Że co?

– Toś ty gadał o tej szybie w waszej szkole?

O jakiej szybie? Nic nie wiem. – Chłopak dobrze wiedział, że nie wolno się do niczego przyznawać, choćby nawet został złapany na gorącym uczynku.

– Aha. No to dobra. To chodź ze mną!

Olkiewicz schował dowód do kieszeni, wziął ze stolika nienapoczętą nawet butelkę stołowej i ruszył przed siebie. Chłopak posłusznie poszedł za nim. Po chwili byli już na działce Olkiewiczów.

– To teraz mnie słuchaj, Walczak. Widzisz ten szpadel?

– Widzę.

No to jak chcesz, żeby twoja sprawa nie poszła do prokuratora, to bierz się za niego i masz mi tu zaraz przekopać całą działkę, bo jak nie...

Chłopak nie zamierzał się licytować. Podszedł do wbitego w ziemię szpadla i zaczął kopać. Tymczasem Teofil poszedł do domku po szklankę. Skoro wpadła mu w ręce butelka wódki, nie miał zamiaru pić wina z porzeczek. Po co niszczyć sobie wątrobę jakimś słodkim paskudztwem, skoro tu pod ręką była prawdziwa czysta wódka, pomyślał zadowolony, że ta niedziela tak ładnie mu się ułożyła, bo i czas spędzi pożytecznie, przekopując działkę, a do tego bardzo przyjemnie w towarzystwie zarekwirowanej flaszki. Nawet nie zauważył, kiedy zasnął. Gdy się obudził, okazało się, że jest już kolejny dzień. Widać musiał być poważnie zmęczony. Nie na tyle jednak, by nie móc rano wstać. Musiał pójść do domu, umyć się, ogolić i przebrać, bo w pracy nie mógł przecież wyglądać jak ostatni szuszwol.

Godzina 8.15

Początkujący złodziej samochodów Krzychu Strugała wysiadł z tramwaju numer trzynaście i stanąwszy na przystanku, rozejrzał się po okolicy. Miejsce nie wydawało się zbyt obiecujące, ale wiedział, że to tylko pozory. Junikowo to była spokojna, willowa dzielnica, w której o tej porze mało ludzi wybierało się na spacer. Większość już wyjechała do pracy, a w domach siedzieli tylko nieliczni emeryci i niańki z dziećmi. Teraz pozostawało jedynie namierzyć willę, w której nikogo nie było, a na podjeździe stał zaparkowany samochód. Na takim aucie można było poćwiczyć do woli, bo jeśli gospodarz pojechał do pracy tramwajem, zostawiwszy auto w domu, to znaczy, że wróci najwcześniej za kilka godzin. Krzychu miał więc sporo czasu na naukę zawodu i mógł sprawdzić w praktyce wszystkie techniki dostawania się do auta, takie jak otwieranie zamka wytrychem, podnoszenie drutem zatrasku, wejście przez bagażnik i co tam jeszcze mu przyjdzie do głowy.

Owszem mógł odbywać ćwiczenia praktyczne w swoim fyrtku, gdzie parkowało mnóstwo samochodów. Mieszkał na osiedlu Kraju Rad, które z racji nowoczesnej blokowo-wieżowcowej zabudowy było istnym eldoradem samochodowym dla początkującego złodzieja, jednak u siebie mógł pracować tylko w nocy, bo za dnia był tu zbyt duży ruch i nigdy nie było pewności, czy nie da się złapać na gorącym uczynku przez właściciela albo czujnego sąsiada. No i był jeszcze jeden mankament – aut było wprawdzie dużo, ale w ubogim asortymencie. Owszem, trafiały się zagraniczne samochody, jednak zwykle stare i nie najlepiej wyglądające. Przeważały polskie produkty, z którymi wprawdzie nie było żadnego kłopotu, jeśli idzie o sprzedaż, bo właściciele warsztatów kupowali na pniu wszelkie maluchy, duże fiaty i polonezy, by zaraz przerobić je na tak potrzebne im w pracy deficytowe części zamienne, ale na takich samochodach nie dało się zarobić. Zarobek był szybki, ale marny, nie to, co na dobrych zachodnich autach. Krzychu był człowiekiem ambitnym i nie miał zamiaru tracić czasu na drobnicę. Szukał poważniejszych wyzwań, bo zamierzał żyć na wysokiej stopie. Nie lubił zadowalać się byle czym, bo i wydatki miał duże. Choćby na ubrania. Nie chodził jak byle kto w zwykłych dzinsach, ale w tych najmodniejszych marmurkowych, które kosztowały na Łazarzu sto dwadzieścia tysięcy złotych, czyli prawie tyle, ile jego matka dostawała za miesiąc pracy w Wiepofamie. Spodnie kupił sobie w zeszłym tygodniu za pieniądze zarobione na ładzie, którą sprzedał na tyle korzystnie, że zostało mu jeszcze sporo kasy na piwo i wódeczkę. No ale teraz liczył na to, że uda mu się skroić coś godnego jego talentu.

Przeszedł jakieś sto metrów w głąb osiedlowej uliczki i zatrzymał się przed sklepem spożywczym. Nie zjadł rano śniadania, bo jeszcze go mdliło po wczorajszej imprezce z kolegami, ale teraz nagle poczuł ssanie w żołądku. Stanowczo trzeba było zrobić sobie przerwę. Wszedł więc do spożywcza i rozejrzał się uważnie. Nic podejrzanego, stwierdził, dostrzegłszy grubą jak beczka, ubraną w biały fartuch i biały czepek sprzedawczynię. Naprzeciw niej stała jakaś emerytka w popielatym płaszczu i brązowej chustce na głowie. Kobieta pakowała do siatki zakupy.

– I jeszcze serek topiony niech pani da, tyn tyłżycki. Albo nie, nie tyłżycki, ino edamski. O, tyn właśnie. I jeszcze kefir jeden niech pani da, bo ja, wie pani, to kefir najbardziej lubię, jak mnie coś stoi na żołądku. Powiadam pani, kefir najlepszy, ino że idzie po nim dostać sraczki jak kto niezwyčajny. Ale lekarz powiada, że sraczka całkiem dobra jest dla bebechów, bo wszystko obczyści.

– Ja tam wolę kwas na zatwardzenie – stwierdziła sprzedawczyni. – Jak se takiego kwasu człowiek szklanke na czczo wypije, to w pół godziny efekt murowany. Musi pani spróbować. U mnie nawet ten doktor Tokarski, co to pod siódmym mieszka, bierze taki kwas. Zawsze, co zostanie z beczki po kapuście, to jemu muszę nalać do słoika. Powiada, że to najlepsze lekarstwo.

– Łe jery, ady nie może być – zdziwiła się emerytka. – Ten doktor od serca, co to na Lutyckiej robi?

– Ten sam. Raz na tydzień mu zostawiam słoik.

– No proszę, taki niby uczony, a na sraczkę kwas pije. Kto by pomyślał.

– On to w ogóle jest dziwny, pani Borkowska. On ma takie ładne auto, zagraniczne i tym autem to ino do kościoła jeździ, a do roboty to tramwajem codziennie.

– To znaczy się mądry człowiek – pochwaliła lekarza klientka. – Po co bendzynę wytracać, jak tramwajem taniej wychodzi.

– Jeszcze co podać, bo tu ten szczon girami przebiera.

– Pewnie mu pilno do jakiej panny. Oni wszyscy tak się śpieszą, bo na nic czasu nie mają. Już płacę i idę do chaty. Muszę obiad gotować, bo dziś poniedziałek, to będzie pomidorówka na rosole, co się od wczoraj został, a na tym mięsie z rosółu to ja zawsze robię potrawkę w białym sosie, ino nie z pyrami, a z ryżem, bo moja wnuczka Kasia to ona tako niby to bardziej delikutaśna, to z pyrkami nie chce, ino tyn ryż. Ale co tam, te białe ziarka też się da zjeść, byleby człowiekowi potem się skośne oczy nie zrobiły, ha, ha...

Zapakowała wszystko do siatki, zebrała wydaną przez sprzedawczynię resztę z plastikowej podstawki i skłoniwszy się, wyszła ze sklepu. Krzychu zajął jej miejsce, ale nie

okazał zniecierpliwienia, bo ta wielka baba stojąca po drugiej stronie lady wyglądała dość groźnie, by z nią zaczynać. Lepiej było nie rzucać się bez potrzeby.

– Poproszę dwie bulki, jeden serek topiony i jeden kefir.

Sprzedawczyni podeszła do lady chłodniczej i nachyliła się nad topionymi serkami.

– A serek to jaki ma być?

Wszystko jedno.

– Wszystko jedno nie ma. Jest tylżycki, gouda, śmietankowy...

– Gouda.

Wróciła z serkiem, bułkami i kefirem.

– I coś jeszcze?

– Piwo.

– Co?

– No piwo. Jedno poznańskie.

– Piwo jest, ale dla dorosłych.

– Ja jestem dorosły, znaczy się mam już skończone osiemnaście lat.

– Dowód w takim razie.

Chłopak sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wydobyl z niej sfatygowany portfel. Wydobylszy dowód z przegródki, podał go sprzedawczyni z tryumfem w oczach. Ta otworzyła szybko na stronie ze zdjęciem i przyglądając się uważnie, zaczęła porównywać je z oryginałem. Widać oględziny wypadły pomyślnie, bo oddała zieloną książeczkę właścicielowi, a potem odwróciła się za siebie i ze skrzynki stojącej na podłodze wydobyla jedną butelkę piwa. Zadowolony Krzychu zapłacił, upchał wszystko po kieszeniach swojej lekkiej kurtki i wyszedł na zewnątrz usatysfakcjonowany zakupami. Natychmiast zerwał płat folii aluminiowej, w którą zapakowana była kostka sera, i ugryzł kawałek, przegryzając świeżą bułką. Potem ruszył w głąb ulicy, patrząc uważnie na numery domów. Ten pod siódmym znalazł bez żadnego problemu. Zatrzymał się, dojadając resztę sera i drugą bułkę. Wszystko to popił kefirem, a butelkę postawił na chodniku. Nie był z tych, którzy tłukli szkło bez potrzeby. Niech sobie jakiś młody szczon znajdzie i zanieś do sklepu za kaucję. A co, niech dzieciak ma.

Dom nie wyróżniał się niczym szczególnym. Prosta kostka zbudowana z materiałów, jakie można było skombinować na rynku, czyli takich, które udało się kupić od pracowników na budowach bloków. Okna jak w bloku, drzwi jak w bloku, dach to samo, czyli blok w miniaturze, tyle że z własnym ogrodem i garażem w przyziemiu, jednym słowem prawdziwy luksus.

Podszedł do bramy i zajął na podwórze. Niestety, samochodu nie było widać. Na pewno lekarz zostawił auto w garażu, żeby nie kusić losu. Ale przecież brama garażowa nie stanowiła jakiegokolwiek specjalnej bariery dla Krzycha, który swojego złodziejskiego fachu uczył się, otwierając zamki w drzwiach do mieszkań i kiosków Ruchu. Z tą bramą na pewno nie będzie trudno, myślał, rozglądając się jednocześnie dookoła. Z głębi ulicy nadjeżdżał jakiś samochód. Natychmiast odszedł więc od ogrodzenia i ruszył przed siebie chodnikiem, pozornie niezainteresowany tym, co dzieje się na podwórzu. Przeszedł wzdłuż kolejnej posesji, czekając, aż samochód odjedzie, ale ten jak na złość toczył się wolno, bo jego kierowca poszukiwał jakiegoś adresu. Dojechał do początku ulicy i chyba niczego nie znalazł, bo auto skręciło w prawo i wyjechało na ulicę Grunwaldzką.

Oddechnął z ulgą zadowolony i odwrócił się, by ruszyć do upatrzonego domu lekarza. Na wszelki wypadek zatrzymał się jeszcze na moment, wyciągnął z kieszeni piwo, otworzył je szczyrykiem i szybko wypił do dna. Po piwie się lepiej pracowało. Już chciał pójść dalej, gdy niespodziewanie jego spojrzenie zatrzymało się na odchodzącej w bok uliczce, a właściwie na czymś, co wystawało z krzaków rosnących na pustej, skrajnej działce. Wyglądało to jak połyskujący w słońcu wypolerowany, srebrzysty zderzak samochodowy. Jeśli zderzak, to była szansa, że może jest do niego doczepiony samochód, pomyślał Krzychu. Nie byłby sobą, gdyby nie sprawdził, bo widok był co najmniej dziwny. Auto nie stało na ulicy, ale wjechało w przestrzeń między stojącym na kolejnej działce domem a krzakami porastającymi ten niezagospodarowany plac. Podszedł bliżej i aż zaniemówił. W krzakach stał najprawdziwszy, oryginalny, niemal nowy mercedes na niemieckich numerach. Ktoś go tu ukrył pewnie po to, żeby nie kusił złodziei, stojąc przy chodniku. Szybko obszedł samochód, sprawdzając, czy przypadkiem ktoś nie śpi na tylnym siedzeniu. Nikogo jednak tam nie było. Lustrując wnętrze, naraz dostrzegł, że drzwi kierowcy nie są zablokowane. Świadczył o tym podniesiony w górę czarny grzybek sterczący z drugiej strony szyby. Nie wierząc własnemu szczęściu, chwycił klamkę i pociągnął do siebie. Drzwi ustąpiły. Nie zastanawiając się wiele, wskoczył do środka i natychmiast przystąpił do pracy. Wydobył wiązkę przewodów spod bloku kierownicy i zaczął szybko przeglądać je po kolei, by wytypować te właściwe do spięcia.

Gdy był już gotów, wcisnął sprzęgło, wrzucił bieg na luz i zetknął dwa druciki. Silnik zaskoczył bez żadnych problemów za pierwszym razem. Połączył więc druty na stałe, skręcając je ze sobą, a potem wrzucił jedynkę. Auto płynnie potoczyło się do przodu. Powinien jechać na Grunwaldzką i potem przez miasto na Winogrady, bo tam przy Owsianej miał zaprzyjaźnionego mechanika, ale naraz przypomniał sobie, że i tutaj, tuż obok, był

zakład, który skupował skrojone fury. Nie było co się zastanawiać. Jest okazja, trzeba poznać nowego majstra. Przejechał więc mercedesem może jakieś pięćset metrów, gdy dostrzegł szeroko otwartą bramę z wielką tablicą „Autonaprawa”.

Niewiele się zastanawiając, wjechał na dziedziniec. Od razu dostrzegł, że jest coś nie tak. Wrota stanowisk naprawczych były otwarte, jednak nikt nie grzebał przy autach. Pracownicy siedzieli na ławce pod ścianą lub stali obok, paląc papierosy, tak jakby naraz wszyscy zrobili sobie wolne. Tyle że na poranną przerwę było jeszcze trochę za wcześnie.

Gdy zaciągnął ręczny hamulec, podszedł do niego wysoki i dobrze zbudowany facet ubrany w roboczy kombinezon.

– Spieprzaj stąd, dziś się nie robi!

– Ale ja do was specjalnie przyjechałem. Nowy mesiu, jeszcze ciepły. Karol Pacia mnie skierował – rzucił nazwiskiem swojego znajomego, który mówił mu kiedyś, że wozi fury do Grubińskiego, ale o skierowaniu nie było mowy. Za wysokie progi. Jednak Krzychu wiedział, że beczelność i ryzyko czasami się opłacają w tym zawodzie.

– Nie robimy, słyszał żeś. Ciąg mi stąd, ale już...

– No to co mam z nim zrobić? Roczna bryczka...

Wielki facet popatrzył na chłopaka, a potem na auto. Widać lustracja musiała przebiec pomyślnie, bo zrobił krok w kierunku złodzieja.

– Biorę za połowę ceny?

– Co?

– Gadałem, że nie robimy. Jak chcesz go opchnąć, to dzisiaj za połowę, albo się goń. Ma wgniotą na tylnym zderzaku i kierunkowskaz puknięty.

– No dobra, niech będzie moja strata – zgodził się złodziej, który wcześniej nie zauważył tego feleru.

Facet sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej plik banknotów. Krzychu spojrzal na nie łakomie, przetykając ślinę.

– Masz. – Podał mu pięć stumarkówek. Chłopak chwycił je i włożył do kieszeni.

– Zaparkuj tam obok tego passata. – Wskazał mu wolne miejsce pod murem. – A jak zaparkujesz, to spadaj stąd! Ino szybko!

– Już spadam, panie kierowniku. A tak w ogóle to co się stało? Jaruzelski umarł?

Wielkolud pokręcił głową, a potem charknął i splunął pod nogi.

– Gorzej, kurwa, gorzej. Żona pana Grubińskiego nie żyje.

Powiedziawszy to, otarł wierzchem dłoni łzę, która zakręciła mu się w oku, i ruszył wolnym krokiem w kierunku ławki, gdzie siedzieli jego pracownicy. Chłopak zaparkował

samochód i zatrzasnąwszy drzwi, jeszcze raz ogarnął spojrzeniem dziedziniec warsztatu. Pracownicy stali, siedzieli, palili papierosy, ale nie było widać żadnego pogotowia. Skoro umarła, to przecież powinien ktoś przyjechać, żeby zabrać ciało. To dziwne, ale w zasadzie co go to mogło obchodzić? Najważniejsze, że dziś zarobił naprawdę porządną kasę. Jednak warto się uczyć zawodu, pomyślał zadowolony.

Godzina 8.30

Gdzie się podziewa ten cholernik? – Magda Jankowska, szczupła blondynka o zielonych oczach, mierząca prawie metr siedemdziesiąt, dwudziestopięcioletnia sprzedawczyni i jednocześnie właścicielka niewielkiego butiku, podeszła do przeszklonych drzwi i wyrzała na ulicę. Najpierw jednak przyjrzała się swojemu odbiciu w szkłe i od razu poprawiła opadające na ramiona bujne włosy. Naprzeciwko na Rynku Łazarskim jak zwykle kotłował się wielki tłum miejscowych i przyjezdnych klientów, zwabionych sławą centrum mody i elegancji. Wiadomo bowiem było powszechnie, że to tutaj można ubrać się najszykowniej i najmodniej w najlepsze podrabiane markowe ciuchy. Tu dostać można było wszystko, co tylko klient sobie wymarzył – koszulki polo z krokodylem Lacoste, kreszowe dresy Adidasa, sportowe buty Pумы, torebki Gucciego i perfumy Chanel nr 5, a do tego wszystkiego prawdziwy hit ostatnich kilku miesięcy marmurkowe dzinsy wyrabiane od początku do samego końca w Poznaniu, ale sprzedawane jako produkt prosto z Ameryki.

– Co się, Madzia, denerwujesz. Przecie to jego też jest interes, nie? – próbowała ją uspokoić mama, która jak zwykle przy większej dostawie towaru przyszła pomóc córce. Miała pomagać, tyle że dostawy nie było, bo kierowca, który miał dojechać na Łazarz o ósmej godzinie, gdzieś po drodze się zawieruszył.

– Już piątą klientkę odesłałam przez tego szuszwola. Co on se myśli, do cholery?

– Nic se nie myśli. Taki facet to ino pakuje towar, potem jedzie, potem wypakuje i znowu jedzie. Tam na myślenie nie ma czasu. Taka robota.

– No to jak pakuje i jedzie, to czemu nie dojedzie?

– Oj, córcia, ty taka niecierpliwa jesteś i nic człowieka nie zrozumiesz. – Matka znała życie i twardo stąpała po ziemi, nauczona pięćdziesięcioletnim doświadczeniem. – Człowiek

jedzie, to mogło mu po drodze coś wypaść. Może zobaczył gdzie, że kolejka u rzeźnika albo gdzie indziej i stanął, żeby kupić. Ludzie muszą sprawunki zrobić.

– Jak ktoś się umawia na ósmą, to na ósmą ma być. On sobie stoi w kolejce za kielbasą śląską, a ja tu za takiego ćwoka oczami świecę przed klientami.

– Trzeba człowieka zrozumieć...

– Co mama tam wie, zrozumieć, nie zrozumieć. Tu nie ma nic do rozumienia. Biznes jest biznes i słowa trzeba dotrzymywać, a jak się tego nie wie, to w biznesie nie ma co szukać. A ten Barańczak to se myśli, że jest wielki biznesmen, bo wozi towar starym, obesranym żukiem. Ale jak będzie dalej olewał kontrahentów, to ja pierwsza go w dupę kopnę i znajdę sobie bardziej rzetelnego kierowcę.

– Kontra kogo?

– Kontrahentów, znaczy takich, co to mają z nim umowę.

– Aha, znaczy się o siebie się rozchodzi. To nie możesz mówić normalnie?

– Tak się teraz mówi, mama. Takie czasy, że biznes się tworzy na nowoczesnych zasadach, a jak kto tego nie rozumie, to niech idzie do pracy w Modenie albo Wiepofamie.

– Tam jest dobra praca na etacie. – Stara Jankowska pracowała wcześniej w Modenie i z rozrzewnieniem wspominała czasy, kiedy codziennie wynosiła pod ubraniem kawał materiału, żeby sprzedać znajomym po okazyjnej cenie. Ale te czasy się skończyły pięć lat temu, gdy udało się jej przekonać lekarza orzecznika, że w zasadzie to nie może chodzić i dlatego powinna mieć rentę. No i teraz jako rencistka mogła siedzieć całymi dniami w domu i od czasu do czasu pomagać córce, która od dwóch lat prowadziła własny biznes.

– Jakbyśmy tu mieli telefon, to można by do tej fabryki zadzwonić i zapytać, czy już gnojek wyjechał, ale telefon to my będziemy mieć za sto lat.

– A co mówią na pocztę? – zapytała matka, która cały czas wierzyła w takie solidne instytucje.

– No jak co? Że na razie nie ma możliwości technicznych na telefon. Może około dziewięćdziesiątego piątego roku będzie...

Drzwi do butiku się otworzyły i do środka weszła pulchna kobieta w ortalionowej, jaskraworóżowej sportowej kurtce i spódnicy dżinsowej.

– Już macie otwarte? – zapytała od drzwi.

– Otwarte od siódmej, ale towaru nie ma – wyjaśniła sprzedawczyni.

– Łe, to ja się specjalnie z Winogradów przytelepałam...

– To niech pani poczeka, towar będzie niezadługo, tylko że teraz jedzie.

– A, no to co innego. Jak jedzie, to dojedzie. Bo ja już myślała, że nici z dzinsów, a ja dla syna na imieniny muszę kupić dzisiaj, bo jakbym nie kupiła, to by była bieda. Już widzę, co by powiedział, jakby nie dostał. Musiałabym iść tam na murek szukać czegoś... – Wskazała widoczne z daleka miejsce, gdzie sprzedawali detaliści, czyli słynny murek łażarski, na którym wystawiano towar z każdego asortymentu. Tam handlowali przede wszystkim ci, którzy nie byli zawodowcami, a tylko okazynie mieli coś do sprzedania, jakieś starocie przyniesione z domu albo nowości z Zachodu przysłane w paczkach z darami. Sporo było też początkujących handlarzy, których nie stać było na własne stoisko i nie mieli pieniędzy na dobry jakościowo towar. Tych szczególnie nie lubiła Magda, bo psuli rynek.

– Niech panią ręka boska broni od kupowania u tych śmieciarzy. Pani wie, co to za dranie są?

– Dranie? Że niby jak?

– Oni, proszę panią, mają towar, który na oko wygląda dobrze, ale to są zwykłe dzinsy ze starych zapasów, które nie zeszły na sklepach i nikt ich nie chciał kupować.

– No ale stare to nie były przecież marmurki.

– Pewnie, że nie – potwierdziła właścicielka butiku. – One były kiedyś normalne, ale zrobili z nich podróby marmurków.

– Córka ma rację. – Starsza Jankowska pokiwała głową. Była dumna z tego, że dochowała się takiej obrotnej pociechy, która potrafi każdemu wytłumaczyć, jak wygląda prawdziwy świat, bo nie tylko na handlu się znała, ale i na modzie, i nawet na samochodach, bo od jakiegoś czasu jeździła zachodnim autem, którego marki ona nie pamiętała, ale wiedziała, że nazywa się tak śmiesznie, tak samo jak ten sweter zawinięty pod szyją, czyli golf. – Tam to sprzedawają straszne badziewie. Jakby pani kupiła, to by pani zaraz pożałowała tych bejmów wyrzuconych w błoto.

– Czy ja wiem... – Klientka nie była do końca przekonana.

– To ja pani powiem dokładnie, jaka jest różnica. – Magda pokonała dwoma krokami niewielką przestrzeń sklepu, weszła za ladę i stanęła twarzą do półki z ubraniami. Przez chwilę przyglądała się asortymentowi i w końcu zza sterty swetrów wyciągnęła parę spodni. Trzepnęła nimi, by się rozprostowały, i położyła na szklanym blacie, wygładzając dłonią delikatną tkaninę.

– Niech się pani patrzy...

– O, ma pani portki – ucieszyła się kobieta. – Jakie ładne i to chyba nawet byłby rozmiar na mojego Alana...

– Te nie są na sprzedaż?

– A to czemu?

– Bo felerne, źle przesyte – wytłumaczyła cierpliwie.

– Że jak?

– Niech pani patrzy tutaj w kroku. Zesyte za nisko i jakby pani syn je założył, to by miał krok prawie w kolanach i wyglądałby, jakby w pory narobił. Wiara by go śmiechem zabiła na ulicy.

– Prawda, w takich porach nikt normalny z chaty by nie wyszedł. No chyba żeby szelki dać, to by się jakoś podciągnęło.

– No tak, ino po co? – wtrąciła się matka. – Nasza szwalnia, co robi te pory, reklamacje wszelkie uwzględnia i jak jakieś braki są, to zaraz odbiorą. Taka uczciwa firma.

– No właśnie, ale jeśli się rozchodzi o marmurki, to niech pani dotknie materiału, jaki gładki, widzi pani?

– No widzę, rzeczywiście.

– A wie pani, czemu taki delikatny?

– No bo gatunek dobry.

– Gatunek pierwsza klasa – zgodziła się z nią Magda – ale cała sprawa w kamieniach.

– Że jak? – Kobieta spojrzała na nią jak na jakąś wariatkę. – Co niby kamienie mają do portków?

– Ano mają tyle, że materiał taki dzinsowy wkłada się do specjalnych bębnow, takich jak wielkie pralki, i tam wrzuca się takie specjalne małe kamyszki, i to one ścierają ten dzins na marmurek. A jak ścierają, to i wygładzają, i dzięki temu spodnie są doskonałe jakościowo.

– Aha, to ja nie wiedziałam, że tak się te marmurki szykuje.

– Tak się szykuje tylko te dobre.

– A te niedobre?

– Te marmurki, co tam, pani widzi, sprzedają te szuszwole na murku, robią tak, że gotowe, uszyte portki kąpią w kwasie jakimś i ten kwas robi marmurek, ale to zaraz widać, że ten deseń z kwasu, a nie z kamienia. No i kwas też rozpuszcza nici, tak że po miesiącu portki mogą się rozpaść. A jak się rozpadną dokumentnie, to gdzie pani przyjdzie z reklamacją? Tam na murek, jak po sprzedawcy już nie będzie śladu...

– Już są te dziny czy nie? – Kolejna klientka uchyliła nieco drzwi i włożyła głowę do środka. Natychmiast dojrzała spodnie leżące na ladzie i szybko weszła do butik. – Coś dowieźli już, jak widać?

– Ady tam pani. – Mama Jankowska machnęła ręką. – Te są felerne na wymianę. Idą do przesyca, bo za dużo mają w kroku.

– Łe no, jak za dużo w kroku, to może na mojego starego byłyby dobre, bo on w kroku to akurat potrzebuje mieć dużo zapasu.

– Nie, te są z błędem – stwierdziła Magda i szybko je zwinęła, żeby nie budzić niepotrzebnej sensacji. – Muszę je dziś zabrać na wymianę, bo szkoda pary. Jak wymienią, to się sprzeda, bo trzeba przyznać, że te spodnie marmurkowe to prawdziwy hit sezonu. Od początku roku sprzedawałam już pewnie ze dwa tysiące par. Idą jak ciepłe bułeczki, te spodnie, i wszystko na to wskazuje, że ta tendencja się utrzyma, bo ludzie wykupują wszystko, co dostarczą szwalnie. W samym Poznaniu jest ich w tej chwili już prawie dwadzieścia, a ta, z której biorę towar, zatrudnia czterdzieści szwaczek. Właściciel mówi, że kobiety ledwo nadążają z szyciem, taki jest popyt. Nie ma się co dziwić, w końcu młodzi ludzie chcą wyglądać modnie, tak jak ta młodzież na Zachodzie. – Magda doskonale to rozumiała, a że miała przedsiębiorczą duszę, nie mogła poprzestać tylko na handlu w swoim butikiu. Wiedziała przecież, że skoro towar świetnie idzie w Poznaniu, to równie dobrze pójdzie w innych miejscowościach. Dlatego myślała już o tym, by zacząć partie towaru rozwozić do sklepów w Pile czy Gnieźnie. Ale po drodze były też mniejsze miasta jak Oborniki czy Czarnków. Tam też dzinsy mogły się sprzedawać. Potrzebny był tylko większy samochód, bo swoim golfem niewiele była w stanie przewieźć. O chociażby taki żuk jak ten niebieski, który właśnie zatrzymał się przy krawężniku. Z auta wyskoczył łysiejący czterdziestolatek z mocno zaokrąglonym brzuchem, który rozwoził towar do kilku butików w Poznaniu. Jednak marmurkowe dzinsy ze szwalni na Plewiskach przyjeżdżały tylko do niej. Na widok dostawcy wyszła na zewnątrz.

– No, panie Robercie, gdzie pan się podziewał tak długo? Ludzie się niecierpliwią...

– Jak Boga kocham, nie moja wina, pani Magdo kochana. Naczekałem się w szwalni, a i tak towar wyszedł tylko specjalnie dla pani. – Robert otworzył tylne drzwi i wskazał na kilkanaście kartonów ze spodniami. Magda spojrzała i uśmiechnęła się zadowolona. Towaru wystarczy na najbliższe cztery, może nawet pięć dni...

– Zaraz, jak pan powiedział. – Nagle dotarł do niej sens słów dostawcy. – Co znaczy, że towar wyszedł specjalnie dla mnie?

– Bo najpierw to wcale nie chcieli ze mną gadać i kazali jechać w cholere, ale się uparł, że się na pusto nie ruszam, no to ten ich kierownik, znaczy się Manicki, to wyszedł i powiedział mi, że szwalnia nieczynna i w takim razie dadzą z zapasu, co mają, ale na razie szycie nie będą...

– Co on pieprzy? – zdenerwowała się Magda, bo większej bzdury nie słyszała już dawno.

– Jak nieczynna, jak jest najlepszy okres na marmurki?

– To samo mu powiadałem, pani Magdo, a on ino rękami machnął i powiada, że to od niego nic nie zależy, a wszystko od szefa Marcelego Krzyżaniaka, który jest...

– Już ja sobie do niego zadzwonię!

– Raczej nie da pani rady.

– Niby dlaczego?

Bo z tego, co mi powiadał ten majster, to Krzyżaniak nie da rady odebrać telefonu, bo jest całkowicie nieżywy.

– Co?

– Ponoć zabili go w jego własnej chacie na 23 Lutego...

Magda poczuła, że robi jej się słabo. Kierowca wcale nie musiał tłumaczyć, na jakiej ulicy jest mieszkanie Krzyżaniaka. Ona wiedziała o tym doskonale od co najmniej dwóch lat.

Godzina 9.15

– A ten nowy mercedes to gdzie jest?

– Zabraný jest – wyjaśnił dyspozytor, sierżant Mirosław Ogórek. – Chociaż miał być już wczoraj wieczorem zdany, ale nie przywieźli go, jebańcy. Z tymi kolegami z SB zawsze jest tak samo. Biorą sobie nasze auta i uważają je, jakby były ich, a to przecież auta firmy, a nie resortu.

– Ale ja muszę jechać – jęknął Marjański – bo nie mam czasu.

– Nikt nie ma czasu, obywatelu kapitanie. Każdy ma jakąś sprawę do załatwienia, a tabor samochodowy jest ograniczony. Wie pan, ile mam teraz sprawnych wozów?

Marjański oczywiście nie wiedział i niewiele go to obchodziło.

– Piętnaście. Na całą komendę miejską w tej chwili jest piętnaście wozów. Powinno być czterdzieści, ale reszta jest niesprawna, odstawiona na warsztat. A na warsztacie nie ma części zamiennych, więc nasi mechanicy reperują samochód, wyciągając podzespoły z innego. A to jest gospodarka rabunkowa, mówię panu, rabunkowa, taka jak kapitaliści prowadzą w koloniach.

– Nie ma już kolonii – zauważył kapitan i natychmiast się zdenerwował, bo dał się wciągnąć w jakąś durną dyskusję, odchodząc od głównego wątku.

– Niby nie ma kolonii, a wyzysk krajów Trzeciego Świata trwa nadal...

Już mu chciał przerwać, bo sierżant dyspozytor najwyraźniej zaczynał płynąć na fali swojej opowieści, ale pomyślał, że dla dobra sprawy lepiej dać mu się wygadać.

– Kraje Trzeciego Świata niby zrzuciły jarzmo kolonializmu, ale w większości nadal uzależnione są od dawnych metropolii, jak na ten przykład Nigeria i Wielka Brytania. Bez Brytyjczyków taka Nigeria natychmiast gospodarczo padłaby na pysk...

– Widzę, że pan jest niezłe zaznajomiony z problemami Trzeciego Świata. Pewnie dużo pan czyta.

– Najlepsze jest „Dookoła świata”, bo ciekawe artykuły tam dawają i jeszcze do tego z kolorowymi zdjęciami. Jak się siedzi na tym dyżurze, to coś trzeba robić, nie? Przecież nie będę pił wódki. – Zadowolony sierżant uśmiechnął się, ukazując szczerbę po lewej trójce.

– A widział pan kiedy „National Geographic”? – Marjański rzucił na szalę swój najpoważniejszy argument. On widział to niezwykle pismo. Co tam widział. On miał u siebie w domu trzy numery tego miesięcznika. Kiedyś podczas jakiegoś przeszukania w mieszkaniu przestępca natknął się na ten magazyn i zabrał ze sobą na wszelki wypadek. Nie znał co prawda angielskiego, ale żeby docenić walory tej gazety, wcale nie trzeba było znać języka obcego. Wystarczyło tylko przewracać kartki i patrzeć, napawając się niezwykle ciekawymi fotografiami.

– No widziałem, ale z daleka – przyznał sierżant.

– Ja mam trzy numery z osiemdziesiątego czwartego. Podrzucę wam przy okazji. Pierwsza klasa zdjęcia, nie to, co w naszych gazetach.

– O ja cię pierdzielę – jęknął dyspozytor, spoglądając na Marjańskiego z taką nadzieją, jak chory na hemoroidy patrzy na cudotwórcę Harrisa.

– Jutro przyniosę – zadeklarował kapitan.

– To ja zaraz obywatelowi kapitanowi znajdę najlepszy wóz. Z kierowcą ma być czy obywatel kapitan sam pojedzie?

– Wolałbym z kierowcą, bo wiecie, różnie to może być. – Mrugnął do sierżanta, a ten natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. Wiadomo przecież, że oficerowie lubili się od czasu do czasu napić po drodze, to pewnie i ten sympatyczny kapitan, który interesował się geografią i kolonializmem, mógł sobie chcieć wstąpić na kielicha, myślał dyspozytor, przeglądając księgę wyjazdów.

– No to mam tu całkiem nowego poloneza, dwuletniego, a kierowca to kapral Błaszczyk. Może być Błaszczyk?

Marjański skinął głową. W końcu nie będzie wybrzydzać z tak błahego powodu jak ten oślizgły Błaszczyk, facet wyglądający, jakby go zrobili z plastiku i przez pomyłkę przykleili mu w fabryce niewiarygodnie sztuczny uśmiech.

– Może być.

– No to dobrze, to za dziesięć minut będzie na podjeździe, obywatelu kapitanie. I można jeździć bez strachu, że coś się wgniecie albo uszkodzi, jak w tym mercedesie.

– A co, mercedes jest uszkodzony? Przecież mówiliście, że koledzy z SB zabrali auto.

– No zabrali, bo im się wydaje, że jak auto było zarekwirowane przez nich jako służące do popełnienia przestępstwa, to ono im się całkowicie należy, ale to jest nieprawda, bo musieli na stan komendy je wpisać, a nie na swój. No i oni najczęściej teraz biorą tego mercedesa. No i w zeszłym tygodniu po tym, jak cały dzień nim jeździli, to oddali, ale z wgniecionym zderzakiem tylnym i kierunkowskazem zbitym z prawej strony. I nawet nie zgłosili szkody. To teraz ten mercedes będzie tak jeździł z tymi uszkodzeniami, bo gdzie ja części do takiego autka dostanę.

– Szkodą wozu – mruknął Marjański, który w zeszłym tygodniu miał okazję po raz pierwszy w życiu jeździć tym autem i musiał przyznać, że kapitaliści zrobili ogromny krok naprzód, jeśli chodzi o technologię samochodową. Prawda, że w kwestii świadomości klasowej, nie dorastali nam nawet do pięt i wiele mogliby się od nas nauczyć, ale technika to nie wiedzieć czemu rozwijała się u nich w imponujący sposób.

– Polonezem też się jeździć da. – Ogórek uśmiechnął się do Marjańskiego i wskazał miejsce w księdze wyjazdów, gdzie ten powinien się podpisać. Kapitan skreślił parafkę, zasalutował i poszedł na dziedziniec czekać na auto. Na szczęście udało mu się z tym samochodem. Co prawda nie dostał tego nieprawdopodobnie pięknego mercedesa, no ale polonez, choć jakościowo gorszy, też dojedzie na miejsce. Daleko nie miał, tylko na Junikowo. Jak dobrze pójdzie, sprawa będzie załatwiona w jakieś dwie godzinki. Tyle czasu mu z powodzeniem wystarczy, by przesłuchać tam pewnego faceta i wrócić do komendy koło południa. O dwunastej trzydzieści chciał się bowiem zameldować u swojego szefa i zrelacjonować mu to, co dotąd się wydarzyło. Był u niego już rano, ale dowiedział się, że Stachura udał się na jakąś naradę do wojewódzkiej i wróci koło południa. No to trzeba w takim razie działać, pomyślał ambitny kapitan. Marjański nie lubił, gdy czas przeciekał mu przez palce, zwłaszcza w chwili gdy prowadził tak poważne śledztwo, w którym z jednego trupa zrobiło się dwóch umarłaków zastrzelonych dokładnie w ten sam sposób. I do tego jeszcze obaj zajmowali się handlem walutą. A skoro tak, to kapitan postanowił zrobić coś, co wydało mu się strzałem w dziesiątkę. Jeśli obaj żyli z waluty i nielegalnego handlu,

postanowił, że pojedzie do niejakiego Ryszarda Grubińskiego, który w Poznaniu uchodził za kogoś w rodzaju ojca chrzestnego walutowej mafii. Pojedzie do niego, rzuci mu w twarz dwie fotografie trupów i wtedy Grubiński pewnie pobladnie i od razu mu powie, o co w tym wszystkim chodzi. Marjański był zdania, że do celu trzeba zmierzać najkrótszą drogą i nie ma się co bawić w Wersal z jakimiś psychologicznymi przesłuchaniami. Trzeba było walić w pysk prosto z mostu.

W zasadzie to powinien ten pomysł przedyskutować z Brodziakiem, skoro już tak wyszło, że Mirek w tej sprawie był jego pomocnikiem i asystentem. No ale Miras wczoraj gdzieś się zawieruszył i zniknął z mieszkania zabitego faceta jeszcze przed południem. Podobnie zresztą jak Olkiewicz, którego widział tylko na klatce schodowej. Ale to byli starzy wyjadacze z doświadczeniem operacyjnym i nie musieli się niczego uczyć na miejscu zbrodni. On natomiast, świadom swoich braków, wykorzystywał każdą okazję do nauki i był na miejscu przestępstwa do późnego popołudnia, to znaczy do momentu przyjazdu prokuratora, którego w końcu udało się ściągnąć mimo niedzieli.

Prokurator Dionizy Piątkowski zrobił na Marjańskim bardzo dobre wrażenie. Przede wszystkim wyglądał solidnie, mierzył około stu osiemdziesięciu centymetrów, ważąc przy tym nie mniej niż sto dwadzieścia kilo, ubrany był w porządny płaszcz, pod którym widać było dwurzędową marynarkę. Gdy wszedł do pokoju, tylko przelotnie spojrzał na trupa, a potem na Marjańskiego.

– Zastrzelony – stwierdził, siadając na przedwojennej kanapie obitej zieloną aksamitną tkaniną. Sprężyny jęknęły pod jego ciężarem, ale prokurator nic sobie z tego nie robił. Miał inne, ważniejsze sprawy na głowie.

– A czy to, co tam stoi na tym stolczku, to aby nie dzin Gordona? – zapytał przyjemnym dla ucha barytonem. Marjański spojrzał na stolik i ze zdziwieniem musiał przyznać, że prokurator ma doskonały wzrok. Na nalepce rzeczywiście był napis „Gordon’s” i jakiś facet w ubraniu z kraciastego koca.

– Pisz „gordons dry gin” – wyjaśnił milicjant.

– No to nalej mi pół szklanki i dolej toniku. Tam na dole pod szafką to tonik zapewne?

Zdziwiony Marjański dostrzegł tonik. Ten facet znalazł się na rzeczy jak mało kto, pomyślał z uznaniem. Przygotował mu więc drinka i podał szklankę. Prokurator powąchał płyn, potem przechylił i wypił jednym łykiem, by w końcu mlasnąć z ukontentowania.

– Powtórkę proszę. – Wskazał na pustą szklankę. Gdy wypił drugiego drinka, spojrzał zadowolony na kapitana.

– Jak się nazywasz, synu? – zapytał.

– Kapitan Marjański Tomasz.

– Bardzo dobrze, Marjański – pochwalił go prokurator. – Bardzo dobrze. Raport wstępny na wtorek poproszę – powiedziawszy to, wstał i wyszedł z mieszkania.

Na tym rzeczowym i jakże profesjonalnym prokuratorze trzeba by było wywrzeć bardzo dobre wrażenie, pomyślał kapitan... Jak do tego protokołu o dwóch zastrzelonych facetach ze środowiska walutowego doda jeszcze zeznanie obercinkciarza Grubińskiego, to prokurator Piątkowski zrobi wielkie oczy i pewnie powie to swoje: „Bardzo dobrze, Marjański”.

Milicyjny polonez bez oznakowania zatrzymał się przy krawężniku kilkadziesiąt metrów od bramy prowadzącej do zakładu Grubińskiego. Jego adres Marjański dostał od kolegi z wydziału przestępstw gospodarczych.

– Adres ci mogę dać, ale to beznadziejna sprawa – stwierdził major Dolata. – Nic na Grubego Rycha nie znajdziesz. Ten facet jest kuty na cztery łapy. My go próbujemy nakryć na jakiejś machlojce z tym warsztatem, ale ma najlepiej prowadzone księgi rachunkowe w całym PRL-u.

– Ja tylko chcę go spytać o dwóch zastrzelonych facetów. Zobaczymy, co powie – odparł kapitan, zapisując adres w notesie.

– Grubińskiego możesz se pytać, o co tylko chcesz. Ale nie dostaniesz żadnej odpowiedzi. To znaczy, dostaniesz oczywiście jakąś, tylko możesz być pewny, że nie będzie to taka odpowiedź, jakbyś chciał. On na żadną współpracę nie pójdzie. To jest zatwardziały bandzior, który łamie prawo już od dzieciństwa. Zresztą zaczynał karierę bandycką razem ze swoim kumplem, niejakim Brodziakiem. Znasz Brodziaka?

Marjański zrobił wielkie oczy. No pewnie, że znał. Od lat się znali, bo uczyli się razem w szkole oficerskiej w Szczytnie.

– Mirka Brodziaka? Przecież to niemożliwe. On jest oficerem...

– Oficerem, owszem, ale w podstawówce zajmował się okradaniem kiosków, piwnic i działek razem z Grubińskim. To są kumple z jednego podwórka. Tyle że Gruby Rychu wybrał przestępczą drogę kariery, a Miras pozostał po jasnej stronie mocy, jak by powiedział rycerz Jedi – stwierdził major, który był wielbicielem *Gwiezdnych wojen*.

Marjański uważnie przyglądał się szeroko otwartej bramie do zakładu mechanicznego należącego do Grubińskiego. Dziwne było to, że nic w środku się nie działo. Tak jakby

warsztat ozdobiony tablicą z napisem: „Autonaprawa – samochody krajowe i zagraniczne” był kompletnie martwy, a przecież z takiego miejsca powinien dochodzić jakiś hałas, stuk młotków i pisk wiertarek. A tu nic, kompletna cisza.

– To co, panie kapitanie, wjeżdżamy do środka? – zapytał kapral Błaszczuk, który siedział za kierownicą auta.

– Poczekaj, coś mi tu nie gra...

Godzina 10.00

Rychu Grubiński miał sporo na głowie od rana. Przede wszystkim musiał zająć się swoim nieproszonym gościem. Trzeba było poważnie porozmawiać z facetem, który w nocy próbował go zabić. Chciał z niego wyciągnąć wszystko, co ten wie, bo przecież ktoś taki nie przyszedł do jego domu z własnej inicjatywy. To była typowa robota na zlecenie, domyślał się Rychu, dlatego musiał wydobyć z niego, kim był zleceniodawca. Jeśli tego się dowie, zapobiegnie następnym próbom zamachu. W nocy postanowił, że nie będzie na razie rozmawiał ze swoim jeńcem, więc kazał go opatrzyć i zamknąć w piwnicy, żeby skruszał. Drugiego niespodziewanego gościa już w domu nie było. Kierownik warsztatu Szymuś wrzucił ciało do bagażnika auta i pojechał z nim gdzieś za miasto. Po dwóch godzinach wrócił i zameldował, że po bandycie nie ma już żadnego, najmniejszego nawet śladu. Facet po prostu rozpląnął się w powietrzu, tak jakby go nigdy nie było. Ruchu podziękował mu tylko skinieniem głowy, bo i co miał powiedzieć? Szymuś znał się na robocie i jeśli oświadczył, że faceta nie ma, to znaczy, że właściwie nigdy nie istniał.

– A co z tym drugim? – zapytał kierownik.

– Na razie nic. – Rychu wrzucił ramionami. – Poczekajmy. Jeszcze nie wiem, jak się za niego zabrać.

– A co to za problem? Pójdę tam, przypierdolę mu kilka razy prętem po girach i facet powie wszystko, co wie, a nawet więcej powie. Jeszcze takiego nie widziałem, co by nie powiedział.

– Spokojnie, Szymuś. – Musiał ostudzić zapał swojego podwładnego. – Idzie o to, że ja na razie nie wiem, jak gnoja wykorzystać. Bo to, że zdążymy go zatrzasnąć na śmierć, to jest oczywiste, ale trzeba to zrobić tak, żeby odnieść z tego jak najwięcej korzyści.

– A co z... – Szymusiowi zabrakło słów. Wskazał tylko głową na drzwi sypialni, gdzie nadal na łóżku leżała Laura. Tylko teraz łóżko było już pościelone i świeżo posłane, więc dziewczyna wyglądała tak, jakby spała. Rychu ze swoimi ludźmi przygotowali ją tak na wizytę lekarza, który miał wystawić akt zgonu. Rano przywieźli zaprzyjaźnionego medyka, który stwierdził rozległy udar mózgu i w jego wyniku natychmiastowy zgon. Ten akt potrzebny był Rychowi do urzędzenia pogrzebu. W południe miała przyjechać firma pogrzebowa, która należała do kumpla Rycha, Adama Kowalczyka. Kowalczyk wychowywał się z Grubińskim i Brodziakiem na jednej ulicy, dlatego można mu było spokojnie powierzyć delikatną misję przygotowania podziurawionego kulami ciała do ostatniej drogi w solidnej trumnie. Zнали się tyle lat, że Grubiński nie musiał niczego tłumaczyć staremu kumplowi. Jego ludzie mieli zabrać ciało do zakładu na Woźnej i przygotować je do pochówku. Teraz trzeba było jeszcze dokończyć sprzątanie w domu. Potrzebny był sprawny malarz, który zagipsuje i później zamaluje dziury po kulach w ścianach na korytarzu, w sypialni i salonie. Na szczęście Karol, lakiernik z warsztatu, potrafił doskonale robić takie rzeczy. Teraz chłopak pojechał do sklepu po farbę i gips, więc za kilka godzin w mieszkaniu nie będzie śladu po strzelaninie.

Wszystko poukładał więc sobie w głowie i to było najważniejsze, bo miał plan działania na kilka najbliższych godzin. O to mu chodziło, żeby czymś się zająć, a nie myśleć o Laurze, bo przecież tak byłoby najprościej, sięść przy butelce wódki i zapijać swoje smutki. Ale on nigdy się nie poddawał.

Było jednak coś, co go niepokoiło i z czym nie potrafił sobie poradzić. Chodziło o Mirka Brodziaka. Wiedział, że powinien zawiadomić o wszystkim Mirasa, ale na razie nie mógł się zdecydować. Przede wszystkim dlatego, że Brodziak zapewne nie zgodziłby się na jego metody. Faceta, którego Rychu trzymał w piwnicy, pewnie chciałby przesłuchać na komendzie. No ale wtedy wszystko wyszłoby na jaw, czyli fakt zabicia Laury i śmierć drugiego z napastników. A to oznaczałoby poważne kłopoty, bo przecież Grubiński nie miał pozwolenia na broń, ale posługiwał się pistoletem, który dostał jakiś czas temu od Mirka. Pistolet był więc oczywiście nielegalny. No i w tej sytuacji Rychu miał poważny dylemat. Czy dzwonić do Brodziaka i zdać się na jego opinię? A może Mirek zgodzi się z nim, że faceta trzeba przesłuchać i potem sprzątnąć? Nie, nigdy w życiu na to nie pójdzie. Trzeba więc robić swoje i dopiero po wszystkim opowiedzieć kumplowi.

Powiem mu, że nie myślałem wtedy normalnie, tylko działałem pod wpływem emocji, uznał, przecinając jedną szybką decyzją ten skomplikowany węzeł gordyjski.

– No dobra, w takim razie idź no z nim trochę pogadać, ale bez walenia prętem po girach. Psychologicznie go podejdź, Szymuś. Zobaczymy, czy coś powie po dobroci.

Kierownik uśmiechnął się zadowolony. Zlecono mu taką robotę, jaką lubił. Za chwilę jego szef będzie miał pełną wiedzę na temat tego, kto i dlaczego chciał go zabić. Pokiwał więc głową na znak, że przyjął polecenie, i ruszył w kierunku korytarzyka prowadzącego do piwnicy.

– Poczekaj! – zawołał za nim Grubiński.

– No? – Szymuś odwrócił się.

– Bez bicia, jasne?

Jak szef każe! – Majster uśmiechnął się zadowolony i szybko wyszedł, zapewne obawiając się, że szef się rozmyśli. Ten jednak nie miał takiego zamiaru. Wysłał na dół swojego pracownika, bo bał się, że on sam nie wytrzyma i zabije faceta na miejscu gołymi rękami. Niech go Szymuś potar mosi trochę. Bo tego akurat był pewien, że psychologia nie była mocną stroną kierownika warsztatu. Na pewno w ciągu kilku minut straci cierpliwość.

Rychu wstał z fotela ustawionego za dębowym biurkiem i podszedł do stojącego pod oknem barku. Spośród kilku butelek wybrał whisky z czarną naklejką. Nalał sobie do szklanki i już chciał wrócić na miejsce, gdy dostrzegł przez okno, że na podwórku dzieje się coś dziwnego. Na podjeździe stał biały polonez, tarasując wyjazd poza teren zakładu jakimkolwiek samochodowi. Przy polonezie dostrzegł umundurowanego milicjanta, który zapisywał coś w notesie. Przez nim przeżył się jeden z pracowników warsztatu i coś tłumaczył, machając przy tym rękoma.

– Co jest, do kurwy... – warknął pod nosem i już chciał pobiec na dół, żeby sprawdzić, co się tam właściwie dzieje, kiedy usłyszał za sobą obcy głos.

– Dzień dobry, panie Grubiński.

Natychmiast odwrócił się i... odetchnął z ulgą. W drzwiach do biura stał facet w milicyjnym mundurze, a on przez chwilę sądził, że to ciąg dalszy tych nocnych odwiedzin. Gliniarz wszedł do środka i nieproszony usiadł na kanapie, która stała na wprost biurka. Rychu obrzucił go czujnym spojrzeniem. Facet nie wyglądał na wulkan intelektu. Ciekawe, czego chce? Trzeba będzie jednak zadzwonić do Mirasa Brodziaka...

– W czym mogę pomóc władzy ludowej? – zapytał Rychu, przybierając natychmiast maskę zdecydowania i pewności siebie. Ze szklaneczką w dłoni okrążył biurko i usiadł na fotelu. Wydobył z szuflady paczkę cameli i włożył jednego papierosa do ust. Nie zapytał, czy milicjant ma ochotę. W końcu to nie był kolega, który przyszedł w gości.

– Interesuje nas pewna kwestia związana z poznańskimi cinkciarzami – zaczął milicjant.
– Właściwie to interesowała do czasu, aż tu się nie pojawiliśmy. Teraz interesuje nas jeszcze coś...

– A co ja mam wspólnego z cinkciarzami? Już dawno nie pracuję w walucie. Teraz mam całkiem legalny interes.

– No i właśnie ten legalny interes mnie zainteresował. Niech pan sobie wyobrazi, że gdy wjechaliśmy na podwórko pana warsztatu, zauważyłem coś dziwnego. Otóż tam pod tym betonowym płotem stoi pewien samochód. Jest to taki kremowy mercedes na niemieckich tablicach rejestracyjnych.

– No i co z tego?

– Ano to, że jest to auto należące do komendy miejskiej MO – stwierdził bardzo z siebie zadowolony kapitan Marjański. Gdy wjeżdżali na plac, od razu dostrzegł auto i przypomniał sobie, jak dyspozytor mówił mu o wgnieceniu zderzaka i stłuczonym tylnym migaczu. Jak tylko zobaczył uszkodzenia, natychmiast domyślił się, w czym rzecz. Ktoś esbekom podprowadził auto i oddał do warsztatu Grubińskiego na przerobienie, przemalowanie i przebicie numerów... Miał Grubego Rycha w garści.

– A skąd ja mogę wiedzieć, co to za samochód? Pan myśli, że ja sam przyjmuję każde auto do naprawy? Ludzie są od tego, znaczy ludzie od roboty.

– Może nie każde, ale rocznego mercedesa musiał pan zauważyć...

– W nosie mam rocznego mesia – stwierdził kulturalnie Rychu, popijając whisky.

– No to my sprawdzimy wszystko dokładnie i dowiemy się, skąd wziął się ten mercedes u pana w warsztacie, ale na razie ja jestem tutaj w innej kwestii... – Milicjant sięgnął do wewnętrznej kieszeni bluzy, tak zwanej olimpijki, i wydobył z niej notes. Położył go sobie na kolanach i po chwili wyciągnął ze środka dwie fotografie, które dziś rano dostarczył mu na biurko milicyjny fotograf. Wstał z fotela i podszedł do Grubińskiego.

– Niech pan się przyjrzy tym dwóm twarzom. Zapewne zna je pan dobrze.

Rychu rzucił okiem na obie fotografie, a potem spojrział na milicjanta.

– Widzę ich po raz pierwszy w życiu. A co to za goście? Odpowiedzieli na pański anons w gazecie w rubryce „Szukam miłości”?

– Naprawdę ich pan nie zna? To cinkciarze...

– Mówiłem już, że wypadłem z obiegu. Nie interesują mnie walutowe interesy. Mam teraz poważny biznes.

– W którym naprawiane są kradzione samochody.

– Nic o żadnych kradzionych autach nie wiem. Ale zawsze coś takiego może się zdarzyć. Takie ryzyko zawodowe.

Milicjant uśmiechnął się pod nosem, a potem wziął zdjęcia do ręki i włożył je do kieszeni.

– No trudno, panie Grubiński, nie chce mi pan pomóc, to będę zmuszony zabrać pana na komendę.

– Mnie? – Rychu zrobił minę najniewinniejszego człowieka na świecie. – Chce mnie pan wsadzić?

– Zaraz wsadzić. Mam na myśli zwykle czterdzieści osiem godzin. Posiedzi pan sobie w przytulnej celi, pogada z kolegami bandytami, spróbuje wyśmienitej kuchni aresztanckiej, jednym słowem, krótki wypoczynek na państwowym wikcie.

– No dobra, skoro mamy iść, to chodźmy! – Grubiński nagle zmienił front i to mocno zaskoczyło Marjańskiego. Pierwszy raz widział bandytę, który sam prosi się o założenie kajdanek...

– Auuu, aaaaa! – rozległ się czyjś krzyk. Ktoś krzyczał, jakby go obdzierano ze skóry. Milicjant spojrzął na byłego cinkciarza wyraźnie zaskoczony. Ten wzruszył ramionami.

– Pewnie któryś z pracowników włożył łapę tam, gdzie nie trzeba. Ciągłe mamy takie problemy, bo ludzie mają w nosie przepisy BHP...

– Auuu! – znów ten sam krzyk. Marjański wyszarpał z kabury pistolet i skierował lufę w stronę gospodarza.

– No to ręce w górę, panie Grubiński. Pójdziemy sprawdzić, kto tam się tak wydziera i dlaczego.

Godzina 10.15

Teofil Olkiewicz przyszedł do pracy znacznie później niż zwykle. Normalnie zaczynał dzień od siódmej trzydzieści, ale dzisiaj, po nocy spędzonej na działce, jakoś nie miał nastroju i serca do roboty. Nic mu się nie chciało. Pewnie wszystko przez tę wódkę, którą zarekwirował na działkach. Trochę pocieszał się teraz tym, że ogródek był pierwszorzędnie przekopany, więc Jadwiga nie będzie miała żadnego powodu, żeby się go czepiać. Mogła sobie iść na tę cholerną działkę i sadzić tam wszystko, co jej się tylko wymarzyło.

W pokoju, w którym urzędował, zastał Brodziaka i Blaszkowskiego. Ten drugi powitał Teofila takim uśmiechem, że Olkiewicz mało nie zrobił kroku w tył.

– Co jest, jak pragnę komunizmu? Mam liścia na głowie czy jak? – zapytał podejrzliwie, jednocześnie poprawiając zaczeskę, która przykrywała mu łyse czoło.

– Nie, skąd, ale takie czasy idą, że wszystko się zmienia na lepsze.

– To może mi włosy wyrosną na głowie? – Teoś postawił na biurku swoją brązową teczkę, którą kupił za pierwszą wypłatę w pięćdziesiątym siódmym roku, żeby mieć w czym nosić sznytki do roboty. Trochę się poprzecierała na spodzie, ale mimo to nadawała się idealnie, by zabierać ją do pracy, tym bardziej że nie była jakoś specjalnie obciążona. Papierów żadnych w niej nie dźwigał, a kanapki tylko z ćwiartki chleba, bo dużo nie jadł w ciągu dnia. Bywały nawet takie dni, że prawie nic nie jadł, bo nie było na to czasu. Za to pił regularnie. Dlatego prócz sznytek zabierał do pracy zawsze jakąś butelczynę. Dziś miał w torbie butelkę winiaku luksusowego i wcale nie był z tego powodu zadowolony. Nie przepadał za kolorowymi wódkami, ale akurat tak się kiepsko złożyło, że nie znalazł niczego innego, a ten winiak uchował się jeszcze z zeszłego roku z jakiejś rodzinnej uroczystości, podczas której nikt go nie ruszył.

– No z włosami może być trudno – stwierdził Mirek Brodziak, spoglądając na czoło kolegi.

– A z czym niby będzie łatwo? – Teofil zestawiał teczkę z biurka na podłogę i usiadł na swoim krześle, nie zdejmując prochowca.

– Ze zmianami w polityce. – Blaszkowski z zadowoleniem pokiwał głową.

– A co, uchwalili przy tym Okrągłym Stole, że już nie będzie socjalizmu? – domyślił się Olkiewicz.

– Nie do końca, ale idzie nowe. – Brodziak uśmiechnął się zadowolony, bo to on przyniósł tę informację do pokoju. Usłyszał ją rano na korytarzu od Grzecha Kowala, który powiedział mu o wszystkim w wielkiej tajemnicy oczywiście i zakazał mówić komukolwiek. No i właśnie dlatego Mirek podzielił się nią natychmiast z Blaszkowskim, a teraz postanowił nią uraczyć Olkiewicza.

– Mamy w wydziale nowego kolegę – stwierdził, ściszej nieco głos, by pokazać, że mają do czynienia z poufną wiadomością.

– Łe, też mi coś. – Olkiewicz machnął ręką, bo przygotował się na poważną nowinę, a tymczasem nie było w tym niczego nadzwyczajnego. – Ciągle ktoś tu nowy przychodzi. Proszę bardzo, ten tu młody – wskazał palcem na Blaszkowskiego – dopiero co przyszedł, a już ma własne biurko. A jak ja przyszedłem do roboty na komendę Stare Miasto, to dali mi ino

szafkę na różne klonkry, a jak co trzeba było napisać, to się siadało na korytarzu i skrobało na parapecie...

– Dobra, dobra, Teoś. – Brodziak najwyraźniej chował coś jeszcze w zanadrzu. – Nowy kolega jest zupełnie z innej bajki, że tak powiem.

– Znaczy się jak?

– Ano tak, że on przychodzi tu z wojska.

– Łe, z wojska to wiara zawsze przychodziła do firmy. Miałem takiego kumpla, co przyszedł do milicji prosto z WSW i nawet się umiał znaleźć, bo zaraz pierwszego dnia postawił flaszkę na wkupne...

– Ten facet przychodzi z Solidarności – nie wytrzymał Blaszkowski, który od zawsze chciał zmieniać milicję i teraz wydawało mu się, że te zmiany już niedługo nadejdą.

– Jak z Solidarności? – Teofil spojrzał na młodego jak na kompletnego idiotę. – Przecie my w milicji to nie możemy mieć związków zawodowych. A Solidarność, jak wiem, jest rozwiązana. To wojskowy czy związkowiec?

– On nie jest przysłany tu jako związkowiec – dodał Mirek.

– Ino jako kto?

– Ino jako milicjant po kursach w Legionowie. Był w wojsku sierżantem w Czerwonych Beretach, później działaczem w Solidarności, potem się ukrywał i działał w podziemiu, a teraz skończył kurs i jest podporucznikiem skierowanym do nas.

– Skąd to wszystko wiesz...? – zapytał Teofil, którego zdziwiła ta dokładność informacji, ale zaraz się domyślił. Chorąży Grzechu Kowal, który był kierowcą w ich zespole, miał żonę pracującą w kadrach. No i właśnie pani Ola musiała poinformować swojego męża o tym niezwykłym, nowym nabytku komendy wojewódzkiej.

– No to żeś wszystko już akuratnie objaśnił i tak mi się zdaje, że jak on jest komandos od Czerwonych Beretów, to on może się przydać w robocie, żeby kogoś po ryju wytrząsać albo coś takiego...

– W milicji nikogo się nie bije – odezwał się Blaszkowski, a obaj starsi koledzy spojrzeli na niego z politowaniem. Mógł sobie ten młodzieniec myśleć, co chciał na temat milicji, ale to oni mieli wiedzę i doświadczenie.

– To niby jak mielibyśmy jakiegoś bandziora przesłuchać, jakby on nie chciał nic powiedzieć? – Olkiewicz nie był specjalnym miłośnikiem używania siły fizycznej wobec zatrzymanych, ale zdarzyło mu się przyłać jakiemuś facetowi. Za to w domu był przykładnym mężem i nigdy nie bil żony. A ona i owszem. Nieraz zasunęła mu kuksańca, gdy nie mogła sobie dać rady z położeniem go po pijaku do łóżka. Brodziak z kolei stosował zawsze

najprostsze metody, które były jasne dla przestępców. Wychowany na poznańskim Starym Mieście od najmłodszych lat uczył się obracać wśród szemranego towarzystwa. Wiedział więc dobrze, że do ludzi z półświatka najlepiej trafiają argumenty siłowe, a nie jakieś subtelne metody i wyrafinowane sposoby przekonywania. Jeśli bandzior nie chciał współpracować, natychmiast dostawał po gębie i język mu się rozwiązywał.

– Możemy być milicjantami albo policjantami. – Brodziak wyjął z paczki peweksowskiego camela i zaraz go podpalił. Patrząc na Blaszkowskiego, spokojnie zaczął mu wyjaśniać, na czym polega właściwe podejście do pracy w firmie. – Niezależnie od tego, jaką ta instytucja będzie nosić nazwę, to robota tu będzie taka sama. My będziemy łapać bandziorów, bo od tego jesteśmy. A bandyci też się nie zmieniają, niezależnie od tego, kto będzie w naszym kraju rządził. Może tylko jedno się zmieni, nasi koledzy z SB nie będą już zajmować się opozycją i Kościołem.

– To czym się będą zajmować? – zainteresował się Teofil.

– Jak to czym, tym samym, co teraz, tylko inaczej. Będą prześladować przeciwników tych, którzy rządzą.

– SB się zlikwiduje – stwierdził Blaszkowski. – Tak samo będzie z ZOMO. Jeśli po Okrągłym Stole powstanie rząd z opozycją, to przecież opozycja nie pozwoli, żeby ci, którzy kompromitowali milicję, dalej to robili. Tych ludzi trzeba postawić przed sądem, osądzić ich sprawki...

– Kogo chcesz sądzić, chłopie? – przerwał mu Mirek drwiącym tonem. – Teofila Olkiewicza na przykład? Spójrz no na jego szczerą, robotniczo-chłopską gębę. To według ciebie przestępca z bezpieczeństwa?

– Mnie sądzić? – zdziwił się Teoś, który zawsze uważał się za człowieka bez skazy. – A niby to za co?

– Za to, że byłeś w SB.

– Praca jak każda inna – wyjaśnił Teofil. – Ale jak za SB chcą wsadzać do pudła, to może ten nowy przyszedł nas szpiegować?

– Ja nie powiedziałem, że trzeba wszystkich, którzy pracowali w resorcie, wsadzać. – Blaszkowski najwyraźniej zaczął się wycofywać ze swoich inkwizytorskich poglądów, zapędzony przez Brodziaka w kozi róg. – Nie chodzi o Teofila. Chodzi o zmiany w systemie... One się muszą dokonać. I jak widać, już się dokonują, skoro przychodzi do nas facet z Solidarności.

Mirek machnął ręką, widząc, że nie jest w stanie przekonać zapalczego młodzieńca.

– Powiem ci tylko jedno, chłopaku, że niezależnie od tego, jaka by była władza, to SB będzie zawsze potrzebne, bo ktoś musi wykonywać za tę władzę brudną robotę.

Tym razem Mariusz nic nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, jak przekonać tych starych pierdzieli do tego, co się miało wydarzyć. Co już się działo w kraju i co w najbliższym czasie powinno przynieść kolosalne zmiany. I one właśnie się zaczynały. To, że w milicji pojawił się człowiek z podziemnej Solidarności, było widocznym tego znakiem. Znakiem, na który Blaszkowski czekał od lat, bo przecież po to przyszedł do milicji, żeby ją zmieniać od środka.

Tymczasem Teofil podniósł z podłogi swoją teczkę, położył ją na kolanach i otworzył. W środku zobaczył kanapki zawinięte w gazetę, butelkę winiaku i coś jeszcze, co go szczególnie zainteresowało. Nie pamiętał, żeby ostatnio coś jeszcze do tej teczki pakował, szczególnie papierowego. Włożył więc do środka dłoń i chwycił to znalezisko. Była to fotografia przedstawiająca jakiegoś młodego mężczyznę. Spojrzał w tę twarz i po chwili zastanowienia musiał przyznać, że skądś go zna. Zmarszczył brwi, mocno skupiając uwagę na zdjęciu. Za cholerę nie mam pojęcia, co to za gość, pomyślał i zdenerwowany rzucił fotografię na biurko. Na wypolerowanym do czysta blacie, na którym nie leżało kompletnie nic, zdjęcie pośliznęło się i pojechało płynnie jak ernerowska łyżwiarka, a potem spadło na podłogę. Teofil nawet nie pomyślał, by je podnieść. Co go w końcu mógł obchodzić jakiś obcy facet, który nie wiadomo czemu wpadł do jego teki?

Leżące na brudnej podłodze wyłożonej zdeptanym linoleum zdjęcie podniósł jednak Brodziak i niewiele się zastanawiając, przypiął tam, gdzie przyczepiało się wszystkie zdjęcia, które mogły się do czegoś przydać pracującym w tym pokoju oficerom, czyli na powieszonyj na ścianie podłużnej słomiance. Trafiło więc do kolekcji kilkunastu innych gąb poszukiwanych przestępców o niezbyt ciekawych fizjonomiach.

Rozdział V

Godzina 10.35

Kapitan Marjański jako człowiek dobrze znający życie rzadko kiedy dziwił się czemukolwiek. Bo i co mogło zaskoczyć tak wytrawnego oficera śledczego, który już

niejeden raz bywał w niezwykłych okolicznościach. Tym razem jednak był szczerze zdziwiony widokiem, który zastał w piwnicy willi należącej do Grubińskiego. Na podłodze leżał zupełnie nagi mężczyzna z zabandażowanymi łydką i udem. Na plecach miał wyraźnie odbijające się od bladej skóry sine pręgi. Takie pasy pojawiały się na ciele po pobiciu milicyjną pałką, ale nie tą małą, którą nosili przytroczoną do swoich raportówek funkcjonariusze na patrolach, ale taką wielką, zomowską, służącą do rozpędzania demonstracji. Marjański znał efekt ich działania, bo jako student szkoły w Szczytnie kilka razy brał udział w takich pacyfikacyjnych akcjach. Sam nigdy nikogo nie uderzył, ale widział później na posterunkach pobitych facetów z takimi właśnie pręgami. Jednak nawet gdyby nie miał żadnych doświadczeń z dawnych czasów, nie musiałby się długo zastanawiać, skąd się wzięły ślady, bo nad pobitym stał wielkolud z milicyjną pałką w ręce. Marjański uświadomił sobie, że zna tego gołego faceta. Co prawda niezbyt blisko, ale zna go z widzenia i kilka razy nawet z nim rozmawiał, i to chyba na komendzie.

Nie zdążył sobie przypomnieć nazwiska, bo gdy na chwilę stracił swoją milicyjną czujność, facet z pałką doskoczył do niego i potężnym ciosem wymierzonym prosto w głowę pozbawił go przytomności. Milicjant zdążył jeszcze zauważyć, nim ogarnęły go kompletne ciemności, że ten podły typ Grubiński pochyła się nad nim i coś do niego mówi, ale co, tego już nie dosłyszał, a może słyszał, ale nie zrozumiał...

– I co z tym kutasem teraz zrobimy? – Pochylony nad Marjańskim Rychu sprawdzał, czy milicjant jeszcze w ogóle oddycha. Wystraszył się, że facet wyzionął ducha, bo cios, jaki zainkasował od Szymusia, był naprawdę potężny.

– Trzeba by mu jeszcze raz przypierdolić – stwierdził mechanik, który widać nie doceniał swoich bokserskich umiejętności.

– Zwariowałeś? Przecież go zabijesz!

– A co niby z nim można zrobić?

– Diabli wiedzą. Trzeba się zastanowić. Na placu jest jeszcze jeden szkieł.

– To można by jego wziąć tu i tak samo jak tego pierdolnąć, a potem...

– No właśnie, co, kurwa, potem?

– Do lasu się ich zakopie i po sprawie. – Szymuś nie widział żadnego problemu. Lubił sprawy załatwiać szybko i skutecznie. A ci milicjanci to byli ludzie, których trzeba było się pozbyć, bo pojawili się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiednim czasie. Pozostawienie ich przy życiu tylko wszystko mogło skomplikować.

– A ten co w końcu wygadał? – Rychu wskazał na rannego faceta.

– No tak jak żeśmy myśleli. Chcą przed wprowadzeniem pozwoleń na handel walutą załatwić konkurencję i przejąć biznes. Wycisnąłem z niego parę nazwisk.

– Nie skłamał?

Szymuś wzruszył ramionami.

– Nic nie pokręcił. Mam wszystko zapisane. Chociaż cholera go wie.

– No dobra, to teraz idź i przyprowadź tu tego szkieła, co jest na podwórku, i zrobimy mały cyrk.

– Znaczy się, co?

– Idź po niego, to się przekonasz. Powiedz mu, że pan kapitan go prosi i to szybko. A potem, jak wejdiesz tu, to tylko potwierdzaj, co powiem. Aha, zaraz. Tego gnoja jeszcze musimy ubrać, żeby wyglądało tak, jakby dopiero tu się znalazł.

Kwadrans później kapral Błaszczyk zauważył, że do jego auta zbliża się jakiś wielki człowiek. Mimowolnie sięgnął do pasa, by odpiąć kaburę pistoletu. Robił to na wszelki wypadek, bo przecież nie mógł mieć pewności, czy ten typ nie przychodzi go zastrzelić. Wiedział dobrze, że bandyci strzelają do milicjantów. Tylko chyba nie tutaj w zakładzie mechanicznym. Warsztat nie wyglądał przecież jak jakieś siedlisko bandytów, tylko... Przez chwilę się zastanawiał, jak wyglądał, ale wymyślił tylko, że jak zakład mechaniczny. Wielkolud tymczasem podszedł do auta i pochyliwszy się, zastukał w szybę. Błaszczyk przez chwilę się zastanawiał, czy otworzyć, ale dostrzegł uśmiech na twarzy olbrzyma, więc natychmiast nabrał do niego zaufania. Skoro się uśmiechał, to nie mógł mieć złych zamiarów. Odkręcił więc szybę.

– Czego chcecie, obywatelu?

– Jak czego? Chcemy, żebyście przyszli szybko.

– Jak to?

– No, kurwa, normalnie, obywatelu milicjancie. Jak kapitan was wzywa, to trzeba iść, co nie?

– Gdzie iść? – Błaszczyk nic nie mógł z tego zrozumieć.

– No do domu, znaczy tam, o... – Szymuś wskazał willę za swoimi plecami. – Tam wasz dowódca jest z panem Ryszardem i pan kapitan kazał, żebyście przyszli z kajdankami, bo on nie zabrał ze sobą.

– Z kajdankami? O, do licha, to znaczy, że jest aresztowanie!

– Jeszcze jakie aresztowanie. Aresztowanie bandyty na gorącym uczynku!

Błaszczyk już nie słuchał. Otworzył drzwi i tak szybko wypadł z samochodu, że mechanik musiał odskoczyć.

– Idziemy, szybko! – zakomenderował i ruszył w kierunku willi. Pracownik Grubińskiego poszedł za nim. Błaszczyk stanął w wejściu niezdecydowany. Obejrzał się za siebie. Wielkolud stał za jego plecami.

– Dokąd teraz? – zapytał, spoglądając niezdecydowanie w głąb otwartych drzwi prowadzących do korytarzyka w przyziemiu.

– Tutej na prawo. – Szymuś wskazał swoją ogromną łapą schody prowadzące do piwnicy. Milicjant skierował się tam bez wahania. Zszedł tak szybko, że mechanik ledwie mógł za nim nadążyć.

– Obywatelu kapitanie, to ja, kapral Błaszczyk.

– Tutaj! – zawołał ktoś z korytarza po prawej stronie. Skoro ktoś odpowiadał na słowo „kapitan”, to musi być kapitanem, domyślił się Błaszczyk. Trzema susami dopadł metalowych drzwi i mocno je pchnął. Ani drgnęły. Uderzył więc jeszcze raz, ale mocniej. Nie ruszyły się, a jedynym efektem, jaki osiągnął, był ból w ramieniu.

– Obywatelu kapitanie, zamknięte! Melduję, że zamknięte! – poprawił się natychmiast, bo pomyślał, że kapitan może mu zwrócić uwagę, że nieregulaminowo się do niego odezwał. Tymczasem ten za drzwiami też bardzo nieregulaminowo odpowiedział:

– Kurwa!

– Melduję, że nie rozumiem, obywatelu kapitanie. To ja, kapral Błaszczyk! Melduję się na rozkaz, ale drzwi są zamknięte. Może przestrzelić zamek? Obywatelu kapitanie... Słyszycie? Tu kapral Błaszczyk!

– Drzwi są otwarte – odezwał się zza jego pleców wielkolud. Kapral zdziwiony odwrócił się i spojrzał zaskoczony na mężczyznę.

– Że niby jak?

Szymuś położył łapę na klamce, przycisnął ją i lekko pociągnął drzwi. Te natychmiast ustąpiły.

– Nie do pchnięcia, ino do ciągnięcia – wyjaśnił. Błaszczyk pokiwał głową. No tak, mógł się tego domyślić. W zasadzie to nawet tak myślał, ale nie starczyło czasu na sprawdzenie. W końcu był pilnie wzywany przez swojego oficera. Musiał działać i przez to działanie teraz bolało go całe ramię. Trzeba by sprawdzić, czy aby nie zwichnięte...

Wszedł do środka. W pomieszczeniu panował półmrok. Kapitan siedział na krześle. W ręce trzymał długą milicyjną pałkę. Błaszczyk natychmiast to dostrzegł, ale oczywiście o nie nie zapytał, choć bardzo zaciekała go ta pałka, bo nie przypominał sobie, żeby Marjański miał taki sprzęt ze sobą. Zresztą, skąd by miał mieć? Przecież to nie było zwykłe narzędzie, jakie oficerowie zabierali na jakieś akcje, ale wielka pała, o której zomowcy mówili

„koncertówka”, bo używało się jej na „specjalnych występach”. Naprzeciw kapitana siedział facet ubrany w połyskliwy, kreszowy dres, który był ostatnim krzykiem mody. Błaszczyk chciał mieć taki dres, ale na Łazarzu musiałby na niego wydać przynajmniej połowę swojej pensji. Ten facet pewnie był nie lada bogaczem, skoro go stać na taki luksus. Mężczyzna głowę miał spuszczoną, a ręce zniknęły gdzieś z tyłu za oparciem krzesła, tak jakby były związane albo skute kajdankami. Nie ruszał się, ale kapitan też siedział nieruchomo. Zdaje się, że przesłuchiwał tego gościa. No tak, to musiało być przesłuchanie, bo dlaczego siedzieliby naprzeciwko siebie, a kapitan jeszcze dodatkowo miał w ręce pałkę? Błaszczyk, jako dobrze wychowany i wyćwiczony milicjant, postanowił dać swojemu dowódcy znak, że jest tu na miejscu i w razie czego można na niego liczyć. Bo on nade wszystko chciał być przydatny swoim przełożonym, swojej służbie, a co za tym idzie swojej ojczyźnie. Nie wiedział co prawda, jak by tej ludowej ojczyźnie mógł się przydać, ale myślał sobie, że wykonywanie poleceń przełożonych to już jest ta niezwykła przydatność.

Strzelił więc obcasami, zasalutował do daszka czapki i zameldował zgodnie z regulaminem, ale niezbyt głośno, żeby nie przeszkadzać zanadto dowódcy:

– Kapral Błaszczyk melduje się na rozkaz zgodnie z poleceniem obywatela kapitana. A te drzwi to melduję, że się otwierają na zewnątrz i dlatego nie dało się ich otworzyć za szybko, bo nie było napisu, że ciągnąć, to ja siłą rozpędu je pchałem. Ale zgodnie z rozkazem zaraz byłem na miejscu, żeby służyć pomocą obywatelowi kapitanowi...

Nie dokończył tej myśli, bo naraz zauważył, że światło gaśnie mu w oczach, a on zapada się w jakąś otchłań i leci w nią z szybkością samolotu...

– Nie za mocno żeś mu przylał? – zapytał Rychu z pewną obawą w głosie.

– Ady tam, ledwo go pacnąłem w ucho.

– No to mam nadzieję, że się tak szybko nie obudzą.

– Nigdy w życiu – zapewnił natychmiast Szymuś. – Jak damy im jeszcze tego – wskazał jakieś zawiniątko – to po takiej dawce będą fruwać w powietrzu przez kilka najbliższych godzin. Nawet jakby któryś z nich za szybko otworzył oczy, to i tak nie będzie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Ale za dwie, trzy godziny już będą gotowi.

– Sam próbowałeś?

– No co pan, czy ja wyglądam na jakiegoś pojeba? Ja jestem normalny człowiek. Jak chcę zaliczyć odlot, to siadam do flaszki i się normalnie po bożemu nawalam i za radość chlania następnego dnia mam za karę kaca. Ale żeby jakieś gówna sobie wstrzykiwać w żyłę, to trzeba mieć naprawdę zrytą bańkę. Nic z tego, znaczy się w życiu nie weznę tego syfu.

– No dobra. – Rychu klepnął swojego człowieka w ramię. – Bierzymy się teraz do roboty. – Tych dwóch szkiełów dajemy do auta i wieziemy ich do Miłego Stefana. Już on się nimi odpowiednio zajmie, a ty ich przygotuj do drogi.

Grubiński uśmiechnął się do Szymusia i wyszedł na korytarz. Mechanik też się uśmiechnął, ale z podziwem. Gdyby kombinował i ze sto lat, to nie wymyśliłby takiego rozwiązania jak jego szef. Bo dzięki planowi, który powstał w głowie Grubińskiego, ten milicyjny kryzys, który pojawił się tak niespodziewanie dziś rano, już został załatwiony. Teraz pozostawało tylko dokończyć to przedstawienie.

Po kilku minutach pierwszy milicjant, kapral, leżał na zimnej podłodze związany jak baleron. Teraz Szymuś zabrał się za tego drugiego. Był wyższy i bardziej nieporęczny w obwiązywaniu, ale mechanik i z nim poradził sobie bardzo sprawnie. Gdy obaj byli już gotowi do transportu, przyjrzał się im uważnie. Tego podoficera o twarzy oślizgłego naleśnika ocenił na jakieś siedemdziesiąt kilo. Drugi mógł mieć z dziesięć kilo więcej. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wziąć ich obu na raz na ramiona, ale potem machnął ręką. Po jaką cholere się przemęczać? Można przecież brać po kolei...

Godzina 10.40

Na ulicy 27 Grudnia w podcieniach domu handlowego Kasia ludzie zawsze coś sprzedawali i kupowali. Przedsiębiorcze kobiety oferowały kolorowe torby foliowe z peweksu z reklamami papierosów albo džinsów, a po drugiej stronie ulicy stały stragany, na których rumiane góralki sprzedawały oscypki, kierzce i swetry z owczej wełny. Jednak teraz coś zaczęło się zmieniać w wyglądzie tych miejsc. Do handlujących tu stale zaczęli dołączać inni, zupełnie nowi, oferujący inny asortyment. Sprzedawcy ustawiali na chodniku rozkładane stoliki kempingowe, leżaki albo nawet łóżka turystyczne i na tych osobliwych ladach układali swój towar. A w ofercie pojawiała się wszystko to, czego nie można było dostać w normalnych, państwowych sklepach. Sprzedawano więc przywiezione z Niemiec Zachodnich soczki w kartonikach, kawę, herbatę i prawdziwą czekoladę. Kto inny miał książki, których w żaden sposób nie można było dostać w księgarniach, a do stoisk z kasetami magnetofonowymi przywoływały puszczone głośno z odtwarzaczy jamników dźwięki najnowszych przebojów Depeche Mode, Phila Collinsa czy Madonny. Szczęśliwi posiadacze

magnetowidów mogli u ulicznego dystrybutora kaset video zakupić kasetę z dwoma filmami, a po ich obejrzeniu wymienić na kolejną u tego samego handlowca.

– Masz pan film o Kanonie Barbarzyńskim? – pytał jakiś mężczyzna w lichym palcie i amerykańskiej, niezwykle modnej czapce bejsbolowej. Sprzedawca pokręcił głową i machnął ręką, robiąc zniesmaczoną minę.

– Kto by tam Conana oglądał, panie szanowny? Teraz hiciorem to jest Mad Max! Widział pan, jak zapierdalała po pustyni na takim autku-skuterku?

– A to wojenne? – zainteresował się potencjalny klient,

– To jest, panie, wojna totalna w przyszłości po wojnie atomowej. Wszyscy się napierdalają ze wszystkimi o wodę albo o żarcie. Hicior, panie, hicior!

– To se może popatrzę. A co w bonusie na drugim miejscu na kasecie?

– Heidi, dziewczyna z gór! – Tu handlarz mrugnął porozumiewawczo do klienta, któremu niezbyt spodobała się myśl o jakiejś obyczajówce. – Półtorej godziny ostrego dupczenia – wyjaśnił i to wyjaśnienie od razu zmieniło nastawienie faceta w bejsbolówce.

– No to nie ma gadki. Biorę tego Maxa z tą Niemrą.

Dystrybutor pogrzebał chwilę w pudełku pełnym kaset ustawionych grzbietami do góry, na których tytuły były wypisane profesjonalnie na maszynie. Po chwili wyciągnął jedną i podał klientowi. Ten miał ją już prawie w ręce, gdy wtem został pchnięty przez kogoś, kto przechodził tuż za nim. Mężczyzna z trudem złapał równowagę, opierając się dłonią o stół sprzedawcy.

– Co jest, do kurwy nędzy! Jak łazisz, pizdo jedna! – warknął, oglądając się za siebie.

Sprawczyni zamieszania spojrzała na tego w bejsbolówce, a potem na gościa, który ją wepchnął na plecy klienta.

– To ten kutas złamany mnie wepchnął, bo chciał mi łapę do kieszeni włożyć, jebaniec!

– Ja? Nigdy w życiu. To nie była moja ręka.

– Ja jego znam. To złodziejska kurwa! – Kaseciarz wyzywająco spojrzął na „niewinnego”. – Spierdalaj, kutasie!

– Ciąg stąd, gnoju niemyty, bo zaraz milicję zawołam! – krzyknęła dziewczyna. – A ty nie wiesz, że do kobiet się grzeczniej odnosi? – Wskazała palcem na tego w bejsbolówce.

– Właśnie! – poparł ją sprzedawca kaset. – Konia chciał se walić na pornosie niemieckim, a do polskich dziewczyn nie umi z szacunkiem. Spierdalaj stąd, łachudro zбочzona, i więcej do porządnej wypożyczalni nie wracaj, bo ci się michę wyklepie! A pani szanowna – tu spojrzął na całkiem ładną dziewczynę – może se w ramach naprawy szkód kasetkę wybierze?

– Dziękuję, ale innym razem. Teraz czasu nie mam. – Magda obdarzyła swojego obrońcę promiennym uśmiechem i ruszyła szybkim krokiem w kierunku Arkadii. Do ulicy 23 Lutego miała stąd już bardzo blisko. Wystarczyło tylko przejść plac Młodej Gwardii i będzie już prawie na miejscu. Wiedziała jednak, że samo dojście do kamienicy to jeszcze żaden sukces. Ona musiała dostać się do mieszkania, a tam mogło być różnie. Przecież w środku mogli być milicjanci, którzy zbierali odciski palców czy coś tam jeszcze. No i w najgorszym wypadku mogli przecież robić gruntowne przeszukanie. Liczyła jednak na to, że szkieły podejną do sprawy rutynowo, to znaczy obejrzą tylko chatę i po tych oględzinach, nie natrafiwszy na nic interesującego, zaplombują drzwi. A z plombowaniem to ona sobie poradzi. Już zdarzyło się jej wchodzić do tak zabezpieczonego lokalu. W osiemdziesiątym pierwszym, gdy aresztowano jej sąsiada, działacza Solidarności Antkowiaka, trzeba było się dostać do jego mieszkania, a plomby, które zostawiła milicja, to był po prostu śmiech na sali. Zostawili paski kartek z pieczętkami, które przykleili na zwykły klej roślinny do drzwi i framugi. Magda przyjrzała się papierkom i szybko zdecydowała, że potraktuje je zwykłą żyletką. Przecięła grubą warstwę kleju pod trzema „plombami” i drzwi do mieszkania stanęły otworem. Dzięki temu jej matka mogła zabrać ze środka całą walizkę różnych rzeczy, które potrzebne były Antkowiakowi na czas internowania.

Teraz Magda miała nadzieję, że milicja zostawi na drzwiach równie prymitywne zabezpieczenie. Tym razem była nawet lepiej przygotowana, bo miała w torebce nożyk tapicerski z wysuwającym ostrzem.

Przeszła jakieś sto metrów wzdłuż ulicy i przystanęła przy zakładzie ramiarskim. Nie interesowały jej jednak żadne obrazy, które można by było oprawić. W witrynie wisiało lustro w złoczonej ramie. Stanęła przed nim i jak wytrawny szpieg zaczęła uważnie przyglądać się w odbiciu kamienicom po drugiej stronie. Szczególnie interesowała ją ta ostatnia w szeregu, za którą była stacja CPN-u.

Patrzyła tak przez jakieś dwie minuty, ale nie dostrzegła niczego niepokojącego. Przede wszystkim nie widać było żadnego milicyjnego samochodu. W bramie też nie kręcił się żaden funkcjonariusz. Wyglądało na to, że droga jest wolna.

Zza ramy wysunęła się głowa pracownika, a może właściciela zakładu. Popatrzył na Magdę i uśmiechnął się oblesnie, wskazując głową, że mogłaby wejść do środka. Popukała się palcem w czoło i pokazała mu język, a potem nieśpiesznie ruszyła wzdłuż chodnika. Po chwili stanęła przy krawężniku, czekając, aż przejedzie zielony tramwaj. Gdy oddalił się w kierunku szkoły plastycznej, rozejrzała się jeszcze na boki, tak na wszelki wypadek, i w końcu przeszła na drugą stronę ulicy.

Brama do kamienicy była jak zwykle szeroko otwarta. Nie było widać żywego ducha, więc niewiele się zastanawiając, skierowała się do klatki schodowej. Wchodząc po kamiennych schodach, pomyślała, że dobrze zrobiła, zdejmując buty na obcasie i zamieniając je na miękkie i ciche adidas na gumowej podeszwie. Dzięki temu bezszelestnie dostała się na drugie piętro, nie budząc zainteresowania żadnej ze wścibskich sąsiadek.

Gdy stanęła przed drzwiami, natychmiast się zorientowała, że oklejono je zwykłymi papierowymi plombami. Nie było więc problemu z wejściem. Wyciągnęła z torebki nożyk, wysunęła ostrze i szybko podcięła nim klej pod trzema paskami łączącymi właściwe drzwi z nieco mniejszym bocznym skrzydłem. Teraz wystarczyło tylko użyć kluczy. Na szczęście miała swój komplet. Najpierw w ruch poszedł ten tradycyjny otwierający zamek pod klamką, a później dwa patentowe typu yale. Przycisnęła klamkę i drzwi ustąpiły, nie czyniąc żadnego hałasu. Zawiasy były dobrze naoliwione. Marcei Krzyżaniak dbał o takie szczegóły. Zresztą zawsze miał w domu nienaganny porządek. Sam o niego dbał, a że był perfekcjonistą w każdym calu, nie miał z utrzymaniem czystości najmniejszego problemu. Zresztą jeśli chodzi o perfekcyjne decyzje, zapewne dlatego wybrał Magdę. Dostrzegł w dziewczynie poznaną na dyskotecce ten błysk inteligencji, a po chwili rozmowy wyczuł w niej także ducha przedsiębiorczości. W krótkim czasie pomógł jej ze zwykłej sprzedawczyni w sklepie odzieżowym przemienić się we właścicielkę butik na Rynku Łazarskim. Ten butik był jednym z najważniejszych punktów sprzedaży towarów z jego szwalni.

Jednak do wspólnego prowadzenia interesów potrzebne było zaufanie. To między nimi przypieczętowane zostało w łóżku Krzyżaniaka. Magda została jego dziewczyną, mimo że dzieliło ich ponad dwadzieścia lat. Jej ta różnica wieku nie przeszkadzała, a jemu imponował fakt, że mógł pokazywać się z piękną, młodą dziewczyną. Jednak ten związek nigdy nie przybrał bardziej formalnych ram. Krzyżaniak nie miał zamiaru się żenić, bo twierdził, że po pierwszym nieudanym małżeństwie musi jeszcze odpocząć. A ona nie naciskała. Jej też było dobrze w tym związku na kocią łapę, w którym nie musiała się spowiadać z każdej godziny.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi na wszystkie zamki. Wtedy dopiero zapaliła światło na korytarzu, który tonął w ciemności. Wszystkie drzwi prowadzące do innych pomieszczeń były zamknięte. Marcei nigdy tak nie robił. Widać więc, że zrobiła to obca ręka.

Poszła prosto przed siebie do gabinetu. Gdy znalazła się w środku, uderzyła ją nagła myśl, że nic w tym miejscu się nie zmieniło. Tak jakby czas się zatrzymał i gospodarz miał tu się pojawić lada moment. Tylko właściwie co miałyby się zmienić? Prawdę powiedziawszy, spodziewała się większego bałaganu, jakiegoś nieporządku po stoczonej tu walce albo porzucanych z pólek książek, leżących na podłodze po rewizji przeprowadzonej w brutalny

sposób. Jak w tym mieszkaniu sąsiada. Tam wszystko wyglądało tak, jakby przeszło tornado. Tutaj panował idealny porządek.

Pomyślała, że nie ma co tracić czasu na niepotrzebne zastanawianie się nad głupotami. Przecież przyszła tu w konkretnym celu. Podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na ulicę i narożną kamienicę naprzeciwko. Ale nie interesowały jej widoki. Odsunęła firanki i uklękła przy parapecie. Zajrzała pod spód. Wystawała tam niewielka blaszka. Wiedziała dobrze, co z nią zrobić. Trzeba było ją lekko podważyć. Wyjęła więc szybko metalową spinkę, którą wpięła we włosy przed wyjściem z butików. Popchnęła nią blaszkę i prosta blokada została zwolniona, a parapet nieznacznie się uniósł. Wstała z kolan i chwyciła deskę. Lakierowane drewno poddało się bez oporu. Pod parapetem ukazał się głęboki schowek. Był na tyle obszerny, że bez trudu zmieściła się tam czarna aktówka. Wydobyła ją i na wszelki wypadek jeszcze raz zajrzała do środka. W kryjówce było coś jeszcze. Przez chwilę patrzyła na czarny, połyskujący przedmiot, zastanawiając się, czy w ogóle brać go do ręki. Nie miała w swoim życiu właściwie żadnego kontaktu z bronią, z wyjątkiem kabkaesu, z którego strzelała na zajęciach przysposobienia obronnego w szkole średniej. A to tam na dole wyglądało jak prawdziwa spluwa. Szkoda było ją zostawiać. Mogła się kiedyś przydać.

Ostrożnie chwyciła broń i wydobyła ze skrytki. Potem podeszła do biurka, na którym położyła aktówkę zamykaną na szyfrowy zamek. Znała dobrze kombinację czterech cyfr: 1109, czyli dzień i miesiąc jej urodzin. Nastawiła pokrętła i zamek otworzył się.

Podniosła klapę walizeczki i zajrzała do środka. Tak jak się spodziewała, torba wypełniona była po brzegi studolarowymi banknotami w równych paczuszkach przewiązanych gumką. Powinno tam być trochę ponad sto tysięcy. Te pieniądze miały być ich zabezpieczeniem na czarną godzinę albo wkładem w przyszłą wspólną inwestycję. Teraz sama będzie musiała je zainwestować. Wrzuciła na wierzch pistolet i już chciała zamknąć walizkę, gdy naraz jej uwagę przyciągnęło coś jaśniejszego, co wystawało zza krawędzi równo ułożonych banknotów. Była to koperta. Taka zwykła listowa. Dostrzegła na niej napisane równym kaligraficznym pismem swoje imię. Koperta nie była zaklejona, więc szybko wydobyła ze środka list. Nie był długi...

Po chwili była już na klatce schodowej. Nie zapomniała starannie zakleić papierowych plomb na drzwiach, a zrobiwszy to, zbiegła po schodach. Nie zauważyła, że zza lekko uchylonych drzwi pierwszego piętra przypatruje się jej uważnie emerytowany funkcjonariusz milicji Alojzy Wróbel. Mimo że dochodził już siedemdziesiątki, nadal był bystrym obserwatorem i wystarczył mu jeden rzut oka, by rozpoznać przebiegającą dziewczynę. Dostrzegł w jej dłoni czarną walizeczkę, a nawet to, że ma zapłakane oczy.

Świecko

Godzina 11.00

Czteroletni biały mercedes 230 E zatrzymał się na szerokim poboczu przy wjeździe na granicę między Polską i NRD w Świecku. Dziś kolejka na przejściu była umiarkowana. Sznur ciężarówek miał zaledwie dwa, może dwa i pół kilometra, a osobówek po polskiej stronie stało mniej niż pięćdziesiąt. Marysia nie miała zamiaru czekać. Nie wyjeżdżała przecież z kraju. Miała tylko do załatwienia sprawy na granicy. Konkretnie w urzędzie celnym. Teraz, stojąc przy swoim aucie i paląc papierosa, zastanawiała się, jak podejść do tego cholernego urzędu. Teoretycznie sprawa była prosta. Powinna osobówki minąć z prawej strony, bo tam był pas awaryjny. Ale na nim też stały samochody ludzi, którzy jechali do Niemiec. Musiała coś wymyślić, bo przecież nie zamierzała wracać z pustymi rękami do Poznania. Rychu zabiłby ją śmiechem, gdyby mu powiedziała, że nie dała rady dojechać do urzędu na spotkanie, które on sam zorganizował.

– Jednym z naszych punktów rozgrywki będzie opłacenie celników – mówił jej podczas ostatniego spotkania w Adrii. – Dokładniej chodzi o jednego celnika, który jest szefem urzędu na granicy. Pojedziesz do Świecka i zapłacisz mu dziesięć tysięcy zielonych.

– Za co mam mu płacić?

– Za wydanie urzędowej decyzji.

– Jakiej?

– Za wydanie zgody na postawienie kiosku na terenie urzędu celnego.

– To on może wydawać takie zgody?

– Oczywiście, że może. Ale nie wydaje, bo mu się to nie opłaca. Przecież nie ma nic za darmo. On też chce zarobić. Ma tam trochę wolnego miejsca, zresztą jak na każdym przejściu granicznym. Kiedyś miały tam powstać minipeweksy, więc z Warszawy przyszło pismo, żeby w każdym urzędzie wygospodarowano przestrzeń na mały kiosk peweksowski, a decyzję o ich ustawieniu we właściwym miejscu mieli wydawać naczelnicy urzędów. Ale jak to zwykle u nas bywa, coś się spieprzyło, bo przyszedł stan wojenny i nic w końcu z tego nie wyszło.

Celnikom nikt jednak nie odebrał uprawnień w sprawie wydawania decyzji o usytuowaniu kiosków na ich obszarze, więc my tam te budy postawimy.

– A co w nich będziemy sprzedawać, jabłka czy chleb? – zapytała zaskoczona kobieta, bo jeszcze do końca nie zrozumiała intencji kolegi.

– Tam będziemy sprzedawać coś, czego nasz naród potrzebuje jak powietrza.

Musiała przyznać, że Rychu ma łeb na karku. Mało kto wpadłby na taki szaleńczy pomysł. Ale był to pomysł z tych, które miały realną szansę powodzenia, dlatego weszła w ten interes bez żadnych wątpliwości, a co więcej postanowiła zainwestować w niego wszystkie swoje oszczędności. Była bowiem przekonana, że stanie się w ten sposób bogatą osobą.

Znali się z Rychem od kilku lat. Poznała ich ze sobą Renata, jej koleżanka, która prowadziła bar As na placu Wolności. Wtedy Renata była dziewczyną Grubego Rycha, potem wyjechała do Niemiec Zachodnich, żeby tam rozwinąć skrzydła. Przez jakiś czas Rychu utrzymywał z nią jeszcze kontakt telefoniczny, a później miłość nagle zgasła. Zresztą na horyzoncie pojawiła się Laura, którą Rychu poznał dzięki Marysi. A oni dwoje? Można powiedzieć, że łączyło ich coś w rodzaju przyjaźni opartej na interesach. Trzy lata temu te interesy mogły się dla niej zakończyć tragicznie, bo związała się z pewnym byłym esbekiem, który chciał dorobić się na srebrze. Był to akurat czas, gdy złodzieje ukradli srebrny sarkofag świętego Wojciecha w Gnieźnie i szukał go każdy milicjant w tym kraju. A ona z esbekiem miała wyjechać z kraju autem pełnym srebra. Po drodze doszło jednak do wypadku. Jej kochaś uciekł, zostawiając ją w płonącym samochodzie. Uratował ją Teofil Olkiewicz, milicjant, który się w niej kochał, a ona wiązała z nim pewne plany. Chciała z niego uczynić kogoś w rodzaju swojego ochroniarza, ale szybko okazało się, że Teoś do niczego się nie nadaje, bo interesuje go wyłącznie chłanie. Była mu oczywiście wdzięczna za ocalenie życia, jednak nie na tyle, by w dalszym ciągu utrzymywać z nim bliskie kontakty. Co innego z Rychem.

Spojrzała na zegarek. Minęła już jedenasta, a ona miała być w urzędzie o jedenastej trzydzieści. Tymczasem kolejka osobówek nawet się nie ruszyła. Naraz obok niej zatrzymał się milicyjny radiowóz, niebieski fiat 125p. Nie zauważyła, jak nadjeżdża, wpatrzona w przejście graniczne. Pasażer w milicyjnym mundurze otworzył korbką okno do połowy, wystawił przez szparę nos i zawołał w jej kierunku:

– Tu nie można stać, obywatelko. Proszę stąd odjechać, ale już!

– Jak mam odjechać, jak nie mogę przejechać? – odpowiedziała, bezradnie rozkładając ręce.

– Musi się pani ustawić w kolejce jak wszyscy. Proszę jechać do kolejki.

– Ale ja nie chcę do żadnej kolejki.

– Wszyscy muszą stać w kolejce. Proszę odjechać, bo mamy mandat. Tu się nie staje.

Trzeba tak jak wszyscy jechać do kolejki i czekać na kontrol.

– Panie oficerze, ja nie mam po co być kontrolowana, bo ja nie jadę za granicę.

– A gdzie pani jedzie? – zapytał podejrzliwie milicjant, który nie bardzo mógł zrozumieć, jak można nie jechać za granicę, skoro się przyjechało na granicę. Tu wszyscy jechali za granicę.

– Jadę na granicę.

Milicjant pokręcił głową. Widać było, że to gadanie z idiotką o blond włosach już zaczęło go męczyć. Gdyby ta kretynka nie była taka piękna, już dawno by jej wypisał mandat, żeby wiedziała, że z milicjantami się niepotrzebnie nie dyskutuje i nie zajmuje im niezwykle cennego, służbowego czasu.

– Nie dyskutujcie, obywatelko. Jak nie chcecie jechać za granicę, to zwracajcie auto i jedźcie do domu.

– Kiedy ja tu przyjechałam specjalnie z Poznania do urzędu celnego, żeby się spotkać z naczelnikiem. Mam umówione spotkanie.

Milicjant teraz uważniej spoznał na kobietę. Nie wyglądała na urzędniczkę. Wszystkie urzędniczki, które znał, a znał ich przynajmniej ze dwadzieścia, były stare i brzydkie, tak jak te dwie wredne baby w okienku na poczcie, które specjalnie wolno stemplowały listy i przyjmowały opłaty, żeby utrudnić ludziom życie. Nie mógł im wybaczyć tej powolności i dodatkowo jeszcze zaciętych, brzydkich pysków. Gdyby jednak taka urzędniczka była u niego na poczcie w Świecku, to nawet gdyby robiła wszystko za wolno, wybaczyłby jej to z ochotą, patrząc na tę ładną buzię i kształtne cycki.

– To trzeba było tak od razu. – Kapral Władysław Lisek uśmiechnął się najpiękniej, jak potrafił. – Jak w sprawie urzędowej, to niech pani jedzie za nami. Przejedziemy ten korek w trymiga i zaraz pani będzie w urzędzie – powiedziaławszy to, uśmiechnął się znowu, ukazując zniszczone przez lata palenia żółte zęby, a potem klepnął swojego kierowcę w ramię. – No, Jasiu, pokaż pani, jak milicja ze Świecka pomaga obywatelom, co są w kłopotach. Pani jedzie za nami!

Wskoczyła szybko do samochodu. Silnik mercedesa zapalił natychmiast. Nie to, co w tych polskich gównianych autach. To Gruby Rychu załatwił jej ten wyjątkowy wóz. Mercedes był biały, ale tapicerkę miał w kolorze ugru, a pas pomiędzy przednimi siedzeniami, pod wajchą biegów i dalej w górę do wnęki na radio, wyłożony był drewnianą okleiną. Samochód

prezentował się doskonale, a do tego jeszcze świetnie trzymał się drogi. Dzięki wspomaganemu kierownicy był też niezwykle łatwy w prowadzeniu. Te kilka godzin między Świeciem i Poznaniem przejechała niemal niezmeńczona.

Wcisnęła pedał gazu i natychmiast ruszyła za milicyjnym fiatem. Musiała uważać, żeby za mocno nie gazować, bo auto było tak zrywne, że mogłoby niechcący zmieść z drogi tę milicyjną starą chabetę. Fiat tymczasem włączył syrenę alarmową i podjechał na tył dzięki kolejki na awaryjnym pasie. Stojące tam auta natychmiast zaczęły umykać na boki, robiąc przejazd stróżom prawa. Marysia dzielnie posuwała się za tym milicyjnym lodołamaczem. Nie minęło pięć minut, gdy oba auta znalazły się na parkingu pod niewielkim, jednopiętrowym budynkiem urzędu celnego.

– Jak się jechało za milicją? – Jej wybawca wychylił z okna tym razem całą głowę.

– Doskonale. Czuję się, jakbym grała w filmie o poruczniku Borewiczu.

– Tak u nas pracuje milicja. Nie tylko we filmach, ale i naprawdę. – Kapral Lisek znów wyszczerzył poźółkłe zęby i przyłożywszy dwa palce do daszka, zakręcił szybę. Fiat ruszył z piskiem opon, ale Marysia nawet za nim nie spojrzała, bo niewiele ją obchodziły popisy milicyjnego kierowcy. Była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni na jej widok często robili dziwne, najczęściej głupie rzeczy.

Zabrała z samochodu teczkę, w której nie miała niczego ciekawego prócz kilku kartek papieru, bloku ołówkowego i oryginalnego, skórzanego piórnika, w którym nosiła kilka długopisów. W zasadzie mogłaby iść na spotkanie bez tej teczki, ale dobrze wiedziała, że ładna blondynka z damską torebką odbierana jest przez mężczyzn na stanowiskach jak jakaś głupia gęś. Ona wolą zrobić na naczelniku bardzo dobre wrażenie.

W sekretariacie na pierwszym piętrze przywitało ją ponure, niechętnie spojrzenie czterdziestoletniej tlenionej blondynki w mundurze i piosenka *Sexy doll* zespołu Republika, wypływająca z dwóch głośników radia Amator Stereo. W zasadzie mogłaby ją jeszcze bardziej zirytować, niż zrobiła to samym swoim wyglądem, bo lubiła wyprowadzać z równowagi takie zazdrosne dzidry, ale gdy już szykowała w głowie pierwsze, zabijające na miejscu zdanie, drzwi od pokoju naczelnika otworzyły się i stanął w nich łysiejący pięćdziesięciolatek o wroście siedzącego psa. Od razu spojrzał na prawo w stronę biurka, za którym tkwiła jego współpracowniczka. Ta wyprostowała się, preżąc pierś trochę nazbyt mocno, lecz jego spojrzenie natychmiast ześlizgnęło się z jej przywidłych okrągłości i spłynęło na zgrabne nogi w szpilkach, kremową spódnice ledwie przykrywającą kolana i ściśle przylegającą do kształtnych bioder, nieco ciemniejszy żakiet, założony na białą koszulę rozpiętą w okolicy rowka między piersiami, tu na chwilę się zatrzymało, by zaraz

przeskoczyć na twarz aż zapierającą dech niektórym wielbicielom piękna. Bujne, rozpuszczone włosy dopełniały reszty, ale tego naczelnik Zenon Szczypior już nie dostrzegł, bo oczy zasnuła mu mgła pożądania, a na twarzy pojawił się obleśny grymas. Zadowolona Marysia odpowiedziała naczelnikowi swoim promiennym, dobrze wystudowanym uśmiechem, a potem spojrzała na sekretarkę, wyraźnie dając do zrozumienia, że jej współczuje. Tleniona sekretarka zacisnęła mocno usta, tak że jej skąpe wargi zamieniły się w prostą kreskę nienawiści, jednak nie miała najmniejszej szansy wpłynąć na bieg wydarzeń. Jej szef już był kupiony nieodwołalnie, a ona dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Ostatecznie dobił ją zmysłowy i głęboki głos tej szmaty, która odwróciła się do naczelnika, pokazując sekretarce swój zgrabny tyłek.

– Pan naczelnik Szczypior, jak się domyślam. Miło mi bardzo. Jestem Maria Wojciechowska z Poznania. Byliśmy umówieni.

– Oczywiście, droga pani Mario, jak najbardziej, jak najbardziej. Wszystko wiem w tym temacie. Zapraszam jak najbardziej do środka. Panno Elżbieto, dwie kawy proszę podać i nie ma mnie dla nikogo, dla nikogo, jak najbardziej!

– Dla mnie czarna bez cukru, kochana – rzuciła Marysia słodkim tonem do panny Elżbiety.

Gdyby jakimś cudem sekretarka potrafiła zabijać wzrokiem, jej szef właśnie umierałby w boleściach, podobnie zresztą jak ta zdzira z Poznania.

Poznań

Godzina 14.15

– Łe, co myśmy są jakieś krawężniki czy jak. – Zdenerwował się w końcu Teofil, któremu pomysł Brodziaka najwyraźniej się nie spodobał. Gdyby wiedział, że to wszystko ma tak wyglądać i że przez godzinę będzie musiał sterczeć w jakiejś obsikanej bramie, to wcale by się nie ruszył z komendy. Ale Mirek powiedział mu, że tylko podjadą pod peweks na Półwiejskiej i zaraz potem mogą skoczyć na piwo do pobliskiego baru. Ten bar był szczególnie miły sercu Olkiewicza, bo prowadził go jego stary kumpel, który od lat był agentem tej knajpy. Władek Kajzerek to był niezły gość i dobrze wiedział, jak zakombinować, a takich właśnie ludzi Teoś cenił najbardziej. Olkiewicz lubił z nim gadać, bo mógł się czuć w

jego towarzystwie całkiem swobodnie. Kajzerek, zanim zajął się gastronomią, był milicjantem. Wywalili go z hukiem gdzieś koło siedemdziesiątego roku za jakieś przekręty w milicyjnym kasynie, którego był kierownikiem. Ale odwołał się, bo nic mu nie udowodniono, więc wrócił na stanowisko w zaopatrzeniu, tyle że nie był to już kierowniczy etat. Dawał jednak równie dużo, a kto wie, może i znacznie więcej możliwości kombinowania z towarem do milicyjnych stołówek i bufetów, który nie zawsze i nie w takiej ilości, jak trzeba, trafiał do punktów odbioru. Gdy znów zrobiło się wokół niego zbyt duszno, bo jakiś skrupulatny księgowy zauważył pewne nieprawidłowości, Kajzerek uciekł z firmy na wcześniejszą emeryturę. I wtedy właśnie okazało się, że PSS poszukuje ajenta do piwiarni na Półwiejskiej. Jako były milicjant miał najlepsze referencje. Zajął się więc gastronomią, ale nie zapomniał o dawnych kolegach, z wzajemnością zresztą. Teofil jak każdy pracownik Służby Bezpieczeństwa, bo w tym czasie, czyli w latach siedemdziesiątych, pracował jeszcze w SB, musiał mieć własną agenturę. Były to tak zwane osobowe źródła informacji, czyli tajni współpracownicy, którzy donosili swojemu prowadzącemu o wszystkim, co działo się w ich otoczeniu. Teoś miał pewien problem z tymi źródłami, bo nigdy specjalnie nie przykładał się do swojej roboty. Kilku znajomym z Chwaliszewskiego półświatka założył teczki bez ich wiedzy i sam preparował raporty. Były to zapisy prywatnych rozmów z ludźmi, którzy nie mieli zielonego pojęcia, że esbek wykorzystuje ich wypowiedzi. Wszystko to jednak było mało, bo szefowie Olkiewicza żądali wyników. Dlatego zaproponował Kajzerekowi układ. On wciąga go na listę, rozmawiają sobie przy piwku o ciekawostkach z życia piwiarni, które Kajzerek na pewno słyszy na co dzień, no i w ten sposób powstaje comiesięczny raport. Ajent nie miał nic przeciwko temu, by stać się agentem, zwłaszcza że nadal czuł się funkcjonariuszem. Ta tajna współpraca niosła korzyść im obu. Olkiewicz co miesiąc pobierał z kasy pieniądze na działalność swojej wtyczki, zaś Kajzerek podpisywał zainkasowanie kwoty, a pieniędzmi dzielili się po połowie. Dodatkowo Olkiewicz zapewniał ochronę pijalni, a Władziu w zamian za to dzielił się z nim zyskami z lewej gorzoły. Proceder był niezwykle prosty. Z każdej butelki wódki gastronomicznej, która trafiała na zaplecze, kierownik strzykawką przez aluminiowy kapsel ściągał jedną pięćdziesiątkę i wpompowywał do środka tyle samo kranówki. Z każdych dziesięciu butelek w cudowny sposób powstawała jedna dodatkowa, a pieniądze szły do podziału. Kajzerek jako agent Olkiewicza miał zapewniony spokój, bo nikt nie mógł go ruszyć. Interes kwitł w najlepsze, zapewniając obu niezłe lewe dochody i to od wielu lat. Nawet gdy Teoś przestał pracować w SB i wrócił wreszcie do firmy, ich spółka nadal przynosiła lewe dochody, tyle że teraz Olkiewicz brał w łapę za tak zwaną ochronę lokalu przed zagrożeniami milicyjnymi w postaci niespodziewanych kontroli.

Do baru Kajzerka było jakieś sto metrów, tymczasem Teofil tkwił w bramie kamienicy stojącej naprzeciw skrzyżowania z Kwiatową, czyli ulicą odchodzącą prostopadle od Półwiejskiej. Na narożniku był niewielki peweks, pod którym pracowało na stałe dwóch cinkciarzy. To znaczy powinno pracować, bo żadnego z nich nie było na miejscu. Był za to Brodziak, który zresztą wyglądał jak cinkciarz, bo jak zwykle ubrany był w dżinsowy komplet, czyli spodnie i kurtkę. Teofil przyglądał mu się z daleka z pewnym zniecierpliwieniem. Rozumiał, że Mirek chce coś załatwić z tymi cinkciarzami, których nie ma, ale po co on miał stać w tej bramie? Przecież mógł siedzieć sobie wygodnie na zapleczu baru Kajzerka, a Miras po załatwieniu spraw by do niego dołączył.

W końcu nie wytrzymał. Rzucił niedopałek na chodnik i wyszedł z bramy, kierując się na drugą stronę deptaka. Półwiejska o tej porze była mocno zatłoczona, bo nie dość że ludzie szli w kierunku rynku albo w przeciwnym na Wilde, to jeszcze zatrzymywali się co chwila, wabieni towarami, którymi na stolikach i łózkach polowych oferowali im nowi handlowcy. Teofila nie zainteresowały jednak żadne pampersy, czekolady czy cukierki. Zaintrygował go mężczyzna, który właśnie podszedł do sterczącego pod peweksem Brodziaka. Teofil przystanął, przez chwilę czujnie się przyglądając. Nie znał faceta, ale przekonany, że to jeden z tych dwóch cinkciarzy, chciał nawet podejść do nich i przerwać tę rozmowę. Na szczęście nie zrobił tego. Naraz dostrzegł coś dziwnego. Przez moment wydawało mu się, że to niemożliwe. Ten, który podszedł do Brodziaka, miał w dłoni pistolet. Teofil natychmiast poczuł, że po plecach przelatują mu ciarki, a nieliczne włosy na czole stają dęba. Zobaczył minę Mirasa. Jego kumpel był autentycznie przestraszony. A może tylko udawał. W każdym razie ani przez sekundę nie spojrzał na przeciwległą kamienicę, w której powinien stać Teofil. Miał widać do kumpla pełne zaufanie i wierzył, że Teoś przygląda się wszystkiemu z bezpiecznej odległości. Tymczasem Teofil stał na środku deptaku jak dupa wołowa, nie wiedząc, co robić. W końcu zdał sobie sprawę, że musi działać. Szybko przykleknął i zaczął wiązać sznurowadła. Zaklął przy tym, bo zrobił to zbyt szybko i stłukł sobie kolano. Tymczasem Brodziak cały czas stał obok faceta, który wbijał mu w bok gnata. Co robić, do cholery, co robić, zastanawiał się gorączkowo Teofil...

I nagle przyszła myśl prosta i jasna, lotna jak ptak, co podniebne przemierza szlaki, taka, która rodzić się potrafi tylko w najbystrzejszych umysłach albo raz na sto lat rozświetla nieskomplikowany umysł idioty... Podniósł się z pewnym trudem i sięgnął do kieszeni, gdzie miał ukrytą butelkę winiaku klubowego, tej paskudnej, nie lubianej przez nikogo wódki, która była tak samo ohydna jak jarzębiak, jednak przyznać trzeba uczciwie, znacznie lepsza niż

ajerkoniak. Wydobył flaszkę z kieszeni, odkręcił i ku zgorszeniu przechodniów pociągnął solidny łyk.

– Weź się skryj gdzie w bramie, moczymordo chłelerna – zawołała na jego widok jakaś kobiecina w chustce.

– Wstydu te chłelery nie mają – zawtórowała jej inna w zielonym palcie i kapeluszu.

– Poruta, nic ino poruta! Ciąg stąd, szuszwołu! – Kolejna, dwa razy wyższa od Olkiewicza, chciała go zdzielić w łeb siatką z zakupami, ale się szybko i sprawnie wywinął.

– Won mi, chorlipy zdalasia! – zawołał napadnięty Olkiewicz, który nie przypuszczał nawet, że reakcja na jego występki może być taka szybka i gwałtowna. – Na swoich chłopów patrzeć, a nie na obcego! Co to, człowiek za swoje nie może się napić, żeby się jakieś szantrapy nie doczepiły?

– Słuszna prawda – poparł go jakiś robotnik w kufajce i czarnym berecie. – Won do chaty, staruchy, bo my tu z kolegą zaraz porządek z wami zrobimy! Co nie, kolego? – mrugnął do Olkiewicza i wyciągnął rękę po flaszkę. Teofil podał mu natychmiast butelkę, a robotnik wziął sporego łyka i zwrócił flaszkę ostrożnie, by nie uronić ani kropli. Ten moment chciała wykorzystać ta w zielonym płaszczu, ale bereciarz swoim własnym ciałem zasłonił Teofila, który w zamieszaniu cały czas przesuwiał się w kierunku Brodziaka. Po chwili miał już dwóch następnych obrońców, chudego faceta w jednym bucie i jego kolegę w butach, ale za to bez koszuli. Ci natychmiast odcieśli dostęp do milicjanta i zasłonili go mężnie własnymi piersiami, ale i wściekłych bab przybywało. Butelka tymczasem zasiliła kolejne gardła walecznych mężczyzn. Olkiewicz pomyślał nawet, że to prawdziwy traf z tym winiakiem, bo wcale mu na nim nie zależało, a po tych trzech nie dotknąłby już obślinionej flaszki.

Naraz któraś z kobiet, nie zauważył nawet która, popchnęła go, dźgając pięścią w brzuch. Poddał się temu pchnięciu i zatoczył do tyłu. Ten, który groził bronią Brodziakowi, zapewne nie spodziewał się ataku pijaka. Jak każdy na ulicy musiał dostrzec sprzeczkę, ale wydawało mu się zapewne, że jej fale nie są w stanie podmyć gruntu, na którym stał. Pomylił się, bo nie wziął pod uwagę pomysłowości Teosia. W ogóle go nie wziął pod uwagę. Zauważył w ostatniej chwili, że pijak wali się na niego i spróbował go odepchnąć, ale jako że był praworęczny, odruchowo chciał to zrobić prawą ręką, tyle że miał w niej pistolet.

– Jezus Maria, on ma broń! – krzyknął Teofil. Brodziak tylko na to czekał. Zaraz wyprowadził szybki cios w szczękę bandziora. – To esbek! – zawołał Teofil, wskazując na gościa z bronią. – Na robotników broń podnosisz, gnoju! – Ale gnój już nie podnosił broni na nikogo, bo pistolet wypadł mu z ręki, a sam padł na wznak na chodnik. Jednak okrzyk Teofila zelektryzował jego nowych kumpli. Dwaj skoczyli na ubeka i dalej kopać go, gdzie popadnie.

Trzeci nie mógł kopać, bo nie miał jednego buta, a poza tym trzymał flaszkę. Ale i kobiety nie pozostały bezczynne. Nienawiść do esbecji była tak silna w narodzie, że mało kto powstrzymałby się od przyjemności wymierzenia takiej kanalii choć niewielkiego kopniaka...

– Chodu! – zawołał Brodziak, chwytając Olkiewicza za rękaw prochowca. Teofil posłusznie pognął za nim, zostawiając ludzką kotłowaninę za sobą. Od strony placu Wiosny Ludów pojawili się pędzący w stronę zbiegowiska dwaj milicjanci. Na szczęście Mirek wyznaczył przeciwny kierunek ucieczki. Nie mieli daleko. Piwiarnia Kajzerka była tuż-tuż. Zatrzymali się przed drzwiami na kilka sekund, żeby ochłonać, a potem dziarskim krokiem weszli do środka. Knajpa była pusta. Widać trafili na moment, kiedy agent wstrzymał sprzedaż piwa, żeby zostawić trochę towaru na popołudnie. Przy trzech stolikach siedzieli tylko najzagorzalsi miłośnicy knajpianej atmosfery, którym najwyraźniej było już wszystko jedno, czy piwo sprzedawano, czy nie. I tak nie mieli pieniędzy. Olkiewicz z Brodziakiem przecięli salę i jak zwykle weszli na zaplecze. Władziu Kajzerek spojrzał na intruzów, robiąc groźną minę, ale rozpoznawszy znajome twarze, natychmiast się rozpogodził.

– No proszę, co za goście, co za goście!

– Raczej uciekinierzy. Zaraz tu będą szkieły szukać gości, co pobili jednego szuszwola – wyjaśnił Mirek, sadowiąc się przy stoliku, za którym siedział agent. Odgarnął z niego stos papierów, robiąc miejsce. Kajzerek wiedział, po co. Sięgnął więc za siebie i wy dobył ze skrzynki stojącej na podłodze butelkę wódki gastronomicznej. Zaraz też na blacie pojawiły się trzy literatki.

– Jak tu wejdą, to zobaczą jedynie dwóch funkcjonariuszy po służbie i jednego agenta. – Kajzerek rozlał wódkę. – A co to za bójka była?

– Jeden gość chciał mnie przestraszyć gnatem – wyjaśnił Mirek. – Ale Teofil przyszedł z odsieczą i teraz na Półwiejskiej są zamieszki.

Teoś uśmiechnął się od ucha do ucha i z radości klepnął się jeszcze swoim zwyczajem w udo. – Ciekawe, za co ta wiara tak nie lubi tych esbeków?

– Nie lubią, bo nie mają za co. – Mirek podniósł szklanę. – A swoją drogą, Teofil, ty mi powiedz, skąd żeś wiedział, że ten facet jest esbekiem? On mnie nie znał i myślał, że ja jestem cinkciarzem. Postanowił, skurwiel, mnie stąd przegnać, że niby to oni przejmują teren...

– Jaki facet? A ten! To ja zapomniałem, jak on się nazywa. – Teoś nie od razu zrozumiał, o co chodzi Mirkowi. Cały czas miał wrażenie, że skądś zna tego gościa, ale dopiero teraz uświadomił sobie skąd. – On już nie jest esbekiem, bo jego z SB wyrzucili w zeszłym roku za jakieś kradzieże czy coś tam z forszą... – Zadowolony spojrzał na Brodziaka, bo widać zrobił

na nim wrażenie. Jego kolega aż otworzył usta ze zdumienia. Na szczęście musiał je zaraz zamknąć, by przełknąć wódkę, którą wlał sobie do ust. Teoś doskonale to rozumiał, bo już dawno przekonał się, że bez zamknięcia nie da się za nic przełknąć alkoholu.

Godzina 15.30

Mariusz Blaszkowski zalał torebkę herbaty ekspresowej wrzątkiem z porcelanowego czajnika na prąd i odstawił go na parapet niezwykle zadowolony. Bo to urządzenie było wyraźnym dowodem tryumfu myśli ludzkiej nad oporną materią. Gdy przyszedł z powrotem do wydziału po skończonej szkole oficerskiej, już pierwszego dnia zapytał Olkiewicza, gdzie jest ten fajny czajnik, którego używał wcześniej. Teoś tylko wzruszył ramionami, bo co to go mogło obchodzić. On takich wynalazków nie używał, bo wódki na ciepło nie dało się pić. Za to Brodziak wyjaśnił, że dzbanek się zepsuł definitywnie, w związku z tym jako nienadający się do użytku został schowany do szafy na dokumenty i jeśli nikt go nie wyrzucił, to powinien sobie tam jeszcze stać. Mariusz, który nie wyobrażał sobie życia bez przynajmniej kilku herbat dziennie, natychmiast rozpoczął poszukiwania. Znalazł czajnik, wypłukał go starannie, bo zaległa w nim spora warstwa kurzu, a później, nalawszy wody, podłączył do prądu. Urządzenie niestety nie zadziało. Osuszył więc dzbanek na kaloryferze, a później za pomocą śrubokrętu rozkręcił wszystkie elektryczne elementy i po sprawdzeniu każdego z osobna złożył całość do kupy. Znow napełnił go wodą i tym razem po chwili usłyszał bulgotanie.

– I co z nim było? – zainteresował się Olkiewicz zdumiony, że Blaszkowski potrafił dokonać cudu.

– Nie mam pojęcia – przyznał Mariusz. – Ja tylko rozkręciłem i skręciłem. Może kabel się poluzował?

– Geniusz – pochwalił go Brodziak. – No to teraz możesz mi zrobić kawę.

Zrobił kawę, a sobie herbatę, bo kawy nie pił. Za gorzka była dla niego. Zresztą herbata też była gorzka, ale na szczęście potrafił zneutralizować jej smak czterema łyżeczkami cukru. A kiedy nikt nie wiedział, to nawet pięcioma. Teraz, gdy był sam w pokoju, nie musiał się przejmować, że Olkiewicz skomentuje w złośliwy sposób jego zamiłowanie do słodyczy. Wsywał sześć łyżeczek i zamieszał. Ze szklanką w ręce wrócił za swoje biurko. Miał przed

sobą jeszcze trochę papierkowej roboty, którą jak zwykle zrzucał na niego Olkiewicz, znany wróg papierów, czytania i pisania, a przede wszystkim bezproduktywnego siedzenia na tyłku w biurze. Ale Mariusz lubił tę całą buchalterię, bo jak już dawno zauważył, z papierów można wyciągnąć wiele ciekawych wniosków, które nie zawsze są widoczne na pierwszy rzut oka. Dziś nie spodziewał się niczego znaleźć, bo miał tylko do przepisania kilka zeznań, ale nie narzekał. Tym bardziej że i tak nie miał niczego pilniejszego do roboty i nigdzie się nie śpieszył. Chciał wyjść z pracy dopiero po osiemnastej, a nie zamierzał jechać do domu, bo umówił się w mieście z dziewczyną. Bo Mariusz Błaszowski miał dziewczynę. Tak naprawdę to w zasadzie miał mieć i wszystko wskazywało na to, że plan się powiedzie. Spotykali się już ponad dwa tygodnie i raz nawet się pocałowali. Dokładnie wczoraj doszło do tego nieprawdopodobnego zdarzenia i to wcale nie z inicjatywy Mariusza. Gdy odprowadził dziewczynę pod akademik AWF-u na świętego Rocha, pocałowała go na pożegnanie i to nie w policzek, ale w usta. Gdy zniknęła w drzwiach prowadzących do akademickiego holu, stał oszołomiony jeszcze przez prawie minutę i zastanawiał się, czy też aby to wszystko za szybko nie idzie? On sam wolał nie przyspieszać tempa, żeby czegoś nie zepsuć, ale Ewa jak zawsze wciąga sprawy w swoje ręce. Zawrze taka była, szybka i zdecydowana. Znał ją od wieków, bo uczyli się w tym samym ogólniaku w Pile i nawet w pewnym momencie chodzili ze sobą, ale to chodzenie było jeszcze bardzo dziecinne. Tak oceniał tamtą relację z perspektywy swojej obecnej dorosłości i doświadczeń w różnych związkach, dokładnie w dwóch. Pierwszy to był ten z Ewą właśnie, a kolejny zdarzył mu się tu w Poznaniu przed czterema laty, ale skończył się szybciej niż się zaczął, więc nie było o czym gadać. No więc wychodziło na to, że najważniejszym damsko-męskim doświadczeniem jego życia była Ewa.

Wpadli na siebie na Starym Rynku. Mariusz, który od dawna lubił wypadać na spaghetti do baru Piccolo, wyszedł do knajpy, kupił jak zwykle półtorej porcji w zestawie z pepsi i rozejrzał się, szukając wolnego miejsca. O tej porze było o nie raczej trudno, mimo że po obu stronach sali zainstalowano wysokie stoły, a przy nich barowe stołki, więc mogło się tu pomieścić wielu klientów. Na szczęście wypatrzył jeden wolny przy stoliku po prawej stronie. Podszedł i postawił na blacie swój podłużny porcelanowy talerz. Naprzeciw siedziała jakaś okularnica zatopiona w lekturze. Czytała grubą książkę, a obok niej stała szklanka napoju. Spoglądając na dziewczynę, kątem oka stwierdził, że zapewne jest studentką, bo kto inny czytałby takie opasłe tomisko. Ale nie miał zamiaru tego sprawdzać. Przecież nie będzie pytał, czy studiuje i co czyta, bo takie zachowanie nie mieściło się w jego kodeksie zachowań do przyjęcia.

Chwycił widelec i już miał się zabrać do jedzenia, gdy dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w twarz...Zamarł z widelcem w dłoni, a po jej twarzy było widać, że jest tak samo zdziwiona jak on.

– Mariusz!

– Ewa!

– Co tu robisz?

– Przyszedłem coś zjeść...

– Aha. A ja też.

– Czytasz?

– No.

– Coś ciekawego?

– Nie. To na zajęcia.

– Jeszcze się uczysz? Myślałem, że już skończyłaś studia.

– Skończyłam... Znaczą się robię jeszcze doktorat i pracuję na uczelni.

– O, to super!

– A ty jesteś w Poznaniu?

– No wiesz, ja pracuję w... – Tu ściszył głos, żeby siedzący obok nie usłyszeli, kogo mają za sąsiada. Już się do tego przyzwyczał, że fakt bycia milicjantem niezbyt przychylnie nastrojał do niego ludzi, którzy zwyczajnie nie lubili szkiełków.

– No przecież wiem – nie dała mu dokończyć. – Od dawna tu jesteś?

– Od wakacji, znaczą się po wakacjach, to jest od października zeszłego roku.

– Aha. A chcesz tu zostać czy wracasz do Piły?

– Nie wiem, ale chyba zostanę. Mam dobrą robotę. A co z tobą?

– Ja też chyba zostanę. Mam dobrą robotę, hi, hi!

– Ewa...

– Co?

– Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też.

– Mogę cię odprowadzić?

– A może najpierw zjesz makaron?

– No tak.

– Możesz.

Dziś umówił się z nią pod AWF-em, a potem mieli pójść razem na kawę albo na coś słodkiego. Mariusz wolałby oczywiście pójść do Horteksu na Głogowskiej albo do Kociaka

na Czerwonej Armii. I tu, i tam podawano doskonale lody i desery. Ale jak znał życie, wybiorą się do Tureckiej, bo Ewa nade wszystko lubiła dobrą kawę, a w tej kawiarni serwowali taką parzoną w specjalnych miedzianych tygielkach. Lubiała też słodczyce, ale ciągle podkreślała, że nie może za bardzo się nimi opychać, bo musi dbać o linię. Mariusz nie dostrzegał niczego złego w jej linii, bo dziewczyna była bardzo zgrabna i szczupła, ale ona wiedziała swoje.

Usiadł za biurkiem, postawił na blacie szklanę z herbatą, a z kieszeni wyciągnął podłużny pasek zdjęć z automatu. Zrobili sobie je w zeszłym tygodniu. Próbowali sześć razy, wymyślając przy tym głupie miny, a potem pasek podzielili na pół. Wypadła mu ta poważniejsza część. Ewa wyglądała pięknie z tymi swoimi jasnymi włosami z przedziałkiem na środku czoła. Patrzył na fotografię i uśmiechał się do siebie zadowolony, zastanawiając się, jak to w ogóle było możliwe, że wtedy w czwartej klasie pokłócili się miesiąc przed studniówką...

Zabrzączał telefon stojący na jego biurku. Czerwony świecący przycisk wskazywał, że to połączenie wewnętrzne. Podniósł słuchawkę.

– Blaszkowski, słucham.

– Obywatelu poruczniku, jest tu do was major Wróbel.

– Major Wróbel? – zdziwił się i natychmiast zaczął przeszukiwać zakamarki pamięci w poszukiwaniu jakiegoś Wróbla. Bezskutecznie.

– Na pewno do mnie?

– No znaczy się do obywatela porucznika Olkiewicza, ale jak jego nie ma, to major powiada, że do najbliższego współpracownika...

– Oczywiście, powiedzcie obywatelowi majorowi, że zapraszam do pokoju.

Odłożył słuchawkę i natychmiast schował zdjęcia. Po co jakiś Wróbel miał je oglądać. I kto to, do cholery jest ten Wróbel? W każdym razie trzeba uważać, bo to w końcu ktoś wyższy stopniem.

Minutę później, usłyszawszy pukanie, poderwał się z miejsca i podszedł do drzwi, żeby otworzyć. Spodziewał się milicjanta w mundurze z dystynkcjami majora, a tymczasem zdziwiony zobaczył przed sobą siedemdziesięciolatka w grubej kurtce i berecie na głowie.

– Obywatel major Wróbel? – zapytał ostrożnie.

– Dajcie spokój z tym majorem. Stare dzieje. – Wróbel machnął ręką i władował się do pokoju. Nie czekając, aż gospodarz poprosi, usiadł w fotelu przy niewielkim kawowym stoliku. Natychmiast zdjął beret, rozpiął kurtkę pod szyją, a na blacie położył zieloną teczkę. Zadowolony spojrzął na Blaszkowskiego, który tymczasem zajął miejsce za swoim biurkiem.

– W czym mogę obywatelowi...

– A Olkiewicz to gdzie jest? – wszedł mu w słowo major.

– W sprawach służbowych pojechał...

– A ten Olkiewicz to ciągle taki sam – znów mu przerwał bezceremonialnie. Widać niewiele go obchodziło, co ma do powiedzenia młody oficer. – My już w sześćdziesiątych latach razem robili na komendzie Stare Miasto, tu w Poznaniu. Ja byłem jego pierwszym dowódcą, znaczy się oficerem, jak on jeszcze był podoficerem. Dwóch złotych bym za niego nie dał, dwóch złotych, że się utrzyma w milicji, bo głupi był jak but, he, he, he! Ale się widać wyrobił, skoro takiemu ćwokowi dali stopień oficerski.

– Za bardzo wybitne osiągnięcia służbowe... – zniecierpliwiony tą tyradą Mariusz próbował przerwać majorowi. Nie podobało mu się, co ten mówił na temat Teofila. Owszem, Olkiewicz miał swoje za uszami, ale żeby tak sobie przyjsć do jego biura i obgadywać przed młodszym oficerem. Było w tym coś niewłaściwego, z czym Blaszkowski niezbyt dobrze się poczuł. No a poza wszystkim on zwyczajnie lubił Olkiewicza i nie mógł pozwolić, żeby jakaś łachudra się z niego naśmiewała. Wstał więc zza biurka i patrząc ostro na Wróbla, rzucił:

– Wybaczcie majorze, ale ważne sprawy służbowe mnie wzywają...

– No i właśnie względem tego Olkiewicza ja tu przyszedłem, bo nie wyobrażacie sobie, co to za przypadek, że ja mieszkam akurat tam, gdzie doszło do zamordowania Marcelego Krzyżaniaka, przy ulicy 23 Lutego. I w związku z tym, tak jak żeśmy się z Olkiewiczem ugadali, napisałem tu ten raporcik i ja już mu jego dawałem, ale on jakoś zapomniał, a w ogóle to dobrze, że zapomniał, bo tam się pojawiły nowe okoliczności, a jak się już pojawiły, to ja raz-dwa za długopis i dawaj dopisywać, no i dopisałem. To teraz trzeba Olkiewiczowi, he, he, he, porucznikowi Olkiewiczowi do jego rąk własnych. Co, można na was polegać, poruczniku, że jemu to przekażecie? – Wstał z fotela i położył teczkę na biurku przed Blaszkowskim.

– No, ja...

– Widzę, że można, bo dobrze wam z oczu patrzy, choć młodzi jesteście. Nic się nie martwcie, jeszcze się wszystkiego nauczycie i zrobią tu z was prawdziwego oficera śledczego, tylko pamiętajcie zawsze patrzeć w oczy.

– Co?

– Śledczy-przestępca, kontakt wzrokowy. Rozumiecie? Zawsze patrzeć w oczy. – Wskazał dwoma palcami najpierw swoje, a potem oczy podporucznika. – Kontakt wzrokowy. To zawsze skutkuje.

– Aha.

– No, nie zabieram wam więcej czasu. A teczka do Olkiewicza, do rąk własnych.

Podszedł do drzwi. Założył beret, zapiął kurtkę pod szyją, a potem jeszcze raz odwrócił się do Blaszkowskiego i szybko wskazał swoje i jego oczy.

Mariusz pokiwał głową na znak, że zrozumiał, ale nim zdążył dokiwać do końca, major Wróbel był już za drzwiami. Usiadł więc za biurkiem i z ulgą wypuścił powietrze, wydając przy tym syk, jak enerdowski syfon na wodę sodową, w którym skończył się gaz. Co to za kretyn, pomyślał, ale nie wypowiedział tego głośno, bojąc się, że facet może stać jeszcze pod drzwiami. Sięgnął więc po teczkę i przysunął do siebie. Zwykła aktówka, na której wykaligrafowano starannym pismem nazwę ulicy „23 Lutego”. Gdyby ją dostał od kogoś normalnego, to otworzyłby ją z czystej ciekawości, ale teczka z „raporcikiem” od tego wariata już z daleka śmierdziała szaleństwem. Szkoda było na nią tracić czas. Wziął ją więc w dwa palce i rzucił na puste biurko Teofila. Opadła z plaskiem, przesunęła się kawałek i zatrzymała niemal dokładnie na środku blatu. Olkiewicz nie miał najmniejszej szansy, by jej nie zauważyć. Niech on się w takim razie pochyli nad wypocinami emerytowanego milicjanta Wróbla. A tak swoją drogą to trzeba przyznać, że w firmie pracowali niezli idioci, pomyślał i się uśmiechnął. Już niedługo wszystko tutaj się zmieni.

Godzina 22.30

Kapitan Tomasz Marjański podniósł powieki i natychmiast je zamknął. Nie, nie warto było otwierać oczu, jeśli się miało przed nimi taki widok. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego z tak bliska, a teraz nie dość że widział, to jeszcze czuł. Nie, to nie mogła być prawda. To musiał być jakiś cholerny sen, który zagościł w jego głowie i teraz odzywał się bardzo realistycznym obrazem doprawionym dodatkowo odrobiną intensywnego zapachu. Ale przecież sny nie mają zapachu. Mają chyba tylko kolory. Choć nigdy nie wiadomo. A może to, z czym miał teraz do czynienia, to była rzeczywistość? Jednak ta musiała przecież mieć jakieś przesłanki prawdopodobieństwa, a dlaczego coś takiego miałyby być prawdopodobne?

Nie, to niemożliwe, pomyślał kapitan Marjański i zdobył się na szaleńczą wprost odwagę, ponownie otwierając oczy. Boże, dopomóż! – powiedział do siebie, przywoływał jednak imię Boga nadaremno. Bo z jakiej racji Bóg Wszechmogący, o którym dawno zapomniał, jeszcze w czasach szkoły średniej, gdy wstępował do podstawowej komórki

Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, licząc na świetną karierę w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, miałby teraz sobie przypomnieć o takim zaprzańcu i zdrajcy, który zastąpił Pismo Święte krótkim kursem marksizmu-leninizmu. Marjański, oddając się ideologii komunistycznej, całkowicie wyrzekł się Stwórcy i ani przez moment nawet nie pomyślał, że mógłby do niego wrócić z ufnością i oddaniem. Bo i po co miałby to robić, gdy jego kariera w milicji i ta równoległa w partii rozwijały się we właściwym kierunku, a do tego, choć na razie powoli, ale wkraczał na ścieżkę kariery literackiej. Czegóż jeszcze oddany członek partii mógł sobie życzyć od życia? Niczego więcej, poza jednym – żeby to, co widział teraz, zniknęło. Żeby mógł wrócić za swoje biurko w komendzie miejskiej i oddać się pisaniu raportów albo kolejnych rozdziałów milicyjnej powieści. Ale tego życzenia nie mogła spełnić partia. Co więcej, jeśli to była prawda, a wszystko wskazywało na to, że była, to partia pod żadnym pozorem nie mogła się o tym dowiedzieć, bo zaraz na zbitą mordę wywaliliby go ze swoich szeregów, a kto wie, może i z milicji? Teraz mógł mu pomóc tylko Bóg. Bo niby kto inny miałby wyratować go z sytuacji, w której on, oficer MO, leżał na wznak na łóżku, a prawą rękę miał przypiętą do metalowej ramy kajdankami oplecionymi różową wstążką. Już tylko to wystarczyło, żeby kapitan Marjański mógł pomyśleć, że znalazł się na samym dnie. Ale niestety, nie to było najgorsze. To, co najbardziej paskudne, leżało na jego brzuchu. Ludzka noga, a właściwie rzecz ujmując, męska kończyna, oplatała go dość szczelnie i bezczelnie. Czuł, że pod spodem pod jego własnymi lędźwiami musi być też i druga noga, bo jej kolano wbijało mu się w kręgosłup. Wszystko to jednak można byłoby jeszcze z bólem znieść, gdyby nie fakt, że obie nogi połączone były ze sobą owłosioną dupą, której sam środek spoglądał na niego oskarżycielsko.

Znów zamknął oczy. Teraz już wiedział, że powiedzenie „znaleźć się w dupie” miało sens. Tylko jak się z tego wyplątać i czyj, do licha, tyłek przytulał się do jego ramienia?

– Boże, proszę cię bardzo, pomóż mnie, grzesznikowi – jęknął Marjański i przystąpił do działania.

Wolną ręką zdzielił dupę z całej siły, a jej właściciel jęknął bynajmniej nie z bólu czy strachu.

– Och, już się obudził mój brutal – odezwał się i ziewnął najwyraźniej zadowolony.

– Złaż ze mnie, gnoju!

– Gnoju? Nieładnie tak zwracać się do swojego Jacusia. Mówiłeś przecież, że mnie kochasz. No dobrze, już schodzę, ale buzi w nagrodę.

– W dupę mnie pocałuj! – warknął Marjański i natychmiast pożałował tych słów, bo poczuł, jak Jacuś całuje go po pośladku. Przestraszony szybko obrócił się jak piskorz,

odepchnął lubieżnika i zerwał się z łóżka, oczywiście na tyle, na ile było to możliwe, więc na ile pozwalały kajdanki. Klęcząc na łóżku, spojrzął na twarz leżącego faceta. Znał tę naleśnikowatą, ciągle uśmiechniętą twarz. Należała do kierowcy, kaprała Błaszczyka.

– Jezus Maria! – zawołał, gdy kapral przeciągnął się.

– No coś ty? Nie poznajesz mnie, kochanie? – jęknął Błaszczyk. – Chodź bliżej, bo zimno.

– Kurwa mać, Błaszczyk, co to wszystko znaczy?

– Niedawno mówiłeś: „Jacusiu, kocham cię. Chcę mieć z tobą dzieci...”.

– Zamknijcie się, Błaszczyk, bo nie ręczę za siebie!

– No chodź, daj mi tu swojego małego wacusia.

Marjański zeskoczył z łóżka i zaraz tego pożałował, bo przypięty był do wezgłowia prawą dłonią, więc zsuwając się na prawo, musiał odwrócić się do łóżka tyłem, a do Jacusia tyłkiem. Ten, myśląc zapewne, że to dalszy ciąg ich miłosnych igraszek, klepnął kapitana w pośladek. Marjański wrzasnął, co jeszcze bardziej podochociło kompana. Zszedł z łóżka i pochwycił w ramiona swojego oblubieńca. Już chciał go pocałować w usta, ale nie zdążył. Goły kapitan odchylił głowę i z całej siły wymierzył Błaszczykowi cios czołem. Poczł chrupnięcie kości. Kapral padł na podłogę jak rażony gromem. Zdziwiony Marjański spojrzął w dół. Nawet nie przypuszczał, że ma taką siłę. Dotąd nikogo nie znokautował pięścią, tym bardziej czołem. Nawet nie podejrzewał, że kryje się w nim taka mordercza skuteczność.

Ale to w tej chwili nie było najważniejsze. Bardziej istotne było to, gdzie teraz jest i dlaczego się tu znalazł. W ogóle miał mnóstwo pytań, tylko że nie było nikogo, kto mógłby na nie odpowiedzieć.

Rozejrzał się. Łóżko wyglądało niezwykle bogato. Takie kremowe z białymi ramami z giętego metalu. Do ramy właśnie przyczepiona była jego dłoń.

Szarpnął dwa razy, ale jako stary milicjant wiedział, że jest to bezskuteczne. Uratować go mógł tylko kluczyk.

Na lewo od łóżka stała toaletka z wielkim lustrem. Też miała kremowy kolor. Na blacie zamiast damskich kosmetyków stało kilka butelek wódki i wina. Większość z nich była otwarta. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że w ustach odczuwa jakiś dziwny niesmak. Taki jak po nadużyciu alkoholu. Ale przecież on właściwie nie pił. No od czasu do czasu kieliszek czy dwa, ale teraz miał wrażenie, jakby wypił z pół butelki lub więcej. Pamiętał to uczucie, bo kiedyś na obozie młodzieżowym upił się tak bardzo, że mało brakowało, a usunięto by go z szeregów organizacji. Wtedy przyrzekł, że już nigdy się tak nie zachowa i słowa dotrzymał. Zdaje się, że do dzisiaj...

Nagle przypomniał sobie, że ostatnią rzeczą, którą zarejestrował, było spotkanie z Grubińskim. Cinkciarz miał z nim jechać na przesłuchanie do komendy, ale nagle ktoś zaczął krzyczeć na dole, więc zeszli do piwnicy... Dostrzegł tam wielkiego jak goryl faceta, który okładał pałą jakiegoś nieszczęśnika. Boże! Znał tego, który był torturowany!

Jeszcze raz przejechał pokój wzrokiem. Jego mundur i zapewne mundur tego durnia Błaszczyka leżały w nieładzie na podłodze, tak jakby ktoś porzucił je w przypiływie strasznego szaleństwa. Ale on tego nie zrobił. To pewnie kapral. Trzeba go przepytac. Ale jak, skoro ten kretyn leżał na podłodze pozbawiony przytomności. A w ogóle to o jakim Wacusiu on mówił? Jacuś, to wiadomo, bo Błaszczyk tak miał na imię, to znaczy nie Jacuś, tylko Jacek... Niech go szlag!

– Co ja mam teraz robić, do jasnej cholery?

– Może na początek chciałbyś sobie pooglądać telewizję? – odezwał się jakiś głos. Marjański momentalnie odwrócił się w jego stronę. W otwartych drzwiach do sypialni stał Grubiński. Milicjant natychmiast zakrył wstydliwie przyrodzenie wolną ręką. Grubiński roześmiał się głośno.

– Siadaj na łóżku – polecił i Marjański natychmiast posłuchał. – A gdzie ten drugi?

– Proszę mnie w tej chwili odczepić! – Kapitan przypomniał sobie naraz, że jako milicjant ma władzę nad każdym, kto nie był funkcjonariuszem. Mógł więc zażądać, żeby ten człowiek mu się podporządkował. – Słuchajcie, obywatelu, chyba nie chcecie odpowiadać za napaść na funkcjonariusza, więc lepiej...

– Zamknij mordę, pedale.

– Co, jak pan śmie?

– A co, powiedziałem coś nie tak?

– Że jak?

– No, że jesteś pedrylem, znaczy pederastą.

– Ja? Nigdy w życiu.

– A ten drugi?

– Kto?

– No ten. – Rychu pokazał na gołe nogi wystające zza krawędzi łóżka. – Ten twój narzeczony.

– Jaki narzeczony? Cholipka, co tu się dzieje?

– Zabiłeś go?

– Kogo?

– Jacusia?

– Nikogo nie zabiłem, jestem milicjantem! – zawołał z rozpaczą w głosie, jakby krzyk mógł tutaj mieć siłę rozstrzygającego argumentu.

– To znaczy, że mu tylko wpierdoliłeś? – Rychu zaśmiał się głośno, jakby właśnie usłyszał dobry żart. – A wcześniej tak zeście się pięknie dogadywali... No ale do rzeczy, bo co tu będziemy tak bez sensu gadać? Jesteście w gościnie w najbardziej znanym pedalskim burdelu w Poznaniu u Miłego Stefana. To on sam was tu przyjął z honorami i obsłużył obu tak, jak się należy. Co, nie pamiętasz? Zaraz sobie wszystko przypomnisz.

Naprzeciw łóżka na szafce pod ścianą stał mały japoński telewizor. Rychu chwycił do ręki pilota i włączył go. Pokazał się jakiś program, ale zdaje się, że nie bardzo go zainteresował. Wziął do ręki drugiego pilota i uruchomił stojący pod nim magnetowid. Na początku niewiele było widać poza śnieżącym obrazem. Naraz obraz się wyostrzył i Marjański ze zdumieniem odkrył, że pokazuje tę samą sypialnię, w której teraz się znajdował. Tę samą, tylko że na zdjęciach nie było nikogo... Naraz do środka wtoczyły się chwiejnym krokiem dwie postacie. Dwaj goli mężczyźni, podtrzymując się, podeszli do łóżka. Tego chudego widział po raz pierwszy, ale drugiego znał dobrze. To był on sam. Nie szczędzili sobie pieścizot. W końcu chudy pchnął Marjańskiego na łóżko...

– Boże święty – jęknął kapitan i zamknął oczy.

– Darujmy sobie grę wstępną, bo Miły Stefan powoli się rozpęda. Przejdźmy od razu do rzeczy. – Rychu włączył funkcję przewijania na podglądzie. Teraz Marjański zobaczył siebie klęczącego na pościeli i chudego ujeżdżającego jego tyłek. Po chwili sytuacja się zmieniła i to Marjański był dominujący. Ale najlepsze zaczęło się dopiero po jakimś czasie. Wtedy do pokoju wbiegł uśmiechnięty od ucha do ucha, trzymający w ręce butelkę wódki, kapral Błaszczuk. Przez chwilę tańczył wokoło łóżka, a w końcu dołączył do obu mężczyzn. Po chwili wszyscy trzej złączyli się w miłosnym uścisku.

– No więc widzisz, Marjański, jakie możliwości daje nowoczesna technika? – Rychu usiadł na skraju łóżka tyłem do telewizora.

– Czego chcesz? – warknął milicjant.

– Jak to czego? Żebyś się ode mnie odpierdolił.

– A co z tamtym, co leżał w piwnicy?

– A co cię on obchodzi? Ty się martw lepiej o siebie.

– Co zamierzasz zrobić z tym? – Marjański wskazał głową telewizor. Rychu wzruszył ramionami i uśmiechnął się jak niewinne dziecko.

– To zależy od ciebie. Chciałem schować kasetkę głęboko, tak żeby nikt jej nie zobaczył, ale mogę też zlecić zrobienie stu kopii i rozdać ją do wszystkich ulicznych wypożyczalni w Poznaniu... No, chyba że się zrozumieliśmy?

Marjański bezradnie pokiwał głową.

– Zrozumieliśmy.

Rychu wstał z łóżka i rzucił na pościel klucze od kajdanek.

– Możecie stąd iść, ale możecie też jeszcze pobaraszkować. Wasz samochód stoi na wprost bramy do kamienicy, w której jest to przytulne mieszkanko. Wychodząc, zatrzaśnijcie tylko drzwi, żeby żaden złodziej tu nie wlaźł.

Zanim wyszedł, odezwał się jeszcze Marjański.

– Ten facet, którego załatwiliście w piwnicy... Wiesz z kim zadarłeś?

Rychu odwrócił się z uśmiechem na twarzy, tym razem znacznie mniej przyjaznym.

– Wiem, ale nawet nie próbuj się w to mieszać.

Milicjant pokręcił głową.

– To już nie moja sprawa. – Odwrócił wzrok od Grubińskiego i spojrzał na telewizor. Ten chudy gość gdzieś zniknął, a na skotłowanej pościeli pozostali tylko dwaj długodystansowcy.

– O, jest Jacus i Tomuś! – powiedział Błaszczyk, który właśnie odzyskał przytomność i podniósł się z podłogi. Zafascynowany jak dziecko wpatrywał się w film video. Idyllę tego obrazka psuła tylko jego zalana krwią gęba. Marjański poczuł, że robi mu się niedobrze, ale naraz uświadomił sobie, że na widok Jacusia w podbrzuszu coś mu przyjemnie zadrzało. Coś jakby motylki.

Rozdział VI

Pniewy

Wtorek 7 marca 1989 r.

Godzina 11.50

Służbowy polonez bez milicyjnych oznaczeń stał na ulicy przy samym krawężniku, na wprost wejścia do komendy. W takim miejscu mogło parkować tylko auto, którym za chwilę miał jechać sam komendant. Nikt inny nie miał prawa podjeżdżać tak blisko, bo i po co? Wiadomo, że dla komendanta liczyła się każda minuta jego cennego czasu. Musiał więc mieć samochód pod bokiem. Co innego pozostali milicjanci. Ci bardziej uprzywilejowani, czyli oficerowie z kierownictwa komendy, mogli parkować na tyłach budynku tuż przed samym wejściem służbowym. Podoficerowie, którzy mieli własne auta, a było ich zaledwie kilku, kawalek dalej pod betonowym płotem. Szeregowcy nie parkowali nigdzie, bo nie mieli samochodów.

Polonez dla dowódcy czekał już od kwadransa, ale od tego był, żeby czekać. Komendant miał przecież ważne sprawy na głowie i nie mógł ot tak sobie wyjść i wsiąść do samochodu, zaraz jak tylko to auto się podstawi. Kierowca jeszcze mógłby sobie pomyśleć, że przełożony do niego tak się śpieszy. Jednak dzisiaj nic by sobie nie pomyślał, bo go nie było na miejscu. Kapral Misiak kluczyki zostawił w dyżurce i gdzieś sobie poszedł. Widać komendant sam chciał usiąść za kółkiem, co mu się niezmiernie rzadko zdarzało, bo jako człowiek trunkowy wołał nie wywoływać wilka z lasu i nie brać się do prowadzenia po kielichu. Ale nie, i dziś nie miał zamiaru prowadzić. Klucze od jego samochodu miał przejąć ktoś inny.

– A Maryniak to gdzie jest? – zapytał komendant Czyżak, który z trudem próbował ukryć podniecenie. Stał przy oknie swojego gabinetu oparty o parapet i patrzył na stojącego na dole poloneza.

– Ma być za pięć dwunasta. Tak żeśmy się umówili – wyjaśnił chorąży Stefański. – Żeby nie było, że to jakiś planowy wyjazd. Pan rozumie. – Mrugnął do kapitana, a ten pokiwał głową, że niby rozumie, ale nie miał pojęcia, co też Stefański kombinuje i po cholere te całe mecyje.

– No to może i racja. – Czyżak zgodził się ze swoim podwładnym.

– Pewnie, że tak. Ja tam wiem swoje, obywatelu komendancie. Po cholere ktoś ma wiedzieć, że coś było planowane. A tak będzie normalne zgłoszenie i się pojedzie niby na interwencję i nikt się nie zorientuje, że my tam pojechali.

– A niby czemu ma się nie zorientować? – zapytał podejrziwie.

– Bo to o duży piniądz się rozchodzi.

– A no tak. A jak duży? Tak jak mówiłeś?

– Nie wiem, ale może nawet jeszcze większy. Szwagier gadał, że oni to mogą nawet i z pięćdziesiąt tysięcy zielonych mieć. To nie to, co ta drobnica, co my ją w aucie znaleźli.

Komendant, zmrużywszy oczy, spojrzał srogo na swojego podwładnego i pogroził mu palcem. Ale tak naprawdę wcale nie był na niego zły. Bo i za co? Że chłopaki wykorzystali okazję i zwinęli forszę, co im wpadła w łapy? Każdy przecież by tak postąpił. Jedyne, co źle zrobili, to fakt, że do niego nie przyszedli i nie powiedzieli o niczym. No ale najważniejsze, że wszystko udało się wyprostować. Odpalili mu wczoraj działkę, co prawda niewielką, ale zawsze to tysiąc dolarów. Taki pieniądz przecież nie chodzi piechotą. Początkowo, gdy zobaczył w kopercie te dziesięć setek, to się wściekł i chciał ich wyrzucić z gabinetu. Przecież sami pokupowali mieszkania po kilka tysięcy, a jemu dawali jakiś marny ochłap. Ale wyjaśnili mu, jak było dokładnie. A było tak, że w tym rozbitym aucie znaleźli dwanaście tysięcy dolarów. Podzielili się sprawiedliwie i żaden z nich nawet nie pomyślał o tym, że powinni to podzielić na trzy części.

– Czy wy mnie macie za jakiegoś idiotę? – warknął komendant, gdy przyszedli do niego „załatwić sprawę”. Nie mógł krzyzczeć za głośno, żeby sekretarka nie usłyszała, a wiedział, że lubiła podsłuchiwać.

– No nie – bąknął Stefański. – Ale obywatel komendant rozumie, że mieliśmy wydatki.

– W dupie mam wasze wydatki! Jak jest taka sprawa, to komendant musi mieć z tego swoją działkę, a nie gówniane resztki. Rozumiecie?

– Tak jest! – Obaj siedzący naprzeciw jego biurka winowajcy spuścili głowy – Ino że my wszystko wydali. – Maryniak próbował ratować sytuację. Minę miał taką, jakby się miał zaraz rozplakać i kapitan, widząc tę głupią gębę zrozumiał, że oni naprawdę stracili te pieniądze. No i co zrobić z takimi idiotami. Przecież nie wyrzuci ich z roboty za to, że są durniami. Może lepiej dać im nauczkę, żeby na przyszłość wiedzieli... Wtedy odezwał się Stefański:

– Jeśli obywatel komendant pozwoli zameldować, to chciałem zameldować...

– Że, kurwa, co?

– Że jutro z Poznania do Tarnowa Podgórnego przyjedzie dwóch bandziorów...

Komendant Czyżak chciał mu przerwać i wyrzucić obu na zbitą mordę ze swojego gabinetu. Na szczęście coś mu kazało wysłuchać ich do końca. No i Stefański opowiedział mu w szczegółach o handlarzach walutą, którzy chcieli otwierać punkty sprzedaży wzdłuż drogi do Świecka. Mieli się spotkać dziś z jakimś kuzynem Stefańskiego, który prowadzi restaurację z hotelem w Tarnowie Podgórnym. Tam mieli mieć taki swój punkt walutowy. Podobno zaproponowali pięćdziesiąt tysięcy dolarów odstępnego za miejsce. Kuzyn, który wcale nie chciał niczego sprzedawać, zawiadomił swojego krewniaka, a ten przyszedł ze sprawą do swojego komendanta. I dobrze, że z tym przyszedł, myślał zadowolony Czyżak, bo

w ten sposób sprawę definitywnie się załatwi. To on właśnie obmyślił, jak to najlepiej zrobić, choć Stefański dołożył swoje trzy grosze. Pojadą na parking przy drodze na Świecko w Gaju Wielkim, bo tam kuzyn miał się umówić z tymi handlarzami, i zatrzymają ich w momencie, gdy ci będą chcieli przekazać pieniądze. Oczywiście kasę skonfiskują po cichu, handlarzy nastraszą i gdzieś wypuszczą, i sprawa będzie załatwiona, bo kuzyna już nikt nie będzie zmuszał do sprzedawania złotego interesu, a oni się obłowią. Oczywiście większość kasy zabierze on, ale nie będzie taki jak jego dwaj durni podwładni. Zobaczą, że z niego ludzki pan, bo odpali im porządną działkę. Może nawet, jak się te gamonie dobrze spiszą, po pięć, sześć tysięcy na łeb zainkasują... Ale większość pójdzie dla niego. Żeby sobie nie myśleli i żeby wiedzieli, kto tu rządzi. W sumie to ten Stefański miał rację. Lepiej, żeby to było wszystko oficjalnie, to znaczy, że oni pojadą na formalne zgłoszenie, bo wtedy ci bandyci, którym się kasę odbierze, nawet gdyby chcieli, to nic nie poradzą. Było oficjalne zgłoszenie o próbie wymuszenia i ucieczka przestępców z miejsca zdarzenia, a o pieniądzach to nikt niczego w ogóle nie słyszał. Jeśliby jednak pojechali tam, tak jak to on chciał początkowo poza drogą służbową, to w razie jakichś problemów z tymi poznaniakami nie mieliby się jak tłumaczyć. A tu, proszę, jest oficjalne zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa...

Na biurku zadzwonił telefon, przerywając rozmyślenia komendanta. Milicjant natychmiast podniósł słuchawkę.

– Czyżak, słucham...

– Obywatelu komendancie, dyżurny plutonowy Owczarek mówi, bo, ten, jakiś człowiek dzwoni z tej knajpy przy parkingu w Gaju Wielkim. Gada, że, ten, jacyś bandyci chcą go napaść, czy jakoś tak, i powiada, że jest kuzynem chorążego Stefańskiego i chce pilnie z nim gadać, że potrzebuje pomocy, bo jego chcą zabić, a Stefański wypadkiem jest u obywatela komendanta...

– Zaraz. Chorąży Stefański, macie wypadkiem jakiegoś kuzyna?

– Mam kuzyna Walasika Franciszka.

– Czy to jest kuzyn Walasik Franciszek?

– Melduję, że jest to kuzyn, co się właśnie Walasik Franciszek nazywa.

– To powiedzcie jemu, że my już tam jedziemy. Mamy przypadkiem jakieś wolne auto?

– Melduję, że jest polonez podstawiony właśnie dla obywatela kapitana.

– A kto może być kierowcą? Zobaczcie, czy nie kręci się tam czasem sierżant Maryniak?

– Melduję, że się właśnie kręci. Znaczący jest tu w dyżurce.

– To powiedzcie Maryniakowi, żeby brał kluczyki i jedziemy zaraz na trasę. Nie będą nam tu jacyś bandyci straszili porządnych obywateli, w dodatku kuzynów naszych funkcjonariuszów.

Odłożył słuchawkę i mrugnął do Stefańskiego. Ten w odpowiedzi pokazał mu wystawiony do góry kciuk. Akcja zaczynała się planowo i zgodnie z czasem. Teraz nic jej nie mogło już zatrzymać.

Kapitan założył pas z kaburą i spojrzał wymownie na swojego podwładnego.

– Myślisz, że spluwa będzie potrzebna?

– Na pewno nie zaszkodzi, obywatelu kapitanie. Ja swoją biorę – powiedziawszy to, poklepał się po boku. – Niby to nic, takie tam zatrzymanie jakiś szuszwoli, ale różnie to być może. Jak się takim gnojkom przed mordą machnie spluwą, to zaraz w pory nawalą i będziemy mieli mniej roboty, żeby ich przekonać, że mają spierdalać.

– Masz rację, zasadniczo – zgodził się z chorążym kapitan, który raczej rzadko brał udział w jakichkolwiek akcjach i dlatego miał o nich marne pojęcie. Ale ci dwaj, Stefański i Maryniak, to przecież byli starzy wyjadacze, którzy z niejednego kotła proch wączali, więc postanowił się na nich zdać całkowicie.

– No dobra, to idziemy – zarządził dowódca. Podwładny przepuścił go w drzwiach.

– Tylko, obywatelu kapitanie, jak najwięcej hałasu na dole.

– Się rozumie. – Czyżak wzruszył ramionami, jakby uwaga Stefańskiego była co najmniej nie na miejscu.

Zeszli szybko po schodach i zaraz pojawili się w dyżurce.

Dyżurny Owczarek natychmiast poderwał się na równe nogi. Maryniak podobnie jak jeszcze jeden podoficer, sierżant Giziński, nie musieli wstawać, bo już stali.

– Melduję, obywatelu kapitanie, że auto jest gotowe, a sierżant Maryniak też jest gotowy

– A to mamy niezły pasztet! – zawołał komendant. – Spokojnego obywatela jakieś gnojki chcą nastraszyć. I do tego ten obywatel to dodatkowa jest kuzyn naszego cenionego funkcjonariusza. Trzeba jak najszybciej wyruszyć na pomoc, bo wiecie, że milicja zawsze śpieszy z pomocą. Wiecie, Giziński?

– Melduję, że wiem, obywatelu kapitanie. Milicja pomaga. Ja w zeszłym tygodniu to nawet przeprowadziłem na drugą stronę ulicy tę starą Maciaszkową, co to mieszka zaraz koło kościoła... Wrywała się, nie chciała, ale się ją przeprowadziło!

– I bardzo dobrze. O to się rozchodzi, Giziński, żebyśmy my, milicjanci, świecili przykładem. A jak jakiś bandzior napada na obywatela, to trzeba jemu, temu bandziorowi, dać nauczkę. To co, gdzie ten samochód?

– Melduję, że stoi na podjeździe.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, że tak powiem. Aha, a wy, Giziński...

– Tak jest, obywatelu kapitanie! – Sierżant wyprostował się, czekając na ważne wytyczne operacyjne.

– Wy, Giziński, to siedźcie tu na dupie i czekajcie, bo jakbyśmy potrzebowali wsparcia, to weźmiecie dwóch ludzi i pędem do nas.

– Tak jest, obywatelu kapitanie.

– Tak jest, znaczy się dobrze. To co, lecimy? – Spojrzał na dwóch swoich podkomendnych, którzy mieli z nim jechać, ale na twarzach Maryniaka i Stefańskiego nie dało się odczytać żadnych uczuć. Były kompletnie wyprane z emocji. Komendant Czyżak pomyślał, że ci dwaj to jednak prawdziwi twardziele. Jechali na akcję jak chłopci na sianokosy, tak zwyczajnie, do roboty. Z takimi ludźmi mógł się czuć całkowicie bezpieczny.

Poznań

Godzina 12.00

– To jak teraz będzie? – Tunio Ząbek dostrzegł różnicę już na pierwszy rzut oka, ale nie bardzo mógł sobie to wszystko wyobrazić. Zresztą kto przy zdrowych zmysłach mógł w ogóle ogarnąć to wyobraźnię? Niby wszystko dookoła było normalnie, syf na ulicach, brud w tramwajach, barach mlecznych i kiblach miejskich, niedomyci i cuchnący współobywatele, zalewający odór potu wodą kolońską Przemysławka i perfumami Być może, ale czuło się, że zmiany nadchodzą wielkimi krokami. Nikt jeszcze nie wiedział, jakie one będą, więc skąd miał to wiedzieć Tunio, człowiek pracy, który harował od rana do nocy, a mimo to według socjalistycznych norm w całym swoim życiu nie przepracował uczciwie ani godziny.

– Jeśli handel walutą ma być legalny, to może być tak, że wszystko zostanie tak, jak było – stwierdził Grubiński, rozlewając wódkę do kieliszków. W jego biurze siedziało sześciu najważniejszych cinkciarzy, którzy pracowali dla niego w różnych punktach Poznania. Mimo że Grubiński jeszcze nie zdążył otrząsnąć się po śmierci Laury, musiał szybko zabrać się do

roboty, bo wymagały tego interesy. Ludzi pod peweksami przecież nie można było zostawić samych. Oni wszyscy musieli wiedzieć, co powinni robić w najbliższym czasie, tym bardziej że zagrożenie stawało się coraz bardziej realne. Jeszcze do końca nie było wiadomo, kto kieruje zorganizowaną akcją wymierzoną przeciwko Rychowi i jego współpracownikom, ale tragiczne efekty już były. Dlatego obercinkciarz zwołał naradę na dzisiejsze południe, żeby przede wszystkim pokazać swoim, że żyje i jest w całkiem dobrej kondycji. Co więcej, zamierzał też im przekazać, że nie planuje się poddawać, uciekać czy wycofywać. Raz już musiał uciec z Poznania kilka lat temu i teraz nie miał zamiaru drugi raz popełnić tego błędu. Postanowił walczyć.

Uświadomił mu to wczoraj jego najbliższy przyjaciel. Mirek Brodziak wieczorem przyjechał do niego taksówką. Załomotał do drzwi, a gdy Szymuś otworzył, poprosił go, żeby zapłacił za kurs. Ten zrobił to bez gadania, a potem wpuścił Brodziaka na schody. Wtedy Mirek zdziwił się po raz pierwszy, bo zobaczył, że koło krzesła przy drzwiach, na którym zasiadł Szymuś, stoi kałach.

– Zapomniałem bejmów – wyjaśnił ochroniarzowi i poszedł na górę. Rychu siedział na kanapie ze szklanką w dłoni. Na widok przyjaciela poderwał się, minął go i wyjrzał na schody.

– Szymuś, jak tam? – zawołał.

– Spoko, szefie – odpowiedział goryl.

Dopiero wtedy Brodziak zauważył, że Rychu ma zatknięty z tyłu za paskiem pistolet. Od razu poznał swoją berettę.

– Chodzisz z gnatem po chacie? – zdziwił się kolejny raz, siadając w fotelu. Nawet nie zdążył zdjąć kurtki. Padł w głęboki fotel, jakby zamierzał w nim zaraz zasnąć.

– Napijiesz się? – zapytał gospodarz i nie czekając na odpowiedź, podszedł do niewielkiego stoliczka, na którym stała bateria butelek. Spojrzał na Mirka i zdecydował, że najlepsza będzie dla niego zwykła czysta, bo i tak nie jest w stanie docenić smaku dobrej whisky. Sobie nalał czarnego Johny’ego Walkera. Podał szklankę koledze i sam usiadł na kanapie.

– Ktoś chciał mnie zabić – stwierdził, patrząc Brodziakowi w oczy. Ten tylko się uśmiechnął, a upiwszy łyk wódki, wsadził sobie papierosa do ust.

– No ja przyjechałem sprawdzić, czy jeszcze żyjesz.

– Już się rozeszło. Przecież to niemożliwe – zdziwił się Grubiński, który wiedział, że jego ludzie, którzy sprząтали po tym nocnym napadzie, mieli zapowiedziane, że nie wolno im puszczać pary z gęby.

– Całe miasto gada, że zostałeś sprzątnięty, ale mi jakoś się nie chciało w to uwierzyć. No to przyjechałem, żeby zobaczyć.

– Całe miasto, czyli kto?

Byłem wczoraj pod peweksem na Półwiejskiej. Tam chodzi ten twój Kalafior, co nie?

– No to jego teren. Stoi tam z tym drugim, zaraz jak on się nazywa... Dusiu na niego wołają.

– Wszystko jedno jak, ważne, że Kalafiora ja znam, a on zna wszystkich. No to poszedłem tam, żeby go o coś zapytać. Konkretnie o dwóch gości, co ich ktoś zastrzelił. Ponoć robili w walucie.

– To czemuś od razu do mnie nie przyszedł? – Rychu zrobił zdziwioną minę.

– Bo nie było to nic pilnego. Szedłem na piwo z Olkiewiczem na Półwiejską, bo wiesz, że dla nas to jest w połowie drogi do niego na Wildę i do mnie na Stare... – Odpalił wreszcie papierosa, a pustą szklanekę po wódce odstawił na mały stolik kawowy, na którym niezmiernie rzadko, a właściwie nigdy nie stawiało się kawy. – No to se pomyślałem, że sprawdzę, czy Kalafior wie, co to za jedni. Ale jego i jego kumpla, co tam z nim zawsze stoi, nie było pod peweksem.

– Może w bramie robili jakąś grubszą transakcję?

– Gównno tam, pół godziny na nich czekałem i nic.

– Poszli się nachlać...

– Nie sądzę. Raczej poszli w cholere, bo ich ktoś przestraszył.

– Że niby kto?

– Stałem tam pół godziny i nagle podchodzi do mnie jeden gość. Myślał, że jestem cinkciarzem, bo od razu mnie pyta, czy jestem od Grubego Rycha. No to ja mu gadam kulturalnie, że ma spierdalać. I teraz najlepsze. Wyobraź sobie, że on wyciąga spluwę na mnie, macha mi przed nosem i powiada, że to ja mam spierdalać, bo oni przejmują teren, a na to ja „jacy oni”, a on, że nie mój pierdolony interes i mam się zwijać, bo drugiego ostrzeżenia nie będzie, bo teraz wszystko się zmieniło, a Gruby Rychu właśnie wyciągnął kopyta.

– A to pierdolony!

– Tak se właśnie pomyślałem, że może to i prawda, że już leżysz z wyciągniętymi kopytami jak ten tu. – Mirek wskazał na obraz w złoconych ramach, na którym koń leżał na śniegu, a nad nim z pochyloną głową klęczał jakiś facet w rogatywce. Ułan płaczący nad koniem, wyjaśnił mu kiedyś Rychu, bo Miras wciąż był kiepskim znawcą sztuki. – Miałem nadzieję, że nie będę cię musiał oplakiwać, jak ten ułan na obrazie Matejki.

– Kossaka – poprawił go Rychu. – Zabili Laure.

Brodziak popatrzył na niego, jakby ten kompletnie zwariował. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Gdy Rychu spuścił oczy, Mirek zrozumiał, że to, co powiedział przed chwilą Gruby, to wcale nie jakiś makabryczny żart.

– Już, kurwa, nie żyją. Rychu, już, kurwa, nie żyją! Słyszysz?

– Spokojnie, Miruś, już nie żyją, masz rację.

– Załatwiłeś ich? – Dopiero teraz do Brodziaka dotarł sens słów, które wypowiedział Grubiński. Ale nie zareagował na nie jak stróż prawa. On kipiał cały z wściekłości i gotów był rozerwać na strzępy każdego, kto podniósł rękę na dziewczynę Rycha. No chyba że Rychu zrobił to już wcześniej sam.

– Jednego sprzątnąłem w czasie, gdy próbowali mnie zabić. Dla Laury było już za późno. Ci gnoje weszli do domu i przeorali z peema całą sypialnię, gdy spała. Pewnie nawet nie zdążyła się przestraszyć. Ale ja siedziałem w biurze i miałem na szczęście przy sobie twoją berettę. Pierwszy dostał na korytarzu i od razu zeszytniał. Drugiego dopadłem w ogrodzie. Ten jeszcze żył, jak zacząłem z nim gadać. Później wziął go w obroty Szymuś. A potem napatoczył się tu ten twój kumpel Marjański.

– Co? – Teraz Mirek naprawdę się przestraszył. Jeśli Marjański wszedł do domu i natrafił na tę rozpierduchę, to już jest po nim.

– Nie martw się. Wszystko mu wytłumaczyłem. Nie ma zamiaru przeszkadzać?

– Marjański? To niemożliwa. Przecież to pieprzony służbista.

– Na każdego znajdzie się sposób.

Rychu wystąpił i podszedł do barku. Nalał alkohol do dwóch szklanek i jedną podał Brodziakowi. Zanim wrócił na swoje miejsce, po drodze włączył gramofon. Mirek rozpoznał *Duke'a* Genesis już po pierwszych taktach *Behind the lines*.

– Możesz mi wierzyć, że nie piśnie ani słowa.

– Masz dar przekonywania ideowców?

– Mam dar rozpoznawania ludzkich potrzeb, dlatego robię w branży finansowej.

– A ten drugi facet, którego żeś złapał?

– Szymuś też ma dar przekonywania.

– To znaczy, że wiesz, kto to wszystko zorganizował.

– Wiem.

– Trzeba ich wszystkich zabić – stwierdził Brodziak śmiertelnie poważnie. – Co zamierzasz?

– Jak co? Zabiję ich.

– Pomogę ci.

- Tak myślałem, że nie da ci się przemówić do rozsądku.
- Nie da się – zgodził się z nim Mirek, szczerząc przy tym zęby w uśmiechu.

Rychu spojrzał na twarze swoich współpracowników. Wszyscy w napięciu czekali, co powie ich szef.

Ale może być też inaczej. Może się okazać, że skoro kupno i sprzedaż walut to legalny interes, to niedługo będziemy prowadzić bank, a może nie jeden, a kilka. Może Profesor – tu spojrzał na szczupłego mężczyznę w garniturze, który wyglądał i nosił się jak starej daty wykładowca wyższej uczelni, a w rzeczywistości nie miał nawet matury – może Profesor niedługo będzie dyrektorem oddziału naszego banku w Obornikach?

– Łe, nie w Obornikach. W Szamotułach bym wolał, bo ja mam famułę w Szamotułach.

– Niech będą Szamotuły. Na razie wszystko jedno. Ja tylko chcę wam powiedzieć, że historia rodzi się na naszych oczach i od tego, jak sobie dziś wszystko poukładamy, będzie zależeć nasze życie w nowej Polsce.

– A będzie nowe? – zapytał Wiechu Zapała, krótko obcięty szef chłopaków ze Świerczewskiego.

– A po co gadają przy tym Okragłym Stole, jak myślisz?

– Cholera ich wie... – Zapała nie wiedział, to pewnie i oni przy tym stole też nie bardzo wiedzieli.

– Oni gadają ze sobą, jak komuna ma oddać władzę – ciągnął Rychu – bo już komuchy nie wiedzą, jak mają dalej tę zdychającą gospodarkę ciągnąć. A jak oddadzą, to komunizm się skończy i co się zacznie?

– Kapitalizm? – bąknął nieśmiało Tunio.

– Prawie kapitalizm, ale na razie nastanie Dzikie Zachód, bo nikt nie będzie wiedział, o co chodzi. I wtedy im więcej weźmiemy dla siebie, tym lepiej ustawimy się w nowej rzeczywistości. Za dziesięć lat będziemy biznesmenami, ale najpierw musimy nakraść tyle, żeby nikt nie pomyślał, że jesteśmy złodziejami.

– A co mamy kraść?

– Wszystko, pieniądze, domy, działki, samochody, co tylko się da rąbać. Ale na razie musimy załatwić tych, którzy chcą to zrobić za nas. Bo oni już zaczęli, a my dopiero dołączamy do tego wyścigu, panowie.

Zebrani pokiwali głowami. Mimo że nie wszyscy rozumieli, o co Rychowi chodzi, to przynajmniej w jednym się z nim zgadzali. Rzeczywiście, trzeba kraść, jeśli jest okazja. Ale

co szabrować, to już niech myśli Rychu. Od tego w końcu jest szefem, a oni jego pracownikami. A jeśli z tego wszystkiego ma jeszcze wyniknąć w przyszłości wygodne życie, to znaczy, że trzeba to robić.

– A co z tą komuną będzie? – zapytał Tunio.

– A komuna niech sobie zdycha. Zbuduje się coś nowego, byle nie za nasze pieniądze – odpowiedział Rychu, który poprzysiągł sobie, że jeśli ten ustrój będzie umierał, on wyrwie mu spod głowy ostatnią poduszkę i dobrze ją sprzeda.

Gaj Wielki

Godzina 12.30

– Tutaj mają tylko kurczaki z rożna i jakieś syfiaste frytki – stwierdziła rozczarowana Zosia Pietruszka, marszcząc przy tym nos. Na tę wyprawę założyła krótką dzinsową spódniczkę, oczywiście w modny marmurkowy deseń, bordową pikowaną kurtkę i białe botki na wysokim obcasie. Walasik z zadowoleniem stwierdził, że prezentuje się całkiem nieźle i może być poważnym elementem uatrakcyjniającym negocjacje. Za to mało atrakcyjnie wyglądała buda, w której znajdował się przydrożny bar. Ot taki zwykły, przeszklony barak pokryty blachą falistą, a przed nim parking. Samo miejsce jednak było całkiem dobre, bo położone przy drodze krajowej prowadzącej do granicy z NRD. To znaczy, że musiało się tu zatrzymywać sporo samochodów. Co prawda nie tyle, co przy ich restauracji i hotelu, ale zawsze to jakaś konkurencja.

– Nie wybrzydź, bo nic innego dziś do zarcia nie będzie. Możesz sobie zamówić coś tutaj albo zjesz dopiero, jak wrócimy do Tarnowa. Tyle że nie wiem, kiedy wrócimy, bo nie jesteśmy umówieni na konkretną godzinę. Mamy tu siedzieć i czekać. – Walasik nie był w nastroju do przekomarzania się. Tym bardziej że cały czas czuł jeszcze w głowie wypity z naczelnikiem gminy alkohol, poprawiony w niedzielę piwem i wódką, a w poniedziałek wódką i piwem. Taki smutny los restauratora, że pić trzeba, próbował się usprawiedliwić przed samym sobą. No i do tego jeszcze dochodził ten plan Albina. Kuzyn milicjant miał łeb, trzeba było mu to przyznać. Potrafił kombinować i przede wszystkim przekonywać. Tylko że na razie nie było wiadomo, co z tego wszystkiego wyjdzie.

Zostawili samochód na parkingu i weszli do baru. Uderzył w nich smród starego, przepalonego oleju, pomieszany z papierosowym dymem. W środku był kontuar, za którym siedziała mocno wymalowana, okrągła panienska, zatopiona w lekturze „Filipinki” albo jakiegoś równie wciągającego kobiecego pisma. Kasztanowe włosy miała spięte w koński ogon, a na to wszystko zgodnie z przepisami Sanepidu założyła biały czepek. Nawet nie podniosła wzroku, gdy weszli kolejni klienci. Ci, stanawszy, rozejrzeli się wkoło siebie. Dwa stoliki zajmowali jacyś faceci pochłaniający kurczaki z różną z chlebem. Pozostałe dwa stoły były wolne. Walasik wybrał ten na prawo od drzwi, który stał zaraz przy oknie. Pomyślał, że stąd będzie miał całkiem dobry widok na parking i dzięki temu będzie mógł kontrolować całą sytuację.

– Niedobrze mi się robi od tego smrodu. – Zosia najwyraźniej postanowiła mieć dziś focha. Choć powinna się cieszyć, bo nie musiała siedzieć w recepcji hotelu. W ogóle odkąd Franek się jej oświadczył, a ona oczywiście te oświadczyzny przyjęła, jej sytuacja w pracy diametralnie się zmieniła. Wszyscy naturalnie już wiedzieli, że jest przyszłą szefową, a ona, żeby podkreślić zmianę swojego statusu, zaczęła wydawać pracownikom polecenia. Walasik nie miał nic przeciwko temu. Nawet mu się podobało, że nie musi przejmować się pierdołami, którymi mogła się zająć narzeczona.

– A zobacz, jaki syf na tym stole. – Wskazała na mokrą plamę po jakimś napoju i resztki kurczaka porozrzucane wokół miejsca, gdzie zapewne przed chwilą jadł poprzedni klient.

– To se sprzątnij, jak ci się nie podoba – mruknął narzeczony.

– A ta będzie se tak siedzieć? – Wskazała na bufetową, którą całkowicie pochłonął ciekawy artykuł. – Zamiast robić, se czyta, zdzira jedna.

– Przynajmniej umie czytać.

– A co, ja to niby nie umiem?

Zosia wstała z mocnym postanowieniem zrobienia porządku. Podeszła do bufetu i zamiast kulturalnie chrząknąć, by zwrócić na siebie uwagę, uderzyła otwartą dłońią w blat.

Bufetowa niechętnie spojrzała na natrętą klientkę, która już marszczyła brwi, by wydać się bardziej groźną i zdecydowaną. Do starcia dwóch harpii jednak nie doszło, bo na twarzy brunetki pojawił się szeroki uśmiech.

– Łe, Zośka, jak Boga kocham. A ty co tu robisz u mnie?

– Ala, łe Jezu? Robisz tutaj? Od kiedy?

– Już dwa lata. A ty gdzie żeś się podziewała? Kiedy to żeśmy się ostatni raz widziały? Jeszcze w szkole chyba na obronie dyplomu.

– Jak gdzie, ja w Tarnowie Podgórnym robię w hotelu... A to jest Franciszek, mój narzeczony. – Pokazała na swojego przyszłego męża, który siedział wpatrzony w parking. Walasik, usłyszawszy, że o nim mowa, uśmiechnął się krzywo i wrócił do obserwowania okolicy.

– Mamy w agencji hotel i restaurację, a za jakiś czas może i stację benzynową – wyjaśniła już nieco ciszej Zosia, tak żeby byle kto nie usłyszał, chociaż bardzo jej się podobało to „mamy”.

– Aha, a ja z tatą mam tę budę – stwierdziła niechętnie Ala.

– Buda super, bo miejsce pierwsza klasa, zaraz przy trasie międzynarodowej. Byle mieć tylko menu dobre, to masz pewny ruch w interesie. – Zosia pochwaliła się swoją praktyczną wiedzą na temat gastronomii. – Bo wiara, co jedzie za granicę do NRD albo się stamtąd wraca, to głodna jest i lubi zjeść co dobrego.

– U nas ino te kurczaki i zupki chińskie albo barszczyk w proszku. Tata nie chce inwestować w kuchnię, bo mówi, że sam wszystko obrobi i mu nikt do roboty nie jest potrzebny. Nawet mnie nie wpuszcza i każe siedzieć tutaj za barem. Ale jakby jeszcze dodać kilka dań, jakiś schabowy czy gołonka, to ja dobrze wiem, że by tu kolejki do jedzenia były.

– U nas w restauracji to nieraz wiara musi czekać na wolny stolik.

– Zosia, zamów dla mnie tego kurczaka! – zawołał najwyraźniej zniecierpliwiony Walasik. Pokiwała do niego ręką, żeby wiedział, że o nim myśli.

– To dla mojego narzeczonego niech będzie pół kurczaka i pieczywo – podkreśliła słowo „narzeczony”, żeby koleżanka dobrze zapamiętała, że ma do czynienia z osobą, która zrobiła prawdziwą karierę po szkole gastronomicznej. Na pewno za jej sprawą ta informacja rozejdzie się wkrótce wśród wszystkich znajomych. I dobrze, niech wiedzą, myślała zadowolona Zosia, która już nie była nadąsana. Spotkanie z koleżanką z klasy najwyraźniej poprawiło jej humor.

– I daj jeszcze dwie pepsy i dla mnie niech będzie ta zupka chińska kuksu. Bo ja to wolę letkie jedzenie, żeby za bardzo nie przytyć przed ślubem. Rozumiesz, nie?

– Pewnie – potwierdziła Ala.

– Aha, daj jeszcze jaką ściere, bo stolik mamy uślumprany. Zetrę, bo w takim syfie nie będziemy jeść. Obrzydliwa jestem.

– To ja wytrę. – Ala sięgnęła do zlewu i wyjęła z niego mokrą szmatę.

– No coś ty, co ty myślisz, że ja nie mogę wytrzeć? Korona mi z głowy nie spadnie.

– Zosia zabrała ścierekę i wróciła do stolika.

– To koleżanka z gastronomika – wyjaśniła, ale Walasik myślami był w zupełnie innym miejscu. Zastanawiał się nad tym, co ma się tu za chwilę wydarzyć. Plan, który przedstawił mu kuzyn, był bardzo prosty. Miał zaprosić obu facetów na rozmowę do tego baru w Gaju Wielkim. Tak jak wcześniej ustalili, goście mieli przywieźć swój udział w interesie dolarowym, czyli żywą gotówkę. On miał ich zapewnić, że przyjmuje ich do spółki i zgadza się na zaproponowany podział zysków. Wtedy do akcji miała wykroczyć milicja, czyli kuzyn i ten jego kumpel. Albin zapewniał go, że sprawa będzie prosta, pojawi się, aresztuje facetów na czterdzieści osiem godzin, w areszcie przetrzepie im skórę i po dwóch dobach wypuści.

– Zobaczysz, Franek, że jak u mnie posiedzą, to już nigdy ich noga nie postanie w Tarnowie u ciebie. Będą na granice jeździć przez Buk i Opalenicę, ale nigdy przez Tarnowo. Ja, Albin Stefański, ci to mówię.

– No żeby tylko z tego jakaś afera nie wynikła. – Walasik jak zawsze wolał być ostrożny.

– Jaka afera? – Kuzyn był całkowicie pewny swoich racji. – Przymknij się ich i po sprawie, a ty już nie będziesz się musiał gnojami nigdy więcej przejmować.

Na razie Walasik nie musiał przejmować się jakimiś facetami, ale Zosią, która postanowiła, że nie będzie jadła żadnego kurczaka, tylko co najwyżej zupkę chińską, bo jest lekka, ale pożywna, i wystarczy za cały obiad. Wzruszył tylko ramionami. Jak nie chce, to niech nie je. On połówkę kurczaka jak najbardziej skonsumuje, bo co miał robić w tej obskurnej knajpie. Po tym gdy wykonał już telefon na milicję w Pniewach, nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać. No to poczeka przy kurczaku, zupce chińskiej w plastikowym talerzyku i dwóch butelkach pepsi, które właśnie stawiała przed nimi koleżanka Zosi.

Kurczak wyglądał i pachniał apetycznie, ale jak się okazało, był za mało słony. Na szczęście na stole była solniczka zrobiona ze słoika po musztardzie, z dekielkiem podziurawionym gwoździami. Na takie solniczki będące wytworem polskiej myśli technicznej należało uważać, bo nigdy nie było wiadomo, ile soli z nich wyleci. Nie zdążył jednak tego sprawdzić. Na parking wjechał biały polonez. Auto zaparkowało niemal na wprost drzwi do baru. Ze środka wyszło dwóch mężczyzn. Jednego rozpoznał, bo był to ten sam brunet z wąsem, który straszył go pistoletem. Blondyna o zimnych oczach zastąpił inny, przynajmniej o głowę od niego niższy, osobnik ubrany w skórzaną kurtkę o lotniczym kroju i z krótko ostrzyżonym łbem wyrastającym bezpośrednio z korpusu, tak jakby był pozbawiony

szyi. Wyglądał na gościa od roboty, czyli rozwiązywania w sposób nieskomplikowany skomplikowanych kwestii.

Przybysze weszli do baru, rozejrzeli się i natychmiast podeszli do stolika, przy którym siedział Walasik ze swoją narzeczoną.

– Ładna du-upaaa – wyjąkał karkogłowy, siadając na wolnym krześle.

– Dupa to jest od srania na taki nocnik jak twój zasrany łeb – odpowiedziała mu szybko Zosia, nim Walasik zdążył zareagować.

– A ty sra-aaaś już dzi-isiaj? – Łysy wzniósł się na wyżyny interesującej konwersacji.

– Tak rzadko, że mógłbyś se gardło przepłukać. – Nie dała mu żadnej szansy i kark zrobił się cały czerwony.

– Pierdo-oolona... – warknął, patrząc na nią z nienawiścią, ale dziewczyna potrafiła odpalić salwę szybciej, niż jej przeciwnik zdołał zebrać do kupy dwie proste myśli.

– Pierdolona, ale przez kutasa z jajami, a nie przez takiego ćwoka jak ty.

– Za-aaajębie cię... – Goryl chciał się poderwać z krzesła, ale jego kolega osadził go na miejscu, lekko unosząc rękę.

– Dosyć tego – warknął, a łysy natychmiast się uspokoił, choć nadal miał czerwoną gębę. Zosia spojrzała na niego z tryumfem, a Walasik z podziwem na swoją narzeczoną. Z tej strony jej nie znal. Musiał przyznać, że pokazała prawdziwą klasę. Wiedział, że jest pyskata, ale o taki refleks jej nawet nie podejrzewał. Zawsze mówił, że jest jego prawdziwym skarbem, a teraz przekonywał się o tym coraz dobitniej.

Ona tymczasem zanurzyła plastikową łyżkę z zupce chińskiej i jak gdyby nic nie zaszło, spokojnie wyjadała makaron.

– No to żeby nie przeciągać – zaczął ten w garniturze – bo atmosfera zrobiła się gorąca, myślę, że można by przystąpić do interesów.

– Jak według was ma to wyglądać? – zapytał Wałasik, spoglądając kątem oka na parking. Milicyjnego auta nie było widać. No ale kuzyn mówił, że ma się w ogóle nie przejmować, bo oni pojawiają się wtedy, kiedy będzie trzeba.

– Normalnie ma wyglądać – odparł brunet. – Robisz to, co zwykle, czyli handlujesz walutą, tyle że oficjalnie z pozwoleniem na prowadzenie takiego handlu.

– Skąd pozwolenie?

– O to się już nie martw. Takie pozwolenie my dostarczymy.

– Pozwolenie na mnie?

– A skąd. Pozwolenie na naszą firmę, bo oficjalnie to nasza firma będzie sprzedawać i kupować walutę w punktach przy całej tej trasie. – Wskazał głową na drogę przebiegającą tuż

za parkingiem. – Firma się nazywa Mark-Dol-Pol i takie będą szyldy we wszystkich naszych kantorach.

– Kto ma pracować na miejscu?

– Ty zapewniasz pracowników, a my ochronę i kapitał początkowy na rozruch. Potem dzielimy się kasą na pół, czyli uczciwie.

– A koszty?

– Koszty zostają po twojej stronie.

– Czyli ja opłacam pracowników, media...

– Twój biznes, ale nasza marka.

– Świetnie.

– Coś ci się, kurwa, nie podoba? – warknął kark.

– Co z kasą?

– Podpiszesz umowę, będzie kasa.

– Najpierw chcę ją zobaczyć.

– Zobaczyć możesz. Chodź na parking, mamy forszę w bagażniku.

Walasik wstał i zaraz podniósł się jego rozmówca. Goryl też chciał wyjść.

– Ty, Beret, możesz zostać. Zaraz wrócimy.

– Ja z tą, no... zdziwą nie zosta-aanę, no...

– Beret? – Zosia obrzuciła go drwiącym spojrzeniem. – Ale jaja jak berety!

Wszyscy trzej wyszli na zewnątrz, zostawiając ją samą przy stoliku. Wstała więc i podeszła do bufetu pogadać trochę z dawno niewidzianą koleżanką. Miała chwilę, to postanowiła przekazać jej jak najwięcej wiadomości, tym bardziej że Ala znana była z tego, że wszystko, co usłyszy, wypuszcza dalej z prędkością dorównującą szosowym wyczynom mistrza Szurkowskiego.

Poznań

Godzina 12.45

Nowy pracownik wyglądał jakby go wycięto z okładki milicyjnego pisma „W Służbie Narodu”. Świeżutki i całkiem nowy mundur lśnił na nim jak na modelu z salonu mody. Grzecznie przywitał się z Olkiewiczem i Blaszkowskim, a potem usiadł w fotelu pod ścianą.

– Na razie nie mam dla pana biurka – stwierdził Fred Marcinkowski, który nie bardzo wiedział, gdzie umieścić faceta, którego wrzucili mu na głowę. Dlatego wpadł na pomysł, żeby dać go pod opiekę Olkiewicza i Blaszkowskiego, a oni już jakoś sobie z nim poradzą. W końcu w porównaniu z nowicjuszem obaj mieli kolosalne doświadczenie. Choć, jak się okazało, nowy też nie był glapami futrowany.

Pół godziny wcześniej podporucznik Markowski zameldował się po raz pierwszy u swojego nowego przełożonego Marcinkowskiego. Formalnie pracę zaczął już dzień wcześniej, ale musiał załatwić wszystkie kwestie papierkowe i dlatego dopiero dziś trafił przed oblicze podpułkownika.

– My się znamy, panie pułkowniku – stwierdził podporucznik, wyciągając rękę w stronę Marcinkowskiego, zamiast oficjalnie się zameldować, Fred był tak zdziwiony tym nieregulaminowym zachowaniem, że potrząsnął jego dłonią.

– Tak, a skąd, bo nie bardzo sobie przypominam?

– Poznaliśmy się na samym początku stanu wojennego – stwierdził Markowski i uśmiechnął się zadowolony, sądząc, że zrobił na nowym dowódcy wrażenie. Nie zrobił, bo Fred za cholerę go nie pamiętał. Widząc pytające spojrzenie Marcinkowskiego, zrozumiał, że ten niczego nie kojarzy.

– No może pan rzeczywiście mógł zapomnieć, bo widzieliśmy się tylko chwilę, ale ja zapamiętałem dobrze. Pamięta pan śledztwo w sprawie zastrzelonych w nocy z dwunastego na trzynasty grudnia działaczy Solidarności, którzy przechowywali związkowe pieniądze?

Oczywiście, że Fred pamiętał. W końcu było to jedno z jego pierwszych samodzielnych śledztw. A poza tym zaczęło się akurat tej nocy, gdy wprowadzono stan wojenny. Do tego wszystkiego jako pomocników miał dwóch kompletnie zielonych ludzi – Brodziaka, który właśnie niedawno skończył szkołę oficerską w Szczytnie, i Olkiewicza oddelegowanego z SB. Ale tego Markowskiego to jakoś nie kojarzył... Zaraz, czy aby przypadkiem to nie był ten facet, który wykołował całe SB. Wtedy w tym śledztwie, które prowadził młody Marcinkowski, jak mogli, przeszkadzali faceci z bezpieki. Im chodziło nie o złapanie mordercy, ale o odnalezienie pieniędzy, a pieniądze...

– To pan odnalazł te pieniądze Solidarności. Wyprzedził pan SB i zwinął im sprzed nosa kasę – przypomniał sobie w końcu Fred.

– Nie potwierdzam i nie zaprzeczam – stwierdził Markowski, uśmiechając się. – Ale mogę powiedzieć jedno, że gdyby nie pańska pomoc, nic by się nie dało zrobić. Siedziałbym pewnie do dziś.

– No bez przesady, w naszych więzieniach już nie ma politycznych.

– Zdziwiłby się pan, ilu ich jeszcze jest.

– No to pewnie już niedługo, skoro takie zmiany idą. Skoro tacy ludzie jak pan trafiają do milicji. To jakaś większa akcja?

Markowski wzruszył ramionami.

– Nic na ten temat nie wiem – skłamał bezczelnie i Fred natychmiast to zauważył...

– No dobra, to chodźmy, przedstawię pana kolegom. Aha, porucznik Olkiewicz to człowiek, któremu wreszcie będzie mógł pan postawić flaszkę.

– Ja? – zdziwił się Markowski. – O ile wiem, nie mam żadnych długów do spłacenia.

– A nie pomyślał pan, że chodzi pan po tym świecie tylko dlatego, że pewien gliniarz odstrzelił łeb facetowi, który chciał pana zabić?

Fred zaprowadził nowego podwładnego do pokoju Olkiewicza. Pchnął drzwi i wszedł do środka bez pukania. Oczywiście tylko Blaszkowski poderwał się na równe nogi, widząc wchodzącego przełożonego. Olkiewicz nawet jakby chciał, i tak nie miał szansy wstać i się zameldować, bo siedział właśnie pod biurkiem. Spadł mu tam scyzoryk, który służył do nacinania szczególnie opornych kapsli od butelek, i teraz próbował go odzyskać.

– Żeby jego cholera nagła trafiła! Gdzie on jest, do diabła? – marudził pod tym biurkiem, ale naraz natrafił ręką na obły kształt. – Młody, znalazłem jego.

– Kogo znalazłeś? – zapytał Fred, spoglądając na wystający tyłek.

– Łe, takie tam... Nic ciekawego. Spadł, chłelernik jeden.

– No to wylaż, bo tu wam nowego kolegę prowadzę. Podporucznik Markowski właśnie się zameldował. To jest podporucznik Blaszkowski, który u nas już kilka lat jest, ale podporucznikiem jest od niedawna, a ten tu – wskazał na wyłaniającego się spod blatu Olkiewicza – to jest ten człowiek, któremu jest pan coś winien.

– Że niby mnie? – zadziwił się Teoś, stając na równe nogi. Poprawił odruchowo zaczeskę na łysym czole, a potem wyciągnął dłoń do Markowskiego. – Nowy kolega to się jakoś musi wkupić do wydziału – stwierdził, bo wołał uniknąć jakichkolwiek niedomówień, żeby ten nowy wiedział, jakie tu panują stosunki.

– Nic nie słyszałem w tej kwestii – stwierdził Marcinkowski. – Na razie niech się pan porucznik rozgości na fotelach, a jutro pomyślimy o jakimś biurku. Ciasno tu u nas, ale da się przeżyć.

Fred klepnął protekcyjnie podporucznika w ramię i wyszedł zadowolony, że kłopot zostawił na barkach swoich współpracowników. Na razie nie miał zielonego pojęcia, co powinien zrobić z tym Markowskim i czy powinien traktować go jak normalnego funkcjonariusza, czy też praktykanta, który pokręci się tu przez miesiąc lub dwa, a później

polecą gdzieś dalej. Podejrzewał, że ta druga opcja jest bardziej prawdopodobna. Ale jeśli w ogóle miał się czegoś tu nauczyć, to Olkiewicz będzie dla niego najlepszym przewodnikiem.

Najlepszy przewodnik usiadł za swoim biurkiem i obrzucił nowo przybyłego badawczym spojrzeniem.

– To kolega porucznik z Solidarności? – rzucił.

– A to coś w tym złego?

– A czy ja co gadam? Ino tak nam tu opowiadali, że mamy nowego kolegę, co był w Solidarności i co przed milicją w stanie wojennym się ukrywał.

– I który zawdzięcza życie niejakiemu Olkiewiczowi. To pan jest ten Olkiewicz?

– Od urodzenia... – stwierdził bardzo zdziwiony Teofil, bo jakoś sobie za nic nie mógł przypomnieć, żeby kiedykolwiek komuś uratował życie, a już w szczególności temu tu facetowi, którego widział po raz pierwszy. No ale jeśli on tak mówił, to może coś w tym było. Nie trzeba go może wyprowadzać z błędu i wykorzystać oczywistą pomyłkę, pomyślał Teoś, który zdążył już wszystko przekalkulować i doszedł do wniosku, że skoro za załatwienie zwykłej sprawy w urzędzie stawia się urzędnikowi flaszkę, to jemu za uratowanie życia ten gość powinien postawić przynajmniej dwie, jak nie trzy. – I ja niby...?

– Tak przynajmniej twierdzi wasz dowódca.

– Ten? – Teoś wskazał na dopiero co zamknięte drzwi.

– Pułkownik Marcinkowski.

– A Fred, znaczy się.

– To ciekawa historia – odezwał się Blaszkowski, który natychmiast dostrzegł niepewność na twarzy Olkiewicza. – Czyżby nasz kolega zrobił panu sztuczne oddychanie, a może rzucił koło ratunkowe do wody?

– Zastrzelił faceta, który chciał mnie zabić – rzucił Markowski.

W pokoju zapadła kompletna cisza. Teofil patrzył na podporucznika, jakby ten właśnie wylądował w pokoju radzieckim sputnikiem bez spadochronów, a Mariusz Blaszkowski na wszelki wypadek napił się zimnej, przecukrzonej herbaty.

– Ja? – Teofil pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To było w grudniu osiemdziesiątego pierwszego, za hotelem Polonez, takie pokoszarowe rudery, a w jednej...

– Łe... – Olkiewicz machnął ręką, bo już sobie wszystko przypomniał. Wtedy szukali tych pieniędzy, co Solidarność chciała przeznaczyć na swoje podziemne działanie. – To ja już wszystko wiem – zawołał uradowany. – To ten gość, co chciał uciec i wcześniej kogoś gazurką zdzielił w łeb i chciał drugi raz, ale ja się wtedy potkłem i pistolet wystrzelił...

– I trafił bandziora prosto w głowę – sprecyzował Markowski. – Jakoś nie chce mi się wierzyć, że ten precyzyjny strzał to przez potknięcie.

– Łe, nie ma o czym gadać!

– Jest, jest! Nawet bardzo jest. Gdyby nie pan Olkiewicz, to pieniądze Solidarności by przepadły. A tak mogliśmy przez pierwszy rok po ogłoszeniu stanu wojennego prowadzić naszą podziemną działalność.

Błaszkowski spojrzał z podziwem na Teofila. Znali się już ładnych kilka lat, ale nie wiedział, że jest osobą tak zasłużoną dla opozycji. A do tego jeszcze ta skromność. Że niby się potknął. Mariusz nieraz się potknął, ale nigdy efektem tego nie był strzał pozbawiający bandytę życia.

– Nic nie mówiłeś, że pomagałeś Solidarności. – Błaszkowski spojrzał na swojego starszego kolegę z wyrzutem.

– Bo i o czym tu gadać? Było, minęło i nie ma co wracać. – Teofil machnął ręką. – Co my tu o pierdołach będziemy przypominać, jak nowy kolega przyszedł do roboty i pewnie już się chce wkupić w towarzystwo – mówiąc to, spojrzał znacząco na Markowskiego. Ten uśmiechnął się porozumiewawczo i wskazał na swoją torbę. Stała na podłodze przy nodze fotela, na którym siedział.

– Pewnie, że pomyślałem. Mam kawę z peweksu i ciasteczka kruche z cukrem – powiedział, otwierając teczkę. Olkiewicz zmarszczył nos z niesmakiem. Kto to widział, żeby jakąś kawę do roboty przynosić? Już chciał powiedzieć to głośno, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Wyręczył go Błaszkowski.

– Kawa i ciastka to jak najbardziej dobry pomysł, ale z tego to tylko ja się mogę ucieszyć, bo Teoś z kaw to najbardziej lubi czystą.

– Nie wiedziałem, że w milicji można pić w pracy.

– Po małym jeszcze nikomu nie zaszkodziło – oświadczył Olkiewicz, przyglądając się bacznie twarzy nowego. Ten podał kawę Błaszkowskiemu, a Mariusz natychmiast nastawił czajnik.

– Pójdę umyć szklanki – wyjaśnił, chwytając kilka naczyń z zaschniętymi na dnie fusami. Gdy wyszedł, Markowski zbliżył się do biurka Olkiewicza i wyciągnął ku niemu dłoń.

– Dziękuję, panie kolego. Kilka ładnych lat trwało, zanim mogę to powiedzieć oficjalnie.

– Nie ma o czym gadać. – Teoś uścisnął podaną mu rękę.

– Fłaskę też mam w torbie, ale nie wiedziałem, czy to wypada przy tym młodym koledze. On nie wygląda mi na pijącego.

Na twarzy Olkiewicza pojawił się szeroki uśmiech.

– A niby co ma nie wypadać? Przecież to pierwszy dzień w pracy kolegi, to i postawić trzeba. Zaraz, ja tu mam gdzieś kielonki. – Zajrzał do szafki pod swoim biurkiem. – O, są, i nawet czyste – pochwalił się, wydobywając je na blat.

– Ale tylko dwa? – zauważył Markowski.

– Młody nietrunkowy jest. Szkoda dla niego gorzoły – zawyrokował Olkiewicz. Markowski sięgnął do torby i wydobył z niej butelkę jarzębiaku. Tylko nadzwyczajnym wysiłkiem woli Teosiovi udało się ukryć grymas cierpienia na twarzy. No ale w końcu lepszy ten cholerny jarzębiak niż nic. Trzeba będzie faceta nauczyć, co się tu pije, żeby wyszedł na ludzi, bo widać w tej Solidarności to umieją tylko rozrabiać, ale o tym, żeby ich tam nauczyć pić wódkę, to nikt nie pomyślał.

– A nad czym obecnie pracujecie? – zainteresował się nowy kolega, przyglądając się zdjęciom bandyckich twarzy przypiętym do maty, którą kiedyś kupił w Cepelii Marcinkowski i zawiesił na ścianie w ich wspólnym pokoju. Od kilku lat Fred miał własny pokój, ale pamiątka po nim została. Tylko bandyckie gęby się zmieniały.

– Jakichś cinkciarzy mamy zabitych, dokładnie dwóch – wyjaśnił Teofil. – A ten po prawo, taki uśmiechnięty, to jest jeden z nich. – Wskazał na zdjęcie, które niedawno przyczepił do tablicy Brodziak.

– Który to? – Blaszkowski, wchodząc do pokoju z czystymi szklankami w dłoni, usłyszał, co mówi Olkiewicz, ale nie miał pojęcia, które zdjęcie ma na myśli.

– No ten na prawo to jest przecież ten mąż Marylki... – Teofil popatrzył na Blaszkowskiego, a potem jeszcze raz na fotografię i nagle zrozumiał, że zaginiony Grajek Janusz to jest ten typ, którego znaleziono nad Bogdanką z odstrzeloną głową. – A niech że to jasna cholera przenajświętsza weźmie – jęknął, bo znów uświadomił sobie, że jego niezawodny milicyjny nos jak zwykle doprowadził go do celu i dzięki niemu rozwiązał właśnie zagadkę zaginięcia męża swojej byłej kochanki. Nie wiedział tylko, czy kobieta się z tego powodu ucieszy. Chyba jednak nie bardzo.

Godzina 13.00

Szwalnica stała. Nie pracowała ani jedna szwaczka. Zresztą nawet jakby chciała, to i tak by nie mogła, bo kierownik Manicki na wieść o śmierci szefa zwolnił wszystkie kobiety do domu. Nie miał wytycznych, to i nie produkował. Nie miał też zresztą zielonego pojęcia, czy ta produkcja ma jeszcze być wznowiona czy nie i jeśli będą szyć spodnie, to czy w ogóle ktoś ten towar odbierze. Dlatego na wszelki wypadek wołał zakład zamknąć.

– Idźcie no se, kobitki, do chaty i czekajcie – powiedział szwaczkom, które przyszły rano do roboty. – Ja muszę wszystko sprawdzić i jakbyście miały szyć dalej, to was się wezwie.

– A jak się nas niby wezwie, jak wy nie wiecie, gdzie my mieszkamy? – zapytała ta najbardziej wyszczekana, Kalinowska, która choć młoda, już kilka lat przepracowała w Modenie, ale rok temu przyszła do nich, bo tu zarabiała się dwa, a nawet trzy razy więcej.

– Już my tam se, no, poradzimy ze znalezieniem – stwierdził kierownik Manicki.

– Już to widzę. – Kobieta wzięła się pod boki. – Gównu z tego będzie, dziewczyny, jak my się same nie zabierzemy za to wszystko. Trzeba zrobić dyżury na szwalni. Na dyżurze siedzi pięć dziewczyn i czekają, aż się co wydarzy. A jak będzie sygnał, że produkcja rusza, to zaraz wszystkie idą na miasto, żeby pozostałe zawiadomić. A jak która ma telefon w bloku u siebie, to można do niej zadzwonić, żeby było szybciej – zdecydowała Kalinowska, z której zdaniem liczyły się wszystkie krawcowe. Wyznaczono więc pięć chętnych na zmianę i reszta szwaczek poszła do domu. Te dyżurne natomiast ruszyły do pokoju socjalnego czekać nie wiadomo na co. I pewnie by się nie doczekały niczego, gdyby nie...

Manicki zamknął szwalnię, tak żeby nikt obcy nie dostał się do środka, i sam poszedł do swojego kantorka, który jednocześnie był magazynem materiałowym. Pomieszczenie było pełne po brzegi bel zdekatyzowanej tkaniny w kolorze indygo z delikatnym wzorkiem marmurkowym. Z tego materiału można by jeszcze przez najbliższe dwa tygodnie robić ciuchy, pomyślał, oceniając fachowo ilość towaru. Szkoda tego, ale cóż począć. Przecież o ile wiadomo, Krzyżaniak nie miał żadnej rodziny. Trzeba będzie więc to wszystko sprzedać. Tylko kto to ma sprzedać i komu. Najlepiej by było, gdyby on to wszystko opylił jakimś innemu wytwórcy spodni. Przecież nie te głupie baby z Kalinowską na czele. Co one tam wiedziały? Niech nie myślą, że da się podzielić to na sztuki, żeby każda poszła na Łazarz sprzedawać swoje. Najlepiej będzie, jak on to hurtem opchnie i kobietom odpali po jakiejś działce, żeby zamknąć im gęby... Bo to, że produkcja już nie ruszy, było raczej pewne. No chyba że któryś z dostawców towaru ma nieuregulowane rachunki z Krzyżaniakiem, to wtedy może wystąpić o zwrot należności, na przykład w nieruchomościach, i uruchomić szwalnię.

Ale to ciągnęłoby się i pół roku. Trzeba więc było się zabezpieczyć na już. Zaproponowanie towaru jakiegś innej szwalni było najlepszym wyjściem.

Siadł za swoim biurkiem i otworzył zeszyt z numerami telefonów. Szybko znalazł numer Turczyńskiego Mariana, który miał swoją szwalnię na Dębcu. Turczyński kilka razy był w ich zakładzie i miał całkiem niezłe kontakty handlowe z Krzyżaniakiem. Nawet od czasu do czasu przerzucali do siebie nadwyżki materiału, żeby zakłady nie miały przestoju. To znaczy, że ten facet dobrze wiedział, jakim towarem dysponuje ich szwalnia.

Wykręcił numer i chwilę czekał na połączenie. W końcu usłyszał znajomy głos po drugiej stronie:

– Dżins-Pol, słucham?

– Pan Turczyński? Tu mówi Manicki Edmund z zakładu pana Krzyżaniaka, znaczy się ze szwalni na Podolanach przy Strzeszyńskiej...

– Ach tak, słyszałem, że Krzyżaniak miał jakiś paskudny wypadek.

– Nie wypadek, no tylko nie żyje – wyjaśnił kierownik.

– Aha, to jeszcze gorzej – zasepił się Turczyński. – Ale to znaczy, że wasza firma się zamyka? – ożywił się natychmiast, uświadomiwszy sobie konsekwencje śmierci konkurenta.

– Pewnie zamyka, bo i co ma zrobić firma, jak nie ma właściciela. Musi się zamykać.

– To szkoda, bardzo szkoda, że się zamykacie, ale trudno. Co zrobić. A kto ma zeszyt z waszymi wszystkimi odbiorcami, bo to wie pan, że ktoś musi tych odbiorców przejąć, nie? I to najlepiej jak najszybciej, żeby oni do jakichś szmaciarzy nie poszli po towar.

– No zeszyt to mam ja. I jeszcze jest cały magazyn pełny towaru. – Kierownik podbił stawkę, bo poczuł się przez chwilę jak właściciel firmy Lux-dżins, która co prawda właśnie upadała, ale miała jeszcze sporo do zaoferowania.

– To co wy tam macie u siebie? – zapytał protekcyjnym tonem przedsiębiorca Turczyński. Zwęszył krew i nie miał zamiaru wypuścić tak łatwo ofiary.

– Maszyn jest pięćdziesiąt, do tego w magazynie mamy jakieś trzysta bel dżinsu marmurkowego, do tego jeszcze czterdzieści bel kieszeniówki, no i tych wszystkich guzików i nitów to nawet się nie da policzyć, znaczy się od cholery.

– A kontakty? – zapytał niby od niechcienia Turczyński.

– Kontakty, no, wszystkie w zeszycie mam, do każdego, najmniejszego nawet sklepiku.

– A na zakładzie to pan jest kierownikiem?

– Tak jest. No.

– A niech se pan wyobrazi, że u mnie akurat jest wakat na kierowniczym stanowisku.

– Coś takiego! – ucieszył się Manicki, który już zastanawiał się, jak najlepiej od niego z domu na Wildzie dojeżdża się rano do Dzins-Polu na Dębcu.

– No to w takim razie, kiedy możemy się spotkać, panie Malicki?

– Manicki. No.

– No to kiedy, bo wie pan, w interesach to najważniejsze jest, żeby gorące żelazo kupować, a nie zimne.

– Całkowicie się, no, z panem zgadzam. Czyli że jak najszybciej możemy się, no, spotkać, choćby nawet dziś może pan przyjechać do nas na zakład, bo nikogo tu nie ma, bo kobiety poszły do chaty, a produkcję, no, wstrzymałem...

Naraz Manicki poczuł, jak ktoś delikatnie, ale stanowczo wyjmuje mu z dłoni słuchawkę. Zdziwiony spojrzął za siebie i jeszcze bardziej się zdziwił. Za nim stała ta śliczna blondynka, która miała butik na Łazarzu i do której towar dostarczali od dwóch lat. Ale co ona tu robi i czemu zabiera mu słuchawkę?

– Jak się domyślam, to pan Turczyński po drugiej stronie? – stwierdziła słodkim głosem.

– Turczyński, a kto mówi i czemu mówi?

– Tu mówi Magda Jankowska z firmy Lux-dzins. Chciałam panu powiedzieć, że firma nadal działa i będzie działać. Nic się nie będzie sprzedawać i wyprzedawać. A jedyną właścicielką firmy jestem teraz ja. A, i jeszcze jedno. Jeśli ma pan dalej wakat, to może pan sobie kierownika Manickiego zabrać do siebie...

Odłożyła słuchawkę na widelki i zmierzyła mężczyznę twardym spojrzeniem.

– A kto panu pozwolił dysponować majątkiem firmy?

– Ja, bo tego, na pokrycie pensji dla szwaczek, żeby kobiety nie były stratne... – plątał się w zeznaniach kierownik, który z szybkością maszyny do szycia zbliżał się do stanowiska byłego kierownika. Nagle jednak poczuł, że jeszcze nie jest do końca na straconej pozycji, tylko początkowo dał się zapędzić w kozi róg, ale może ta kobieta była tylko bezczelna i zwyczajnie chciała zrobić dokładnie to samo, co on, czyli nielegalnie przejąć zakład.

– A pani to tak w ogóle w jakim charakterze tu przyszła? Bo ja to wcale nie wiem, żeby pan Krzyżaniak to miał jakąś tam spółkę, a zasadniczo nawet wspólniczkę.

– Spółka z nieograniczoną odpowiedzialnością, mówi to panu coś?

– No to niby mówi, że są takie spółki, ale o co się w nich rozchodzi, to ja nie bardzo...

– I bardzo dobrze, bo pan nie jest od tego, żeby wiedzieć, ale żeby słuchać. Firma pana Krzyżaniaka od roku jest spółką, w której ja mam swoje udziały, a wszystkie udziały pana Marcelego przechodzą teraz na mnie, ponieważ taki zapis jest uczyniony w umowie na wypadek, gdyby coś się stało.

– I właśnie, no, to się stało – przytaknął kierownik Manicki, który nagle poczuł, że znów siedzi na swoim kierowniczym stołku. Bo gdyby było inaczej, to ta babka nie wyjaśniałaby mu wszystkich zawłości prawnych, których i tak nie rozumiał. Pojął za to jedno, że firma nie należy już do nieżyjącego właściciela, ale do żyjącej właścicielki. – Ale, no tak, jak Firma ma już swoją szefową, to mnie nic do tego zasadniczo. – Kierownik uśmiechnął się zadowolony, a przynajmniej chciał sprawić takie wrażenie. Nie miał innego wyjścia. – Wew związku z tym oto jest tu zeszyt wszystkich kontrahentów i zamówień z datami dostawy. – Podał jej szkolny zeszyt stukartkowy w kratkę do połowy zapisany równym pismem. Wzięła go do ręki, ledwie przejrzała i zaraz wrzuciła do torebki.

– No to idziemy teraz do gabinetu właściciela, bo trzeba zrobić inwentaryzację tego, co jest w zakładzie.

– A ja, no, to niby na co tam jestem potrzebny? – Zdziwiony Manicki spojrzał na swoją nową szefową.

– Bo pan pewnie wie, gdzie są jakie papiery, a ja tego nie wiem. Muszą się we wszystkim rozeznąć.

– No niby tak, ale wszystko to, no, wie pani Helenka, co pracuje w sekretariacie, i pani Dorota, co jest księgową. Trzeba by, no, je zawołać na jutro rano.

– A czemu na jutro? Niech przyjdą już dzisiaj. Mają telefony w domu?

– A bo ja wiem? Ale jakoś, no, się da je zawiadomić przez dziewczyny, co siedzą w socjalnym.

– Jakie dziewczyny?

– No te nasze pracownice, co powiedziały, że do chaty nie pójdą, no, ino będą dyżurować, żeby w razie czego, jakby jakie decyzje były w kwestii produkcji, to one, no, będą czekać i jakby co, wszystkich zawiadomią, że zakład, no, rusza...

– I bardzo dobrze. To w takim razie ja idę do biura prezesa, a pan niech przyprowadzi do mnie te panie. I niech im pan powie, że zakład miał przestój, ale ruszamy z robotą.

Zarzuciła torebkę na ramię i poszła na górę. Nie musiała się martwić o to, jak dostanie się do biura. Miała swoje klucze. Otworzyła drzwi do pustego sekretariatu i za chwilę znalazła się w obszernym gabinecie Krzyżaniaka. Dotąd była tu zaledwie kilka razy. Nie podobało jej się w środku. Pomieszczenie było urządzone tak jak wiele tego rodzaju gabinetów dyrektorskich w firmach całego kraju. Na prawo od drzwi stała meblościanka wykończona okleiną na wysoki połysk, a na półkach zamiast książek leżały próbki materiałów. Na wprost było szerokie biurko z tego samego kompletu mebli, a za nim na ścianie wisiała reprodukcja obrazu przedstawiającego smukłe zielone drzewa, w tle dwa

słońca na niebie i jeszcze do tego jakieś czarne ptaszyska. Na prawo od biurka było duże okno, z którego widok rozciągał się na dziedziniec i plac manewrowy, gdzie podjeżdżały dostawczaki odbierające i dowożące towar. Gdy była tu ostatnim razem, na placu był ruch jak w ulu, a teraz panowała tam kompletna cisza. Przez okno dojrzała grupę kilku kobiet, które w kierunku biura prowadził kierownik. Tłumaczył im coś, wymachując przy tym śmiesznie rękoma.

– A pani to kto jest? – usłyszała za sobą głos. Odwróciła się natychmiast i ze zdziwieniem dostrzegła w drzwiach człowieka w mundurze milicyjnym.

– Właścicielka firmy, a pan w jakiej sprawie?

Ja w sprawie pana Krzyżaniaka – stwierdził milicjant wchodząc do środka bez zaproszenia. – Jestem kapitan Marjański z komendy miejskiej...

Gaj Wielki

Godzina 13.15

– To za co będziemy płacić, panie kierowco?

– Za niewinność – wybelkotał podпиты właściciel syrenki. – A pan posterunkowy to chyba za tę, no, nadgorliwość.

– No, no, tylko bez głupich żartów – sierżant Maryniak zrobił srogą minę i jednocześnie, by dodać powagi swojemu stanowisku, pogroził zatrzymanemu do kontroli palcem. – Przede wszystkim będziecie płacić mandat za brak ubezpieczenia pojazdu, nadmierną prędkość i jeszcze mi się zdaje, że wyczuwam od was alkohol.

– W jednym się zgadzam w całkowitej rozciągłości, że się tej starej skarpety nie ubezpieczyło, bo szkoda bejmów na takie truchło – wyjaśnił całkiem logicznie kierowca. – Jednakowoż w kwestii szybkości bym polemizował, gdyż auto moje jeździ niezbyt szybko i z górki wyciągnie co najwyżej siedemdziesiątkę, a tutaj akuratnie mamy pod górkę, więc za damskiego chuja nie wyciągnie więcej jak pięć dych.

– Co wy mi tu pierdolicie, panie kierowco. Piliście?

– Piłem. Oczywiście, że piłem i nie będę tego przed władzą ukrywał. Do władzy ludowej zawsze frontem i otwarcie, a do tego jeszcze szczerze jak na spowiedzi świętej.

– A więc przyznajecie, że piliście. Co piliście?

– Wódeczkę?

– Ile?

– Melduję, że już całkowicie straciłem rachubę, bo piję od samiuśkiego rana, gdyż rano mnie się właśnie wnuczek urodził. Pierworodny wnuczek i gdyby obywatel milicjant nie wzgardził, to ja tutaj mam flaszeczkę, żebyście panowie za jego zdrowie wypili.

– Dwie flaszki i dwadzieścia tysięcy mandatu bez wypisywania – rzucił tonem wypranym z emocji sierżant.

– Co tam dwie, trzy mogę dać. Myśli pan posterunkowy, że na zdrowiu wnuka pierworodnego będę oszczędzał? A i dwadzieścia tysięcy mogę zapłacić. A co, stać mnie jeszcze.

Kierowca podszedł do tyłu auta i otworzył bagażnik. Maryniak na wszelki wypadek zajrzał do środka. Wewnątrz dostrzegł dwie skrzynki wyborowej. Ich właściciel wyjął trzy i podał milicjantowi.

– Masz pan jeszcze te bejmy, żeby nikt nie powiadał, że stary Jaśkowiak ma węża w kieszeni! – Wsunął milicjantowi, który miał zajęte ręce, kilka banknotów do kieszeni marynarki i zadowolony wrócił za kierownicę. Odpalił silnik i odjechał, zasnuwając drogę czarnymi spalinami.

Maryniak podszedł do radiowozu z butelkami w ręce.

– Wnuczek mu się urodził – wyjaśnił kapitanowi, który stał przy samochodzie i palił papierosa. Nie miał zamiaru wtrącać się w robotę swoich podwładnych. Wszystko musiało wyglądać jak najbardziej autentycznie. Nieoznakowany polonez ukryty w krzakach i milicjanci mundurowi zatrzymujący samochody. Taki kamuflaż wymyślił chorąży Stefański, a Czyżak zgodził się z nim natychmiast. Nie mogli przecież ot tak pojechać sobie na parking przed barem, w którym umówił się z bandytami kuzyn Stefańskiego. Potrzebny był element zaskoczenia. Dlatego zaczęli się niedaleko od tego miejsca. Maryniak miał zatrzymywać jak gdyby nigdy nic auta i wystawiać mandaty, Stefański miał obserwować przez lornetkę parking, a kapitan czekać do chwili, w której wszyscy trzej mieli przystąpić do akcji. Trzeba przyznać, że ta rola Czyżakowi najbardziej odpowiadała, bo lubił nic nie robić. Tym bardziej, że pogoda była ładna i słońce przygrzewało radośnie, oświetlając krzaki, w których stał schowany radiowóz, i pąki na nich, które tylko czekały dogodnego momentu, by wybuchnąć zielenią.

– A może obywatel kapitan napije się malucha? – Sierżant wskazał na flaszkę. Czyżak wzruszył ramionami. W zasadzie to dlaczego by nie wypić małego. W sumie i tak nie miał nic do roboty, bo nawet radia nie mógł sobie posłuchać, bo odbiornik Safari zepsuł się w zeszłym

miesiącu, a w Zurcie nie dawali jakoś rady go naprawić. Mógł co prawda jeszcze coś poczytać, bo na tylnym siedzeniu zawsze jeździły na wszelki wypadek służbowa gazety, ale jak na złość w tym dzisiejszym pośpiechu nie zabrał ze sobą okularów, a bez nich czytanie szło mu dość ciężko.

– A zasadniczo to po maluchu by można, tylko coś na zapitkę by się zdało, bo wiecie, ja to wypiję, ale jak popiję?

– Jest w bagażniku butelka grodziskiej – ucieszył się Maryniak, dokonawszy odkrycia. – Grodziskiej pomarańczowej – dodał zaraz, bo wiadomo było, że owocową można zapić lepiej niż zwykłą mineralką. – Ino że szkła żadnego nie ma do polania – zmartwił się, gdy nie natrafił na żaden użyteczny sprzęt. W swoim samochodzie zawsze miał szklanki, tak na wszelki wypadek, no ale to było nie jego auto służbowe, a samego szefa.

– W schowku z przodu są kalibry, znaczy takie metalowe kieliszki myśliwskie. – Kapitan wskazał na przód auta. Woził takie kielonki, bo to człowiek nigdy nie zna dnia ani godziny i nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba będzie się napić. Ot choćby jak teraz. Przecież wcale nie zamierzali pić, a tu, proszę, flaszki wpadły w ręce sierżanta zupełnie przypadkiem, to chociaż trzeba było spróbować, czy wódka dobra.

Sierżant rozpakował tubę zawierającą pięć metalowych podajników i dwa postawił na dachu auta. Otworzył butelkę i nalał wódki.

– Obywatel kapitan weźnie se te grodziską, bo ja niepopijający jestem – podał litrową flaszkę szefowi. Ten odkręcił zakrętkę, a gdy był już gotowy, wychylili wódkę z kieliszków. Czyżak nie zdążył jednak popić oranżadą, gdy od drogi przybiegł zdyszany chorąży Stefański.

– Jedziemy! – zawołał, wskazując do samochodu. – Już są!

Maryniak chwycił kieliszki i wrzucił je do auta obok sadowiącego się z tyłu komendanta. Nim ten zdążył zakręcić butelkę, samochód odpalił. Sierżant wrzucił kierunkowskaz i polonez ruszył w kierunku parkingu ozdobionego szyldem z wielkim napisem „Kurczaki z różną”.

Milicjanci minęli szyld i nieoznakowane służbowe auto zajęchało pod bar.

– Tamten szczupły w brązowej kurtce to jest mój kuzyn. – Stefański wskazał mężczyznę pochylającego się nad bagażnikiem samochodu zaparkowanego w rzędzie innych aut. Obok stał napakowany facet w skórzanej kurtce pilotce i jeszcze jeden w garniturze, który coś tłumaczył kuzynowi Stefańskiego. Walasik wymachiwał przy tym rękoma, jakby zaraz miał zamiar odlecieć. Coś niedobrego się tam działo. Naraz prowadzący poloneza Maryniak dostrzegł niebezpieczeństwo.

– Ten goryl ma w łapie spluwę! – krzyknął i nim ktokolwiek zdążył zareagować, wcisnął pedał gazu do dechy. Koła zabuksowały i samochód z piskiem opon wyrwał do przodu. Stojący na parkingu mężczyźni spojrzeli w kierunku nadjeżdżającego auta. Polonez prowadzony pewną ręką zatrzymał się niemal w miejscu. Wyskakując z auta, chorąży Stefański trzymał już w dłoni swoją tetetkę. Dostrzegł ją ten w skórzanej kurtce i niewiele się zastanawiając, wycelował w milicjanta. Nie miał jednak małpiego refleksu, bo skupił się tylko na jednej osobie stanowiącej zagrożenie. Nie wziął pod uwagę tego, że za nim jest drugi uzbrojony milicjant. Kapitan Czyżak posłał kulę w kierunku goryla, ale ona nawet nie drasnęła bandziora. Za to ten, zreflektowawszy się, że mierzą do niego z dwóch pistoletów, strzelił dwukrotnie. Obaj uzbrojeni milicjanci padli na ziemię, tyle że doświadczony chorąży Stefański zrobił to, gdy tylko zorientował się, że stoi na linii strzału, za to jego dowódca przewrócił się zdmuchnięty pociskiem, który przestrzelił mu szyję. Karkogłowy facet zastygł zdumiony efektem swoich wystrzałów. Widać musiało mu się to bardzo spodobać, bo zaczął rozglądać się za kolejnym celem. Naraz zwrócił uwagę na swojego kumpla i stojącego obok Walasika. W zasadzie to nic do niego nie miał, ale ta jego zdzira powinna jakoś zapłacić za to, że zachowała się tak niemilo. Nie było co myśleć, trzeba było działać. Wymierzył pistolet w kierunku restauratora.

– Beret, kurwa, pojebało cię! – zawołał kumpel karka w garniturze. Jego też nie lubił, bo cały czas facet mu wydawał polecenia, jakby był od niego lepszy. Takie gnoje się wywyższają, a wcale nie mają lepiej w głowie poukładane. A jak już przychodzi co do czego, to właśnie tak się zachowują.

– Beret, ty pierdolony debilu, odłóż ten pistolet!

Kolejny strzał rozerwał powietrze. Facet w garniturze wpadł do bagażnika trafiony przez leżącego koło samochodu chorążego Stefańskiego. Teraz na parkingu stało już tylko dwóch, Beret z pistoletem w dłoni i Walasik. Beret uśmiechnął się zadowolony i wymierzył w ajenta. W końcu co za różnica, ilu facetów dziś się odstrzeli, pomyślał zadowolony ze swojego dziennego urobku. Nacisnął na spust i zaraz potem padł drugi strzał...

Beret kompletnie zdezorientowany spojrzął na swoją przestrzeloną kurtkę. Złapał się za prawą pierś i nagle poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Stracił równowagę i opadł na kolana. Nadal jednak trzymał w dłoni pistolet. Rozejrzał się wokół siebie, szukając zagrożenia, ale niczego nie mógł dostrzec, i wtedy padł kolejny strzał, który wytrącił mu broń z ręki. Karkogłowy bandyta zawył jak zarzynane zwierzę... I w tej chwili zobaczył ją. Ta kurwa z baru, która mu tak nawykała, stała przed nim ze spluwą w dłoni i mierzyła go nienawistnym wzrokiem.

– Co, Beret, ty pedale, chciałeś ich wszystkich pozabijać? Chciałeś zabić mojego narzeczonego!

– Pierdol się, kurwo!

– Niech pani odłoży ten pistolet! – zawołał jeden z milicjantów. Spojrzała za siebie. To był ten sierżant, który, gdy zaczęła się strzelanina, wyskoczył z auta, a broń wypadła mu z ręki. Dziewczyna, słysząc strzały, wybiegła z knajpy. Wtedy dostrzegła napakowanego bandziora mierzącego do jej Franka. Łysy stał odwrócony do niej tyłem, a za nim leżał sierżant z dłońmi przyciśniętymi do uszu. Zorientowała się, że facet był w szoku i nie będzie z niego żadnego pożytku. Na szczęście jego pistolet leżał na podjeździe. Znała się na broni. Jej ojciec był milicjantem w Szamotułach, więc nieraz zabierał ją na strzelnicę. Wiedziała, jak obsłużyć tetetkę. Chwyciła ją i niemal nie mierząc, posłała pierwszą kulę. Beret padł na kolana, ale trzymał jeszcze swoją broń. Nie zastanawiając się długo, strzeliła ponownie. Pistolet wypadł mu z przestrzelonej dłoni.

– Proszę odłożyć pistolet! – zawołał drugi milicjant. Spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Znała go z widzenia. To był ten chorąży Stefański, kolega jej ojca. Milicjant pokiwał głową na znak, że wszystko jest w porządku i ma się opanować, bo on już się resztą zajmie. No ale czym się zajmie, jeśli ten gnój zabił Franka. Może jej narzeczonego już wyzionął ducha, a ten skurwysyn jeszcze jest wśród żywych.

Beret spojrzał na nią i uśmiechnął się drwiąco, jakby chciał powiedzieć: „No co, kurwo jedna, boisz się strzelać do prawdziwego mężczyzny?”.

– No co... – udało mu się wyjęczeć, ale nie musiał nic więcej mówić, bo ona i tak wiedziała, o co mu chodzi.

Pociągnęła za spust raz za razem. Aż się zdziwiła, że tak łatwo poszło. Dwie kule wbiły się w głowę Bereta, rozsadzając ją jak dojrzały arbuz. Bandzior padł na plecy, a Zosia upuściła zupełnie niepotrzebny już pistolet. Przeskoczyła nad ciałem i podbiegła do samochodu, przy którym leżał Franek. Miał otwarte oczy. Trzymał się dłonią za ramię i jęczał cicho.

– O, Zosia – zdziwił się na jej widok. – Masz plaster i nożyczki, bo mi się coś stało w rękę. Chyba się skaleczyłem.

Naraz poczuła, jak po policzkach ciekną jej łzy. Franek może i zwariował, ale najważniejsze, że żył, i o ile znała się na ranach, ta na ramieniu nie była groźna. Pomyślała, nie wiedzieć czemu, że przecież do wesela się zagoi.

Rozdział VII

Poznań

Godzina 14.30

– A tu jeden gość zostawił dla Teosia raport – przypomniał sobie Mariusz Blaszkowski, spoglądając na biurko Olkiewicza, na którym leżała teczka z „raporcikiem”. Tak mówił o swoim doniesieniu ten stuknięty milicjant emeryt. Wystarczyło, że przypomniał sobie tego dziwaka, i od razu zachciało mu się śmiać. Szczególnie te jego rady dotyczące kontaktu wzrokowego i przestępczych oczu. To na pewno wariat, ale Mariusz nie byłby sobą, gdyby nie zajrzał do tekstu, który przygotował były milicjant. Przeczytał uważnie i nawet w pierwszym momencie zaczął robić notatki, tak na wszelki wypadek i raczej dla wprawy ale potem zaczęły się bzdury, więc doszedł do wniosku, że nie ma co przejmować się tym wszystkim. Niech sobie Teofil robi z tym „raporcikiem”, co mu się podoba. W końcu to on wraz z Brodziakiem byli zaangażowani w sprawę morderstwa na 23 Lutego. Może w tym dokumencie dojrzą coś ciekawego. On nie miał czasu i ochoty, tym bardziej że umówił się z Ewą.

– Jaki raport? – Brodziak zapytał, ale raczej bez przekonania. Przed chwilą wpadł do pokoju i zaczął przeglądać sterty papierów, które zalegały na jego biurku. Nawet nie zdjął kurtki. Widać było, że się śpieszy i raczej nie zainteresuje go ten dokument. Olkiewicza też nie zainteresował, mimo że leżał na jego biurku. Dopiero gdy Teoś wziął nowego kolegę, podporucznika Markowskiego, pod rękę i wyprowadził z pokoju, by pokazać mu komendę, wtedy Mariusz przypomniał sobie o tej teczce. Męczył go ten dokument, który nie powinien leżeć taki bezpański, dlatego kiedy tylko Brodziak pojawił się w biurze, od razu zrzucił na niego odpowiedzialność za podrzucony raport.

– Teczka tam u Teofila na biurku. Przyniósł ją jakiś emerytowany major, który mieszka na 23 Lutego w tej kamienicy, w której zabito tego faceta... No tam, gdzie byliście w nocy. – Mariusz nie był zbyt precyzyjny w opisie, bo nie znał danych denata.

– Aha, tam – mruknął Mirek, wpatrując się w zawartość akt leżących na jego biurku. – I co z tym raportem?

– Facet to taki dziwak. Mam wrażenie, że ma coś nierówno pod sufitem. Twierdzi, że jest byłym milicjantem i dawnym dowódcą Olkiewicza z komisariatu Stare Miasto.

– Stare dzieje. Teoś się ucieszy.

Może i tak, ale on napisał raport o tym, co wydarzyło się w nocy, kiedy doszło do morderstwa. Szczegółowy raport.

– I co? – Brodziak cały czas dzielił swoją uwagę między akta a Blaszkowskiego, z przewagą dla akt.

– Szczegółowy do bólu z godzinowym zapisem miauczenia kotów.

– To wariat w takim razie.

– No niby tak, ale później zaczynają się te bzdury.

– Jakie bzdury?

– No bo ten facet, co się nazywa Wróbel, major Wróbel, zaczyna pisać jakieś opowieści o SB.

Mirek odłożył teczkę i spojrzał na Blaszkowskiego.

– Co powiedziałaś?

– On pisze o tym, że w nocy u tego faceta, zaraz jak on się nazywa, bo zapomniałem...?

– Krzyżaniak – podrzucił mu nazwisko Brodziak.

– No właśnie u Krzyżaniaka mieli według tego Wróbla być ludzie z SB.

– Kurwa!

– No wiem, to idiotyzm jakiś. On ich wymienia z imienia i nazwiska.

– Kurwa, młody! Dawaj ten raport!

Mariusz wstał szybko i wziął teczkę z biurka Olkiewicza. Podał ją zaraz Brodziakowi, a ten natychmiast wydobyl z niej kilka kartek papieru maszynowego. Rozłożył maszynopis na biurku i zaczął czytać.

Raport z obserwacji przeprowadzonej w nocy z 4 na 5 marca 1989 roku przez majora Milicji Obywatelskiej w stanie spoczynku i czynnego członka Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej Wróbla Alojzego na posesji położonej przy ulicy 23 Lutego w Poznaniu. Raport sporządzono w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, z których jeden przekazano do właściwych organów, a drugi pozostawiono we własnym archiwum domowym. Autor raportu pragnie od razu zwrócić uwagę oficerowi śledczemu Olkiewiczowi Teofilowi na stronę drugą, w której szczegółowa zapisano wszystkie kwestie związane z nocnymi odwiedzinami w mieszkaniu numer 6 na drugim piętrze rzeczonyj kamienicy, należącym do

Krzyżaniaka Marcelego, właściciela szwalni odzieżowej i jednocześnie osoby związanej ze środowiskiem handlarzy walutami dewizowymi. Szczegółowa charakterystyka obiektu Krzyżaniaka znajduje się w zasobach autora raportu i w razie potrzeb jest możliwa do przekazania właściwym organom.

Raport z obserwacji nocnej. Początek godzina 00.00

01 – zakończenie programu w telewizji hymnem narodowym.

00.02 – Gabriela Wilhelm, lat 64 (mężatka), zamieszkała w oficynie pod numerem 4/12, opuszcza mieszkanie Teodora Grabarza, lat 69 (wdowiec), zamieszkałego w tej samej oficynie pod numerem 7/12, i schodzi do swojego mieszkania, gdzie śpi jej pijany mąż Marian Wilhelm, lat 66.

00.04 – Jadwiga Pastewna, lat 55 (mężatka), wraca wraz z mężem Jakubem Pastewnym, lat 57, do domu. Mieszkanie pod numerem 13. Oboje znajdują się pod wpływem alkoholu. Jakub Pastewny śpiewa antysocjalistyczną piosenkę: *Lance do boju, szable w dłoń, bolszewika goń, goń, goń.*

06.– Kowalik Józef, lat 48, będąc pod wpływem alkoholu, dręczy kota w śmietniku na podwórzu, co słychać w całej kamienicy, który miauczy głośno. Obserwator zmuszony jest do interwencji i Kowalik Józef udaje się do swojego pokoju na poddaszu (bez numeru), a kot uratowany ucieka.

Brodziak przerzucił następną kartkę, bo rzeczywiście nic ciekawego w raporcie się nie działo. Zatrzymał się dopiero na trzeciej stronie. Dziwne rzeczy zaczęły się wyprawiać po pierwszej w nocy.

01.05 – Na ulicy 23 Lutego zatrzymuje się samochód osobowy marki Polonez koloru białego. Samochód ma wyłączone światła i włączony silnik. Z auta wysiada dwóch ludzi w płaszczach. Obaj udają się do mieszkania na drugim piętrze należącego do Krzyżaniaka Marcelego.

Odwiedzający:

1. Piotr Michałak, kapitan SB, przydział służbowy KWMO Poznań.

2. Wiesław Piekarek, kapitan SB, przydział służbowy KM MO Poznań.

01.15 – Z mieszkania Krzyżaniaka Marcelego dochodzą podniesione głosy zakończone dźwiękiem przypominającym strzał. Obaj odwiedzający w pośpiechu opuszczają lokal i odjeżdżają samochodem marki Polonez, który to czekał na ulicy z włączonym silnikiem.

01.18 – Sporządzający raport telefonuje na Milicję Obywatelską celem zawiadomienia Milicji o możliwości popełnienia przestępstwa w mieszkaniu należącym do Krzyżaniaka Marcelego.

Mirek nie czytał dalej. Podniósł wzrok znad raportu i popatrzył na Blaszkowskiego.

– Wiesz, co ten raport oznacza?

– To nie są bzdury?

– Obawiam się, że nie.

– O ja cię kręcę!

– Jest gorzej, niż myślałem. To jest... ja pierdołę, nawet nie wiem, jak to nazwać. Gdzie jest ten cholerny Teofil?

– Gdzieś łązi po komendzie. Bo wiesz, mamy nowego kolegę, tego Markowskiego, no i Teoś się uparł, że mu wszystko pokaże.

– Leć go szukać i dawaj tu żywego czy umarłego. Wszystko jedno, byle zaraz. Ja dzwonię po Grzecha Kowala. Niech podstawia swoją furę.

Mariuszowi nie trzeba było dwa razy mówić. Zaraz wybiegł na korytarz i pognął wiedziony instynktem do bufetu. Nie pomylił się. Teofil siedział przy stoliku z Markowskim i obaj raczyli się herbatą w szklankach. Od razu zauważył, że jej kolor jest mało nasycony.

– I wtedy ja jemu mówię: „rzuć broń!”. – Teoś opowiadał nowemu koledze jedną ze swoich mrozących krew w żyłach historii. – I wyciągam szybko gnata, żeby tego bandytę jednego zatrzymać, tak jak Pan Bóg przykazał, i wymierzam do niego z mojej tetetki, bo ja mam swoją tetetkę służbową już chyba ze dwadzieścia lat. No to mierzę do niego i jak się zamachłem, patrzę się, a tu klap, jakby się ptak zesrał. I wiesz, co to było?

– Nie. – Podporucznik pokręcił głową.

– A to mi magazynek wyleciał w piach i pacnął na ten piach, a ten bandzior zaraz to zobaczył i do mnie, no to ja jego wtedy raz prawym prostym prosto w nos, ale on nie był ułomek, to mnie też dosięgł i...

– Panowie, Mirek Brodziak kazał wam natychmiast...

– A co to Mirek, jak ma co do nas, to nie może się sam pofatygować, he, he! Sam go wszystkiego wyuczyłem, a teraz, proszę, „kapitan Brodziak kazał natychmiast”. Jaki ważny się zrobił! – Zadowolony Teoś klepnął Markowskiego w kolano. Ten jednak wstał od stołu.

– Tak mi się zdaje, że jak kapitan każe, to porucznik jest od tego, żeby się meldować – stwierdził z uśmiechem. Teoś nie miał wyjścia. Musiał jednak pokazać, jak bardzo niechętnie zgadza się ze swoim nowym kolegą.

– A o co jemu się tak mniej więcej rozchodzi? – Z rezygnacją popatrzył na Blaszkowskiego.

– O raport Wróbla.

Olkiewicz przez chwilę szukał w pamięci raportu i Wróbla. W końcu przypomniał sobie dawnego dowódcę.

– Tego Wróbla, co to...

– Tego majora, co przyniósł raport z nocy, gdy zamordowano niejakiego Krzyżaniaka.

– Łe, to ja wiem. Tam są jakieś pierdoły o tym, że ktoś męczy koty. Stary zwariował całkowicie.

Blaszkowski spojrzał na Teofila z niedowierzaniem. Nie zauważył, by ten dotknął choćby przez sekundę dokumentów, które położył mu na biurku. Czyżby Olkiewicz potrafił wyrokami przenikać tekturowy teczkę? Nie wiedział, że Teoś miał już możliwość zapoznać się z „raporcikiem” Wróbla. Tej nocy, gdy doszło do morderstwa, poszedł do swojego dawnego dowódcy, żeby trochę przeczekać zamieszanie związane z przyjazdem ekipy technicznej. No i Wróbel wykorzystał okazję, żeby mu przeczytać to, co napisał. Jednak Teoś dotrwał tylko do informacji o kotach i sąsiedzie. Zaraz potem zasnął zmęczony po trudach nocy.

Teraz popatrzył na Blaszkowskiego i stwierdził, że jednak trzeba iść do Brodziaka. Zresztą jako starszy stopniem powinien dawać przykład młodszym oficerom, takim jak ten Markowski, który aż się palił do roboty. Teoś wstał więc powoli, ale zanim opuścił milicyjny bufet, sięgnął jeszcze po szklankę, by dopić herbatę do samego dna. Ta mogłaby się zmarnować, ale nie setka wódki, która rozrzedziła ją na tyle, że wyglądała jakby była zaparzona ze słomy, a nie z pierwszorzędnej herbaty Ulung.

Godzina 15.00

– Ciekawe, kto teraz będzie u was komendantem? – zainteresował się chorąży Włodarek, technik z komendy w Szamotułach. On i jego ludzie przed chwilą zdążyli zabezpieczyć miejsce zdarzenia i pozbierać ślady. Teraz stał na parkingu, palił papierosa i nie bardzo wiedział, co dalej. Bo tu nie miał już nic do roboty.

– A ty nie masz większych zmartwień? – mruknął Stefański oparty o poloneza, którym przyjechał na tę feralną akcję.

– A czym mam się martwić? Tym, że ten debil Czyżak dał się odstrzelić? Przecież wiesz tak dobrze jak ja, że to był złamany kutas. Jednego chuja mniej.

– Co racja, to racja. Miał swoje za uszami, ale trochę żał człowieka.

– I do tego pijak. Jeszcze teraz jedzie od niego wodą jak z gorzelnii.

– Prawda, że lubiał wypić. Ale kto nie lubi?

Stefański uśmiechnął się pod nosem. Jednak miał dobry pomysł z tą wódką. Gdy tylko zorientował się, że kapitan został na miejscu zabity, trzeba było uwiarygodnić tę jego idiotyczną śmierć. Dlatego wziął z auta rozpoczętą butelkę, którą Czyżak otworzył razem z Maryniakiem. i nalał trupowi do gęby jeszcze trochę wódki. Oblał mu też bluzę, żeby był odpowiedni efekt. Teraz mógł mieć pewność, że nikt nie będzie się pytał, dlaczego doszło do strzelaniny, bo wszyscy milicjanci będą wiedzieć jedno, dowodzący akcją był pijany i dlatego trzeba będzie zrobić wszystko, żeby zatuszować sprawę alkoholu, a nie zajmować się przyczynami tego bardzo nieszczęśliwego zdarzenia. Dla śledczych najważniejsze będzie, żeby nieżywy kolega wyszedł z tego zamieszania bez uszczerbku na honorze, bo to oznaczało, że jego żona będzie dostawać po nim emeryturę. Wiadomo przecież, że koledze, nawet nieżywemu, trzeba pomóc.

Gdy tylko Stefański odpowiednio „wyperfumował” trupa, zabrał się za bagażnik bandytów. Wziął torbę z dolarami i przerzucił ją do auta swojego kuzyna, a potem dopiero sprawdził, w jakim stanie są postrzeleni. Ten łysy leżał na ziemi i nie dawał znaku życia. Stefański musiał przyznać, że ta mała Zosia Pietruszka umiała się zachować i gdyby nie to, że była dziewczyną, można nawet by powiedzieć, że ma jaja. W końcu to córka milicjanta, więc zna się na robocie, pomyślał z dumą. Rozwaliła tego śmiecia w pokazowy sposób. Ale teraz trzeba wszystko tak przedstawić, żeby w ogóle jej w tym całym zamieszaniu nie było.

Spojrzał na drugiego bandziora. Facet leżał na ziemi i jęczał cicho. Milicjant stanął nad nim i zlustrował go fachowym spojrzeniem. Jest szansa, że przeżyje do czasu, aż przyjedzie

pogotowie. Zresztą kij mu w ryj. Przeżyje czy nie, chorąży miał to głęboko w nosie. Nie miał zamiaru pomagać jakiemuś śmieciowi, który zajmował się wymuszeniami. Niech sobie leży i czeka na pogotowie. Jak go odratują, to będzie miał szczęście. Chociaż czy może mówić o szczęściu facet, który zostanie oskarżony o napaść z bronią w rękę na milicjanta. Jak dobrze się prokurator postara, to może gość dostać nawet czapę. Nie było więc potrzeby się nim zajmować. Niech leży i jęczy, i tak nie ucieknie. Chorąży miał pilniejszą sprawę do załatwienia.

Zostawił rannego i poszedł w kierunku budy z kurczakami. Na środku siedziała Zosia z Walasikiem, a przy stoliku przy oknie blady jak ściana sierżant Maryniak. Stefański podszedł do niego i klepnął go w ramię.

– Chodźcie tam do nich. – Wskazał kuzyna z narzeczoną.

Oprócz nich w knajpie nie było nikogo, bo chorąży kazał zamknąć budę i wszystkich gości wyrzucił. Agent musiał też zamknąć parking do czasu przyjazdu techników z Szamotuł. Nie miał żadnego łańcucha ograniczającego wjazd, więc Stefański wysłał go na skraj drogi, żeby machał autom, które chciały się zatrzymać, i przeganiał ich kierowców.

– Musimy wszystko ustalić, zanim przyjedzie ekipa – wyjaśnił, siadając przy stoliku.

– A co tu wyjaśniać? – Walasik cały czas był w szoku. Zresztą podobnie jak sierżant Maryniak, który zachował się jak ostatnia mameja i nie dość że nie pomógł chorążemu rozprawić się z bandziorami, to jeszcze wypuścił z rąk pistolet. Na szczęście wykorzystwała to Zosia. Teraz też tylko ona wyglądała na opanowaną, tak jakby ten zabity facet był jednym z wielu odstrzelonych przez nią bandytów. Spokojnie paliła papierosa, spoglądając to na podjazd, to znów na swojego Franka, który nie okazał się dziś najdzielniejszym z narzeczonych.

– Powiemy wszystko, jak było. I już. – Walasik najwyraźniej nie miał pojęcia, o czym mówi, bo kuzyn pokręcił tylko głową z politowaniem.

– Powiedzieć możemy tylko tyle, ile się da, żeby nie powiedzieć za dużo, bo za dużo nie ma co gadać. Chyba że chcesz, żeby twoja narzeczona włączyła się po sądach przez najbliższe pięć lat i wyjaśniała jakimś durnym ławnikom, dlaczego odstrzeliła łeb temu bandziorowi. No więc słuchajcie uważnie, bo drugi raz powtarzać nie będę, bo czasu nie ma. Wszystko wyglądało właśnie tak, jak wam teraz powiem...

– No to mówcie po kolei, jak to się wszystko odbyło? – polecił młody podporucznik, który przyjechał z ekipą techniczną z Szamotuł. Na barowym stoliku rozłożył sobie zeszyt i

położył na nim długopis, gotów do notowania każdego słowa. Widać było, że jest bardzo przejęty swoją rolą, bo po raz pierwszy w życiu uczestniczył w takim zdarzeniu, w którym doszło do strzelaniny i jeszcze efektem tego były dwa trupy, w tym jeden milicjant. Mężczyzna, który siedział naprzeciw niego, równie jak on przejęty całą sprawą, zaczął opowiadać, początkowo dość nieskładnie:

– No to oni przyjechali tutaj, żeby ze mną się dogadać w sprawie założenia w moim hotelu kantoru wymiany walut.

– Jakiego kantoru? Przecież u nas nie ma żadnych kantorów, bo nie wolno handlować walutą. Znaczący, że handlowanie jest przestępstwem.

– Na razie jest, ale już niedługo nie będzie, bo ma być zarządzenie czy tam ustawa, że można handlować dolarami i markami. No i oni o tym wiedzieli i mi powiedzieli, że tak będzie, to dlatego chcieli w mojej recepcji otworzyć kantor i w związku z tym zagrozili mi, że jak się nie zgodzę, to mnie zabiją. I jak powiedzieli, gdzie mam przyjechać, to zaraz zadzwoniłem na komendę milicji, że oni jadą tutaj do tego baru w Gaju Wielkim, bo tak się umówiłem z moim kuzynem milicjantem, chorążym Stefańskim.

Podporucznik z rozpedu zapisał stopień i nazwisko, ale zaraz się zreflektował, że ten fragment zapisu jest zupełnie niepotrzebny. Pracował w milicji dopiero od pół roku, ale już się zdążył nauczyć, że niepotrzebnie nie powinno się wciągać w sprawy kryminalne kolegów milicjantów. Przecież wystarczyło tylko w tym wypadku zapisać, że zadzwonił na komendę i wezwał milicję na pomoc, bo zagrożone było jego życie.

– Tę kwestię z pokrewieństwem z chorążym pominiemy. Po co ktoś ma wiedzieć... Rozumiecie?

– Rozumiem. – Walasik pokiwał skwapliwie głową i ciągnął dalej.

– No i jak oni tu przyjechali, to podeszłem do auta i wtedy podjechał milicyjny polonez. I oni, jak zobaczyli, że to milicja, to ten łysy od razu wyciągnął pistolet i trach, trach, dawaj strzelać, to ja zaraz padłem na ziemię, ale jeszcze zobaczyłem, że ten kapitan też pada... – Chwycił butelkę z oranżadą i pociągnął z niej spory łyk, bo od gadania zaschło mu w gardle.

– I co było dalej? – ponaglił go podporucznik, który niezmiernie ciekaw był dalszego ciągu pasjonującej akcji.

– Dalej to już było jak na westernie, panie poruczniku. Wtedy ten sierżant, co to był kierowcą poloneza, wyskoczył z auta i przekuła! się tak o... – Walasik pokręcił kilka razy dłonią w powietrzu, żeby opowiadanie było bardziej wiarygodne.

– Fikołka zrobił, znaczący się? – próbował uściślić podporucznik, który na chwilę zapomniał o notowaniu.

– Nie, gdzie tam. Turlał się po ziemi jak walec i prał do tego bandyty.

– Ile razy strzelił?

– Cholera go wie, ale rąbał jak z maszynówki i bandziory popadały jak muchy. Mówię panu, że to jest prawdziwy bohater. Jemu trzeba dać wirtutu czy jakoś tam.

– A wy co żeście robili wtedy?

Jak co robiłem? – zdziwił się Walasik. – Leżałem na asfalcie i się modliłem, żeby mnie jakaś kula nie drasnęła, bo latały dookoła jak na *Czterech pancernych*.

– A wasza narzeczona?

– Ona do nikogo nie strzelała. – Restaurator natychmiast zareagował tak, jak mu kazał kuzyn. „Zosi nie wciągamy w sprawę”, powiedział i dlatego Walasik pokręcił teraz zdecydowanie głową.

– A czy ja mówię, że strzelała? Przecież wiadomo, że kobiety to raczej nie strzelają, a nawet jakby strzelały, to raczej by w nic nie trafiły – stwierdził z pełnym przekonaniem znawca kobiet i pistoletów. – Ja się tylko pytam, co narzeczona wtedy robiła, jak była ta strzelanina.

– Jak co? No siedziała w barze i jadła zupkę kuksu. Znaczą się chiński rosółek.

– Ja wolę pomidorową kuksu – stwierdził milicjant.

Dziesięć minut później naprzeciw podporucznika usiadł chorąży Stefański. Spojrzał przez okno na parking, na którym ekipa pogotowia ładowała do karetki rannego bandytę. Facet najwyraźniej jeszcze żył.

– Tego to ja kropnąłem – stwierdził, wskazując głową karetkę. – Ciekawe, czy przeżyje?

– Dobrze by było, bo mógłby złożyć zeznania. – Oficer najwyraźniej był formalistą i chciał mieć porządek w aktach. Tyle że nie wiedział jeszcze, bo doświadczenia miał mało, że prokuratora nic nie będą obchodziły zeznania jakiegoś bandyty. Najważniejsze jest to, co powiedzą milicjanci. A milicjanci bardzo chcieli pomóc śledczemu, żeby nie było żadnych wątpliwości.

– To dlaczego według was doszło do strzelaniny? – zapytał podporucznik.

– Dlatego, że bandyci wyciągnęli broń na widok funkcjonariuszy. A wiadomo, że jak broń się pojawi podczas takiej akcji, to musi wystrzelić. No i kapitan Czyżak chciał zapobiec tragedii, i dlatego wycelował w tego łysego bandytę, ale w nerwach nie trafił i niestety dosięgła go bandycka kula. Umarł jak bohater, jak żołnierz na froncie. – Chorąży ukradkiem otarł łzę. Nie uszło to jednak uwadze bystrego podporucznika. Postanowił więc, że trzeba rozmowę pozbawić emocji i skupić się na szczegółach.

– Ile razy żeście wystrzelili i do kogo?

– Chyba ze trzy razy... Nie liczyłem. Strzelałem do tego faceta w garniturze, co jego teraz zabiera pogotowie. No i z tego, co ja widzę, to przynajmniej raz go trafiłem.

– A do tego drugiego też strzelaliście?

Stefański pokręcił głową.

– On stał z drugiej strony auta naszego, więc sierżant Maryniak miał go jak na widelcu. To dobry funkcjonariusz, to wiedziałem, że sobie poradzi. Dobrze mieć kogoś takiego z boku w czasie akcji, o kim się wie, że można na niego liczyć – stwierdził i zaraz przypomniał sobie, jak ten pierdolony ówkok Maryniak leżał jeszcze po strzelaniu z pyskiem przy asfalcie i dłońmi przyciśniętymi do uszu. Dopiero Zosia musiała go kopnąć w bok, żeby wrócił do świata żywych ludzi.

– Tak, spisał się na medal – zgodził się z chorążym podporucznik. – Zresztą obaj się spisaliście. Myślę, że możecie liczyć na nagrody i awanse. Nie co dzień zdarza się, żeby funkcjonariusze zachowali się tak wzorowo. Szkoda tylko, że kapitan nie przeżył.

– To prawda. Dobry był z niego dowódca – skłamał w żywe oczy chorąży Stefański, który dawno nie był tak zadowolony z efektów swoich działań. Plan powiódł się we wszystkich szczegółach, bo dowódca, który połakomił się na nieistniejące pięćdziesiąt tysięcy zielonych, już był pakowany do worka, a oni z Maryniakiem zarobili jeszcze pięć kawałków, czyli tyle, ile rzeczywiście bandyci chcieli zapłacić. No i najważniejsze, że pozbyli się skutecznie tych gości, którzy zagrażali biznesowi kuzyna.

Poznań

Godzina 15.15

Kapitan Marjański zamówił kolejną pięćdziesiątkę, chociaż nie pił alkoholu. Oczywiście poza ważnymi okazjami, takimi jak święta państwowe i resortowe. Wtedy jak najbardziej pozwalał sobie na kieliszek czy dwa. Jednak należał do tych ludzi, niemal niespotykanych w Polsce Ludowej, o których można było śmiało powiedzieć, że są abstynentami. Jego brak zamiłowania do alkoholu brał się stąd, że wszystkie te trunki najzwyczajniej w świecie mu nie smakowały. Nie rozumiał więc radości, z jaką prawdziwi miłośnicy oddawali się z pasją zalewaniu robaka. On niczego nie musiał zalewać. No chyba że kawą albo herbatą. Te używki całkowicie mu wystarczały. Dlatego nie bardzo rozumiał, jak to się w ogóle mogło stać, że

wtedy u Grubińskiego stracił nad sobą kontrolę i tak się upił, że właściwie nic nie pamiętał. Potrafił sobie przypomnieć tylko to przebudzenie w jakimś mieszkaniu, jak się później okazało w kamienicy na Garbarach. Gdy Grubiński już sobie poszedł, początkowo chciał natychmiast stamtąd uciekać, ale Błaszczyk, ten jego kierowca, wszedł do łóżka i przytulił się do niego. Marjański nie potrafił go odepchnąć. Czuł coś w rodzaju wstydu albo poczucia winy, że tak brzydko potraktował chłopaka, nokautując go ciosem zadany głową.

Z łóżka wyszli dopiero rano. Błaszczyk zawiózł go na komendę. Przez całą drogę prawie nie rozmawiali, jakby obaj dopiero teraz zdali sobie sprawę z tego, co się wydarzyło.

– Posłuchaj. – Spojrzał na podoficera, gdy samochód stanął na placu Wolności przed drzwiami komendy. – Jeśli ktoś się o tym dowie, to wypieprzą nas z roboty. Zrozumiałeś?

Błaszczyk pokiwał głową.

– W milicji nie ma miejsca dla takich, co to... – Przez chwilę szukał właściwego słowa, bo jeszcze nie potrafił tego wszystkiego, co się stało, w jakiś właściwy sposób zdefiniować. – Nie ma miejsca dla facetów, co się zadają z facetami. I jakby się ktoś dowiedział, to nas z miejsca wypieprzą na zbitą mordę. Jasne?

No, jasne – potwierdził Błaszczyk, uśmiechając się radośnie. – Nic nikomu nie powiem – obiecał. – A kiedy się spotkamy?

– Co?

– No wiesz, znaczy, wie pan...

– Nie wiem. – Wyskoczył z samochodu i trzasnął drzwiami. Co też, do cholery, ten Błaszczyk sobie wyobraża? Może myśli, że teraz będą się spotykać i sypiać ze sobą jak jakieś cholerne pedały? Przecież on nie jest żadnym pederastą. Może i ten Błaszczyk jest, ale on – nigdy w życiu. Zawsze przecież podobały mu się kobiety.

Wszedł do biura firmy Lux-dzins na Podolanach i stanął jak zamurowany. Patrzyła na niego najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział w życiu. Jasne włosy do ramion, wielkie zielone oczy i ani grama kredek, pudrów i szminek na twarzy. Całkowita świeżość cery i naturalny, choć nieco przygaszony uśmiech. Musiała przeżywać śmierć swojego współnika, natychmiast się domyślił.

Usłyszał za sobą jakiś ruch i natychmiast się odwrócił, bo był czujnym funkcjonariuszem i szczególnie po ostatnich wypadkach wolał nie dać się zaskoczyć od tyłu.

– O tu jest, no, nowa szefowa! – zawołał od drzwi jakiś niepozorny, może pięćdziesięcioletni, łysiejący facet z wąsem pod nosem, ubrany w granatowy kitel. – My do

szeffowej – powiedział, patrząc na milicjanta. – No chyba że, no, szefowa jest właśnie aresztowana, to my możemy przyjść później jakby co. No.

– Aresztowana? – zdziwił się kapitan. – A co wy sobie, obywatelu, myślicie, że milicja to przychodzi tylko po to, żeby aresztować porządných ludzi? Milicja przychodzi też na rozmowy, żeby się czegoś dowiedzieć.

– A to pardonsik, no. Bo my właśnie po polecenia do szefowej... Bo zakład stoi... no.

– Panie Manicki, tak jak mówiłam, nie ma żadnych przestojów – odezwała się szefowa. – Uruchamiamy produkcję natychmiast. Proszę, niech panie zwołają pracowniczki. Zakład działa i będzie działał.

– Chwała Bogu – zawołała kobieta, która stała tuż przy facecie w kitlu. – Już my zaraz wszystkie babki zwołamy i jeszcze dziś będziemy nadrabiać przestój! No dalej, dziewczynki, idziemy, idziemy! – Pogoniła swoje koleżanki i wszystkie kobiety zniknęły z sekretariatu.

– A pan, panie Manicki, niech sprawdzi terminy dostaw i zawiadomi wszystkich kontrahentów, że spóźnienie najwyżej jeden dzień będzie.

– Tak jest, pani szefowo. – Manicki uklonił się i poszedł do swojego biura.

– Przepraszam pana, ale musiałam zrobić tu trochę porządku, bo po tym wszystkim...

– Tak wiem, to musiał być dla pani cios.

– Proszę, niech pan siada. – Wskazała jeden z dwóch foteli stojących pod ścianą, dostawionych do niewysokiej szwedzkiej ławy, przykrytej fantazyjnym obrusem uszytym ze skrawków marmurkowego dżinsu. – Nie ma sekretarki, a ja nie wiem, gdzie trzyma herbatę i kawę, tak więc nic nie mogę panu zaproponować.

Wzruszył ramionami. Wcale nie zależało mu na herbacie. Zależało mu tylko na tym, by móc być tu z nią i patrzeć w te zielone oczy.

– Proszę się nie przejmować.

Usiadła w drugim fotelu i założyła nogę na nogę. Spojrzał na jej kolano ukradkiem i zaraz przyszła mu na myśl noga Blaszczyka. I jedna, i druga miały coś w sobie, ale wygrywała zdecydowanie ta należąca do niej... Właściwe, jak ona się nazywa?

– Jestem kapitan Marjański z komendy miejskiej, a pani? Przepraszam, ale zdaje się, że nie dosłyszałem nazwiska.

– Magdalena Jankowska. Jestem współwłaścicielką firmy, ale teraz to już chyba właścicielką...

– Pan Krzyżaniak był pani mężem?

– Nie, skąd, współlnikiem w interesach. Miałam dotąd połowę firmy, a teraz pewnie będę miała całą.

– Rozumiem, że jest pani jego spadkobierczynią... – Spojrzał na nią uważniej. Spadkobierczyni po zamordowanym, jedyna spadkobierczyni, to stawiało ją na pierwszym miejscu wśród podejrzanych. Ale jakoś mu ta kobieta nie pasowała do roli zabójczyni. Niemniej jednak trzeba było wszystko dokładnie sprawdzić. Miał na to jeszcze sporo czasu. Postanowił, że zaprosi ją jutro na oficjalne przesłuchanie. Ale dziś może sobie pogadać niezobowiązująco. Tym bardziej że nigdzie się nie śpieszył. Właściwie to nawet nie musiał tu się fatygować, ale chciał się czymś zająć. Dlatego po przyjeździe na komendę miał do wyboru albo przesłuchać tego lumpa, który znalazł pierwsze ciało nad brzegiem rzeczki, albo wybrać się do firmy, której właścicielem był drugi zamordowany. Nie chciało mu się gadać z tym kloszardem. Machnął więc na niego ręką i wypisał protokół zwolnienia z aresztu po upływie czterdziestu ośmiu godzin. Oddał dokument dyżurnemu i zamówił w dyspozytorni samochód bez kierowcy. Nie chciał, aby przypadkiem trafił mu się znowu szofer Blaszczyk. Póki co, postanowił, że będzie go unikał.

– Na razie nie myślę o żadnym spadku. Myślę o tym, żeby utrzymać produkcję i nie wypaść z rynku. Jak dowiedziałam się o tym, że Marceli nie żyje, to zaraz tu przyjechałam, a okazuje się, że zakład przestał pracować. Jakby czekali na to, żeby wszystko rozkraść.

– Tacy są ludzie, że jak nie ma nadzoru, to zaraz myślą o tym, żeby się nachapać. A tak w ogóle, to skąd pani się dowiedziała o śmierci Krzyżaniaka?

– Od dostawcy towaru. Przyjechał do mnie na Łazarz, bo tam na Łazarzu ja mam butik, w którym sprzedaję dzinsy marmurkowe. Ostatni krzyk mody, to idą jak ciepłe bułeczki. No i jak się dowiedziałam, to przyszłam sprawdzić, co tu się dzieje, i dobrze, że przyszłam, bo, sam pan widzi, zakład stoi...

– Czy pan Krzyżaniak miał jakichś wrogów? – Marjański postanowił przejść do ataku, bo sprawa szwalni nie bardzo go interesowała.

– Nie wiem. – Popatrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczyma, a on poczuł, że się rozplywa w niemym zachwycie. Magda nawet tego nie zauważyła, myślała o liście, który znalazła w skrytce w mieszkaniu swojego kochanka. Ale gdyby mu o nim powiedziała, musiałaby wyjaśnić, dlaczego tam w ogóle się znalazła. Za dużo by opowiadać. Lepiej to wszystko załatwić po swojemu bez wprowadzania władzy w szczegóły. Co prawda ten oficer wyglądał na uczciwego i poważnego faceta, ale jednak zawsze to milicjant, a im, jak wiadomo, nie można wierzyć. Sama załatwi swoje sprawy

Rozmawiał z nią jakieś dwie godziny temu, a cały czas widział te oczy, twarz, nogi i do tego jeszcze te cholerne nogi Jacusia. Czy ja jestem pieprzonym pedziem? – zastanawiał się, przypominając sobie z odrazą, co wyrabiał nocą z Błaszczukiem. Ale im dłużej rozmyślał o tym, co się stało, tym bardziej rozgrzeszał się z tych myśli, które wcale nie wydawały mu się już takie niemoralne. Jednak gdy tylko wracał do Magdy, od razu robiło mu się ciepło na sercu i zaczynał już liczyć godziny do następnego spotkania. Bo miało się odbyć jutro rano. Wezwał ją do siebie na komendę na dziewiątą, niby po to, żeby spisać formalne zeznanie. Po spisaniu chciał ją zaprosić na kawę. oczywiście gdzieś poza budynek komendy. Wydawało mu się bowiem, że dziewczyna patrzyła na niego całkiem przychylnie. No ale jeśli się z nią umówi, to co z Błaszczukiem? Kapral też się chciał z nim spotkać...

Jakie to życie jest ciężkie. W tym momencie kelner postawił przed Marjańskim kolejny kieliszek wódki. To przez te myśli o dziewczynie i chłopaku trafił do restauracji dietetycznej na Armii Czerwonej. Wszedł tu niby tylko po to, żeby zjeść jakąś rybkę na obiad, a ta zamieniła się w wódeczkę zagryzaną karpem w galarecie. Bo tak naprawdę to wcale mu się nie chciało jeść. Chciało mu się o wszystkim zapomnieć, schować się gdzieś, zasnąć, a potem obudzić się w rzeczywistości, w której nic się nie wydarzyło, a on dopiero zaczyna swoje śledztwo w sprawie zamordowania faceta nad Bogdanką.

Im dłużej to wszystko analizował, tym bardziej było mu źle z tym chłopakiem w łóżku i dziewczyną, którą chciałby tam widzieć zamiast niego. Ale najgorsze było to, że nie wiedział, kim naprawdę jest. Zawsze myślał o sobie jak o facecie, któremu podobają się kobiety, choć z tymi jakoś mu nie najlepiej wychodziło. A teraz się okazało, że najlepiej w życiu wyszło mu z facetem i to kilkanaście godzin przed tym, zanim poznał kobietę, o jakiej zawsze marzył. Może to jest pomysł na powieść? – zastanawiał się, bo przecież w końcu był prawie literatem. Pisał dotąd powieści kryminalne, a może powinien pisać obyczajowe o stosunkach męsko-damskich i wynikających stąd dramatach?

Najdziwniejsze jednak było to, że wcale nie martwiła go ta sprawa z nagraniem video. Owszem, powstał film dokumentujący jego pedalskie ekscesy, ale jakoś był spokojny, że ten zapis nigdy nie zostanie wykorzystany w niecnym celu. Tak powiedział Grubiński, a on, nie wiedząc czemu, całkowicie mu wierzył.

Właśnie, film! Jedną kopię, tę z magnetowidu, miał przy sobie w kieszeni milicyjnej kurtki. Trzeba było jak najszybciej zniszczyć to nagranie. Kiedy wróci do domu, zaraz to zrobi, żeby przez przypadek nie dostało się w niepowołane ręce. No może jeszcze rzuci na nie okiem przed snem...

– Można się przysiąc? – Jakiś głos przywrócił go do rzeczywistości. Spojrzał zdziwiony na mężczyznę i jednocześnie obrzucił wzrokiem salę restauracyjną. Przynajmniej połowa stolików była wolna. Facet najwyraźniej chciał się przysiąc do niego.

– Nie jestem pedalem – warknął ostrzegawczo, a blondyn się roześmiał.

– Ależ ja nie jestem zbrojcem szukającym przygody z milicjantem. Ja chciałem z panem kapitanem porozmawiać o czymś zupełnie innym.

Marjański spojrzał na swoją pierś i dopiero teraz uświadomił sobie, że przecież jest w mundurze. Poszedł do restauracji na obiad prosto z pracy, więc nie przebrał się nawet, i co gorsza zamawiał wódkę, będąc w mundurze, a to było przecież niedopuszczalne. Koniec z picciem, postanowił natychmiast. Tymczasem blondyn usiadł naprzeciw niego.

– Czego pan chce?

– Pan kapitan Marjański, jak się domyślam?

– Tak. – Zdziwiony spojrzał uważniej na intruza.

– Skąd wiem, z kim mam do czynienia, pewnie się pan zastanawia? Taką mam już robotę, żeby wiedzieć. Wiedzieć jak najwięcej. Dlatego postanowiłem sobie z panem porozmawiać na neutralnym gruncie.

– Że niby o czym?

– O walutach i zabitych cinkciarzach... – rzucił facet. – Poza tym mamy wspólnych znajomych. Jak będzie okazja, niech pan pozdrowi ode mnie porucznika Olkiewicza. Kiedyś blisko współpracowaliśmy ze sobą. Na pewno się ucieszy, gdy usłyszy, kto go pozdrawia.

Marjański podniósł kieliszek i nie myśląc wcale o tym, co robi, osuszył go do samego dna. Nawet się nie skrzywił. Widać powali stawał się stuprocentowym milicjantem, który potrafił pić bez zmrużenia oka. Problem był jednak w tym, że wcale nie wiedział, czy dalej chce nim być.

Godzina 15.30

Milicyjna nyska prowadzona pewną ręką chorążego Grzecha Kowala zatrzymała się przy chodniku. Nie jechali na sygnale, żeby nie wywoływać niepotrzebnej sensacji. Zresztą nie musieli się bardzo śpieszyć. Z komendy wojewódzkiej przy Kochanowskiego na ulicę 23

Lutego mieli niedaleko. Samochodem jakieś pięć minut jazdy, pod warunkiem że wybrało się najprostszą i najszybszą drogę przez most Teatralny.

Teofil Olkiewicz wysiadł z auta i zaraz wsadził w usta papierosa. W ogóle nie wiedział, po jaką cholere Brodziak się uparł, żeby go tutaj ciągnąć. Przecież powiedział mu wszystko na temat tego Wróbla i Miras mógł sobie sam tu przyjechać. No ale on się uparł, jak to miał w zwyczaju. W ogóle zrobiła się z tego wycieczka krajoznawcza, bo nie dość że jechał on i Brodziak, to do tego wypadu dołączył się jeszcze ten nowy, Markowski. Zupełnie nie wiadomo, po co. No chyba że ma jakiś plan. Teofil nie dowiedział się tego jednak, bo gdy tylko wyszli z auta, Brodziak zaraz pognął ich wszystkich na górę. Tylko Grzechu Kowal został przy aucie. Ten to miał dobrze. Nie musiał wytrząsać brzucha po schodach. Teoś spojrzał na niego z zazdrością. Nawet bąknął coś Brodziakowi, że może by został na dole, ale Miras zbył go milczeniem. Zresztą Mirek był dzisiaj jakiś taki nieswój, jakby nie w sosie. Normalnie zawsze pogadał i pożartował, a teraz tylko burczał pod nosem. Widać ktoś musiał mu nadebrać na odcisk, bo niemożliwe przecież, żeby się tak bardzo zdenerwował tym podstarzałym majorem.

Gdy z Blaszkowskim i nowym podporucznikiem weszli do pokoju, Mirek zarządził krótką odprawę.

– Jedziemy, Teoś, do twojego dawnego dowódcy, który nazywa się Wróbel. Facet sporządził raport z nocy, w której zamordowano cinkciarza Krzyżaniaka.

– Takie tam pierdoły o strajających kotach. – Olkiewicz machnął ręką, bo myślał, że to o jakąś poważną sprawę chodzi, a nie o majaki tego starego pierdziela.

– Trzeba było przeczytać ten raport do końca – mruknął Brodziak. – Dopiero po notatce o kotach zaczyna się robić ciekawie. – Teoś tylko wzruszył ramionami. Pamiętał te cholerne koty w śmietniku, ale później już nic nie potrafił sobie przypomnieć. Najprawdopodobniej wódka Wróbla sprawiła, że myśli mu się skleiły i odpłynęły, nie miał więc pojęcia o tym, gdzie i dlaczego zrobiło się ciekawiej.

– Facet pisze, że w nocy podjechał pod dom samochód, z którego wysiadło dwóch gości. No i teraz to najciekawsze ze wszystkiego. Wróbel to stary milicjant, który zna doskonale większość ludzi pracujących w resorcie. Nie wiem dlaczego, ale zapewne miał kontakty z SB.

– Miał, miał – przypomniał sobie Olkiewicz. – On współpracownikiem bezpieczeństwa był przez całe lata. Chodził w mundurze, a z esbecją pracował w kwestiach politycznych. Musiał znać ich wszystkich.

– No właśnie o tym mówię. Tych dwóch rozpoznał natychmiast i zapisał to w raporcie. Mamy więc nazwiska, przydziały służbowe i stopnie obu facetów.

– Bystry z niego gość – odezwał się nowy współpracownik.

– Wróbel jest bystry jak woda w kiblu – zauważył Olkiewicz, który zdążył przez pierwsze lata swojej służby doskonale poznać tego człowieka. – On jest dobry ino w śledzeniu ludzi.

– Jak w śledzeniu jest dobry, to znaczy, że dobrze wyśledził tych, którzy byli w nocy u naszego zamordowanego cinkciarza – stwierdził Mirek.

– A ci goście, znaczy ci esbecy, wiemy, z jakich są pionów? – dociekał Markowski. Nic dziwnego, że drażył. Przez ostatnie lata esbecy wytrwale go ścigali i poszukiwali, a teraz traf chciał, że role się odwróciły i dawny działacz Solidarności uczestniczył w śledztwie, które brało na celownik agentów SB.

– Autor raportu nic na ten temat nie wspomina – stwierdził Brodziak – ale nie widzę przeszkód, żeby go o to zapytać. Skoro ich zna z nazwiska, wie też, gdzie pracowali i dla kogo. W każdym razie wszystko to zdecydowanie śmierdzi jakimś przekrętem.

– Skoro esbecy zabijają cinkciarza, to jest to nieprawdopodobnie wielki przekręt – zgodził się z Brodziakiem Markowski.

– Nie jednego – przypomniał sobie Olkiewicz. – Jest jeszcze ten zabity nad Bogdanką.

Mirek spuścił wzrok i udał, że znów czyta raport Wróbla. Ale raport ten znał już niemal na pamięć i nie musiał znów się w niego wgłębiać. Patrzył w podłogę, bo głupio mu było wobec kolegów, że musi ukrywać przed nimi prawdę. A prawda była taka, że to, co działo się w mieście, to była już regularna wojna między SB i handlarzami walutą. Nie tylko ci dwaj cinkciarze zginęli. Nie żyła także dziewczyna Grubego Rycha i jeden z napastników. Drugi był cały czas przetrzymywany u Grubińskiego w piwnicy i w zasadzie można by powiedzieć o nim, że też jest już martwy. Mirek nie miał złudzeń, że Rychu wypuści go żywego. Nie po tym, co się stało w jego domu, nie po zamordowaniu Laury. Trzeba było więc jak najszybciej powstrzymać tę esbecko-cinkciarską dintojrę, ale żeby to zrobić, musiał mieć niepodważalne dowody w postaci zeznania Wróbla potwierdzonego identyfikacją tych dwóch gości. Jeśli będzie miał takie zeznanie, pójdzie z nim do Freda Marcinkowskiego. Wtedy obaj mogą uderzyć do kogoś z dowództwa SB i wyłożyć karty na stół. Ale kluczowy był świadek.

Dlatego zabrał ze sobą Olkiewicza i pojechali do mieszkania majora, żeby w razie jakiegoś oporu ze strony emeryta jego dawny podwładny przemówił mu do rozumu.

Milicjanci szybko weszli do bramy kamienicy, bo akurat zaczął padać deszcz. Jak to wiosną bywa, niebo błyskawicznie zasnuło się ciemnymi chmurami i lunęły z nich strugi wody.

– Dalej, bez ociągania, idziemy! – zarządził Brodziak.

– Ino se sznurówkę zawiążę. – Teofil przyklęknął na jedno kolano i zaczął zawiązywać but. Mirek wraz z Markowskim weszli na schody. Gdy zniknęli na klatce, Olkiewicz poderwał się na równe nogi, otrzepał spodnie i podszedł w kierunku wyjścia na ulicę. Na wprost stała nyska Kowala. Olkiewicz przez chwilę przyglądał się koledze zatopionemu w lekturze dzisiejszej gazety. Kowal nie patrzył w kierunku bramy. To dawało Teosiowi pewną szansę. Po przeciwnej stronie ulicy, jakieś sto metrów w kierunku placu Młodej Gwardii, był sklep spożywczy. Co prawda był to zwykły spożywcza, w którym sprzedawano masło, chleb i sery, ale i w takim sklepie zdarzały się cuda i od czasu do czasu można było tam dostać także piwo. Teoś wprawdzie nie był specjalnym koneserem tego złocistego trunku, ale w momencie gdy go suszyło, a teraz właśnie nadchodziła taka chwila, było mu całkowicie obojętne, co pije. Musiał coś przyjąć, a ci tam na górze mogli sobie na niego jeszcze chwilę poczekać. Postąpił chwilę, by upewnić się, że Kowal skupiony jest na czytaniu, a gdy uznał, że tak jest w istocie, podniósł kołnierz, wyszedł z bramy szybkim krokiem i skręcił w lewo, w kierunku stacji benzynowej. Przeszedłszy jakieś dwadzieścia metrów, stanął tuż przy krawężniku, czekając, aż ruch na ulicy ustanie choć na chwilę. Gdy od strony Marcinkowskiego przejechał dostawczy star, jezdnia zrobiła się pusta. Szybko przebiegł na drugą stronę, uważając, by nie wdepnąć w kałużę.

Teraz miał przed sobą najbardziej niebezpieczny odcinek, ponieważ musiał minąć milicyjny samochód. Na szczęście ich auto stało po drugiej stronie ulicy i było mało prawdopodobne, by kierowca akurat chciał sprawdzać, kto idzie chodnikiem. Na wszelki wypadek Teofil przyspieszył. Minął nyskę i zadowolony zatrzymał się za dostawczym roburem. Do spożywcza zostało mu najwyżej dwadzieścia metrów. Już chciał ruszać dalej, gdy usłyszał coś dziwnego. Spojrzał w stronę dostawczaka, bo stamtąd dochodziły jakieś głosy. Buda wozu obita była blachą, więc niczego nie dało się dojrzeć. No chyba że przez tylne drzwiczki. Coś było nie tak z tym roburem, na którym wypisano wielkimi literami „Artykuły Spożywcze”.

Na pakę prowadziły trzy niewielkie schodki, za którymi znajdowały się drzwi. Wspiął się ostrożnie i przyłożył ucho do szpary między drzwiami a budą. Rzeczywiście ktoś w środku rozmawiał. Tylko co robili ludzie w dostawczaku dowożącym żywność do sklepu? Kierowca i konwojent przecież musieli jeździć w kabinie. A więc jeśli nie byli to pracownicy, to mogli być tylko... złodzieje. Milicyjny nos Teofila znów go nie zawiodł. Brodziak i ten nowy zdziwią się, gdy się dowiedzą, że podczas gdy oni tracili czas na pogaduchy z Wróblem, on złapał złodziejską szajkę na gorącym uczynku. A w ogóle może w tym aucie na pace prócz serów i chleba przewozili na przykład skrzynki z wódką? Ależ to byłoby trafienie. Podwójne, bo i złodzieje, i ich łup, którego i tak nikt by się nie doliczył...

Sięgnął do kabury pod marynarką i wy dobył z niej swój pistolet. Uzbrojony chwycił lewą ręką klamkę i szarpnął drzwi do siebie.

– Ręce do góry! Kłaść się na podłogę, ale już, wy chłele! szuszwole!

Zaraz potem wskoczył do środka i stanął jak oniemiały. W samochodzie wcale nie było towaru spożywczego. Było za to dwóch facetów w słuchawkach na uszach, którzy siedzieli przy jakimś stole zastawionym elektroniczną aparaturą. Teofil nie znał się na technice, ale ze zdziwieniem dostrzegł, że jedno z tych urządzeń to wielki magnetofon szpulowy. Obie szpule kręciły się, a to znaczyło, że coś się właśnie nagrywa. No chyba że ci dwaj faceci w słuchawkach puszcza!li sobie akurat muzykę. Jednak to wydało mu się mało prawdopodobne. Kto by tam chciał słuchać muzyki w ciężarowym samochodzie?

Niewiele myśląc, Olkiewicz wycelował w gościa, który siedział najbliżej drzwi.

– Zdejmuj te słuchawki! – polecił i mężczyzna natychmiast je zdjął. Teoś pomyślał, że skądś chyba go zna. Kiedyś musiał się na niego natknąć, tylko nie wiedział, gdzie i kiedy. No ale to się ustali. Wpyta go i wszystko będzie jasne... – Ja cię już gdzieś widziałem – stwierdził, wpatrując się w faceta, którego trudno byłoby pomylić z kimś innym. Miał długie włosy i wąsy spływające w dół policzków. Gdyby Teofil Olkiewicz znał się choć trochę na muzyce, mógłby stwierdzić, że przypomina jednego z Beatlesów z lat siedemdziesiątych, ale że nie interesował się takimi bzdurami, więc nie miał żadnych skojarzeń muzycznych, a jedynie te milicyjne, operacyjne, które w czasach późnego Gomułki nakazywały funkcjonariuszom łapać długowłosych chłopaków na ulicach i odprowadzać ich do najbliższego fryzjera.

Naraz poczuł, jak coś twardego wbija mu się w kręgosłup. Pot spłynął mu po plecach, bo nie wiedzieć dlaczego, ale od razu zrozumiał, że to twarde to nie jest wcale kij od szczotki.

Rzuć tego swojego gnata na podłogę i wchodź głębiej – polecił głos zza pleców. Teofil zgodnie z rozkazem wypuścił z ręki tetetkę i zrobił dwa kroki do przodu. Nie miał zamiaru

umierać w kwiecie wieku, głupio się stawiając jakiemuś typowi. Spojrzał na długowłosego. Ten uśmiechał się do niego zadowolony z faktu, że myśliwy nagle stał się zwierzyną... Spojrzał mu w oczy i naraz przyszło olśnienie. Już wiedział, skąd zna tego hipisa.

– A teraz kładź się na ryj i ani mru-mru!

– Ale ja jestem z milicji! – zawołał i być może jeszcze miałby coś do powiedzenia, gdyby nie silny cios w kark, który sprawił, że natychmiast pogrążył się w kompletnych ciemnościach, których nie chciała rozświetlić żadna, nawet najmniejsza gwiazdka.

Godzina 15.35

Maszyny do szycia terkotały radośnie, wygrywając wspólnie koncert na pięćdziesiąt silników elektrycznych i igieł szwalniczych oraz tyle samo par spodni o modnym marmurkowym deseniu. Wspomagały je chichoty i pomruki zadowolenia pięćdziesięciu solistek, które z natchnieniem i zapałem wróciły do swoich stanowisk i pracy płatnej lepiej niż w państwowej Modenie. To w tym zakładzie wszystkie zaczynały swoją karierę zawodową i stamtąd zabrał je rozpoczynający własną działalność Marceli Krzyżaniak, który przez lata był ich kierownikiem zmiany. Jednak gdy okazało się, że szwalnia wysłużone łuczniczki zastępuje nowoczesnymi maszynami z NRD, Krzyżaniak skorzystał z okazji i za bezcen odkupił te starocie w liczbie prawie dwustu sztuk. Cwaniak dobrze wiedział, co robi. Za sprzęt zapłacił jak za złom i natychmiast uruchomił własną szwalnię na pięćdziesiąt maszyn. Resztę złożył w magazynie, czekając na lepsze czasy. Wszystkie leżały zakonserwowane i w razie czego produkcję można było niemal z dnia na dzień podwoić, a nawet potroić. Brakowało tylko dobrych krawcowych, bo te najlepsze, skuszone dobrymi pieniędzmi, odeszły do małych szwalni, które na fali koniunktury powstawały w Poznaniu jak grzyby po deszczu. W Modenie zaś zostały tylko najstarsze pracownice, które nie miały już sił i ochoty zmieniać miejsca zatrudnienia, oraz sporo nowych dziewczyn, które dopiero stawiały pierwsze kroki w zawodzie. Krzyżaniak czekał więc, aż nauczą się roboty na państwowym, a potem dopiero zamierzał je skusić posadą u siebie. Jeśli miały psuć towar, to niech robią to w Modenie. On chciał mieć najlepsze specjalistki. Zwłaszcza że produkt, który wychodził z jego zakładu, na rynku uznawany był za najlepszy i w zasadzie prawie wcale nie było reklamacji.

Magda obejmowała więc wzorcową szwalnię w Poznaniu, do tego jeszcze z wielkimi perspektywami na rozwój w niedalekiej przyszłości.

Stała przy oknie wychodzącym na podwórze i zaczęła lustrować uważnym spojrzeniem swoje nowe gospodarstwo. Na wprost był piętrowy budynek, w którym, jak zdążyła się dotąd przekonać, na dole były szatnie i pomieszczenia socjalne dla pracowników, a także jakieś magazyny. Na pierwszym piętrze mieściło się biuro prezesa, czyli teraz jej własne, a także pokoje księgowej, kadrowej i głównego technologa oraz kierownika zarazem, czyli tego nielojalnego gnojka Manickiego. W zasadzie to powinna go natychmiast wyrzucić na zbitą mordę, ale wiedziała, że bez niego nie poradzi sobie na samym początku. Musiała dobrze poznać zakład, poustawić pracę i wszystkie sprawy związane z dostawcami i odbiorcami, a produkcja w tym czasie powinna iść swoim torem. Do tego był potrzebny ktoś z doświadczeniem, nawet taki nielojalny gad jak ten Manicki. Niech robi swoje, a później się zobaczy, pomyślała, spoglądając na rampę wyładowczo-załadowczą. Właśnie podjechał tam jakiś żuk, do którego magazynier z pomocnikiem, młodym praktykantem, ładowali paczki ze spodniami, pięknie opakowane w przezroczystą folię.

To już jest Europa, pomyślała na widok tych foliowych opakowań. A jeszcze niedawno, kilka miesięcy temu, spodnie, które do niej trafiały, były pakowane w zwykły szary papier, taki, w jaki zawija się paczki na poczcie. W foliach wszystko wyglądało bardziej profesjonalnie i przede wszystkim estetyczniej, jak w NRD albo nawet RFN. Tak mówiły jej klientki, zadowolone z tych wtorków, bo wiadomo, że takie opakowanie zawsze się przyda w domu do przechowywania jakichś gaci albo skarpet w szafach.

Teraz trzeba koniecznie pomyśleć o rozszerzeniu asortymentu, bo od dawna w jej butikku pytano, kiedy będzie można dostać marmurkowe spódniczki i kurtki. Nie wiedziała tego, bo Krzyżaniak nie mógł się zdecydować. Mówił, że najpierw trzeba dać ludziom to, co najpotrzebniejsze, czyli modne spodnie, a o reszcie się pomyśli. Nie rozumiał rynku i nie rozumiał kobiet. Ona wiedziała, że dziewczyna może chodzić w spodniach na co dzień, ale kiedy idzie na randkę, to musi pokazać chłopakowi nogi. Dlatego spódniczki były konieczne, no i jeszcze do nich kurteczki męskie i damskie. Kiedy coś takiego wpuści na rynek, to sukces gwarantowany, a dziewczyny będą się ustawiały po te ciuchy w kolejkach, jak ich matki po kawę i cukier, a ojcowie po wódkę bez kartek.

– Pani prezesko! – Z zamyślenia wyrwał ją kobiecy głos. Odwróciła się. Stała za nią ubrana w przepisowy kitel i chustkę na głowie Gosia Kalinowska, jedna z tych dziewczyn, które tak dobrze spisały się podczas uruchamiania produkcji.

– A co tam, pani Gosiu? – Magda uśmiechnęła się ciepło. Trzeba będzie o niej pomyśleć, bo to jest dobry materiał na brygadzystkę, choć jeszcze młoda. Nie miała pewnie jeszcze trzydziestki. Zresztą Magda też nie miała. No widać takie czasy, że teraz robi się karierę w gówniarskim wieku.

– Bo ja rozmawiałam z panem Krzyżaniakiem w czwartek. I on mi powiedział, że... Ja wtedy w ogóle nie pomyślałam... bo to było niemożliwe, ale teraz to ja już rozumiem, w czym rzecz...

– Ale o co się rozchodzi?

– On mi wtedy powiedział, że jakby coś się stało, to produkcja ma iść dalej, ale ja nie wiedziałam, co niby się stało, znaczy miało stać, i dopiero teraz widać, co on sobie myślał. Bo on powiedział, że jakby co, to się nie rozłączyć i nie myśleć o innej robocie, bo zaraz tu przyjdzie nowa szefowa i wszystko zarządzi...

– On tak powiedział? – Magdzie łzy stanęły w oczach.

– No że produkcja będzie szła jak nigdy dotąd...

– Nic z tego nie rozumiem.

– I powiedział jeszcze, że mam pani powiedzieć, żeby pani to wzięła, bo to są nasze wypłaty.

Podawa jej grubą kopertę. Nie była jednak na tyle gruba, żeby mogły się w niej zmieścić pieniądze dla prawie siedemdziesięciu pracowników. Magda zajrzała do środka. Były to jakieś bankowe papiery. Dopiero po chwili zorientowała się, że są to upoważnienia do kont firmowych w PKO. Teraz zrozumiała, do czego Krzyżaniak potrzebował jej dowodu osobistego. Miesiąc temu poprosił, żeby mu go dała, bo chce jej zrobić upoważnienie do odbioru towaru w jego imieniu. Nie widziała w tym niczego podejrzanego, więc dała mu dokument, choć nie rozumiała, jaki towar miała za niego odbierać, a on nie kwapił się z jakimiś specjalnymi tłumaczeniami. No i teraz się okazało, o co mu chodziło. Dał jej wszelkie upoważnienia jako współwłaścicielce firmy. Ale to wszystko oznaczało, że już miesiąc temu zaczął się liczyć z tym, że coś mu się stanie.

– Dziękuję, pani Gosiu – uśmiechnęła się do swojej pracowniczki. – To są bardzo ważne papiery, bez których nie można by było zrobić wypłat.

– Tak pan Krzyżaniak mówił mi wtedy, jak mnie wezwał do gabinetu.

Kalinowska wróciła do maszyny, a ona wyszła z hali i przebiegła szybko przez podwórko, bo akurat zaczynał padać deszcz. Na szczęście ciemne chmury, które zebrały się na niebie, dopiero wypuściły pierwszą, ostrzegającą partię kropeł, więc nie przemoczyła włosów. Zresztą nawet jakby zmokły, i tak by się im nic nie stało, bo nie używała żadnych

lakierów. Trzeba by je tylko przesuszyć, a nie miała tutaj swojej suszarki. Musi o tym pomyśleć, tak na wszelki wypadek, bo nigdy nic nie wiadomo.

Wspięła się schodami na pierwsze piętro. Idąc, patrzyła na stopnie odlane z lastryka, zieloną olejną lamperię na ścianie, na której farba łuszczyła się i odpadała całymi płatami, i na nieciekawie zdjęcia w czarnych ramach przedstawiające jakieś budynki. Kiedyś był tu zakład remontowo-budowlany czy coś podobnego i te fotografie miały świadczyć o jego chwalebnej, socjalistycznej przeszłości. Ale nie miały nic wspólnego z dżinsami i szwalnią. Widać poprzedni szef nie zwracał sobie głowy takimi pierdołami. To też trzeba będzie zmienić.

Weszła do sekretariatu. Za biurkiem siedziała może czterdziestoletnia kobieta. Na widok Magdy podniosła się z krzesła.

– Dzień dobry, ja się nazywam Gałązka Joanna. Jestem sekretarką prezesa Krzyżaniaka, znaczy się byłam sekretarką, bo teraz to już nic nie wiem – powiedziawszy to, natychmiast się rozplakała, a Magda ku swojemu zdziwieniu zauważyła, że jest to całkiem szczery płacz. Nie umiała się powstrzymać i jakoś tak odruchowo objęła ją i jednocześnie podała swoją chusteczkę. Sekretarka natychmiast przywarła do niej mocno. Widać potrzebowała takiego pocieszenia. Po chwili spazmy minęły. Wytarła oczy, rozmazując przy tym czarną kredkę.

– Przepraszam. Upiorę pani chusteczkę. Jutro przyniosę świeżą.

– Nic nie szkodzi. Ja też przed chwilą płakałam. Tak to już jest, że ludzie odchodzą.

– Ale czemu tak wcześniej?

Co miała powiedzieć? Na to pytanie nikt nie potrafił udzielić właściwej odpowiedzi... Zaraz, jak to nikt. Był ktoś, kto wiedział dlaczego. Ci, którzy go zabili, mieli jakiś powód. Ale niezależnie od tego, jaki by był, nic nie usprawiedliwiało zabijania ludzi. Musi, jeśli to będzie możliwe, odplacić się tym skurwysynom.

– Dzień dobry. – Do sekretariatu wszedł jakiś mężczyzna. Spojrzał na zapłakaną sekretarkę, a potem na Magdę.

– Pani Jankowska, jak się domyślam?

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Metr osiemdziesiąt wzrostu i przynajmniej sto dziesięć kilo wagi. Twarz całkiem sympatyczna, ozdobiona starannie przystrzyżoną brodą, krótko obcięte ciemne włosy. Ubrany był w granatowe spodnie sztruksowe, białą koszulkę polo ze znaczkiem krokodyla na piersi i dżinsową kurtkę, ale nie modną, marmurkową, ale klasyczną, peweksowską. Gdy już go dobrze obejrzała, naraz uświadomiła sobie, że facet widział ją po raz pierwszy w życiu, a jednak przyszedł tu do niej, a nie do Krzyżaniaka.

– Tak, Jankowska jestem, a pan to kto?

– Jestem Grubiński, Ryszard Grubiński...

Godzina 15.30

Brodziak odczytał nazwisko na tabliczce. Stali przed mieszkaniem Wróbla. Na klatce schodowej śmierdziało rozgotowanymi ziemniakami i pijackimi szczynami. Drzwi do mieszkania, kiedyś pięknie rzeźbione, zdobne w snycerskie ornamenty, sprawiały paskudne wrażenie, bo farba olejna łuszczyła się na całej powierzchni, odsłaniając pod sraczkowatym brązem ohydną zgniłą zieleń. Mirek spojrzął za siebie, żeby coś powiedzieć do Olkiewicza, ale Teofil, jak to miał w zwyczaju, gdzieś się po drodze zagubił. Brodziak jednak wcale się tym nie zmartwił, bo znał go zbyt dobrze. Za chwilę powinien dołączyć do nich zadowolony i uśmiechnięty. Zamiast Olkiewicza był za to Markowski.

– To kolega do nas z Solidarności? – zagadnął, jednocześnie przyciskając dzwonek elektryczny.

– Konkretniej to prosto z Legionowa.

– A, kursy błyskawiczne. – Przypomniawszy sobie te wszystkie opowieści, które krążyły na temat przyspieszonych kursów oficerskich dla wybranych, szczególnie ważnych nowych funkcjonariuszy, którzy powinni byli stać się oficerami. Takie kursy musiał zrobić kilka lat temu Olkiewicz. Komendant wojewódzki podpisał mu awans na podporucznika, ale okazało się, że Teofil musi spełnić wymogi formalne. Może zostać podporucznikiem dopiero po kursie w Legionowie. No to wysłali go na takie szkolenie mimo oporu samego zainteresowanego. Olkiewicz stwierdził bowiem, że skoro ma się jeszcze na stare lata czegoś uczyć, to on jednak woli być nadal chorążym. Ale z komendantem wojewódzkim nie było dyskusji. Posłał go ciupasem na szkolenie i po niecałych dwóch miesiącach Teoś wrócił z dwoma gwiazdkami na pagonach i z jeszcze bardziej czerwoną gębą niż zazwyczaj. Jak później opowiadał kolegom, kursy były całkiem przyjemne. Co prawda codziennie trzeba było chodzić na wykłady, ale już w ich trakcie zaczynało się picie wódeczki spod stolika. Nic więc dziwnego, że Olkiewicz nie nauczył się kompletnie niczego, a na egzaminie końcowym komisji nie udało się wycisnąć z niego ani słowa. Siedział przed stołem pokrytym zielonym suknem i patrzył na czubki swoich dobrze wypastowanych butów, nic nie mówiąc. Na koniec egzaminu odczytano więc opinię o nim, którą wystawiono mu w Poznaniu, a także opinię jednego z wykładowców, tego, z

którym Teoś zdążył podczas kursu wysuszyć kilka butelek... Jak się okazało, opinie były decydujące, bo uznano, że nie odpowiedział na pytania nie z braku fachowej i teoretycznej wiedzy, ale dlatego, że był zbyt zestresowany i przeciążony pracą. Nic dziwnego, że mówiło się o tych kursach jako o samozdających się, bo ten, kto na kurs został wysłany, zaliczał go bezwarunkowo.

– Można tak powiedzieć – zgodził się z nim Markowski. – Ale mam też dużo doświadczenia w robocie konspiracyjnej. Kto wie, może to się jeszcze kiedyś do czegoś przyda.

Brodziak wzruszył ramionami. Na cholerę mu konspiracja i ludzie z Solidarności. On potrzebował teraz tylko tego Wróbla, żeby zbliżyć się do wyjaśnienia sprawy zamachu na Grubińskiego. Ale emerytowany milicjant nie otwierał.

– Cholera, musiał też ten dziad pójść sobie na zakupy właśnie teraz?

– Czekamy na niego? – zapytał na wszelki wypadek Markowski.

– A co mamy do roboty?

– Zasadniczo to nic.

Kapitan sięgnął do kieszeni swojej dżinsowej kurtki i wydobyl z niej paczkę cameli, częstując nowego kolegę. Ten skwapliwie skorzystał z szansy zapalenia dobrego papierosa.

– Jak się ukrywałem, to najgorsze, co mi się zdarzało palić, to były wykruchy z petów. Wyjątkowe paskudztwo, zwłaszcza skręcane w „Trybunie Ludu”.

– „Trybuna” jest za twarda nawet do podcierania dupy. – Brodziak wiedział, co mówi, bo wychował się w kamienicy, w której wychodek był wspólny dla trzech mieszkań na półpiętrze i tam na gwoździu wieszano skrawki gazet, bo papier toaletowy był zbyt drogi albo nie można go było kupić. W rankingu gazetowym najlepsze były „Express” i „Poznańska”. „Głos Wielkopolski” jeszcze dawało się znieść, ale „Trybuna Ludu” zdecydowanie przegrywała ze wszystkimi innymi gazetami. „Nie dość że nie da się jej czytać, to i do wychodka się nie nadaje”, powtarzał ojciec Mirka, który gazet nigdy nie kupował, ale przynosił je z pracy z urzędu na placu Kolegiackim, w którym był palaczem. Gazet więc miał pod dostatkiem, bo wszystkie z biur trafiały do niego. Dzięki temu zawsze miał papier na skręty. – Nie były takie złe. – Mirek przypominał sobie nagle smak tych pierwszych, popalanych w bramach, własnoręcznie skręcanych papierosów. Razem z Rychem swoje kariery palaczy zaczynali od takich właśnie skrętów robionych z petów zbieranych z popielniczek w knajpach przy Starym Rynku. – Jednak wolę camele, to klasa sama w sobie – stwierdził, obracając papierosa w dwóch palcach.

– Ja wolę marlboro.

– O gustach się nie dyskutuje. Teraz, jak pan zaczął pracę w milicji, będzie pana stać na dobry tytoń.

– Z tytoniem ostatnio nie było kłopotów. Jak się ma dobre układy na parafiach, to człowiek dostanie wszystko, co potrzebuje, z paczek, co do nas przychodzą z Zachodu.

– Ja nie mam układów.

– Pan? Człowiek z ekipy, która znalazła sarkofag świętego Wojciecha z Gniezna.

Brodziak uśmiechnął się na myśl o tym błyskawicznym i zakończonym połowicznym sukcesem śledztwie. Połowicznym, bo wprawdzie udało się znaleźć sprawców i odzyskać większą część sarkofagu, jednak duże fragmenty złodzieje przetopili.

– Stare dzieje. – Machnął ręką, strącając przy tym popiół na wycieraczkę. – Przydałaby się popielniczka – stwierdził i się rozejrzył, tak jakby na każdej brudnej klatce schodowej w ludowej ojczyźnie można było znaleźć taki luksusowy sprzęt.

– Okienko jest otwarte. – Markowski wskazał na wybitą na półpiętrze szybę od lufcika.
– Pety wywali się przez tę dziurę na podwórko.

W Brodziaku jednak odezwał się duch prawa i porządku, bo chwycił wycieraczkę, by wytrzeć z niej popiół. Ten poleciał na drewnianą podłogę wraz z piaskiem i kurzem. Mirek więcej nabałaganił, niż wyczyścił, ale uspokoił swoje sumienie. Rzucił matę na pobrudzoną przez siebie podłogę i jednocześnie oparł się ręką o klamkę. Ta zaskrzypiała i drzwi się otworzyły. Zdziwiony spojrzał najpierw na szparę w przejściu, a potem na Markowskiego, który wyglądał na równie zdumionego.

– Nikt nie otworzył, jak żeśmy dzwonili – powiedział to nie wiadomo po co. Może potrzebował usprawiedliwienia, które pozwoliłoby mu wejść do cudzego mieszkania bez nakazu.

– Może zasłabł i trzeba mu pomóc? – Podporucznik podsunął kapitanowi właściwe wytłumaczenie. Brodziak pchnął mocniej drzwi i ruszył przodem, Markowski poszedł za nim.

– Panie Wróbel, halo, jest pan tutaj? – zawołał Mirek, ale nie było żadnej odpowiedzi.

– On wyszedł jakie dwie godziny temu z takimi dwoma facetami – usłyszeli głos za sobą. Odwrócili się. Przed drzwiami stała kobieta koło sześćdziesiątki ubrana w domowy fartuch w kwiatki, z chustką na głowie.

– A pani to kto? – Markowski uśmiechnął się do niej, żeby wzbudzić zaufanie, choć zdawał sobie sprawę, że jego mundur wcale w tym nie pomaga.

– Mączyńska Wiktoria jestem, znaczy się sąsiadka z naprzeciwka. Ja jego widziałam, jak wychodził, bo akuratnie szłam śmieci do kibla wywalić, jak oni we trzech szli. Nawet się

trochę zdziwiłam, że Wróbel nic nie powiedział, jak mnie wymijał, bo on taki akuratywny, że zawsze „dzień dobry” to powie, a dziś nic nie gadał, ino taką smutną gębę miał, jakby nie on.

– A ci dwaj?

– Oni w ogóle nic nie gadali, ino ten jeden, taki wysoki, to onego pchnął nawet, żeby szybciej szedł.

– A jak wyglądali? – pytał dalej Markowski przejęty rolą milicjanta przeprowadzającego wywiad.

– Jak smutne pawiany. Takie ryje mało radosne, jak to milicja.

– A skąd pani wie, że to milicja?

– Znaczy się nie zwykła milicja – poprawiła się zaraz, bo zorientowała się, że przecież facet, z którym rozmawia, to milicjant mundurowy. – Znaczy się to były te ubeckie ścierwa. Ja ich, panie, na kilometr rozpoznam. W pięćdziesiątym czwartym mojego Stacha aresztowali tacy gnoje, to wyglądali *genau* tak samo jak ci, co Wróbla zabrali.

– A skąd pani wie, że go zabrali? – wtrącił się Brodziak.

Kobieta obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, zapewne dlatego, że był ubrany po cywilnemu. Nie przypominał jednak tamtych esbeków, więc odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– No bo przecież wsadzili do auta i pojechali. Zesłam za nimi, żeby zobaczyć, co się dzieje, tak na wszelaki wypadek zesłam.

– Do jakiego auta wsiedli?

– Takiego białego osobowego.

– Fiata, poloneza?

– Ja tam nie wiem, co to była za marka, bo się na autach nie znam, ale sami se możecie sprawdzić, bo numer miało PZN 2330.

– Na pewno taki numer? – spróbował się upewnić Markowski, zapisując jednocześnie podane przez kobietę litery i cyfry.

– A pan co se myśli, że ja głupami futrowana jestem i do dziesięciu nie zliczę? Też mi problem zapamiętać cztery cyfry.

Podziękowali grzecznie, zapewniając, że jeszcze do niej wrócą po szczegóły, i weszli do mieszkania, zamykając za sobą drzwi, żeby nie kusić pani Mączyńskiej do zaglądania.

Korytarz wyglądał tak, jakby przeszło przez niego tornado. Wieszak po prawej stronie był zerwany, a płaszcze i jakieś inne części garderoby leżały rozrzucone po podłodze. Taka sama destrukcyjna siła wyrzuciła z niewielkiej szafki kilkanaście par butów. Mirek ze zdziwieniem dostrzegł, że wszystkie były podobne do siebie, różniły się tylko stopniem zużycia. Buty były czarne i należały do tych paskudnych modeli, które sprzedawano w

sklepie milicyjnym na specjalne talony mundurowe. Brodziak za nic w świecie nie założyłby takiego okropieństwa, ale widać byli tacy milicjanci, którzy nie wyobrażali sobie chodzenia w czymkolwiek innym.

Po lewej stronie była kuchnia. Tu również wszystko było porozrzucane, a na podłodze rozsypano cukier, mąkę, makaron i kawę. Widać ktoś skrupulatnie przeszukał każdy słoik z sypką zawartością.

– Ale gemela! – bąknął pod nosem Mirek.

– Wygląda jak esbecka robota. Oni są tacy cholernie dokładni w przeszukiwaniach, szczególnie, jak gnoje nie wiedzą, czego szukać.

– Że jak? – zainteresował się Brodziak, który nie znał bliżej esbeckich metod.

– Jak chciałbyś szukać bibuły, znaczy się nielegalnych papierów, to szukałbyś w papierach, znaczy pan kapitan by szukał...

– Dobra, Mirek jestem.

Kaziu. No więc papieru szuka się w papierach, szafkach, bieliźniarkach. Ale jak szukasz na przykład pieniędzy, to one mogą być wśród papierów, ale też zwinięte w rulon i wsadzone w cukier czy mąkę.

Weszli do salonu, czyli pokoju, w którym stała kanapa, dwa fotele, szwedzka ława i telewizor na komodzie.

– A tu czego szukali? – Brodziak wskazał na rozprutą tapicerkę foteli.

– W gąbce fotelowej chowa się forszę i kosztowności. Szukali kasy – stwierdził specjalista od konspiracyjnej roboty.

– U byłego milicjanta? – Brodziak się zdziwił. Pracował w milicji od osiemdziesiątego pierwszego i nie mógł narzekać na zarobki. Jednak jego pensja nie dawała możliwości odłożenia czegokolwiek na później, a tym bardziej inwestowania w złoto i diamenty. No chyba że ten Wróbel był jakimś wyższej klasy geszefciarzem.

Za salonem była sypialnia. Tu również wszystko wywrócono do góry nogami. Pościel i sienniki z łóżka wyrzucono na podłogę, podobnie jak wszystko z bieliźnianej szafy

– I co teraz powiesz? – Mirek spojrzał na Markowskiego.

– Pod materacami i w bieliźniarkach to się szuka papierów.

– I my szukamy papierów. Ja szukam tutaj, ty idź do salonu. Jak się pojawi ten cholerny obibok Teofil, to niech ci w tym salonie pomoże. On ma dużo szczęścia, to jest szansa, że przypadkiem natrafi na coś ciekawego. – Mirek wydał polecenie i sam zabrał się do roboty.

Pół godziny później wychodzili z mieszkania majora Wróbla z pustymi rękoma. Domowa kartoteka emerytowanego milicjanta wyparowała razem z jej właścicielem i dwoma „smutnymi pawianami”.

Rozdział VIII

Środa

8 marca 1989 r.

Godzina 8.30

Jadwiga Olkiewiczowa nigdy specjalnie nie martwiła się tym, co robił mąż. Jego pracę w Milicji Obywatelskiej traktowała jak normalną robotę na kolei czy poczcie, a jej Teofil był dla niej jak zwyczajny urzędnik, tyle że nieco lepiej zarabiający i przede wszystkim niewydający pieniędzy na alkohol. Nie żeby nie lubił wypić. Co to, to nie. Teoś był z tych niewylewających za kołnierz, którzy lubili sobie chlapnąć codziennie, ale nie z tych upijających się. Bardzo rzadko zdarzały się sytuacje, w których jej ślubny tracił kontakt z rzeczywistością. On pił umiarkowanie i przede wszystkim nie za pensję. Tę razem z paskiem, który otrzymywał w kasie, przynosił od razu do domu i oddawał żonie. I co ważniejsze, taki zwyczaj wprowadził już wiele lat temu. Gdy tylko dostawał kopertę z wypłatą, natychmiast wsiadał w tramwaj i jechał do domu, nie wstępując do żadnej knajpy nawet na jedno piwo. To dlatego, że chyba gdzieś w siedemdziesiątym roku wpadł tylko na chwilę do baru Metalowiec na Dzierżyńskiego i wrócił do domu bez koperty i bez pieniędzy. Tak się wtedy wściekł, że dał się obrobić jak pierwszy lepszy frajer, że natychmiast ubrał się w mundur, którego nie nosił już od jakiegoś czasu, i w tym mundurze wrócił do baru. Na szczęście nie był zbyt mocno wstawiony i dobrze wiedział, kto siedział przy jego stoliku. Podszedł do chudego faceta, który ze stoickim spokojem wpatrywał się w piwną toń na dnie swojego kufla. Już na pierwszy rzut oka było widać, że gość wypił swoje i na dziś skończył pracę złodzieja okradającego ludzi z ich wypłat. Teraz zajmował się tylko działalnością rozrywkową.

– Panie Mieciu, daj pan jeszcze jedno piwko. – Machnął na kelnera, a ten widać był ze złodziejaszkiem w niezłej komitywie, bo natychmiast pognął do baru spełnić życzenie klienta.

Tymczasem Olkiewicz, dostrzegłszy chudzielca o długich rękach i szczupłych palcach, przypomniał sobie, jak facet w pewnym momencie objął go z czułością, mamrocząc coś o przyjaźni między narodami. Teoś oczywiście strząsnął z siebie tę jego kościstą łapę, ale jak się okazało, nie dość szybko. Facet właśnie wtedy musiał mu wyciągnąć z kieszeni kopertę z wypłatą.

– Jak się nazywasz świński ryju? – zagadnął po przyjacielsku, siadając na wprost złodzieja. Ten zdziwiony spojrzął na Olkiewicza. Jego czoło przecięła natychmiast bruzda świadcząca o sporym wysiłku intelektualnym. Znał skądś tego milicjanta, ale za nic nie potrafił sobie przypomnieć skąd.

– Uszanowanie panu, władzy ludowej. Jestem do wszelkiej predyspozycji i nawet w charakterze, jak też obywatel władza sobie życzy, ino że nie wiem, o co się tak w ogólności rozchodzi, kurtka na wacie.

– O imię i nazwisko się rozchodzi najspierw – wyjaśnił Olkiewicz.

– Że niby moje? – zdziwił się chudzielec.

– Może być moje, ale jak się pomylisz, to zastrzele jak psa – powiedziawszy to, klepnął się znacząco w kaburę przytroczoną do paska, w której oczywiście nie było pistoletu, bo Teoś nawet nie pomyślał o tym, by wyciągnąć go z szafy. Zresztą nie za bardzo lubił chodzić z bronią, bo to przecież nigdy nie było wiadomo, czy takiemu durnemu pistoletowi nie zachce się bez polecenia wystrzelić.

– No to ja już wolę swoje. Gorczyca Eustachy, syn Klemensa, urodzony...

– Urodzony czy nie, to mnie mało obchodzi...

– A co pana, władzę kochaną, tak w szczególności obchodzi, kurtka na wacie, bo mnie się zdawa, że pan nie zamieruje sobie ze mną piwka wypić?

– A czemu by nie – stwierdził Teofil, akurat w chwili gdy kelner postawił przed Eustachym nowy kufel. Milicjant przysunął go do siebie i od razu upił pokaźny łyk, żeby nie było żadnych wątpliwości, do kogo teraz należy piwo.

– To co, jeszcze jedno przynieść, panie Eustachy? – zapytał kelner, zorientowawszy się, że browar nie trafił do właściwego gardła.

– A co pan myślisz, panie Mietku szanowny, że ja jestem mało obrzydliwy i z władzą ludową zamierzam pić z jednego szkła? Dawaj, pan, nowy kufel, bo już powoli mnie się oczy zamykają z niedopicia.

Kelner ukłonił się bez przesadnej służalczości, ale tak jak to w zwyczaju mają przeświadczeni o własnej godności pracownicy sektora zbiorowego żywienia, którzy nie

muszą kłaniać się w pas byle łachudrze w oczekiwaniu na napiwek, bo sami sobie mogą dopisać do rachunku, co tylko im się spodoba. I niech tylko ktoś spróbuje im coś zrobić!

– A teraz mnie posłuchaj, szuszwolu niemyty. – Olkiewicz pochylił się nad stolikiem, zbliżając się do chudzielca Gorczycy. – Ja nie chcę tu zaraz rabanu robić i wsadzać cię do pudła, bo bym musiał raport specjalny pisać, a na takiego szuszwola to mnie szkoda służbowego długopisa. Wew związku z tem ja tu kładę na stół moją torbę raportową i idę się wysikać, a jak wrócę, to w tej torbie mają być bejmy.

– Jakie bejmy? – Złodziej udał zdumienie pomieszane z niedowierzaniem, ale małpie miny nie zrobiły najmniejszego wrażenia na milicjancie. Olkiewicz położył raportówkę na blacie stołu, a potem wstał i zaczął przeciskać się w kierunku ubikacji.

Gdy pięć minut później wrócił do stolika, nie było ani Eustachego Gorczycy, ani raportówki. Pomyślał więc, że jego doskonały plan odbicia skradzionych pieniędzy wziął w łeb. W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego, jak wrócić do chaty, zabrać z szafy pistolet i odnaleźć złodzieja. Musiał go zastrzelić, żeby dać mu nauczkę na przyszłość.

Już chciał wyjść z knajpy, gdy wtem dostrzegł podążającego w jego kierunku kelnera. Mężczyzna miał w ręce jego torbę.

– Schowałem, schowałem, panie władzo, jak ten Gorczyca se poszedł, żeby jakiś śmierdziel nie zwinął.

Olkiewicz odebrał od niego raportówkę i wyszedł z lokalu. Przynajmniej tyle dobrego, że raportówka nie przepadła, boby było szkoda. Torba była prawie nowa i nieużywana, bo do cywilnych ciuchów, w jakich Olkiewicz codziennie do roboty chodził, raczej nie dało się jej nosić, ale głupio by było, żeby jakiś obszczytur nosił sobie coś, co należało do niego.

Naraz stanął, bo przypomniał sobie, że miał w torbie zupełnie nowy długopis Zenith i notatnik z kalendarzem w popielatej okładce. Zajrzał do środka. Długopis był na miejscu, nowy, jak dotąd ani razu nie używany, bo jakoś nie było kiedy i co nim zapisywać. Podobnie dziewczyny kalendarz o nienaruszonych kartkach również był na swoim miejscu. Zaś obok kalendarza natrafił na kopertę, potem na drugą i jeszcze jedną... Przy piątej przestał liczyć i pognął najszybciej, jak mógł, do domu. Tego dnia nie tylko nie stracił swojej pensji, ale prócz niej przyniósł do domu jeszcze sześć innych kopert wypełnionych pieniędzmi. Nie przepił ich, tak jakby to zrobił każdy pijak, on oddał wszystko Jadwidze, która od razu wiedziała, jak spożytkować niespodziewany zastrzyk gotówki. Natychmiast zrobiła wpłatę na książeczkę PKO i kupiła ozdobny abażur do dużego pokoju.

Taki właśnie był ten jej Teofil, człowiek dbający o dom i żonę. Dlatego ona też, jak umiała, starała się o niego zadbać, piorąc i prasując mu ubrania, wysyłając do fryzjera, kiedy

miał za długie włosy, i codziennie robiąc sznytki do pracy. Dzisiaj też przygotowała, ale nie miała komu ich dać, bo Teofila nie było w domu. W normalny dzień pomyślałaby, że pojechał gdzieś na niespodziewaną interwencję i wróci niedługo. Tak byłoby w zwykły dzień, ale nie ósmego marca. W Międzynarodowy Dzień Kobiet jej mąż Teofil od zawsze, odkąd się tylko poznali, wstawał rano i leciał do kwiaciarni po goździki. Ale w tym roku było inaczej. Nie dość że nie nocował w domu, to nie pojawił się z kwiatami. I to właśnie sprawiło, że Jadwiga się zaniepokoiła. To nie było do niego podobne. Pomyślała więc, że coś musiało się stać. Dlatego postanowiła zadzwonić do Mirka Brodziaka. Jeśli ktoś miałby wiedzieć cokolwiek o Teofilu, to tylko jego najbliższy przyjaciel.

Na szczęście nie musiała chodzić na pocztę czy do budki telefonicznej, żeby zadzwonić. Od roku bowiem Olkiewiczowie mieli w swoim mieszkaniu zainstalowany telefon. Urządzenie było raczej średnio potrzebne, bo Olkiewiczowa nie bardzo lubiła gadać do słuchawki. Owszem, chętnie plotkowała, ale do takich pogaduszek potrzebowała żywego człowieka i najlepiej jeszcze szklanki kawy, jakichś ciastek i może jeszcze kieliszczyk ajerkoniaku. Poza tym gadała najczęściej ze swoimi sąsiadkami, a żadna z nich nie miała telefonu, więc aparat stał w korytarzu i się kurzył. Używał go od czasu do czasu Teofil, który dzwonił na zegarynkę i według niej nastawiał budzik.

Tym razem jednak Jadwiga postanowiła skorzystać z możliwości, jakie daje jej technika, która zagnieździła się w mieszkaniu. Wyjęła z torebki niewielki kalendarzyk i otworzyła go na jednej z ostatnich stron, gdzie zapisuje się numery telefonów. Miała tam zanotowany tylko jeden, a obok cyfr widniał dopisek „Teofil – robota”.

Wykręciła numer na tarczy czerwonego i bardzo nowoczesnego aparatu, o czym zapewniał pracownik poczty instalujący telefon. Była tak zdenerwowana, że dopiero za piątym razem udało się jej uzyskać połączenie.

– Halo – odezwał się jakiś męski głos po drugiej stronie.

– Halo, kto mówi? – zapytała Olkiewiczowa, żeby upewnić się, czy na pewno rozmawia z właściwą osobą.

– Jak kto mówi? – zdziwił się rozmówca. – Ja mówię.

– Aha, a to ja mówię tutaj – wyjaśniła Jadwiga.

– No proszę bardzo. To niemożliwe! To pani?

– Ja mówię. A Teofila ni ma w chacie od wczoraj.

Dopiero teraz Mirek Brodziak uświadomił sobie, z kim ma do czynienia. Niezbyt często rozmawiał z Olkiewiczową, a przez telefon po raz pierwszy w życiu, nic więc dziwnego, że jej nie poznał od razu.

– Pani Olkiewiczowa?

– No!

– Tu Brodziak mówi.

– No, to dobrze, panie Mirek, onego ni ma w chacie. Nie przyszedł w nocy i rano też nie...

– Pewnie przyjdzie...Coś ważnego musiało go zatrzymać – próbował usprawiedliwić kolegę.

– Dzisiaj jest Dzień Kobiet. On zawsze w Dzień Kobiet mi kwiatki kupuje, a dziś nie kupił. Coś się musiało stać!

– Wczoraj po południu jeszcze żeśmy się widzieli. – Brodziak właśnie uświadomił sobie, że wczoraj zupełnie zapomniał o Olkiewiczzu. A właściwie nie zapomniał, tylko machnął na niego ręką. Gdy wyszli z kamienicy z Markowskim, spodziewał się, że Teoś będzie siedział w nysce. Nie było go tam, a Kowal nic nie wiedział na jego temat. No więc Mirek pomyślał sobie, że Teofilowi znudziło się czekanie i poszedł do którejś z okolicznych knajp, jak to już nieraz się zdarzało. No ale jeśli poszedł do knajpy, to później trafiłby do domu jak zwykle. On był z tych, którzy zawsze trafiali do swojego łóżka. No i ten Dzień Kobiet. O takich datach jak ósmy marca się nie zapomina...

Naraz zrozumiał, dlaczego Marzena od rana była taka nadąsana. Trzeba będzie kupić szybko kilka goździków i popędzić do restauracji Turystycznej, bo tam jego narzeczona pracowała jako szefowa zmiany kelnerek. Jakoś będzie musiał się wytłumaczyć z tego fatalnego zaniedbania. A co z Olkiewiczem? Przecież komuś takiemu jak on nie mogło się nic stać...

– Pani Jadwigo, niech się pani nic nie martwi. Teoś się zawsze znajduje. Ja zaraz zacznę go szukać i obiecuję pani, że przyprowadzę go do domu żywego lub... – Na szczęście w porę ugryzł się w język, a Olkiewiczowa nie zrozumiała.

– Żywego i z kwiatkami – domyśliła się.

– O to właśnie idzie! Ale jemu o kwiatkach na Dzień Kobiet to nigdy nie trzeba przypominać. To on nam zawsze przypomina, jakby kto nie pamiętał.

– Mój Boże, cały Teoś – westchnęła Olkiewiczowa i odłożyła słuchawkę. Bo i o czym miała więcej gadać. W końcu Brodziak obiecał, że go przyprowadzi. A jak coś mówił, to tak było, i koniec. Tak jak w zeszłym roku. gdy zepsuł się telewizor, a było to zaraz przed świętami wielkanocnymi i nikt z ZURT-u nie chciał przyjść do naprawy, Teofil poprosił kolegę o pomoc. Ten jeszcze tego samego dnia przywiózł mechanika, który zrobił naprawę na

miejsu i na dodatek nie chciał za nią żadnych pieniędzy. Teofil musiał mu wcisnąć flaszkę, bo bez zapłaty byłoby przecież niehonorowo.

Poszła do kuchni, nastawiła czajnik na herbatę na piecu, a potem włączyła stojące na parapecie radio tranzystorowe. Z głośniczka popłynęły dźwięki pięknej piosenki Ireny Jarockiej o kawiarenkach, które odpływają, nie wiadomo gdzie.

*Miejsc wkoło nas coraz mniej,
już dymi z okien złotym obłokiem
I barman już woła:
Hej! Już kawiarenka rusza w rejs, wielki rejs.*

Jadwiga знаła dobrze tę piosenkę, bo dość często puszczała ją w pierwszym programie radiowym, ale za nic w świecie nie potrafiła sobie wyobrazić, jak te kawiarenki w ogóle płyną, bo przecież wiadomo, że pływać to mogą ryby, statki, a nawet ludzie, ale żeby jakaś kawiarnia gdzieś odpłynęła, to raczej było niemożliwe. No chyba że ktoś za dużo wypił i to nie kawy, ale wina albo czegoś innego, wtedy ta kawiarenka mogła mu odpłynąć albo lepiej ten gość razem z nią. Postanowiła, że zapyta o to Teofila, gdy ten wreszcie pojawi się w domu. On umiał wiele spraw w prosty sposób wytłumaczyć.

Poprzez gąszcz parapetowych pelargonii spojrzała na podwórko. Znowu zaczynało padać.

Godzina 9.15

– No i co macie mi do powiedzenia, proszę ja ciebie. – Pułkownik Żyto wydobył z paczki popularnego, a obaj jego podwładni natychmiast włożyli dłonie do własnych kieszeni w poszukiwaniu swoich papierosów.

Podpułkownik Marcinkowski zapalił marlboro i wzruszył ramionami. Akurat on niewiele mógł powiedzieć. Najwięcej o sprawie wiedział Brodziak, który grzebał w pogniecionej paczce swoich cameli, zapewne w poszukiwaniu niezłamanej sztuki.

– Mirek będzie mówił. – Fred wskazał ruchem głowy na rudzielca, któremu wreszcie udało się wyciągnąć w miarę całego papierosa. Włożył go do ust, a Marcinkowski zapalił zapalniczkę i podał mu ogień.

– To o co w tym wszystkim się rozchodzi, Mirek, proszę ja ciebie, bo ja mam wrażenie, że to, co się dzieje, to, proszę ja ciebie, jest jak porządek w burdelu wojskowym. Niby jest lekarz, niby sprawdzają czystość, a syf czai się w każdym łóżku.

– Lepiej pan tego nie mógł ująć – bąknął Brodziak, który cały czas się zastanawiał, jak zacząć. Najlepiej byłoby od początku, ale w tej sytuacji musiałyby wkopać Grubego Rycha. Tylko czy w ogóle można go w tej sprawie pominąć. Trzeba tym dwóm facetom zaufać, bo bez ich pomocy niewiele będzie w stanie zrobić.

– Wygląda to na jakąś paskudną akcję SB, która wymknęła im się spod kontroli – zaczął powoli, spoglądając to na pułkownika, to na Marcinkowskiego. O ile szef patrzył na niego uważnie, o tyle z twarzy Freda niewiele dało się wyczytać. Skupiony gapił się w jeden punkt na ścianie. Dopiero teraz Mirek uświadomił sobie, że przez lata w tym miejscu wisiał portret Feliksa Dzierżyńskiego. Przypominał o tym tylko ciemniejszy kontur na wyblakłej farbie. Czyżby muchy go obsrały i Żyto dał go do czyszczenia, czy też Krwawy Felek został wyrzucony na śmietnik historii? – pomyślał, ale postać pierwszego czekisty nie interesowała go tak bardzo, by miał snuć jakieś poważniejsze rozważania nad upadkiem autorytetów i przemijaniem. Ważniejsi byli współcześni czekisci z SB, którzy realizowali jakiś cholerny plan niosący ze sobą krwawe zniwo w postaci zabitych cinkciarzy i dziewczyny Grubego Rycha. – Zacznę więc od faktów, a później przejdę do niesprawdzonych, zasłyszanych historii.

– Tylko, proszę ja ciebie, bez fantazji żadnych. – Żyto wstał z fotela, by otworzyć okno. Jego pokój nie był zbyt wielki, więc przy trzech palących osobach gęsty dym można było kroić nożem. Zaraz do środka wpadł świeży powiew przesiąkniętego deszczową wilgocią powietrza, które natychmiast wyssało papierosową zawieszinę.

– Najpierw nad Bogdanką dzieciaki z pobliskiej podstawówki znajdują zwłoki mężczyzny. Facet zostaje zabity strzałem w czoło z bliskiej odległości. Strzał z przyłożenia. Denata wkrótce udaje się zidentyfikować jako... – tu spojrzał do swojego notesu – jako niejakiego Janusza Grajka. – Zapisał nazwisko, które podał mu Mariusz Blaszkowski po tym, jak Teofil odkrył, że zabity to człowiek ze zdjęcia, które wisiało na ich tablicy. – Z moich ustaleń wynika, że człowiek ten pracował dla niejakiego Krzyżaniaka Marcelego, właściciela szwalni produkującej dzinsy. Być może ci, którzy zabili tego Grajka, chcieli w ten sposób coś wymusić na tym Krzyżaniaku, który prócz legalnej działalności produkcyjnej zajmował się

również handlem walutami na poważną skalę, a jego ludzie obstawiali trzy poznańskie peweksy. W nocy z soboty na niedzielę Krzyżaniak został zabity w podobny sposób jak jego człowiek, strzałem w czoło. Ktoś mógłby powiedzieć, że to przypadek, ale w takie przypadki raczej nie wierzymy.

– Jeśli jeszcze kaliber broni się zgadza, no to mamy odpowiedź na wątpliwości w kwestii przypadku – odezwał się w końcu Fred Marcinkowski.

– Ten sam – potwierdził Mirek. – Badania balistyczne jeszcze potrwają, ale mam wrażenie, że to ta sama spluwa.

– No dobra – odezwał się pułkownik, który właśnie opróżnił swoją szklaną lufkę z niedopalonych resztek po popularnym. – To teraz gadaj, proszę ja ciebie, Mirek, jak na spowiedzi świętej, co wiesz o ludziach z resortu, którzy maczali w tej sprawie swoje paluchy. Jeśli mamy cokolwiek zrobić, muszę wiedzieć wszystko.

Brodziak pokiwał głową. Dziś rano, gdy tylko przyszedł do pracy, zdał relację Fredowi. Nie można powiedzieć, by ten był zadowolony, że jego najbliższy kumpel coś przed nim ukrywał, ale Mirek wytłumaczył mu, że najpierw sam musiał sobie wszystko przemyśleć. Nie chciał przecież wsypywać starego przyjaciela z podwórka, a przecież Gruby Rychu tkwił w sprawie po uszy. Fred niby to rozumiał, ale i tak miał w dalszym ciągu muchy w nosie. No i to on zdecydował, że nie mogą tych informacji zachować dla siebie. Trzeba było sprawę przedstawić szefowi.

– Zacznę od Półwiejskiej – mówiąc to, spojrzał na Marcinkowskiego. Ten z aprobatą pokiwał głową. Żyto zauważył to, lecz nic nie powiedział. Czekał na konkrety.

– Na Półwiejskiej pod peweksem chciałem pogadać z cinkciarzami, których znam, w kwestii tego zabitego gościa nad Bogdanką. Poszliśmy tam z Olkiewiczem. Ja poszedłem pod peweks, a on na wszelki wypadek stał dalej. Moich znajomych nie było. W ogóle nie było żadnego cinkciarza i to już wydawało się podejrzane. Poczekalem trochę i podszedł do mnie jakiś obcy gość, który wziął mnie za handlarza walutą. Powiedział, że mam wypierdalać z ulicy, bo on obejmuje tutaj teren, i żeby mnie postraszyć, wyciągnął gnata.

– No to trzeba było go od razu przymknąć. – Żyto lubił proste rozwiązania.

– Może i w normalnych warunkach by było trzeba – zgodził się z nim Brodziak. – Jednak jak ja bym go tam zaobrączkował, to wcale obywatel pułkownik nie byłby zadowolony.

– Jak nie, proszę ja ciebie?

– A to dlatego, że tego gościa rozpoznał Olkiewicz. Znaczy, zna go z widzenia. Nie z nazwiska i imienia, ale wie, że to facet, który pracował kiedyś w naszej komendzie. Dokładnie to w SB.

Mirek i Fred byli przekonani, że ta informacja zelektryzuje pułkownika albo przynajmniej go zdenerwuje. Nic z tego. Żyto siedział dalej z rękami złożonymi na piersi, czekając na dalszy ciąg opowieści.

– No mów, mów, proszę ja ciebie...

– Może więc to oznaczać, że nasi koledzy z SB postanowili przejąć rynek walutowy z pomocą swoich dawnych kumpli. Ale to tylko jeden z faktów przemawiających za tą teorią. Fakt kolejny jest taki. Niejaki major Wróbel, emerytowany funkcjonariusz...

– Wróbel Alojzy? – przerwał mu Żyto.

– Tak jest.

– Ja jego znam, tego Alojzego. To wyjątkowy ćwok i do tego służbista jakich mało, ale też dokładny i skrupulatny, jak mało który. To co z tym Wróblem, proszę ja ciebie?

– Wróbel okazał się sąsiadem zabitego Krzyżaniaka, który mieszka piętro niżej, a do tego jeszcze jest byłym dowódcą Olkiewicza.

Żyto machnął ręką.

– Ja wiem, bo jak się Olkiewicz u nas pojawił w osiemdziesiątym pierwszym, to ten Wróbel jeszcze do mnie słał raporty na jego temat, że niby głupi jak but i nic z niego nie będzie. Musiał mieć jakąś cholerę na Teosia.

– A tym razem chciał Teofilowi pomóc, znaczy się pomóc nam. Dał Olkiewiczowi swój raport z obserwacji nocnej. Bo ten facet zamiast spać po nocy, obserwuje, co się dzieje w jego kamienicy.

– I bardzo dobrze robi – pochwalił go Żyto. – Jakby wszyscy byli tacy czujni, to o ile mniej byśmy mieli roboty.

– No i w tym raporcie Wróbel opisuje dwóch facetów, którzy odwiedzili w noc morderstwa jego sąsiada Krzyżaniaka.

– Rysopisy dokładne? No to trzeba by do niego posłać naszego rysownika – ucieszył się pułkownik.

– To nie są rysopisy, obywatelu pułkowniku – odezwał się Marcinkowski. – To są nazwiska konkretnych funkcjonariuszy SB. Zaraz, jak tylko je dostałem, sprawdziłem obu.

Otworzył leżący przed nim na stole czarny notes i zajrzał do środka.

– Pierwszy z nich to Piotr Michalak, kapitan SB, przydział służbowy KWMO Poznań. Nie znam osobiście gościa, ale udało mi się dowiedzieć, że facet pracował w pionie III, czyli

do walki z działalnością antypaństwową. I w tym niby nie ma niczego zaskakującego, ale za to ten drugi jest znacznie ciekawszy. Ten się nazywa Wiesław Piekarek, jest kapitanem SB z przydziałem do komendy miejskiej. Ale najlepsze jest to, z jakiego pionu jest...

– No z jakiego? – nie wytrzymał Żyto.

– Pion IV, czyli kościoły i związki wyznaniowe.

– A to ciekawe – stwierdził Żyto, ale Marcinkowski natychmiast wszedł mu w słowo.

– Najciekawsze jest jednak to, obywatelu pułkowniku, że ci dwaj faceci to też byli esbecy. Żaden z nich już nie pracuje w resorcie.

Przez chwilę w pokoju zrobiło się cicho. Żyto zastygł za biurkiem z grymasem zdumienia na twarzy. Potrzebował chwili, żeby przetrwać tę informację.

– Założyli „spółdzielnię” – stwierdził w końcu pułkownik.

– Co takiego? – nie zrozumiał Brodziak.

– „Spółdzielnia”, proszę ja ciebie, Mirek, to jest wtedy, jak funkcjonariusze razem zaczynają robić jakąś przewalkę. A wiedzą, jak to robić, bo przez lata całe robili to, proszę ja ciebie, służbowo, a teraz na własny rachunek.

– Może to jakaś pomyłka? Może Wróbel się pomylił? – Brodziak próbował podsunąć najprostsze wytłumaczenie.

Żyto pokręcił głową i znów zabrał się za wciskanie połówki popularnego w szklaną lufkę.

– Jak Wróbel napisał, że to jest ten Piekarek i jeszcze tego drugiego też rozpoznał, to on wie, proszę ja ciebie, co napisał. On ich wszystkich dobrze zna. Zresztą by można tego Wróbla jeszcze wypytać.

– Nie można, obywatelu pułkowniku.

– Nie, a czemu?

Bo Wróbel zniknął. Sąsiadka z naprzeciwka powiedziała, że zabrali go jacyś faceci, którzy według niej wyglądali na esbeków. Może coś mu się stało...

Żyto znowu zapalił i zaraz przypomniał sobie o siedzących nieopodal podwładnych. Chwytał paczkę popularnych, ale oni byli szybsi. Obaj już podpalali własne papierosy.

– Jemu, temu Wróblu, to się nigdy nic nie stanie. Kuty jest na cztery łapy jak ten spadający kot, co się wywija ogonem do góry. A baba może się mylić albo i nie. – Pułkownik nie bardzo przejął się tym, że jego dawny znajomy został wyprowadzony z domu przez nieznaną ludzi. Bardziej zirytował go fakt, że major nie może potwierdzić wiarygodności swojego raportu. – No to mamy już jakiś obraz, co nam naświetla jasność sytuacji, proszę ja ciebie. Tylko że, proszę ja ciebie, jak na razie to ja jeszcze nie wiem, co mam z tym zrobić.

Bo pewne jest jak wynik dodawania dwóch jedynek, że esbecja coś szykuje i to coś dużego, tylko ja na razie nie mam mocnych danych, żeby do tego dodawania dodać jeszcze jedno, żeby wyszło na nasze trzy. Dlatego ja myślę, proszę ja ciebie, że póki co trzeba jeszcze uważać, żeby nie wylać przysłowiowego dziecka z wanną razem. Idzie o to, żeby wylać tylko to niechciane dziecko, a wanna żeby się została dla nas w naszych rękach. Tak żeby, proszę ja ciebie, coś zrobić więcej, to nam jest potrzebny jakiś konkret, a nie tylko raport starego pierdziela Wróbla, który mnie zaraz obeśmieją...

– Jest konkret, obywatelu pułkowniku, tylko nie do oficjalnego wykorzystania – stwierdził Mirek, spuszczać wzrok mniej więcej tam, gdzie jego obute w adidasy nogi niknęły pod przykrytym zielonym suknem blatem stołu. – Mamy najlepszy z możliwych konkretów.

– Jaki, proszę ja... Dorwaliście kogoś z tych skurwieli i nie wiecie teraz, co robić – domyślił się Żyto.

– Znacznie gorzej, obywatelu pułkowniku. – Fred Marcinkowski uśmiechnął się pod wąsem. To „znacznie gorzej” połączone z uśmiechem oznaczało jedno. Marcinkowski czuł się jak uczeń, który za chwilę zaskoczy nauczyciela niewiarygodną, ale prawdziwą odpowiedzią. A najlepsze w tym wszystkim było to, że może całkowicie zdystansować się od tej sprawy i nie brać za nią żadnej odpowiedzialności. To Mirek musiał przełknąć tę żabę.

– Do mieszkania mojego kumpla z dzieciństwa, Grubego Rycha, czyli Ryszarda Grubińskiego, o którym obywatel pułkownik już nieraz słyszał jako o jednym z najważniejszych cinkciarzy w Poznaniu, w nocy z soboty na niedzielę weszło dwóch uzbrojonych bandytów. Faceci chcieli zabić Grubińskiego. Wpadli więc do sypialni i otworzyli ogień z rozpylacza do osoby leżącej na łóżku.

– Zabili go? – zapytał z niedowierzaniem w głosie pułkownik. Brodziak pokręcił głową.

– Zabili jego narzeczoną.

– No i co dalej?

– Jeden z napastników tak nieszczęśliwie się potknął i przewrócił, że jego pistolet wypalił i człowiek zginął...

– A drugi chce o wszystkim opowiedzieć, jak się, proszę ja ciebie, domyślam?

– Nie chce, tylko opowiedział. Przyznał, kto go przysłał i że jest byłym esbekiem.

Pułkownik Żyto zapewne zapaliłby kolejnego papierosa, ale zapomniał wydłubać niedopałek ze swojej szklanej lufki. W roztargnieniu więc obracał w palcach paczkę popularnych, jakby zastanawiając się nad tym, czy palić, czy nie. Jednak był to tylko pozór. Mózg starego milicjanta pracował na najwyższych obrotach, bo jego podwładni przynieśli mu

właśnie do pokoju prawdziwą bombę z opóźnionym zapłonem. Musiał więc tu i teraz podjąć decyzję, czy ją rozbrajać, czy wrzucić na biurko komendanta wojewódzkiego, żeby wybuchła i opryskała gównem całe to esbeckie towarzystwo. No chyba że można by zrobić z nią jeszcze coś innego... Spojrzał na obu swoich oficerów. Miał do nich całkowite zaufanie i wiedział, że może z nimi spróbować podjąć poważną rozgrywkę.

– Kto z miejskiej prowadzi to śledztwo w sprawie zastrzelonych cinkciarzy?

– Kapitan Marjański – odpowiedział Brodziak.

– A w sprawie strzelaniny u Grubińskiego?

– Nie ma śledztwa. Nie było strzelaniny – wyjaśnił Marcinkowski.

– No tak, to jasne, proszę ja ciebie, Fred, że jak nie było strzelaniny, to śledztwa nie ma.

W tej sytuacji Mirek przejmuje dochodzenie w sprawie cinkciarzy, ty, Fred, nadzór, a tego Marjańskiego trzeba by gdzieś w trybie pilnym przenieść, żeby nie było żadnych podejrzeń...

Sięgnął po teczkę leżącą na biurku, otworzył ją i zaczął czytać dokument. Po chwili wskazał palcem jakiś akapit.

– O właśnie o to się rozchodzi, proszę ja ciebie, bo w Pniewach akuratnie zwolniło się stanowisko komendanta i pilnie potrzebują tam kogoś jako pełniącego obowiązki. Myślicie, że się ten Marjański nada?

Mirek Brodziak pokiwał głową. Marjański nadawał się przecież do każdej roli. Jak to artysta.

Godzina 9.45

– To wszystko wygląda na dobrze przemyślaną akcję – stwierdził Rychu.

– No dobrze, tylko do czego ma zmierzać ta akcja?

– Jak to do czego? Do przejęcia całego walutowego rynku.

– Ale jeśli oni by chcieli coś przejmować, to przecież nie musieli nikogo zabijać. Mogli zwyczajnie powsadzać ludzi do pierdła i później robić swoje.

– Właśnie nad tym się zastanawiałem i wiesz, do czego doszedłem? – Rychu patrzył na Magdę, jak ta kroi chleb na równe kromki. Jemu nigdy ta sztuka się nie udawała, a kanapki wyglądały zawsze tak, jakby ktoś kroił je za pomocą siekiery.

– No mów...

– Oni postanowili sprzątnąć tych, którzy rządzą na rynku, po to, żeby przejąć wszystkich pozostałych, znaczy Krzyżaniaka i mnie.

– Jak to? Po co?

– Jeśli nie ma Marcelego i nie ma mnie, to nasi ludzie muszą przecież coś robić. I wtedy pojawiają się oni i mówią: „My wam teraz zorganizujemy robotę i ta robota będzie całkowicie bezpieczna i legalna”.

– Bez sensu. Po co im wasi ludzie?

– Bo nasi ludzie znają się na handlu walutami. To najlepsi specje. Oni są cenni jak złoto dla każdego, kto chce założyć biznes bankowy A przy okazji jeszcze można trochę na ten interes zarobić, na przykład zabierając Krzyżaniakowi jego pieniądze.

Uśmiechnęła się pod nosem. Jeśli mieli mu coś zabrać, to się przeliczyli. Pieniądze były bezpieczne na samym dnie jej szafy No bo przecież tu na Ratajach, w jej małym dwupokojowym mieszkaniu, żaden gnojek z SB nie będzie szukał tej kasy. Zresztą zrobiła, jak kazał Krzyżaniak, zabrała wszystko i tak jak napisał w liście, znalazł ją Gruby Rychu.

Facet siedział teraz w jej niewielkiej kuchni, pił herbatę z cukrem i przyglądał się, jak robi kanapki z żółtym serem. Nie miała nic innego do jedzenia, a że pora była dość wczesna, więc zaoferowała te zwyczajne domowe sznytki i do tego słoik ogórków konserwowych, czyli coś, co zawsze można było dostać w sklepie osiedlowym i co stanowiło podstawę jej wyżywienia.

Postawiła na blacie talerz kanapek, a ogórki wyłożyła na niewielką plastikową podstawkę. Rychu natychmiast zabrał się za pałaszowanie. Pewnie nie jadł jeszcze śniadania, pomyślała, patrząc na wiszący nad lodówką ścienny zegar na baterie, przedstawiający wizerunek Myszki Miki, której oczy poruszały się w prawo i w lewo w rytm przemieszczającej się po tarczy wskazówki sekundnika. O tej porze powinna być już w butiku i przygotowywać towar przed otwarciem sklepu. Ale dzisiaj miała ją zastąpić matka. Na całe szczęście znalazła się na prowadzeniu interesu. Teraz będzie musiała zająć się sklepem na cały etat. Może tylko poszuka się dla niej jakiejś pomocy. Młoda dziewczyna za ladą lepiej sobie poradzi z klientkami i dostawcami towaru, a mama mogłaby tylko wszystko nadzorować. Bo Magda jednego była pewna. Za nic nie zrezygnuje ze swojego butikku na Łazarzu. Przecież był to ten jej pierwszy, wymarzony biznes, który stworzyła od zera i sprawiła, że stał się całkiem dochodowy. Teraz, gdy miała szwalnię, punkt powinien dalej działać i stać się sklepem firmowym. Musiała jednak zorientować się jeszcze w sprawach swojej nowej firmy i przede wszystkim w planach, jakie miał jej nieżyjący już partner. W te miał ją wtajemniczyć Gruby Rychu.

Wtedy, gdy Grubiński wszedł do jej nowego biura, w pierwszej chwili się przestraszyła, bo wyglądało to trochę niewiarygodnie, zwłaszcza po tym, co przeczytała w liście, który przed śmiercią napisał do niej Krzyżaniak. Facet pojawił się dokładnie tak, jak przewidywał to Marceli.

Kochana Magdo!

Jeśli czytasz ten list, to znaczy, że już jest po mnie. Dopadli mnie esbecy, którym się postawiłem. Może i niepotrzebnie, może powinienem się im podporządkować i pójść na współpracę z tymi świniami. Ale powiem szczerze, że liczyłem na to, że uda mi się ich wystrychnąć na dudka. Widać mnie się nie udało, ale skoro masz list, to znaczy, że ty to możesz zrobić.

Przede wszystkim masz całe pieniądze przeznaczone na nasz biznes, do tego masz akt notarialny własności szwalni – to ta połowa, którą zapisałem na ciebie, bez twojej wiedzy. Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci przykrości, nadużywając w ten sposób twojego dowodu i zaufania.

Drugą połowę szwalni dostaniesz w spadku, o czym zapewne wkrótce poinformuje cię mój adwokat, mecenas Dopierała. Powinien się do ciebie niedługo odezwać. Zgłosi się też do ciebie ktoś jeszcze, mój stary przyjaciel Rychu Grubiński. Tak, to ten sam gość, który jest szefem większości poznańskich cinkciarzy, czyli król interesów walutowych w naszym mieście. Od lat współpracowaliśmy, ale od kilku miesięcy robiliśmy to bardzo ściśle, mając na myśli interes życia. Niczego nie będę ci wyjaśniał w liście. Rychu powie ci to sam, gdy się spotkacie. Proszę cię o jedno – z pełną ufnością przekaz mu nasze pieniądze. On powie ci, na co je spożytkuje. Ja ufam mu tak samo jak tobie, więc możesz i ty śmiało mu zaufać.

Szkoda, że mojego interesu życia nie możemy zrobić razem. Zrobicie go w moim imieniu...

– Oni nie mają pieniędzy Krzyżaniaka – stwierdziła zadowolona, popijając herbatę z porcelanowego kubka. Rychu wołał pić ze szklanki, tak jak to robił przez całe lata, a picie z kubków wydawało mu się takie staromodne. Jego babcia zawsze parzyła kawę i herbatę w filiżankach, ale on u siebie w kuchni nie miał żadnych porcelanowych wynalazków. Jako człowiek idący z duchem czasu kupował deficytowe szklanki, a od pewnego czasu używał tych niezwykle modnych i wykwintnych z duralexu, które można było dostać tylko w

peweksie. A tu, proszę, biała porcelana jak u babci Krysi i dziadka Anatola w ich mieszkaniu na Garbarach. Ciekawe, że taka młoda dziewczyna nie szła z duchem czasu, ale lubiła takie starocie. Rozejrzał się po niewielkiej kuchni Magdy i ze zdziwieniem dostrzegł, że było tu sporo takich starych dupereli, które mogłyby z powodzeniem znaleźć się w babcinej kuchni, takie jak przedwojenna waga stołowa, moździerz czy w końcu stojący na parapecie ręczny młynek do kawy.

– Lubisz starocie – stwierdził raczej, niż zapytał.

Spojrzała na swój kubek i uśmiechnęła się.

– Takie przedmioty mają duszę. Wolę starą porcelanę, którą dotykały i gładziły już setki rąk. – Delikatnie objechała palcem brzeg filiżanki. – Każdy taki przedmiot, gdyby umiał mówić, opowiedziałby pewnie swoją historię.

– A te twoje kubki co by powiedziały?

– Że kupiła je moja babcia jeszcze przed wojną gdzieś w sklepie w okolicy Starego Rynku i zaniósła do mieszkania na Szewskiej.

– No proszę, a moja rodzina też jest z tego fyrłka. Dziadkowie mieszkali na Garbarach, a moi starzy na Woźnej.

– No widzisz, ile w takim naczyniu jest zamkniętych wspomnień? Czy historie rodzinne da się wyczarować z kubka duraleksowego? Duralex nie ma historii. I nie będzie miał.

– A to czemu?

– Bo nie zdąży. Potłucze się i zniknie...

– Ale jest nowoczesny.

– Nie wszystko, co nowoczesne, jest lepsze od starego.

Rychu spojrzał na Magdę uważniej. Jeszcze nigdy nie pomyślał, że coś starego mogło mieć jakąś wartość. No owszem, obrazy czy meble. Na ścianach miał kilka obrazów Kossaka, a w domu sporo drogich mebli, jednak to nie były przedmioty do lubienia, tylko inwestycje. Ale żeby przywiązywać wagę do kubków, szklanek czy talerzy? To przecież wszystko były nic niewarte pierdoły.

– One są jak ludzie. Jedne się tłuką i nie ma po nich śladu, a inne są trwałe, jak to, co po niektórych zostaje. Po nas zostanie to, co sami stworzymy.

Rychu wzruszył ramionami. Jak dla niego za dużo było tego wymyślania. Po kanapkach nic już nie zostało, podobnie jak po ogórkach. Zjadł wszystko.

– Po Krzyżaniaku została torba – powiedziała Magda.

– Jaka torba? – zainteresował się Grubiński.

– Ta, której pewnie szukali ci faceci z SB.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Dlatego chciałam, żebyś do mnie przyjechał. Nie mam zamiaru jeździć po mieście z taką furą pieniędzy.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? – Rychu najwyraźniej był zdumiony. Spotkał się z nią, bo Krzyżaniak, jego stary kumpel, prosił go o to jakiś czas temu. Przyjechał do niego w ubiegłym miesiącu i wymógł na nim obietnicę, że w razie gdyby mu się coś stało, Rychu ma się zaopiekować jego dziewczyną. No więc on jako człowiek, który zawsze dotrzymywał słowa, na wieść o śmierci przyjaciela natychmiast pojechał do jego firmy zapewnić tę jego Magdę, że może liczyć na wszelką pomoc. Wtedy dziewczyna poprosiła go, by zjawił się nazajutrz w jej mieszkaniu na Ratajach. Więc przyszedł, sądząc, że chce się wypłakać i ewentualnie skonsultować działania na najbliższą przyszłość. Tymczasem ona mówiła coś o jakiejś forsie.

Wstała od stołu i poszła do przedpokoju. Rychu dobrze widział, co tam robi, bo szafa garderobiana, taka wbudowana we wnękę ścienną, była dokładnie na wprost drzwi od kuchni. Dziewczyna nachyliła się i po chwili spod sterty ciuchów wygrzebała niewielką walizeczkę, taką popularną aktówkę, jaką noszą do pracy urzędnicy. Wróciła z nią do kuchni. Bez słowa położyła na blacie stołu, a potem zaczęła w obu zamkach wprowadzać szyfr. Po chwili walizka była otwarta. Rychu zajrzał do środka i aż zaniemówił. Wewnątrz leżały równo poukładane pliki studolarowych banknotów.

– O ja cię pierdole! – jęknął na widok tej fortuny. – Ile tego jest?

– Nie liczyłam, ale wydaje mi się, że może coś około stu tysięcy.

– O w mordę!

– To miało być nasze zabezpieczenie na przyszłość. Miał te pieniądze zainwestować.

– W co?

– To ty mi powiedz.

– W nasz wspólny bank.

– No to proszę bardzo. To moja część wspólnej inwestycji.

Grubiński spojrzał na nią, a potem na pieniądze. Z tą kasą mógł zrobić znacznie więcej, niż zamierzał. Łącząc ją z własnymi funduszami, mógł właściwie zrobić wszystko.

– Trzeba to przeliczyć, muszę ci wystawić jakieś pokwitowanie, umowę musimy zrobić...

– Nic nie musimy – przerwała mu. – Marceli powiedział, że mam ci we wszystkim zaufać. – Podała mu list, który cały czas tkwił w walizce między plikami banknotów.

Rychu szybko przebiegł część dotyczącą kwestii związanych ze sprawami spadkowymi. To było dla niego najmniej interesujące. Uważniej zaczął analizować dopiero końcowy fragment.

Ci, którzy proponowali mi robienie wspólnych interesów, to byli esbecy, którzy odeszli ze służby. Chcieli, bym przekazał im wszystkich swoich ludzi, którzy pracują w walutowym interesie. Zamierzają otworzyć w kraju kantory wymiany walut w chwili, gdy będzie można już walutami legalnie handlować. Chcieli też, żebym dołożył do ich interesu nasze pieniądze. Nie zgodziłem się oczywiście. Pomyślałem, że można ich wyrolować. Obiecałem, że się zastanowię, żeby zyskać na czasie. Ten facet, który nimi dowodzi, nazywa się Wirski. Swoją drogą, ten Tadeusz Wirski to niezły skurwysyn...

I jeszcze jedno na koniec. Rychu, zaopiekuj się Magdą. Wasz Marcełi

Grubiński wsunął list do koperty i oddał Magdzie. Ta odłożyła go na blat stołu, po czym zamknęła walizkę, przekręcając pierścienie szyfru,

– Otworzysz ją, wpisując cztery cyfry 1-1-0-9.

– Nie mógł wybrać czegoś prostszego? Co to za cyfry?

– To dzień i miesiąc mojego urodzenia. Jedenasty wrzesnia.

– No to w takim razie zapamiętam. A pieniądze zainwestuję tak jak własne. Możesz być pewna.

– Wiem.

– I jeszcze wszystkiego najlepszego w Dniu Kobiet.

Popatrzyła na jego brodatą i w sumie sympatyczną gębę, uśmiechając się smutno.

– Nikt mi dziś nie kupił kwiatka.

– Jak wszystko załatwimy, kupię ci całą kwaciarnię – zadeklarował, ale zupełnie nie wiedział, dlaczego. Tak jakoś samo wyszło.

Godzina 11.15

Kapitan Marjański postanowił, że musi trochę spuścić z tonu. Powinien wszystko sobie należycie przemyśleć, bo miał dziwne wrażenie, że trochę się zagubił w tym pędzącym na łeb na szyję nowoczesnym świecie. Ale nie dane było mu zastanowić się nad sensem życia. Gdyby miał spokojny dzień w pracy, to może, siedząc przy biurku, doszedłby do jakichś konkretnych konkluzji. Ale niestety, nie można było prowadzić żadnych egzystencjalnych analiz w obliczu własnego szefa, który zadowolony jak poranny skowronek wszedł do pokoju podwładnego.

– No co tam, kapitanie? – zawołał od drzwi tonem, który każdemu, kto znał stosunki panujące w wydziale, musiał się wydać nazbyt familiarnym. Zazwyczaj Stachura mówił niewiele, a kiedy już coś powiedział, to w mało sympatyczny sposób. Ale dziś zachowywał się inaczej i to powinno było wzbudzić czujność Marjańskiego. Kapitan nie zwrócił jednak najmniejszej uwagi na tę metamorfozę.

– Melduję, że wszystko w porządku, obywatelu pułkowniku. – Wstał zza biurka i zameldował się przepisowo, ale Stachura machnął tylko ręką.

– No bez ceregieli, kapitanie – uśmiechnął się, zadowolony nie wiedzieć z jakiego powodu. – Siadajcie i opowiadajcie. – Podpułkownik usiadł na krześle ustawionym przed biurkiem.

Pokój, w którym pracował Marjański, należał do tych nędznych kanciap, jakich pełno było na komendach milicji w całym kraju. Na kilku metrach kwadratowych mieściły się zaledwie dwa mocno zużyte już biurka wyprodukowane w roku sześćdziesiątym pierwszym przez Spółdzielnię Inwalidów Niedowidzących Świetlana Przyszłość. Do tego dochodziła szafa na akta zamykana na kłódkę, do której klucz zginął półtora roku temu, ale jak dotąd żaden z dwóch urzędujących tu milicjantów nie wpadł na pomysł, by wymienić ją na nową. W pokoju było jeszcze trochę miejsca na jedno krzesło dla interesanta, więc podpułkownik mógł na nim usiąść, choć nie należało ono do najwygodniejszych. Bo i nikt nie ustawił tu mebla dla miłych gości, ale dla ludzi, którzy już po minucie powinni się zacząć wiercić i niecierpliwie. Stachura przesunął się nieco na prawy półdupek już po trzydziestu sekundach.

– Znaczy się, o czym mam opowiadać? – zapytał podejrzliwie Marjański.

– No jak o czym? O waszym sukcesie?

– Moim?

– No nie bądźcie tacy skromni. Ja już wszystko wiem. Dzwonili do mnie z wojewódzkiej.

– Tak? Ale w jakiej sprawie? Ja naprawdę nic nie wiem, obywatelu pułkowniku.

Stachura zmarszczył brwi. Przez chwilę pomyślał, że ktoś w wojewódzkiej zażartował sobie z niego. No ale w takim razie, po jaką cholere te żarty. Żyto to nie człowiek, który był typem dowcipnisia. Znał go od wielu lat i wcale nie potrafił sobie przypomnieć jakiegoś żartu w jego wykonaniu... No może poza tym jednym, kiedy to jeszcze razem pracowali w wydziale obyczajowym tutejszej komendy. Było to chyba na początku sześćdziesiątego ósmego. Wtedy w całej Polsce ludzie żyli sprawą czarnej wołgi, która podobno porywała dzieci i wywoziła w nieznanym kierunku. I to właśnie Żyto wymyślił tę intrygę, która mogła ich obu kosztować karierę w milicji. Taki to miał być żarcik sprokurowany specjalnie na potrzeby komendanta miejskiego, o którym wszyscy w firmie wiedzieli, że co jakiś czas lubi sobie pojechać swoją służbową wołgą na kurewki. No i Żyto właśnie wymyślił, że trzeba mu, tak dla jaj, podstawić zamiast zamówionej przez niego w Moulin Rouge dziwki kurewkę, która będzie wyglądać niewinnie jak dziecko. Znali taką, ponoć najlepszą w swoim fachu, która nosiła pseudonim artystyczny Lola Dzidzia. Miała już przynajmniej trzy dychy na karku, ale była niska i drobnej budowy, więc przebijając się za podlotka, od biedy i po ciemku mogła uchodzić za nieletnią. Cała akcja nie była zbyt trudna do zaplanowania. Żyto wiedział od alfonsa, który urzędował w nocnej knajpie, że komendant po cywilnemu podejżdza po kurwę o dwudziestej drugiej trzydzięci, zabiera ją na przejażdżkę i po godzinie odstawia na miejsce.

O akcji Dzidzia w obyczajówce wiedziało tylko kilku oficerów. Zaraz poszły zakłady o to, jak się zachowa komendant. Większość była zdania, że zobaczywszy dziecko, ucieknie gdzie pieprz rośnie. Żyto jako jedyny obstawił, że pułkownik się skusi, ale tylko dlatego wybrał taką opcję, żeby zakłady w ogóle miały sens.

Tego wieczora Żyto i Stachura zaczęli się w pustym mieszkaniu w kamienicy naprzeciwko Moulin Rouge. Budynek był opuszczony, bo miał iść do rozbiórki. W tym miejscu stawiano właśnie nowoczesne domy towarowe, więc starą substancję miejską należało usunąć. Na szczęście dom jeszcze stał, obaj milicjanci z aparatem fotograficznym w dłoni mogli tam zasadzić się na swojego szefa. Musieli przecież udokumentować stan faktyczny.

Lola Dzidzia wyszła pięć minut przed czasem z papierosem w zębach. Żyto się zdenerwował, że dziwka zepsuje cały numer, bo jeśli komendant zobaczy ją z petem, to sprawa się wyrypie. Na szczęście zdążyła wypalić, nim podjechała wołga.

Gdy auto zatrzymało się przy krawężniku, Żyto zaczął robić zdjęcia. Minutę później Dzidzia siedziała już w środku. I na tym by się skończyło i byłaby kupa śmiechu, gdyby nie cholerny przypadek. Jakiś facet zobaczył, jak dziecko wsiada do wołgi, i rzucił się na ratunek.

Oswobodził uprowadzaną i pobił komendanta... A do tego wszystkiego jeszcze go aresztował. Okazało się bowiem, że gość, który interweniował w tak brawurowy sposób, był milicjantem w cywilu.

Żyto i Stachura szybko wycofali się na z góry upatrzone pozycje. Następnego dnia umówili się, że film z aparatu trzeba zniszczyć i o wszystkim zapomnieć. Na szczęście dla nich nie było żadnego śledztwa i sprawie natychmiast ukrecono łeb. Komendantowi się nic nie stało, a dziwka dostała odpowiednią gratyfikację. Okazało się, że tylko jeden człowiek został w tej całej aferze poszkodowany. To był milicjant po cywilnemu, który ratował z takim poświęceniem dziewczynkę. Facet kilka dni wcześniej został przeniesiony do komendy miejskiej ze swojego komisariatu na Starym Mieście i był na najlepszej drodze do awansu, ale po tej jego brawurowej akcji odesłali go na stary etat i wszyscy o nim zapomnieli. Stachura też nie zaprzętał sobie nim głowy, choć nazwisko zapamiętał. Nazywał się Teofil Olkiewicz.

– Zadzwoił do mnie właśnie niedawno, znaczy przed chwilą, a to będzie jakieś dziesięć minut temu, pułkownik Eugeniusz Żyto z komendy wojewódzkiej. Znacie pułkownika?

– Niestety nie miałem przyjemności.

– No proszę, wy go nie znacie, a on was zna i nawet w waszej sprawie dzwoni do mnie. I co wy na to powiecie, kapitanie?

Marjański zrobił zdziwioną minę, a dla podkreślenia zdumienia wzruszył jeszcze ramionami. Dalej nie miał pojęcia, o co chodzi i kto to jest Żyto. Próbował sobie rozpaczliwie przypomnieć, ale to jakże charakterystyczne nazwisko kojarzyło mu się tylko w jeden sposób, choć był przecież nie pijący.

– No i ten pułkownik Żyto, którego ja znam już ponad dwadzieścia lat, to on mnie powiada tak, że ja aż się zdziwiłem, bo nic nie wiedziałem, a powinienem wiedzieć jako wasz dowódca. Więc on powiada, że mój człowiek, kapitan Marjański, to tak się wyróżnił w śledztwie w sprawie zastrzelonego jednego cinkciarza, a potem drugiego, co jego też zastrzelili, i że powiązał obie sprawy i w ogóle, i dobrze współpracował z kapitanem Brodziakiem...

– Co, przejmują śledztwo? – domyślił się wreszcie Marjański. Jeszcze niedawno oburzyłby się i nawet skłonny byłby walczyć o to, żeby nie zostać czasem odsuniętym, ale teraz uświadomił sobie, że przestało mu zależeć. A niech sobie Brodziak bierze to śledztwo w cholere i niech je prowadzi, jak chce. On tymczasem może poprosi tego tu siedzącego naprzeciw, na tym niewygodnym krzeselku, wąsatego grubasa Stachurę o urlop, żeby odpocząć, przemyśleć... A może powinien pójść do lekarza, powiedzieć mu szczerze, że cierpi jego dusza, która potrzebuje innej, szerszej perspektywy. Może lekarz skieruje go do

sanatorium w Rabce albo gdzie indziej w jakieś góry strzeliste, co skalnymi szczytami drapią strzępiaste obłoki, gdzie góralskie pieśni rozbrzmiewają na halach i płyną wśród kosodrzewiny i regli albo czegoś tam jeszcze, co to w górach jest, a czego nazwy już nie pamiętał, ale zapewne wyglądać musi urokliwie. Bo tu dookoła to tylko brud, smród i jedno wielkie moralne bagno.

– No przejmują, jak to oni. Żyto powiada, że rozwojowe i o szerokim zasięgu, więc to w ich kompetencjach, a nam dziękują za wzorowo poprowadzone dotychczas dochodzenie i proszą o akta, i jeszcze mówią, że w związku z przejęciem tego śledztwa chcą, żebyście wy, kapitanie, na jakiś czas i w trybie pilnym objęli komendę w Pniewach, bo tam sprawa jest paląca, gdyż komendant został zastrzelony, a wy z takim doświadczeniem powinniście sobie dać radę z tą sprawą, i w tej sytuacji pokierowali tam śledztwem jako p.o. komendanta.

Marjański spojrział na swojego szefa zdumiony jak czerwonoarmista na muszlę klozetową. Łeb włożysz, ale wody nie wypijesz.

– Że niby mam jechać do Pniew?

– No jako pełniący obowiązki...

– Od kiedy?

– Najlepiej jak najszybciej. Oni już tam na was czekają, bo, wiecie, w kryminalnych kwestiach to oni tam na prowincji sobie sami rady nie dadzą.

Marjański poderwał się z krzesła, obszedł biurko i podszedł do dowódcy. Chwycił jego rękę w dwie dłonie i mocno ścisnąwszy, potrząsnął.

– Tego mi było trzeba, obywatelu pułkownika. Potrzeba odskoczni, odbicia! Już ja się tam w tych Pniewach zabiorę za sprawę z kopyta. Zaraz śledztwo ruszy raz-dwa – mówił uradowany jak dziecko przed wyjazdem na kolonie. Teraz Stachura patrzył na swojego podwładnego jak na wariata. Pierwszy raz w życiu widział, żeby ktoś cieszył się z zesłania z dużego miasta na zadupie. A ten tu wyglądał na autentycznie uradowanego. No ale w końcu to był przecież dziwak, a nie prawdziwy milicjant. Bo czy prawdziwy milicjant traciłby czas na pisanie książek? Prawdziwy funkcjonariusz nie dość że nie pisze książek, to nawet ich nie czyta, bo po co marnować czas na głupoty. No to niech ten Marjański jedzie do tych Pniew i niech już tam zostanie na stałe. Trzeba mu będzie w tym pomóc.

– Pozwolicie, obywatelu pułkownika, bo mam jeszcze jedną prośbę...

– No walcie śmiało, kapitanie.

– Czy może mnie zawieźć do Pniew kapral Błaszczyk? – zapytał i zaraz pożałował tego pytania. Nawet nie wiedział, dlaczego o to zapytał. Jakoś tak mu się samo wymysknęło...

– A co mnie tam wasz Błaszczuk obchodzi? Jak chcecie, to se go nawet zabierzcie na stałe do tych Pniew – stwierdził podpułkownik, wstając z niewygodnego krzesła. Musiał przyznać, że uczynił to z wyraźną ulgą, bo tyłek zaczynał już go poważnie boleć. Zresztą ulżyło mu też, że tak zgrabnie udało się pozbyć tego Marjańskiego. Nie wiedział tylko dotąd, że to pederasta. Bo że Błaszczuk nim jest, to podejrzewali w komendzie wszyscy. W końcu ta gęba mówiła sama za siebie, a podpułkownik Stachura jakoś nie potrafił darzyć sympatią ludzi, którzy zamiast ze sobą pić jak prawdziwi mężczyźni, nocne zabawy kończyli w łóżku zamiast po bożemu pod stołem.

Godzina 13.10

Nie, ja chyba śnię, pomyślał Teofil Olkiewicz na widok pochylającego się nad nim człowieka. Przymknął oczy i natychmiast potrząsnął głową, jakby chciał sprawić, że w ten sposób odegna od siebie zły sen. Gdy je znów otworzył, przekonał się, że senna mara nie zniknęła. Wprost przeciwnie, jej przekrwione ślepie, które tyle razy śniły się Teofilowi po nocach, cały czas uporczywie wpatrywały się w niego.

– Wy se tak śpicie, Olkiewicz, a tu trzeba się do roboty brać – powiedział upiór dokładnie to, czego Teofil się spodziewał.

Tyle razy słyszał już to zdanie wypowiedane przez niego i zawsze, ilekroć je usłyszał, zaraz pot spływał mu po karku. Teraz też pewnie spłynął, ale nie poczuł tego, bo leżał na plecach i kark miał oparty o coś miękkiego, co mogło być poduszką.

– No dalej, Olkiewicz, moglibyście wreszcie ruszyć dupę – ponaglił go jego były dowódca, człowiek, który każdego dnia obrzydzał mu swoją osobą pierwsze lata służby w milicji do tego stopnia, że Teoś zastanawiał się nawet, czy nie rzucić tej roboty w cholerę. Nie rzucił, bo przez przypadek dostał się do grupy rozwiązującej sprawę pewnej beczki pełnej przemyczonej do Polski whisky. To ta beczka właśnie, która dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności trafiła w ręce Olkiewicza i jego kolegi z posterunku, Kryspina Obrębskiego, stała się przyczyną zmiany planów. Teofil doszedł do wniosku, że w żadnej innej robocie nie będzie miał takich możliwości organizacyjnych, jakie daje praca milicjanta. Bo musiałby chyba pracować w gorzelnii, żeby nagle stać się posiadaczem połowy zawartości dwustulitrowej beczki najprzedniejszego alkoholu. Postanowił więc, że zaciśnie zęby i

przetrzyma to wyzłośliwianie się, wtedy jeszcze podporucznika Wróbla, bo przecież ten facet nie mógł być do końca życia jego szefem. No i miał rację, bo po czterech latach służby Olkiewicz został dzielnicowym na Chwaliszewie, a złośliwy przełożony musiał znaleźć sobie inny obiekt do dręczenia. I już wydawało mu się, że nigdy więcej nie będzie mieć do czynienia z tym typem, aż tu nagle facet wyskoczył jak Filip z konopi. Nie dość że pojawił się podczas obecnego śledztwa, to jeszcze teraz siedział nad nim i patrzył na niego z wyrzutem.

– Oczy, Olkiewicz, pamiętajcie o oczach. Z oczu można odczytać wiele, na przykład, czy ktoś jest bandytą, czy nie jest. Weźmy taki zez. Zeza mają najczęściej ludzie ze skłonnościami psychopatycznymi – tłumaczył mu kiedyś Wróbel, wskazując dwoma palcami swoje i jego oczy. – Kontakt wzrokowy z człowiekiem, który ma zeza, jest szczególnie utrudniony, gdyż nie wiadomo, gdzie taki osobnik w danej chwili patrzy. Może więc w ten sposób ukrywać swoje skłonności.

– To tak samo jak pułkownik Pióro – przypomniał sobie Teofil komendanta miejskiego, który miał zeza w prawym oku. – Czy pułkownik jest w takim razie tym typem spychotaktycznym?

– Istnieją wyjątki od reguły – mruknął niezadowolony Wróbel, bo przykład nie bardzo przypadł mu do gustu. – Wy, Olkiewicz, mniej kombinujcie, a więcej róbcie, bo to tylko wyjdzie wam na dobre – stwierdził dowódca i pogroził Teofilowu palcem. Dokładnie tak samo jak teraz, gdy Teoś leżał na czymś, co mogło być zapewne łóżkiem, a major siedział nad nim i machał mu palcem przed oczyma.

– No, patrzycie za palcem, tak jak się należy, znaczy się, wstrząśnięcia mózgu to ja u was nie widzę. Widzę za to zwykle lenistwo, co nim śmierdziejecie na odległość. Wy się wylegujecie, Olkiewicz, a tu trzeba działać!

– Że niby jak działać? – zapytał i jednocześnie próbował podnieść się na łokciu, ale głowa tak go rozbolała, że opadł z powrotem na poduszkę.

Wróbel poprawił okulary na nosie.

– Niby taki twardy z was chłop, a jęczycie jak baba. Ha, ha, ha!

– Łeb mnie boli. A tak w ogóle to gdzie ja właściwie jestem?

– W dupie, Olkiewicz, w dupie jesteście.

– Aha, a tak w ogóle to niby z jakiego powodu?

– Z powodu, żeście nie uważali.

– Jak nie uważałem? Uważałem. Zawsze uważam, żeby potem nie było, że nie uważałem. – Podniósł się tym razem znacznie ostrożniej i rozejrzał. Pokój był niewielki. Mieściło się w nim jedno szerokie łóżko, przykryte jakąś burą narzutą, pod ścianą na wprost

stała szafa garderobiana z wielkim lustrem, na lewo były drzwi, a na prawo okno zabezpieczone solidną kratą z metalowych, wyginanych prętów. Pod sufitem wisiała lampa z bordowym, płóciennym abażurem ozdobionym w czterech narożnikach plecionymi frędzlami.

– Uważam zawsze, ale ktoś mnie walnął od tyłu. A ja z tyłu to oczów nie mam.

– Milicjant musi być czujny, Olkiewicz. Milicjant to musi mieć oczy dookoła głowy, żeby się nie dać zaskoczyć byle komu.

– A pan skąd się tu wziął?

– Ze mną to całkowicie inna historia. – Wróbel podszedł do okna. Ubrany był w wataną kurtkę, a na głowie miał czarny beret. Olkiewicz dopiero teraz zorientował się, że i on jest w swoim prochowcu. To oznaczało, że ktoś wrzucił go do łóżka, nie rozbierając przedtem. A więc nie mieli tutaj zbyt dobrej opieki.

Naraz przypomniał sobie, co robił, zanim pogrążył się w ciemnościach. Był na 23 Lutego. Pojechali do kamienicy, w której zamordowano tego Krzyżaniaka. Tam mieszkał Wróbel. Brodziak poszedł na górę z nowym kolegą, a on postanowił się wymknąć do sklepu, żeby kupić piwo, bo go ssało w żołądku. Na myśl o piwie natychmiast poczuł to ssanie, znacznie większe, niż gdy szedł do spożywczaka. Wtedy coś go podkusiło i zatrzymał się przy tym pieprzonym roburze, w którym ktoś gadał. I w tej ciężarówce musiał dostać w łeb.

– Byliśmy na 23 Lutego, bo kapitan Brodziak chciał z wami pogadać o raporcie w kwestii tych ludzi z UB, znaczy się SB.

– Jakich? – Wróbel odwrócił się i spojrzał na swojego byłego podwładnego. Ten, jak gdyby nigdy nic, właśnie gapił się przez zakratowane okno. Niewiele było przez nie widać. Jakiś porośnięty chaszczami ogród. O wiele bardziej zaniedbany niż moja działka, pomyślał z dumą o swojej własności Teoś.

– Zasyfiony ten ogród – stwierdził z miną znawcy ogrodów.

– A gównem ogród obchodzi – mruknął Wróbel. – Zaniedbany czy nie, patrzcie lepiej, czy da się przez niego wydostać.

– Jak wydostać? – zdziwił się Teofil. – A czy my jesteśmy w jakimś ogrodzie? Nie wiadomo, gdzie jesteśmy...

– Wiadomo, chociaż może niedokładnie wiadomo. Ja coś tam zobaczyłem po drodze, bo mnie oczu dokładnie nie zasłonili, to się coś podejrzowało. A ten wasz Brodziak to niby czemu chciał gadać o esbecji?

– No jak czemu? – Teoś spojrzał na Wróbla jak na idiotę. Tyle lat w milicji i nic nie rozumiał. Przecież niewiarygodnego świadka zawsze trzeba było jeszcze na wszelki wypadek przemaglować.

– No wiecie, idzie o to, że mogliście niedobrze widzieć...

– Że niby nie wiem, co widzę, a? Że stary Wróbel, jak nosi okulary, jest już całkiem ślepy i zdiadziały kompletnie?

– No nie, ino się rozchodzi, żeby sprawdzić raport z tym, co żeście widzieli.

– Widziałem, co widziałem, a co widziałem, to zapisałem. Ja ich wszystkich dobrze znam. Ja z nimi pracowałem przez całe lata przy zabezpieczaniu Międzynarodowych Targów Poznańskich, to wiem, co to za jedni. Myśmy wspólnie i w porozumieniu trzepali pokoje w hotelach tych wszystkich podejrzanych elementów z Zachodu, żeby sprawdzić, czy czegoś do nas nie przywożą w charakterze propagandy antysocjalistycznej. Oni, ci z SB, robili listę tych, co ich interesowali, przekazywali ją do dyrekcji targów z terminami i godzinami zaproszeń, a szefostwo zapraszało takich jeleni na spotkania do siebie na wyznaczoną godzinę. No to myśmy zabezpieczali teren w hotelu, dając na piętro chłopaków mundurowych, a ci z SB wchodzili do pokoi jak do siebie, bo klucze mieli hotelowe. I spokojnie mogli sobie wszystkie rzeczy przejrzeć, zanim delikwent wrócił ze spotkania, a jak trzeba było, to takiemu gościowi coś się podrzucało, żeby go później można było jeszcze przycisnąć, że się niby go na czymś złapało. Takie to były czasy, że myśmy tu rządzieli i tyle żeśmy mieli możliwości, że człowiek codziennie pił whisky z pepsi i lodem, jak na Zachodzie.

– Teraz przyjdzie Solidarność i wam dupy przetrzepie – stwierdził Teofil nie bez złośliwej satysfakcji.

– Solidarność? Niedoczekanie. Kiszczak nie jest taki głupi, żeby się z tymi ćwokami z opozycji zadawać. Tylko udają, żeby rozpoznać lepiej ich siły i jak już będą gotowi, złapią za łeb i całą tę solidarnościową hołotę rozgniotą jak pluskwy. Zobaczycie, Olkiewicz, wspomnicie moje słowa. Socjalizm albo śmierć! Oczywiście nie nasza, a ich!

Teoś popatrzył na Wróbla z lekkim niedowierzaniem. Nie przypuszczał, że są jeszcze na świecie idioci, którzy tak wierzą w komunę. Przynajmniej on nie znał nikogo takiego, kto miałby nadzieję, że socjalizm się w kraju utrzyma. Sam kiedyś był o tym przekonany, ale od kilku lat wierzył tylko w swoją szczęśliwą gwiazdę i własny milicyjny nos, który pozwalał mu zawsze cało wyjść z opresji. Wierzył też, że jeśli coś się w kraju zmieni, to on i tak da sobie radę w tej nowej rzeczywistości. Bo i dlaczego miałoby być inaczej? Zawsze radził sobie w życiu.

– To jak zasadniczo żeście się tu znaleźli, majorze? – zapytał, spoglądając dalej na ogród, bo na gębę Wróbla patrzeć nie chciał. Wystarczyło mu, że znalazł ją aż za dobrze, żeby jeszcze teraz dodatkowo utrwalać sobie ten szpiclowski ryj w pamięci.

– Jak się tu znalazłem? Przez przypadek. Przyszli do mnie tacy dwaj z resortu i kazali iść ze sobą.

– A powiedzieli, po co?

– Powiedzieli, że dla mojego dobra. I przewieźli mnie gdzieś taką furgonetką bez okien, i wysadzili w garażu w środku, że nie widziałem, gdzie jestem, a potem zaprowadzili do tego pokoju. No a jak już mnie tu przyprowadzili, to po jakimś czasie przywieźli tu was, Olkiewicz. Nawet se myślałem, żeście są opici jak Świnia, ale co dziwne nie czuć było od was alkoholu. A w końcu Dzień Kobiet, to by było zrozumiałe, żeście się opili.

Teofil naraz sobie o czymś przypomniał. Odwrócił się od okna i podszedł szybko do szafy. Otworzył jedno skrzydło. Wewnątrz były jakieś ręczniki, pościelenie i kilka flaszek wódki. Na ten widok oczy mu się zaświeciły.

– Ma się tego nosa! – zawołał uradowany. Otworzył drugie drzwi w poszukiwaniu kieliszków, ale niczego nie znalazł. Półki były puste. Wyglądało to tak, jak szafa w pokoju hotelowym, w której jest miejsce na rzeczy przywożone przez gości. Ale Teoś nie zastanawiał się nad takimi nieważnymi kwestiami. Chwycił najbliższą butelkę żytniej i pokazał ją Wróblowi.

– No i proszę, jak tu ładnie nas podejmują. To co, majorze, po małym? Ino że kielonków nie ma i trzeba z gwinta.

– Zaraz, zaraz, przecież to nie nasze. Tak nie wolno cudzą wódką się rozporządzać.

– A co ja się będę przejmować, czy nasze, czy nie. A oni się przejęli, jak mnie tu przywieźli i jeszcze jak mnie w łeb któryś walnął? Jest wódeczka, znaczy się można pić.

Sprawnym, wyćwiczonym ruchem zdjął zakrętkę i przyłożył otwartą flaszkę do nosa.

– Pachnie normalnie, znaczy się, nadająca się jest do picia – stwierdził i pociągnął spory łyk. – I co, majorze, spróbujecie?

– Daj mi spokój, Olkiewicz. Nam nie o picciu trzeba myśleć, ale o ucieczce. Przecież nie będziemy tak tu siedzieć i się zapijać tą wódką.

– A niby czemu nie? Jak nas ktoś tu zaprosił i jeszcze ugościł, to co ja mam niby odmawiać? – Położył się na łóżku, opierając się plecami o wezglowie.

– Widzę, Olkiewicz, że wy się nic a nic nie zmieniliście. Zawsze byliście bumelantem, co to się miga od roboty. Już wtedy w sześćdziesiątym ósmym, jak żeście tę aferę z komendantem miejskim i czarną wołgą wywołali, powinienem was na zbity pysk wywalić. Ale się ulitowałem i teraz mam za swoje.

– Co tam macie za swoje, majorze? Nie podoba się wam tu, to idźcie se w cholere. – Wróbel tylko wzruszył ramionami, ale Teoś nie miał zamiaru się poddać. Pociągnął jeszcze

jeden łyk i stanął pod drzwiami. – Czy was kto tu zatrzymuje, majorze? Idź pan se w cholere i...

Teatralnym, przesadnym gestem chwycił za klamkę, nacisnął ją i pociągnął do siebie. Drzwi zaskrzypiały i się otworzyły. Olkiewicz spojrzał zdumiony na ciemny korytarz.

– Skąd wiedzieliście, że nie są zakluczone? – zapytał zdziwiony milicyjny emeryt. Teofil zrobił poważną minę i odparł głosem pełnym pychy:

– Nie oczy, majorze, nie kontakt wzrokowy. – Dwoma palcami wskazał najpierw na swoje, a potem na oczy dawnego dowódcy. – Najważniejsze jest wiecie co? Nie wiecie. Najważniejszy jest milicyjny, czujny nos.

Dotknął palcem czubka swojego czerwonego nochała i z godnością wrócił na łóżko. Przecież nie mógł zostawić dopiero co rozpoczętej flaszki wódki.

Godzina 14.30

Czterej krzepcy faceci w czarnych płaszczach i czarnych beretach na głowie chwycili trumnę i wynieśli ją z kaplicy. Przed niewielkim budynkiem stał elektryczny wózek z platformą. Po chwili wykonana z jasnego dębu skrzynia stanęła na niej, a jeden z osiłków zajął miejsce za kierownicą.

Młody ksiądz obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy żałobnicy z wieńcami i kwiatami w dłoniach utworzyli kondukt, a gdy doszedł do wniosku, że już czas, zaintonował znaną wszystkim doskonale pieśń o wiecznym spoczywaniu. Natychmiast podchwycili ją dwaj ministranci, ale nie żałobnicy. Żaden z nich nie przejawiał zdolności wokalnych, więc woleli milczeć w skupieniu, rozmyślając nad nieuchronnością i majestatem śmierci.

Orszak ruszył dostojnie i powoli, jednak po dziesięciu krokach nabrał prędkości. Wszystko przez deszcz, który padał od rana, na szczęście nie ulewny, acz mżący i oblepiający wszystko wilgocią. Ksiądz, który miał jeszcze w planie cztery pogrzeby, nie chciał zmoknąć, dlatego gdy kierowca meksa obejrzał się do tyłu, duchowny pokazał mu dwa palce, co oznaczało podwójną prędkość. Na szczęście do świeżo wykopanego grobu nie było daleko. Pięć minut później niewielka grupa składająca się z dziesięciu facetów i jednej kobiety stanęła nad miejscem ostatniego spoczynku niezbyt uzdolnionej piosenkarki.

Ksiądz poczekał, aż uczestnicy konduktu zajmą miejsca, i rozpoczął modlitwę. Postronny obserwator mógłby odnieść wrażenie, że duchowny zbyt szybko mówi „wieczne odpoczywanie”, ale on robił tylko to, co zostało ustalone.

– Tutaj ma ksiądz kopertę i sto dolców w środku, na biednych ma się rozumieć – powiedział Grubiński, wręczając mu pieniądze. – Niech ksiądz zrobi, co tam potrzeba, szybko się pomodli i niech sobie idzie na piwo.

– Ależ synu, tak nie...

– Nie jestem, kurwa, twoim synem – warknął Rychu, który nie był w nastroju do żartów.
– Robota godnie zapłacona ma być szybko wykonana, jasne?

Ksiądz spojrział w zimne oczy żałobnika i wiedział już, że sto dolarów to było wszystko, co da się od niego wyciągnąć. Mimo to jeszcze spróbował, tak na wszelki wypadek, żeby nie wyjść z sprawy.

– A co z przemową?

– Krótko i zwięźle.

– Skoro pan sobie tak życzy...

Rychu sobie tak życzył. Chciał jak najszybciej zakończyć tę przygnębiającą ceremonię, bo strasznie nie lubił pogrzebów. Nie lubił też tych wszystkich kondolencji i wyrazów łączenia się w bólu. Dlatego nikogo nie zawiadamiał. Przyszli tylko najbliżsi, czyli Brodziak z Marzeną, która była już w dość widocznej ciąży, jednak mimo to postanowiła, że musi tego dnia być z Rychem. Prócz nich dwojga, którzy dla Grubińskiego byli jak bardzo bliska rodzina, zjawili się też jego najbliżsi współpracownicy, czyli załoga zakładu samochodowego w komplecie, a cinkciarzy reprezentował Tunio Ząbek ze swoim wielkim gorylem Barbapapą i dwaj goście ze Świerczewskiego. Włodek i Zapała.

– Świętej pamięci Laura odeszła w kwiecie wieku. Miała przed sobą jeszcze wiele wiosen, ale Pan Bóg powołał ją do siebie, bo miał wobec niej jakiś plan, którego my, maluczcy, nie jesteśmy w stanie pojąć... – mówił ksiądz z prawdziwym uczuciem w głosie. – Może Panu spodobał się jej śpiew i zabrał ją do siebie, by wzmocniła swoim pięknym głosem anielskie chóry?

Rychu pomyślał, że Bóg musiałby kiepsko znać się na muzyce, gdyby chciał, żeby Laura codziennie mu śpiewała. Owszem, miała ładny i mocny głos, ale nie zawsze udawało jej się utrzymać melodię. Dlatego zapewne przy swoich warunkach fizycznych i fenomenalnej urodzie nie została jakąś Sośnicką czy Sipińską, tylko piosenkarką z dancingu w Adrii.

Rozejrzał się, lustrując uważnie twarze ludzi stojących nad grobem. Wszyscy w skupieniu obserwowali ostatni ziemski etap podróży niespełnionej artystki. Laura nie miała rodziny, a może i miała, ale Rychu nie znał nikogo, kogo mógłby zaprosić. Spośród jej znajomych miała przyjść tylko jej dawna szefowa z Adrii, Marysia, jednak jak na razie nie dotarła na cmentarz.

Ksiądz skropił trumnę wodą święconą, ale jedynie Marzena wiedziała, że w tym momencie trzeba się przeżegnać. Tymczasem czterej grabarze chwycili za solidne liny i zaczęli opuszczać trumnę. Widać, że mieli w tym fachu wprawę, bo nawet się nie zakołysała, nie mówiąc już o uderzaniu bokami w ściany grobu. Po chwili miękko wylądowała na dnie. Mężczyźni chwycili łopaty, jednak odczekali chwilę, by ceremonię zasypywania mogli zacząć żałobnicy. Najpierw garść ziemi rzucił ksiądz, a potem Rychu i wszyscy pozostali. Teraz do roboty zabrali się grabarze, którzy uporali się błyskawicznie ze stertą piaszczystej ziemi. Ksiądz śpiewał niestrudzenie pieśń błagalną o wiecznym odpoczywaniu, wspomagany nierozwiniętymi jeszcze głosami młodych ministrantów. W końcu grób został zasypyany, a kopiec na wierzchu sprawnie ubity łopatami.

Ksiądz przestał śpiewać i spojrzał pytająco na Rycha. Ten skinął głową, co oznaczało, że uroczystość kościelna właśnie przerodziła się w świecką. W tej sytuacji duchowny przywołał ministrantów i cała trójka odeszła z godnością, bez pośpiechu, by zająć się kolejnym delikwentem, który odchodził do krainy wiecznej szczęśliwości.

Rychu położył na grobie wielki wieniec. Po nim kolejno kładli kwiaty, wieńce i wiązanki pozostali uczestnicy uroczystości i każdy podchodził do Grubińskiego, zapewniając go, że łączy się z nim w bólu. On tymczasem myślał, że w bólu już niedługo połączą się z nim i przede wszystkim z nią ci, którzy sprawili, że Laura została zabita. Miał przekonanie graniczące z pewnością, że już wkrótce oni wszyscy również będą uczestniczyć w podobnych uroczystościach w charakterze lokatorów drewnianych trumien.

– Panie Rychu szanowny, zająbać trzeba tych wszystkich skurwysynów, co ją zabili. – Tunio błysnął swoim złotym zębem, odsłaniając go w morderczym uśmiechu, a potem ucałował swojego szefa w oba policzki. – Kurwy pierdolone zaduszą się własnymi chujami – dodał, a Rychu potrząsnął jego dłonią i jednocześnie poklepał drugą ręką po ramieniu. Tunio zawsze mówił, co myśli, i widać było, że jest tym razem zdeterminowany, by wymierzyć sprawiedliwość mordercom. Nad Brodziakiem Rychu nie musiał się nawet zastanawiać. On był pewnym elementem jego planu, podobnie jak Szymuś, który czekał tylko na rozkaz, jak gończy pies niecierpliwie kręcący się na powrozie. A pozostali?

Naraz przed Rychem stanęła Marysia. Ucałowała go, a potem sypnęła jeszcze garść ziemi na świeżo ubitą mogiłę. Wszyscy przez chwilę stali przy grobie, w końcu Rychu wziął szefową Adrii pod ramię i ruszył w kierunku głównej alejki. Brodziak z Marzeną poszli zaraz za nimi. Pozostali też dołączyli. Świeżo uklepany grób na cmentarzu Junikowskim obłożony kwiatami właściwie niczym się nie wyróżniał. Był jak dziesiątki innych czekających na przykrycie go ozdobną płytą z lastryka. Ten jednak miał szansę doczekać się przywalenia naturalnym kamieniem. Rychu już wczoraj zamówił pomnik w zakładzie niedaleko swojego warsztatu.

Szef cinkciarzy zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro. Poczęstował Marysię, ale ta pokręciła tylko głową. Za to Brodziak skorzystał. Zapalili i przez chwilę w milczeniu delectowali się dymem.

– Życie jest niesprawiedliwe – rzucił Mirek.

– A kto powiedział, że ma być? – Rychu uśmiechnął się krzywo. – Sprawiedliwość będzie wtedy, kiedy sobie ją sami zrobimy – stwierdził i zaraz popatrzył na Marysię. – I co tam, jak interesy?

– Może później pogadamy? – Trochę się zdziwiła, że już przechodzi do spraw biznesowych. W końcu byli nadal na cmentarzu. Pomyślała, że chyba powinien jeszcze trochę ochłonać.

– Nie ma czasu na pierdoły – powiedział stanowczo.

Nim zdążyła odpowiedzieć, cała grupa uczestników pogrzebu zatrzymała się i wszyscy wyjęli papierosy.

– Co z aktami własności? – zapytał całkiem głośno, jakby się nie obawiał, że ktoś obcy może podsłuchać. No ale w końcu kto tu mógł się czaić między grobami. Może właśnie to było najlepsze miejsce do załatwiania pilnych spraw?

– Wszystkie akty kupna są gotowe – odpowiedziała Marysia, trochę niepewnie rozglądając się dookoła.

– Nic się nie bój. Tu nas nikt obcy nie usłyszy.

Skinęła głową.

– Wszystkie papiery dostaniesz jeszcze dzisiaj. Zawiozłam je do prawnika, żeby jeszcze rzucił na nie okiem, ale nie powinien mieć uwag. Ma ci przywieźć wszystko do dwudziestej.

– Co z forszą? – Teraz Rychu spojrzał na Tunia. Ten wysunął się z szeregu i zameldował jak oficer przed bitwą.

– Wszystko w najlepszym porządku. Znaczący się, zgodnie z poleceniami dostawa forsy będzie także samo dzisiaj i sprawdzone jest, że bez żadnych opóźnień.

– Panie Szymuś, a co z autami?

Teraz wielki szef warsztatu zrobił krok do przodu.

– Auta wszystkie wyregulowane i chodzą jak ruskie zegarki, znaczy się szybciej i dokładniej.

– Panie Zapała, a co z ludźmi?

– Wszystkie ekipy są gotowe, panie Rychu. Chłopaki czekają tylko na sygnał. Jak dostaną polecenie, wyjeżdżają z Poznania i uruchamiają punkty walutowe. Wszystko będzie czynne w kilka godzin po tym jak dostaniemy cynk, że już możemy działać.

– No to zdaje się, że mamy wszystko pozapinane na ostatnie guziki...

– A co ze mną? – Brodziak spojrział na przyjaciela, robiąc przy tym zdumioną minę. Zdziwił się, że Rychu wszystko już obmyślił, a on nadal nie znalazł swojej roli.

– Ty odwieź Marzenę do domu.

– Sama se pojedę – mruknęła.

– Nie wygłupiaj się, Marzenka. Mirek pojedzie z tobą, a później przyjedzie do mnie, zgoda? A i wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Kobiet.

Pokiwała głową, a on podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

– Nic się nie bój, będę na niego uważał – szepnął jej do ucha, ale Brodziak i tak usłyszał, co powiedział Grubiński. Ciekawe, kto na kogo powinien uważać? – pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. W końcu nie mógł w obecności podwładnych podkopywać autorytetu ich szefa.

Nikt z uczestników pogrzebu nawet nie zauważył, że deszcz przestał padać i słońce wyszło zza chmur. Na gałęziach drzew i krzaków ożywiły się ptaki chroniące dotąd swoje pióra przed wilgocią. Teraz rozpościerały skrzydła, strząsając resztki wody, a swoją radość oznajmiały głośnym świergotem.

– *Dobry Jezu, a nasz Panie, daj mu wieczne...* – Ksiądz stachanowiec znów zaintonował pieśń podchwyconą natychmiast przez kilkadziesiąt płaczliwych głosów. Na aleję cmentarną wkroczył nowy kondukt żałobny, przynajmniej pięć dłuższy niż ten żegnający Laureę. Widać rodzina miała gest i po pogrzebie musiała szykować się niezła wyżerka na stypie. Rychu o stypie nawet nie pomyślał. Miał zupełnie inne sprawy na głowie.

Rozdział IX

Okolice Poznania

Godzina 15.30

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery? – warknął Teofil na widok ładnej blondynki o kręconych włosach, ubranej w czerwony, cienki szlafrok z czarnym, pierzastym kołnierzem. Siedziała na sofie i paliła papierosa. W lewej ręce trzymała szklanekę z jakimś napojem. Żółtym napojem, więc Teofil nie zainteresował się specjalnie czymś, co nie nadawało się do picia. Za to dziewczyna nadawała się do wszystkiego, do czego mogła się nadawać rozebrana kobieta.

– A co się ma dziać, kochanieńki? – spytała, dostrzegłszy go w drzwiach salonu. Bo pomieszczenie, do którego wszedł Olkiewicz, to był elegancki i nowocześnie urządzonej salon, w którym stało kilka kanap i foteli, na lewo od wejścia był barek z alkoholami, a na prawo stolik, na którym dostrzegł kilka talerzy z kanapkami. Na widok tych sznytek Teofilowi kiszki zagrały marsza, bo uświadomił sobie naraz, że od dawna nie miał nic w ustach, oprócz wódki oczywiście. Tę butelkę znaną w szafie miał ze sobą i choć poczuł, że powinien się napić, to głupio mu było ot tak przyłożyć szyjkę flaszki do ust i pociągnąć, zwłaszcza w obliczu tej pięknej kobiety. Bo ubrana w czerwony szlafrok dama była bardzo piękna, tak bardzo, że Olkiewicz, patrząc na nią, oblizwał spierzchnięte wargi.

– No o co tak w ogóle się rozchodzi? – zapytał rezolutnie.

– Komu się rozchodzi? – Dziewczyna rzuciła znudzonym tonem. Widać konwersacja nie należała do zbyt interesujących, bo powiedziawszy to, ziewnęła przeciągle.

– Zapytaj ją, co tu się, kurde, dzieje? – mruknął za plecami Olkiewicza major Wróbel.

– No przecie pytałem już, do cholery – burknął Olkiewicz niezadowolony, że stary pierdziel wtrąca się do rozmowy.

– Co mówisz, kochanieńki? – odezwała się znów dziewczyna bez specjalnego zainteresowania.

– Mówię, że nic nie rozumiem.

– To chodź tu do mnie, to ci zaraz wszystko wytłumaczę.

Obejrzał się za siebie. W głębi korytarza stał jego dawny dowódca i nie bardzo wiedział, co robić. Za to Teofil owszem. Skoro zaprasza go do siebie tak piękna osoba, no to on, jako człowiek dobrze wychowany, nie mógł przecież odmówić. Popatrzył na Wróbla, wzruszył ramionami i wszedł do środka. Zbliżył się do sofy i usiadł skromnie na jednym półdupku.

– Napijesz się czegoś? – zaproponowała dziewczyna.

Sięgnął do kieszeni swojego prochowca i wydobyl z niej do połowy opróżnioną butelkę wódki.

– Mam wódeczkę, ale szkło by się zdało.

Uśmiechnęła się i zaraz nachyliła nad oparciem sofy, by wziąć ze stojącego tam stoliczka szklanę.

– Ino jedna? Sam mam pić?

– Ja mam. – Wskazała swój żółty napój.

– To jakieś siki Weroniki.

– Nie żadne siki, ale wódka z sokiem pomarańczowym z kartonika – podkreśliła ten kartonik, żeby nie pomyślał, że byle co wlewa sobie do gardła. Nie pomyślał, bo nie miał pojęcia, co oznacza „sok z kartonika”. Pił ze szklanki, z kubka, kieliszka i z gwinta, ale z kartonika nigdy. Co też ludzie za bzdury wynajdują, zastanowił się, nalewając wódkę do szklanki.

– A twój kolega nie wejdzie? – spytała, dostrzegając jakiś ruch w drzwiach. Teofil spojrzał w tamtym kierunku, a potem machnął ręką.

– Stary już jest, to i strachliwy.

– A ty nie jesteś strachliwy? – zapytała, kładąc mu na kolanach wypielegnowaną stopę z pomalowanymi na czerwono paznokciami. Jego żona też malowała paznokcie, ale tylko u rąk. Tych od nóg nie dałaby rady, bo raczej trudno by było jej się schylić.

– Nigdy w życiu – zapewnił szybko, przesuwając rękę na zgrabnej stopie. – Ja się nie boję niczego.

– Ja też nie – odezwał się Wróbel z korytarza, ale dalej się nie pokazywał.

– Jak nie, jak tak? Jakbyś się nie bał, to byś tam nie stał – zadrwiła, a Wróbel zakaszał, ukrywając w ten sposób odpowiedź, której nie chciał wypowiedzieć głośno. Zamiast tego krzyknął:

– Ja, kurde, protestuję stanowczo i jednoznacznie!

– Co on pieprzy? – Dziewczyna najwyraźniej się zdziwiła.

– On pieprzy, znaczy się gada, że protestuje stanowczo – wyjaśnił Teofil.

– Aha, ale po co? Po cholere protestujesz? – zawołała w stronę korytarzyka.

– Z powodu zatrzymania mnie bezprawnego, kurde, zatrzymania mnie...

– Zatrzymania? – Spojrzała na Teofila, a ten, uśmiechając się od ucha do ucha, postukał się palcem w środek czoła.

– A kto cię tu trzyma?

- Nikt mnie nie trzyma?
- Nikt. Dobra, nie chce mi się już gadać z tym durniem. Powiedz mi lepiej, jak ty masz na imię?
- Teoś, znaczy się Teofil.
- Też ładnie. A ja w pierwszej chwili myślałam, że jesteś porucznik Columbo.
- Ja?
- No bo płaszcz masz taki sam jak on.
- Na Łazarzu se kupiłem. Amerykański.
- No widać, że elegancki. Ale może byś go zdjął, bo się przepocisz. Tu jest całkiem ciepło.
- A jak ty masz na imię?
- Dżesika.
- Aha.
- To tak po zagranicznemu trochę. Po angielsku.
- A po naszymu to jak?
- Dżesika.
- Aha. To znaczy się tak samo. Ciekawe, że po polsku i angielsku jest tak samo...
- Ja protestuję. Proszę mnie, kurde, stąd natychmiast wypuścić!
- Dżesi, kto tam się wydziera? – Teofil spojrział w lewo. Do pokoju weszła kolejna ładna dziewczyna. Tym razem była to brunetka w czarnym szlafroku. Nawet ładniejsza niż ta Dżesika, ale nie wypadało się tak od razu przerzucać na inną, skoro z jedną już zaczęło się głaskanie po nodze.
- Jakiś nieśmiały gość stoi w korytarzu. – Wskazała nogą drzwi, za którymi stał Wróbel.
- Może go trochę ośmielisz, bo chyba jest wstydlivy.
- Ja, kurde, protestuję!
- A protestuj sobie do woli. Zaraz się tobą zajmie Samanta.
- Kto się zajmie? – zapytał zdziwiony Olkiewicz.
- Ona ma tak na imię. Samanta. Jak ta piosenkarka Samantha Fox. Na pewno słyszałeś.
- Ja? Nigdy w życiu! Salamandra, słyszałem, taka żółta jaszczurka...
- Ja protestuję, kurde! – zawołał z korytarza Wróbel, którym najwyraźniej zaczęła już zajmować się Samanta.
- No chodź tu, dziadku, zaraz postawimy twojego pajacyka.
- Proszę mnie, kurde, nie dotykać!
- No coś takiego, już jest gotowy do pracy, a taki był nieśmiały.

- Ja... ja protestuję!
- Chodź do pokoju, tam poprotestujesz sobie, ile dusza zapragnie.
- Ale ja, kurde...
- No dalej, chodź z Samantą. Zobaczysz, kotuś, co ona potrafi.
- Kurde...

Olkiewicz nalał sobie kolejną porcję wódki. Dostrzegł, że i jego nowa znajoma ma pustą szklanke.

– Nalać ci? – zaproponował. Pokręciła głową, zaraz wstała, podeszła do bufetu z alkoholami i sporządziła sobie koktajl. Rzeczywiście nalała jakiegoś soku z pudełka, a do tego dodała wódki. Teofil jednak tylko przelotnie rzucił okiem na kartonik. Bardziej interesował go tyłek dziewczyny. Zadowolony stwierdził, że jest całkiem przyzwoity. Może nie taki dostojny i wielki, jak ten należący do Jadwigi, bo o połowę mniejszy, ale nie był przynajmniej chudy i wklęsnięty. Za takimi nie przepadał. Pomyślał, że skoro już tu jest, to w zasadzie mógłby sprawdzić, jak prezentuje się jędrność tego tyłka, no i zbadać jakość cycków, które w ponętny sposób podkreślał luźno okrywający je szlafrok. Był tylko jeden problem. O ile zdążył się zorientować, a orientację w pewnych kwestiach miał nieomylną, znajdował się w chwili obecnej w burdelu. A burdele mają to do siebie, że za każdą usługę oferowaną klientowi trzeba płacić. No ale w końcu on był nie byle jakim klientem. Mógł przecież wziąć tę Dżesikę do pokoju, sprawdzić jej umiejętności artystyczne i potem pokazać jej legitymację milicyjną, zapowiadając jednocześnie, że jeśli będzie robić raban, to aresztuje się ją i w ogóle wszystkich, którzy tu są na miejscu, łącznie z klientami. Taki mały szantażyk mógł być skuteczny...

– O czym tak myślisz, misiu?

– Jaki „misiu”? Ja jestem Teofil.

– No to o czym tak myśli Teofil?

– Jak o czym? O twoich cyckach.

– Chciałbyś bliżej się z nimi zapoznać, to chodź do pokoju.

– No pewno, że chcę... – powiedział i zerwał się na równe nogi. A pieprzyć te bejmy! Później się o tym pomyśli. Teraz trzeba zabrać się do roboty, zdecydował wpatrzony w Dżesikę.

Podszedł do niej i klepnął ją w tyłek. Był jędrny i nabity, tak jak się tego spodziewał. W końcu uważał się za nie lada specjalistę od kobiecych przymiotów, któremu wystarczył zaledwie jeden fachowy rzut oka, by dokonać właściwej oceny. Ta wypadła celująco, czyli na tyle dobrze, że w ogóle przestał się zastanawiać, dlaczego się tu znalazł i w zasadzie co tutaj

robi. Nie, zaraz, to, co robi, akurat wiedział. Szedł oddać się rozkoszom łóżkowym z piękną blondynką.

Poprowadziła go za rękę do pokoju na górze. Tą samą drogą i tymi samymi schodami, którymi kilkanaście minut temu zeszli tutaj z Wróblem. Swojego protestującego byłego dowódcy nigdzie po drodze nie zauważył, więc doszedł do wniosku, że protest został skutecznie złamany i zakończony.

Dziewczyna otworzyła przed nim drzwi i pchnęła go lekko. Znów był w tym samym pokoju, z którego niedawno wyszedł. Odwrócił się do niej, żeby coś powiedzieć, ale nie było jej za nim. Gdzieś zniknęła, tak jakby rozplynęła się w powietrzu.

– Nie krępujcie się, poruczniku, wchodźcie śmiało – odezwał się jakiś facet. Teoś zajrzał w głąb pokoju i zbaraniał. Znał ten głos i tego człowieka.

– Łe, do kurwy jasnej, co to za hocki-klocki, Galaś? – zapytał niezbyt przyjemnym tonem, bo wcale nie spodobało mu się to, co się tu działo.

– Wchodźcie, Olkiewicz, i nie gadajcie tyle – warknął zimno kapitan Galaś z poznańskiej SB. Dotąd Olkiewicz miał z nim do czynienia zaledwie kilka razy, ale żadne z tych spotkań nie należało do przyjemnych. Najgorzej wspominał to w pewnej willi rekreacyjnej położonej w lesie nad jeziorem w okolicy Grodziska Wielkopolskiego. Wtedy szef Galasia polecił Olkiewiczowi, by ten zastrzelił pewnego człowieka. Co prawda był to zboczeniec, który nie zasługiwał na miłosierdzie, ale Teoś nie czuł się na siłach, by zastąpić Pana Boga. A major Wirski, przełożony Galasia, ten, który kazał to zrobić Olkiewiczowi, w końcu sam zastrzelił bandziora bez mrugnięcia okiem.

– Człowiek idzie do łóżka z dupczką, a tu zamiast niej w łóżku esbek. – Pokręcił z niedowierzaniem głową i usiadł na krześle pod ścianą. Wyciągnął z kieszeni płaszcz butelkę i upił trochę. – Dupczenie przepadło i ino wódka została.

– Możecie pić, ile chcecie, Olkiewicz. Możecie też jeść i korzystać z wdzięków naszych panienek...

Teoś spojrział na Galasia zdumiony. Zdziwiło go to słowo „naszych”, ale nic nie powiedział. Był na tyle cwany, żeby wiedzieć, że nie warto pytać, bo i tak nie dostanie odpowiedzi. Zresztą po co? Skoro Galaś oferował mu burdelowe usługi, to znaczy, że trafił do burdelu prowadzonego przez SB. Słyszał, że jest taki przybytek gdzieś w Baranowie, na wylotówce z Poznania w stronę granicy, ale jak dotąd nigdy w nim nie był. Bo to nie był burdel dla gliniarzy, ale dla targowych gości, którymi interesowała się bezpieka.

–A co ja jestem jakiś szejek naftowy, że wy mnie tak podejmujecie?

– Najpierw chcieliśmy cię zabić, tak samo jak tego durnia Wróbla, ale potem doszliśmy do wniosku...

– Zaraz, zaraz, jak zabić? – Przez moment myślał, że się przesłyszał. Galaś jednak wyprowadził go z błędu.

– No weszliście w sam środek tajnej akcji, poruczniku Olkiewicz, więc powinno było się was sprzątnąć, ale wasze zasługi dla resortu przeważały szalę – wyjaśnił z uśmiechem esbek.

– Bardzo, kurwa, śmieszne. – Teoś pokręcił głową z niedowierzaniem i znów upił trochę wódki. Nie mógł jakoś sobie wyobrazić świata pozbawionego Teofila Olkiewicza. – To w takim razie o co tak w ogólności się rozchodzi, bo ja czegoś chyba nie rozumiem.

– O to się rozchodzi, że w związku z waszymi wcześniejszymi zasługami dla resortu i wy, i ten Wróbel do końca akcji macie siedzieć tu na dupie, używać sobie, ile wiecie, i nie próbować się wydostać na zewnątrz, bo i tak się to nie uda. Czyli sytuacja wygląda tak, że firma jak matka zafundowała wam darmowe, kilkudniowe wczasy w luksusowych warunkach. Ale jak się coś nie podoba, to możemy was zaraz przeflancować do pięknej celi na Młyńskiej. No co, Olkiewicz, co wybieracie?

– Jak co? Czy ja wyglądam, jakby mnie kto glapami futrował? Ino dajcie znać mojej Jadwidze, że ja w delegację pilnie pojechałem, bo jeszcze kobita zawału dostanie.

– Wasza żona już jest poinformowana.

– Szybko działacie.

– Jak zawsze.

– A co to za akcja? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek, choć był przekonany, że Galaś mu nie odpowie.

– Idzie o nasze emerytury, Olkiewicz. A tak w ogóle to powiedzcie mi, czy nie kontaktował się z wami przypadkiem ostatnimi czasy były kapitan Wirski?

Olkiewicz pokręcił głową. Właściwie to nawet nie zdążył się zdziwić, bo Galaś tylko uśmiechnął się lekko i wyszedł, a w drzwiach stanęła Dzesika.

– No i co, mój misiaczek już gotowy do zabawy? – Zatrzasnęła drzwi i podeszła do łóżka, zrzucając po drodze niepotrzebny szlafroczek. Teofil natychmiast zauważył, że nie pomylił się w ocenie walorów estetycznych jej ponętnego ciała.

Pniewy

Godzina 15.50

Mariusz Blaszkowski lubił dzień ósmego marca. Pamiętał nawet ze szkoły podstawowej piosenkę śpiewaną przez uczniów na Dzień Kobiet, kiedy to do klasy zapraszało się wszystkie mamy i wręczało się im biało-czerwone goździki, a chłopcy zawodzili na ich cześć:

*Dzień Kobiet, Dzień Kobiet,
Niech żyją nam zdrowe i pani w klasie, i mamy,
i woźna, kucharka i szkolna lekarka,
im wszystkim dziś kwiaty rozdamy!*

On oczywiście też śpiewał, choć nigdy nie był specjalnie muzykalny. Teraz również nucił tę piosenkę pod nosem, ale wcale nie był pewien, czy na pewno melodia i słowa przypominają oryginał. Przerwał, gdy do pokoju wszedł podporucznik Markowski.

– Ten kapitan powiedział, że jak się rozejrzy, to do nas przyjdzie. Ale jeśli coś wymyślimy, to mamy się nie przejmować i robić swoje – stwierdził, siadając przy drugim biurku.

Pokój, który dostali, był umeblowany dość oszczędnie. Miał tylko dwa stare, ale solidne drewniane biurka, dwa tapicerowane krzesła i dodatkowo dwa drewniane siedziska bez obicia. Te twarde były oczywiście dla osób przesłuchiowanych, a wyściełane dla bardziej wymagających milicyjnych tyłków. Ściany były pomalowane groszkowozieloną olejną farbą do wysokości półtora metra, a nad nią do sufitu ciągnął się pas kredowej bieli, teraz mocno pożółkłej od papierosowego dymu. Ktoś zadbał także o estetykę, bo na dwóch ścianach wisiały ozdoby. Tą najważniejszą, bo niegdyś przydatną, był kalendarz z polskimi krajobrazami wydany przez KAW. Aktualny obraz przedstawiał żółto-czerwony jesienny las, a podpis informował, że właśnie jest październik osiemdziesiątego piątego roku. Drugi obrazek na przeciwległej ścianie sporządzono z wieczka pudełka bombonierki. Na zdjęciu kilka małych kotków siedziało w wiklinowym koszyku. Musiały już tam tkwić ładnych kilka lat, bo zdjęcie z kolorowego zrobiło się szarorude. Jednak żaden z dwóch milicjantów nie zwrócił najmniejszej uwagi na te ozdoby. Co ich w końcu mógł obchodzić wystrój pokoju w prowincjonalnej komendzie milicji w Pniewach. Przecież ani jeden, ani drugi nie mieli

zamiaru przesiadywać w tym pomieszczeniu zbyt długo. Chcieli szybko uwinąć się ze swoją robotą i jak najspieszniej wrócić do Poznania. Choć Mariusz, jako funkcjonariusz bardziej doświadczony, liczył się z tym, że mogą tu trochę zabawić.

– Sprawdzisz wszystko dokładnie, Blacha, a obywatel podporucznik będzie ci w tym pomagał – polecił Marcinkowski, który dziś rano wezwał obu funkcjonariuszy do siebie. – Chodzi o to – mówił dalej – że kapitan Marjański z komendy miejskiej, którego oddelegowano do tamtejszej komendy w charakterze p.o. komendanta, ze sprawami kryminalnymi miał dotąd raczej mało do czynienia. Zresztą on musi przede wszystkim zająć się kwestiami organizacyjnymi i nie powinien skupiać się na śledztwie. No i dlatego postanowiłem wysłać tam ciebie. A podporucznikowi Markowskiemu przyda się odrobina praktyki. Sprawa jest, ogólnie rzecz biorąc, prosta, bo ci, co strzelali do funkcjonariuszy, są znani i rozpoznani. Jeden został zastrzelony na miejscu, a drugi leży w szpitalu w stanie ciężkim. No więc nie szukamy morderców, a jedynie powodów, dla których strzelali. Myślę, że dacie sobie radę.

Mariusz zagryzł wargi, bo na usta cisnęło mu się paskudne przekleństwo. Miał dziś spotkać się z Ewą i zabrać ją na lody do Hortexu, żeby uczcić Dzień Kobiet. Niestety, dziewczyna będzie musiała poczekać. Zadzwoił do akademika i podyktował portierce wiadomość dla niej, lakoniczną jak telegram: „Wyjechałem na zawody. Będę w piątek. Mariusz”.

Już dawno się umówili, aby pilne wiadomości od niego wyglądały jak informacje sportowe. Takie w akademiku zawsze docierały do adresata.

Usprawiedliwiony, ale niepokieszony, wsiadł do nyski, którą podjechał nowy komendant w Pniewach. Na miejsce dotarli bardzo szybko, bo droga zajęła im zaledwie nieco ponad godzinę.

Marjański natychmiast po wejściu do odziedziczonego po poprzedniku gabinetu zarządził odprawę oficerów funkcyjnych, a dwóm wysłannikom z komendy wojewódzkiej polecił przydzielić pokój do pracy i asystenta w postaci podoficera pracującego na stałe w pniewskiej komendzie.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł wysoki i chudy plutonowy

– Plutonowy Obierek Rajmund melduje się do dyspozycji – wyrecytował przepisowo chudzielec, zwracając się oczywiście do Markowskiego, bo wyglądał zdecydowanie poważniej niż Blaszkowski. Jednak to ten drugi odezwał się pierwszy.

– Siadajcie, plutonowy – Wskazał na krzesło na wprost swojego biurka. Obierek może i się zdziwił, że młody odzywa się pierwszy, ale nic nie dał po sobie poznać. Był w końcu

starym milicjantem z dziesięcioletnim stażem i już dawno przestał się czemukolwiek w firmie dziwić. Usiadł więc, jak mu kazali. – Słuchacie, plutonowy, w związku z tym, co się wydarzyło w Gaju Wielkim, musimy porozmawiać z uczestnikami zdarzenia. Dlatego przyprowadzicie nam tu najpierw sierżanta... Jak on się nazywa? – Mariusz zajrzał do notesu, w którym oczywiście nie miał jeszcze nic zanotowane. Słyszał tylko, że wraz z zabitym kapitanem na patrolu byli sierżant i chorąży. No ale tego, że czegoś nie wie oficer z wojewódzkiej, nie musiał przecież wiedzieć podoficer z Pniew.

– Sierżanta Maryniaka – podpowiedział plutonowy a podporucznik potwierdził, kiwając głową. – Tak jest, obywatelu poruczniku. – Wstał i zasalutował. – I coś jeszcze mam załatwić? – mrugnął znacząco do Błaszczowskiego i uśmiechnął się do Markowskiego. Błaszczyk lubił koloryzować, a tu nadarzała się wyśmienita okazja, więc aż szkoda było nie skorzystać.

Maryniak i Stefański mieli trochę czasu, żeby omówić swoje stanowisko. Zamierzali mówić całą prawdę, oczywiście pomijając kilka nieistotnych szczegółów. Zresztą nie było się czego bać. W końcu ci dwaj przysłani tu to zaledwie podporucznicy. To oznaczało, że Poznań nie ma zamiaru robić żadnego porządnego śledztwa, skoro przysyła takich szczonów, tłumaczył koledze chorąży Stefański.

– Obu wciągniemy nosem, przeżujemy i wysramy – stwierdził pewny siebie milicjant, gdy drzwi do pokoju, w którym czekali na przesłuchanie, otworzyły się i stanął w nich plutonowy Obierek.

– No i jak? – zapytał chorąży.

– Jacyś dziwni, bo nie piją. Ino kawę i herbatę chcą.

– Nie piją, znaczy się fałszywi – stwierdził Stefański, podnosząc się z krzesła, pewny, że to jego ze względu na starszeństwo rangi wezwą śledczy. Ale Obierek pokręcił głową na znak, że nic mu się od świątecznej wódki wypitej dzisiaj nie pokręciło, i wskazał na Maryniaka. Ten dobrze nastawiony przez kolegę i podkręcony przez kilka kieliszków żytniej wstał, obciągnął mundur i ruszył dziarsko na przesłuchanie.

– Jacy są? – próbował dowiedzieć się czegoś o obu oficerach Stefański. Plutonowy usiadł na krześle, włożył sobie klubowego do ust i zapalił, najwyraźniej rozkoszując się niepewnością kolegi.

– No wiesz – zaczął powoli, wypuszczając dym nosem. – Młody jest gadatliwy i marudny, jak to młodzi. To on się odzywa i pyta o wszystko.

– Skurwysyn! – warknął chorąży.

– Szczera prawda. Tacy są najgorsi. A ten drugi jeszcze gorszy.

- Nie może być.
- Może. Ten starszy to kawał gnoja.
- Skąd wiesz?
- Bo nic nie gada, ino patrzy.
- Pierdolony!
- No właśnie. Tacy są najgorsi.
- Prawda.
- Nie dość, że nic nie gada, to jeszcze się patrzy.
- No. Bo jakby co gadał, to by się dało z nim dogadać. Ale jak kto nie gada wcale, to się z takim niegadającym człowiek nie dogada.
- Nie dogada się – potwierdził Obierek.
- Kurwa – jęknął chorąży i sięgnął po papierosa.

Tymczasem w pokoju za ścianą zadowolony Maryniak usiadł na krześle na wprost młodego podporucznika. Przez chwilę wpatrywał się w jego młodzieńczą twarz, czekając, aż ten zada pytanie, ale podporucznik nic nie mówił. Po minucie sierżant zaczął się pocić, chociaż w pokoju wcale nie było gorąco. Pięć minut później chusteczka, którą wycierał spocone czoło, była cała mokra, a nie padło jeszcze żadne pytanie. W końcu zdobył się na odwagę i odezwał się pierwszy:

- Czy ja mam tu siedzieć, czy przyjść później?

Młody podporucznik, który czytał jakieś akta, podniósł głowę i ze zdziwieniem spojrział na Maryniaka, ale nic nie odpowiedział. Popatrzył na siedzącego przy drugim biurku kolegę.

- Mówiłeś coś? – zapytał.
- Ja? – zdziwił się ten starszy. – Nigdy w życiu. Co niby miałem mówić?
- Nic. Nie wiem... Tak mi się zdawało, że ktoś tu coś powiedział.
- A może to ten tutaj. – Wskazał palcem na spoconego sierżanta.

– Sierzancie, mówiliście coś? – zapytał ten młody. Podoficer się nie odezwał. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wykrztusić słowa, tak jakby mu nagle zaschło w gardle.

- Nie, on nic nie mówił – stwierdził starszy.
- Wcale się nie dziwię. A ty byś miał coś do powiedzenia, jak miałbyś tyle na sumieniu?
- Jakbym miał tyle na sumieniu, to bym wołał to z tego sumienia zaraz zrzucić.
- Co na przykład? – spytał młody.
- Na przykład tę sprawę z lutego.
- A mówisz o tym wypadku? – Młody oficer spojrział do swojej teczki. – No właśnie mam to. Wypadek na drodze w kierunku ze Świecka. Rozbity passat na zachodnioniemieckich

numerach, niezidentyfikowany kierowca. No w sumie sprawa dość ciekawa. Auto na niemieckich numerach, a zdarzenie nie zostało zgłoszone do niemieckiego konsulatu. Bardzo ciekawe.

– Ciekawie, co on wiózł w tym samochodzie, bo z raportu wynika, że nic. Nie miał nawet walizki z gaciami na zmianę – stwierdził ten starszy podporucznik.

Tymczasem twarz sierżanta zmieniła swój kolor i z intensywnej czerwieni zrobiła się kompletnie biała.

Markowski spojrzał z podziwem na młodego Blaszkowskiego. Ten facet był po prostu geniuszem. Wystarczyła mu chwila nad teczkami obu milicjantów, które dostarczono z kadr, by wyciągnąć ciekawe wnioski. Do akt osobowych dołączono rutynowo także dokumenty dotyczące ich aktywności w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Niewiele tego było, tylko mandaty i raporty z nieciekawych patroli. Jednak pod datą dziesiąty lutego Mariusz natrafił na opis wypadku, do którego doszło kilka kilometrów od Pniew. Obaj milicjanci pierwsi dotarli na miejsce i chorąży napisał raport w tej sprawie, a sierżant się pod nim podpisał. Raport suchy i powierzchowny, pełen wyświechtanych sformułowań. Nic na temat tożsamości człowieka, który zginął w wypadku, w raporcie nie było. Blaszkowski postanowił więc, że na rozgrzewkę, zanim zaczną rozmowę o strzelaninie, pogadają właśnie o tym. Ale zrobią to jego sposobem.

Markowski zgodził się, bo i co miał począć. Znał się na przesłuchaniach dość dobrze, ale tylko z perspektywy drugiej strony biurka. Podjął więc grę według scenariusza kolegi i oto z niedowierzaniem zobaczył, jak Maryniak pęka, zanim zadano mu jakiegokolwiek pytanie.

– No to powiedzcie mi, sierżancie – zaczął w końcu przesłuchanie Blaszkowski – gdzie, do kurwy nędzy, jest paszport tego nieżywego Niemca?

– To nie Niemiec, ino Arabus – pośpieszył z wyjaśnieniem Maryniak i zaraz pożałował tego pośpiechu. Obaj oficerowie popatrzyli najpierw na siebie, a potem na niego.

– Skąd wiecie, że to Arab? – zapytał Markowski.

– Jak kto ma na imię Kamal, to chyba nie jest Niemiec, bo Niemiec to by się nazywał Helmut albo Hans, nie? – wyjaśnił im tę prostą kwestię nieco zbyt nerwowym tonem i wtedy dopiero zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd. Przecież skoro nie znaleźli paszportu, to nie mógł wiedzieć, jak Arab ma na imię po arabsku. Ale co tam, zaraz się ich załatwi i wciągnie przez nos, a potem, tak jak powiedział chorąży, wysra na podłogę. Co mu takie szczyły mogą zrobić, jemu, funkcjonariuszowi, który już tyle lat pracował w milicji? Na szczęście wódka, którą wypił w pokoju obok, zaczynała działać i sprawiać, że przestał się bać tych dwóch gówniarzy. Mogli mu skoczyć!

Poznań

Godzina 17.20

– A pamięta pani, jak w osiemdziesiątym pierwszym, jak tę wojnę Jaruzelski ogłosił wew „Dzienniku”, to na drugim u Cieślików? drzwi wyłamali?

– Łe, no pewno, że pamiętam. Przelamane były na pół.

– Ady, nie tam na pół, ale na ćwiartki albo jeszcze gorzej. Całe się rozleciały w drzazgi.

– Jakie tam drzazgi? W drzazgi to nie mogły, bo one nie z drewna zrobione były, ino z dektury.

– A dektura to niby na czym się trzymie? Na zawiasach?

– No całe drzwi się trzymią na zawiasach.

– Ale dektura to na ramie drzewnianej. I z ty ramy to w drzazgi tak te drzwi rozpieprzyli, że aż strach było patrzeć – przypomniała sobie ten straszny widok mieszkająca na czwartym piętrze Chojnacka, była pracownica PKP, a obecnie szczęśliwa emerytka i wdowa od trzech lat. To ona pierwsza zauważyła połamane drzwi na siódmym piętrze i zaraz wezwała na miejsce swoje dwie sąsiadki – emerytkę Wrońską, która kiedyś pracowała w sklepie rzeźnickim na osiedlu i jeszcze miała tam dobre układy ze swoimi młodszymi koleżankami, i rencistkę Gralakową, która nigdy nigdzie nie pracowała, bo jako kobieta o jednej nodze krótszej chodziła w ortopedycznym bucie i w związku z tym w konkursowy sposób przechodziła wszelkie komisje lekarskie, które zawsze kwalifikowały ją do przedłużenia świadczenia. Ta krótsza noga to było jej błogosławieństwo, bo nie dość że państwo płaciło jej regularnie co miesiąc rentę, to jeszcze mogła codziennie rano pójść do jakiego tylko jej się podobało sklepu i stanąć na samym przedzie kolejki, bo wiadomo, że inwalidzi, kobiety ciężarne i mundurowi na służbie obsługiwani są poza kolejnością. No więc obsługiwano ją tak, jak nakazują przepisy, a ona brała pierwszorzędny towar i później sprzedawała go ze znacznym zyskiem. Inne baby z kolejek szczerze jej za to nienawidziły i niejedna gotowa byłaby nawet dać sobie odrąbać własną nogę, żeby mieć taki komfort kupowania jak ta zołza.

Chojnacka dobrze wiedziała, z kim trzymać. To dlatego właśnie zawiadomiła o tych połamanych drzwiach swoje koleżanki, a nie tę pierduśnicę Badurową, która znana była z

tego, że na każdy temat preparowała niestworzone historie, zresztą z sobą w roli głównej. Ale o połamanych drzwiach nic nie będzie mogła powiedzieć, bo trzy strażniczki nie miały najmniejszego zamiaru dopuścić jej na miejsce. Zasłoniły szczelnie przejście z klatki schodowej na korytarz w oczekiwaniu na milicję z solennym postanowieniem, że nikomu nie pozwolą wejść, żeby nie zadeptać śladów. Tak powiedziała Chojnacka, która знаła się na rzeczy, bo czytała książki kryminalne z niebieskiej serii „Ewa wzywa 07” i dlatego wiedziała, że po śladach można znaleźć złodzieja i wsadzić do więzienia, a potem zaraz wysłać na szubienicę.

– Ale onemu to drzwi rozpieprzyli ci z milicji – zauważyła całkiem słusznie Wrońska, która wyleciała z domu w szlafroku i papilotach. Nie było czasu na przebieranie, gdy działy się rzeczy wielkie, o których przez najbliższe pół roku będzie się jeszcze gadać w kolejkach. – Wtedy przyszli po onego w nocy, jak ten stan wojenny wprowadził Jaruzelski. A Cieślika to w samych gaciach i podkoszulku szkieły wyprowadziły. Sama widziałam, jak mu się giry trzęsły z zimna.

– A co za różnica, kto rozpieprzył? – zdziwiła się Chojnacka. – Ważne, że jedno i drugie całkiem rozwalone. A druga rzecz, że ci zomowcy to takie same bandyty jak te, co tutaj wlażyły do mieszkania.

– A skąd niby wiadomo, że to bandyci zrobili? – zainteresowała się kulawa Gralakowa, która z natury rzeczy jako osoba poszkodowana przez los była nieufna i niedowierzająca komukolwiek.

– Jak to skąd? – oburzyła się Chojnacka. – A niby kto drzwi wyłamywał, żeby wejść do mieszkania? Normalny człowiek by nie wyłamał. A tak w ogóle to ciekawe, czemu ta milicja nie przyjeżdża jeszcze. Czy aby na pewno pani do nich zadzwoniła? – spojrzała z wyrzutem na Gralakową, a ta odpowiedziała jej miną typu „święte oburzenie”.

– No wie pani, jak bym miała nie zadzwonić na milicję. Zadzwoniłam i wszystko im powiedziałam, że drzwi są złamane i że było włamanie, i nawet nazwisko tej lafiryndy, co tu mieszka w tym mieszkaniu, podałam, że się nazywa Magdalena Jankowska, żeby było wiadomo, kto jest okradziony. Powiadali, żeby stać pod drzwiami i nikogo tam nie wpuszczać, aż przyjadą na miejsce. I żeby tam czasem nie włązić – mówiąc to, spojrzała nie bez złośliwej satysfakcji na swoją koleżankę Chojnacką, która musiała już wejść do środka, zanim kogokolwiek zawiadomiła. Bo i skąd niby miałyby wiedzę, że wewnątrz jest kompletna rozpierducha i wszystkie lompki z szaf powywalane na podłogę, skoro z korytarza wcale tego nie widać. To Gralakowa wiedziała na pewno, bo na ile się dało, włożyła głowę do środka przez te rozbite drzwi. Dalej nie wlażyła, bo już baby patrzyły, więc nie wypadało.

Winda na piętrze zatrzymała się i ze środka wyszedł Matysik Paweł, śmierdzący wódą i papierosami pracownik Wiepofamy, który od miesiąca siedział na zwolnieniu w domu, a w zasadzie to wszędzie tylko nie w domu, bo tu jeszcze nikt mu nie podawał wódki do picia, a poza domem owszem, kiedy tylko chciał i ile chciał, czyli na ile wystarczało pieniędzy.

– Się panie szanowne nastąpią, bo chciałem iść do chaty – powiedział grzecznie, widząc grube tyłki i plecy bab stojących w przejściu z klatki schodowej do korytarza prowadzącego do mieszkań. Ale żadne dupsko się nie ruszyło. Miał nawet wrażenie, jakoby się ścieśniły.

– Nie ma przejścia chwilowo z powodu niezacierania śladów! – Chojnacka na chwilę odwróciła się do pijaka i obrzuciwszy go niechętnym spojrzeniem, znowu zajęła się pilnowaniem.

– Że niby jak?

– A no tak, że przejścia nie ma chwilowo – wyjaśniła Wrońska.

– Ale ja muszę do chaty – jęknął Matysik, który jak na razie postanowił, że nie będzie wprowadzał radykalnych rozwiązań problemu. No chyba że zostanie do tego zmuszony okolicznościami.

– Idź, pan, się gdzieś napij, bo i tak nie puścimy – spróbowała po dobroci Gralakowa.

– Kiedy ja już jestem opity i chcę się wylać.

– No kto to widział, co za chamstwo w naszym bloku się rozszerza. – Chojnacka zrobiła zniesmaczoną minę. Co zrobić, na chamstwo nie ma rady.

– Ja wam dam chamstwo, wy chorlipy zdalasiałe. Puszczają mnie do domu, bo w grube dupy nakopię, że aż polecicie w cholere. Co to, człowiek nie może po pracy iść leżeć, bo jakieś lampucery dupy we drzwi wpychają. Jest wolność w Polsce Ludowej czy nie ma? Jest, kurwa, demokracja czy dupokracja?

– A co wam się, obywatelu, w Polsce Ludowej nie podoba? – odezwał się ktoś za jego plecami.

– Wszystko mi się podoba oprócz grubych bab, co człowieka pracy do domu nie chcą wpuścić – stwierdził Matysik, odwracając się do milicjanta, który właśnie wyszedł z windy. Kobiety też się odwróciły, by zrobić szpaler, którym mógłby przejść przedstawiciel władzy.

– I bardzo dobrze, że nie chcą wpuścić, bo taki mają nakaz milicyjny, żeby pilnować porządku – wyjaśnił sierżant Olszówka, który był dzielnicowym na osiedlu Młodych i ruszył na miejsce zgłoszenia natychmiast, gdy tylko dostał informację od oficera dyżurnego na temat włamania. Musiał stwierdzić, czy rzeczywiście zgłoszenie nie mija się z prawdą i czy należy wzywać ekipę techniczną do zabezpieczenia śladów pozostawionych na miejscu przez złodziei.

Ruszył więc przez wąskie przejście obstawione z prawa i lewa biustami oraz brzuchami, a przebrnąwszy przez korytarz, odetchnął z ulgą.

– A co ze mną, panie władzo? – zawołał za milicjantem sąsiad Matysik, licząc zapewne na męską solidarność. I nie przeliczył się, bo kto lepiej zrozumie niedopitego mężczyznę jak facet, który lubi zalać robaka, ale od rana nie mógł nic wypić, bo akurat był w pracy.

– Idźcie, obywatelu, na kielicha, bo tu jeszcze póki co się będzie ślady sprawdzać.

– To ja może na paluszkach? – zaproponował pijak.

– Nie na paluszkach, ale w podskokach spierdalajcie, pókim jeszcze się nie wkurzył ostatecznie i was nie zamknął za utrudnianie śledztwa.

– W tej sytuacji już znikam, panie władzo szanowna, ino niech pan tam zapuka do mojej starej, że musiałem pozostać poza domem dłużej na polecenie Milicji Obywatelskiej.

Dzielnicowy Olszówka machnął ręką i poszedł w kierunku drzwi, które wskazała mu gruba Chojnacka.

– To wyście, obywatelko, dzwoniли? – zapytał ją, stając przed połamanymi drzwiami.

– Ja ino znalazłam te drzwi i zesłam zaraz do pani Gralakowej, bo ona ma telefon jako osoba kaleka, żeby się łatwiej z przychodnią dogadać.

– Prawda – potwierdziła Gralakowa. – Ja zaraz, jak ino przyszła pani Chojnacka, od razu zadzwoniła na milicję i tak jak nakazali, żeśmy nikogo do środka nie dopuścili.

– I bardzo słusznie, bardzo słusznie. – Olszówka zdjął czapkę i podrapał się po czubku głowy. Gdy zaspokoił już zwyczajną ludzką ciekawość i obejrzał z zainteresowaniem całe drzwi, przypomniał sobie, że jest funkcjonariuszem na służbie i w związku z tym powinien zachowywać się jak funkcjonariusz na służbie. Odwrócił się więc do trzech kobiet, do których tymczasem dołączyła jeszcze czwarta z mieszkania na wprost, czyli Matysik Czesława, żona pijanego Matysika. Usłyszawszy, że na korytarzu robi się jakiś raban, wyszła zobaczyć, co się dzieje, i natychmiast natknęła się na delegację sąsiadek i milicjanta. Takiej okazji nie mogła przegapić. Dopiero wtedy dostrzegła połamane drzwi i bardzo się zdziwiła, bo nie słyszała, żeby ktoś te drzwi łamał. Zresztą ta Jankowska, co tu mieszkała, za mała była i za chuda, żeby samej to zrobić. Ktoś musiał jej w tym rozwalaniu pomóc.

– A wy, obywatelko, to mieszkacie naprzeciwko – stwierdził dzielnicowy.

– Z mężem – odpowiedziała szybko, żeby ktoś nie pomyślał, że może tak jak ta dziewczyna sama ze sobą żyje w mieszkaniu.

– To kto te drzwi rozwalił? – pytał dalej dzielnicowy, robiąc przy tym groźną służbową minę.

– A co ja jestem wróżka jakaś? – zawołała Matysikowa. – Jakbym słyszała, że kto łamie drzwi, to zaraz bym wyszła, żeby sprawdzić, kto i po co, ale nic nie słyszała, bo telewizję miałam nastawioną. A jak się telewizję nastawi, to się nie za dużo słyszy, co się wyrabia na schodach.

– Prawda – poparła ją Wrońska. – Najwięcej to słyhać do południa, jak w telewizji nic nie leci i trzeba puszczać radio, żeby coś gadało. Ino że radio to tak głośno nie idzie jak telewizor, bo i po co?

– To nikogo nie widziałyście, obywatelko? – spróbował jeszcze raz sierżant, ale czuł, że sprawa jest beznadziejna.

– Jak nie widziałam. A pewnie, że widziałam. Cały program dla rolników w telewizji widziałam, o uprawie buraka cukrowego dawali. Bardzo ciekawe, bardzo...

– Nie wolno wschodzić, bo jest zabronione przez milicję! – wołał pozostawiony samemu sobie pijany pracownik Wiepofamy, który jakoś się nie zdecydował, by pójść na wódkę. Tym bardziej że nie miał już ani grosza przy sobie, a wiadomo, że człowiek bez pieniędzy rzadko może liczyć na hojność kolegów pijaków. – Milicja zabroniła i można co najwyżej iść się napić wódki. Może szanowna pani pójdzie ze mną na wódeczkę? Ino że bejmów nie mam.

Magda zdziwiona spojrzała na zagradzającego jej drogę sąsiada, ale nie był to człowiek, który mógłby powstrzymać ją przed czymkolwiek. Przesmyknęła się pod ręką pijaka i pobiegła w stronę swojego mieszkania. Pod drzwiami stał milicjant i cztery sąsiadki. Kobiety, usłyszawszy kroki, odwróciły się w jej kierunku, ale ona minęła je obojętnie i stanęła obok milicjanta.

– Nie wolno tu wchodzić – powiedział groźnie stróż prawa.

– Ale to moje mieszkanie. Muszę sprawdzić, czy coś zginęło – powiedziała i nim zdążył zareagować, wskoczyła do środka. Wystarczyło jej kilka sekund, by zorientować się w sytuacji. Szybko podeszła do stołu w kuchni i włożyła rękę pod blat. Zaraz natrafiła dłonią na coś twardego i zimnego. Pistolet przytwierdzony taśmą samoprzylepną był tam, gdzie go zostawiła. Oderwała go i natychmiast wrzuciła do torebki. Jeszcze raz rozejrzała się po mieszkaniu, które wyglądało tak, jakby przez nie przeleciała wichura, i wyszła na korytarz.

– I co, zginęło coś? – zapytał dzielnicowy.

– Nie mam pojęcia – rzuciła i ruszyła w kierunku windy. Co ją mogło obchodzić, czy ktoś coś ukradł. Najważniejsze, że nie zginęły pieniądze, które zdążyła przekazać Grubemu Rychowi. Ci, którzy włamali się do mieszkania, musieli właśnie ich szukać.

– Ale zaraz, obywatelko, zaczekajcie, bo zaraz tu będzie...

Sąsiad, który schował się za rogiem, chciał ją zatrzymać, ale nie miał najmniejszej szansy. Minęła go zwinnie i wskoczyła do windy, która na szczęście nie zdążyła odjechać. Wcisnęła przycisk i dźwig ruszył w dół. Przez trzy sekundy widziała jeszcze oddalającą się, zdziwioną gębę Matysika, a później migające kolejne piętra i w końcu parter przesiąknięty codziennym smrodem ze zsypu na śmieci, który sprawił, że zebrało się jej na wymioty. Szybko wybiegła na zewnątrz budynku. Samochód stał niedaleko klatki schodowej. Musiała jak najprędzej stąd odjechać. Spojrzała w górę na ten ogromny blok i – nie wiedzieć czemu – pomyślała, że chyba już nigdy więcej tu nie wróci.

Pniewy

Godzina 17.30

Sierżant Maryniak wstał z krzesła. Przesłuchujący go młody milicjant zapisywał coś w swoim zeszycie, a drugi z kontrolerów siedział odwrócony bokiem do kolegi i wpatrywał się w okno. Nie mógł tam dostrzec niczego prócz chmur przepływających po niebie, ale widać musiały być interesujące, bo patrzył tak na nie już od przynajmniej pół godziny. Przez ten czas ani razu nie odezwał się do Maryniaka. Pytał przede wszystkim ten młody, który wszystko chciał wiedzieć i każdą odpowiedź starannie zapisywał. Najpierw interesował się wypadkiem, ale gdy Maryniak go zbył, traktując z góry, to w końcu się odczepił i zaczął wypytywać o strzelaninę. Wtedy Maryniak opowiedział mu wszystko, co ustalili ze Stefańskim, i musiał przyznać, że wyszło całkiem zgrabnie, szczególnie ta część opowieści, kiedy to zajechali pod budę z kurczakami, a on zahamował z piskiem opon, otworzył drzwi auta i wyskoczył niemal jeszcze w pędzie na asfalt z pistoletem w dłoniach.

– Mielście pistolet w ręce, gdy wyskakiwaliście? – zainteresował się nagle ten starszy.

– No pewnie – potwierdził sierżant. – Od razu z pistoletem wyskoczyłem, żeby nie tracić czasu.

– Aha. No tak, to jasne. Po co tracić czas? Czas to pieniądz. Albo i coś tam jeszcze... – dodał ten młodszy.

– A jak żeście podjeżdżali do tego miejsca, gdzie stali ci bandyci, to już mieliście pistolet w dłoni?

– Maryniak przez chwilę się zastanawiał, zagryzając przy tym dolną wargę. W końcu, gdy już wszystko sobie poukładał w głowie, pokręcił nią, zaprzeczając.

– No nie miałem w ręce, bo w rękach to ja miałem kierownicę.

– No tak, słusznie. Kierowca ma w rękach kierownicę – zgodził się z właściwym rozumowaniem podporucznik Markowski. – Ale jak auto stanęło, to żeście wyciągnęli pistolet z kabury.

– Tak jest!

– To znaczy, że jak jeździcie autem, to macie przypięty pas, a przy nim kaburę?

– Zgadza się.

– I pasy też macie zapięte?

– Łe, kto by tam pasy zapinał, obywatelu poruczniku.

– No to podsumujmy w takim razie. Podjechaliście z piskiem opon, zatrzymaliście auto, wyciągnęliście pistolet z kabury, przeładowaliście go i wyskoczyliście z auta, a wszystko pod presją, bo widzieliście uzbrojonych bandytów. To ile wam to zajęło czasu, sierzancie?

– Sekundy, dosłownie sekundy.

– Macie przy sobie broń?

– Mam.

Markowski wyciągnął z kieszeni swój nowy, nieużywany dotąd pistolet. Przeładował go i wycelował w podoficera.

– Weźcie swoją broń i wycelujcie we mnie! – krzyknął.

– Co?

– No dalej, bierz broń i przeładuj!

– Ale...

– Nie, kurwa, „ale”! Wyciągaj pistolet, do kurwy nędzy!

– Ja... – Trzęsącymi się dłońmi ledwie poradził sobie z rozpięciem kabury. Gdy mu się to w końcu udało, wyciągnął pistolet.

– No dalej, celuj we mnie! Albo nie, celuj w niego. – Wskazał na młodszego kolegę. – Nie, celuj we mnie. Ja mam broń, a on nie ma, W kogo, kurwa, celujesz? Przeładuj pistolet...

Ręce trzęsły mu się za bardzo. Nie dał rady przeładować...

Markowski schował swój pistolet do kabury i uśmiechnął się do Błaszковского.

– Wskoczył z auta i zaczął strzelać? Niezwykłe to interesujące. Tego uczyli nas w Czerwonych Beretach, jak się zachować pod ostrzałem i jak wyskakując z auta, zacząć natychmiast walić do wroga. Żeby się tak zachować, trzeba przejść porządne szkolenie. Byliście może w Czerwonych Beretach?

– Sierżant pokręcił głową.

– W wojsku byłem w orkiestrze.

Mariusz pokiwał głową.

– Dziękuję wam, sierżancie. Możecie schować już pistolet.

– Tak?

– Już nie będzie wam potrzebny.

– Nie będzie... – Włożył broń do kabury i zapiął ją.

– No to by było na tyle, sierżancie Maryniak – powiedział Blaszkowski, uśmiechając się po przyjacielsku. – Możecie już iść. A, i poproście tu chorążego Stefańskiego.

– Tak jest, poproszę...

– Jeszcze jedno, sierżancie.

– No – odpowiedział niezbyt regulaminowo, cały czas skołowany tym nieco nietypowym przesłuchaniem.

– A wiecie może, co się stało z pistoletem tego bandyty, którego żeście zastrzelili?

– Pistoletem? – zdziwił się podoficer.

– No tym, z którego do was mierzył.

– Musiał upaść na asfalt.

No tak, to zrozumiałe – zgodził się z nim Blaszkowski. – Po tym, jak żeście go postrzelili w dłoń, musiał wypuścić gnata. Ale mnie interesuje, co później stało się z tym pistoletem.

– To ja nie wiem, bo...

– Bo z protokołu to nie wynika – stwierdził Mariusz, przerzucając karty akt. – Nie wynika, żeby pistolet się gdziekolwiek znalazł. Tak jakby wyparował.

– Ale ja nie wiem.

– No nic, trudno. Możecie już iść, sierżancie. I poproście chorążego.

Skołowany Maryniak wyszedł z pokoju i starannie zamknął za sobą drzwi. Na korytarzu natknął się na plutonowego Obierka. Chudzielec uśmiechnął się do niego zachęcająco.

– No co, chłopie, jak tam maglują? – zapytał, bo musiał to wiedzieć jak najszybciej. Na informację o przesłuchaniu czekali koledzy w całej komendzie. Każdy chciał wiedzieć, jak zachowują się ci dwaj faceci z Poznania. Ale Maryniak tylko machnął ręką.

– Piłują jak cholera, gnoje – mruknął pod nosem i wszedł do pokoju obok. Na jego widok Stefański poderwał się z krzesła. W ustach miał papierosa, a w dłoni szklanę z wódką. Musiał sobie w jakiś sposób umilić czas oczekiwania.

– Masz teraz ty tam iść. – Sierżant usiadł na najbliższym, stojącym pod ścianą, krześle. Jego kolega dopił wódkę do końca i zdusił papierosa w pełnej po brzegi popielniczce z luksfera.

– O co pytają?

– Łe tam... – Maryniak machnął lekceważąco ręką. Nie bardzo wiedział, co powinien odpowiedzieć. W końcu nic nie poszło tak, jak się wcześniej umówili, bo ci gnoje z Poznania kompletnie go ogłupili. Najbezpieczniej chyba będzie powiedzieć o tym wypadku...

– O strzelaninie na parkingu to prawie nie gadali – rzucił lekkim tonem, licząc na to, że chorąży w końcu pójdzie, a on będzie mógł ukoić skołatane nerwy.

– Nie pytali?

– No nie.

– Ale żeś przecież ponad godzinę tam siedział.

– No niby tak... Aż godzinę? – zdziwił się, bo wydawało mu się, że był na tym przesłuchaniu najwyżej kwadrans. – Na pewno mniej niż godzinę.

– To gadaj jeszcze, co chcieli, bo muszę tam już iść.

– Ten młody to pyta najwięcej, a starszy to nawet nakrzyczał na mnie.

– To skurwiele jedne. Ale co chcieli? – próbował się dowiedzieć coraz bardziej zniecierpliwiony Stefański.

– O ten wypadek pytali.

– Jaki wypadek?

– No ten z tym Arabusem.

– Cicho, kurwa! Chcesz, żeby ktoś usłyszał? Co ty w ogóle gadasz? Tam nie było żadnego Araba!

– Jak nie było?

– Tak żeśmy się umawiali, nie?

– No tak. Niby tak, ale oni już wiedzą.

– Co wiedzą?

– No że to był Arab, ten z wypadku.

– O ja pierdołę. Nie wierzę! Skąd mają wiedzieć, że to był Arab?

– No jakoś tak wyszło.

– Co wyszło?

– No że on był nie Niemiec, ale Arab. Bo oni myśleli, że jak na niemieckich numerach, to Niemiec. No to im powiedziałem, że jak kto jedzie niemiecką bryką, to zaraz Niemiec nie musi być, bo może być na ten przykład Arab, jak kto się po arabsku nazywa...

– Ja pierdołę, trzymajcie mnie...

– I jeszcze się pytali, gdzie są jego lompki, bo nie chciało im się wierzyć, że bagażnik był całkiem pusty i że nie miał walizki z ciuchami do przebrania, to im powiedziałem, że nie miał nic i w ogóle nic tam nie było, tylko ten zabity Arab.

– Nie wierzę! Kurwa, nie wierzę!

– Że co?

– Że im wszystko powiedziałeś, ty cholerny idioto.

– Co im powiedziałem? Nic nie powiedziałem. Sami wszystko wiedzieli, a nawet to, że jak wyskoczyłem z auta tam na parkingu, to nie miałem w łapie pistoletu. Wszystko wiedzieli, tylko nie wiedzieli, gdzie jest pistolet tego, co go zabiła ta dziewczucha...

– Kogo zabiła dziewczucha? – zapytał podporucznik Markowski, który niepostrzeżenie stanął w drzwiach. Obaj podoficerowie jak na komendę spojrzeli w jego kierunku. Oficer stał i spoglądał to na jednego, to na drugiego konspiratora.

– Dziewucha? Jaka dziewczucha? – zdziwił się chorąży, który nauczony doświadczeniem zawsze wołał iść w zaparte. Czasami nie przynosiło to efektu, ale mogło dać choć trochę czasu na przemyślenie kwestii i znalezienie lepszej odpowiedzi. Jednak tym razem sytuacja była beznadziejna, bo oficer śledczy swoje usłyszał. Stefański nie miał wyjścia. Musiał zacząć działać.

Uśmiechnął się szeroko i ruszył w kierunku oficera.

– No to co będziemy tak stać, obywatelu poruczniku. Ja wam zaraz wszystkie te nieporozumienia wyjaśnię. Bo mój kolega to on pewnie trochę przemęczony jest. Coś mu się chyba popierdzieliło w głowie.

– Mi? Nigdy w życiu!

– To co, możemy pójść tam do was? – Stefański wskazał ścianę oddzielającą dwa pomieszczenia.

– Nic mi się nie popieprzyło. Tobie się popieprzyło. To wszystko twoja wina! – zawołał rozpaczliwie Maryniak i przyłożył dłonie do twarzy, jakby miał się zaraz rozplakać.

Podporucznik spojrział zdziwiony na niego, na sekundę tracąc z oka chorążego. Ten błyskawicznie wykorzystał nadarzącą się okazję. Zdzielił Markowskiego prawym sierpowym w podbródek. Cios pozbawił oficera równowagi. Stefański pchnął go na

przeciwległą ścianę korytarza. Podporucznik uderzył w nią głową i straciwszy przytomność, opadł na wyłożoną zielonym linoleum podłogę.

– Stój, bo strzelam! – krzyknął Maryniak, który nadspodziewanie szybko wyszedł z nerwowego załamania. Błyskawicznie przekalkulował sobie, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, trzeba opowiedzieć się po stronie prawa. Udało mu się wydobyć z kabury pistolet i wymierzyć w kierunku kolegi. Zapomniał tylko o jednej sprawie. Aby wystrzelić, trzeba broń przeładować. Takie zachowanie sierżanta mogłoby ostatecznie utwierdzić w przekonaniu podporucznika Markowskiego, że miał całkowitą rację i bohater Maryniak nie oddał ani jednego strzału na parkingu w Gaju Wielkim, pod barem z kurczakami. Ale Markowski leżał bez przytomności. Przytomny był za to chorąży Stefański, który natychmiast dostrzegł pomyłkę swojego byłego już kolegi. Spokojnie wyciągnął pistolet i niemal nie mierząc, posłał w jego kierunku dwie kule. Potem schowawszy broń do kabury, przeszedł nad leżącym w dalszym ciągu podporucznikiem.

– Co tu się dzieje? – Blaszkowski wyskoczył z pokoju przesłuchań i niemal zderzył się z chorążym.

– Sierżant oszalał – powiedział spokojnie Stefański. – Idę po pomoc – krótko i zwięźle objaśnił oficerowi sytuację i pobiegł schodami w dół, odprowadzany wyrażającym niepomierne zdumienie spojrzeniem podporucznika Mariusza Blaszkowskiego.

Okolice Poznania

Godzina 22.30

– Panie, panie! Jak stąd najlepiej do Poznania się dostać?

– No Poznań gdzie jest?

– Jak gdzie? Tam, gdzie zawsze. O tam, prosto.

– Aha, a jak tam dojechać?

– Samochodem najlepiej.

– A jak kto nie ma samochodu?

– Jak kto nie ma samochodu, to jak chce jechać? Przecież tu ni ma kolei.

– Co za cymbał! – mruknął niezadowolony Teofil Olkiewicz, który natrafił na niezbyt obiecującego pomocnika. Jednak skąd o tej porze wziąć innego. Przecież normalni ludzie

nocą albo spali, albo pili. Tylko niektórzy, tacy, co to mieli ważne sprawy do załatwienia, chodzili po mieście. No ale po zadupiu to nikt nie łąził, bo i nie było gdzie. Ten, którego spotkał, tylko stał i palił papierosa.

– Że co? – zapytał facet.

– Że nie mam samochodu przy sobie.

– Zepsuł się? – domyślił się.

– No, zepsuł.

– To trzeba by do naprawy Tu niedaleko jest warsztat. Oni zreperują. Ino że po nocy nie robią. Ale jutro to jak najbardziej. To fachowcy, i szybcy. Jak szwagier oddał im zepsutego malucha do zrobienia przegubów, co się wyrupotały, to ino tydzień auto stało w zakładzie. Wszystko zrobili i było jak nowe. I nic nawet nie ukradli, bo szwagier sprawdził. Przed oddaniem na każdej części, na akumulatorze, na silniku nawet zrobił takie znaczki farbą olejną, żeby sprawdzić jakby co. No i niech se pan wyobraża, że wszystkie były na miejscu, jak oddali jemu to auto. Uczciwi jak mało kto.

– Ale ja muszę teraz do Poznania się dostać. W ogóle co to jest za wiocha?

– Jaka wiocha? – odburknął facet. – To nie żadna wiocha, panie. To jest Baranowo. A Baranowo to zasadniczo już prawie że jest Poznań.

– Jakby był Poznań, to by był tramwaj – odpowiedział Teofil. Na taki argument mieszkaniec „prawie” Poznania nie miał już żadnej odpowiedzi poza jedną i jakże oczywistą.

– Pierdolisz, gościu.

– Co? – Olkiewicz aż zaniemówił z wrażenia. Żeby taki wieśniak mówił w ten sposób do niego, do stróża prawa i sprawiedliwości społecznej. – Ożeż ty ćwoku z Baranowa. Do mnie z taką gadką?

– A co żeś ty jest lepszy od innych? U nas w PRL wszystkie są równe.

– Równe, ale niektóre równiejsze, baranie z Baranowa. O, masz tu, popatrz se i jak umiesz, to przeczytaj. Uczą was tu czytać i pisać?

– A bo co?

– A bo to, że tu jest napisane „Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych”, a to się oznacza, że ja jestem z tego urzędu, znaczy się, że jestem Milicja Obywatelska. A jak ja jestem milicja, to ty jesteś zatrzymany za obrazę władzy. I prędko, ty łachudro, z pierdla nie wyjdiesz!

Zatrzymany nerwowo rozejrzył się na boki. Nie bardzo było gdzie uciekać. A tak w ogóle to nie mógł rzucić się do ucieczki przede wszystkim dlatego, że był nocnym stróżem w zakładzie remontowo-budowlanym, którego brama wjazdowa znajdowała się za jego plecami.

Korzystając z uroków ciepłej nocy, wyszedł tylko na chwilę ze swojej budki wartowniczej, żeby rozprostować kości i zapalić papieroska na świeżym powietrzu, bo wiadomo, że tak zdrowiej niż w cuchnącej budzie. No i wtedy napatoczył się ten śmierdzący wódą łysol. Trzeba go było zostawić samego na drodze i wrócić na wartownię, ale jemu się zachciało gadać. Bo Walery Opieniek, emerytowany strażnik przemysłowy, jako człowiek większość czasu spędzający samotnie, bardzo lubił rozmawiać z ludźmi i nie przepuścił żadnej okazji. No i ta jego miłość do rozmów z bliźnim mogła go właśnie zaprowadzić prostą drogą do aresztu. Na szczęście w Poznaniu, a nie na jakimś zadupiu.

– Ale ja przecież, panie władzo, jestem niewinny jak niemowlę. A poza wszystkim to ja w pracy jestem i nigdzie nie mogę iść, bo majątek narodowy powierzono mojej opiece jako stróżowi nocnemu i jak ja bym stąd odeszedł, to by był sabotaż i przestępstwo gospodarcze. Także za cholere nie dam się aresztować.

– Jesteś stróżem? – Teofil wskazał na oświetloną nędzną lampą, zainstalowaną na słupie, bramę prowadzącą do zakładu.

– No.

– A w stróżówce jest telefon?

– No jest.

– No to prowadź do telefonu.

Stróż nocny Opieniek natychmiast się odwrócił i ruszył w kierunku obitych blachą drzwi, osadzonych w stalowej bramie. Otworzył je i wszedł do środka. Teofil ruszył za nim. Po chwili obaj znaleźli się w niewielkim pawilonie, który nad wejściem witał wszystkich dumnym napisem „Biuro przepustek”.

Wewnątrz śmierdziało jak w wędzarni papierosowym smrodem zmieszany z odorem niemytych ciał strażników przemysłowych i przepoconych skarpet. Nic dziwnego, bo buty stróża stały przy drzwiach, a on wybrał się na przechadzkę w klapkach.

– O tu jest telefon. – Wskazał na stary, czarny ebonitowy aparat. Teofil, nie pytając gospodarza o zgodę, chwycił słuchawkę i wykręcił numer alarmowy. Po chwili z drugiej strony odezwał się niemiły głos:

– Milicja.

– Porucznik Olkiewicz mówi. Potrzebuję transportu na już.

– Każdy potrzebuje transportu – odpowiedział nastrojony filozoficznie funkcjonariusz.

– Ale ja na już. Akcja komendy wojewódzkiej, wydział dochodzeniowo-śledczy od podpułkownika Marcinkowskiego.

Dyżurny chrząknął, bo widać zaschło mu w gardle. Pewnie myślał, że ma do czynienia z jakąś prowincjonalną, podpoznańską sprawą, a tu sama komenda wojewódzka i...

– Długo mam czekać, aż se przetrzawicie wszystko? – zaatakował Teofil, bo wiedział dobrze, że doświadczony milicjant nie może dać przeciwnikowi czasu na zebranie myśli.

– A gdzie obywatel porucznik jest, bo ja mam ino dwa wozy patrolowe na patrolu...

– Gdzie ja jestem dokładnie? – Spojrzał groźnie na stróża.

– Zakład Rem-Bud Baranowo.

– Rem-Bud Baranowo.

– A to ja wiem gdzie. Jak się jedzie na Poznań.

– Za ile będzie samochód?

– Dziesięć minut, obywatelu poruczniku.

– Czekam – mruknął do mikrofonu i odłożył słuchawkę. Spojrzał na stróża, potem na krzesło przystawione do stołu zawalonego gazetami, niepomytymi kubkami i talerzami.

– Syf tu macie – stwierdził, strzepując jakieś okruszki z krzesła.

Opieniek wzruszył ramionami. Co on mógł poradzić na brud? Nic. Przecież nie będzie tu sprzątał. On był od pilnowania.

– Sprzątaczką nie sprząta – wyjaśnił rzeczowo, ale w szczególności nie było co się wdawać i opowiadać temu milicjantowi całej historii, jak to jego zmiennik, Wincenty Tomaszczyk, wpuścił do środka sprzątaczkę Waligórską, ale wypuścić to już nie chciał, no chyba że ona wysprząta wszystko łącznie z naoliwieniem jego armatki. Ale Waligórska nie z takimi łapserdakami dawała sobie radę w życiu. Rzuciła się na niego z pazurami, ryj mu podrapała i zapowiedziała, wychodząc, że jej noga więcej w tym chlewie nie postanie. Jak powiedziała, tak i zrobiła, i dlatego biuro przepustek biurem było tylko z nazwy, a naprawdę przypomniało śmierdzącą norę.

Teofil wyciągnął papierosa i włożył go do ust. Opieniek usłużnie podał mu ogień.

– A ten burdel to dawno tu jest? – zapytał Olkiewicz.

Stróż najpierw zrobił zdziwioną minę, ale po chwili uśmiechnął się oblesnie. Ludzie mogli nie wiedzieć, gdzie jest biblioteka, mogli nie mieć pojęcia, gdzie szkoła czy plebania, ale gdzie można kupić wódkę i znaleźć kurwę, to wiedział każdy.

– Z piętnaście lat będzie, panie, jak umarł ten, co tę chatę postawił. Miała być knajpa, bo to zaraz przy drodze przecie do granicy, ale ten Malicki to umarł i knajpy nie zdążył otworzyć i potem to ktoś kupił od wdowy. To my myśleli nawet, że tu będzie normalna restauracja, a tu się otworzył nocny klub z neonem czerwonym migającym i zaczęły auta z Poznania podjeżdżać, to zaraz w całym Baranowie wiara zaczęła gadać, że to burdel jest dla

dewizowców. Ale nie wadzi nikomu. Cisza, spokój i w obejściu zawsze wysprzątane, a panienek to ja nawet na oczy nie widziałem. Na ulicy nie wystają, ino goście w garniturach do nich przyjeżdżają poruchać.

Teofil pokiwał głową. On najlepiej wiedział, co robią goście w tym przybytku rozkoszy. Przez kilka godzin pił, jadł i zabawiał się najpierw z Dzesiką, a później, gdy się okazało, że wyczerpany Wróbel zasnął, zaopiekował się również Samantą. Musiał przyznać, że obie dziewczyny znały się na swojej robocie. No ale co się dziwić, przecież SB nie mogła sobie pozwolić na utrzymywanie podrzędnego lokalu. Tu towar musiał być najlepszej jakości, na najwyższym światowym poziomie. I rzeczywiście był taki, ale Teofilowi przez cały czas pobytu w tym jakże rozkosznym miejscu coś przeszkadzało. Niby wszystko było pierwsza klasa, ale on czuł się jak księżniczka na ziarnku grochu, którą ten groch uwierał w tyłek. Jego też coś gniołło i z początku nie wiedział co, więc starał się tym nie przejmować i korzystać z okazji, która przecież nie nadarzała się zbyt często w tak luksusowej postaci. W końcu jednak, gdy poczuł się nieco zmęczony, postanowił zrobić sobie przerwę. Oświadczył dziewczynom, że musi się na chwilę zdrzemnąć, i rzeczywiście pewnie by pospał, gdyby nie to uwierające ziarnko grochu. Leżąc na szerokim łóżku, obracał się z boku na bok i myślał o tym, co też przegapił, co nie pozwalało mu zasnąć snem sprawiedliwego. No i nagle, gdy już miał prawie odlecieć w senne obszary marzeń wypełnione po brzegi peweksowską wódką, naraz przypomniał sobie pytanie Galasia: „Czy nie kontaktował się z wami przypadkiem ostatnimi czasy kapitan Wirski? Bo on kazał was pozdrowić...”.

I naraz Teoś zrozumiał, co go tak męczyło. To nie żadne ziarnko grochu. Jemu chciało się po prostu sikać. Dlatego wstał z łóżka, ubrał buty, swoją szarą marynarkę i ruszył w kierunku drzwi. Zanim jednak je otworzył, spojrzął za siebie. Na krześle leżał jego prochowiec. Wrócił więc i na wszelki wypadek narzucił go na siebie.

– Ja se pójde do kibelka, a ktoś mi ten mój płaszcz podpieprzy – powiedział do siebie i wyszedł ostrożnie na korytarz. Z lewej i prawej strony ciągnęły się drzwi do pokoi jak w normalnym hotelu. Na koniec były jeszcze jedne, które zapewne musiały prowadzić do łazienki. Wskazywała na to osadzona w nich szyba. Przemierzył więc korytarz i jako człowiek dobrze wychowany zapukał. Nikt nie odpowiedział, więc nacisnął klamkę i wyszedł do środka. Rzeczywiście była to ubikacja razem z łazienką, bo był tam jeszcze prysznic. Nie miał zamiaru się kąpać, bo nie czuł brudu na sobie. Umył tylko ręce na wszelki wypadek, ale samą wodą, bo mydła nie było, tylko jakiś przeźroczysty flakonik z czymś zielonym wewnątrz i dziwnym dzióbkiem na górze. Domyślił się, że to może być takie rozpuszczone mydło, ale nie wiedział, jak je stamtąd wyciągnąć, więc zostawił skomplikowane urządzenie i

szybko załatwił, co miał do załatwienia, by zaraz wyjść na korytarz. Chciał wrócić do pokoju, bo za chwilę mogła pojawić się tam któraś z dziewczyn.

Naraz usłyszał głośny śmiech. Od razu go rozpoznał. Tak rzeć jak koń potrafił tylko jego dawny przełożony Wróbel. Widać wyspał się i znów zabrał do roboty, pomyślał Teofil i już zamierzał podejść do pokoju, w którym śmiech emeryta przechodził właśnie w jęk rozkoszy, gdy naraz dostrzegł schody. W zasadzie można by było sprawdzić, dokąd prowadzą, doszedł do wniosku, natychmiast zapominając o swoim byłym przełożonym, i ruszył w dół. Po chwili stał już na niemal identycznym korytarzu jak ten górny. Tyle że ten korytarz kończył się czymś w rodzaju holu albo poczekalni z kanapą i kilkoma fotelami. Nie było tu nikogo. Za to były przeszkłone drzwi prowadzące na zewnątrz. Zauważył za nimi oświetlony latarnią ogród. Czyżby ten sam, który obserwował za dnia z okna swojego pokoju? Postanowił to sprawdzić. Przeszedł przez hol i pchnął drzwi. Te otworzyły się bezszelestnie. No skoro dało się je otworzyć, to musiał zobaczyć, co jest za nimi. Wyszedł więc i znalazł się w ogrodzie pełnym krzaków i drzewek. Przypomnił sobie ten sam widok z góry. Jeśliby przeciąć ten ogród dokładnie na skos, kierując się w prawo, to w narożniku była sterta starych cegieł przylegająca do betonowego płotu. Podeszedł tam i za chwilę stał przy podwyższeniu. Niewiele się zastanawiając, wspiął się ostrożnie, a potem przelazł na drugą stronę parkanu i zeskoczył. Chrupnęło mu coś w kolanie, ale na szczęście noga była cała. Lekko kulejąc, ruszył przed siebie chodnikiem biegnącym wzdłuż betonowego ogrodzenia. Po chwili z zaułka wydostał się na osiedlową uliczkę, przy której stało kilkanaście piętrowych, pudełkowatych willi. Przemierzył ją szybkim krokiem, nieco powłóczęc nadwyręzoną po skoku kończyną, potem skręcił w prawo na skrzyżowaniu i po przejściu jeszcze jakichś stu metrów znalazł się na skraju szerokiej czteropasmowej jezdni. Taka droga prowadziła z Poznania w kierunku Świecka. Tylko że nie wiedział, gdzie to Świecko, a gdzie Poznań. Postanowił więc pójść wąską asfaltową uliczką, ciągnącą się wzdłuż czteropasmówki, licząc, że prędzej czy później na kogoś natrafi. Kuśtykał tak przed siebie, cały czas się zastanawiając, po jaką też cholere uciekł z tego burdelu. Czy było mu tam źle? Przecież mógł potraktować to tak, jak powiedział Galaś, jako wczasy pracownicze. Ale nie, on zawsze musiał coś spieprzyć. Zachciało mu się łązić po nocy po ogrodach i uciekać z najprzyjemniejszego miejsca na ziemi. I wtedy znów przypomniał sobie słowa Galasia o tym Wirskim. Co go właściwie mógł obchodzić Wirski? Facet był kiedyś w SB, ale w osiemdziesiątym szóstym okazało się, że gość jest mocno zamieszany w aferę ze srebrem ukradzionym w Gnieźnie z sarkofagu świętego Wojciecha. To śledztwo prowadził Marcinkowski, a Teofil mocno przysłużył się do rozwiązania zagadki kradzieży i zdemaskowania. Jaką rolę w tym wszystkim grał Wirski?

Dość powiedzieć, że facet po całej tej sprawie zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. I bardzo dobrze, myślał Teofil, który, co tu dużo gadać, bał się tego człowieka. Tyle że esbek, jeśliby miał się znowu pojawić, nie mógł mieć żadnych pretensji do Olkiewicza. No chyba że do Marysi... Aż zamarł. Marysia! To było to ziarenko, które kłuło go w dupę. Marysia, czyli agentka i kierowniczką Adrii, była bliską znajomą Olkiewicza i jednocześnie osobą, którą oszukał Wirski. Jeśli on wrócił, mógł próbować się z nią skontaktować i nawet zrobić jej jakąś krzywdę. Wtedy, przed trzema laty, nawet chciał ją ze sobą uprowadzić za granicę, ale dzięki brawurowej akcji Teofila auto esbeka się rozbiło, a Marysia ledwo wyszła z wypadku żywa. Wtedy Wirski zniknął. A jeśli teraz wrócił się mścić na niej? A może nawet i na nim, choć Teofil był całkowicie niewinny?

– Gdzie jest ten pierdolony samochód? – rzucił Olkiewicz, spoglądając przez okienko na ulicę.

– Zara przyjedzie, panie majorze. – Stróż próbował go uspokajać.

– Idę na drogę, bo się tu długo nie da wysiedzieć z tego smrodu. Posprzątajcie tutaj – rzucił na odchodne. – Bo inaczej wyślemy wam tu kontrol z sanepidu – dodał złośliwie. Niech się śmierdzieli martwi. Trzasnął drzwiami i wyszedł na drogę akurat w momencie, gdy pod bramę podjechała milicyjna nyska. Teofil natychmiast wskoczył na tylną kanapę.

– To gdzie jedziemy, obywatelu poruczniku? – zapytał kapral kierowca, odwracając się do pasażera.

Do Adrii – rzucił przed siebie.

Kierowca spojrzał znacząco na siedzącego bok sierżanta – szefa patrolu. Znów im się trafił niedopity oficer milicji, którego trzeba podrzucić na dancing. No co robić? Taka praca, pomyślał i wrzucił jedynekę. Sprzęgło zaskrzypiało przeraźliwie i samochód ruszył.

Poznań

Godzina 22.50

Pułkownik Eugeniusz Żyto rozłożył na biurku klaser ze znaczkami i żeby dokładniej wszystko widzieć, zapalił jeszcze stojącą na blacie lampkę. Było wprawdzie dość późno, ale on bardzo lubił tę porę, gdy żona poszła już spać, telewizor był wyłączony, a on siadał w fotelu i zabierał się do porządkowania swoich zbiorów. Nie co dzień miał na to czas, bo

zazwyczaj zbyt długo przesiadywał w pracy, a gdy wracał, nie było już sił na rozrywkę. Mył się i szedł spać, pozwalając sobie na chwilę czytania przed snem. No ale gdy tak jak dziś był w domu o normalnej porze, to po kolacji oglądał „Dziennik Telewizyjny”, potem jakiś film, który akurat nadawali, po nim jeszcze sport, i wtedy żona kładła się spać, a następnie zamykał się w gabinecie ze znaczkami. Od tygodnia marzył o tej chwili, bo właśnie tydzień temu odebrał w sklepie filatelistycznym swój abonamentowy przydział. Raz w miesiącu wszyscy członkowie związku filatelistów, którzy zapłacili roczny abonament, otrzymywali przydział znaczków i bloczków znaczkowych, które nie wchodziły do obiegu, a były przeznaczone dla kolekcjonerów.

Żyto nie należał do narwańców, którzy natychmiast po otrzymaniu nowej porcji filatelistycznych okazów nerwowo, trzęsącymi się rękoma i spoconymi paluchami, przebierali w zawartości koperty. Wiedział bowiem dobrze, że w pośpiechu może jakiś znaczek uszkodzić albo pozostawić na nim plamy od potu, dlatego zawsze wydobywał je z koperty bardzo ostrożnie, nawet ich nie dotykając. Jego biurko wyposażone było w specjalną szklaną tafelę, która pokrywała cały blat. Wysypywał delikatnie znaczki, a później, wzięwszy do ręki specjalną plastikową, numizmatyczną pęsetę, zaczynał powoli i metodycznie ich segregację, dzieląc zbiór na serie i tematy.

Teraz wyciągnął zza plastikowej obwoluty wsuniętą tam dla bezpieczeństwa kopertę, otworzył ją i zadowolony zajrzał do środka. Wewnątrz widać było brzegi i połyskliwe, kolorowe obrazki znaczków. Jeszcze nie wiedział, co przedstawiają. Ciekawe, czy zwierzęta czy sport, a może widoki miast? Te lubił najbardziej. Tym razem była to seria z ptakami...

Za oknem rozległo się ujadanie psa. Jego owczarek niemiecki reagował tak zawsze na obcych podchodzących do płotu posesji. Nikomu nie przepuścił. Musiał dać znać wszystkim domownikom, że ktoś się kręci koło domu. Żyto spojrział na solidny przedwojenny zegar w dębowej skrzyni wiszący na ścianie. Dochodziła jedenasta. O tej porze raczej nie spodziewał się żadnych gości. Musiał to więc być spóźniony przechodzień. Co prawda na Świerczewie rzadko kto łąził po nocy, bo mieszkali tu sami porządni ludzie, no ale zawsze mógł się ktoś zdarzyć, kto wracał do domu od sąsiada po jakimś towarzyskim spotkaniu. Pies szczekał nadal i nawet jakby trochę głośniej. Widać przechodzień zatrzymał się na chwilę, bo szczekanie nie przemieszczało się razem ze zwierzęciem. Pułkownik spojrział na znaczki, jakby chciał im powiedzieć: „Poczekajcie na mnie, kochanieńkie”, wstał i podszedł do okna. Niewiele jednak zobaczył, bo światło lampki odbijało się w szybie. Wyszedł ze swojego gabinetu do drugiego pokoju, w którym stał telewizor. Tutaj światło było zgaszone, więc bez trudu mógł się przyjrzeć temu, co działo się koło furki. Pies stał na wprost niej z nastroszoną

sierścią i ujaśniał wpatrzony w jeden punkt. Tym punktem był człowiek w kapeluszu i płaszczu z podniesionym kołnierzem, stojący na chodniku. Tajemniczy nieznajomy stał i czekał, jakby miał nadzieję, że gospodarz podejdzie do furtki przywołany przez szczekającego psa, a nie dźwięk dzwonka.

Żyto zaklął pod nosem. Od razu poznał tego człowieka. Nie był to żaden przypadkowy przechodzień. Ten facet przyszedł do niego, a że był dobrze wychowany, nie użył dzwonka, żeby nie obudzić pani Żyto. Pułkownik poszedł do przedpokoju i narzucił na ramiona kurtkę przeciwdeszczową, tak na wszelki wypadek, gdyby nagle się rozpadła. Otworzył drzwi i spojrzał na psa.

– Reks!

Pies podbiegł do swojego pana i usiadł na schodach. Żyto zszedł na dół z kluczem w ręce.

– Co to za porę wybrałaś na odwiedzin? – mruknął pod nosem.

– Taka pora najlepsza. Mniej oczu widzi – wyjaśnił gość.

O tej porze to porządni ludzie już śpią – zrzędził pułkownik, wkładając klucz do dziurki w zamku.

– To dlaczego nie śpisz?

Furtka się otworzyła i mężczyzna w kapeluszu wszedł na chodnik prowadzący do domu. Pies, który jeszcze przed chwilą wyglądał tak, jakby miał ochotę odgryźć mu nogę, teraz leżał grzecznie na wycieracze, zupełnie niezainteresowany tym, co się wokół niego dzieje.

– Nie śpię, bo mi przeszkadzają jacyś dziwni goście po nocy. – Żyto stanął w drzwiach i przepuścił mężczyznę. Ten wszedł do środka i zaraz zdjął kapelusz i płaszcz.

– Staszka śpi. Chodź do gabinetu. – Gospodarz zamknął drzwi i ruszył przodem. Przeszli przez salon i po chwili byli już w królestwie pułkownika. Ten najpierw zgasił lampę wiszącą pod sufitem, a potem podszedł do stojącej lampy z abażurem i zapalił ją. Przytłumione światło wydobyło z mroku dwa solidne, przedwojenne fotele, przedzielone okrągłym stolikiem kawowym. Gość musiał tu już bywać, bo bez pytania usiadł na tym siedzisku, które było przeznaczone dla gości. Żyto siadał zawsze na tym bliżej biurka. Na razie jednak podszedł do miejsca, które opuścił przed chwilą. Przykrył znaczki kartką papieru kancelaryjnego, a potem przycisnął wszystko grubym klaserem. Zrobił to tak na wszelki wypadek, bo raczej marne były szanse, żeby przeciąg mógł porwać jego skarby. Na razie przyjemność odłożył na później, bo generał Jeleń, szef poznańskiej bezpieki, był gościem na tyle ważnym, że znaczki musiały poczekać.

– Czego się napijesz? – pułkownik nie zapytał „czy”, ale od razu „czego”. Wiedział, że Jeleń nie odmawia. – Koniak może być, proszę ja ciebie?

– Francuski czy bułgarski?

– No też pytanie? Oczywiście, że bułgarski.

Żyto poszedł do szafki w regale z książkami, otworzył drzwiczki i wydobyl ze środka dwa kieliszki i butelkę brandy.

– Słoneczny Brzeg, znaczy się SB, proszę ja ciebie, jakby specjalnie dla ciebie – zażartował, nalewając alkohol do kieliszków.

– Jeszcze trochę, a wypijemy jak generał z generałem. – Jeleń podniósł kieliszek i powąchał z przyzwyczajenia. Dobrze wiedział, jakiego aromatu może się spodziewać. W końcu pił ten bułgarski koniak od ponad dziesięciu lat. Przyłożył kieliszek do ust i opróżnił cały jednym łykiem. Gospodarz ledwie zamoczył usta.

– Chyba się nie doczekasz. – Żyto pokręcił głową. – Po wakacjach idę na emeryturę.

– A co ty myślisz, że ja bym był szefem SB, gdybym nie wiedział takich rzeczy? Wiem, że wybierasz się na zasłużony odpoczynek i wiem też, że już poszedł wniosek do Kiszczaka o awans dla ciebie. Odejdiesz, ale jako generał. A to znaczy, że emeryturę będziesz miał godniejszą.

Żyto, który raczej mało pijał, tym razem poszedł w ślady swojego kolegi i wypił całą zawartość kieliszka. Nie uszło to uwagi Jelenia. Natychmiast zauważył, że pułkownik nic nie wiedział o planach komendanta.

– Gratuluję, Eugeniusz.

– Jeszcze nie ma czego – odparł Żyto. – Jeszcze wiele się może zdarzyć. Kiszczaka mogą odwołać przy tym Okrągłym Stole i kto mi wtedy podpisze awans, proszę ja ciebie?

– Nie odwołają. – Jeleń zdecydowanie pokręcił głową. – Dadzą im gospodarkę, oświatę, zdrowie, czyli to wszystko, co się już teraz kompletnie zapada, i niech podnoszą z ruiny, jak są tacy mądrzy. Ale resorty siłowe zostaną przy nas.

– To pewne?

– Masz to jak w banku!

– No to położą mnie do trumny w portkach z lampasami.

– Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze trochę sobie połowisz ryb na tym swoim odludziu w Puszczy Noteckiej.

Pułkownik uśmiechnął się pod nosem. Nawet to wiedział skurczybyk, tak jakby mieli u niego w gabinecie podsłuch...

– Przyjedź kiedy, połowimy razem.

– Jak czas pozwoli. – Jeleń chwycił butelkę i nalał do kieliszków, a potem natychmiast wypił ze swojego. Żyto tym razem nie ruszył alkoholu.

– No ale nie przychodzisz, proszę ja ciebie, po nocy, żeby mi powiedzieć o awansie...

– Przychodzę w sprawie waszego śledztwa – zaczął bez ogródek esbek. Za to cenił go Żyto, że w ważnych sprawach Jeleń walił prosto z mostu.

– No proszę, a ja właśnie miałem się wybrać w tej samej sprawie do ciebie. Rozchodzi się o tych zabitych cinkciarzy, jednego zastrzelonego nad Bogdanką, a drugiego w jego mieszkaniu na 23 Lutego. Zresztą ten drugi to lepszy gość, bo z tego co, proszę ja ciebie, mi napisali w raporcie, wynika, że on nie tylko handlował walutą, ale jeszcze miał wytwórnię tych, no, wycierusów.

– Wycierusów, znaczy džinsów – poprawił go Jeleń.

Żyto nie zwrócił uwagi na to wtrącenie, zajęty zbieraniem myśli i osadzaniem połówki popularnego w szklanej lufce.

– I do ciebie ja miałem iść, żeby ci powiedzieć, proszę ja ciebie, że oni byli umoczeni w jakąś aferę, co ją zorganizowali twoi ludzie. Wygląda to paskudnie, tak jakby nasze SB zamiast zajmować się utrzymaniem porządku, samo robiło niezły, proszę ja ciebie, bałagan.

Jeleń pokiwał głową.

– Tego, co go zabito na 23 Lutego, mieliśmy od dłuższego czasu na oku. Facet przygotowywał pewną dużą robotę. Chciał rozpocząć legalny handel walutą na przejściach granicznych i na całej trasie do NRD. Sprzedaż walut ma być w naszym kraju legalna już niedługo, bo dokładnie piętnastego marca. No i cinkciarz przygotowywał się na ten termin, wykupując razem z innym cinkciarzem, niejakim Grubińskim, różne punkty i szkoląc do tego swoich ludzi. No i myśmy to nadzorowali z pewnej odległości, żeby w odpowiednim momencie wkroczyć.

– Wkroczyć? A po co, proszę ja ciebie? Przecież to ma być legalne.

– Wkroczyć jako wspólnik. On i jego ludzie jako właściciele spółki, a my jako cichy wspólnik zajmujący się ochroną i zbieraniem zysków. Bo to będą gigantyczne pieniądze już niedługo, a nam się zawsze przyda zastrzyk gotówki. Tylko że tego Krzyżaniaka ktoś nam sprzątnął. Facet został zabity, a wszystko, co związane z przedsięwzięciem, znaczy papiery, umowy, i tak dalej, wszystko to zniknęło z domu.

– No to ładnie się porobiło, proszę ja ciebie. Coś żeście przegapili?

– I tak, i nie.

– Czyli jak?

– Gdy wasi ludzie zabrali już ciało i wyszli z mieszkania, myśmy zaczęli je obserwować. Liczyliśmy, że ci co go sprzątnęli, jeszcze się tam pojawiają.

– Trochę na to już było za późno, proszę ja ciebie – stwierdził Żyto.

– Trzeba było przynajmniej spróbować, bo zostaliśmy z niczym. No i wpadł w nasze sidła wasz człowiek Olkiewicz, a wcześniej zdjęliśmy niejakiego Wróbla, który za dużo się interesował tym, co dzieje się w mieszkaniu na górze.

– No i co z Olkiewiczem?

– Nic złego. Wysłaliśmy go na wczasy do burdelu w Baranowie, razem z tym Orłem.

– Wróblem. I co teraz?

– Czekamy.

– To w takim razie, proszę ja ciebie, nie rozumiem, po co mi o tym wszystkim mówisz?

– Bo chyba już wiemy, kto sprzątnął tego Krzyżaniaka i dlaczego.

– Dlaczego?

– Bo chce przejąć ten cały biznes. Wiemy, kto to jest, bo to on stoi też za strzelaniną w Gaju Wielkim, w którym zginął kapitan milicji. Jeden z napastników z raną postrzałową trafił do szpitala w Szamotułach...

– I kto to jest? – zainteresował się Żyto, który o strzelaninie przy budzie z kurczakami wiedział wszystko, bo raport w tej sprawie z szamotulskiej komendy trafił na jego biurko. Tyle że dotąd nie miał pojęcia, że ta sprawa może mieć jakiś związek z zabójstwami cinkciarzy w Poznaniu.

– To człowiek, którego znasz. Nazywa się Wirski. Major Wirski. Nasz były pracownik.

Żyto pokręcił głową.

– Co do Krzyżaniaka to chyba się mylisz, proszę ja ciebie. Bo my już dokładnie wiemy, kto go wtedy w nocy odwiedził – stwierdził z pewną nutą satysfakcji w głosie pułkownik.

– Kto?

– To dwaj twoi ludzie, Piotr Michalak, kapitan, i Wiesław Piekarek, też kapitan.

Jeleń aż otworzył usta ze zdumienia. Przez chwilę nie mógł z siebie wydać ani słowa. Doskonale znał obu esbeków, ale był przekonany, że są spokojnymi emerytami.

Generał podrapał się po łysiejacej głowie i zrobiwszy zafrasowaną minę, stwierdził:

– To byli moi ludzie, Eugeniusz. Byli moi, ale i jeden, i drugi odeszli z resortu jakiś rok temu. Teraz to oni już nie są moi.

– A czyi, proszę ja ciebie?

– Cholera ich wie. Wygląda na to, że robią na swoim. Ale to może tylko potwierdzać te moje informacje na temat Wirskiego. Oni muszą być z nim w zмовie.

– No to mamy niezły burdel – stwierdził przyszły generał Żyto i rozlał resztkę brandy do kieliszków. Tego wszystkiego bez alkoholu nie dało się ogarnąć.

Rozdział X

Czwartek 9 marca 1989 r.

Godzina 00.05

Dyżurny komisariatu Poznań Grunwald, sierżant Edwin Cebula, potarł zaspane oczy. Był zmęczony i najchętniej położyłby się spać, ale było to marzenie ściętej głowy. W dyżurce nie było żadnego łóżka ani nawet leżanki, na której mógłby się rozłożyć zmęczony milicjant. Owszem, był wysłużony fotel, w którym od biedy można się było zdrzemnąć, ale pod warunkiem że jest się młodym człowiekiem ze zdrowym kręgosłupem. Cebula, niestety, miał krzyż nadwyrężony i zagrożony dyskopatią, więc nie mógł sobie pozwolić na pozostawanie w takiej pozycji. Jedynym rozwiązaniem było więc siedzenie na krześle przy biurku, z głową ułożoną na rękach opartych o blat. Nie była to jednak najlepsza pozycja do spania. Zdarzało się wprawdzie, zamknąwszy oczy, podrzemać przez chwilę, ale żeby urwać w sennej nieświadomości choć godzinę dyżuru nocnego, o tym nie było mowy. A przydałoby mu się to bardzo, bo miał nockę po świętowaniu i opijaniu Dnia Kobiet. Jako że był człowiekiem przywiązującym bardzo dużą wagę do obowiązków służbowych, zaczął pić wcześniej rano, a skończył gdzieś około godziny siedemnastej. Potem poszedł kulturalnie się zdrzemnąć, no a o dwudziestej drugiej trzeźwy i wypoczęty objął nocną wachtę. Na szczęście zapewnił sobie alkoholowe bezpieczeństwo i przyniósł z domu butelkę stołowej. Chodziło mu, rzecz jasna, nie o nocne alkoholizowanie się, ale raczej o to, by jakoś wytrzymać do rana i żeby, nie daj Boże, nie dopadł go kac. A przecież powszechnie wiadomo, że wypicie co jakiś czas pięćdziesiąteczki sprawia, że człowiek nigdy nie jest wczorajszy.

Teraz, zbudziwszy się, sierżant Cebula poczuł oprócz niewyspania także lekkie ssanie w żołądku. To był wiadomy sygnał. Organizm domagał się pomocy. Wstał więc z krzesła i podszedł do fotela, na którym położył teczkę. Nosił w niej do pracy kanapki i wszystkie pierdoły, które poza domem były potrzebne prawdziwemu mężczyźnie, a więc scyzoryk,

korkociąg, kawałek sznurka i siatkę na niespodziewane zakupy. Pod siatką na samym dnie torby leżała butelka. Wydobyl ją, rozejrzał się na wszelki wypadek, ale była to ostrożność zbyteczna, bo nikogo w dyżurce nie było, a poczekalnia za szybą również świeciła pustkami. Nikt nie miał ochoty odwiedzać komisariatu o tej porze.

Odkręcił metalowy korek i pociągnął łyk z gwinta. Nie żeby lubił pić jak szuszwol z bramy, ale nie miał w dyżurce kieliszka. Co innego w swoim pokoju, tam szkła było, ile dusza zapagnie – kieliszki, literatki i musztardówki w komplecie, czyli wszystko, co mogło się przydać na niespodziewaną imprezę. Jednak dzisiejszej nocy nie było imprezy, ale żmudna i – co tu dużo gadać – nudna robota. Dwa patrole samochodowe, które krążyły po dzielnicy, miały zjechać dopiero przed szóstą rano, kiedy chłopaki się wyśpią, więc można było znów spróbować złapać trochę snu.

Ledwie położył głowę na przedramionach i zamknął oczy, natychmiast do pionu poderwał go metaliczny brzęk dzwonka. Ktoś chciał wejść na posterunek.

– A żeby cię cholera jasna pokręciła! – warknął sam do siebie, a potem podszedł do skrzynki, dzięki której mógł, nie opuszczając dyżurki, porozumieć się z osobą dobijającą się do drzwi.

– Policja, słucham – rzucił do mikrofonu mrukliwie, jednak uprzejmie, tak jak go uczyli na kursach obsługi interesantów. Wykładowca, jakiś major z Warszawy, mówił, że funkcjonariusz ma być zawsze grzeczny w rozmowie z interesantem, żeby ten wiedział, że nie musi się obawiać kontaktu z milicjantem, bo przecież milicjant nie chowa za plecami pały i nie przyleje mu zniecka. Bo gdyby chciał przylać, to przecież wcale by nie gadał. Dlatego jeśli nie ma się zamiaru takiego gościa obić, a przedstawiciel władzy ludowej nigdy nie bije bez powodu, to trzeba się uśmiechać i mówić grzecznie, bo przecież MO służy suwerenowi, znaczy się narodowi, i leje go tylko wtedy, gdy jest uzasadniona potrzeba.

– Uprzejmie – dodał, przypominawszy sobie o zaleceniach.

– Otwieraj, kurwa, uprzejmie – warknął ktoś po drugiej stronie, a Cebula aż zaniemówił z wrażenia. Dwadzieścia lat już służył w milicji i wiele mu się zdarzało usłyszeć, ale żeby tak ktoś odzywał się do dyżurnego na służbie?

– Co? – zdołał wybąkać.

– Otwieraj, do kurwy nędzy, bo nie ma czasu! – Ten głos absolutnie nie był uprzejmy. Był niemiły i zasługiwał na poważną nauczkę.

– A co ty, chuju zbolały, myślisz se, że można przylażyć na posterunek i rozkazy wydawać funkcjonariuszu? Zaraz tam zejdem i jak pałą przypierdolę przez dupę, to ci ta dupa pęknie w poprzek. Już tam schodzę, gnoju niemyty! Czekaj, no, zaraz zobaczysz, jak smakuje

milicyjna pała! – zawołał i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu w poszukiwaniu jakiejś pałki, żeby móc zrealizować swoją groźbę. Ten przy drzwiach nie dawał jednak za wygraną.

– A co ty se myślisz, że ja mam zamiar ci loda robić, baranie? Ha, ha, ha! Tu kapitan Brodziak z wojewódzkiej. Mam przy sobie zatrzymanego...

Sierżant Cebula przez chwilę patrzył z niedowierzaniem w skrzyneczkę łączącą go z domofonem na zewnątrz, a gdy już przetrawił informację, zaśmiał się w głos.

– Ale obywatel kapitan to se jaja robi. Już wpuszczam – powiedziawszy to, wcisnął przycisk zamka elektrycznego zwalniającego blokadę. Podszedł do okienka, by przyjrzeć się nadchodzącym. Pomyślał, że z tego Brodziaka musi być niezły gość, że potrafi sobie robić takie żarty. Mało który oficer na jego komisariacie pozwoliłby sobie na takie wygłupy, a ten, proszę bardzo, jaki jajcarz. Trzeba będzie o tym opowiedzieć kumplom. Swoją drogą ciekawe, czy uwierzą. Ale opowieść będzie doskonała!

Facet ubrany w dzinsową kurtkę z potarganą grzywą rudych włosów prowadził o głowę wyższego i potężnie zbudowanego mężczyznę. Wielkolud miał czarny płaszcz do kolan, włosy krótko przycięte, a na twarzy niezbyt długą brodę. Ręce skuto mu z przodu. Rudzielec wskazał mu krzesło.

– Daj fajkę – mruknął gruby. Milicjant bez opieszałości sięgnął do kieszeni i wy dobył z niej paczkę cameli. Wsadził jednego do ust zatrzymanego i podał mu ogień. Sierżant Cebula widział już różne rzeczy w swoim milicyjnym życiu, ale żeby funkcjonariusz częstował zatrzymanego peweksowską fajką, to było zupełnie niebywałe. Milicjanci najczęściej na prośbę o papierosy reagowali śmiechem albo wyzwiskami, w wyjątkowych tylko wypadkach dawali aresztantowi skrawek gazety do samodzielnego sporządzenia skręta z petów dostępnych w popielniczce na korytarzu. Ale żeby marnować na przestępcze ryje dobry tytoń, to nie mieściło się w Cebulowej głowie.

Rudy milicjant podszedł do okienka dyżurnego, pozostawiając zatrzymanego przez siebie faceta samemu sobie. Nie musiał się o niego obawiać. Gość nie miał najmniejszej szansy uciec. Solidne drzwi prowadzące na zewnątrz były zabezpieczone elektrycznym zamkiem i nawet taki wielki facet jak ten nie byłby w stanie ich wyłamać.

– No i co tam, sierżancie, przyjmiecie gościa na nocleg?

– Co mam nie przyjąć, obywatelu kapitanie. U nas hotel czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę. A swoją drogą to niezłe mnie obywatel kapitan w konia zrobił. Już se myślałem, że będę musiał jakiemuś gnojowi wpierdol spuścić...

– Łe no, od czasu do czasu trzeba se pożartować, nie, sierżancie? Życie by było nudne bez żartów. A wam się nie nudzi tu na dyżurce?

– Nudno jak cholera, ale taka robota.

– Co, nic się nie dzieje na mieście?

– Cisza i spokój. Bynajmniej u nas.

– U nas?

– No na milicyjnych falach.

– Aha. – Brodziak zrozumiał, o co chodzi, spoglądając na wskazany przez dyżurnego mikrofon wystający z konsoli nadawczo-odbiorczej, dzięki której dyżurny mógł nawiązać szybko łączność z samochodami patrolującymi miasto.

– No to dajcie mi w takim razie kwestionariusz, to zapiszę tego klienta, a jak chłop się wyśpi, to go jutro odbiorę albo na miejscu przesłucham.

Sierzant pokiwał głową i sięgnął po kartkę formularza zatrzymania, którą musiał wypisać funkcjonariusz doprowadzający osobę zatrzymaną.

Mirek wziął do ręki długopis na sznurku przytwierdzonym do lady wystającej spod okna do dyżurki, rozłożył kartkę i szybko wpisał niezbędne dane.

– A tak w ogóle to co to za gość? – zapytał zaciekawiony sierżant Cebula.

Brodziak podniósł spojrzenie znad formularza i przeniósł je na okrągłą, rumianą od alkoholu i szczerą robotniczo-chłopską twarz dyżurnego.

– Gość jak gość, sierzancie, ale w zaufaniu mogę wam powiedzieć, że to cinkciarz. A właściwie to nawet szef cinkciarskiej grupy.

– Aha. A co zrobił?

– Co zrobił, to się okaże jutro. Najpierw on się musi w celi zastanowić nad sensem życia i tym, czy chce z nami gadać po dobroci czy woli zmięknąć w pierdlu.

– No tak, czyli znaczy się czterdzieści osiem bez postawionych zarzutów – domyślił się Cebula.

– Trafiliście w sedno tarczy – stwierdził Mirek, cytując ulubione powiedzenie pułkownika Żyty. Podał sierżantowi wypełniony formularz, a ten natychmiast podniósł słuchawkę, by połączyć się z podoficerem dyżurującym w niewielkim areszcie w podziemiach posterunku. Po chwili kapral był już w dyżurce. Cebula wskazał głową zatrzymanego.

– Weź mi tego delikwenta, kochanieńki, i wsadź go do pokoju hotelowego.

– Tak jest, a jakie wygody mu damy? Pojedynkę czy łóżko w zbiorowym?

Sierzant spojrział na Brodziaka, a ten, uśmiechając się, popatrzył na swojego więźnia.

– W zbiorowym mogą mu zrobić z dupy kibel publiczny, a ja chcę mieć go jutro w formie. Dajcie go do jedyńki, kapralu.

– Tak jest. A coś mu dać na rozwiązanie języka?

– Żadnego pałowania. Grzecznie z nim, bo ważny świadek jest – wytłumaczył nieco ciszej, żeby zatrzymany nie usłyszał. Kapral pokiwał głową. Rozumiał to doskonale. Byli zatrzymani i zatrzymani. Jednych się lało na dzień dobry, a innym wystarczyła tylko noc w celi, żeby zechcieli współpracować. Ten najwyraźniej był już przygotowany, skoro oficer kazał go dobrze traktować. Można i dobrze, można i źle, ganc pomada. Kapral podszedł do faceta, któremu oficer właśnie zdejmował kajdanki. Podoficer założył mu własne i wyprowadził zaraz z poczekalni. Brodziak tymczasem sięgnął do paczki i wydobyl z niej papierosa. Już chciał go zapalić, gdy przypomniał sobie o sierżancie. Podszedł do szyby z okienkiem, za którym siedział dyżurny.

– Zapalicie, sierżancie? – zapytał.

– Czemu nie, obywatelu kapitanie. – Zadowolony Cebula sięgnął do podsuniętej mu paczki i wydobyl papierosa. Mirek podpałił go swoją peweksowską, srebrną zapalniczką Zippo.

– Wiecie co, sierżancie, chlapnąłbym sobie kielicha.

– Kto by nie chlapnął, ale...

– Dajcie spokój. Na pewno macie coś w biurku. Dajcie, no, łyka, bo ledwo stoję na nogach. Od wczoraj przez cały dzień w robocie i padam na ryj.

– Ale...

– No bądźcie człowiekiem. Co wy myślicie, że polecę waszemu szefowi zameldować, żeście mi uratowali wódeczką życie?

Sierżant jeszcze raz obrzucił oficera badawczym spojrzeniem, a potem się uśmiechnął i sięgnął pod biurko. Tam bowiem przechowywał tę swoją butelczynę.

– Ale szkła nie ma. – Podał ją Brodziakowi.

– A wy myślicie, że ja to na szampanie jestem chowany?

Szybko pociągał łyk i podał butelkę sierżantowi.

– Dzięki. A wy?

– Nie, ja na służbie. – Sierżant szybko pokręcił głową. Co innego przecież poczęstować oficera, a co innego przy nim wypić. Lepiej nie kusić losu.

Brodziak zrozumiał. W końcu znał się na piciu na służbie jak mało kto. Dobrze wiedział, że jak tylko stąd wyjdzie, sierżant nadrobi kolejkę.

Tarnowo Podgórne

Godzina 00.30

Zosia nie musiała brać nocnych dyżurów. Była w końcu już całkiem oficjalnie narzeczoną właściciela. Ale była też osobą niezwykle obowiązkową i dodatkowo przykładającą dużą wagę do pozorów. Narzeczoną, nie narzeczoną, a gdyby od razu wykreśliła się z grafiku, to ludzie zaczęliby gadać. Postanowiła więc, że rozpiska na ten miesiąc będzie taka jak wcześniej, zrobiona przez nią jeszcze jako szefową recepcji, a dopiero w tej przyszłomiesięcznej będzie wpisywać się tylko na dzień. Na noc niech przychodzą młodsze dziewczyny. Ona już swoje na nockach odsiedziała, to teraz niech robią inni. Zresztą, szczerze powiedziawszy, to nawet lubiła pracę w nocy, bo wtedy w zasadzie nic się nie działo. Klientów do obsługiwania jak na lekarstwo, a do tego jeszcze można było, siedząc przy radiu, poczytać książkę. Tak choćby jak teraz. Czytała kryminał i słuchała „Muzyki Nocą” i nikt od niej niczego nie chciał. Była zadowolona, że wzięła ten dyżur. Mogła sobie spokojnie wszystko przemyśleć. Przede wszystkim to narzeczeństwo. Została narzeczoną i dobrze jej z tym było. Od zawsze podkochiwała się we Franku, czemu dała wyraz już w pierwszym tygodniu pracy, kiedy pozwoliła mu się złapać za dupę i pocałować. Ale tylko tyle. Na pójście do łóżka musiał sobie zasłużyć i się postarać. Starał się tak trzy miesiące, aż w końcu uległa i zapewne dzięki temu, że było mu z nią tak dobrze, zaproponował jej małżeństwo. W dodatku jeszcze musiał dojść do wniosku, że nie tylko nadaje się na żonę, ale i szefową tego całego interesu. Pokazała mu przecież, że w kryzysowych sytuacjach może wziąć sprawy w swoje ręce. Tak jak wzięła ten pistolet i odstrzeliła łeb palantowi, który, nie wiadomo dlaczego, postanowił zniszczyć jej szczęście.

Gdy uczyła się strzelać, nigdy nawet przez moment nie pomyślała, że może kiedyś przyjdzie jej mierzyć do człowieka. Owszem celowała do ludzkich figur na kartach z tarczami strzelniczymi, ale to było co innego. Tam uczyła się mierzyć w głowę, bo jak mówił instruktor, strzał musi być taki, żeby wyeliminować przeciwnika. No to nauczyła się eliminować na strzelnicy, a gdy przyszło co do czego, zastosowała te umiejętności w praktyce, odstrzelując Beretowi beret.

Gdy myślała o tym, co się stało, czuła wyłącznie wściekłość. Ani odrobiny współczucia dla tego łysego gnoja, a jedynie nienawiść do kogoś, kto próbował swoimi brudnymi buciorami wleźć w jej życie. Teraz gdy wszystko nagle zaczęło jej się układać, gdy miała zostać żoną i szefową hotelu, ten bydlak chciał jej to wszystko odebrać. Dlatego nie znalazła

w sobie ani odrobiny litości i strzelając do niego, zrobiła to z pełnym przekonaniem. Problem będzie tylko z księdzem i spowiedzią. Będzie musiała się przyznać do tego, że zabiła człowieka, a to przecież grzech śmiertelny. Ale w końcu nie strzelała do Bereta dla przyjemności, lecz dlatego, że on chciał zabić jej narzeczonego. To jest okoliczność łagodząca, więc ksiądz powinien dać jej rozgrzeszenie. A jeśli nie da? No to pójdzie do innego. Któryś wreszcie się ugnie. Zależało jej na tym rozgrzeszeniu ze względu na ślub kościelny. Musiała powiedzieć „tak” w kościele, bo mama w życiu nie zgodziłaby się na sam cywilny, no a poza tym ona też chciała, żeby to wszystko odbyło się tak, jak powinno, przed ołtarzem, w białej sukience i z grającymi organami. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Już widziała siebie razem z Frankiem w szamotulskiej kolegiacie, czyli pięknym gotyckim kościele z czerwonej cegły, do którego chodziła od dziecka. Gdy tylko pomyślała o tym, usłyszała, że w radiu nadają piosenkę o sukni z welonem i cyganach, którzy czekają z muzyką:

*Koń do taktu zamiata ogonem,
Mendelssohnem stukają kopyta...*

To dobry znak, pomyślała. Ciekawe, czy i ona pojedzie wtedy tą windą do nieba. Chyba nie bardzo, bo w Szamotulach nie ma żadnego budynku z windą. Najbliższa jest w Poznaniu, no ale przecież tak daleko nikt nie będzie wyprawiał wesela. Uroczystość będzie chyba raczej tutaj w ich własnej knajpie w Tarnowie Podgórnym. Bo po co płacić komuś za wynajęcie sali, skoro się ma własną?

– Proszę panią, a u mnie w pokoju to nie ma ciepłej wody w kranie.

– A po co panu ciepła w kranie? – zdziwiła się. Kierowca dostawczego robura zatrzymał się u nich na noc, bo mu się gruchot zepsuł w drodze z NRD i musiał poczekać na auto naprawcze z PKS-u. Miał więc zapewniony komfortowy nocleg, za który nie musiał płacić, bo zrobiła to jego firma. Wykosztowała się na spanie ze śniadaniem, a ten zamiast być wdzięczny, że ma czystą pościel, awanturował się o ciepłą wodę.

– No jak po co? Umyć się chciałem.

– Umyć się można zimną.

– Jak zimną? Ja się myję ciepłą.

– Ciepła to jest w umywalni, znaczy się w łazience na korytarzu. W pokojach to są tylko umywalki do umycia rąk i zębów, a jak kto chce cały się myć, to pod prysznicę.

– A jak ja wolę w umywalce? – Kierowca nie poddawał się zbyt łatwo.

– A jak się podłoga zachlapie, to kto potem wytrze? Nachlapane będzie do jutra, to się błota narobi. I co, przyjdzie sprzątaczką do roboty po Dniu Kobiet i na kacu ma gnój na podłodze sprzątać? Sprzątał pan kiedy na kacu? Nic pan szacunku dla ludzi pracy nie masz? Sprzątaczką też człowiek!

– W domu to ja prysznicę nie mam, ino umywalkę, to się przyzwyczaił.

– To niech się teraz przyzwyczajają do wyższej kultury łazienkowej. A w umywalni, jak woda skapnie na podłogę, to syfu się nie narobi, bo spłynie wszystko i będzie po sprawie. Tylko żeby buty zostawić w pokoju i w laczkach iść do prysznicę – wyjaśniła jeszcze na wszelki wypadek, bo chłop nie wyglądał na bystrego. Trzeba będzie te umywalki polikwidować w pokojach, pomyślała, bo tylko z nimi kłopot. Niby miał być luksus dla gości hotelowych, a są same problemy, bo pety wyrzucają do nich, torebki po herbacie ekspresowej, no i przede wszystkim leją tam prawie wszyscy, bo się im nie chce do kibla po nocy łązić. Trzeba więc albo usunąć umywalki, albo w każdym pokoju zrobić małą łazienkę. To by było dobre rozwiązanie. Musi o tym koniecznie pogadać z Frankiem. Najlepiej byłoby od razu, ale on poszedł spać. W końcu już po północy...

– A pan co tak jeszcze stoi? Mam panu umyć plecy?

– Przydałoby się. – Kierowca uśmiechnął się znacząco, ukazując piękne braki w górnym rzędzie zębów. To dlatego tak szeleści podczas gadania, domyśliła się Zosia. Wcześniej nie widziała, a tylko słyszała, bo zęby zasłaniał mu wąs przypominający szczotkę do kibla.

– Ciąg mi stąd, łachudro, bo przez ryj łagą przejadę i ci resztę tych spróchniałych kłów wytlukę. tak że cię rodzona matka nie pozna i ucieknie z krzykiem, jak się do niej uśmiechniesz pustym ryjem.

– No co, no co? – Nidoszły amant wzruszył ramionami i odwrócił się niepocieszony. Nic już nie miał do powiedzenia, bo doszedł do przekonania, że z taką pyskącą babą za cholerę nie wygra. Poszedł więc na górę, mrużąc pod nosem coś o tym, że jak kto głupi, to niech żałuje, bo on w pokoju ma piękną butelkę jarzębiaku luksusowego i w tej sytuacji jarzębiaczkę wypije sam, i bez towarzystwa głupiej pizdy.

Tych ostatnich słów Zosia już nie usłyszała i całe szczęście dla szczerbatego kierowcy, bo mogłoby jeszcze dojść do nieszczęścia i wcielenia w życie groźby wybicia resztki zębów. Nawet nie spojrzała za odchodzącym gościem, bo jej uwagę przykuły światła samochodu wjeżdżającego na podjazd przed hotelem. Rzuciła szybko okiem do księgi rezerwacji, ale nie

znalazła tam żadnego wpisu, czyli że nikt nie dzwonił wcześniej i nie rezerwował noclegu. A więc był to przypadkowy gość, który jadąc od granicy czy do granicy, zmęczył się długą podróżą i postanowił się przespać. Ciekawe tylko, czy w hotelu, czy tak jak większość ludzi w aucie na parkingu. Tych śpiących w samochodach zawsze było sporo i kłopot był z nimi taki, że spędzali tu kilka godzin, a potem szli w krzaki i pół biedy, jak tylko się wysikali. Często załatwiali tam i inne potrzeby, rozrzucając gdzie się da zużyty papier, który potem, podrywany przez wiatr, latał po parkingu. Trzeba będzie w przyszłości albo wyciąć te krzaki, albo zrobić zakaz wjazdu na parking dla przejezdnych i wpuszczać tylko nocujących. Można jakiś szlaban postawić albo co...

Klient wysiadł z samochodu i ruszył szybko w kierunku hotelu. Nie był to jednak żaden potencjalny gość. Zośka rozpoznała go natychmiast po atletycznej sylwetce. To był Stefański, kuzyn jej narzeczonego, jednak tym razem milicjant był ubrany całkowicie po cywilnemu. Zresztą samochód, którym podjechał, też był cywilny, to znaczy, że fiat musiał należeć do niego.

Pchnął drzwi i wszedł do środka. Dostrzegłszy dziewczynę, uśmiechnął się zadowolony.

– Zośka – zawołał, podchodząc do kontuaru. – Siedzisz tutaj, zamiast spać? Kto to widział. Muszę Frankowi głowę zmyć, że narzeczoną wykorzystuje...

– Ja sama chcę. Żeby nie było gadania. A pan co tak po nocy?

– Muszę się z Frankiem zobaczyć jak najszybciej.

– Stało się coś? – zapytała przestraszona. Wtedy tam w Gaju Wielkim, w tej kurczakowni, zgodziła się z gliniarzem, że lepiej będzie, kiedy jego kolega weźmie na siebie zastrzelenie tego durnego Bereta, bo ona może mieć poważne kłopoty, a on dostanie nagrodę za wzorową służbę. Tak już była wychowana w domu, że zawsze zgadzała się z tym, co mówią milicjanci, bo ojciec milicjant zawsze miał rację. Tutaj też się jej wydało, że to rozsądne rozwiązanie. Ale teraz, widząc Stefańskiego, pomyślała, że może coś się sypnęło i dlatego przyjechał po nocy naradzić się z Frankiem.

– Jak się rozchodzi o tę strzelaninę, to niech mi pan wszystko powie.

– Nie, no, nie o strzelaninę idzie. Nie przejmuj się. Wszystko jest tak, jak żeśmy ustalili. Nie musisz się martwić. Ja chcę z nim szybko o interesach pogadać, bo jutro będzie za późno.

– Na co za późno?

– Potem ci powiem. I tak tego nie zrozumiesz, bo to taki interes... Franek ci powie. Ja muszę teraz do niego jak najszybciej.

– Ale on śpi. Nie wiem, czy się go tak łatwo da obudzić, bo nieco napity poszedł do łóżka. Był tu naczelnik gminy i trochę wypili właśnie w kwestii interesów. Zresztą ten teraz codziennie przychodzi na darmową wódkę i żarcie.

– Tak to jest z takimi urzędniczymi pijawkami. No ale ja się tu zagadałem, a sprawa musi być szybko załatwiona. To gdzie go znajdę?

– No jak gdzie? Pod jedyneką jest służbowa sypialnia. – Pokazała na drzwi w głębi korytarza.

Stefański uśmiechnął się zadowolony i ruszył we wskazanym kierunku. Usłyszała energiczne pukanie, a potem drzwi się zatrzasnęły.

Z pewną satysfakcją pomyślała, że wcale nie będzie tak łatwo obudzić Franka. Wlali w siebie z naczelnikiem dość sporo. W końcu był to Międzynarodowy Dzień Kobiet i oni jak większość facetów tego dnia musieli swoje wypić. Ciekawe, że kobiety tak nie piły ósmego marca jak faceci i zadowalały się tymi byle jakimi kwiatami. Ona jednak w tym roku nie mogła narzekać. Dostała od Franka całkiem ładny bukiet składający się z dwudziestu pięciu goździków. Powiedział, że jest ich tyle, ile ona ma lat. Pomylił się o rok. Ale co tam, niech mu będzie. Jeszcze będzie miał sporo czasu, żeby się dokładnie nauczyć, w którym roku się urodziła. Dopilnuje tego.

Poznań

Godzina 00.50

Milicyjna nyska zatrzymała się w niewielkiej zatoczce przed nowoczesnym biurowcem Międzynarodowych Targów Poznańskich przy ulicy Głogowskiej. Kierowca nie wyłączył silnika, bo miał nadzieję, że nie będzie musiał zbyt długo tu parkować. Obaj milicjanci zamierzali jak najszybciej wrócić na swój teren, musieli tylko pozbyć się tego rozrywkowego oficera w płaszczu porucznika Columbo. Tymczasem oficer ów, gdy tylko oświadczył, dokąd chce jechać, natychmiast zasnął, a kabinę wozu wypełniło radosne chrapanie wydobywające się z jego gardzieli wraz ze smrodem przetrawionej wódki. Chrapanie jakoś dało się wytrzymać, ale ta wódka była szczególnie niezdolna dla kierowcy i współpasażera. W końcu też byli ludźmi i do tego niewylewającymi za kołnierz, więc zapach alkoholu drażnił szczególnie ich spragnione powonienie. Na szczęście Głogowska to było dobre miejsce na

parkowanie auta, bowiem jakieś sto metrów przed nimi, vis-a-vis Dworca Zachodniego, znajdował się genialny wytwór ludzkiej pomysłowości, czyli nocny sklep monopolowo-spożywczy, istna mekka dla wszystkich spragnionych i niedopitych mieszkańców Poznania. Był to w tej chwili, także dla nich, najlepszy adres w mieście. No może nie do końca, ponieważ jako mundurowi nie mieli do tego przybytku prawa wstępu. Owszem, mogli tam wejść z interwencją, ale nie mogli niczego kupić, bo byli na służbie.

– Trzeba coś wymyślić – stwierdził sierżant, patrząc smętnym wzrokiem przed siebie w miejsce, gdzie przed sklepem stało kilkunastu nocnych pijaków czekających grzecznie w kolejce.

– No trzeba, ale co?

– Może by ich wszystkich wylegitymować i popędzić w cholere?

– Nie odejdą. – Kapral kierowca pokręcił głową. – Niedopitego spod monopola nie przegonisz – stwierdził z pewnością człowieka znającego się doskonale na tych kwestiach. – Trzeba by porucznika poprosić. – Odwrócił się i wskazał głową na śpiącego Olkiewicza. – Za podwózkę mógłby pomóc.

Sierżant uśmiechnął się zadowolony. To był najlepszy z możliwych pomysłów.

– Obywatelu poruczniku! – zawołał, ale oficer nawet nie drgnął. Widać, że jest poważnie zmęczony. Trzeba było więc zadziałać bardziej energicznie.

– Obywatelu poruczniku! – zawołał znowu i jednocześnie klepnął śpiącego w kolano. Ten wciągnął powietrze w płuca głośnym chrapnięciem i naraz otworzył oczy. Rozejrzał się wokół siebie przestraszony, ale na widok milicyjnych mundurów – uspokoił się momentalnie.

– Co się dzieje? Gdzie ja jestem?

– W naszej nysce, obywatelu poruczniku.

– Aha, a co ja robię w waszej nysce, sierżancie?

– Przywieźliśmy was z Baranowa, gdzie wykonywaliście ważne czynności służbowe – wytłumaczył zgrabnie podoficer. Olkiewicz zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, jakie ważne czynności służbowe wykonywał. Naraz przypomniał sobie Dżesikę i już wiedział, co robił dzisiejszej nocy. Po ucieczce z burdelu kazał się wieźć do Poznania, tylko po co i gdzie? Spojrzał w prawo. Dostrzegł najpierw ścianę budynku targów, a nieco dalej szklaną tafłę niewysokiego pawilonu z ostro bijącym po oczach neonem umieszczonym nad wejściem z wdzięcznie prezentującą się nazwą lokalu Adria. Gdyby ktoś jednak miał wątpliwości, co to za miejsce, napisy na ścianie nie pozostawiały żadnych wątpliwości: „restauracja-dancing-drink-bar-disco-kawiarnia”.

Dostrzegłszy świecącą reklamę, Teofil poczuł, że wraca do życia. Potarł oczy jak małe dziecko, a potem szeroko uśmiechnął się do obu funkcjonariuszy.

– No to panowie wybaczą, ale dalsze obowiązki służbowe wzywają mnie do dalszej intensywnej pracy operacyjnej, którą muszę wykonać w tym oto miejscu. Nie musicie na mnie czekać – dodał łaskawym tonem. Nie musieli, bo przecież był u siebie w Poznaniu. Tutaj zawsze znajdzie jakąś podwózkę do domu. No ale najpierw wpadnie jeszcze do knajpy na kielonka, a może dwa... Coś miał w tej Adrii załatwić, jednak nie bardzo pamiętał co. Ale co tam, jak wejdzie, to się zorientuje. Na pewno sobie przypomni...

– Bo my mamy taką prośbę do obywatela porucznika. – wyrwał go z zamyślenia głos podoficera.

– No co tam, sierżancie? Wpisać wam dłuższą kilometrówkę? Nie ma sprawy. Ja zawsze idę ludziom na rękę, co mnie idą także samo...

– Kilometrówka się przyda, ale my w kwestii nocnika.

– Co? – Teofil się zdziwił, bo od dawna już nie korzystał z nocnika, dokładnie to od ponad piętnastu lat, kiedy zdecydował się na remont w mieszkaniu i zafundował sobie łazienkę z wanną, bo wcześniej mył się w misce z wodą, a za potrzebą łąził do kibelka na półpiętrze. – Ja nie mam nocnika – stwierdził szczerze.

– Nie o nocnik do sikania, ino do kupowania się rozchodzi. – Milicjant wskazał przed siebie na oświetlone wejście do sklepu nocnego. – Nocnik, znaczy się sklep, co w nocy jest otwarty.

– Łe, no to ja rozumiem, w czym rzecz. – Teofil nie należał do osób, które potrafią łączyć fakty z prędkością radzieckiego odrzutowca, ale w pewnych kwestiach jego umysł podążał ścieżkami szybszymi od światła. – Boście są w mundurach, to nie możecie se flaszki kupić? Nie ma problemu. Podejdę tam i wam kupię, a wy se czekajcie spokojnie. Ino że bejmów to ja za dużo przy sobie nie mam. – Wolał od razu ostrzec, bo nawet gdy miał pieniądze w kieszeni, co zdarzało się nader rzadko, to nie bardzo lubił się z nimi rozstawać. Zresztą zawsze wychodził z założenia, że jeśli ktoś chce pić, to niech robi to za swoje, a jeśli chodzi o niego samego, to najlepiej za cudze.

– Nie, no my, obywatelu poruczniku, nie jesteśmy jakieś ostatnie szuszwole – odezwał się kierowca i natychmiast sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej bluzy. Wyciągnął z niej portfel i zaczął przeliczać banknoty. Po chwili podał oficerowi plik tysiącłotówek.

– Normalnie flaszka wyborowej kosztuje dwanaście pięćset, ale diabli wiedzą, co tam będzie, więc dałem piętnaście kaffli.

– Starczy, starczy, coś się za to zakupi – stwierdził Teoś, chowając pieniądze do kieszeni. Zaraz wyskoczył z auta i znów mu coś chrupnęło w kolanie. Ale nie na tyle, by nie móc iść. Ruszył przed siebie nieco wolniej niż zazwyczaj, powłócząc nadwyrężoną nogą. Na szczęście nie miał daleko. Po chwili był już przy sklepie. Kolejka wychodziła przez drzwi na chodnik. Nie miał jednak zamiaru stać w ogonku wśród pijaków. Postanowił, że użyje służbowego argumentu, którego nie była w stanie podważyć żadna sprzedawczyni, bo o ile milicjanci w mundurach źle by się komponowali w sklepie, o tyle funkcjonariusz po cywilnemu z legitymacją w ręce mógł być obsłużony poza kolejnością. Wydobył więc dokument i podszedł do drzwi.

– Przepraszam, ale ja muszę poza kolejnością... – powiedział i już chciał machnąć legitymacją, gdy z końca kolejki odezwał się jakiś młodzieniec z brodą i długimi włosami.

– Wpuście gościa, bo kulawy jest. Przecież w kolejce nie postoi, bo się obali.

– Wpuśćta tam kulawego – poparł go ktoś ze środka nieco bełkotliwym głosem.

– Ja panu pomogę – zaoferował ten długowłosa i zaraz chwycił Olkiewicza pod rękę

– Kalekich obsługuje się poza kolejnością. Wejdz pan. – Gruby facet w kaszkiecie odepchnął stojącego przed nim chudzielca o wyglądzie wygłodzonego urzędnika miejskiego z wydziału do spraw kościelnych, a więc bez szans na łapówki. – Wchodź pan do środka – ponaglił Teofila i wepchnął go w ludzką cizbę, oczywiście z pomagającym mu utrzymać pion długowłosym chłopakiem.

– Nastąpić się, wiara, bo tu kulawy facet idzie. Pewnie wojenny inwalida – dodał od siebie długowłosa dla zwiększenia efektu, bo wiadomo, że wojenni powinni mieć większe prawa w kolejce po wódkę niż ktokolwiek inny. Nim Teoś się obejrzał, już stał przyciśnięty do lady na wprost okrągłej sprzedawczyni o tlenionych włosach i ustach pomalowanych intensywną, czerwoną szminką i brwiach wyrysowanych czarną kredką.

– Co ma być?

– Biała jakaś.

– Ale jaka?

– A jaka jest?

– Żyto, wyborowa, krakus, baltic, stołowa...

– To ja może bym poprosił...

– Nie wybrzydzaj tak, gościu, ino bierz, co dają. – Cierpliwość kolejki dla bojowych zasług kaleki najwyraźniej już się wyczerpała.

– Kupuj i w długą, bo naród spragniony czeka.

– Nie pierdolić tam, ino sprzedawać.

– Nie przeklinać tam, bo zaraz się sklep zamknie! – wydarła się sprzedawczyni.
– A ino spróbuj, cholero jedna, to zaraz cię sodomia i gomoria nie poznają!
– Pani da dwa żyta – zdecydował Teoś błyskawicznie, bo atmosfera zaczęła się robić niezbyt przyjemna. Wziął też dla siebie, bo skoro kupował dla tych dwóch szkieł, to grzechem byłoby nie skorzystać z okazji. Zapłacił, włożył butelki do kieszeni prochowca i wyszedł na ulicę. Młodzieniec z długimi włosami zajął jego miejsce przy ladzie i poprosił o cztery baltic vodka.

Teofil tymczasem skierował się do stojącej nieopodal milicyjnej nyski. Podszedł do bocznych drzwi, otworzył je i wskoczył do środka. Od razu podał sierżantowi butelkę, a kierowcy resztę.

– Po trzynaście tysięcy za flaszkę sprzedają, gnoje. O pięć stów drożej niż za dnia – wytłumaczył, a kaprał przyjął wyjaśnienie ze zrozumieniem.

– Muszą mieć ceny komercyjne, bo sprzedawczynie są na nocnej zmianie, to im się więcej za robotę należy. – Sierżant znał się na kwestiach płacowych w handlu społecznym, bo jego żona pracowała w spożywczaku w Przeźmierowie.

– Inaczej by nikt nie chciał po nocy robić – zgodził się z nim kierowca.

– Bo noc to jest do spania albo do picia – stwierdził Teofil, otwierając swoją flaszkę. – Jak już dla was brałem, to dla siebie też. Bo mi tak w gardle zaschło. Ale wy się nie krępujcie przed oficerem. Mnie to wcale tu nie ma. No napijcie się, chłopaki, bo ja wiem, jak to o suchym pysku się pracuje. Kiepsko bardzo.

Obaj podoficerowie spojrzeli po sobie i pokiwali głowami. Ten porucznik wydawał się całkiem równym gościem, więc nie było się co przejmować. W końcu zamierzali, jak na razie, wypić tylko po łycku.

Olkiewicz zakręcił butelkę, włożył do kieszeni i już zamierzał wyjść z auta, by udać się do Adrii, gdy naraz tuż przed nyską zatrzymał się czerwony samochód na niemieckich rejestracjach.

– Tej, patrz! – Kierowca wskazał palcem auto swojemu koledze. Ten, upiwszy łyk wódki, przełknął ją i oddał kapralowi.

– Co to za marka? – zapytał.

– BMW 520 diesel – odparł kaprał z pełnym przekonaniem eksperta motoryzacyjnego.

– Taką by mieć.

– I za sto lat się nie dorobisz. Za droga.

– Kto wie, może kiedyś.

– Ale bym se taką pojeździł.

– Jakby człowiek podjechał, to wszystkie babki jego...

Teofil tylko przez chwilę patrzył na piękne auto. Jego spojrzenie przyciągnęło coś zupełnie innego. Odwrócił głowę, gdy dojrzał kątem oka, jak otwierają się drzwi od Adrii. I wtedy przypomniał sobie, po co chciał tu przyjechać. Chciał ostrzec swoją znajomą, agentkę tego lokalu Marysię, przed tym cholernym zbiorem, byłym esbekiem, który być może znów się objawił i w związku z tym może być dla niej groźny. A przypomniał sobie o tym dlatego, że facet, który wychodził z knajpy, to był właśnie Wirski. Trochę bardziej zaokrąglony niż dawniej, z dłuższymi włosami opadającymi na kark i w amerykańskiej kurtce wojskowej nie przypominał dawnego esbeka. Ale na pewno to był on. Teofil doskonale wiedział, bo ta twarz nieraz śniła mu się w największych koszmarach.

Wirski podszedł do czerwonego auta, otworzył drzwi od strony pasażera i wskoczył do środka. Bmw wolno ruszyło do przodu.

– Nie pij, chłopie. – Teoś położył rękę na ramieniu kierowcy.

– Ale że co? – Kapral się zdziwił, bo właśnie podnosił butelkę do ust.

– Jedziemy za tym autem.

– Że co? – Tym razem sierżant nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Jedziemy, nie ma czasu na ksiuty. Dalej za tym czerwonym, ino po cichutku, żeby nie wiedzieli, że ich śledzimy.

– Z tym może być problem – stwierdził kierowca i wrzucił jedynekę. Na ulicy rozległ się ostry zgrzyt mocno zużytego sprzęgła. Nim auto przejechało dystans dwudziestu metrów już wszyscy na ulicach wiedzieli, że zbliża się milicyjna suka.

Tarnowo Podgórne

Godzina 0.55

Musiała się dowiedzieć, o czym Stefański chce rozmawiać z jej narzeczoną. No może pohamowałyby ciekawość, gdyby milicjant cokolwiek jej zdradził. Ale on ją zbył, mówiąc, że i tak nie zrozumie. I to ją właśnie zdenerwowało i sprawiło, że tym bardziej chciała wiedzieć. Bo co to znaczyło, że ona nie zrozumie? Była głupsza od nich czy jak? Może on sobie tak myślał, ale ona dobrze wiedziała, że niejedyn facet w kwestiach intelektualnych nie miał z nią najmniejszych szans. Już w szkole podstawowej należała do najlepszych uczennic i nigdy nie

musiała się wysilać, żeby czegokolwiek się nauczyć, podczas gdy jej koledzy, ci piątkowi, kuli materiał po nocach. Jej tymczasem wystarczyło przeczytać coś raz i już wchodziło samo do głowy. Zresztą podobnie jak z językami obcymi. Nie wiedziała, kiedy nauczyła się niemieckiego. Znała go tak jak polski, od zawsze. Z rosyjskim w szkole było trochę zachodu, bo najpierw trzeba było poznać te ich dziwne litery. Jednak już po miesiącu zaskoczyła panią, budując poprawnie całe zdania. Teraz po latach nauki w szkole mówiła po rusku płynnie i bez żadnych problemów, tyle że nie miała gdzie wykorzystać te umiejętności. Kiedyś może jednak się uda, gdy do hotelu przyjedzie jakiś Rusek. Na razie jednak postanowiła w wolnych chwilach zabrać się za naukę angielskiego, bo coraz częściej pojawiali się goście, którzy porozumiewali się w tym języku. Dlatego gdy ostatnim razem była w Poznaniu, poszła do Domu Książki na Lampego i kupiła sobie zestaw dwunastu kaset z podstawowym kursem językowym i podczas nocnych dyżurów, gdy już kompletnie nie miała nic do roboty, wkładała kasetę do magnetofonu, zakładała słuchawki i uczyła się, powtarzając na głos.

Spojrzała na swojego czerwonego walkmana, którego niedawno kupiła w pewexsie. Leżał na blacie kontuaru przygotowany do pracy. Pokręciła głową. Nauka musi poczekać. Włożyła go ostrożnie do szuflady i już chciała ją zamknąć, gdy natrafiła spojrzeniem na znajomy kształt. Dotknęła rewolweru i uśmiechnęła się zadowolona. Zawsze chciała mieć takie cacko, więc gdy Beret upuścił tego smith&wessona, nie zastanawiała się ani przez sekundę. Podniosła jego broń i wepchnęła do torebki. Nikt tego nie zauważył, a później, gdy milicjanci, którzy przyjechali na miejsce zabezpieczać ślady, nawet nie pomyśleli, że to ona mogła zabrać tę spluwę. Latali wszyscy jak koty z pęcherzem po całym parkingu, szukali, ale niczego nie znaleźli. Szkoda tylko, że miała tak mało kul. Bandzior wystrzelił dwa razy, więc w bębnowym magazynku zostały tylko cztery naboje. Ale i cztery w razie czego wystarczą. Gdyby na przykład ktoś chciał na nią napaść. Dlatego włożyła pistolet do szuflady w recepcji, tak na wszelki wypadek, gdyby coś się stało. Zawsze to na nocnym dyżurze bezpieczniej z bronią w ręce.

Ruszyła w kierunku służbowej sypialni. Narzeczony często z niej korzystał, gdy nie miał siły jechać do domu w Tarnowie Podgórnym. Ona też tu spała, jeśli nadarzała się ku temu sposobna okazja. Ale dziś nie mogła pójść się położyć. Miała dyżur do szóstej rano. Może po dyżurze, myślała, skradając się cicho. Już z daleka usłyszała podniesiony głos Stefańskiego. Zaintrygowana podeszła bliżej i przyłożyła ucho do drzwi. Te nie były zbyt solidne. Jak większość wytwarzanych przez duże przedsiębiorstwa państwowe nazywane szumnie Fabrykami domów, były w dość marnym gatunku, bo zakłady te były nastawione nie na jakość produktów, ale na ilość. Dlatego drzwi produkowano z cienkiej płyty pilśniowej

przyklejonej do drewnianej ramy. Wystarczyło stanąć tuż obok i miało się wrażenie, że jest się w tym samym pomieszczeniu co rozmawiający.

– Jak to? – pytał zaspanym głosem Walasik.

– A no tak, że wszystko się rozpiardoliło przez tego idiotę Maryniaka. Zamiast trzymać gębę na kłódkę, wszystko wypaplał.

– Że niby co?

– To, że przyjechaliśmy tam, żeby ich przegonić. Tych dwóch facetów, co chcieli z tobą wejść w spółkę.

– No ale chyba nic złego nie zrobiliśmy?

– Jak to nie? Franek, obudź się!

– Jestem obudzony. Podaj mi flaszkę. No tam stoi za tobą. Muszę się napić.

– Masz.

– No od razu lepiej. To mów, o co tak właściwie się rozchodzi?

– O to, że oni tu mogą być za chwilę.

– Kto?

– No ci milicjanci z komendy wojewódzkiej, którym wszystko wygadał Maryniak. Oni tu mogą być za chwilę.

– Kto?

– No ci z wojewódzkiej.

– A niby to tak w ogóle to co im wygadał?

– Że ci pomogłem się pozbyć tych dwóch facetów.

– Jak pomogłeś?

– No jak? Była strzelanina i jeden nie żyje, a drugi w szpitalu.

– Ale to Zosia zabiła tego jednego gnoja.

– No właśnie i tego się boję. Będą ją chcieli zamknąć. Dlatego trzeba im zatkać gęby.

– Niby jak?

– No jak? Normalnie. Trzeba im zapłacić.

– No to niech tu przyjdą, to się im zapłaci.

– Ty nic nie rozumiesz. Przecież oni nie są durni, żeby ryzykować wzięcie forsy od obcego.

– A od kogo?

– Ode mnie wezmą.

– Ja za Zośkę to oddałbym wszystkie bejmy, jakie mam. Razem z tą knajpą i hotelem, ale muszę wiedzieć, komu daję i za co. Rozumiesz? Przyprawdź ich i wtedy zapłacę.

– Nie ma na to czasu. Jak nie przywiozę im pieniędzy za pół godziny, to już będzie po sprawie. Przyjadą tu, zrobią kipisz i wsadzą ciebie i ją.

– Niech przyjeżdżają.

– Franek, ale ty jesteś durny.

– Może i jestem...

– Chciałem po dobroci, ale widać z tobą tak się nie da.

– Wszystko się da, ale...

– Gdzie masz te pieniądze?

– No co ty, zwariowałeś?

– Gdzie masz te pieniądze schowane?

– Chcesz mnie zastrzelić?

– Jak trzeba będzie, to zastrzelę. Gdzie jest kasa?

– Chyba cię pojebało!

– Gdzie masz forszę? Tu w pokoju czy w biurze?

– Pierdol się!

– Jak chcesz, ale w takim razie posłuchaj. Zaraz stąd wyjdę i pójde do recepcji i tam odstrzelę łeb tej twojej kurewce.

– O czym ty gadasz, jakiej kurewce?

– Zamknij się. Wstawaj, idziemy po forszę czy mam ją zastrzelić?

– Ty stuknięty skurwysynu!

– Teraz lepiej. Idziemy?

Zosia odskoczyła od drzwi jak oparzona. Szybko zdjęła buty, żeby nie stukać obcasami, i na boso pobiegła do recepcji. Wpadła za kontuar, usiadła na wysokim krzeselku i chwyciła pierwszą lepszą gazetę. Rozejrzała się na wszelki wypadek. Na parkingu cisza i spokój, przejście do restauracji z hotelu ciemne i głucho. Nie słyhać żadnego gościa hotelowego, tylko radio gra cicho piosenkę Anny Jantar.

Nic nie może przecież wiecznie trwać,

co zesłał los, trzeba będzie stracić...

Niczego nie będę tracić, pomyślała, wsłuchując się w słowa piosenki, która zdawała się drwić z niej. Bo czy nie było drwiną to, że najpierw ten los dał jej szansę na szczęście, potem,

walcząc o to szczęście, musiała zabić bandziora, który chciał jej je odebrać, i teraz jeszcze dodatkowo, gdy wszystko się już dobrze skończyło, znów jej cała przyszłość zawisała na włosku. Nie, teraz nie mogła się poddać.

Wydobyła z szuflady pistolet, szybko sprawdziła bębenek, czy aby na pewno pozostałe w nim kule są w pozycji przygotowanej do strzału i, położywszy broń na blacie, przykryła ją płachtą „Trybuny Ludu”. Czekala.

Po chwili usłyszała odgłos zamykanych drzwi i kroki obcasów stukających o podłogę z lastryka. Nie wiadomo dlaczego pomyślała, że trzeba by na te podłogi położyć wykładzinę chodnikową, bo łączy po nocy goście mogą budzić innych. No i jeszcze te łazienki w pokojach przydałoby się wybudować. Jest tu trochę do zrobienia.

Poznań

Godzina 1.00

Czerwone bmw skręciło w prawo tuż przy parku Kasprzaka, zjeżdżając z ulicy Głogowskiej w Berwińskiego. Milicyjna nyska trzymała się w pewnej odległości za nim, ale i tak była to zbyt duża ostrożność, bo na ulicy o tej porze nie było prawie wcale ruchu, więc jeśli kierowca beemki był spostrzegawczy, już dawno zorientował się, że ma za sobą ogon w postaci milicyjnego auta.

– No i co, panie poruczniku? – Sierżant odwrócił się za siebie. – Jedziemy za nimi?

– A co mamy zrobić, do cholery? – burknął Teofil, wpatrując się w tylne światła samochodu.

– Można by go wyprzedzić szybko i zaraz zatrzymać, co nie, Zygmunt? – Sierżant klepnął kierowcę w ramię.

– Zrobi się. Raz-dwa się go dogoni – potwierdził kapral.

– Nie możemy go dogonić i łapać, bo ja chcę wiedzieć, dokąd on jedzie.

– Pewnie do hotelu. A gdzie by mógł jeździć po nocy. Nachlał się polskiej wódki, Szwab jeden, i teraz do hotelu jakąś panienkę wyrwać, i do wyra.

– To nie jest żaden Niemiec.

– A kto?

– Polak.

– Polak w samochodzie na niemieckich blachach? To musi być volksdeutsch – próbował rozwikłać tę skomplikowaną sytuację sierżant.

– Jaki tam volksdeutsch? – Teofil mruknął, powoli tracąc cierpliwość. – Polak z Polski, nawet z Poznania. Dlatego ja jego znam, że on jest tutejszy i u nas robił w komendzie, znaczy nie w firmie, ino w resorcie. Były esbek.

Czerwone auto zostawiło po lewej stronie ciemną o tej porze bryłę Areny.

– A to kutas pierdolony! – Sierżant w końcu zrozumiał, w czym rzecz. – Jak esbek, to wiadomo, że musi być kawał gnoja.

– To gnój wielkogabarytowy... Uważaj, będzie skręcać w prawo! – Teoś wskazał kierowcy drogę, ale zupełnie niepotrzebnie. Ten już się zorientował w zamiarach prowadzącego bmw, bo zauważył włączony kierunkowskaz.

– Jak wjedzie w Grunwaldzką, do depnie po gazie i będzie po zawodach. – Kierowca na chwilę odwrócił się do Teofila, żeby przygotować go na tę oczywistą prawdę. – Nasza nyska nie da rady z beemką.

– I co będzie? – zapytał Teoś.

– Będzie po śledzeniu. A po nim tylko smród spalin się zostanie.

– To co robić?

– Trzeba by go przechytrzyć. – Sierżant uśmiechnął się zadowolony, bo najwyraźniej wpadł na jakiś pomysł. – Może się uda go wyruchać bez mydła – powiedziawszy to, wziął do ręki radiotelefon i odezwał się do mikrofonu.

– Ja 021 z Tarnowa Podgórnego.

– Miejska, mówcie, co wam dolega?

– Czerwone bmw na niemieckich numerach wjeżdża właśnie w Grunwaldzką od skrzyżowania z Reymonta. Trzeba by je gdzieś zatrzymać na jakiś czas i przyczepić ogon.

– A co wy tu nam jakieś pościgi urządzacie?

– Melduję, że to akcja oficera z KW Poznań.

– Jakiego oficera? Nic nam nie zgłaszano.

Zniecierpliwiony Olkiewicz wyrwał mikrofon z dłoni sierżanta.

– Mówi Olkiewicz z wojewódzkiej, racja, sierżant ma rację. Ja mam właśnie swoją akcję. Jedziemy za jednym gościem, co ma zachodnie auto beenwu. Nie damy se rady z takim wozem.

– Czołem, Teofil, Woźniak Rajmund mówi – odezwał się dyżurny, który znał Olkiewicza od wielu lat. – Dla ciebie wszystko, Teoś. Coś postaram się pokombinować, ale nie damy rady za szybko. Patrole w robocie.

– Rajmund, tu Teofil, zrób coś, bo...

– Robię, Teoś, robię!

– Ino szybko, bo zaraz nam da dyla...

– Ja 097, jestem przy Rycerskiej. Jak pojedzie dalej, mogę go przejąć.

– 097, a kto ty jesteś?

– Kapitan Brodziak w nieoznakowanym polonezie.

– A to żeś nam z nieba spadł, Mirek, jak Boga kocham – ucieszył się Olkiewicz. – To jest nasz znajomy z... Zresztą, co ja ci będę gadać. Jedź za nim, ja ci wszystko objaśnię później, ino teraz go przejmnij...

– Ja 021, przejechał skrzyżowanie z Rycerską. Jedzie dalej Grunwaldzką – meldował sierżant.

– Ja 097, widzę go. Włączam się.

– Ja 021 z Tarnowa Podgórnego, odpadamy.

– Jak odpadamy? A co ze mną?

– 021, a co z koordynatorem? – zapytał dyżurny.

– Podesłajcie jakiś wóz, jeśli to możliwe – poprosił sierżant z Tarnowa, niezwykle zadowolony, że ich nocna przygoda właśnie dobiegła końca.

– Jakim koordynatorem?

Teofil w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi, aż nagle dotarła do niego ta straszna prawda. Rozpoczął akcję na ulicach miasta, zaangażował do tego wóz z podpoznańskiego Tarnowa, potem dyżurnego z komendy miejskiej, następnie Mirka Brodziaka i za chwilę kolejne auto patrolowe... Tylko po co to wszystko zorganizował? Żeby śledzić Wirskiego? A co miał przeciwko temu Wirskiemu? To, że kilka lat temu jakoś tam był zamieszany w sprawę srebra z katedry w Gnieźnie? Nie do udowodnienia po takim czasie. A to, że wtedy próbował porwać Marysię i doprowadził do wypadku? Przecież ona mu powiedziała sama, kiedy wyszła ze szpitala, że nie będzie go oskarżać, bo nie ma zamiaru babrać się w brudach, które mogły zszargać jej restaurację czy reputację... O coś takiego jej wtedy chodziło, ale Teoś do końca już tego nie pamiętał. Dość że dziś sobie coś z tym Wirskim uroił i zaangażował do śledzenia byłego esbeka całkiem pokaźne milicyjne siły. A jutro, kiedy już wyśledzi, gdzie jest ten gnojek, będzie to musiał opisać w raporcie i jeszcze uzasadnić, dlaczego i po co. Natychmiast zrobiło mu się słabo na samą myśl o pisaniu tego wszystkiego na maszynie. Najgorsze jednak było to, że nie wiedział, co napisać na samym początku, czyli czemu miała ta akcja służyć...

Błaszowski. Jest jeszcze Blacha, który na pewno coś wymyśli. Ma chłopak głowę nie od parady. Zaraz połączy Wirskiego z aktualnym śledztwem dotyczącym tych zabitych cinkciarzy i jak zwykle dopisze tam, że „w zaistniałych okolicznościach istniała uzasadniona potrzeba operacyjnego zabezpieczenia osoby mogącej mieć istotne informacje w sprawie, niezbędne w toku postępowania...”. On już tam umiał nieźle pokombinować.

A tak w ogóle to ciekawe, co Brodziak robił przy tej Rycerskiej? Tam skąd wyjeżdżał, jest komisariat milicji. Tylko po jaką cholere Miras jeździł nocą do komisariatu? Trzeba będzie z nim pogadać i szczegółowo wypytać. No ale najważniejsze, że w ogóle tam był...

– No, obywatel porucznik jest koordynator – odpowiedział mu kierowca.

– Ja jestem? Aha, no to znaczy się na miejscu, poczekam tutaj na miejscu. Gdzieś tu staniemy, żeby się nie pchać za tym beenwu, i będę oczekiwać, aż mnie ktoś przejmnie.

– Dobra, Teofil, podsyłam ci auto poznańskie, a kolegom z Tarnowa dziękuję za pomoc. Bez odbioru. – Dyżurny przerwał połączenie.

Milicyjne auto zjechało na chodnik. Kapral zgasił silnik i włączył koguta, ale bez sygnału dźwiękowego. Chodziło o to, by patrol, który miał tu podjechać, od razu zauważyć miejsce parkowania nyski.

– No to chyba go nie zgubią – odezwał się sierżant, wyciągając z kieszeni paczkę radomskich. Podsunął ją Olkiewiczowi, a ten poczęstował się papierosem, bo głupio było mu nie wziąć. W końcu ci ludzie okazali się bardzo pomocni i nie można było ich urazić odmową. Przysunął papierosa do wyciągniętej w jego kierunku dłoni z zapalniczką. Radomskie, według Olkiewicza, nie umywały się nawet do ekstramocnych, które palił na co dzień, no ale podarowanemu papierosowi w gilzę się nie zagląda, więc z odrobiną niesmaku zaciągnął się dymem.

– A obywatel porucznik tego esbeka to specjalnie chciał poszukać w tej Adrii? – zapytał sierżant.

– Jak się nazywacie, sierżancie – zapytał, żeby zyskać na czasie, bo nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Podolak Jerzy.

– Słuchajcie, Podolak – zaczął powoli, cały czas się zastanawiając nad odpowiedzią, ale przekonał się już nieraz, że najważniejsze to w ogóle coś zacząć gadać, a potem się zobaczy, bo zawsze w końcu coś się wymyśli. – Powiem wam szczerze jak milicjant milicjantowi, że jak wicie dobrze, w kwestiach operacyjnych to wygadywać za dużo na prawo i lewo nie wolno, bo licho nie śpi, ale ja wam w zaufaniu mogę powiedzieć, że tego esbeka, co już dawno esbekiem nie jest i zeszedł na ciemną ścieżkę i idzie ciemną doliną...

– Choćbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę... – przypomniał sobie coś kapral, ale chyba nie do końca na temat, bo Teofil spojrział na niego groźnie.

– My jego od dawna rozpracowywali – mówił dalej. – Ale jak to w rozpracowywaniu, raz jest się na wozie, raz nawozem. I ja właśnie powziąłem informację, że ten gość jest w Adrii, i dlatego żeśmy tam musieli jechać, i jak widzicie, nasze operacyjne rozpoznanie było jak zwykle bardzo należyte i trafiło w sedno tarczy.

– Idealnie z czasem skoordynowane – rzucił kierowca, który chciał w ten sposób zrehabilitować się za poprzednią wpadkę.

– O właśnie, tu się rozchodzi o koordynację.

Naraz przypomniał sobie o czymś. Włożył rękę do kieszeni i wydobyl z niej butelkę wódki.

– O i teraz jest okazja, żeby się wreszcie napić odrobinę, bo jeszcze kawał roboty przede mną. A wy się nie krepujcie i też śmiało se chlapijcie. Wy już kończycie dyżur, to tym bardziej możecie, a jeszcze do tego żeście zasłużyli.

Podoficerom nie trzeba było dwa razy mówić. Sierżant wyciągnął ze schowka przed sobą butelkę i podał ją kierowcy.

– A ten esbek, obywatelu poruczniku, to on pracował w komendzie, a potem zaczął kombinować i co, wywalili go? – Podolak próbował sobie wszystko poukładać w głowie, bo jakoś mu się w niej nie mieściło, że funkcjonariusz, nawet tej wrednej SB, może przestać być funkcjonariuszem.

– Wiecie, sierzancie – Teofil zrobił minę specjalisty od ludzkich zachowań – tak to jest, że jak ktoś ma w duszy coś złego, to nawet robota w milicji go nie naprostuje na prostą drogę.

– Żeby tak można było takiego gnoja od razu wyczuć – zamyślił się kapral.

– Można, kapralu, ale musicie mieć, no, tę, jak jej tam, no, instytucję, znaczy się milicyjnego nosa. – Postukał palcem czubek swojego jak zwykle zaczerwienionego nocha. – Jak się ją ma, to można, ale najlepiej to patrzeć w oczy. Oczy, pamiętajcie o oczach! W oczach można odczytać wiele, na przykład czy ktoś jest bandytą, czy nie jest. Na przykład weźmy taki zez. Zeza mają najczęściej ludzie, którzy mają skłonności psychopompacyjne...

Spojrzał w oczy sierżanta i zamarł. Podoficer spoglądał na Teofila, ale tylko lewym okiem. Prawe patrzyło na kierowcę albo jeszcze gdzieś dalej.

– No, oczywiście, nie wszystkie, co mają zeza, nie każdy... znaczy się – próbował wybrnąć z niezręcznej sytuacji, ale nie bardzo wiedział, co miałby powiedzieć. Na szczęście przy chodniku zatrzymał się milicyjny polonez. Dostrzegł go natychmiast i uradowany z

odsieczny klepnął Podolaka w ramię. – No to co, dziękuję w imieniu służby, bo ja właśnie już muszę niestety szybko wysiadać, gdyż się bardzo śpieszę...

Otworzył drzwi i wyskoczył na chodnik. Zapomniał o kontuzji i poczuł, że w kolanie znowu mu coś chrupnęło. Jęknął z bólu, ale ruszył przed siebie, nieco utykając, odprowadzany gniewnym spojrzeniem lewego oka sierżanta. Prawe patrzyło w zupełnie inną stronę.

Tarnowo Podgórne

Godzina 1.05

– Jesteście pewni, że to tutaj? – zapytał kapitan Marjański sierżanta Benona Witka, który siedział za kierownicą nyski.

– Ja przecież jego dobrze znam. On nieraz gadał o tym swoim kuzynie, co to ma taki interes, że sra forszą.

– Ale czy ten kuzyn mieszka w hotelu? – dociekał Marjański, któremu nie bardzo podobał się ten pościg na wariackich papierach, no ale jako nowy komendant musiał przecież dać przykład i pojechać, bo później wszyscy w Pniewach gadaliby, że już pierwszego dnia po objęciu posterunku wystraszył się i wysłał za przestępcą młodych i niedoświadczonych oficerów. Obaj dyszeli chęcią zemsty i koniecznie chcieli dopaść tego rąbnietego chorążego, który postrzelił swojego najbliższego kolegę.

Ta sprawa to w ogóle było jakieś kompletne szaleństwo. Najpierw strzelanina w Gaju Wielkim, która pozbawiła życia poprzedniego komendanta milicji w Pniewach i spowodowała, że to on został jego następcą, potem przesłuchania, prowadzone przez Blaszkowskiego z Markowskim, zakończone strzałami... To przecież jakiś absurd, którego nie był w stanie ogarnąć swoim literackim i – co tu dużo gadać – artystycznym rozumem kapitan Marjański.

– Trzeba sprawdzić motel w Tarnowie Podgórnym, bo ten motel to prowadzi jego kuzyn – tłumaczył sierżant Witek, który wytypował miejsce w Tarnowie Podgórnym podczas zwołanej na szybko odprawy operacyjnej. Wezwani na nią funkcjonariusze mieli wskazać miejsca, w których mógłby się ukrywać ich kolega chorąży Stefański. Okazało się, że pomysłów było sporo. Wszyscy chcieli koniecznie przydać się w dochodzeniu do prawdy. W

końcu to nad ich komendą zawisło jakieś złe fatum, z którym trzeba było sobie jak najszybciej poradzić, łapiąc zbiega. Bo o ile ta pierwsza strzelanina sprzed kilku dni, w której zginął ich dowódca, mogła wydawać się tragicznym zbiegiem okoliczności, o tyle ta druga w murach komendy nie miała w sobie już nic z przypadku. Obie sprawy łączyła postać Stefańskiego. To mogło oznaczać tylko jedno, mówili między sobą milicjanci wezwani na naradę, chorąży kompletnie zwariował i to on jest wszystkiemu winien, a wiadomo że winny wariat na wolności chodzić nie powinien.

– Trzeba by najpierw otoczyć jego dom tu wew Pniewach i sprawdzić, czy gdzieś się nie ukrył – zaproponował starszy sierżant sztabowy, Kulawiec Szczepan, do niedawna najbliższy kumpel Stefańskiego, który ze zbiegiem w jego domu wypił niejedną flaszkę wódki. Znał więc doskonale teren.

– W chacie to się można ino przebrać i dać potem dyla – stwierdził podporucznik Sikora Dariusz, który jako funkcjonariusz w wieku przedemerytalnym miał największe doświadczenie. – Ja se myślę, że on już dawno spakował lompę i leci do granicy, to znaczy się, trzeba by było powiadomić wopistów, żeby jego w Świecku przejęli.

– Żeby móc uciec za granicę, trzeba by mieć paszport – zauważył podporucznik Błaszowski.

– Słuszna racja – poparł go Marjański. – Ktoś wie, czy Stefański był kiedyś za granicą?
– zapytawszy, spojrzął po twarzach zebranych w sali narad milicjantów. Wszyscy jak na komendę się uśmiechnęli.

– Co jest? – Marjański natychmiast zauważył te uśmiechy pod nosem.

– Melduję, obywatelu kapitanie, że on jeździł do NRD ciągle i przywoził stamtąd towar na handel.

Kapitan zrobił zdumioną minę. Owszem, słyszał, że ludzie jeżdżą do NRD i przywożą stamtąd różne rzeczy, ale żeby funkcjonariusz zajmował się kontrabandą? To się nie mieściło w głowie...

– Co przywoził? – zapytał jeszcze na wszelki wypadek, żeby mieć jasność.

– Ubranka dla niemowlaków, zasyпки i pudry do tyłka, garnki i patelnie, no i buty salamandry – wyliczył Kulawiec, który wiedział doskonale, co szmuglował jego kumpel, gdyż często kupował od niego różne rzeczy.

– Największe interesy to on robił ze swoim kuzynem Walasikiem Franciszkiem, co mieszka w Tarnowie Podgórnym – rzucił sierżant Benon Witek. – On ma tam w ajencji motel, taki przy drodze, i do tego jeszcze restaurację. Jakby się miał gdzie ukryć, to ja bym obstawiał ten motel.

No i Marjański w końcu zarządził, że poszukiwania będą odbywać się wielotorowo. Patrol zostanie wysłany do domu Stefańskiego, prócz tego funkcjonariusze będą patrolować też okolice Pniew i samo miasto, zawiadomi się również wopistów.

Milicyjna nyska zatrzymała się na nieczynnej o tej porze stacji CPN. Stąd do hotelu było może jakieś pięćdziesiąt metrów, więc wejście do budynku było widoczne jak na dłoni. Na podjeździe stało kilka samochodów osobowych. Sierżant wyłączył silnik.

– Znacie samochód Stefańskiego – zwrócił się do kierowcy Marjański. – Widzicie go tam?

– No niby jest tam czerwony maluch, ale do końca to ja nie widzę, bo nie wziąłem okularów z domu, a ja jestem krótkowidz.

– Co? Krótkowidz i prowadzicie bez okularów? – zdziwił się kapitan.

Sierżant wzruszył ramionami.

– No przecież wszystko widzę, kierownicę, biegi i jak co przede mną jedzie, to też widzę, tym bardziej w nocy, bo ma światła. Ino że nie widzę ze szczegółami. Ale jak mam okulary, to widzę wszystko.

Marjański z niedowierzaniem pokręcił głową. Widać czekało go dużo pracy w tych Pniewach. Teraz jednak trzeba było zająć się śledztwem.

– To co robimy? – Odwrócił się do dwóch oficerów siedzących na tylnej kanapie. Obaj spojrzeli najpierw po sobie, a Blaszkowski wzruszył ramionami. On był dobry w kwestiach papierkowych, nawet w przesłuchiwanu przestępców, ale w sprawach interwencyjnych polegał zawsze całkowicie na bardziej doświadczonych kolegach, czyli na Brodziaku i Marcinkowskim. W takich sytuacjach zwykle robił to, co mu kazano. Tym razem, po raz pierwszy w jego milicyjnej karierze, ktoś pytał go o zdanie i to jeszcze oficer wyższy stopniem i starszy stażem. To nie mogło przynieść niczego dobrego, skoro Marjański nie wiedział, co robić.

– To jest ten jego maluch – stwierdził naraz sierżant. Marjański zdziwiony spojrzął na podoficera, który przykładał do oczu niewielką białą lornetkę teatralną. – Widzę, że to jest ten samochód, bo ma z tyłu takiego pieska, co jemu się głowa kiwa. To jest auto Stefańskiego – powiedział z pełnym przekonaniem. Lornetkę odsunął od oczu i wskazał na nią palcem. – Kupiłem od Ruskich na targu w Szamotułach. Dobrze mieć taki sprzęt w samochodzie, bo zawsze się może przydać.

Kapitan pokiwał głową, a potem znów popatrzył na oficerów. Blaszkowski już chciał coś powiedzieć, ale wyprzedził go Markowski.

– Wchodzimy z dwóch stron z bronią w rękę. Kapitan ze mną od przodu przez główne wejście. Podporucznik Blaszkowski zamyka tyły i pilnuje zaplecza. Jeśli facet będzie uciekać, na pewno spróbuje się wydostać tylnym wejściem. Mariusz, nie wchodzisz, tylko czekasz, aż coś się poruszy, i wtedy dopiero próbujesz zatrzymać gościa. Jeśli zobaczysz, że to on, nie wołaj „stój, bo strzelam”, tylko strzelaj od razu, rozumiesz? – Blaszkowski pokiwał głową.

– Od razu walić w faceta – potwierdził polecenie.

– Ale, poruczniku, to wbrew zasadom – próbował sprzeciwić się Marjański.

– A pan, kapitanie, woli mieć martwego funkcjonariusza czy martwego przestępcę?

Trudno było nie zgodzić się z takim argumentem. Pieprzyć zasady, byle się tylko udało, pomyślał Marjański, ale nie powiedział tego głośno, bo mu było głupio przed ludźmi niższymi stopniem.

– Macie rację – potwierdził. – A co z nami?

– Ja wchodzę pierwszy, pan kapitan mnie osłania i idzie za mną. Gdy wejdziemy do środka, natychmiast sierżant podjeżdża pod same drzwi do hotelu, blokuje je i z pistoletem w ręce czeka na to, co się wydarzy. Jakby nasz zbieg próbował uciekać, natychmiast otwieracie do niego ogień, sierżancie.

– Ja? – zdziwił się kierowca, który jeszcze nigdy w życiu do nikogo nie strzelał.

– Jak nie strzelicie, to następnym razem możecie kierować nie nyską, ale rydwanem u świętego Piotra. Wszyscy zrozumieli, co mają do roboty? – zapytał jeszcze na koniec były komandos i obecny podporucznik w jednej osobie, Kazimierz Markowski. – Jakieś pytania? – dodał.

Nikt się nie odezwał.

– No to panowie, w imię Boże, do roboty! – Otworzył drzwi i wyskoczył z nyski. Pozostali dwaj oficerowie zrobili to samo, a sierżant odpalił silnik.

Mirek Brodziak siedział w służbowym polonezie z wyłączonymi światłami i przyglądał się temu, co działo się na ulicy. Czerwone bmw podjechało przed chwilą do zaparkowanego tuż przy chodniku dostawczaka i z auta wysiadł człowiek, którego sylwetkę Brodziak znał doskonale. Przez chwilę mrużył oczy, by się upewnić. Przydałaby się w aucie lornetka, ale o takim sprzęcie nie pomyślał, wyjeżdżając z milicyjnego parkingu. Miał tylko pojechać do Grubego Rycha, zapakować go do auta, zawieźć na komendę na Grunwaldzie i wsadzić do

aresztu. Do tego nie potrzebował specjalistycznego sprzętu służącego do podglądania ludzi z odległości. A tymczasem teraz lornetka by się przydała. Trudno, musiał polegać na swoich oczach. A te mówiły mu, że to, co widzi, to nie jest sen szaleńca. Facet, który wysiadł z bmw, to był nie kto inny, jak wyrzucony z SB przed kilku laty kapitan, a może major, cholera wie, jaki miał stopień, gdy go wywalano z resortu, Tadeusz Wirski, czyli człowiek od brudnej roboty pułkownika Bieleckiego. To był facet, który wykonywał dla swojego szefa wszystkie najbardziej paskudne zlecenia, łącznie z torturami i zabójstwami. W którymś momencie musiał jednak coś zrobić nie tak, skoro wyleciał z roboty. No i okazuje się, że teraz znów chce zasiąść do stolika, przy którym toczy się gra o najwyższą stawkę, ale na razie nie wiadomo, jakie karty trzyma w dłoni.

Drzwi od bagażówki otworzyły się i ze środka wyskoczyło trzech mężczyzn. Z bmw wysiadło jeszcze dwóch. W sumie sześciu rosyjskich ludzi ubranych jak na poważną akcję w przylegające do ciała wojskowe czarne kurtki, czarne spodnie i buty z opinaczami na kostkę.

Mirek rozpoznał od razu trzech z nich. To byli oficerowie SB, którzy odeszli ze służby. Mężczyźni zbliżyli się do Wirskiego, który ubrany w garnitur wyglądał tak, jakby właśnie zszedł z parkietu na dancingu. Przez chwilę słuchali tego, co ma do powiedzenia ich dowódca, by po chwili rozluźnić otaczający go szczelnie ludzki łańcuch. Wszyscy jak na komendę sięgnęli do kieszeni i wydobyli pistolety. Jak to przed akcją bywa, sprawdzili broń i schowali ją ponownie. Potem każdy odsłonił przegub i sprawdził zegarek. Synchronizowali czas. Brodziak doskonale wiedział, gdzie zamierzają uderzyć. Dom i warsztat należące do Grubego Rycha znajdowały się jakieś sto metrów stąd, w przecznicy odchodzącej od uliczki, na której przygotowywali się do akcji faceci w czerni.

Było dokładnie tak, jak przewidział cinkciarz, Grubiński wiedział, że wśród jego najbliższych współpracowników jest zdrajca. Szymuś wyciągnął tę informację od tego gościa, który napadł na dom Rycha. Bandzior wyznał, że ktoś informował ludzi Wirskiego o wszystkim, co działo się w obozie Grubińskiego, Nie wiedział jednak, kim jest ta osoba. Dlatego Rychu po pogrzebie Laury zebrał współpracowników i rozdzielił zadania. Wszyscy usłyszeli, że w willi na Junikowie przechowuje pieniądze na rozpoczęcie akcji skupu i sprzedaży walut oraz akty własności punktów na trasie z Poznania do granicy z NRD, w których ta sprzedaż miała się odbywać. Jeśli ci od Wirskiego chcieli przejąć interes, potrzebowali kasy Rycha oraz dokumentów, żeby na ich podstawie sporządzić fałszywki, w których to oni będą wpisani jako właściciele.

Te podane głośno na cmentarzu informacje miały wroga wciągnąć do domu Grubińskiego prosto w łapy jego ludzi. Mirek miał tylko następnego dnia wszystko

posprzątać, wjeżdżając rano z milicyjną ekipą techniczną, która po zgłoszeniu włamania miała zabezpieczyć ślady wtargnięcia na posesję przyjaciela. Obaj uznali, że najbezpieczniej będzie, jeśli Rychu na wszelki wypadek będzie nieobecny w domu i zapewni mu się stuprocentowe alibi. Lepszego jak pobyt w milicyjnej celi nie mogli wymyśleć.

Ekipa uderzeniowa ruszyła szybko w głąb ulicy i po chwili wszyscy zniknęli za zakrętem. Brodziak włączył radiotelefon i na wszelki wypadek podał dyżurnemu dokładny adres zakładu Grubińskiego, żeby ten przekazał go Olkiewiczowi, kiedy już Teoś będzie miał do dyspozycji swój samochód. Nie wątpił bowiem, że kolega będzie chciał się dowiedzieć, jaki był efekt jego działalności wywiadowczej i co stało się z Wirskim.

Włączył silnik i auto ruszyło. Mirek się domyślił, że nieproszeni goście chcą wejść na posesję od frontu. Położą trochę po domu, poprzewracają wszystko do góry nogami i natkną się na Szymusia i jego ludzi...

Naraz zauważył samochód bez świateł zbliżający się wolno z przeciwległego krańca ulicy. Był to biały volkswagen transporter. Przez chwilę wpatrywał się w charakterystyczną sylwetkę auta z niedowierzaniem. Takiego samochodu SB używała podczas własnych akcji jako auta sztabowego, z którego dowódca kierował swoim zespołem. No ale przecież tu akcję przeprowadzali nie esbecy, ale byli esbecy... Gdy volkswagen był już na wysokości jego samochodu, Brodziak spojrział w lewo i w tym momencie zamarł z przerażenia. Od strony pasażera siedział znany mu doskonale esbek, pułkownik Bielecki... To mogło oznaczać tylko jedno – SB wkraczało do gry w najgorszym z możliwych momentów. Zaraz trafią na swoich byłych kumpli i jeszcze do tego wszystkiego na ludzi Grubińskiego. Nie było chwili do stracenia. Musiał zacząć działać. Zgasił silnik, wydobyl ze schowka w desce rozdzielczej latarkę i ruszył przed siebie.

Nocnej ciszy nie zakłócały żadne nienaturalne odgłosy. Gdzieś w oddali szczekał tylko pies, który skarżył się zapewne na swój sobaczy los łańcuchowego więźnia, a bliżej pohukiwała siedząca na którymś z pobliskich drzew sowa. Noc po całodniowych deszczach była ciepła i parna. Księżyc zbliżał się do pełni, więc pięknie oświetlał całą okolicę.

Mirek dotarł do dziury w płocie, za którą była wydeptana ścieżka przecinająca krzaki porastające cały teren. To przejście, a właściwie wyjście awaryjne, pokazał mu jakiś czas temu Rychu. Ścieżką można było bez przeszkód dojść do betonowego płotu. Świecąc latarką pod nogi, w minutę przedarł się przez gąszcz krzaków i stanął przez ogrodzeniem. Pokonanie betonowej przeszkody nie stanowiło żadnego problemu. Sprawnie przeskoczył na drugą stronę i znalazł się na podwórku za warsztatem, na którym składowano niepotrzebne części i stare opony. Nie ono było jednak celem. Musiał się dostać do willi. Ostrożnie, żeby nie

narobić hałasu, minął stertę pociętych samochodowych blach i wzdłuż tylnej ściany warsztatu doszedł do miejsca, w którym hala naprawcza łączyła się z domem. Na wprost miał przed sobą schody z poręczą. Prowadziły one do wejścia do piwnicy pod domem. Wiedział, że drzwi są otwarte. Rychu nigdy ich nie zamykał, bo wtedy właśnie można było łatwo uciec z mieszkania w razie jakiegoś zagrożenia.

Pomieszczenie, do którego wszedł, mogło być klasyczną graciarnią, gdyż znajdowało się najbliżej wejścia. Jednak stały tutaj beczki z benzyną. Było ich kilkanaście. Rychu jako zapobiegliwy człowiek lubił mieć paliwo pod ręką, tym bardziej że na CPN nie zawsze można było liczyć. Trzymał więc w piwnicy stały zapas.

Zostawił beczki za sobą i wszedł do korytarzyka biegnącego wzdłuż całej willi. Dom podpiwniczony był tylko w jednej połowie, tej od strony warsztatu. Pierwszym pomieszczeniem po prawej stronie powinna być kotłownia, drugim skład opałowy, a trzecim nieużywana nigdy pralnia.

Minął szybko drzwi do kotłowni i drugie do węglami i jednym zdecydowanym ruchem szarpnął trzecie, te od pralni. Nie zdołał jednak wejść do środka. Natrafił na żywą ścianę złożoną z trzech roślanych facetów i wymierzonych w niego trzech luf. Na szczęście żaden z nich nie był zbyt nerwowy i nie pociągnął za spust.

– Szymuś, wychodzimy, tylko cicho, na paluszkach – zwrócił się do największego z nich.

– A co się, kurwa, dzieje? – zapytał szef warsztatu.

– Zmiana planów. Za dużo ich jest. – Wskazał palcem na sufit.

– Damy se radę – stwierdził Broniek Warguła, z zawodu lakiernik, z zamiłowania bandyta.

– Żadnej dyskusji – rzucił zdecydowanym tonem Brodziak. – Wychodzimy przez tylne podwórko.

I wtedy nocną ciszę rozdarł pierwszy strzał, który dobiegł gdzieś z góry. Po nim rozległa się cała kanonada.

– My tylko do biura – rzucił w jej kierunku nieco zmienionym głosem Walasik. Szedł przodem, tuż za nim był milicjant Stefański. Ten nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się promiennie do dziewczyny.

– Skurwysyn pierdolony – mruknęła pod nosem i też się uśmiechnęła. Przechodzili właśnie wzdłuż recepcyjnego kontuaru. Żaden z nich nie zauważył, że w chwili gdy tylko

minęli miejsce, w którym siedziała Zosia, ona wyciągnęła spod gazety pistolet i schowała go pod wielką chustą, którą okrywała się zawsze na nocnym dyżurze. Zeskoczyła z swojego wysokiego stołka i wyszła zza lady. Walasik obejrzał się za siebie. Ich spojrzenia się spotkały.

– Zosia, wracaj, nie idź za nami.

– A to czemu?

– Bo mamy swoje sprawy – warknął milicjant. – Nie przeszkadzaj!

– Ciekawe, co to za sprawy macie w tajemnicy?

– Nie twój zasrany interes. Spierdalaj!

– Zosia, proszę cię.

Nigdzie nie pójdziecie! – zawołała zdecydowanym głosem.

– Bo kto nam zabroni? – Milicjant odwrócił się i zrobił w jej kierunku dwa kroki, tak jakby chciał ją nastraszyć, ale Zosia ani drgnęła. Stała z rękami złożonymi na brzuchu i dłońmi ukrytymi pod chustą jak posąg wyrzeźbiony w kamieniu. W jej oczach Stefański dostrzegł dziwną determinację, podobną do tej, jaką widział wówczas na parkingu. Ta dziewczyna była groźnym przeciwnikiem. Całe szczęście, że nie ma przy sobie broni, bo mogłoby być kiepsko. On za to miał spluwę i nie mógł pozwolić, by jakieś głupie babsko pokrzyżowało mu plany.

– Zjeżdżaj, pókim dobry, bo jak nie...

Drzwi prowadzące na podjazd przed hotelem otworzyły się z trzaskiem. Wszyscy troje spojrzeli w tamtym kierunku. Do środka wtargnęło dwóch uzbrojonych milicjantów. Żaden nawet nie krzyknął, wpadli i zamarli, nie bardzo wiedząc, co robić. Obaj mierzyli w Stefańskiego, ale nie mogli wystrzelić. Na linii strzału stała bowiem dziewczyna, a do jej skroni przyciskał lufę pistoletu poszukiwany przez nich chorąży.

– I co teraz? – zapytał cicho Marjański.

– Odstrzelę mu łeb – odparł równie cicho Markowski.

– A jak nie trafisz?

– Mam złotą odznakę strzelecką.

– Aha. Za strzelanie z pistoletu?

– Nie z moździerza.

– To lepiej z nim pogadać – stwierdził Marjański. – Ej, ty, rzuć broń, bo jak nie, to już po tobie!

– Już jest po niej, jeżeli nie rzucicie swoich pukawek!

– Nie zabijesz jej!

– A niby dlaczego nie?

– Bo ona jest niewinna – próbował go przekonać kapitan. – Rzućcie broń, chorąży, to pogadamy, porozmawiamy jak Polak z Polakiem uczciwie i po partnersku w atmosferze ogólnego porozumienia.

– Przestańcie pierdolić! Rzućcie broń i dajcie mi stąd wyjść, a nic się nikomu nie stanie!

– Puść tę dziewczynę, bo nie wyjdiesz stąd żywy! – zawołał podporucznik Markowski, celując w głowę chorążego.

– No dobra, sami tego chcieliście – warknął Stefański i odsunawszy lufę od skroni Zośki, wycelował w podporucznika. I to był największy błąd, jaki popełnił w swoim niemal czterdziestoletnim życiu. Naraz rozległ się stłumiony strzał i porywacz i milicjant w jednej osobie padł jak rażony gromem. Marjański spojrzął na swój pistolet, ale nie widać było po nim, żeby sam wystrzelił. Zdumiony podporucznik z niedowierzaniem przyglądał się leżącemu na podłodze przestępcy, który, jęcząc jak zarzynane zwierzę, trzymał się obiema dłońmi za krwawiący brzuch. Po chwili ucichł całkowicie. Jakoś specjalnie nikt się nim jednak nie przejął.

– No i co, udało się? – odezwał się Mariusz Blaszkowski, który, słysząc strzały, wpadł do holu.

– To ty go trafiłeś? – zapytał Markowski, dochodząc do jedynie słusznego wniosku, że skoro nie on ani nie Marjański to musiał postrzelić faceta Blaszkowski. Tylko jak to zrobił, że ten był ranny w brzuch. Przecież musiał się tu dostać od tyłu, więc jeśliby strzelił, to trafiłby go w plecy... Coś tu się nie zgadzało.

– Ja? – zdziwił się Mariusz. – No gdzie ja? Myślałem, że to wy.

– A jak tu wszedłeś?

– No normalnie, tak jak wy, przez te drzwi. – Wskazał głową na główne wejście. – Tamte na zapleczu były zamknięte, to przyszedłem tutaj, bo tam to bym się na nic nie przydał.

– To kto, do cholery, strzelił do niego! – zapytał głośno Markowski i wtedy oczy wszystkich skierowały się na dziewczynę. Ta jej wielka biało-zielona chusta z zakopiańskimi motywami leżała na podłodze. Zosia miała opuszczone ręce. W prawej trzymała coś ciężkiego, przerzucając sobie to w jedną, to w drugą stronę.

Hałas dochodzący z portierni najwyraźniej musiał obudzić hotelowych gości. Pierwszy zszedł na dół kierowca zepsutej ciężarówki, ten bez górnych zębów.

– Co to, kurwa, za hałasy są tu, ja nie mogę spać, do jasnej cholery? Człowiek płaci ciężkie pieniądze, a za to ma pokój z zimną wodą i jeszcze do tego...

Naraz dojrzał recepcjonistkę i już ruszał w jej kierunku, żeby jeszcze coś powiedzieć, a kto wie, może nawet poprosić o książkę skarg i zażaleń, jednak nagle dostrzegł w jej dłoni pistolet i stanął jak wryty.

– Spierdalaj do pokoju, ćwoku niedomyty, bo zaraz będziesz leżał obok tego tu. – Wskazała na wijącego się w bólach milicjanta. – On też się awanturował – dodała, ale kierowcy nie trzeba było nic więcej tłumaczyć. Zniknął szybciej, niż się pojawił. A ona rzuciła pistolet na podłogę i podeszła do swojego narzeczonego, który stał jak słup soli, wpatrując się w swojego kuzyna.

– Już po wszystkim, Franek, już po wszystkim – szepnęła mu do ucha, obejmując go jednocześnie jak małe dziecko.

Markowski podniósł pistolet i schował go do kieszeni.

– Czego on od was chciał? – Marjański próbował poskładać sobie wszystko w głowie, bo nic jeszcze mu się nie wyklarowało.

– Jak czego? – zdziwił się właściciel knajpy. – Chciał pieniędzy, żeby uciec na Zachód. Jeszcze moje marne grosze chciał zabrać i ze swoimi dolarami chciał nawiać. A przecież miał tyle kasy.

– Kasy? – Marjańskiemu coś zaczęło świtać. – Skąd miał pieniądze? Przecież był zwykłym chorążym.

– Maryniak wszystko nam powiedział – rzucił Blaszkowski. – Obaj ukradli walizkę pieniędzy, które przewoził jakiś Arab. Facet zginął pod Pniewami, a oni byli wezwani do tego wypadku. Zobaczyli dolce i zaopiekowali się nimi. Potem o sprawie dowiedział się ich dowódca i zażądał działki. No to Stefański wymyślił, że zawiezie go do Gaju Małego na spotkanie z facetami, którzy chcą wejść w interes walutowy. No a efektem była strzelanina na parkingu i w końcu to wszystko, co się stało dzisiaj. Nie wiemy tylko, skąd Arab miał kasę i ile dokładnie tego było.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów – rzucił zupełnie obojętnym tonem kapitan Marjański.

– Skąd pan wie, że akurat tyle? – zainteresował się podporucznik Markowski.

– Od kapitana Galasia z SB. To pieniądze, które miały do bezpieczki trafić z NRD, ale na co i po co, nie wiem. Dość że nie trafiły i SB ich szuka. Zanim wyjechaliśmy do Pniew, przyszedł do mnie Galaś i kazał mieć oczy szeroko otwarte w sprawie tej zaginionej kasy, bo ona miała być na jakiś specjalny fundusz...

– I co z nimi? – Markowski najwyraźniej zainteresował się esbecką kasą. W końcu była to całkiem okrągła sumka, którą można było wykorzystać w różny sposób.

– Z pieniędzmi? Może ma je w bagażniku samochodu, skoro chciał z nimi nawiać.

- Ale co z nimi zrobimy? – drążył dalej temat były komandos.
- No jak co? Trzeba je będzie zwrócić?
- Komu?

Na to pytanie Marjański nie musiał specjalnie odpowiadać. To chyba było oczywiste. Odda się je władzom zwierzchnim, a one już dobrze będą wiedziały, co z nimi zrobić. Bo władza zawsze wie, jak się zachować. Od tego w końcu jest, bo jakby nie wiedziała, to by władzą nie była...

Wszyscy czterej wybiegli na dziedziniec. Brodziak nie musiał wskazywać im drogi ucieczki. Znali doskonale teren. Dwaj młodszy pracownicy warsztatu skierowali się natychmiast do przejścia pomiędzy stertą opon a złomowiskiem. Mirek obejrzał się za siebie. Strzelanina na górze trwała w najlepsze. Do pistoletowej kanonady dołączyła się po chwili charakterystyczna seria z kałasznikowa. Jedna, potem druga i kolejne. Wyglądało to na regularną bitwę.

– Ja pierdołę, co tam się wyrabia? – powiedział do Szymusia, który podobnie jak on stał i patrzył w te okna jak urzeczony. Mirek tego nie dostrzegł, ale pracownik Grubińskiego wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu,

Brodziak spojrział w górę. Rozbłyśki wystrzałów widać było we wszystkich oknach. Najchętniej poszedłby tam na górę i sprawdził, co się dzieje, ale wiedział, że to niedorzeczne. Rozejrzał się dookoła. Szymusia nigdzie nie było widać.

- Szymuś, kurwa, gdzie jesteś?

Czyżby ten idiota wrócił do środka? Metalowe drzwi, którymi wydostali się z piwnicy, były szeroko otwarte...

Pułkownik Bielecki, zastępca generała Jelenia, był zadowolony. Wszystko układało się po jego myśli. Tak jak przypuszczał, ten gnój Wirski połknął haczyk, który mu podsunął Grubiński. Chciał przejąć dokumenty i wykołegować cinkciarza. Jednak papierów, które były niezbędne do sporządzenia nowych, sfałszowanych aktów własności, podobnie jak pieniędzy w willi Rycha już dawno nie było. Mieli być za to ludzie Bieleckiego, który okazał się sprytniejszy od swojego dawnego podwładnego. Pułkownik wczoraj ostatecznie dogadał się z Grubińskim. Ten zgodził się przyjąć do spółki walutowej poznańskich esbeków w zamian za załatwienie mu zgody na rozpoczęcie działalności w Poznaniu. Dla Bieleckiego nie stanowiło

to żadnego problemu. W ciągu kilku godzin uzyskał odpowiednie urzędowe pozwolenie na prowadzenie działalności okołofinansowej w jednym, jedynym punkcie. Punkt nawet dobry, ale to tylko jedno miejsce w Poznaniu. Grubiński nie chciał wyjaśnić, o co chodzi z tą kamienicą na placu Wolności. Miał tam wykupiony cały dół, więc pewnie chciał otworzyć kasę walutową. Bieleckiego to jednak nie obchodziło. Najważniejsze, że sieć kantorów wzdłuż trasy prowadzącej do granicy będzie należała do spółki Grubińskiego i spółdzielni samopomocowej dla oficerów SB, którą założył pułkownik. Trzeba było się w końcu jakoś zabezpieczyć, bo nie wiadomo, jak się ten pieprzony Okrągły Stół skończy. I nikt pod słońcem nie połączy tych kantorów z SB, bo formalnie, na papierze, właścicielem każdego z nich jest cinkciarz z Poznania. Pierwszorzędny plan się powiódł, pochwalił samego siebie w myślach Bielecki i spojrzał na willę należącą do Grubińskiego, a potem klepnął w ramię siedzącego na przednim siedzeniu majora Galasia. Tak, majora, bo Bielecki podpisał właśnie wniosek o mianowanie go na wyższy oficerski stopień. Niech chłopak ma. Może i niewiele to zmieni w jego sytuacji, bo nie wiadomo, jak długo wszyscy utrzymają się w SB, kiedy zaczną się przemiany, ale niech wie, że dowództwo ceni jego pracę.

Obaj esbecy wyszli ze sztabowej, nieoznakowanej półciężarówki, która stała zaparkowana na samym końcu ulicy. Kilka minut temu dostrzegli przez specjalną lornetkę z noktowizorem, że grupa ludzi Wirskiego wchodzi na teren posesji. Teraz była to już tylko kwestia sekund i byli esbecy, a właściwie renegaci, powinni zostać rozbrojeni i wyprowadzeni na ulicę. W końcu wokół budynku rozstawił grupę złożoną ze swoich najlepszych ludzi. Nie można było tego spieprzyć.

Zniecierpliwiony pułkownik włożył papierosa do ust i nawet nie zdążył wydobyć z kieszeni zapalniczki, gdy Galaś już podawał mu ogień. Zaciągnął się i ruszył w kierunku bramy do warsztatu.

- Obywatelu pułkowniku, to może być niebezpieczne.
- A pierdolić to, chodź, Galaś! – Machnął zniecierpliwiony ręką.

Galaś nieco niepewnie podreptał za szefem, cały czas patrząc w kierunku warsztatu i willi. Na wszelki wypadek włożył rękę do kieszeni. Uspokoił się, gdy dłoń dotknęła zimnej stali.

Naraz od strony zabudowań dobiegł do nich odgłos wystrzału. Obaj mężczyźni natychmiast stanęli.

– Pewnie któryś z tych idiotów nie chciał oddać spluwy po dobroci – stwierdził Bielecki wesołym tonem. – Skąd się biorą tacy durnie...? O, już sobie z nim poradzili – skomentował drugi strzał i zaśmiał się nerwowo. A potem padł kolejny i kolejny, do pojedynczych pistoletowych wystrzałów dołączyły serie z kałasznikowa. W budynku rozpętało się piekło.

Naraz na ulicy pojawił się milicyjny radiowóz. Auto stanęło przy krawężniku tuż obok Bieleckiego i Galasia. Ze środka wyskoczył uśmiechnięty od ucha do ucha Teofil Olkiewicz. Esbek obrzucił go niechętnym spojrzeniem, ale nie zdążył nawet zapytać, skąd się tu wziął.

– I co, Wirski rozrabia? – zapytał Teoś nie bez pewnej satysfakcji w głosie, wskazując palcem willę Grubińskiego. Gdy tylko dyżurny przekazał mu adres, pod który pojechał Brodziak, natychmiast kazał się tam wieźć. Jednak dopiero teraz dotarło do niego, że zna to miejsce. To był warsztat należący do kumpla Brodziaka. Pomyślał więc, że Wirski chce się spotkać z Grubińskim, a Mirek zapewne zaczął się gdzieś w okolicy i czeka na efekty tej schadzki. Jednak gdy, wjeżdżając na tę osiedlową ulicę, dostrzegł znane dobrze sylwetki Galasia i Bieleckiego, natychmiast zrozumiał, w czym rzecz. Pułkownik postanowił załatwić wreszcie porachunki z Wirskim. I bardzo dobrze. Teoś nigdy specjalnie za tym gnojem nie przepadał.

– A wy skąd wiecie, Olkiewicz? – Bielecki znał Teofila od lat, ale nie miał nigdy na jego temat zbyt dobrego zdania. Dlatego tym bardziej zdziwił się, że ten znalazł się tutaj akurat o tej porze.

– Bo, pułkowniku, jak się pracuje w milicji, to trzeba mieć nie tylko milicyjnego nosa, ale i te, no, in... tu... tu... – Nie zdążył dopowiedzieć, co trzeba mieć, bo naraz wokół zrobiło się jasno jak w dzień.

– Szymuś, jesteś tam? – zawołał Brodziak.

– No jestem – odpowiedział mechanik, przekrzykując kanonadę.

– Wyłaż, spierdalamy stąd!

– Sam idź, bo zaraz...

– Co ty chcesz zrobić? – Mirek ruszył w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy, ale Szymuś był szybszy. Zatrzasnął je przed nosem Brodziaka.

– Szymuś, zwariowałeś? – Załomotał w nie.

– Uciekaj, bo zaraz będzie za późno! – Usłyszał wołanie ze środka.

– Nie możesz tam zostać!

– Uciekaj!

- Szymuś, otwórz te drzwi, proszę!
- Spierdalaj!
- Kurwa, człowieku, oszalałeś?
- Masz trzydzieści sekund! Wynos się stąd!

Wściekły Brodziak kopnął jeszcze raz w blachę, której za nic nie byłby w stanie sforsować, i pobiegł w kierunku płotu. Wybił się w górę, złapawszy betonową krawędź, i przerzucił nogi na drugą stronę. Miętko opadł na usłaną zeszłorocznymi liśćmi trawę i zaraz pognął ile sił w nogach przejściem między krzakami. Oczywiście po ciemku wbiegł nie tam, gdzie trzeba, i w gąszczu na moment stracił orientację. Naraz zobaczył, że ktoś biegnie obok. Natychmiast rozpoznał wielką sylwetkę kierownika warsztatu.

- Szymuś, kurwa, co ty żeś zrobił?
- Jak co? To, co było trzeba. Dobrze skurwysynom. Patrz!

Obaj odwrócili się w kierunku, z którego przybiegli. Naraz powietrzem targnęła ogromna eksplozja, a czerwonopomarańczowa kula ognia w jednym momencie objęła swoimi świetlistymi mackami cały dom. Po kilku sekundach w ogniu stał też warsztat samochodowy rozkwitający co chwilę wybuchami zgromadzonych tam łatwopalnych substancji.

- Przecież oni wszyscy spalili się żywcem...
- Zasłużyli, jebani esbecy.
- To są ludzie! Szymuś, to są, kurwa, ludzie!
- I dlatego Rychu nie chciał, żebyś o tym wiedział, bobyś nigdy się na to nie zgodził.
- Jesteście, kurwa, pojebani, wszyscy jesteście pojebani!
- To za panią Laurę.
- Powiedz Rychowi... – Zamilkł na moment, bo w zasadzie nie miał pojęcia, co powinien przekazać swojemu najlepszemu koledze. – Powiedz mu... że... że...

Machnął ręką i spuściwszy głowę, ruszył przed siebie jasno oświetloną ścieżką między krzakami. Minął mechanika i po chwili zniknął mu z oczu. Zresztą Szymuś nie miał zamiaru przejmować się Brodziakiem i patrzeć, jak odchodzi w mrok. O wiele ciekawiej było patrzeć na płonący jak pochodnia dom i warsztat. Wszystko paliło się pięknym, radosnym i jasnym płomieniem, podsycanym dodatkowo przez gaz, który wypłynął z piwnicznej instalacji. Z tym gazem to już był racjonalizatorski pomysł Szymusia. Musiał przyznać, że bardzo udany. Zadowolony z siebie postać jeszcze chwilę, spoglądając na najbardziej efektowne dzieło swojego życia, ale nie mógł tak przecież tkwić w nieskończoność. Tym bardziej że gdzieś tam od Grunwaldzkiej niosły się zawodzenia syren alarmowych wozów gaśniczych straży pożarnej. Za chwilę zrobi się tutaj naprawdę gorąco.

Epilog

Środa

15 marca 1989 r.

Godzina 8.35

– No dalej, panie Tunio, bo za chwilę otwieramy, a pan się grzebiesz jak mucha w smole.

– A jak ja mam się nie grzebać, jak tu jeszcze nic nie gotowe. W okienku siedzi se panienka, owszem, bardzo ładna, ale co z tego, że ona ładna jest jak kwiat paproci, jak ona nie ma bejmów do sprzedawania.

– Jak to nie ma? – zdziwił się dyrektor techniczny placówki Tomasz Szymuś. – To jak my, kurwa, mamy zacząć...

– Tylko bez przeklinania, panie dyrektorze. Teraz jest wyższa kultura bankowości, a jak komu słoma z butów wychodzi, to niech wraca do roboty na ulicy, a nie w garniturze na salonach.

– No właśnie, że racja, panie Tunio, ale co z kasą?

– Miała być dowieziona, ale nie jest. A o dziewiątej otwieramy.

– Poczekaj pan, ktoś tam parkuje na zewnątrz. – Szymuś wyraźnie podekscytowany patrzył na ulicę przez wymytą do czysta i świecąca kryształowym blaskiem ogromną szybę wystawową. Przed drzwiami zatrzymał się volkswagen passat i z auta wyszło dwóch mężczyzn w garniturach. Niższy, krótko ostrzyżony, miał w rękach solidną walizkę. Drugi, wysoki i dobrze zbudowany, rozglądał się nerwowo na boki, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie ma zamiaru wyrwać im przewożonego towaru. Ale nikt nawet nie zwrócił na nich uwagi, nie licząc baby klozetowej z naprzeciwka, która opiekowała się podziemną ubikacją w budynku Arkadii. Wyszła na zewnątrz, żeby wykręcić przemokniętą ściere i zapatrzyła się w ten nowy świat, który tworzył się naprzeciwko jej przybytku. Bo rzeczywiście było to coś zupełnie nowego. Solidny szyld nad szybą wystawową informował, że odbywają się tutaj rzeczy niecodzienne: „Usługi bankowe – skup i sprzedaż walut”.

– Widziała pani, co to się wyrabia? – odezwała się do kioskarki Drewniakowej. Ta jak zwykle zamiast siedzieć w kiosku, wołała na papierosa wyjść na zewnątrz, żeby jej potem gazety nie śmierdziały ćmikami. A poza tym pogoda zrobiła się wiosenna, więc trzeba było korzystać ze słońca.

– No, to pewnie bank jakiś – potwierdziła Drewniakowa.

– Jak bank? Banki to były przed wojną. Teraz ino jest PKO.

– A widziała pani, żeby w PKO sprzedawali i kupowali waluty?

– Łe, sprzedawają. Jak Boga kocham. Jak moja synowa jechała do NRD, to kupowała w PKO na książeczkę walutową.

– Ja nie o książeczkach gadam, ino o sprzedawaniu dolarów.

– Dolarów? Przecież u nas nie wolno sprzedawać dolarów. Ino cinkciarze sprzedawają nielegalnie.

– Od dziś można. W gazetach pisze, że od dziś można w Polsce Ludowej legalnie sprzedawać i kupować walutę. To nic dziwnego, że tu się bank walutowy otwiera. – Drewniakowa z zadowoleniem popatrzyła na ten punkt sprzedaży. Już wczoraj zaglądała do środka przez okno, a tam chyba ze sześć okienek i do tego jeszcze takie stoliki z krzesłami pooddzielane od siebie ściankami jak w jakim biurze.

– Jak teraz najdzie panią ochota, to może se pani iść wymienić te groszaki z kibla do nich naprzeciw, a potem zaraz na drugą stronę placu do peweksu. Życ nie umierać, takich czasów my doczekały. – Drewniakowa rzuciła na chodnik niedopałek i wróciła do kiosku, bo w kolejce stało już ze sześciu klientów.

Tymczasem dwaj mężczyźni z passata zniknęli w „bankowym” wnętrzu. Po chwili za volkswagenem zatrzymał się czarny mercedes. Wysiadł z niego postawny mężczyzna z brodą, ubrany w czarny płaszcz. Z drugiej strony wyskoczył o głowę od niego niższy, szczupły facet w dżinsowej kurtce i takich samych spodniach. Na nogach miał porządne białe adidas.

– No co, Mirek, jak ci się to podoba? – Grubiński wskazał ręką na szyld wiszący nad wejściem.

– Zamkną ci to szybciej, niż otworzyłeś.

– Jeszcze nie otworzyłem. Za piętnaście minut ruszamy.

– Ty ruszasz. Twój biznes.

– Nasz, kolego, nasz. Ty może nie pamiętasz, ale ja tak. Kiedyś zarobiliśmy razem sporo kasy. Ty nie chciałeś tych pieniędzy, ale ja je dla ciebie przechowałem. Masz w tym banku dziesięć procent udziałów.

– Rychnu, daj sobie spokój.

– Mówię poważnie.

– Jakim „banku”?

– No jeszcze nie wygląda, ale poczekaj trochę. Za kilka miesięcy będzie tu bank jak przed wojną. Sprawdziłem, wtedy to był Bank Włociański, a nasz będzie się nazywał Ziemski. Na razie sprzedajemy i kupujemy waluty, ale niedługo zaczniemy udzielać kredytów, założymy ludziom rachunki. Dobrze, co?

– Niech ci będzie, że dobre.

– Dobre i legalne. Koniec z cinkciarstwem, Miras. Teraz jestem bankierem. A ty masz u mnie swoje pieniądze. Jak w banku!

– A kto ma resztę tych procentów? – zainteresował się Brodziak. Nie żeby specjalnie obchodziły go jego udziały.

Nie wierzył w nie. Nie widział pieniędzy, więc ich nie było. Zapytał o pozostałych udziałowców, żeby w ogóle coś powiedzieć, bo tak naprawdę jedyną rzeczą, o której powinni porozmawiać, była strzelanina w domu Rycha. Ale oficjalnie sprawy nie było. Grubiński jako człowiek zamknięty w tym czasie w areszcie na czterdzieści osiem godzin był poza podejrzeniami o jakikolwiek udział... No właśnie, nawet nie miał w czym brać udziału, bo SB po ugaszeniu pożaru wkroczyło na teren willi i warsztatu. Oficjalnie nic tam nie znaleźli, ale ludzie z okolicznych domów mówili o jakichś czarnych workach wynoszonych wprost do zakrytych ciężarówek. Mówiono też, że wtedy w nocy słychać było strzały, ale milicjanci wytłumaczyli ludziom, że strzelały rozpalone do białości wybuchające puszkę z lakierem. Dom i warsztat spaliły się całkowicie, ale na szczęście Rychu miał wszystko ubezpieczone. Nie musiał się też martwić o mieszkanie. Kilka tygodni wcześniej kupił górę dwurodzinnej willi na Sołacz.

– Drugie dziesięć procent ma Magda Jankowska.

– Kto?

– Taka moja dobra znajoma. – Rychu najwyraźniej chciał zmienić temat, ale Brodziak wyczuł w tym, co powiedział jego kolega, jakieś niedomówienie.

– Jaka dobra znajoma?

– No znajoma mojego starego kumpla Krzyżaniaka. Tego, co go zabili w mieszkaniu na 23 Lutego.

– Tego od szwalni marmurkowych dzinsów'?

– No właśnie, ona dysponowała pieniędzmi Krzyżaniaka, które miały pójść w inwestycję bankową, więc teraz ma swoje dziesięć procent. I w ogóle to mieszka u mnie na Sołacz, zanim mieszkania Krzyżaniaka się nie wyremontuje...

– Jasne, czeka tylko, żeby wprowadzić się do chaty, w której zabito jej znajomego – zakpił Brodziak, a Rychu spurpurowiał na twarzy, ale nie ze złości, ale dlatego, że jego stary kumpel tak łatwe rozszyfrował jego intencje.

– Tylko chwilowo mieszka, a w ogóle to teraz pojechała w interesach do Niemiec Zachodnich. Wiesz, ma tam różne sprawy do załatwienia... – płątał się w zeznaniach Rychu.

– A co się dzieje z tą Marysią? – Brodziak postanowił ostatecznie pograć kumpla. Wiedział, że z szefową Adrii kiedyś coś Rycha łączyło, więc dlatego teraz sobie o niej przypomniał.

– Nie wiem. – Grubiński wzruszył ramionami. – Nie widziałem jej od pogrzebu. Jakby się pod ziemię zapadła. Pytałem w knajpie, ale tam też nikt nic nie wie o niej. Jakaś dziwna sprawa. To co, wchodzimy? – Wskazał ręką drzwi do kamienicy.

– Nie, Rychu, ja muszę do roboty. Umówiony jestem z Fredem na dziewiątą. Może po południu, jak będę wracał, wskoczę na kawę z koniakiem.

– No to wpadaj. Będę na miejscu do wieczora.

Brodziak klepnął przyjaciela w ramię i ruszył szybkim krokiem przed siebie. Po chwili zniknął, skręcając w stronę placu Młodej Gwardii. Rychu został sam na ulicy. Przez chwilę spoglądał na szyld i na szybę swojego przyszłego banku, zastanawiając się, jak to będzie teraz wyglądać. Koniec z handlem walutą pod peweksami. Wszystko legalnie, zgodnie z prawem i bez żadnych oszustw. Bez oszustw? No tak do końca to chyba się nie da? Może za jakiś czas, gdy wszystko się u nas ucywilizuje, wtedy rachunki bankowe staną się jasne jak słońce, ale na pewno nie teraz. Na to za wcześnie. Co innego gdyby to był Zachód. Wtedy takie zarządzanie bankiem odbywałoby się poprzez zgromadzenia akcjonariuszy i Rychu musiałby konsultować wszystkie kroki z Magdą. Na to jednak jeszcze trochę trzeba będzie poczekać.

Godzina 12.30

Teofil Olkiewicz powinien teraz siedzieć w pracy, ale po odebraniu telefonu powiedział Blaszkowskiemu, że musi wyjść do miasta załatwić bardzo pilną sprawę służbową. Mariusz nie pytał, jaka to sprawa, bo wiedział dobrze, że i tak nie dowie się prawdy. Gdy zadzwonił telefon, Teoś podniósł słuchawkę, mruknął jak zwykle niezbyt przyjemnie „halo”, bo nie

lubił, kiedy ktoś mu przeszkadzał w nicnierobieniu, ale gdy usłyszał, kto mówi, twarz mu się rozjaśniła.

– Będę za pół godziny – powiedział i przerwał połączenie. Potem wstał, założył swój prochowiec i przed wyjściem odwrócił się jeszcze do Mariusza.

– To co zrobiliście z tymi bejmami? – zapytał, bo jakoś mu się nie chciało wierzyć, że współpracuje z takimi durniami.

– No już przecież mówiłem. Wszystkie pieniądze znalezione w bagażniku tego malucha zostały przekazane oficjalnie na Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Wszystkie co do jednego dolara. A ten pistolet, co myśmy go zabezpieczyli u tej dziewczyny z Tarnowa Podgórnego, tej, co zastrzeliła tego milicjanta bandziora, to ona miała od tego zabitego w Gaju Wielkim cinkciarza, co współpracował z SB. Pseudo miał Beret – fajnie, co nie? No i okazało się, że z tego smith&wessona zastrzelono najpierw tego cinkciarza nad Bogdanką, a potem Krzyżaniaka, tego co mieszkał na 23 Lutego. Beret i ten drugi postrzelony w Gaju esbek pracowali dla Wirskiego...

– To po co oni zabili tego cinkciarza? Przecież to był zwykły szuszwol.

– Brodziak i Marcinkowski uważają, że w ten sposób chcieli zmusić do współpracy Krzyżaniaka, to miało być ostrzeżenie, a jak się nie udało, to i jego załatwili – wyjaśnił całą sprawę Blaszkowski.

– Szkoda tych piniendzy.

Blaszkowski wzruszył ramionami. Jemu wcale nie było szkoda. Uważał, że trafiły w najlepsze z możliwych miejsc.

– Piniendze dla jakiejś matki z Polski, nawet nie wiadomo jakiej – mruknął zdruzgotany Olkiewicz. Dlaczego zły los skazał go na pracę z samymi kretynami? Dotąd miał w pokoju jednego młodego durnia Blaszkowskiego, który na dodatek nie pił wódki, to teraz dostał jeszcze drugiego, tego Markowskiego, który co prawda pił, ale w kwestiach życiowych był nie mniejszym gamoniem od młodego.

– Najważniejsze, że się nie zmarnowały – stwierdził bardzo zadowolony Mariusz.

Teofil z niedowierzaniem pokręcił głową. Jak można było zaprzepaścić tyle dobra? Że też on nie był tam z nimi w tym Tarnowie Podgórnym. On już by im pokazał, co zrobić z takim majątkiem. Rozdzieliliby po równo, tak żeby każdy dostał swoją działkę, i wszyscy byliby zadowoleni, a tu, proszę, wrzucili taki majątek w studnię bez dna...

– A to wszystko zasługa naszego nowego kolegi – mówił głosem pełnym entuzjazmu Mariusz. – To on zaproponował, żeby milicja miała czyste ręce. Rozumiesz, milicja z czystymi rękoma, żeby była poza podejrzeniami. Powiedział, że trzeba dać na jakiś szczytny

cel, to wtedy Żyto zaproponował, żeby na Dom Milicjanta Weterana, ale Markowski przekonał go, że Matka Polka brzmi znacznie lepiej, i Żyto się zgodził, a komendant wojewódzki zatwierdził...

– Gdybym był wierzący, to bym powiedział: „Dlaczego Pan Bóg pokarał mnie takimi głupimi kolegami?”. Ale że jestem niewierzący, powiem tylko, że szkoda mi was, bo idziecie na zmarnowanie. – Zrezygnowany Teofil machnął ręką i wyszedł z pokoju. Nie miał siły słuchać tej paplaniny. Niestety, nie mógł być wszędzie. Był tam, gdzie się przydał, bo namierzył tego bandziora Wirskiego. Gorzej, że po wielkim pożarze nie znaleziono śladu po tym gnojku, choć Brodziak twierdził, że facet musiał być w środku w tej willi, która się spaliła. Ktoś jednak się stamtąd wydostał, bo zniknęło zaparkowane nieopodal czerwone bmw. Nikt więcej nie widział ani auta, ani Wirskiego. Nie można było też znaleźć Marysi. Teofil był u niej kilka dni temu w restauracji, ale tam powiedziano mu, że od jakiegoś czasu nie było jej w pracy. Pewnie gdzieś pojechała sobie. Może nad morze, pomyślał i więcej się tą sprawą nie zajmował, bo i po co. Jego burzliwy romans z nią dawno się skończył, podobnie jak to, co łączyło go z Marylką Drażkowską. Niby stare dzieje, ale dzisiaj, kiedy ta zadzwoniła i powiedziała, że chce się z nim spotkać, serce podskoczyło mu z radości. Kazała mu przyjść na skwerek przed politechniką, na plac Skłodowskiej-Curie. To było dwa kroki od domu Olkiewiczów i mieszkania teściów Marylki. Była tam w odwiedzinach do południa, a potem miała iść na skwer, gdzie jest huśtawka i piaskownica, więc dzieciaki mogły się pobawić.

Podwieźli go koledzy z patrolu, którzy akurat wychodzili z komendy. Mieli jechać na Podolany, ale czego się nie robi dla starego kumpla, który się śpieszył. Milicyjna nyska zatrzymała się na skwerku i Teofil wysiadł z auta. Nie wyskoczył, a ostrożnie wyłożył prawą nogę i zaraz dostawił do niej lewą. Wolał nie ryzykować kolejnego chrupnięcia w kolanie, tym bardziej że po tym ostatnim skoku noga cały czas go bolała. Robił sobie kompresy z liści kapusty, ale to nic nie dawało. Jak tak dalej pójdzie, myślał, trzeba będzie wybrać się do lekarza, a tego bardzo nie lubił. Zwłaszcza pobierania krwi, przy którym bladł i robiło mu się niedobrze. No ale przy bolącym kolanie pewnie krwi pobierać nie będą, pocieszał sam siebie, choć wcale nie był tego taki pewny.

Maryłka siedziała na ławce i spoglądała na bawiące się w piaskownicy dzieci. Podszedł do niej i z gracją się uklonił. Podała mu rękę, a on, jak to człowiek dobrze wychowany, ucałował wierzch jej dłoni. Uśmiechnęła się, wskazując mu miejsce obok siebie.

Przez chwilę milczeli. Ona, bo zastanawiała się, jak powiedzieć to, co miała powiedzieć, on, bo nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć. Poczł jednak, że to on powinien zacząć.

– Ładnie dziś wyglądasz, jak zwykle – stwierdził, spoglądając na jej profil. Rzeczywiście była bardzo piękną kobietą i musiał przyznać, że przez ostatnie lata wypiękniała. Kiedyś, gdy pracowała jeszcze jako szwaczka w Modenie, ubierała się tak zwyczajnie, ale teraz miała na sobie modną kurtkę dzinsową o marmurkowej fakturze i sztruksowe czarne spodnie. Tego oczywiście Teofil nie zauważył, wpatrzony w twarz Marylki.

– Ty to ale umiesz kobiecie powiedzieć komplement – stwierdziła, wznosząc oczy ku górze.

– Jak ktoś jest ładny, to mogę powiedzieć – wyjaśnił zadowolony z pochwały. – Wiesz – postanowił przejść od razu do rzeczy, żeby przykre sprawy mieć już za sobą. – Ten twój facet to musiał w złe towarzystwo wpaść. Zabili go ludzie takiego jednego byłego esbeka, ale na szczęście wszystkich Bóg pokarał, bo się żywcem te gnoje usmażyły, jak był ten wielki pożar kilka dni temu w warsztacie samochodowym na Junikowie.

– Nie byliśmy już ze sobą, ale i tak szkoda człowieka, choć to był drań jakich mało.

– Drania mniej szkoda. – Teofil nie lubił drani i mało się przejmował ich losem.

– Gorzej tylko, że dzieci będą się chować bez ojca.

– Ty sobie dobrze poradzisz. W końcu jesteś dzielna dziewczyna. A właśnie, jak ci tam idzie robota w tym butiku, bo ja mam dla ciebie dobrą wiadomość. Znaczą, załatwiłem ci, żebyś dostawała towar pierwszej klasy. Bo mój kumpel Mirek Brodziak ma kumpla, którego znajoma ma szwalnię. I oni tam robią te dzinsy takie jak ta twoja kurtka, znaczą się wytarte...

– Marmurkowe?

– No. To jest ta najlepsza wytwórnia na Podolanach w Poznaniu, co ją miał ten, co zginął niedawno, jak on się nazywał...?

– Krzyżaniak? – spytała z niedowierzaniem.

– O właśnie on.

– Teofil, co ty gadasz? Masz dojście do firmy Krzyżaniaka? Przecież oni dają towar tylko do kilku najlepszych butików w Poznaniu...

– Jak ja co gadam, to jest pewne jak w banku. Pojedziesz tam do... – wydobyl z kieszeni kartkę, którą dostał od Brodziaka – do pani Jankowskiej Magdaleny i powiesz, że jesteś ode mnie, znaczą od Mirka Brodziaka, i masz załatwiony towar.

– O Boże, Teofil, ja chyba śnię!

– Ady tam zaraz śnię. Jak ja gadam, że jest załatwione, to jest. Jedź, pogadaj i wszystko będzie fertig. – Podał jej kartkę, a ona przez chwilę z niedowierzaniem przyglądała się temu, co na niej napisano. Potem złożyła ją na pół i schowała w torebce.

– A czemu żeś tak w ogóle to chciała się spotkać? – zapytał zniechęca.

Przez chwilę milczała, zastanawiając się, co powiedzieć. Teoś nie poganiał jej, bo wiedział, że w tej sytuacji, gdy została wdową, najlepiej żeby to od niej wyszło, że chce się z nim znowu spotykać. On już sprawę przemyślał i nie miał nic przeciwko temu, ale naraz z piaskowmicy wybiegł chłopiec w niebieskiej kurteczce i czarnym bereciku. Podbiegł do ławki, obrzucił Olkiewicza niezbyt przyjaznym spojrzeniem, a potem zwrócił się do matki:

– Pić mi się chce.

Teofil patrzył na tę okrągłą dziecięcą buźkę z uśmiechem na ustach i naraz odniósł wrażenie, że ta twarz kogoś mu przypomina. Ale kogo? Przecież wielu ludzi ma takie okrągłe twarze. Choćby on sam. Poza tym oczy. Ten mały miał tak jak on piwne. Widać ojciec musiał lubić piwo, pomyślał zadowolony z wniosków, do jakich doszedł, choć nie wiedział nadal, do kogo był podobny ten chłopak. Na pewno nie do Marylki, bo ona miała włosy ciemne, a oczy zielone. A ten mały nie wiadomo, jakie miał włosy, bo pod beretem nie było widać, i wyglądał tak jakby był łysy. Teofil też był łysy, ale na szczęście zawsze mógł tę swoją łysinę pokryć włosami zaczesanymi z boku na czubek głowy.

– Zaraz, Przemus, pójdziemy do domu, to kupimy coś w sklepie po drodze.

– A co kupimy?

– Orenżadę.

– Ja chcę pepsi.

– Zobaczymy, co będzie.

– Ja chce pepsi i lody.

– Za zimno na lody. Chcesz mieć chore gardelko?

– Pepsi i lody chcę.

– No leć się jeszcze pobawić z Wojtusiem, bo zaraz idziemy.

Chłopak spojrzał na Teofila i się uśmiechnął.

– A ty kto jesteś?

– Teofil Olkiewicz – odpowiedział zgodnie z prawdą Teofil.

– Teofel kartofel, hi, hi, hi! – Odwrócił się i pognął do brata.

– Taki żartowniś z niego – usprawiedliwiła dziecko Marylka.

– Trzeba mieć humor, a nie być mrukliwym. Mądre dziecko.

– Po tacie.

– Tego taty to ja nie widziałem nigdy.

– A mnie się zdawało, że jego ojca bardzo dobrze znasz – stwierdziła, uśmiechając się tak, jakby powiedziała właśnie dobry dowcip.

– Ja? Ja nie...

– Wiesz, ile Przemus ma lat?

– Skąd niby mam wiedzieć?

– Sześć.

– O, to znaczy, że niedługo idzie do szkoły. – Przypomnił sobie, że do szkoły idą siedmiolatki, więc na tego małego już nadchodzi czas. – Jak taki mądry, to się będzie dobrze uczył.

– Ale z ciebie Teofil jest cymbał – rzuciła, wstając z ławki.

– Co? – zdziwił się, bo nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Nie, nic. Ja tak tylko...

– Idziesz już? No ale chciałaś się po coś spotkać. To po co chciałaś?

– Właściwie to po nic... Chłopcy, idziemy do domu! – zawołała, a dwaj synowie wybiegli natychmiast z piaskownicy. Teofil popatrzył na nich i na nią... a potem pokręcił głową. Za cholere człowiek kobity nie zrozumie, choćby się nawet nie wiem jak postarał, pomyślał i wyciągnął z kieszeni paczkę cameli bez filtra. Brodziak wczoraj przyniósł mu te papierosy prosto z peweksu i powiedział, że idzie nowe i w związku z tym koniec z zadymianiem pokoju gównianymi ekstramocnymi. Skoro teraz będzie można już wszędzie kupować dolary, to Teoś powinien przerzucić się na porządny tytoń. Czy porządny, tego Teofil nie wiedział. Fakt, że paliły się całkiem dobrze i może tak bardzo nie śmierdziały, ale czy z tego powodu, że coś się w kraju pozmiało, on ma rezygnować ze smrodu, do którego przyzwyczał się przez całe swoje życie?

Godzina 14.50

Kelnerka pchała przed sobą niewielki wózek, na którym kucharz ustawił wiaderko z szampanem obsypanym kostkami lodu oraz tacę przykrytą kopulastą srebrzystą pokrywą. Ulatniał się spod niej przyjemny aromat pieczonego mięsa. Widać goście z pokoju 36 nie mieli ochoty schodzić do restauracji i woleli zjeść obiad we własnym towarzystwie. Jak to

zakochane pary mają w zwyczaju. Dla nich czas jest zbyt cenny i dlatego wolą każdą zaoszczędzoną w ten sposób minutę wykorzystać na łózkowe igraszki.

Ale kelnerka o tym nie wiedziała. Ta dość wysoka, bo mierząca prawie sto siedemdziesiąt centymetrów, ładna blondynka o zielonych oczach ubrana w biały fartuszek nie zdążyła jeszcze nabrać doświadczenia w tej pracy. W Central Hotelu przy Holzhauser Strasse w berlińskiej dzielnicy Tegel była zatrudniona dopiero od wczoraj. I właściwie jako nowa w ogóle nie powinna być wysyłana do obsługi gości. No ale kucharz Johann Mahler nie miał innego wyjścia. Pracująca tu już od dwóch lat Ingrid Kruger, pulchna dwudziestopięciolatka, którą Mahler z czułością lubił poklepywać po okrągłym tyłku, nie przyszła dziś do pracy. Nie dość że nie przyszła, to jeszcze nic nie powiedziała. A istnieją przecież telefony! – żalił się swojemu młodemu pomocnikowi, długowłosemu Paulowi.

– Czy tak trudno wykręcić numer i powiedzieć, że się nie przyjdzie? – Paul wrzucił tylko ramionami, mieszając wolnym ruchem zupę grochową w garnku ustawionym na piecu. Bo i co niby miał odpowiedzieć? On, gdyby miał nie przyjść do pracy, też by nie zadzwonił, bo nie miał w domu telefonu.

– Ty pójdziesz pod 36. – Mahler zwrócił się do siedzącej przy kuchennym stoliku blondynki. Spojrzała na niego zdziwiona, ale nic nie odpowiedziała. Kucharz pokiwał głową i wskazał na wózek, a potem palcem kilka razy dźgnął powietrze w górze. Dziewczyna uśmiechnęła się, bo chyba zrozumiała, w czym rzecz. Musiał pomóc sobie palcem, bo z tymi gastarbeiterami nigdy nic nie było wiadomo. Polka, której imienia jeszcze nie zdążył się nauczyć, niby mówiła po niemiecku i wszystko rozumiała, ale szef kuchni wolał nie pozostawiać nie wiadomości. Na dwóch talerzach ustawionych na tacy położył solidne kawałki pieczeni wieprzowej, do tego dołożył kartofle i sałatki warzywne, a potem szybko przykrył to metalową pokrywą. Na wózku znalazły się jeszcze sztuce, dwa kieliszki i butelka szampana. Zadowolony wskazał na swoje dzieło i uśmiechając się do dziewczyny, powiedział wyraźnie, tak żeby nie było żadnych wątpliwości.

– Pokój numer 36.

– Rozumiem – potwierdziła i pchnęła wózek w kierunku drzwi prowadzących na korytarz. Przez chwilę Mahler patrzył jeszcze na nią, ale stwierdził, że jej chudy tyłek nie umywa się do tego, którego właścicielką była jego ulubiona kelnerka Ingrid.

Dziewczyna zatrzymała wózek przed drzwiami pokoju na trzecim piętrze. Przez chwilę stała nieruchomo, jakby się nad czymś zastanawiała. Spojrzała na zegarek i upewniwszy się,

która jest godzina, energicznie zapukała w drzwi. Niemal natychmiast w środku odezwał się po polsku jakiś mężczyzna.

– Marysia, ktoś puka!

Zapukała więc ponownie. Wtedy ze środka odpowiedział jej kobiecy głos:

– Proszę!

– Obsługa hotelowa – odezwała się kelnerka po niemiecku.

– Proszę wejść!

Chwyciła klamkę, przycisnęła ją i drzwi ustąpiły. Popychając przed sobą wózek, weszła powoli do środka. Pokój nie był zbyt wielki. Po prawej stronie stało szerokie małżeńskie łóżko, na lewo były drzwi do łazienki, a na wprost pod oknem ustawiono stolik z dwoma krzesłami. Przy tym stoliku siedział mężczyzna w szlafroku i palił papierosa. Przystojny blondyn o sympatycznej twarzy uśmiechnął się na widok dziewczyny. Od razu zauważyła, że w jego oczach nie ma błysku radości. Spojrzenie miał zimne i przenikliwe. Na łóżku, również odziana w hotelowy, biały szlafrok, leżała jego przyjaciółka, tleniona blondynka, której kręcone włosy opadały bujną kaskadą na ramiona.

– Tadeusz, trzeba by tej Hildzie zapłacić – stwierdziła, spoglądając spode łba na kelnerkę. Widać nie przepadała za młodszymi i ładniejszymi od siebie dziewczynami i pewnie wdałaby, żeby jej przyjaciel podzielał to zdanie. On jednak wydawał się być kompletnie niezainteresowany dziewczyną. Wstał od stolika i podszedł do szafki, na której stał telewizor. Otworzył szufladę i wydobyl z niej portfel.

W tej chwili za oknem rozległ się hałas, którego nie były w stanie zagłuszyć nawet najlepiej wytlumione hotelowe okna. Kilka metrów niżej, gdzieś na wysokości pierwszej i drugiej kondygnacji, przechodził ułożony na estakadzie tor kolejki S-Bahn. Żółte wagoniki właśnie wjeżdżały na pobliską stację, jęcząc i zgrzytając niemiłosiernie. Blondyn odwrócił się do kelnerki z monetą pięciomarkową w dłoni i zamarł z przerażenia. Dziewczyna trzymała w ręce pistolet. Popatrzył na broń, a potem na nią, dostrzegając w jej oczach zimną determinację.

– Pozdrowienia z Polski – zawołała głośno, starając się przekrzyczeć łoskot pociągu za oknem. Mężczyzna chciał uskoczyć na bok, ale nie miał najmniejszych szans. Pierwsza kula trafiła go w splot słoneczny. Dziewczyna natychmiast odwróciła się do leżącej na łóżku kobiety i posłała w jej kierunku kolejną kulę, która wbiła się w głowę nieco poniżej oka. likwidując definitywnie zmarszczki, z którymi bezskutecznie od pewnego czasu walczyła ich właścicielka. Wielka plama krwi i szczątków mózgu rozprysła się po ścianie za łóżkiem, dekorując ją abstrakcyjnym, nieregularnym wzorem.

Kelnerka podeszła do leżącego na podłodze mężczyzny. Jeszcze żył, choć żaden lekarz nie dałby mu już najmniejszej szansy. Ich spojrzenia spotkały się. W jego oczach można było odczytać zdziwienie i pytanie, którego nie były już w stanie wyartykułować usta.

Blondynka uśmiechnęła się.

– Ukłony od Marcelego Krzyżaniaka – powiedziała i weszła z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Cerekwica 2017/18